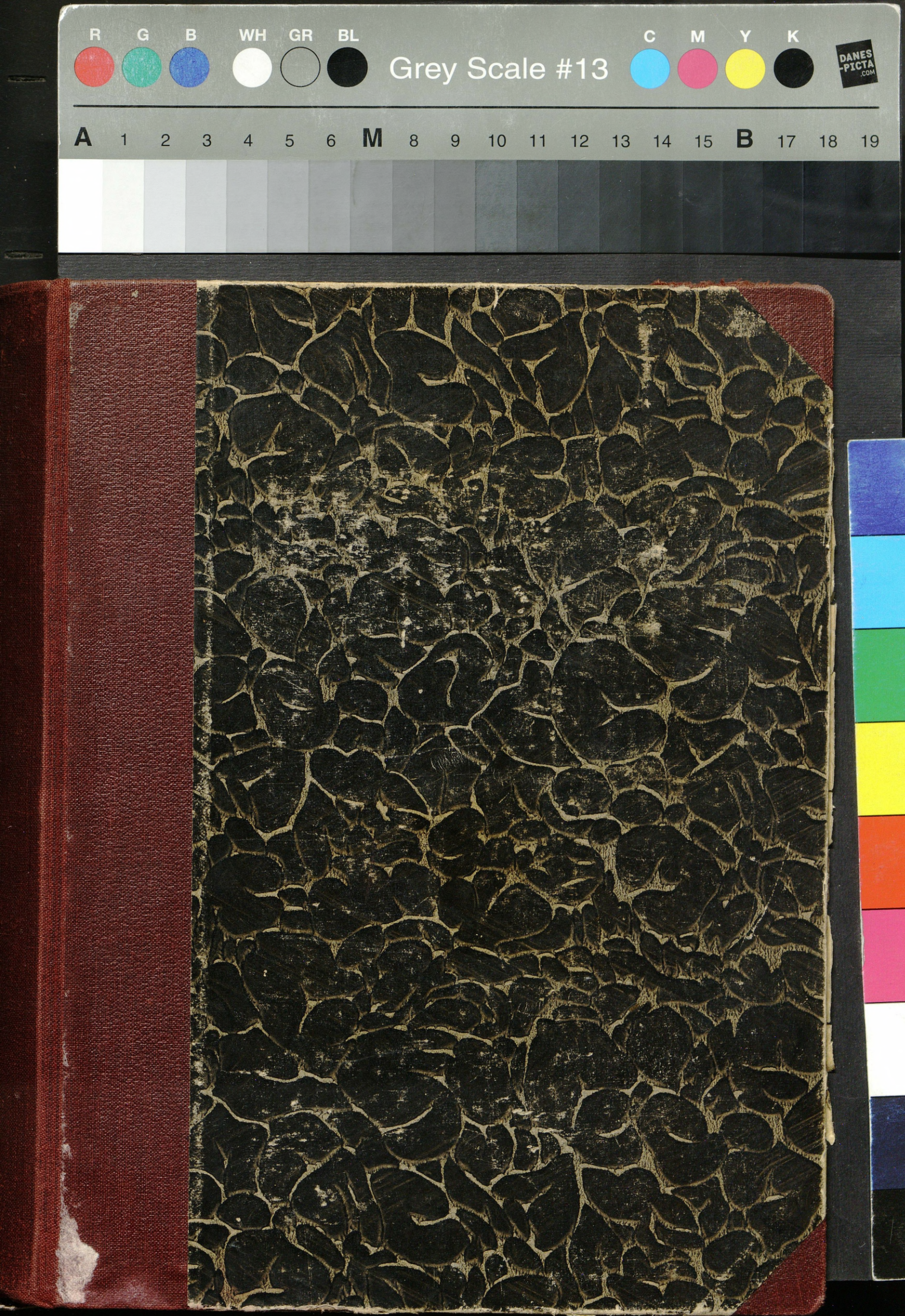

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES PICTA .COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black
Blue Cyan
Centimetres
Inches
DANES PICTA .COM

D. S. MEREŻKOWSKI

NAPOLEON



TRZASKA, EVERT i MICHALSKI, WARSZAWA

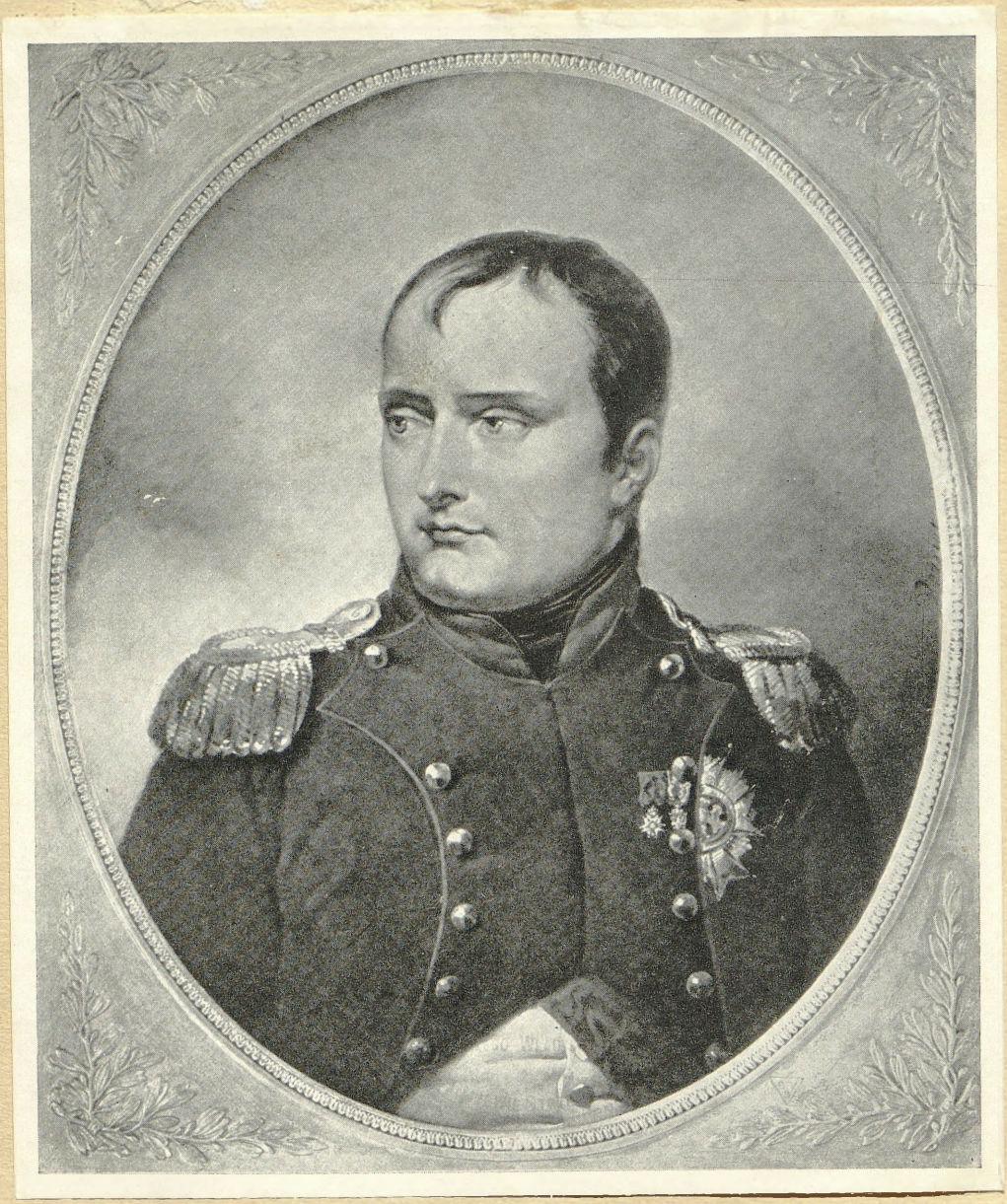
Z ORYGINAŁU PRZEŁOŻYŁ
PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI



33548/2

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

NAPOLEON



NAPOLEON
(według obrazu H. Vernet'a).

ŻYCIE NAPOLEONA.

ZARANIE.

Dzieciństwo. 1769—1779.

Wszczynanie badań genealogicznych nad rodem Bonapartów jest poprostu dzieciństwem. Bardzo łatwo odpowiedzieć na pytanie, od kiedy ród ten się zaczyna : od 18 brumaire'a. Czy można wobec cesarza okazywać tak mało przyzwoitości i szacunku, aby do sprawy jego przodków przywiązywać jakiekolwiek znaczenie ? „Jako żołnierz, obywatel i władca wszystko zawdzięcza on swej szpadzie i miłości swego narodu". Notatka ta, inspirowana niezawodnie przez samegoż Napoleona, ukazała się w piśmie rządowem „Le Moniteur" 25 messidora (14 lipca) 1805 roku, w pół roku po koronacji. „Tak powinien przemawiać wielki człowiek!" — zawołała przy tej sposobności jedna z jego dowcipnych wielbicielek.[1] „Na swoje dokumenty rodowodowe nie spojrzałem ani razu ; znajdowały się one zawsze w ręku mego brata Józefa, genealoga rodzinnego" — mawiał cesarz ze śmiechem.[2] „Jestem jednym z tych ludzi, którzy wszystko mają po sobie, a po przodkach nic — Qui sont tout par eux-mêmes et rien par les aïeux".[3]

Buona-Partowie są bardzo starym szlacheckim rodem toskańskim, wywodzącym się z Treviso i Florencji, a zbyt gorliwi genealogowie cofają początki tego rodu aż do zarania dziesiątego wieku. Jeden z Buona-Partów miał brać udział w pierwszej wyprawie krzyżowej. W drugiej połowie trzynastego stulecia florencki patrycjusz Guglielmo Buonaparte, który brał udział w walkach Welfów z Gibelinami, jako buntownik raz na zawsze wygnany został z Republiki Florenckiej. Przeprowadził się do Sarzany, ustronnego miasteczka Republiki Genueńskiej, gdzie członkowie wygnanego rodu przez półtrzecia wieku wiedli żywot dość żałosny, jako syndycy, notarjusze i członkowie Rady Starszych. Wkońcu ostatni członek tej linji sarzańskiej Buonapartów, Francesco, przeprowadził się do Ajaccio na Korsyce. Tutaj żyli potomkowie tego rodu, zachowując stanowe odznaki patrycjuszy florenckich, ale zubożeli ostatecznie i żywot pędzili obyczajem szlacheckim próżniaczy, pański i sknerski, utrzymując się z lichych dochodów, jakie dawały niewielkie pola, gaje oliwne, winnice oraz stada owiec i kóz.

Napoleon jako dziedzic swoich ojców jest spóźnionym kondotjerem XVI stulecia, w rodzaju Malatesty, Sforzy, Colleone — „genjalny zbójca" : ta hipoteza Taine'a pozostała komunałem aż po dni nasze.[4] Atoli w rodzie Buona-

partów nie było ani jednego kondotjera, znalazł się w nim natomiast „błogosławiony“ ojciec Bonawentura.[5] Dość wspomnieć o nim, aby hipoteza Taine'a upadła natychmiast: czemuż-bo krew zbójcy, który nigdy nie istniał, miałaby się w żyłach Napoleona odzywać potężniej, niż krew świętego, który istniał rzeczywiście?

Carlo Bonaparte, najmłodszy potomek rodu i ojciec Napoleona, był to piękny, smukły i rosły mężczyzna, „prawdziwy Murat“, jak się później wyrażała jego wdowa;[6] doskonały rycerz, wielbiciel płci pięknej, z gruntu wesoły, wymowny i wygadany; wolterjanin, autor wolnomyślnych wierszyków i madrygałów; zręczny obrońca sądowy i niestrudzony a wytrwały petent, który trzymał się stale możnych tego świata; był to człowiek niegłupi, ale słaby i lekkomyślny, a według słów Napoleona „zbyt oddany uciechom, aby pamiętać o swoich dzieciach“, sam napoły dziecko, zawsze skłonny do psucia dzieci i brania ich w opiekę przed surową matką.

Po ukończeniu studjów prawnych na uniwersytecie w Pizie, stał się asesorem francuskiej Izby Sądowej w Ajaccio.

Zdaje się, że Napoleon po ojcu swoim nic nie odziedziczył prócz imienia rodowego, pięknego owalu twarzy, szaro-modrych oczu i straszliwej choroby— raka w żołądku. I to także zadaje hipotezie Taine'a nowy śmiertelny cios: dziedzictwo Buonapartów jest w Napoleonie niemal bez znaczenia; syn wdał się w matkę, nie w ojca.[7]

W roku 1764 starał się Carlo o rękę córki głównego inspektora komunikacji, Marji Letycji Ramolino, z rodu również zubożałego, ale bardzo starego, Pietra-Santa, który miał się wywodzić z lombardzkich książąt panujących. Narzeczony miał lat osiemnaście, narzeczona czternaście; zubożała szlachta śpieszyła się z wydawaniem swoich córek zamąż, aby rodzinie ulżyć ciężaru.

Signora Letycja uchodziła za piękność nawet na Korsyce, gdzie pięknych kobiet nie braknie. Posiadamy portret jej z lat dziewczęcych.[8] Wdzięk tej twarzy, z uśmiechem pełnym tajemnej słodyczy, ale zarazem surowym, przypomina Monę Lizę, albo pokrewne jej i tak samo się uśmiechające etruskie boginie, których rzeźbione wizerunki znajdujemy w grobach Toskany. Z tych samych zamierzchłych czasów zdaje się płynąć ku nam ten uśmiech drugiej Mony Lizy, etruskiej Sybilli, matki Napoleona.

„Antiquam exquirite matrem.
Pradawnej szukajcie macierzy...“

„Ród ludzki posiada dwie wielkie cnoty, które cenić winniśmy bardzo wysoko: odwagę mężczyzn i czystość kobiet“ — powiada Napoleon i oczywiście ma na myśli swoją matkę.[9] Wie on, że mężny rodzi się z czystej.

„Wiejską Kornelją — Cornelie rustique“ — nazywał ją bohater Korsyki, Paoli. Matka cesarza aż do końca życia niebardzo różniła się od najprostszych chłopek, jak zresztą wszystkie najprzedniejsze kobiety korsykańskie. Umiała czytać, pisać i potrosze rachować, i tem wyczerpywały się wszystkie jej umiejętności. Nie umiała nawet porządnie mówić po francusku: mówiła francuszczyzną łamaną i śmieszną, z włoskim akcentem. Podczas wspaniałych przyjęć w Tuilerjach ukazywała się w szatach prostych, niemal ubogich: oszczędna była aż do sknerstwa. „Ludzie powiadają, że jestem skąpa (vilaine). Niech sobie gadają... Może kiedyś dzieci moje będą mi wdzięczne za to, że dla nich oszczędzałam“. Oszczędzała (coumoulait) bezustannie, pamiętając o czasach biedy, a gdy czasy takie nadeszły, gotowa była wszystko sprzedać dla Napoleona aż do ostatniej koszuli.

„Moja dzielna matka jest niewiastą posiadającą serce i rozum“ — mawiał Napoleon. — „Jest to osoba mężna, dumna i szlachetna. Jej zawdzięczam całe szczęście swoje, wszystko, co dokonałem dobrego... Jestem przekonany, że wszystko dobre i złe w człowieku od matki jego pochodzi“.[10]

Matka wiedziała, czem był jej syn. „Jesteś cudem, fenomenem, jesteś czemś, czego wcale wypowiedzieć nie można!“ — mawiała mu poczciwie w oczy. — „Signoro Letycjo, schlebiasz mi jak wszyscy!“ — „Jabym ci schlebiała? Nie, mój synu, jesteś niesprawiedliwy dla swej matki. Matka nigdy nie schlebia synowi. Winieneś wiedzieć, Najjaśniejszy Panie, że okazuję ci wszelki szacunek przed ludźmi, bo jestem poddaną twoją; ale gdy jesteśmy z sobą sam na sam, wtedy jestem twoją matką, a ty jesteś moim synem. Gdy ty powiadasz: „Ja chcę“ ,— to ja odpowiadam: „Ja nie chcę“, bo i ja mam dumę w charakterze“.[11]

Umierając, wspomina o „nauce dumy, którą jako dziecko pobierał od matki, aby ją przechować w sobie przez całe życie“.[12] Gdy podczas panowania teroru na Korsyce w roku 1793, kuszono ją, aby zdradziła pokonanych przyjaciół dla uratowania swego mienia, a może nawet życia, swego i swoich dzieci, odpowiedziała jak rzeczywista Kornelja, matka Grakchów: „Ja i dzieci moje nie posiadamy dwóch wiar, lecz tylko jedną: obowiązek i honor!“[13]

„Okazuje mi pan wiele przywiązania“ — mówił Napoleon do doktora Antommarchi na krótko przed śmiercią. — „Nie szczędzi pan żadnego trudu, aby cierpienia moje złagodzić, a jednak inna jest tkliwość matki. Ach, matko Letycjo, matko Letycjo!“ I twarz ukrywał w dłoniach.[14]

Na rok przed urodzeniem Napoleona na Korsyce wybuchło powstanie przeciwko Francuzom, którym Genueńczycy, stali gnębiciele Korsykan, wyspę sprzedali. Stary korsykański Babbo, Tatko, Pasquale Paoli, stanął na czele powstańców, Carlo Bonaparte przyłączył się do niego. Osiemnastoletnia Signora Letycja była wówczas w ósmym miesiącu ciąży; drugiego swego

syna — pierwszy był Józef — nosiła pod sercem. Pomimo to towarzyszyła swemu mężowi w tej uciążliwej i niebezpiecznej wyprawie. „Straty, niedostatek, znużenie — wszystko znosiła, wszystko brała na siebie. Była to głowa mężczyzny na kobiecem ciele" — opowiadał Napoleon później.[15]

W dzikich górach i ciemnych lasach trzeba było już to konno, już pieszo wdrapywać się na strome skały, torować sobie drogę skroś gęstwinę cierni i głogów, w bród przebywać rzeki; około jej głowy ze świstem przelatywały kule; jedno dziecko dźwigała na ramieniu, drugie nosiła pod sercem, ale trwogi nie znała.

Razu pewnego omal że nie utonęła w rzece Liamone. Bród był głęboki, koń stracił grunt pod nogami i, porwany ostrym prądem, płynął razem z nim. Towarzysze Letycji, przerażeni, rzucili się wpław ku niej, nawoływali, aby się opuściła w wodę, to ją wydostaną. Ale nieustraszona jeźdźczyni utrzymała się w siodle i umiała pokierować koniem tak dobrze, że szczęśliwie dotarła do brzegu. Być może, że już wtedy cudowną swoją odwagę przeniosła na Napoleona — moc Kamienia Świętego, Pietra Santa.

O dziecko nie obawiała się wcale i równie spokojnie i pogodnie nosiła je pod sercem, jak później na ramieniu. Poleciła je opiece Przenajświętszej Panny i wiedziała, że ona chroni je od wszelkiego złego.

W dniu ostatniej porażki korsykańskich patrjotów koło Ponte-Nuovo czuła Signora Letycja niecierpliwe ruchy dziecka, „poskakującego w jej łonie, jakgdyby chciało było walczyć, zanim się narodziło".[16]

Wojna toczyła się przy zgoła nierównym podziale sił: Francuzi wyprawili na Korsykę wielkie masy wojska. Po ostatecznem załamaniu się powstania i ucieczce Paolego, zrozumiał Carlo Bonaparte, że „była to wojna glinianego garnka z żelaznym kotłem". Postanowił tedy poddać się Francuzom i, otrzymawszy list bezpieczeństwa, powrócił do Ajaccio.

Dnia 15 sierpnia 1769 roku, w święto Wniebowzięcia Marji Panny, Letycję, idącą do kościoła, opadły tak ostre bóle, że musiała zawrócić do domu. Z trudem dowlokła się do sypialni, ale już nie zdążyła ułożyć się w łóżku: opadła na niewygodną, wąską, twardą kanapę o sztywnej poręczy i bez wielkich cierpień powiła syna, Napoleona.

Ale matka nie miała pokarmu, więc do domu przyjęto mamkę, Kamillę Ilari, żonę przewoźnika z Ajaccio. Kamilla kochała Napoleona bardziej, niż własnego syna, on zaś podobnie przez całe życie zachował ją we wdzięcznej pamięci.

Na wyspie świętej Heleny krótko przed śmiercią wspominał swoje lata dziecięce na Korsyce, a także mówił, że zuchwale biegał nad przepaściami i, pełzając po stromych skałach, docierał do głębokich dolin i wąwozów, a wszędzie przyjmowano go z zaszczycającą gościnnością, gdy przybywał do swoich

krewnych, którzy zacięte spory swoje i krwawą mściwość przekazywali sobie aż do siódmego pokolenia. „Wszystko jest tam lepsze, niż gdziekolwiek na świecie... Nawet z zamkniętemi oczami poznałbym kraj ojczysty po samym tylko zapachu, bo takiego nie spotykałem nigdzie indziej".[17]

Duch ziemi ojczystej razem z tym zapachem przeniknął do duszy jego i opuścił ją dopiero z ostatniem jego tchnieniem. To, co nazywamy „genjuszem Napoleona", jest właśnie duchem tej ziemi.

Co to jest Korsyka? „Jest to świat opanowany jeszcze przez chaos, dzika plątanina gór, pooddzielanych wąskiemi wąwozami, w których huczą potoki. Niema tu ani kawałka równiny, a wszędzie są tylko gigantyczne fale granitu, albo gigantyczne fale ziemi, porośnięte ciernistemi krzewami, lasami wysokich kasztanów i świerków. Wszystko jest tu dziewiczo młode, dzikie, pustynne, chociaż tu i ówdzie trafiają się osiedla, przypominające gromady kamieni na górskich wyżach. Niema tu rolnictwa, niema rzemiosł, ani śladu sztuki. Nigdzie nie spotyka się kawałka obrobionego drzewa, nigdzie nie widać ociosanego kamienia; nawet pamiątki niema po dziecinnej i wyrafinowanej uciesze przodków rozmiłowanych w rzeczach pięknych i ukochanych. W tej wspaniałej i dzikiej krainie największe zdumienie budzi właśnie ta dziedzicząca się obojętność dla wszelkiego poszukiwania tych czarujących form, które nazywamy sztuką".[18]

„Wyspiarze — wywodził Napoleon — mają w sobie zawsze coś pierwotnego dzięki swemu odosobnieniu, które zabezpiecza ich przed nieprzyjacielskiemi napadami i domieszką obcej krwi, którym podlegają mieszkańcy kontynentu".

„Wyspa oznacza odosobnienie, zaś odosobnienie oznacza moc". O tem wie Napoleon lepiej od kogokolwiek.

Zdaje się, jakgdyby sama Przenajświętsza Panna otoczyła była swój umiłowany ostrów podwójnym wałem ochronnym wysokich gór i bezkresnego morza, aby go zabezpieczyć przed niegodziwościami naszego „postępu" i naszej „cywilizacji". Wszystko jest dzikie, dziewicze, pustynne, niewinne, nietknięte i niepokalane przez człowieka, wszystko jest takie, jakie wyszło z rąk Stwórcy. Uczucia ludzi są tu czyste i świeże, jak źródła tryskające bezpośrednio z mas granitu. Niepamiętna dawność - młodość świata. Tak samo beczą owce i brzęczą pszczoły, jak w owe rajskie dni, gdy koza Amaltea karmiła boskie dzieciątko, a pszczoły Melissy syciły je miodami, zbieranemi z kwiatów górskich. To samo słońce, to samo morze, te same skały: wszystko takie, jakie było w pierwszym dniu stworzenia i jakie będzie w dniu ostatnim.

Pierwszą, jedyną i wiekuistą mistrzynią Napoleona była — Matka Ziemia. Góry uczyły go dumy, słońce — miłości, morze — młodości. A matka Letycja jedynie powtarzała i objaśniała te nauki.

„Byłem swawolny, zawadjaka, nieznośny urwis".[19] Starszego brata, poczciwego piecucha, podbił rychło jak niewolnika. Mały „zbójca", „łazik", drapał, szczypał i gryzł brata i, zanim ten się jeszcze opamiętał, sam biegł pierwszy do matki, aby obitego oskarżyć.[20] „Matka Letycja hamowała moją gwałtowność. Przy wielkiej swojej tkliwości była surowa, karała i nagradzała nas zawsze sprawiedliwie. Dobre i złe wszystko było nam poczytane".[21]

Pewnego razu zaciął się w uporze i nie chciał pójść do kościoła; dopiero gdy od matki dostał w twarz, pojął, że grzeczni chłopcy winni chodzić do kościoła. Innym razem prosił matkę, aby go zabrała z sobą, gdy wybierała się w odwiedziny; odmówiła mu, ale gdy już była dość daleko od domu i szła stromą drogą pod górę, obejrzała się i spostrzegła, że chłopiec idzie za nią. Podbiegła do niego i tak mocno uderzyła go w twarz, że upadł i po spadzistej drodze potoczył się wdół. Z wielkim trudem i wysiłkiem zdołał się zatrzymać; płacząc, powstał i kułakami ocierał oczy, matka Letycja zaś szła dalej swą drogą, nie oglądając się za nim.[22] Wiedziała, co robi: tylko taka surowość mogła była ujarzmić „zbója".

„Byłem tylko upartem i ciekawem dzieckiem" — opowiadał Napoleon później.[23] Ciekawem i dumającem. „Od najwcześniejszego dzieciństwa był on niezwykle skłonny do zadumy" — opowiada Stendhal o swoim bohaterze Juljanie Sorelu, sobowtórze Napoleona.[24]

Był gwałtowny, żywy, ale raptem uspokajał się i popadał w zadumę. A przytem umysł miał nad wiek bystry. „Nową Heloizę czytałem, mając lat dziewięć, i od niej przewróciło mi się w głowie".[25] W ósmym roku życia zakochał się w Giacominecie, siedmioletniej przyjaciółce szkolnej. Przez całe życie wspominał o tej swojej pierwszej i może najgłębszej miłości. Giacominetta była jedną z jego dwóch kochanek: drugą była matematyka. Matematyce oddawał się z taką namiętnością, że bez potrzeby nikt mu nie przeszkadzał w tem zajęciu. Za domem zbito z desek izdebkę i tam, zagłębiony w swoich wyliczeniach, przesiadywał całemi dniami. Wieczorem opuszczał swoją samotnię zamyślony i roztargniony i, idąc ulicą, nie wiedział, że pończochy zsunęły mu się aż na pięty. Ulicznicy dokuczali mu:

„Napoleone di mezza calzetta
Fa l'amore a Giacominetta!"

Naogół nie zwracał na nich uwagi, ale niekiedy przystawał nagle, jakby się budził z głębokiego snu, i wtedy groził ulicznikom kijem, ciskał w nich kamieniami, albo rzucał się na nich z pięściami, nie zwracając uwagi na liczbę przeciwników.[26]

Już wtedy popadał nieraz w swoją letargiczną zadumę, w swoje magne-

tyczne zaśnienia. „Préoccupation pour ainsi dire lethargique".[27] „Une sorte de prévision magnétique de ses futures destinées".[28]

W roku 1777 dzięki protekcji hrabiego Marbeufa, francuskiego gubernatora Korsyki, Carlo Bonaparte został wybrany jako deputowany szlachty korsykańskiej do Stanów Generalnych Francji, co dało mu możność kształcenia obu synów na koszt króla — Józefa w szkole duchownej w Autun, Napoleona w szkole wojskowej w Brienne.

Dnia 15 grudnia r. 1779 wyjechał Bonaparte z obu synami z Ajaccio do Marsylji, i w kilka dni później dziesięcioletni Napoleon po szczęśliwie przebytej żegludze po raz pierwszy stanął na ziemi francuskiej. Pierwszego stycznia został on razem z bratem Józefem przyjęty do szkoły w Autun, gdzie w ciągu trzech miesięcy musiał się wprawiać do języka francuskiego, którego dotychczas nie rozumiał prawie wcale. Ojciec udał się na dwór królewski w Wersalu, a w połowie maja obcy ludzie zawieźli Napoleona do Brienne.

Szkoła. 1779 — 1785.

Po złociście słonecznych górach i po zatokach Korsyki, które zdawały się płonąć ciemno-fioletowym żarem, posępne płaszczyzny Szampanji, z jej formacjami kredowemi, wydawały się mu krawędzią świata, królestwem kimmeryjskiej nocy.

Uczniowie otoczyli nowicjusza.

„Jak się nazywasz?"

„Napojone" — odpowiedział, wymawiając swoje imię po korsykańsku.

„Ja-ak?"

„Napojone".

„Przecież takiego imienia wcale niema w kalendarzowym spisie świętych!"

„W waszym niema, ale w naszym jest".

„W tureckim, czy co?"

„Napollione — la paille au nez!" — doszukał się któryś z rówieśników śmiesznego znaczenia tego imienia; wszyscy podchwycili natychmiast jego słowa i śpiewali chórem:

„La paille au nez! La paille au nez! Słomka w nosie!"

Przezwisko to przylgnęło do niego.

Gdy mu dokuczali nad miarę, to nieraz brała go ochota, żeby się rzucić na nich z kułakami, jak na uliczników w Ajaccio, jeden przeciw wszystkim, ale pogarda dla nich powstrzymywała go od tego. Milcząc, z zaciśniętemi zębami, usuwał się na stronę, zaszywał się w jaki kąt i stamtąd przyglądał się rówieśnikom płonącemi oczyma, jak ścigane wilczę. W jego smagłej twarzy

o cerze zlekka oliwkowej, w jego delikatnych, mocno zaciśniętych ustach, w niezwykle dużych i smutnych oczach, było coś takiego, co nawet najzuchwalszego zawadjakę napełniało strachem: kto wie, czy to się opłaca drażnić go nadmiernie. Wilczę mogłoby się wściec.

Nienawidził wszystkich Francuzów i gardził nimi — katami i gnębicielami Korsyki. Może jeszcze nie zdawał sobie sprawy, co to znaczy, ale już to niejasno wyczuwał. „Korsyka dała mi życie, a zarazem płomienną miłość ojczyzny i wolności" — wyrazi się wreszcie w jego noweli szalony bohater wyspy Gorgony, sąsiadującej z Korsyką, bohater, który krwawą zemstę, wendetę, wywierał na całym narodzie, na Francji, a bóstwu swemu składał ofiary z ludzi, z ciał zabitych Francuzów.

„Twoi Korsykanie to tchórze, bo oddali nam Korsykę!" — dokuczali uczniowie młodemu Napoleonowi. Najczęściej milczał i nienawiść gromadził w sercu niby skarb. Ale razu pewnego wyciągnął prawicę pięknym, majestatycznym gestem antycznego mówcy i ze spokojną godnością odpowiedział:

„Gdyby was było czterech przeciwko jednemu, to nie ujrzelibyście Korsyki tak samo, jak uszu swoich, ale was było dziesięciu przeciw jednemu!"

Wtedy wszyscy zamilkli, bo zrozumieli, że powiedział prawdę.[1]

„Jak tylko będę mógł, to twoim Francuzom nawarzę kiedy paskudnego piwa!" — rzekł do Bourienne'a, jedynego towarzysza, z którym zbliżył się trochę. A gdy ten starał się go uspokoić, Napoleon dodał:

„Ty się zresztą nigdy ze mnie nie naśmiewasz, ty mnie kochasz..."[2]

Nie powiedział: „Ja cię kocham". Już wtedy był ścisły i skąpy w słowie.

Pewnego razu zawołał z proroczym wyrazem twarzy:

„Paoli wróci, wróci Paoli, i jeśli on sam nie zdoła stargać naszych łańcuchów, to mu pomogę, i nam obu uda się może wyzwolić Korsykę!"[3]

Szkoła znajdowała się pod kierunkiem minorytów, francuskich braci zakonnych. „Wychowując się śród mnichów, miałem sposobność poznać ich występki i ich życie wyuzdane" — wyraził się Napoleon później. W tym względzie nie należy jednakże zbyt wyłącznie polegać na jego słowach: demaskowanie obyczajów klasztornych należało do nałogowych zwrotów owoczesnych wolnomyślicieli. Ojcowie z Brienne nie byli zapewne tak źli, jak o nich mówiono, i dzieciom pod ich opieką wiodło się dobrze. Dobrze chłopców ubierano, dobrze karmiono i grzecznie ich traktowano. Ale uczono ich licho, a wychowywano jeszcze gorzej. Jak bodaj we wszystkich szkołach wojskowych Francji, tak i tutaj zagnieździły się zgoła niedziecinne wyuzdania, które określano upiększającem słowem „nieskromność — immodestie". Wszyscy wiedzieli, dlaczego piękni chłopcy nazywani byli nimfami. Do Napoleona owo zło, oczywiście, dostępu nie miało: jego nietowarzyskość zabezpieczała go przed niem. Szkołę opuścił jako czyste dziecko, tak, jak do niej wszedł,

i czystość zachował bodaj aż do osiemnastego roku, czyli jak na owoczesne pojęcia bardzo długo.

Nie ustrzegł się wszakże innego zła. Duch niewiary otaczającego świata dostał się do szkoły poprzez mury klasztorne. Ani zewnętrzne formy i zwyczaje, ani nauka katechizmu, modlitwy, posty i chodzenie do kościoła, ani wreszcie comiesięczne spowiedzi i komunje, nie uchroniły go przed nim. „Wiarę straciłem w trzynastym roku życia" — wyraża się Napoleon w swoich wspomnieniach.[4] Pomimo to, przechadzając się po alejach lipowych brieńskiego parku, lubił o zmierzchu wsłuchiwać się w dzwony na Anioł Pański i lubił to przez całe życie. Być może, iż dźwięki te przypominały mu stracone szczęście dziecięcej wiary.

„Żyłem zdala od swoich towarzyszy. Zaszywałem się w jakim ustronnym zakątku ogrodu szkolnego i marzyłem samotny: marzycielem byłem zawsze. Gdy towarzysze próbowali wyprzeć mnie z mego zakątka, to broniłem go ze wszystkich sił. Instynktownie odczuwałem już wtedy, że wola moja musi sobie podporządkować wolę innych ludzi i że wszystko, co mi się podoba, stać się musi mojem. W szkole nie lubiano mnie; na pozyskanie ludzkiej miłości potrzeba czasu, a ja miałem zawsze, nawet gdy nic nie robiłem, posępne uczucie, że czasu marnować nie należy".[5]

Jeszcze nic nie robił, ale już się ku czemuś przygotowywał, dokądś zmierzał, czekał i spodziewał się, marzył i marzył aż do zapamiętania. W szarej poczwarce drgał cudowny motyl. „Byłem wtedy szczęśliwy!" — mawiał, wspominając owe czasy. Był szczęśliwy pomimo wszystkich swoich już nie dziecinnych cierpień: tęsknoty, osamotnienia, upokorzeń i obraz. Był szczęśliwy, jakgdyby przeczuwał swoje niepojęte przeznaczenie.

Rektor szkoły wyznaczył dzieciom dość duży kawał ziemi dla zajęć ogrodowych i podzielił ją na działki. Napoleon połączył trzy działki, mianowicie swoją i dwie odstąpione mu przez sąsiadów, otoczył je wysokiemi sztachetami i sadził drzewka. Pielęgnował je w ciągu dwóch lat, aż rozwinęły się dostatecznie, aby dawać trochę cienia i tworzyć zielone zacisze, pustelnię, „eremitage", jak się wtedy mawiało. To był właśnie jego zakątek. W nim zaszywał się teraz tak samo, jak niegdyś u rodziców w Ajaccio w izbie zbitej z desek, aby marzyć, robić wyliczenia, uprawiać matematykę, bo już wtedy budował swoją chimerę ze ścisłością matematyczną; lodowe kryształy geometrji pobudzały jego wyobraźnię do czarownego tęczowania.

„Biada tym z pośród nas, którzy odważali się zakłócać jego spokój, czy to przez ciekawość, czy też dla dokuczenia mu!" — opowiadał jeden z jego towarzyszy. „W gniewnem zapamiętaniu wyskakiwał ze swego zakątka i wyrzucał nieproszonych gości, choćby ich było nie wiem ilu".[6]

W ustroniu tem powracał, zgodnie z nauką Rousseau, do stanu pierwotnego — état naturel. Przed ludźmi chronił się w naturze. „Człowiek natury znajduje szczęście na łonie uczuć i przyrodzonego rozumu“ mawiał później.[7] Tutaj doznawał tego, co odczuwał bohater jego późniejszej noweli, ów żeglarz rzucony burzą na bezludne wybrzeże Gorgony: „Byłem władcą swej wyspy; tutaj, chociaż nie byłem szczęśliwy, to jednak mogłem być spokojny i mądry“.[8] Albo odczuwał to, czego doznawał sobowtór Napoleona, Juljan Sorel, w swojej jaskini: „Niby ptak drapieżny, ukryty śród skał, mogłem z oddali dojrzeć każdego człowieka zbliżającego się do mnie...“— „Tutaj ludzie nie mogą mi uczynić nic złego“ — mówił z okiem błyszczącem radością. „Jestem wolny“. I przy dźwięku tego potężnego słowa dusza jego zapalała się rozkoszą.[9]

Ten pierwszy kawałek zdobytej ziemi jest już zaczątkiem napoleońskiego imperjum, jego panowania nad światem. Tutaj był równie samotny, jak później u szczytu swej potęgi i na wyspie św. Heleny.

Uczył się jako tako, i jak dawniej, zapalał się jedynie do matematyki. „To dziecko posiada jedynie zdolności do geometrji“ — mawiano o nim.[10] Postępami swemi wprawiał nauczycieli w zdumienie: najtrudniejsze rzeczy matematyczne przyswajał sobie tak łatwo, jakgdyby wszystko znał oddawna dzięki wrodzonej wiedzy przypomnieniowej, anamnezie Platona, jakgdyby się nie dowiadywał rzeczy nowych, ale poprostu przypominał sobie sprawy zapomniane.

Uczył się mało i dużo czytał, pochłaniając książki z jakimś nigdy nienasyconym wilczym głodem. Gdy się dorwał do „Historji powszechnej“ Polibjusza, do arrianowskiego „Aleksandra“, do „Żywotów“ Plutarcha, to zapominał o całym świecie. Majaczył o Leonidasie, Katonie, Brutusie, którzy „ród ludzki wprawili w zdumienie“.[11] Nigdy też nie rozstawał się z Janem Jakóbem, swoim wiecznym przyjacielem.

Tymczasem nienawiść jego towarzyszy wzmagała się przeciwko niemu coraz bardziej, aż doszło do tego, że postanowili dać korsykańskiemu wilczęciu porządną nauczkę.

Aby zaprowadzić w szkole wojskową karność, utworzył rektor bataljon uczniowski o kilku kompanjach, z których każda otrzymała swego komendanta. Do nich należał także Napoleon, ale rada wojskowa, zwołana przez uczniów, wydała orzeczenie: Bonaparte, jako niekoleżeński i niecieszący się sympatją kolegów, ma być wyłączony z liczby dowódców kompanij. Towarzysze odczytali mu wyrok natychmiast, zerwali mu epolety i zdegradowali go na stopień szeregowca. Poddał się wszystkiemu, ale zniewagę przyjął z takiem dumnem dostojeństwem, że chłopcy zdumieli się najpierw, potem się zamyślili a wreszcie zaczęli żałować swego postępku, jakgdyby nagle zro-

zumieli, z kim tu mają do czynienia. W opinji towarzyszy nastąpił niespodziewanie ostry zwrot na korzyść Napoleona: ta marna „słomka w nosie“ okazała się oto wielkodusznym Spartaninem. Wszyscy prześcigali się teraz, aby mu okazać sympatję, naprawić wyrządzoną krzywdę, pocieszyć go. Natychmiast dał do zrozumienia, że pociechy nie potrzebuje, ale jednak był wzruszony, chociaż tego po sobie nie pokazał. Od owego dnia zbliżył się nieco z towarzyszami, zaczął przestawać z ludźmi i zdobywać ich serca. Ale z nikim nie spoufalał się nadmiernie i, tak jak dawniej, tak i teraz, pilnie baczył, aby zakątek swój zachować dla siebie.

Gdy w wyjątkowo śnieżnym roku 1783 dziedziniec szkolny był zawalony śniegiem, młodzież staczała wesołe walki kulami śnieżnemi. Pod naczelnem dowództwem Napoleona zbudowano według wszystkich prawideł sztuki wojennej wspaniałą twierdzę ze śniegu z czterema bastjonami, i dwa wojska twierdzy broniły, a dwa ją oblegały. Napoleon, niewyczerpany w strategicznych pomysłach, dowodził naprzemian to jedną, to drugą stroną i wszystkich porywał za sobą. Dopiero teraz zrozumieli chłopcy, jakim wesołym i wspaniałym towarzyszem był Napoleon i jak bardzo możnaby go kochać, gdyby pozwolił zbliżyć się do siebie. Ale on ani nie pozwalał, ani nie odstręczał towarzyszy od siebie, jakgdyby mu na nich osobliwie nie zależało. A tego ludzie, nawet dzieci, nigdy wybaczyć nie mogą.

Przy wszystkich buntach przeciwko przełożonym i drobnych rewolucjach szkolnych bywał on zawsze pierwszy. Ogromnie lubił wygłaszać płomienne mowy przed buntującym się tłumem, jak jaki prawdziwy trybun ludu, i w zgodzie z Janem Jakóbem głosił wolność i równość oraz prawa człowieka. Oczywiście, że wszystko kończyło się zazwyczaj na tem, iż uczniowie tchórzyli, poddawali się zwierzchności na łaskę i niełaskę, a przywódcę swego opuszczali. On zaś stawał sam w obronie wszystkich, wędrował do kozy, albo brał chłostę, milcząco, dumnie, bez narzekania i łez; nie zdradził nikogo. Gdy potem powracał do towarzyszy, to nie czynił im żadnych wyrzutów, ale w wyrazie jego twarzy można było wyczytać, że nimi gardził i że uważał ich za tchórzów. „Śród ludzi zawsze jestem samotny“ — miał się niedługo potem wyrazić. „Jacy oni pospolici, podli i marni! Życie staje mi się ciężarem, ponieważ ludzie, z którymi żyję i niezawodnie zawsze żyć będę, podobni są do mnie tak samo, jak światło księżyca do światła słonecznego“.[12]

Pewnego razu, gdy jeden z nauczycieli go strofował, on odpowiedział mu tak roztropnie i grzecznie, ale zarazem z taką samowiedzą, że ów popatrzył nań zdumiony i zapytał:

„Coś ty za jeden, mój panie, żeby mi tak odpowiadać?“

„Człowiek“ — odpowiedział Napoleon.

Jan Jakób mógł być ze swego ucznia zadowolony. W tej odpowiedzi

trzynastoletniego Napoleona jest już początek rewolucji. „Wiekuistemi literami wypisał Stwórca w sercu człowieka prawa człowiecze“ — miał się wyrazić około roku 1789.[13]

Pięć lat spędził Napoleon w szkole w Brienne niby w więzieniu, bez jedynego urlopu, bez widzenia się ze swoimi krewnymi. Raz tylko odwiedził go ojciec z małą córeczką Marjanną, którą właśnie umieszczał w szkole klasztornej w Saint-Cyr, i z trzecim synem Lucjanem, którego przyjęto do wstępnej klasy szkoły w Brienne.

Carlo Bonaparte tylko przenocował w Brienne i nazajutrz wyjechał. Było to ostatnie spotkanie syna z ojcem.

W dwa dni później napisał Napoleon, niezawodnie na prośbę ojca, do wuja — prawdopodobnie późniejszego kardynała Fescha — list godny najżywszej uwagi: w liście tym ukazuje się cały chłopiec jak żywy.

Chodziło tu o brata Józefa, który nosił się wtedy z zamiarem przerzucenia się z karjery duchownej do wojskowej. Napoleon wykazuje szczegółowo, punkt za punktem, że Józef chce popełnić głupstwo, które zaszkodzić może nietylko jemu, ale całej rodzinie.

„Punkt pierwszy. Tatuś słusznie powiada, że brat nie posiada dość odwagi, aby niebezpieczeństwom pola walki stawiać czoło tak, jak trzeba. Z powodu zbyt słabego zdrowia nie będzie on mógł znosić trudów wypraw wojennych; wogóle Józef spogląda na służbę wojskową tylko z garnizonowego punktu widzenia. Owszem, brat byłby świetnym oficerem w czasach pokojowych: wygląda dobrze, ma żywy umysł, jest uprzejmy i rycerski, a dzięki swoim zdolnościom ostoi się w każdem towarzystwie. Ale na polu walki? Tatuś wątpi o tem.

Choćby ci Adonisa piękność dały nieba,
Szczęścia wszelką obfitość i wymowę Feba,
Lecz gdyby ci odwagi szczerej poskąpiły,
Byłbyś tem, czem jest żołnierz bez miecza, mój miły.

„Punkt drugi. Brat jest wychowany dla stanu duchownego. Za późno już, aby się cofać. Monsignore biskup Autun dałby mu niezawodnie bogatą parafję i z pewnością uczyniłby go także biskupem! Coby to było za szczęście dla rodziny! Monsignore czyni wszystko, co może, aby go nakłonić do pozostania w stanie duchownym, i zapewnia go, że tego nigdy żałować nie będzie. Ale brat opiera mu się uparcie. Chwalę go za to, jeśli tylko upór jego wypływa ze zdecydowanego pociągu do powołania wojskowego, stanowczo najwspanialszego pod słońcem, i jeśli Wielki Kierownik losów ludzkich stworzył go do tego powołania tak, jak mnie“.

W punkcie trzecim Napoleon wylicza wszystkie rodzaje służby wojskowej:

marynarkę, inżynierję, artylerję i piechotę, a następnie wykazuje, że Józef nie nadaje się do żadnej z nich. „Oczywiście, brat myśli zaciągnąć się do piechoty. Rozumiem go: przez cały dzień chciałby nic nie robić, tylko bruki szlifować. A wreszcie: czem jest w gruncie rzeczy taki drobny oficerek piechoty? Najczęściej próżniakiem! Tego zaś nie życzy sobie ani ojciec, ani matka, ani ty, kochany wuju, ani też wuj archidjakon, bo brat przy różnych wybrykach dość już wykazał lekkomyślności i rozrzutności. Zostanie więc uczyniony ostatni krok, aby go nakłonić do pozostania w stanie duchownym. Jeśli to nie odniesie skutku, to ojciec zabierze go na Korsykę, aby go mieć stale pod okiem. Spróbowałby w takim razie umieścić go w jakim urzędzie sądowym".[14]

Trudno wprost uwierzyć, że to chłopiec czternastoletni napisał ten list, taki suchy, taki rzeczowy i chłodny. A jednak w liście tym nie brak serdeczności. W każdem słowie drga tajona tkliwość i miłość dla rodziny, dla rodu, dla tych świętych związków krwi, któremi matka ziemia wiąże z sobą swe dzieci.

„Chwalę brata, jeśli Wielki Kierownik stworzył go tak ja mnie na żołnierza". Słowa te są jak błyskawica, rozjaśniająca chmury przed burzą. Któż to jest ten Wielki Kierownik? Deistyczny Bóg Robespierre'a, podobny do bladego trupa, czy też wschodzące słońce — Los Napoleona? Los czy Bóg — chłopiec wierzy, że to On wzniecił w nim powołanie wojenne. Tutaj zawarte jest całe jego przeznaczenie, niby potężny dąb w żołędziu.

„Monsieur de Bonaparte, Napoleon: wzrost 4 stopy 10 cali; krzepka budowa, zdrowie wyborne, charakter uległy, uprzejmy, rzetelny, wdzięczny; postępowanie nienaganne; wyróżnia się stale pilnością w matematyce; posiada doskonałe wiadomości historyczne i geograficzne; bardzo słabo obeznany z literaturą piękną. Byłby wybornym marynarzem; zasługuje na przyjęcie do Szkoły Paryskiej". Świadectwo to wystawił mu generał Keralio, podinspektor królewskich szkół wojskowych Francji w roku 1784.[15]

Marynarzem nie stał się Napoleon — nie było to jego przeznaczeniem. Stanowiska w marynarce zdobywało się rzadko i tylko dzięki wysokiej protekcji. Zarazem służba morska, z jej podwójnem niebezpieczeństwem ognia i wody, byłaby Signorę Letycję napełniała zbyt wielkim niepokojem o syna. Z ciężkim sercem zdecydował się chłopiec na służbę w artylerji, z żalem rozstawał się ze swojem marzeniem o morzu, jakgdyby już wówczas był przeczuwał, że przez całe życie walczyć będzie na lądzie z powodu morza. „O, gdybym był panował nad morzami!" — zawołał na wyspie Św. Heleny.[16]

„Dnia 30 października 1784 wybrałem się do szkoły w Paryżu" — czytamy w lakonicznych notatkach młodego Bonapartego „Epoki mego życia".[17]

Bracia minoryci dyliżansem zawieźli go razem z innymi uczniami szkoły w Brienne do Paryża, gdzie młody Korsykanin „przypominał jednego z tych

prowincjonalnych gapiów, którym złodzieje kieszonkowi wyciągają z kieszeni portmonetki".[18]

Królewska Szkoła Wojskowa dla kadetów pochodzenia szlacheckiego znajdowała się na placu Marsowym w zbudowanym przez Ludwika XV wspaniałym gmachu z korynckiemi kolumnami i złoconemi kratami; był to istny pałac.

„Pożywienie i zaopatrzenie mieliśmy wyborne, jak najbogatsi oficerowie, i daleko zbytkowniejsze niż to, do którego naogół byliśmy przyzwyczajeni w domu i na jakie mało który z nas mógł się w przyszłości zdobyć sam"— powiada Napoleon we wspomnieniach o tamtych czasach.[19]

Życie jego w Paryżu różniło się niewiele od życia w Brienne: ta sama karność wojskowa i ten sam formalizm zewnętrznej pobożności; uczyli go równie licho, jak poprzednio, i jak dawniej pochłaniał z nienasyconym głodem książkę po książce. Niezmieniła się jego nienawiść dla Francuzów i dręczyła go tęsknota za stronami ojczystemi.

Tylko jedno było nowe: spotęgowane uczucie nierówności. Młodociani potomkowie starych rodów, książęta Rohan-Guémené, diuki Laval-Montmorency spoglądali na zubożałego korsykańskiego szlachetkę z wyniosłą zarozumiałością. Ale on obrażać się nie dał: jeśli bywał zaczepiany, to odpowiadał pięściami. „Niemało rozdałem wtedy krzepkich szturchańców!" — opowiada z widocznem zadowoleniem w wiele lat później.

I tutaj dążył do tego, aby posiadać własny zakątek. Gdy towarzysz jego, mieszkający z nim w jednym pokoju, musiał się kiedyś z powodu choroby przenieść do lazaretu, Napoleon zgłosił się także jako chory i otrzymał zezwolenie na pozostawanie w pokoju. Zaopatrzył się w żywność, zamknął drzwi na klucz, przymknął okiennice, zasłonił okna i w ten sposób spędził trzy dni w zupełnem odosobnieniu, używając ciszy i milczenia, marząc i czytając przy świetle lampy nawet w dzień. Ta ciemna izba paryska, podobnie jak zbita z desek cela w Ajaccio i pustelnia w Brienne, była metafizyczną klauzurą, jaskinią, wyspą — świętym murem, chroniącym jego jaźń. „Po jednej stronie zawsze jest on sam, po drugiej stronie jest cały świat" — wyraził się później o wielkim człowieku — o samym sobie.[20]

Jeden z jego towarzyszy narysował jego karykaturę. Jest to tylko lichy rysunek dziecięcy, ale bardzo interesujący: Napoleon jest na nim przedstawiony jako olbrzym o wykrzywionej twarzy w długopołym mundurze kadeckim i trójgraniastym kapelusiku, z pod którego wystaje warkoczyk ze wstążką; karłowaty nauczyciel schwycił go za warkocz i stara się go powstrzymać, ale olbrzym z pałką w garści pędzi naprzód krokami mocnemi i zdecydowanemi, pod któremi ziemia uginać się zdaje. A pod obrazkiem jest podpis: „Bonaparte biegnie, leci, na pomoc Paolemu, aby go uratować z rąk jego nieprzyjaciół".[21]

Został nam przekazany portret Napoleona w wieku młodzieńczym.[22] W przeciwieństwie do twierdzenia Keralio, twarz wywiera wrażenie człowieka chorowitego: oczy są na niej wpadnięte, głęboko osadzone i niezwykle duże, o spojrzeniu znieruchomiałem, jak u lunatyka; jest to twarz człowieka pożeranego ogniem wewnętrznym. Długie, gładkie włosy spadają szorstkiemi kosmykami aż na ramiona; nos jest duży, orli; na wąskich, zaciśniętych ustach niema uśmiechu; gdyby się te usta uśmiechały, to byłby to czarujący uśmiech Signory Letycji, uśmiech Mony Lizy albo Sybilli etruskiej. Ale rysem najbardziej znamiennym tej twarzy jest wyrazista siła woli. „Zawsze robię to, co mówię, albo umieram — J'exécute toujours ce que je dis, ou je meurs".[23]

Dnia 24 lutego 1785 roku Carlo Bonaparte zmarł w Montpellier na raka w żołądku.

„Pociesz się, droga matko, okoliczności tego wymagają" — pisze Napoleon do Letycji. „Podwoimy wdzięczność dla ciebie i troskę o ciebie i będziemy szczęśliwi, jeśli posłuszeństwo nasze choć w drobnej mierze zdoła ci wynagrodzić niepowetowaną stratę ukochanego małżonka".

Pisze także do wuja Lucjana, archidjakona i opiekuna: „Straciliśmy ojca; jeden Bóg wie, czem on dla nas był... Ach, wszystko w nim zapowiadało nam podporę naszej młodości. Ale Istota Najwyższa chciała inaczej. Jej wola jest nieodmienna".[24]

I tutaj ten sam chłód, jak w owym liście, który dotyczył brata Józefa. Pod lodową skorupą kipiące źródło-miłość dla swoich. „Żyję tylko dla swoich" — powiada on w jednej z najbardziej gorzkich chwil swego życia.[25] Gdy do matki pisze: „Podwoimy troskę o ciebie" — to nie są to bynajmniej puste słowa. Przy pierwszej wieści o śmierci ojca czuje się głową rodziny. Odważnie bierze na swoje dziecięce barki niewspółmiernie ciężkie brzemię, pamiętając o nauce świętej matki ziemi, która nam każe dźwigać brzemiona. „Trzymałem świat na barkach swoich" — mógł był później powiedzieć o sobie.[26] Już wtedy zaczynał brać na siebie brzemię świata, chociaż był dopiero piętnastoletnim chłopcem.

Dnia 28 października 1785 roku Napoleon opuścił wojskową Szkołę Paryską i jako porucznik artylerji wstąpił do pułku La Fère.

Porucznik artylerji. 1785—1792.

Pułk ten stał jako załoga w lichej mieścinie Valence, w Delfinacie, niedaleko Sabaudji.

Dla Napoleona nastały czasy ciężkie, cięższe od szkolnych. Wszystko trzeba było zaczynać od początku: kadeci szlacheckiego pochodzenia opu-

szczali szkołę wojskową bez jakichkolwiek wiadomości praktycznych. Nietylko armaty, ale nawet karabinu nie byliby umieli nabić porządnie.

Zawodowe wykształcenie na oficera artylerji musiało się, zgodnie z regulaminem wojskowym, rozpoczynać od prostego szeregowca i przechodzić poszczególne stopnie: kanoniera, podoficera, kaprala, sierżanta, a trwało to tak długo, jak, zależnie od zdolności i pilności ucznia, dowódca pułku uważał za potrzebne.

Bonaparte odbył cały ten termin wojskowy w trzy miesiące. Całemi dniami ćwiczył się na placu strzeleckim w Valence w chwytach, w ustawianiu baterji, w fajerwerkierstwie, w strzelaniu z haubic, moździerzy i falkonetów. W klasach teoretycznych słuchał wykładów z dziedziny wyższej matematyki, trygonometrji, rachunku całkowitego i różniczkowego, fizyki stosowanej, chemji, fortyfikacji i taktyki. Odrywając się na chwilę od tych zajęć, zjadał w pośpiechu byle co w marnej gospodzie „Trzech Gołębi", albo poprostu zjadał dwie bułki w piekarni, zapijał je szklanką wody, rzucał dwa su na ladę sklepową i wracał do swoich studjów. Tak pracował po szesnaście godzin na dobę.

Mieszkał u mademoiselle Boué, starej panny i właścicielki kawiarni, i zajmował izdebkę na parterze obok sali bilardowej, skąd bezustannie dochodził stukot kul bilardowych i nawoływania markierów.

„Czy wiecie, jak wtedy żyłem?" — pytał, wspominając owe czasy. — „Nie pokazywałem się ani w kawiarniach, ani w towarzystwie; jadałem suchy chleb i przez oszczędność sam czyściłem sobie ubranie. Ponieważ biedą swoją nie chciałem się wyróżniać śród towarzyszy, żyłem jak niedźwiedź, zawsze sam w swej małej izdebce, z książkami, jako jedynymi przyjaciółmi. A z jakim trudem dorywałem się nawet do książek! Ileż to najpowszedniejszych rzeczy trzeba było sobie naodmawiać, aby zdobyć tych przyjaciół! Gdy kosztem trwałych wyrzeczeń uciułałem wreszcie dziesięć franków, to biegłem do księgarni. Często-gęsto przy przeglądaniu książek na półkach popełniałem grzech zawiści i długo bywałem dręczony pragnieniami, zanim kieszeń moja pozwalała mi na kupno książek. Takie oto były grzeszne rozkosze moich młodych lat".[1]

„Prócz pracy nie mam tu żadnej rozrywki" — pisze do swej matki. — „Nowy uniform wdziewam tylko raz na tydzień. Sypiam nieprawdopodobnie mało; o dziesiątej układam się do snu, a wstaję o czwartej; jadam tylko raz na dzień i wychodzi mi to na zdrowie".[2]

„Wiem, co to bieda" — z dumą mawiał cesarz później. — „Gdy miałem zaszczyt być porucznikiem, jadałem suchy chleb i zamykałem się w swej izdebce, aby nikt biedy mojej nie widział".[3]

Był ubogi, nieśmiały i nietowarzyski. „Czuje się upośledzony i obrażony...

Przełożeni i towarzysze go nie lubią... Mówią, że ma charakter, który czyni go w towarzystwie niemożliwym".[4] Żył jak jaki mnich albo Spartanin. O kobiecej miłości nawet słyszeć nie chciał. „Uważam, że miłość szkodzi społeczeństwu i osobistemu szczęściu człowieka. Gdyby bogowie uwolnili świat od miłości, to byłoby to dobrodziejstwem". — „Cóż mógłby pan uczynić dla obrony ojczyzny?" — rzekł do pewnego zakochanego młodzieńca w rozmowie o miłości. — „Do czego jest pan zdatny? Państwo, obywatele, społeczeństwo — co to wszystko pana obchodzi?... Spojrzenie, uścisk dłoni, pocałunek — czemże wobec tych spraw są dla pana cierpienia ojczyzny?"[5]

Ale jego siedemnaście lat domagało się swoich praw. W domu pani du Colombier, damy należącej do przedniejszego towarzystwa Valence, poznał on Karolinę, jej szesnastoletnią córkę, i zakochał się w niej uczuciem zgoła naiwnem. „Niepodobna wyobrazić sobie nic niewinniejszego nad nas dwoje w owych czasach. Umawialiśmy się na tajemne schadzki; jedna z nich, w lecie przed świtem, pozostała mi w pamięci. Trudno w to uwierzyć, ale całe nasze szczęście osiągało szczyt w tem, że razem jedliśmy wiśnie".[6]

Ta dziecinna miłość rozpływa się jak cień letniego obłoczka, i Napoleon znów jest sam. Ale teraz już się nie potrzebuje zaszywać w zakątku, bo i tak jest na świecie samotny, jakby się znajdował na bezludnej wyspie. „Śród ludzi zawsze jestem sam" — pisze nocą w swoim dzienniku. — „Przychodzę do domu, aby marzyć w samotności i oddawać się melancholji. O czem będę marzył dzisiaj? O śmierci. W zaraniu życia winienem chyba mieć nadzieję długiego życia... i szczęścia. Co za szaleństwo popycha mnie do tego, abym pragnął końca?... Oczywiście, co po mnie na świecie?... Jak daleko odbiegli ludzie od przyrody! Jacy są pospolici, podli i godni pogardy! Co też zobaczę, gdy powrócę w strony ojczyste? Drżących ludzi, spętanych łańcuchami i całujących ręce gnębicieli... Gdy patrjota nie ma ojczyzny, to winien umrzeć..."[7]

Lecz to jest jedynie przemijająca słabość, fala sentymentalizmu, może pierwsze boleści wiosny romantyzmu. Pięć razy odczytuje „Cierpienia młodego Wertera", a książka ta pozostawia w jego duszy niezatarty ślad. Narazie wszakże młody Spartanin pokonywa młodego Wertera. Pierwszy słodki dreszcz wiosenny odwiewa czerstwy wiatr nadciągającej burzy rewolucji. Uczeń Paolego i Plutarcha wie, co czynić należy, gdy ojczyzna umiera.

„Prawa boskie zabraniają narodom powstawać przeciwko swoim władcom!... Niema takich praw, których naród nie mógłby obalić... Według „Umowy społecznej" Korsykanie mieli zupełne prawo strząsnąć z siebie jarzmo Genueńczyków; teraz tem samem prawem mogą strząsnąć jarzmo francuskie. Amen!"[8] Umowa społeczna, „Contrat social", to dla niego jakby wezwanie: „Sezamie, otwórz się!" — czarodziejska formuła zaklęcia, łamiącego bramy piekieł. W blaskach słońca przełożeni jego uczą go sztuki wojennej,

a w ubogiej izdebce Jean-Jacques uczy go rewolucji. Obie nauki przydadzą mu się bardzo.

Na jesieni roku 1786 otrzymuje pierwszy urlop na wyjazd do domu i urlop ten, wbrew wszelkim przepisom regulaminu wojskowego, wyrozumiałość jego przełożonego rozciąga na dwa niemal lata. Po śmierci ojca Napoleon uważał się za głowę rodziny i wysilał się na wszelki sposób, aby zawikłane sprawy Signory Letycji doprowadzić do porządku.

Z Korsyki nie powrócił już do Valence, lecz udał się do równie małej mieściny Auxonne, na południu Fracji, dokąd pułk La Fère został przeniesiony.

Czy też Bonaparte zrozumiał, jak wielki dzień nadszedł dla niego, gdy dnia 16 sierpnia 1789 roku w Auxonne wybuchł bunt wojskowy? Żołnierze opuścili koszary i przy dźwiękach pieśni rewolucyjnych otoczyli dom dowódcy pułku, domagając się wydania im kasy pułkowej; upiwszy się, przymuszali oficerów do całowania się z nimi, do picia na cześć wolności i tańczenia farandoli.

Bonaparte spoglądał na bunt z tem samem obrzydzeniem, jakie w ciągu całego życia budził w nim zawsze rewolucyjny motłoch. „Gdybym był otrzymał rozkaz strzelania do nich z armat, to nałóg, przesąd, wychowanie, szacunek dla imienia królewskiego byłyby mnie zmusiły do posłuchu bez zawahania".[9]

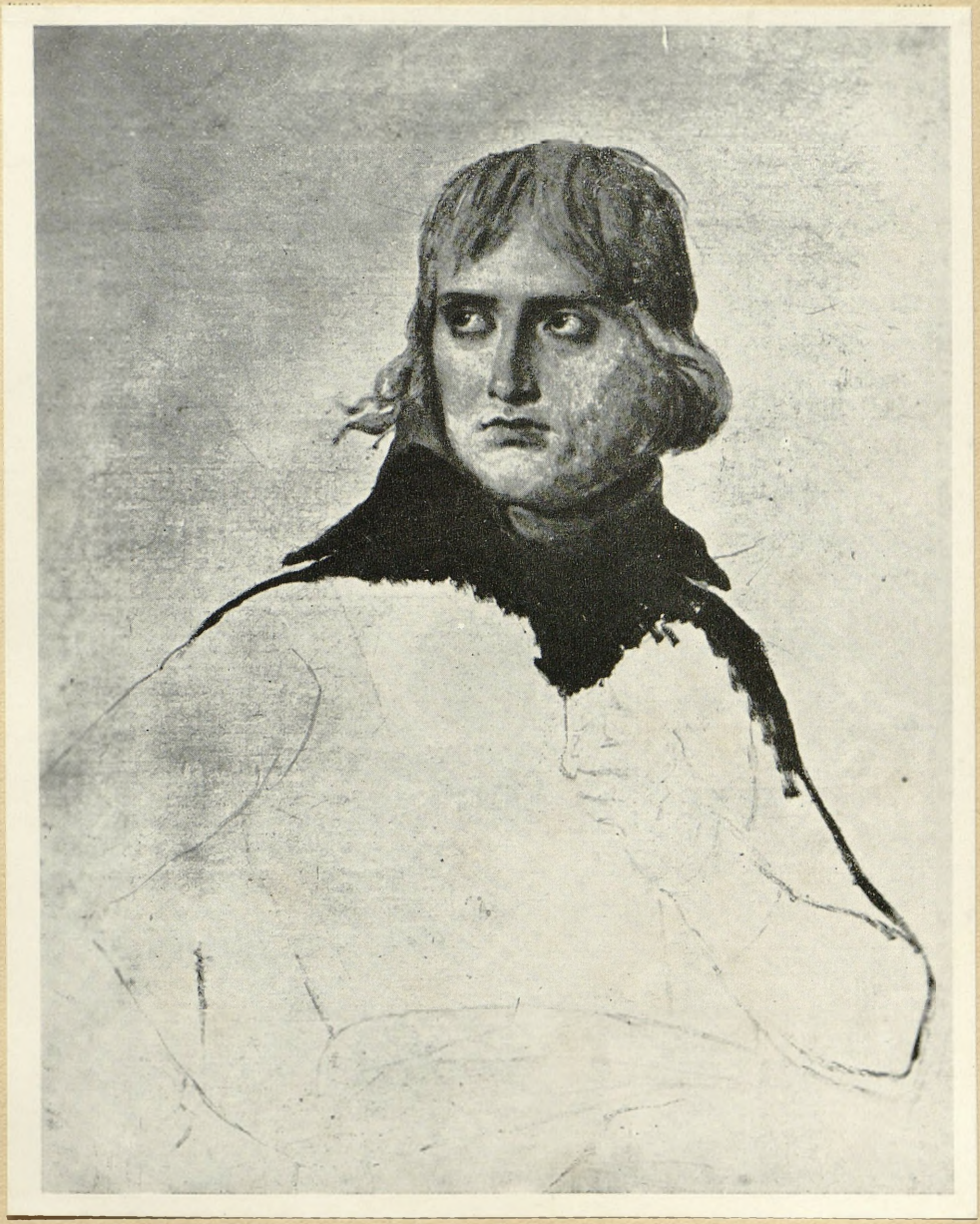
Lecz to jest tylko jedno z jego uczuć dla rewolucji, a oto uczucie drugie: „Rewolucja podobała mi się, a równość, która musiała mnie wynieść, pociągała mnie".[10] Niedługo miał się przekonać, co rewolucja zdołała zrobić także dla jego ojczyzny.

„Wszystko zmieniło się od jednego zamachu" — pisze z Korsyki. — „Iskra elektryczna strzeliła z łona narodu, nad którym tak długo panowali tyrani. Gdy naród ten stał się wolnym, chce on, abyśmy się stali wolnymi i my".[11]

„Niech żyje Francja! Niech żyje król!" — wołały tłumy ludu na ulicach Ajaccio przy odgłosie dzwonów i trzasku fajerwerków, gdy nadszedł dekret Zgromadzenia Narodowego, zwiastujący, że lud francuski przyjmuje Korsykę do bratniego związku, jako terytorjum niezależne i równouprawnione.

„Francja, naród wielkoduszny, kolebka wolności!" — wołał stary Babbo Paoli ze łzami radości. — „Niegdyś przeklinaliśmy Francuzów, jako naszych gnębicieli, lecz teraz błogosławimy ich, jako naszych braci i oswobodzicieli. Od tego błogosławionego rządu — questo ora fortunatissimo governo — nie odwrócimy się nigdy".[12]

„Szczęśliwa rewolucja"! — powtarzali ze wzruszeniem i mądrzy, i głupi. Dziecięca twarzyczka nowonarodzonego potwora zdawała się być anielsko piękna. Jedyny Napoleon nie okłamywał samego siebie. „Nie wierzę w nic



BONAPARTE.
(według szkicu J. Davida.)

z tego wszystkiego — je ne crois rien de tout ceci" — pisze na marginesie dijońskiego traktatu Jana Jakóba „O przyczynach nierówności społecznej". Lecz serce szepcze swoje, a usta mówią co innego. „Człowiecze! Człowiecze! Jaki nędzny jesteś w niewoli, jaki wielki na wolności!... Zrodzony dla nowego życia, zaprawdę jesteś królem natury!" — entuzjazmuje się, upojony winem rewolucji, albo może tylko upojonego udając.

Tymczasem, tak jak dawniej, „król natury" żyje w swej ubogiej izdebce koszarowej w Auxonne, jakgdyby nigdy żadnej rewolucji nie było. Izdebka ta ma tylko jedno okno i jest lichutko umeblowana: wąskie łóżko bez firanek, stół zawalony książkami i papierami, na podłodze kufer podróżny, również pełny książek, stary fotel z wygiętem siedzeniem i sześć krzeseł wyplatanych słomą. Tuż obok, w izdebce jeszcze uboższej, z siennikiem na podłodze zamiast łóżka, mieszka jego dwunastoletni brat Ludwik, którego wychowaniem zajął się Napoleon, aby ulżyć matce Letycji. Starszy brat kocha młodszego z iście ojcowską tkliwością i każdy grosz wydaje na niego, obaj zaś utrzymują się za trzy franki i pięć centymów dziennie. Napoleon sam gotuje polewkę, ale często-gęsto muszą zadowolić się mlekiem i kawałkiem chleba. Wykłada bratu historję, geografję, język francuski i katechizm; codzień prowadzi go do kościoła na mszę i przygotowuje go do bierzmowania, chociaż sam już w nic nie wierzy. „Teologja to kloaka wszystkich zabobonów i wszystkich błędów".[13]

Z postępów brata jest dumny. „On będzie najlepszy w naszej rodzinie, bo żaden z nas nie otrzymał takiego wspaniałego wychowania... Zachwycający chłopiec, a co najważniejsza, ma serce" — pisze do brata Józefa.[14]

Całymi tygodniami leży chory na okresową zimnicę, której nabawił się śród auxońskich moczarów, jak dawniej zaczytuje się do zapamiętania i marzy. Ta sama gigantyczna chimera, która nawiedzała go w dzieciństwie, pożera go i teraz, napełniając jego serce słodyczą i męką. Kto wie, czy nie o sobie już myśli, gdy w notatkach historycznych pisze: „Faraon Sezostrys w roku 1491 przed Chrystusem podbił całą Azję i dotarł do Indyj, lądem i morzem".[15] Albo naprzykład obok logarytmów, obliczających krzywą lotu kuli armatniej, robi uwagę: „Drogocenne kamienie, jakie błyszczały na ubiorze wojennym jednego z królów perskich, kosztowały 26 miljonów franków".[16] Przy słabym blasku łojówki bajecznie migocą te kamienie drogocenne. Szeherezada z logarytmami.

Albo czy nie myśli też o sobie, gdy pisze o Kromwelu: „Mężny, zręczny, przebiegły, obłudny, pożerany ogniem nienasyconej ambicji, zdradza swoje pierwotne uczucia republikańskie i, zakosztowawszy słodyczy władzy, pragnie władać sam"?[17]

A już z pewnością siebie ma na myśli, gdy mówi o człowieku wielkim:

„Nieszczęsny! Żal mi go! Będzie budził podziw i zawiść jemu podobnych i będzie najbiedniejszym śród nich... Genjusze to meteory, które muszą się spalać, aby oświecać swoje stulecie".[18]

I być może, że jest to rodzaj „magnetycznego jasnowidzenia", gdy, wyliczając posiadłości angielskie, notuje takie słowa:

„Sainte Helène, petite île...
Święta Helena, mała wysepka..."[19]

A dalej pusta, milcząca stronica — Przeznaczenie.

W tym samym czasie na Korsyce dzieje się to, co w całej Francji: stary porządek się wali, nowego jeszcze niema, i władzę zagarnia anarchja. „Szczęśliwa rewolucja" już się skończyła; anielska twarzyczka noworodka staje się szatańskim pyskiem Teroru. Cały kraj stoi w płomieniach i tonie we krwi.

Napoleon ma znowuż urlop i bawi na Korsyce. Na łeb na szyję rzuca się do roboty w rewolucyjnych klubach, komitetach, sprzysiężeniach i studjuje wojnę i rewolucję już nie na podstawie podręczników, ale bezpośrednio w życiu.

W wielkim tygodniu 1792 roku, zamianowany przez ochotników gwardji narodowej pułkownikiem bataljonu w Ajaccio, rozdmuchuje iskrę w pożar. Burda uliczna, wywołana z powodu zgoła błahego — kilku wywróconych kręgli — doprowadziła do wojny domowej. Ochotnicy zamykają się w swoich koszarach i do przechodniów strzelają z okien, rzekomo na rozkaz obu dowódców, Quenzy i Napoleona, zabijają kobiety i dzieci, robią wypady, rabują domy, opanowują całą jedną dzielnicę, podburzają chłopów i pasterzy całej okolicy, aż ci oblegają miasto i przecinają dowóz żywności dla mieszkańców. Bonaparte dąży do opanowania cytadeli w Ajaccio. Celu tego nie osiąga, ale na przeciąg trzech dni czyni z miasta widownię okropności, podobnych do najazdu wroga; zapanowuje w niem głód, rabunek, morderstwo, teror. Obywatele zapamiętali to sobie i nigdy nie przebaczyli mu krwawej Wielkanocy 1792 roku. „Wszystkiemu winien Napoleon Bonaparte" — rzekł deputowany Pozzo di Borgo. — „Jest przeciwko niemu tyle oskarżeń, że możnaby go skazać trzydzieści razy; sponiewierane prawo i ludzkość muszą się na nim zemścić; krwiożerczego tygrysa trzeba poskromić".[20] — „Czy widzicie tego małego człowieka?" — pyta Paoli. — „W nim tkwią dwaj Marjusze i jeden Sulla!" To znaczy dwaj zbójcy i jeden uzurpator.

Gdy przybycie dwóch komisarzy departamentu przywraca spokój, Bonaparte przedstawia im pismo, w którem usprawiedliwia swoje postępowanie i dowodzi, że był zmuszony bronić wolności przed kontrrewolucją.

„Okropne położenie, w jakiem się wtedy znajdowaliśmy, domagało się siły ducha i odwagi; potrzebny był człowiek, który, spełniając swoją powinność i wezwany do przysięgi, że nie wykroczył przeciwko prawu, mógłby odpowie-

dzieć jak Cyceron i Mirabeau: „Przysięgam, że uratowałem republikę!“ Oczywiście, że człowiekiem tym jest sam Napoleon, ale „dusze ludzi tutejszych są zbyt ciasne, aby mogły się wznieść na wyżyny wielkich czynów“ — kończy swoje usprawiedliwienie.[21]

O jakie wielkie czyny tu chodziło? Być może, iż sam jeszcze nie zdaje sobie jasno sprawy z tego, lecz żywi nieokreśloną nadzieję, że uda mu się opanować cytadelę Ajaccio, zawładnąć całą Korsyką, przywrócić porządek, a tem samem rozpocząć najważniejsze zadanie swego życia — ujarzmienie chaosu rewolucyjnego. Już w kołysce ręce dziecięcia - Zeusa zacisnęły się dokoła śliskiej szyi Pythona, ale nie zadusiły gadu: wymknął się z rąk dziecinnych.

„Zdaje się, że byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś jak najprędzej powrócił do Francji“ — pisał do niego jego brat Józef[22], a Napoleon stosuje się do tej rady. Na początku maja był zpowrotem w Paryżu.

Tymczasem w ministerjum wojny został zadenuncjowany z powodu wielkanocnych dni w Ajaccio. Groził mu sąd wojenny, ale sprawa została przekazana ministerjum sprawiedliwości, gdzie popadła w zapomnienie. Z powodu przekroczenia terminu urlopu został skreślony z list pułku i musiał wszczynać kroki, aby go ponownie przyjęto do służby wojskowej. Dzięki poparciu rodaków, deputowanych korsykańskich, starania jego odniosły skutek: nietylko że przyjęto go ponownie do pułku, ale mianowano go kapitanem artylerji; prócz tego otrzymał całkowitą pensję za miesiące spędzone poza służbą.

Ale wszystkie te powodzenia nie mogą go pocieszyć po jego smutnych doświadczeniach, poczynionych w Ajaccio. Na rewolucję spogląda z uczuciem rozczarowania. „Tutaj na czele ruchu stoją ludzie marni“ — pisze do swego brata Józefa. „Pamiętasz chyba jeszcze, co się stało w Ajaccio. Ściśle to samo dzieje się teraz w Paryżu, a nawet być może, że ludzie są tu jeszcze złośliwsi, marniejsi, że są jeszcze większymi oszczercami i tłumicielami zapału. Każdy szuka tylko własnych korzyści i osiąga je przy pomocy różnych podłości... Wszystko to zabija ambicję... Żyć spokojnie, cieszyć się życiem własnem i szczęściem życia rodzinnego, to bodaj najlepsze, co można zrobić, gdy się ma od czterech do pięciu tysięcy franków rocznego dochodu...“ „Doprawdy, że ludzie niegodni są tego, aby tak usilnie zabiegać o ich miłość“.[23]

Dnia 20 czerwca 1792 roku z nadbrzeżnego tarasu Tuilerjów słyszy złowieszcze dźwięki dzwonu alarmowego i widzi siedem czy osiem tysięcy ludzi z siekierami, lancami, szablami, karabinami, rożnami, kijami o ostrych końcach, ciągnących ku zamkowi i gotujących się do szturmowania go. Sądząc z postawy i mowy, jest to „najpodlejsza, cuchnąca zbieranina“.[24] A gdy tłum wtargnął do zamku, Napoleon widzi w jednym z otworów okiennych króla Ludwika XVI w czerwonej czapce na głowie, otoczonego hołotą.

„Che coglione!“ — szepcze Bonaparte, blednąc. — „Jak można było wpuścić ich! Trzystu lub czterystu z nich należało było skartaczować, a reszta byłaby uciekła“.[25]

Dziesiątego sierpnia, przechodząc przez Place du Carrousel, spotyka on tłum ludzi o „niedobrym wyglądzie“; ludzie ci noszą z sobą ściętą głowę, wbitą na lancę. Sądząc z ubioru, uważają go za „pana“, podchodzą do niego i żądają, aby wołał: „Niech żyje lud!“ — „Zamek był oblegany przez najpodlejszy motłoch — la plus vile canaille“. Gdy został zdobyty, a króla uprowadzono do Zgromadzenia, Bonaparte rzucił okiem do ogrodu tuileryjskiego, usianego zwłokami Szwajcarów, należących do gwardji królewskiej. „Czy to z powodu ciasnoty miejsca, czy też dlatego, że coś podobnego widziałem po raz pierwszy, nigdy w życiu widok pobojowiska nie wywarł na mnie wrażenia tak wstrząsającego, jak ta masa leżących tu zwłok. Widziałem, jak kobiety dostatnio ubrane bezcześciły te zwłoki“. Obchodzi pokolei wszystkie kawiarnie, sąsiadujące ze Zgromadzeniem. „Wściekłość wrzała we wszystkich sercach, była wypisana na wszystkich twarzach“.[26] Jego zbyt spokojna twarz wzbudzała podejrzenie; wszyscy patrzą na niego zpodełba.

„Bieg wydarzeń jest coraz szybszy“ — pisze do swego wuja, mieszkającego na Korsyce. „Kuzyni twoi będą umieli utorować sobie drogę“.[27] To znaczy: „Rewolucja jest mi bardzo na rękę; równość, która musiała mnie wynieść, oczarowała mnie“. — „Człowiecze, byłeś niewolnikiem i zdołałeś żyć?... Przebudź się więc teraz; teraz albo nigdy! Kur już zapiał, hasło rzucone; łańcuch swój przekuj na sztylet pomsty“ — bredzi on, trzeźwy, razem z szalejącymi. „W nic z tego wszystkiego nie wierzę“ — mógłby był dodać do tego, jak na marginesie dijońskiego traktatu Jana Jakóba.

Nie wierzy w rewolucję, nienawidzi jej, ale pomimo to, niby nowy Romulus, łapczywie szuka ustami cycków Wilczycy; wściekłe wilczę ukąsi ją do krwi, ale mlekiem Wilczycy się nasyci.

Swej sprawy korsykańskiej nie uważa jeszcze za przegraną. Jesienią roku 1792 powraca na Korsykę, gdzie dwie partje toczą z sobą walkę: jedna jest za oderwaniem się od Francji, druga za połączeniem się z nią. Do pierwszej należy Paoli, narazie w sekrecie, ukrywający się za maską; po stronie drugiej stoi Napoleon z braćmi swoimi, Lucjanem i Józefem.

Po straceniu króla w dniu 21 stycznia 1793 roku rzekł Napoleon do komisarza Konwentu na Korsyce: „Nad położeniem naszem zastanawiałem się gruntownie. Gotowiśmy narobić tu głupstw. Oczywiście, że Konwent dopuścił się wielkiej zbrodni, nad czem ubolewam bardziej niż ktokolwiek; ale Korsyka winna połączyć się z Francją, choćby się miało stać nie wiem co“. Znaczyło to: „Połączyć się z rewolucją“.[28]

Tak więc Bonaparte i Paoli spotkali się z sobą na wąskiej kładce i nie mogli się wyminąć: jeden z nich musiał paść.

Osiemnastoletni chłopiec, Lucjan Bonaparte, igra z ogniem i zapala beczkę prochu. Bez wiedzy braci, za pośrednictwem republikańskiego klubu w Tulonie, wysyła do Konwentu oskarżenie Paolego; oskarża go o przeciwrewolucję, o tajne związki z Anglją, o dążności oderwania się od Francji i stania się dyktatorem Korsyki. „Na gilotynę!" — ryczy Marat, a Konwent postanawia aresztować Paolego.

Mały swawolnik triumfuje. „Wrogom naszym wymierzyłem śmiertelny cios. Tego się zapewne nie spodziewaliście?" — pisze do swoich braci.[29] List ten zostaje przejęty i pokazany Paolemu. „Ach, łobuziak! Briconcello!" — woła wzgardliwie.[30] Nie wątpi on, że wszystko jest sprawką Napoleona.

Lecz ten był wydarzeniem zaskoczony; tak rychłego rozwiązania sprawy nie oczekiwał i nie miał czasu przygotować się do niego. Dla Klubu Patrjotów w Ajaccio ułożył adres do Konwentu i adresem tym bronił Paolego przed „oszczerstwami". Być może, iż chciał go udobruchać. Gdy Paoli dowiedział się o tem, zawołał tak samo wzgardliwie, jak wtedy, gdy wyrażał się o Lucjanie, łobuziaku: „Mało mi zależy na jego przyjaźni! Poco mi preme di sua amicizia!"[31] Tymczasem młody lew pokazał już swoje szpony, gdy Paolemu zdawało się ciągle, że igra z pieskiem pokojowym.

Teraz i Napoleon przestał oszczędzać swoje dawne bożyszcze: oskarżał go w Paryżu, powtarzając oskarżenia Lucjana i dodając od siebie: „Cóż to za fatalna ambicja zamroczyła rozsądek tego sześćdziesięcioletniego starca! Na twarzy jego odbija się dobroć, a w duszy drzemie złość; w oczach łaskawość, a w sercu żółć!"[32]

Ale ująć Paolego na Korsyce niełatwą było rzeczą: cała wyspa powstała jak jeden mąż, aby chronić swego starego Babbo.

Maski zostały odrzucone. Paoli mianował się generalissimusem, dyktatorem Korsyki, i zwołał wielkie zgromadzenie ludowe, Consultę, do Corte. Tutaj bracia Bonaparte napiętnowani zostali jako „zdrajcy i wrogowie ojczyzny" i przekazani „wiekuistemu przekleństwu i wiecznej hańbie".

Napoleon zrozumiał, że na Korsyce nic już nie ma do czynienia i z Ajaccio zbiegł do Bestia do komisarzy Konwentu. Matce kazał powiedzieć: „Bądź gotowa do podróży; kraj ten nie dla nas. Preparatevi; questo paese non è per noi!"[33]

Signora Letycja razem z młodszemi dziećmi uciekła w góry, tak samo jak dwadzieścia cztery lata temu, gdy Napoleona nosiła pod sercem. Zbiegowie opuścili Ajaccio w nocy i nad ranem dotarli do pierwszych szczytów, z których miasto jeszcze było widzialne. Jedno z nich obejrzało się, spostrzegło

słup dymu i rzekło do signory Letycji: „Tam pali się twój dom!“ — „Niech się pali, zbudujemy sobie lepszy!“ — miała odpowiedzieć „matka Grakchów“. I rzeczywiście, zbudowano sobie lepszy.[34]

Dnia 11 czerwca 1793 Napoleon ze swoimi wstąpił na pokład francuskiego okrętu wojennego i w dwa dni później znalazł się w Tulonie.

Odtąd był on człowiekiem bez ojczyzny: Korsyka przestała mu być ojczyzną, Francja nie zdołała stać się nią nigdy. Ojczyzna zrodziła go dla świata.

Matka Letycja osiadła razem z dziećmi zrazu w La Valette, na przedmieściu Tulonu, później w Marsylji, gdzie mieszkała w wielkiej nędzy. Siostry Napoleona, późniejsza diuszesa Toskany i królowa Neapolu, miały zajmować się praniem bielizny przy boku praczek marsylijskich.

Napoleon udał się do Nizzy, do swego pułku, służył narazie przy baterjach wybrzeżnych i został wreszcie wysłany do Awinjonu z transportem amunicji. W drodze dostał się w wir rozpraw zbrojnych, jakie rozgrywały się między wojskami Konwentu a powstańcami marsylijskimi, którzy oblegli Awinjon. Bonaparte dopomógł generałowi Carteaux wydrzeć miasto z rąk powstańców i przez Marsylję chciał się udać do swego pułku, ale dotrzeć do tego celu nie było mu napisane: w Marsylji czekało na niego Przeznaczenie — błysnęła jego gwiazda zaranna.

Po drodze do Marsylji napisał broszurę polityczną, której pierwsze wydanie wydał nakładem własnym, drugie zaś wydrukowane zostało na koszt państwa. Utwór ten, „Souper de Beaucaire“, jest dialogiem między kilku osobami, czterema cywilami i jednym wojskowym (samym-że Napoleonem), którzy przypadkowo spotkali się w gospodzie przy wieczerzy. Napoleon wykazuje, że mieszkańcy Marsylji, którzy zbuntowali się przeciw Konwentowi i rzucili się Anglji w objęcia, stali się zdrajcami republiki; zaklina ich, aby zawrócili z tej drogi; zapewnia ich, że montanjarowie bynajmniej nie są „krwiożerczymi potworami“, ale „nienagannymi i niezachwianymi przyjaciółmi ludu“, i że Marsylijczycy postąpili jak zbłąkane dzieci.[35]

„W nic z tego wszystkiego nie wierzę“ — byłby mógł dodać i tutaj, ale trzeba było z wilkami wyć, albo, jak się w owych czasach wyrażał: „Raczej pożerać, niż zostać pożartym“.[36]

Wilczyca wyje, ale karmi swoje młode, a jemu rosną zęby, któremi może ją samą, karmicielkę swoją, rozszarpie.

Dnia 26 września 1793 korsykański deputowany Konwentu, Saliceti, przyjaciel Bonapartego, pisze z Tulonu do Komitetu Ocalenia Publicznego w Paryżu: „Major Dommartin został zraniony i artylerja nasza nie ma teraz dowódcy. Ale przypadek przyszedł nam z pomocą: zatrzymaliśmy obywatela Bonaparte, bardzo dzielnego kapitana, który z Italji powracał do armji, i rozkazaliśmy mu, aby zajął miejsce Dommartina“.[37]

„Tak więc Napoleon znalazł się nagle przed murami oblężonego Tulonu. Tam zawładnęła nim historja, aby go z rąk swych już nie wypuścić“ — powiada Las Cases w Memorjale. „Tam zaczyna się jego nieśmiertelność“.[38]

Tulon 1793—1794.

„Wojna to sztuka osobliwa: wydałem sześćdziesiąt wielkich bitew i nie nauczyłem się niczego, czego byłbym już przedtem nie wiedział“ — rzekł Napoleon na wyspie Św. Heleny.[1]

Ta cudowna, wrodzona wiedza, wyprzedzająca wszelkie doświadczenie, ta „wiedza wspominająca“, anamnesis Platona, ujawniła się w nim już podczas pierwszego jego czynu wojennego przy oblężeniu Tulonu. „Kto go tego nauczył? Skąd on to wszystko wie?“ — rzucali sobie pytania doświadczeni wojownicy w obozie pod Tulonem, zdumiewając się tak samo, jak niegdyś zdumiewał się nauczyciel matematyki w Brienne. I oni mieli wrażenie, że Napoleon nie uczy się niczego nowego, lecz jedynie przypomina sobie rzeczy dawno mu znane.

Gdy ten dwudziestoczteroletni kapitan artylerji przybył do obozu, smukły, chudy, długowłosy, podobny do szesnastoletniej dziewczyny, ale pełen godności w postawie i postępowaniu, o spojrzeniu spokojnem i rozkazującem, wszyscy odrazu odczuli, że władza do niego należy.

Aby należycie zdać sobie sprawę z tego, co Napoleon wykonał przy oblężeniu Tulonu, trzeba wiedzieć, jakie trudności miał do pokonania.

Warowny obóz tuloński, z jego potężnemi fortami i dwoma wspaniałemi rejdami, uchodził wówczas za jedną z najpotężniejszych i niezdobytych twierdz świata. Potężna flota angielsko-hiszpańska i angielska artylerja znakomicie wspomagały twierdzę.

Tulon, podobnie jak Marsylja, doprowadzony do rozpaczy terorem, powstał przeciw Konwentowi i rzucił się w objęcia Anglikom. Byłby się zresztą nawet djabłu zapisał, byle się wyrwać z wilczej paszczy Marata. Miasto broniło się z nadzwyczajnem bohaterstwem, skutkiem czego oblężenie przewlekało się coraz bardziej : dla Konwentu orzech ten był za twardy do zgryzienia. Czwarta część jego wojska składała się z pijanej awanturniczej hołoty, która zarażała resztę armji. Duch wojskowy upadł, dyscyplina była zniszczona. „Wszędzie panował nieład i bezgłowie“ — mówi Napoleon w swoich wspomnieniach. Dwustu „przedstawicieli ludu“, którzy zebrali się w obozie, przybywając z pobliskich klubów jakobińskich, dwustu pyskaczy, którzy co chwila wyrywali się z nowemi planami wojennemi i wszędzie wietrzyli przeciwrewolucję, przyczyniało się wydatnie do ostatecznego rozkładu armji.

Ale największem nieszczęściem był niezawodnie wódz tego wojska, ge-

nerał Carteaux, bezgraniczny ignorant co do spraw wojskowych, pełen tej specjalnej głupoty, jaka opanowywa ludzi w czasach rewolucyj, gdy zapamiętałość mas łączy się z głupotą jednostek. Ten generał-sankjulota o zawadjackiej postawie, „wyzłocony od stóp do głów", nadęty rewolucyjną pychą, paradował śród deputowanych niby kogut śród stada kokoszek.

„Czem wam mogę służyć, obywatelu?" — przyjął Bonapartego z miną pełną godności.

Ten podał mu raport ze swojem mianowaniem.

„Przybywa pan za późno" — rzekł Carteaux, podkręcając wąsa. — „Zresztą witam pana. Jutro podpalimy Tulon, a pan podzieli naszą sławę bez osobistej fatygi".[2]

Wieszczem jasnowidzeniem, które tworzyło istotę jego genjuszu wojskowego, zrozumiał Napoleon natychmiast, że fort Eguillette, położony na cyplu półwyspu Le Caire, przy przejściu z małego rejdu do wielkiego, jest jedynym kluczem twierdzy. „Trzeba zdobyć Eguillette, a wtedy przed upływem tygodnia będziemy w Tulonie" — powtarzał w ciągu trzech miesięcy wszystkim, którzy chcieli go słuchać. Przekonać o tem generała Carteaux było rzeczą nie tak łatwą.

„To jest Tulon!" — zawołał pewnego razu Napoleon, pokazując fort Eguillette na mapie.

„Zdaje się, że ten młodzian niebardzo jest krzepki w geografji" — szepnął generał swemu sąsiadowi do ucha i trącił go łokciem.[3]

A później, gdy atak na Eguillette został wreszcie uchwalony wobec bezustannych nalegań deputowanych Konwentu, Carteaux, który wietrzył zdradę, nie przestawał powtarzać, że Tulon jest zgoła gdzie indziej. Na szczęście, żona jego była mądrzejsza od niego.

„Pozwól-że temu młodzikowi robić, co mu się podoba" — rzekła z wielką szczerością. — „Umie on więcej niż ty, niczego od ciebie nie żąda i ze wszystkiego zdaje ci sprawę. Jeśli mu się rzecz powiedzie, to ty zagarniesz sławę, jeśli mu się nie uda, to sam on będzie odpowiedzialny".[4]

Napoleon umiał pozyskać dla siebie obu deputowanych Konwentu przy wojsku, a mianowicie Gasparina i swego ziomka Salicetiego, jak zresztą potrafił oczarować każdego, gdy mu na tem zależało. Opierając się na nich, stopniowo usuwał generała Carteaux w cień i sam zagarnął władzę nad armją. On jeden był w istocie głównodowodzącym przy oblężeniu Tulonu.

Gdy Komitet Ocalenia Publicznego postanowił skoncentrować wszystkie siły południa przeciwko Tulonowi i gdy na miejsce Carteaux wyznaczył starego, doświadczonego generała Dugommiera, Bonaparte odetchnął z uczuciem ulgi. Dugommier uległ jego czarowi tak samo, jak obaj deputowani, i przyjął jego plan wbrew życzeniom Komitetu Ocalenia Publicznego.

Mały dowódca artylerji dokonywał w armji takich cudów, że ludzie oczom swoim wierzyć nie chcieli: do chaosu wprowadził porządek, z bezładnych gromad rewolucjonistów zrobił bitne wojsko, zuchwałych sankjulotów i szubieniczników poprzemieniał w dzielnych i uczciwych żołnierzy; ujarzmiał ich swojem spokojnem spojrzeniem, mądrem słowem, żartem, dobrocią lub surowością.

Nieomylnym instynktem żołnierze odgadli w nim wodza i Człowieka — l'homme — jak go później poprostu nazywali. Gdy się zdarzało, że jaki oddział został nagle zaskoczony wypadem nieprzyjaciela, to dowódcy wszystkich stanowisk wołali jednogłośnie: „Biegnijcie do Bonapartego, on wie, co trzeba zrobić!“[5] A Bonaparte wiedział istotnie, co trzeba zrobić. Wiedział wszystko i znał wszystkich, bo ludzi przenikał nawylot; jednem spojrzeniem oceniał ich według wartości i stawiał każdego na odpowiedniem stanowisku. Najdzielniejszych odznaczał i zbliżał ich do siebie, jak naprzykład kapitana Muirona, późniejszego bohatera Arcole, sierżanta Junota, późniejszego diuka d'Abrantès, Marmonta i Duroca, przyszłych marszałków. Sztab generalny wielkiej armji był już utworzony.

Wszystkich zapalał swoim ogniem, obdzielał swoją odwagą, napełniał nieograniczoną żądzą czynu. Dla wszystkich był wszystkiem: dopiero co piechurem, już jeźdźcem, tu saperem, tam kanonierem. Najmniej oszczędzał samego siebie: komenderował jak generał, a w ogień szedł jak szeregowiec; wszystkie trudy dzielił z żołnierzami, jadł czarny chleb, sypiał pod działem na słomie; braterstwo i równość rewolucji były dla niego nie pustemi słowami: wcielał je w życie.

Nigdy nie był bardziej nieustraszony, niż przy oblężeniu Tulonu. Trzy konie zostały pod nim zabite. Niezachwiany śród świszczących pocisków, nie drgnął, nie mrugnął okiem, gdy od czasu do czasu wołał: „Baczność, bomba!“ Zachowywał się tak, jak wtedy, gdy na dziedzińcu szkolnym w Brienne bawił się w bitwę. Pewnego razu bomba przeleciała tak blisko niego, że ciśnienie powietrza powaliło go na ziemię i kontuzjonowało. Pomimo to pozostał na linji walki.

Innym razem tuż koło niego przy baterji sankjulotów zabity został kanonier. Napoleon zajął jego miejsce u działa, schwycił pobojec i zabrał się do nabijania. Zabity kanonier był chory na złośliwą świerzbę i Napoleon zaraził się, trzymając w ręku pobojec. Zajęty sprawami innemi, nie wyleczył się porządnie; choroba dostała się do wnętrza i omal że nie przyprawiła go o śmierć. Choroba ta spowodowała jego nadzwyczajną chudość, która dawała mu wygląd człowieka śmiertelnie chorego i trwała lat kilka aż do czasu jego konsulatu.[6] Ale on pokonywał słabość ciała siłą ducha. „Z ciałem swojem mogłem robić, co mi się podobało“.[7]

Baterja przy Małym Gibraltarze znajdowała się pod tak morderczym ogniem, że żołnierze nie chcieli dotrzymywać mu placu. Wtedy Bonaparte rozkazał na miejscu dobrze widocznem wywiesić tablicę z napisem: „Baterja nieustraszonych", i oto żołnierze zaczęli się ubiegać o prawo pełnienia służby w tem miejscu, niby o zaszczyt osobliwy. Ale i tutaj decydowało nie słowo, lecz czyn: komendant stawał w ogniu na czele wszystkich.

Żołnierze lubili tego smukłego chłopca, który podobny był do dziewczyny i chorował na świerzbę, chorobę sankjulotów. Litowali się nad nim. Gdy spostrzegali jego chudziutką postać na przedpiersiu, kreślącą się wysoko na tle białego dymu i czerwonego ognia pękających pocisków, to nie mogli patrzeć na to spokojnie; biegli za nim w ogień, kierując się jedyną myślą: „Lepiej samemu zginąć, niż doczekać się widoku, jak umiera ten chory chłopiec!"

Dnia 11 grudnia generał Dugommier przedstawił radzie wojennej plan Bonapartego i poparł go usilnie. Fort Eguillette miał zostać zdobyty, a z wyżyn półwyspu Le Caire miała być ostrzeliwana eskadra angielska, dopóki nie opuści obu rejdów; gdy garnizony fortów nie będą mogły liczyć na pomoc floty, to opuszczą stanowiska i oddadzą miasto.

Po trzech dniach artyleryjskiego ognia, przygotowującego atak, stał się możliwy szturm angielskiej reduty, będącej kluczem fortu Eguillette. Dnia 17 grudnia republikańska armja ruszyła o pierwszej w nocy trzema kolumnami do ataku podczas burzy i ulewnego deszczu. W ciemnościach, jak to się często zdarza, dyspozycje nie mogły być wykonane dokładnie. Dwie z nacierających kolumn ruszyły prosto na redutę, ale tylko część dotarła do niej, reszta została rozproszona. Nagle w ciemnościach ozwał się krzyk: „Kto żyw, uciekaj! Zdrada!" I zaczęła się ucieczka. Ale lepsi żołnierze, idąc ramię przy ramieniu, bez oglądania się, czy ich jest mało, czy dużo, w niezachwianej wierze w siebie zapalali innych do boju, dotarli aż do podnóża przylądka, wdrapali się na jego strome zbocze, wyparli pierwsze placówki angielskie i następne hiszpańskie i pod gradem kul i granatów szli naprzód, posuwając się coraz dalej. Przy gniewnych odgłosach grzmotu, który mieszał się z rykiem dział, jakgdyby niebo chciało uczestniczyć w tej ziemskiej wojnie, dotarli do muru reduty, zniszczyli barykady, przekroczyli zasieki i rów, wdrapali się na przedpiersie, wybili stojących tam kanonierów i wtargnęli do reduty.

Już odzywały się okrzyki: „Zwycięstwo! Na bagnety!" Ale następny zasiek z niezliczonemi szańcami poprzecznemi zmusił ich stanąć. Pod morderczym ogniem zaczęli się wycofywać i opuścili fort przez te same strzelnice, przez które właśnie wtargnęli do niego. Ale natychmiast ponowili atak, znowuż wtargnęli do reduty, lecz powitani salwą, znowuż wycofać się musieli. Generał Dugommier rzucił się ku odwodowej kolumnie Bonapartego.

Kapitan Muiron wiódł ją już do ataku i, wyzyskując wszystkie załomy dobrze mu znanej ścieżki, dotarł do wyżyny niemal bez strat.

O trzeciej w nocy udało się republikanom po trzecim i ostatnim szturmie zawładnąć redutą ostatecznie. Muiron przekroczył strzelnicę jako pierwszy, za nim weszli Dugommier i Bonaparte.

Sierżant Paitou, raniony w ramię i w nogę, spadł do rowu, ale zerwał się natychmiast, wygrzebał się z niego i, na nowo rzucając się w wir walki, zwracał się do swoich kanonierów z okrzykiem: „Naprzód bracia, jesteśmy przecie z baterji nieustraszonych!" W tej chwili nazwa ta przydała się atakującym a sierżantowi zdawało się może, że błyskawice wypisują to imię płomiennemi głoskami na czarnem niebie i że powtarza je głos gromu.

W reducie ogień ustał i walka toczyła się w milczeniu: człowiek zmagał się z człowiekiem, pierś nacierała na pierś, bagnet uderzał o bagnet. Angielscy kanonierzy, rąbani w sztuki, nie ustępowali od swoich dział, ale wkońcu wściekłość nacierających pokonała ich zacięty opór. Karmanjole opanowali tę, jak ją nazwali, piekielną redutę, z zadyszanych piersi wyrywał się triumfujący okrzyk: „Reduta nasza!"[8]

Bonaparte wykazał owego dnia najwyższe bohaterstwo. Koń został pod nim zabity, a sam on otrzymał ranę bagnetem w udo tak głęboką, iż obawiano się, że trzeba będzie amputować mu nogę. Wprost nie do wiary, że jeszcze tego samego dnia kierował robotami przy ustawianiu baterji na Małym Gibraltarze.

O piątej rano karmanjole wesoło ruszyli do szturmu na fort Eguillette. Po upadku reduty fort ten długo utrzymać się nie mógł, i Anglicy opuścili go niebawem.

„Jutro albo najdalej pojutrze będziemy wieczerzać w Tulonie" — rzekł Bonaparte po opanowaniu fortu Eguillette.[9] Wojsko wciąż jeszcze nie dowierzało temu, a gdy przepowiednia sprawdziła się niedługo, ludzie nie posiadali się ze zdumienia. Bonaparte wydawał się im czarownikiem.

Rankiem 18 grudnia zauważyli republikanie, że załoga niemal wszystkich fortów tulońskich ustępuje. Ku wieczorowi z miasta dochodził zgiełk, który zapowiadał paniczną ucieczkę. O dziewiątej dwa ogłuszające wybuchy wstrząsnęły miastem aż do posad; podziemny wstrząs, jakby pochodzący od trzęsienia ziemi, odczuto nawet w odległości siedmiu kilometrów: na rejdzie wysadzono w powietrze dwie hiszpańskie fregaty, naładowane prochem.

W tym samym czasie commodore Sydney Smith, ostrzeliwany z wyżyn La Caire bombami i brandkuglami, opuścił oba rejdy. W mieście szalały pożary na wszystkich stronach i krańcach: arsenał, główny magazyn wojskowy, skład drzewa okrętowego, warsztaty bednarskie i dwanaście statków floty francuskiej — wszystko stało w płomieniach.

Karmanjole, którzy z wesołemi okrzykami i rewolucyjnemi pieśniami podchodzili pod mury Tulonu, zamilkli nagle i stanęli jak piorunem rażeni. Kadłuby płonących statków wywierały wrażenie ogni triumfalnych, arsenał. otoczony dymem i płomieniami, podobny był do wybuchającego wulkanu, Na niebie żarzyła się potężna łuna i udzielała nocy jasności dnia.

Zaś dziewczęco-smukła postać „chorego chłopca“ rysowała się ostro na tle tej łuny pożarów, która była zorzą nowych czasów. Napoleon wstępował w świat.

Vendémiaire. 1794—1795.

Napoleon wstępował w świat, ale świat go nie znał; a może i on sam nie znał się jeszcze dostatecznie.

Powodzenie to ucieszyło go, ale „nie było dla niego niespodzianką“.[1] Jego niejasna wiedza wspominająca mówiła mu, że to powodzenie jest jedynie pierwszym krokiem na drodze tak długiej i ciężkiej, jaką przed nim nie kroczył żaden człowiek.

Cała armja wiedziała, że to Napoleon zdobył Tulon, ale Paryż o tem nie wiedział lub też wiedzieć nie chciał. „Trzeba go wynagrodzić i odznaczyć; ale gdyby się względem niego okazano niewdzięcznym, to sam on sobie utoruje drogę“ — pisał Dugommier do ministerjum wojny.[2]

Dnia 6 lutego zatwierdził Konwent mianowanie Bonapartego na brygadjera artylerji. Jednocześnie z rangą generalską otrzymał zadanie ciężkie, odpowiedzialne i niebardzo korzystne: inspekcję włoskiej armji nadmorskiej. Do tego przyłączyło się coś jeszcze gorszego.

Deputowany Konwentu przy wojsku, Robespierre młodszy, który tak samo, jak wszyscy dokoła Tulonu, był Napoleonem zachwycony, wezwał go, aby przybył do Paryża; miał nadzieję, że za pośrednictwem brata zdoła dla niego wyjednać naczelne dowództwo nad armją wewnątrz kraju. Pokusa była wielka, ale Napoleon wiedział, jego „wiedza wspominająca“ powiedziała mu, że godzina jego jeszcze nie wybiła: „gruszka jeszcze nie dojrzała“. Płomienny młodzieniec postępował tak, jak postępuje starzec, ostudzony doświadczeniem długiego życia. „Cóż miałbym do czynienia na tej przeklętej galerze (Teroru)!“ — odpowiedział Robespierre'owi i stanowczo odmówił jego wezwaniu. Odmowa ta ukazuje Napoleona w całej wielkości jego „genjuszu w kwadracie“ — jak go później nazwano; używając wyrazu Heraklita, możnaby go także nazwać „połączeniem sprzeczności“, bo jest w nim lodowato zimny rachunek i płomienna namiętność; Apollo i Dionizos. Szaleńczą swoją chimerę budował z geometryczną dokładnością.

Nastał dzień 9 thermidora. Maksymiljan Robespierre został stracony, a razem z nim jego młodszy brat. „Jestem nieco zasmucony jego nieszczęściem,

bo go kochałem i uważałem go za człowieka czystego" — pisze Napoleon zimno i wyrachowanie o swoim wczorajszym przyjacielu. „Ale gdyby mój własny ojciec zdążał był do tyranji, to także byłbym go zasztyletował".[3] List ten miał mu oddać dobrą usługę.

Rząd, któremu służył Bonaparte, upadł, nastał rząd nowego teroru. Jakobini denuncjowali się wzajemnie dla uratowania własnych głów. Saliceti, wczoraj jeszcze przyjaciel Napoleona, oskarżył go przed Konwentem, że razem z obu Robespierre'ami zorganizowali sprzysiężenie, że sporządził dla nich plan wojny, aby wydać republikę jej wrogom, Genueńczykom, a prócz tego chciał odbudować fortyfikacje Marsylji, tego wylęgowiska knowań przeciwrewolucyjnych.

Konwent postanowił oddać Napoleona pod sąd. Dnia 12 sierpnia został on aresztowany i zamknięty w twierdzy Antibes. Wiedział, że od więzienia tylko krok do szafotu, łatwo byłby mógł uciec, ale jego „pamiętanie" mówiło mu, że tego czynić nie powinien.

„Czyż nie byłem oddany rewolucji od samego początku?" — pisał w swojem usprawiedliwieniu do Konwentu. „Wszystko straciłem, bo wszystko ofiarowałem republice. Zasłużyłem sobie na miano patrjoty... Proszę mnie wysłuchać i uwolnić od ciężkiego brzemienia oszczerstwa... Jeśli zaś wrogowie nastają na życie moje, to mogę rzec, że cenię je niewysoko, jak zawsze zresztą. Jedynie myśl, że życie to może się przydać ojczyźnie, pozwala mi dźwigać jego brzemię!"[4]

W dwa tygodnie później został zwolniony, ale mu nie przywrócono jego poprzedniego urzędu. Mianowano go dowódcą brygady pieszej w armji zachodniej, w jałowej i krwawej Wandei, co równało się deportacji; gdy nie zgodził się na przyjęcie tego stanowiska, został wykreślony z listy generałów artylerji. Taką otrzymał nagrodę za Tulon.

Ciągłość życia przerywa się w tem miejscu i wszystko trzeba zaczynać odnowa.

W końcu maja 1795 roku udał się do Paryża. W armji imię jego miało już dobry dźwięk, dla Paryża był on niczem, a raczej gorzej jeszcze — był osobą o zaszarganej opinji, usuniętym generałem Konwentu. Środki jego były wyczerpane, ostatnie pieniądze, jakie wyniósł z armji, stracił na nieszczęśliwych spekulacjach. W przymusowej próżniaczce włóczył się po ulicach Paryża. Były chwile, w których ogarniała go rozpacz: „Jestem bodaj gotów pofolgować zwierzęcemu instynktowi, który nakłania mnie do samobójstwa". „Życie nie ma dla mnie prawie żadnej wartości... Znajduję się stale w takim stanie duchowym, jak w przededniu bitwy, to jest w głębokiem przekonaniu, że jeśli dzisiaj lub jutro śmierć wszystkiemu uczyni koniec, to byłoby poprostu śmieszne zaprzątać sobie głowę troskami. Słowem wszystko

zmusza mnie do zmagania się z losem i jeśli ten stan potrwa jeszcze jaki czas, to może się zdarzyć, że pewnego pięknego dnia nie ustąpię z drogi nadjeżdżającemu wozowi".[5]

„Był on najchudszem i najosobliwszem stworzeniem, jakie widziałem kiedykolwiek" — napisała pewna dowcipna dama w owych dniach o Napoleonie. „Zgodnie z modą tamtych czasów, nosił on „psie uszy", to jest długie, aż na ramiona spadające włosy... Jego ponure spojrzenie przywodziło na pamięć takich ludzi, jakich nie lubi się spotykać pod wieczór w lesie... Ubiór jego także nie wzbudzał zaufania: znoszony uniform wyglądał na nim tak żałośnie, że zrazu nawet wierzyć nie chciałam, iż mam przed sobą generała. Niebawem wszakże spostrzegłam, że jest to człowiek bardzo mądry, a przynajmniej niezwykły... Gdyby nie był tak straszliwie chudy, iż wywierał wrażenie chorego i zaraz przy pierwszem spojrzeniu wzbudzał współczucie, to byłoby można zauważyć, że rysy miał niezwykle delikatne; osobliwie usta były cudowne... Czasem mówił dużo i zapalał się, gdy opowiadał o oblężeniu Tulonu, ale potem zapadał znowuż w ponure milczenie... Zdaje mi się teraz, że w linjach jego subtelnych, delikatnych, ale zarazem surowych ust można było wyczytać, iż gardzi niebezpieczeństwem i że nieprzyjaciela pokonywa bez gniewu".[6]

W owych czasach otrzymał miejsce podrzędnego urzędnika w biurze topograficznem, przyłączonem do Komitetu Ocalenia Publicznego, owej wilczej paszczy Teroru. Tutaj przedstawił głównodowodzącemu armji wewnętrznej, generałowi Schérerowi, plan kampanji włoskiej, ten plan, który po upływie roku sam on wykonał, największy projekt strategiczny od czasów Aleksandra i Cezara. Schérer uznał go za „szaleńczą chimerę, spłodzoną przez chory mózg".[7] Wówczas postanowił Napoleon wyjechać do Konstantynopola na instruktora artylerji w sułtańskiem wojsku. Lepiej pójść do piekieł, niż siedzieć w Paryżu!

Po dniu 9 thérmidora sytuacja Konwentu była nie do utrzymania. Rojaliści i jakobini połączyli się: jedni, aby zgnieść rewolucję, drudzy, aby wznowić teror.

Dnia 12 vendémiaire'a (4 października) ze czterdziestu ośmiu sekcyj wojskowych Paryża trzydzieści powstało przeciwko Konwentowi. Do każdej z tych sekcyj należał bataljon gwardji narodowej. Trzydzieści tysięcy bagnetów zagrażało Konwentowi. Dowódca wojsk Konwentu nie odważał się strzelać do „suwerennego ludu" i nawiązał układy z powstańcami, za co jako zdrajca został uwięziony. Na jego miejsce mianowano deputowanego Barrasa. Ten, niezbyt zdolny generał rozglądał się za pomocnikiem i przypomniał sobie bohatera Tulonu, Bonapartego.

O godzinie pierwszej w nocy Barras wezwał go do siebie i zaproponował mu drugie po sobie stanowisko dowódcy w armji.

„Proszę o czas do namysłu“ — rzekł Napoleon.

„Niech pan się namyśla, ale nie dłużej niż trzy minuty“ — odpowiedział Barras i, stojąc, czekał decyzji.

W ciągu tych trzech minut rozstrzygnął się los Napoleona. „Czy mam się stać kozłem ofiarnym za tylu nieznanych mi grzeszników? Czy imię moje mam przyłączyć do tylu straszliwych imion?“[8] Uratować Konwent, to znaczyło uratować teror. Wilczyca-rewolucja pochłonęła go już niemal; czy znowu ma się rzucić na jej pierś żelazną? A może i nie myślał wtedy o tem wszystkiem, lecz wsłuchiwał się jedynie w cichy głos swego przeznaczenia, owej jakby sennej wiedzy wspominającej?

„Zgadzam się“ — odpowiedział po upływie trzech minut.

„Bonaparte? Cóż to znowu za jeden u wszystkich djabłów?“ — zadawano sobie sceptyczne pytania w armji Konwentu. „Jak tylko zobaczyłem tego małego człowieka o posągowej twarzy, natychmiast przypomniałem sobie, że przy spotkaniu się z nim w alei des Feillants wydał mi się ofiarą“ — powiada generał Thiébault w swoich wspomnieniach, chociaż może nie zdawał sobie sprawy z głębszego znaczenia tego przyrównania Napoleona do ofiary. „Licha odzież, długie, zwisające włosy i wrażenie zużycia w całej osobie świadczyły i teraz o jego ubóstwie... Ale ruchliwość jego wprawiała wszystkich w zdumienie; był wszędzie obecny: ledwo że w jednem miejscu znikał, już pojawiał się gdzie indziej. Jeszcze większe zdumienie wywoływały jego rozkazy, zwięzłe, jasne i szybkie a zarazem władcze w najwyższym stopniu. Ludzie stropieni zrazu dyspozycjami, których nie rozumieli, popadali rychło w zachwyt“.[9]

W ciągu pięciu nocnych godzin zaprowadził wszędzie porządek i rozplątał panujący zamęt.

Przeciw trzydziestu tysiącom bagnetów gwardji narodowej Konwent mógł był wystawić siedem lub osiem tysięcy wojska wątpliwej jakości. Aby liczbę tę powiększyć, pootwierano więzienia i powypuszczano najniebezpieczniejszych terorystów. Gdy konwentowi pyskacze gadali, żołnierze kumali się na ulicach z powstańcami. Bonaparte zrobił temu koniec: najprzód uzbroił deputowanych w liczbie 800. Pyskacze zamilkli i stali się małoduszni, jakgdyby nagle zrozumieli, że panowanie ich ma się ku końcowi.

Powstańcy wyprawili jeden z bataljonów do obozu w Sablon dla sprowadzenia artylerji. Ale Bonaparte pomyślał o tem wcześniej od nich i wyprawił tam swego adjutanta Murata; ten wyprzedził powstańców i sprowadził artylerję na plac Ludwika XVI. To decydowało o wszystkiem. „Jeszcze jedna minuta, a byłoby za późno“.[10]

Nad ranem wojska Konwentu obsadziły całą ulicę Saint-Honoré i zajęły stanowisko na stopniach kościoła św. Rocha. W razie niepowodzenia odwrót na Meudon zabezpieczony był prawidłowemi dyspozycjami wojskowemi, jak przy prawdziwej bitwie.

Pierwsze starcie nastąpiło w ślepej uliczce Dauphin i przed kościołem. Napoleon kazał strzelać kartaczami z dwóch dział, ustawionych u południowego końca ślepej uliczki. Pociski ostrzeliwały ulicę Neuve-Saint-Roch i oczyściły ją od powstańców. Ale przy kościele doszło do wściekłej walki na bagnety. Bonaparte kazał ustawić baterję z sześciu dział, trzy z lewej, trzy z prawej strony wejścia w ślepą uliczkę, i zmusił sekcje do ucieczki ku Palais Royal, na plac Vendôme i jeszcze dalej ku placowi du Carrousel, gdzie ponownie rozproszył je kartaczami. W taki sposób spełniło się to, czego sobie dnia 20 czerwca 1792 roku na tym samym placu tak gorąco życzył. „Hołota! Należałoby trzystu—czterystu ludzi zmieść kartaczami, a reszta porozbiegałaby się na wszystkie strony!"

Dość było dwóch godzin, aby trzydzieści tysięcy bagnetów rozproszyć przy pomocy sześciu tysięcy. O godzinie szóstej wieczorem wszystko było skończone.[11]

Bonaparte wykazał tego dnia taką samą bohaterską odwagę, jak przy oblężeniu Tulonu. I tutaj konia pod nim zabito. „Chwała Bogu, wszystko już skończone" — pisał do swego brata Józefa 14 vendémiaire'a. — „Wybiliśmy dużo ludzi i rozbroiliśmy sekcje... Teraz panuje zupełny spokój. Mnie, jak zwykle, nie stało się nic. Szczęście mi sprzyja".[12]

Z wielkim pośpiechem wysłał następnie 60.000 franków matce Letycji, mieszkającej w Marsylji. Było to bardzo wporę, bo matka miała w kieszeni uż tylko ostatnią pięciofrankówkę.

„Ludzie ci wyobrażają sobie, że ja potrzebuję ich protekcji" — pisze bez cienia pychy — „kiedyś z powodu mej życzliwości nie będą się posiadać z uciechy. Jestem panem swej szpady i przy jej pomocy zajdę daleko".[13]

Nagle stał się zgoła innym człowiekiem. Admirał Decrès, który Napoleona uważał za swego przyjaciela, napisał o swojem spotkaniu z nim po dniu vendémiaire'a: „Podbiegłem do niego, aby go uściskać, ale jego spojrzenie i głos powstrzymały mnie. Nie było w jego postawie nic obrażającego, ale nagle zrozumiałem wszystko i nigdy później nie próbowałem przekroczyć granicy, jaka mi została zakreślona".[14]

Granica ta oddzielała go jedynie od równych jemu, ale nie od niższych: wobec człowieka prostego pozostawał nadal życzliwym i przychylnym.

Po dniu vendémiaire'a w Paryżu zapanował głód. Wydawanie chleba ustało, i lud zbierał się koło sklepów piekarskich. Bonaparte przejeżdżał ze swoim sztabem przez ulice Paryża, aby się przekonać o stopniu spokoju

w mieście. W tem otoczył go głodny tłum i głośnemi krzykami domagał się chleba; zbiegowisko wzrastało i coraz natrętniejsze stawiało wymagania. Niezwykle gruba i wściekła kobieta wysunęła się z tłumu, potrząsała pięściami i wołała: „Ci glancusie wojskowi kpią sobie z nas. Sami żrą i pasą się i nic ich to nie obchodzi, że biedny lud zdycha z głodu!“ — „Hola, pani kumo — odpowiedział Bonaparte — popatrzcież na mnie, kto też z nas dwojga bardziej upasiony?“ Tłum wybuchnął rozgłośnym śmiechem, wściekłość się rozwiała. Tak zdycha Python pod jednem spojrzeniem boga-słońca.

Nastawały wesołe dni Dyrektorjatu. Nad ziemią płynęły wiosenne wiewy i lody Teroru topniały pod słońcem reakcji.

W owych czasach Napoleon poznał Józefinę wice-hrabinę Beauharnais, z domu Tascher, kreolkę, pochodzącą z wyspy Martyniki. Jej mąż, prezydent Konstytuanty i dowódca armji nadreńskiej opuścił ją i wydał na pastwę nędzy razem z dwojgiem dzieci. Radziła sobie, jak mogła, zaciągała długi, puszczała się na spekulacje, najczęściej niepomyślne, i nie odznaczała się nadmierną surowością obyczajów. Podczas panowania Teroru wice-hrabia Beauharnais został stracony. Także obywatelka Tascher dostała się do więzienia, aczkolwiek nazywała siebie dobrą sankjulotką i była przyjaciółką Charlotty Robespierre. Cudem uniknęła gilotyny i z krwawej mordowni Conciergerie przedostała się raptem do wspaniałych salonów byłych arystokratów a nowych spekulantów, gdzie spotkała się z Bonapartem.

Była to osoba nie pierwszej młodości, i nikomu nie zwierzała się ze swojej trzydziestej i drugiej wiosny. Ciemną cerę prawdziwej kreolki umiała zręcznie szminkować, a uśmiechała się ostrożnie, aby nikt nie dostrzegł, że psują się jej zęby. Miała cudowne marzycielskie oczy i łagodny, nadzwyczaj melodyjny głos, tak miły, że służba stawała pode drzwiami, aby się mu przysłuchiwać. Ale największy czar spoczywał w jej miękkich i ociężałych ruchach, które przywodziły na pamięć wodną roślinę, kołysaną falami. „Józefina była uosobieniem wdzięku — la grazia in persona“ — rzekł Napoleon na wyspie św. Heleny.[15]

W czasach ubóstwa posiadała szesnaście sukien i tylko sześć spódniczek, a suknie zmieniała częściej, niż bieliznę.

Z charakteru podobna była do dziesięcioletniej dziewczynki: byle co przyprawiało ją o płacz, ale szybko dawała się pocieszyć;[16] można ją też było przyrównać do wesołego ptaszka z lasów wyspy Martyniki. Trudno powiedzieć, czy rozumu posiadała więcej, niż miała rzetelności owa postać Moljera, o której twórca jej powiedział: „Miała jej akurat tyle, aby uniknąć szubienicy“. W każdym razie rozporządzała znacznemi zasobami zdrowego rozumu i kobiecego sprytu. Jeśli Napoleona, najmądrzejszego z ludzi, wprost nie oszukiwała, to w każdym razie nietrudno jej było zachować wobec niego postawę

obronną. „Mogłem ją zapytać o cokolwiek — jej pierwszem słowem było zawsze: — Nie. — Właściwie nie było to żadne kłamstwo, lecz prosta ostrożność, zabezpieczanie się na wszelki wypadek".[17]

Bardzo być może, że dla zdobycia Napoleona pierwszy krok zrobiła Józefina. Zawsze marzyła o tem, aby wyjść za finansistę, ale ponieważ finansista jej się nie nawinął, więc zadowoliła się generałem. W niewiele dni po pierwszem spotkaniu wyznaczyła mu schadzkę w swoim pięknie urządzonym domku przy ulicy Chantereine, nabytym niedawno za pieniądze swego kochanka Barrasa, a po upływie dalszych kilku dni była z nim zaręczona.

„Czy go kocham?" — pisała do pewnej przyjaciółki. — Nie, nie kocham go... Mam dla niego jedynie gorące uczucie, które się mnie samej nie podoba, a które ludzie stateczni i religijni uważają za najgorsze".[18]

On zaś pali się wielkim, żywym ogniem. Józefina jest pierwszą kobietą, którą kocha, czy też mniema kochać. Niema miłości bez namiętności, ale bywa namiętność bez miłości. Zdaje się, że taka właśnie była namiętność Napoleona.

„Dzień, w którym mi powiesz, że kochasz mnie mniej, będzie ostatnim dniem mojego życia. Gdyby serce moje było tak podłe, iż mogłoby kochać bez wzajemności, to rozszarpałbym je własnemi zębami".[19] Jest to oczywiście licha retoryka — reminiscencja z „Nowej Heloizy" i z „Cierpień młodego Wertera". Józefina rozumie to doskonale. „Ach, jakiś ty komiczny, Bonaparte!" — śmiała się, gdy groził jej sztyletem Otella.[20] Ale jego bezustanne zachwyty zaczynają nużyć ją wreszcie, i na widowni pojawia się pan Charles, adjutant generała Leclerca, mały młody człowieczek, kędzierzawy i krzepki, o rysach komiwojażera. Był to Don Juan table d'hôte'ów, i Józefina spędzała z nim czas daleko przyjemniej, niż z Bonapartem. Zresztą dla Napoleona ma dużo wyrozumiałości. „Bonapartego kocham bardzo pomimo jego drobnych braków" — pisze do swego kochanka Barrasa.[21]

Być też może, że i Napoleon nie miał żadnych złudzeń. Wiedział, że wziął ją całkiem jeszcze ciepłą prosto z łóżka Barrasa, ale nie miał poprostu czasu, aby myśleć o takich rzeczach: kochał tak samo, jak jadał: szybko, łapczywie, pochłaniając duże kąski. Bo później wszak, przez całą resztę życia, nie będzie miał czasu na miłość.

„Prawdziwie nie kochałem nigdy, najwyżej trochę Józefinę, i to tylko dlatego, że miałem wtedy lat dwadzieścia siedem".[22] „Nie kocham kobiet, nie lubię kart; nie kocham niczego; jestem istotą wyłącznie polityczną".[23]

Dnia 19 ventôse (9 marca) 1796 roku w merostwie podpisana została umowa małżeńska. Być może, iż oboje milczącem życzeniem wybrali luźniejsze więzy związku cywilnego, unikając ściślejszych pęt ślubu kościelnego.

„Co pani robi!" — ostrzegał Józefinę mâitre Raguideau, jej notarjusz,

na kilka dni przed zawarciem małżeństwa. — „Ten generał nie ma nic prócz płaszcza i szpady!“[24]

Ale Józefina nie dała się odstraszyć, pamiętając o słowach Napoleona: „Jestem panem swej szpady i przy jej pomocy zajdę daleko!“

Barras był jednym ze świadków przy ślubie. Od niego otrzymała Józefina wspaniały prezent ślubny — nominację Bonapartego na głównodowodzącego armji włoskiej. We dwa dni po ślubie był już w drodze do niej.

Słońce jeszcze nie wzeszło, ale już się czerwieniła zorza poranna, a jemu zdawało się, że, porwany potężnemi skrzydłami, wznosi się ponad ziemią i leci na spotkanie słońca.

WSCHÓD SŁOŃCA.

Włochy. 1796—1797.

„Jaki szczęśliwy byłem wtedy! Co to był za zachwyt, co za okrzyki! — Niech żyje oswobodziciel Italji! — I to w dwudziestym piątym roku życia! Przeczuwałem już wtedy, czem stać się mogę. Świat sunął pod mojemi stopami, jakgdybym się unosił w powietrzu".[1]

Co za bajeczny wzlot, jaka cudowna szybkość i lekkość w ogólnem wrażeniu kampanji włoskiej. Faktem jest wszakże tylko szybkość, lekkość jest złudzeniem. Dość popatrzeć uważniej na te czyny, aby dostrzec, jakie wysiłki, jaki ciężar spoczywa za niemi.

„W kampanji włoskiej okazał się największym" — powiada generał Lassalle w roku 1809, a więc wtedy, gdy dla Napoleona nadchodził już wieczór. „Wtedy był on bohaterem, dziś jest tylko cesarzem. We Włoszech miał niewielu żołnierzy, a i ci licho byli uzbrojeni; nie było chleba, butów, pieniędzy, administracji; jego wygląd zewnętrzny wcale nie imponował; uchodził za matematyka i fantastę; nie mógł się powołać na żaden wielki czyn, nie miał przyjaciela; uważano go za odludka, bo zawsze był sam, zawsze zagłębiony w swych myślach. Wszystko musiał stworzyć sam i stworzył istotnie. I tu właśnie godzien był największego podziwu!"[2]

Przy oblężeniu Tulonu istniały niezawodnie wielkie trudności, które trzeba było pokonać, ale tam chodziło jedynie o mały kawałeczek ziemi, tu zaś o cały kraj, o walkę przed oczami całej Europy.

Bonaparte otrzymał na koszty podboju Italji 2000 ludwików, a i te przekazano mu w wątpliwych czekach. Każdemu ze swoich generałów dał po cztery luidory, co było już bardzo wiele, bo od długiego czasu prócz asygnat nie oglądała armja żadnych pieniędzy.[3] W sztabie generała Masseny nie było nawet papieru na wypisywanie rozkazów dziennych. Dwaj porucznicy nosili według pamiętnika Stendhala jedną parę spodni na zmianę; inny znowu porucznik, odwiedzając pewną markizę w Medjolanie, musiał przywiązać buty sznurkami do stóp, gdyż brakło im podeszew.[4] Żołnierze byli obdarci, głodni, pijani i zdziczali; marzyli tylko o rabunku i łazikowaniu. „Zbieranina z całej Langwedocji i Prowancji, prowadzona przez bosego generała" — mówi Alfieri o tej armji sankjulotów.[5]

„Gdy żołnierzowi brak chleba, to zachowuje się tak, że nieraz bywa wstyd, iż się jest człowiekiem" — pisze Bonaparte do Dyrektorjatu. — „Zastosuję

straszliwe kary jako przykład odstraszający, albo też zrzeknę się dowództwa nad tą bandą opryszków".[6]

Zdemoralizowana armja i chory generał. Świerzba, którą zaraził się pod Tulonem, przeszła do wnętrza organizmu; do tego przyłączyło się cierpienie pęcherza i zgniła zimnica błot mantuańskich. Wszystko to pożerało go tak, że wyglądał jak upiór. Mniemano, że został otruty. „Jest taki żółty, aż miło spojrzeć!" — mawiali rojaliści i pili za jego bliską śmierć.[7]

Tylko oczy tej umęczonej twarzy gorzały niesamowitym ogniem, „nieznośnym blaskiem roztopionego metalu". Temi oczami ujarzmiał bestję.

„Ten generałek, pieski syn, napędził mi pietra; nie umiałbym objaśnić uczucia, które mnie zmiażdżyło odrazu przy pierwszem spojrzeniu na niego" — wyznaje generał Augereau, najzuchwalszy z pośród sankjulotów.[8]

„Kpicie sobie z nas, czy co? Posyłacie nam tu takiego smyka, aby przewodził nad nami!" — szemrali starzy brodacze grenadjerzy. Ale niebawem przekonali się, co to za jeden ten „smyk". Zrazu przestraszyli się, potem go polubili. Nawet chorobliwy wygląd Napoleona podobał się im nadzwyczajnie".[9] Kochali go z tego powodu jeszcze bardziej; było im go żal. W straszliwym ogniu bitw już nawet rozkazywać nie potrzebował: spojrzeniem, uśmiechem pozwalał im iść na śmierć, jak kobieta pozwala szaleć zakochanemu.

Bonaparte dokonał cudu: po dwóch tygodniach „obdarta zbieranina", sankjulocka „banda opryszków" przemienia się w macedońskie zastępy Aleksandra, w rzymskie legjony Cezara — w armje, jakich nie widziano od dwóch tysięcy lat.

Kampanja rozpoczęła się 10 kwietnia, a 26 w manifeście do armji mówił Napoleon: „Żołnierze! W ciągu dwóch tygodni odnieśliście sześć zwycięstw; dwadzieścia i jeden sztandarów, pięćdziesiąt pięć armat i kilka twierdz stało się łupem waszym, zdobyliście najbogatszą część Piemontu... Nie mieliście niczego i musieliście starać się o wszystko: bitwy wygrywaliście bez armat, rzeki przekraczaliście bez mostów, szliście naprzód forsownemi marszami bez butów, biwakowaliście bez wódki, gorzej nawet — bez chleba... Tylko legjony republikańskie, żołnierze wolności, zdolni byli znieść to, coście znieśli wy. Dziękuję wam żołnierze!... Lecz to wszystko jest niczem w porównaniu z tem, co wam jeszcze do zrobienia pozostało."[10]

Gdy z wyżyn Montezzemolo pokazuje im ziemię obiecaną, nieogarnione łany Lombardji, jaśniejące w porannych blaskach wiosennego słońca, — wtedy ręce ich składają się do oklasku, a z piersi wyrywają się radosne okrzyki: „Italja! Italja!" Jest tak jakoś, jakgdyby cała armja razem z wodzem swoim dostała skrzydeł. „Świat sunął pod mojemi stopami, jakgdybym się unosił w powietrzu".

Miesiąc kwitnienia, kwiecień, floréal, zaznacza się we wszystkiem; wszę-

dzie panuje świeżość porankowa i wiosenna radość. „Nic nie dorównywa ich odwadze, chyba tylko ich wesołość“ — donosi Bonaparte Dyrektorjatowi.[11] „Tylko bezprzykładna odwaga i wesołość tej armji dorównywała jej biedzie“— powiada Stendhal, uczestnik tej wyprawy. „Ludzie śmiali się i śpiewali całemi dniami“.[12] Jutro wypadnie im może umrzeć, ale dzisiaj śmieją się i śpiewają, jak niegdyś święty „sankjulota“, Franciszek z Asyżu, pod tem samem niebem Italji, ciemno-błękitnem niebem Umbrji, śmiał się i śpiewał.

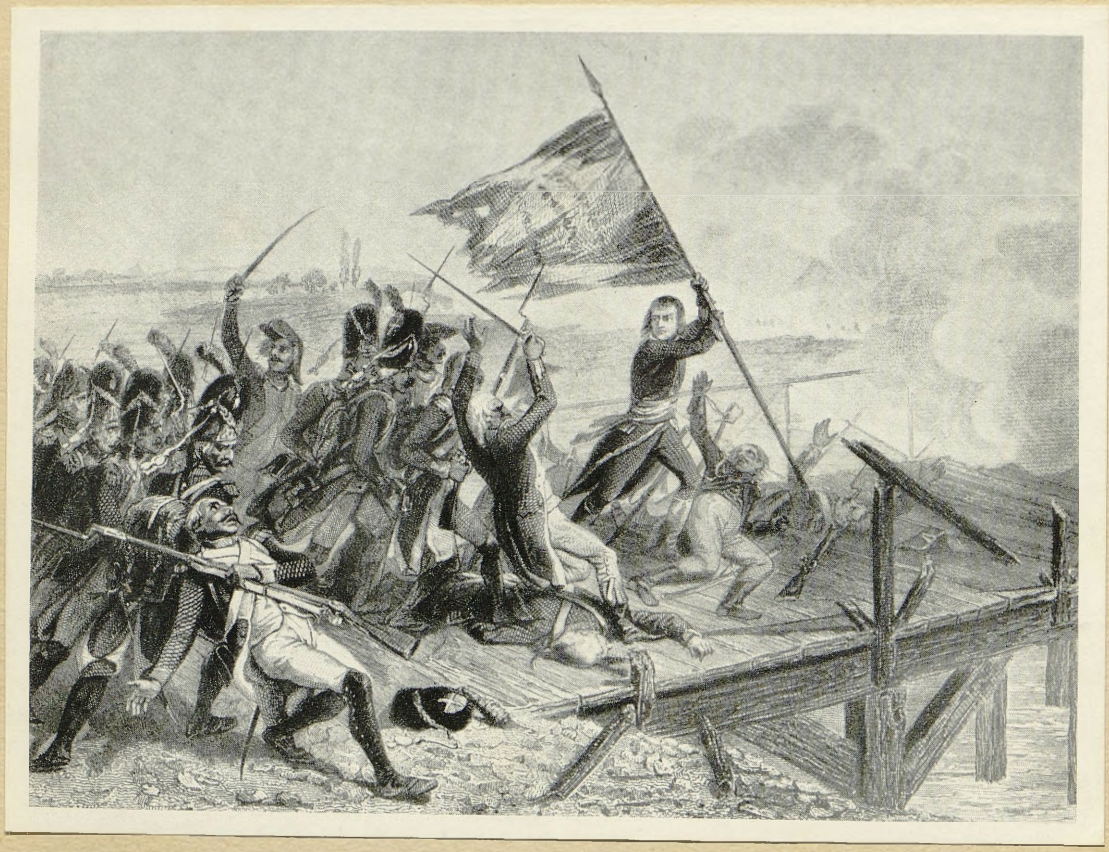
Cała ta wesoła wojna podobna była do burzy w pierwszych dniach maja:

„Rzekłbyś, że to swawolna Hebe,
Karmiąca Jowiszowe plemię,
Pioruno-wrzący kubek z nieba
Wylała, śmiejąc się, na ziemię“.[13]

Kubek najbardziej upajającego wina — wolności. „Ludy Italji! Armja francuska przybywa, aby stargać wasze pęta; naród francuski jest przyjacielem wszystkich ludów. Śpieszcie na jego spotkanie... Wierzcie nam, że jesteśmy wrogami tylko waszych tyranów“.[14] „Jesteśmy przyjaciółmi waszymi, o potomkowie Brutusów, Scypjona i wszystkich wielkich mężów starożytności. Odbudowanie Kapitolu, ponowne ustawienie na nim posągów bohaterów... przebudzenie ludu rzymskiego z wielowiekowej śpiączki niewoli — oto będzie owoc zwycięstw naszych“.[15]

Pierwsze odrodzenie klasycznej starożytności dokonało się także tutaj, w Italji, — w kontemplacji, w dziełach sztuk pięknych, a to drugie dokonywa się w ludziach żywych, w czynie. Wszyscy ci młodzi bohaterowie, jak Lannes, Muiron, Desaix i wielu innych nie wymienionych, działają czysto, mocno, jasno i tak prosto, jak proste były ich szpady, i jakgdyby bohaterowie starożytności znowuż pojawili się na świecie. A śród nich wszystkich Bonaparte, bohater od innych mężniejszy. „W waszych czasach nikt nie myśli o wielkich czynach; ja dam wam przykład!“[16] „Gardziłem wtedy wszystkiem, co nie było sławą“.[17] Ale czasem zdaje się, że gardzi nawet sławą i że jakby odniechcenia schyla się, aby podnieść wawrzyn. Nie śpieszy ku sławie ze swoich wyżyn, które wyższe są od niej, lecz o ile wyższe, o tem on sam może nie wie.

Wielkodusznie staje w obronie pokonanego przeciwnika, siedemdziesięcioletniego Wurmsera, bohaterskiego marszałka polnego Austrji. Do arcyksięcia Karola, któremu proponuje pokój, pisze: „Czyż niedość jeszcze poświęciliśmy ludzi, niedość wyrządziliśmy im zła? Co do mnie, to życie jednego człowieka uważam za cenniejsze od wszystkich zwycięstw“.[18] „Człowiek taki, jak ja, poczytuje życie miljonów za nic“ — miał się wyrazić później.[19] „Obłudnik — commediante!“ — napiętnował go papież. Ale ludzie naogół nie są



ARCOLE
(według stalorytu F. Audibran'a z rysunku D. Raffet'a.)

tacy znowuż głupi, aby się pozwolili oszukiwać li-tylko obłudą, szczególniej w czasie wojny, gdy dusza ludzka ukazuje się w całej nagości, niby klinga dobytej szpady, i gdy odwaga jest rzeczą konieczną. A odwagi według wspaniałego wyrażenia Napoleona „fałszować nie można: ta cnota obłudzie nie podlega".[20]

Nie, nie — dość popatrzeć uważnie w jego twarz, aby zrozumieć, że w nim jest prawda. Czemuż w rysach jego jest jakby nieziemski smutek? Czy może generał Thiébault wyraził prawdę w swojem proroczem słowie: „Pewnego razu w alei des Feillants ujrzałem go niby ofiarę". Czy może jego wiedza wspominająca już w pierwszych promieniach sławy wschodzącego słońca ukazuje mu gwiaździste niebo nocne — św. Helenę, małą wyspę?

Wszystkie opisy bitw, choćby ich autorem był sam Napoleon, wydają się laikowi nudnemi. Bitwa jest jak piorun. A jakże można piorun uchwycić i zatrzymać? Można jedynie wykreślić geometryczne punkty jego drogi, aby unaocznić siłę burzy.

Montenotte 12 kwietnia, Millesimo — 14, Dego — 15, Mondovi — 22, Cherasco — 25, Lodi — 10 maja. Zwycięstwo za zwycięstwem, piorun za piorunem. W dwa tygodnie Piemont jest zdobyty, brama Italji wyłamana. I dalej niemal z taką samą piorunującą szybkością: Lodi, Lonato, Castiglione, Roveredo, Bassano, Arcole, Rivoli, Favorita, Tagliamento. W dziewiętnaście tygodni Italja razem z Tyrolem jest zdobyta, i Bonaparte stoi przed bramami Wiednia.

W tej koronie zwycięzcy błyszczą trzy drogocenne kamienie: Lodi, Arcole, Rivoli.

Lodi przywodzi na myśl igraszki dziecięce. Ma się wrażenie, iż Bonaparte odgadł swoich żołnierzy, iż chcą się bawić, a może i on sam nabrał ochoty poigrania z losem — „postawienia wszystkiego na jedną i jedyną kartę". Każda gra jest bezpożyteczna, podobnie jak sława i piękność, a wszystkie igraszki bogów tem bardziej są boskie, im więcej są bezpożyteczne.

Bonaparte szedł na Medjolan. Aby tam dotrzeć, niekoniecznie trzeba było przekraczać Addę przez most pod Lodi, ale w każdym razie zadanie to nie było zabawką. Mostu broniło 30 tysięcy bagnetów austrjackich i trzydzieści armat. Ale Bonaparte wiedział dobrze, co robi: grenadjerów swoich uszykował w dwóch kolumnach i jedną ukrył w zasadzce, a drugą wysłał na most. Dotarłszy biegiem do środka mostu, czoło kolumny zachwiało się pod straszliwym ogniem kartaczownic i było bliskie odwrotu. I w Napoleonie zamarło serce, jak w graczu, który zbyt wiele postawił na jedną kartę. Ale była to tylko króciutka chwila między dwoma tętnami serca; poczem serce znowuż żywiej bić zaczęło, tym razem z radości. Czoło kolumny, aczkolwiek straszliwie przerzedzone, nie cofnęło się: żołnierze po filarach mostu ze-

ślizgiwali się w rzekę, doszukali się brodu, dotarli do przeciwnego brzegu i wyroili się na nim, pragnąc wzbudzić wrażenie, że zamierzają obejść linję austrjacką; tym manewrem zwrócili ogień armatni przeciwko sobie. W tejże chwili kolumna druga uderzyła z zasadzki na most i, zanim się Austrjacy opamiętali, Francuzi natarli na nich bagnetami, opanowali baterję, i most został przekroczony.

Było to takie proste, że zrozumiałoby nawet dziecko. Zrozumieli też wszyscy. Przejście przez most pod Lodi ukazało się w mnóstwie jarmarcznych obrazków nietylko we Francji, lecz także w Niemczech i w Anglji. Jeszcze nie umiano wymawiać, jak się należy, imienia Bonapartego, a sława już go porwała i niosła, głosząc światu jego chwałę w tysiąc trąb. Jako bohater francuski ułożył się do snu, a zbudził się jako bohater europejski. „Ani vendémiaire, ani Montenotte — mówił później — nie wzbudzały we mnie myśli, abym był człowiekiem wyższego rzędu; myśl ta powstała we mnie dopiero po Lodi. W duszy mojej zapaliła się wtedy iskra wysokiej ambicji".[21]

Ten czyn bohaterski był prosty, ale tylko Bonaparte zdobywał się na taką prostotę. Dla zwycięstwa pod Lodi musiał Napoleon tak dokładnie wiedzieć, co zrobi czoło kolumny na moście, jak się przewiduje własne postępki; wódz musiał wyczuwać duszę i ciało całej armji, jak własną duszę i własne ciało. Tego od czasów Aleksandra i Cezara nie potrafił nikt.

„Małym Kapralem" przezwali go żołnierze po bitwie pod Lodi i zakochali się w nim nadobre; wiedzieli, że prostego żołnierza traktuje jak równego sobie i że dla wszystkich jest on Człowiekiem — l'homme.

Litografja owoczesnego malarza Raffeta przedstawia Lodi dokładniej, niż wszystkie sprawozdania wojenne. Bonaparte grzeje się przy ogniu obozowym, odwrócony od niego, z nogami nieco rozstawionemi i z rękoma założonemi wtyle, akurat tak, jak później jako cesarz grzał się przy kominku w pałacu Tuileryjskim. Grenadjerzy otaczają go ze wszystkich stron: jedni stoją na straży, drudzy śpią, powyciągani u jego stóp, inni palą fajki i piją wódkę — panuje równość rewolucyjna, ale z wyjątkiem śpiących wszyscy spoglądają na swego człowieka-boga z modlitewnem uwielbieniem.

Arcole to już nie zabawka. Tutaj Napoleon z całą armją jest tylko o włos od zupełnego unicestwienia. Aby ocaleć, decyduje się na szaleńczy krok i zabiera się do obejścia austrjackiego marszałka polnego Alvinczy'ego przez prawie niedostępne błota Adygi. W tym celu trzeba zdobyć most, wiodący do Arcole. Dwa działa bronią tego mostu tak, że kartacze sieką szturmujących bezpośrednio: ani mysz się nie prześliznie, a cóż dopiero człowiek. Po kilku daremnych natarciach most usiany jest zwłokami, żołnierze nie chcą iść na pewną śmierć. Wówczas Bonaparte chwyta sztandar i pędzi naprzód; zrazu idzie sam, ale potem wszyscy rzucają się za nim. Generał Lannes, który dnia



NAPOLEON POD ARCOLE
(z obrazu A. J. Gros'a.)

poprzedniego odniósł dwie rany, zasłania go własnem ciałem i z nową raną w piersi pada nieprzytomny u jego stóp. Teraz zasłania go pułkownik Muiron: zostaje zabity na piersi Bonapartego, własną krwią opryskuje jego twarz. Jeszcze chwila, a zginąłby i Bonaparte, ale spada z mostu w moczar i cudem zostaje przez grenadjerów uratowany.

Mostu nie zdobyto. Był-że bohaterski czyn Bonapartego bezpożyteczny? Zgoła przeciwnie: podniósł on odwagę żołnierzy na niespodziewane wyżyny; swoją szaleńczą odwagę przelał wódz w ich piersi, jak się przelewa wodę z jednego naczynia w drugie, zapalił ich serca, jak się od jednej świecy inne świece zapala. „Zdaje mi się, że w wojnie jestem najodważniejszym człowiekiem, jaki istniał kiedykolwiek" — wyraził się kiedyś z wielką szczerością, gdy się o tych sprawach zgadało.[22] Po Arcole można było rzec: „Armja francuska jest najodważniejsza, jaka kiedykolwiek istniała". Austrjacki marszałek polny Alvinczy musiał się o tem przekonać na własnej skórze: oddał niezdobyte wyżyny Caldiero, oddał Mantuę, oddał całą Italję. Pierwsza część tej wyprawy była ukończona.*

Rivoli to ostatnia wielka bitwa wyprawy włoskiej i bodaj najcięższa. Bonaparte naszkicował w duchu plan tej bitwy, jak się rozwiązuje zadanie matematyczne, w którem odwaga jest bez znaczenia. Zagadnienie zostało wyrażone, ale nie mogło być rozwiązane, ponieważ było to równanie z wielu niewiadomemi — z pięciu co najmniej. Pięć kolumn austrjackich przedzierało się z wąwozów alpejskich na płaskowyże, a nikt nie mógł wiedzieć, kiedy i skąd każda z nich przybędzie i gdzie pójdzie. Prócz tego Austrjacy mieli świeże siły i walczyli dzielnie, jak nigdy dotąd, gdy natomiast Francuzi byli bardzo wyczerpani bezustannemi walkami i forsownemi marszami.

Bitwa rozpoczęła się o czwartej rano, około jedenastej sprawa Francuzów stała już rozpaczliwie źle: lewe skrzydło było okrążone i prawie zupełnie zniszczone; centrum, w której znajdował się Bonaparte, trzymało się jeszcze, ale każdej chwili mogło zostać przerwane. W tej chwili ruszyła do walki piąta i najmocniejsza kolumna austrjacka, jakby z pod ziemi wyrosła: wdrapała się była na strome skały, wylewała się z wąskiego wąwozu Incanale na pole bitwy i, druzgocząc wszystko na swej drodze, uderzyła na prawe skrzydło.

Wtedy zrozumiał Napoleon, że został okrążony i że zagłada jego jest prawie nieunikniona. Czterdzieści pięć tysięcy Austrjaków trzymało siedemnaście tysięcy Francuzów niby w żelaznych kleszczach. Gdyby w tej chwili jego twarz była drgnęła, gdyby się w jego rysach było coś zmieniło, to i na polu walki wszystko byłoby się zachwiało, a ucieczka byłaby niepowstrzymana.

* Tutaj, jak i indziej, pewne powtórzenia są nieuniknione, ponieważ te same wydarzenia wymagają oświetlenia z różnych stron.

Lecz twarz jego była spokojna, jak twarz człowieka, który rozwiązuje zadanie matematyczne. Rozwiązywał je dalej, aczkolwiek wiedział, że jest ono nierozwiązalne; wierzył w jakiś niedorzeczny obrót, niby w coś rozsądnego; oczekiwał cudu tam, gdzie na cuda miejsca niema — w matematyce. Spoglądając w jego twarz, także i żołnierze wierzyli w cud i cud się stał: piąta kolumna austrjacka została odrzucona w wąwóz Incanale, wieczorem wszystko było skończone, a nieprzyjaciel był pobity. Ale Bonaparte nie byłby umiał powiedzieć, a nawet myśleć o tem nie zdołał, ile go to zwycięstwo kosztowało i jak to było możliwe, że tego straszliwego dnia nie postradał zmysłów.

Lecz jeszcze straszliwsza od tego dnia była wieść, jaka nadeszła pod koniec bitwy, że austrjacki generał Provera maszeruje na Mantuę! Mantua, klucz całej Italji, mogła oto zostać utracona. Przepadło Arcole, na nic się zdała święta krew Muirona, a cud Rivoli nie był żadnym cudem, lecz poprostu absurdem. Matematyka zadrwić z siebie nie dała.

A Bonaparte? Czy twarz jego jeszcze wciąż jest spokojna? O nie, zmieniła się, bo oto krzyczy jak oszalały: „Do Mantui, żołnierze, do Mantui!“ Czy może tylko udawał szalonego i z dawnym swoim zapamiętałym spokojem rozwiązywał potworne równanie, które teraz wykazało nie pięć, ale wprost nieokreślone mnóstwo niewiadomych?

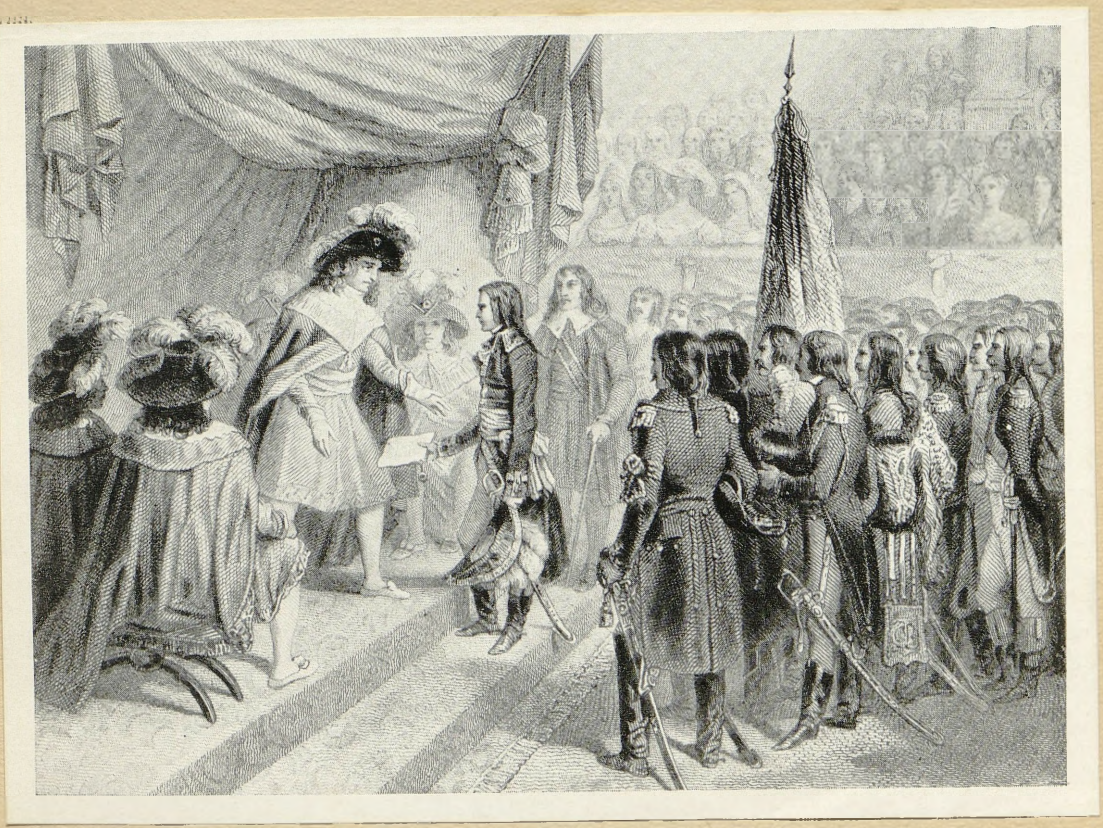
„Do Mantui!“ — zawołał na 32 półbrygadę, która dopiero tej nocy przybyła z Werony marszami pośpiesznemi. Bez wytchnienia rzuciła się w walkę i biła się z taką pogardą śmierci, że przez cały dzień trzymała w swych ręku losy bitwy. Była to ta sama półbrygada, z której niedawno jeden z żołnierzy odezwał się do niego: „Chcesz sławy generale? No to my ci tej sławy na... — Nous t'en f... de la gloire“.[23]

„Do Mantui! Do Mantui!“ — odpowiedziała 32 półbrygada, jakby i ona była szalona.

Od Rivoli do Mantui jest trzydzieści mil. Aby przybyć na czas, trzeba było maszerować, biec, przez całą noc, przez cały dzień, i znowuż bez wytchnienia rzucić się w walkę, sześć tysięcy ludzi przeciw szesnastu tysiącom, i zwyciężyć. Przybyli, walczyli i zwyciężyli pod Favoritą.

„Rzymskie legjony robiły podobno dwadzieścia cztery mile dziennie“ — pisał Bonaparte do Dyrektorjatu — „nasze zaś półbrygady robią trzydzieści mil, a podczas przerw walczą“.[24]

Co oznacza Favorita? Dwadzieścia dwa tysiące jeńców, cała artylerja, cały tabor nieprzyjacielski stają się łupem zwycięzców. Mantua zostaje przez Austrjaków opuszczona, tak samo Tyrol i cała Italja. Siedemdziesięcioletni marszałek polny Wurmser, uosobienie bohaterstwa, dusza cesarstwa austrjackiego, u nóg Bonapartego! Kampanja włoska jest ukończona, a Favorita — gwiazda szczęścia na niebie Napoleona — błyszczy niby wiekuisty diament.



TRAKTAT W CAMPO FORMIO
(według stalorytu K. Colin'a z obrazu D. Raffet'a).

A czem jest Favorita dla nas? Nie możemy o niej myśleć bez łez wzruszenia i zapału. Dla kogóż ronimy te łzy? Może lepiej nie mówić o tem; ale to dobrze dla nas wszystkich, że taka rzecz się stała.

Włoska kampanja była ukończona, ale ten koniec był dopiero początkiem. „Żołnierze! Wszystko to nic w porównaniu z tem, co nas jeszcze czeka". — „Dużo marszów pośpiesznych jeszcze nie zrobionych, wielu nieprzyjaciół jeszcze nie pobitych, mnóstwo wawrzynów jeszcze nie zerwanych, dużo zła nie pomszczonego... Naprzód, żołnierze!"[25]

Gdzie i kiedy zatrzyma się on wreszcie? Nigdzie i nigdy. Poprowadzi ich aż na koniec świata i jeszcze dalej, w nieskończoność. Razem z nim wzniosą się wysoko, jak cienie Osjana, upiorne obłoki, pędzone wichrem nad tarczą księżyca; wszyscy oddadzą życie swoje w rozpalonym piasku piramid albo w śnieżnych zaspach Berezyny, wszyscy staną się ofiarami, jak on. „Nieszczęsny! Żal mi ciebie; podobni tobie zazdrościć ci będą, a ty będziesz najnędzniejszy z pośród nich... Genjusze to meteory, przeznaczone na spalenie, aby świecić swoim wiekom".

„Bohaterskie dni Napoleona minęły" — kończy Stendhal swój opis wyprawy włoskiej.[26] Nie, nie minęły. W Napoleonie bohaterstwo może się skończyć dopiero z jego życiem, ale musi się przemienić. Nie będzie to zawsze taki lot cudowny, taka świeżość poranna i młodość, piorunami wrzący kubek wiosennej burzy, osjański, jakby nieziemski smutek, czystość ofiary; wyższy będzie lot, jaśniejsze słońce południowe, groźniejsza burza, bardziej królewska purpura zachodu, świętsze będą gwiaździste tajemnice nocy i większe dary ofiary — ale to już się nigdy nie powtórzy.

Dnia 17 października 1797 roku został podpisany pokój w Campo Formio, a 5 grudnia Bonaparte wrócił do Paryża. Dyrektorjat powitał go z jawnym zapałem i z utajoną zawiścią. Wobec Wielkiego lichota małych okazała się w całej pełni. „Oni go otrują!" — powtarzano sobie w Paryżu, pamiętając o nagłej śmierci generała Hoche'a.[27]

Gdy Napoleon bywa na obiadach u Dyrektorów w pałacu Luksemburskim, to nie tyka wina i potraw, dopóki nie spożyją z nich jego gospodarze; ci zaś uśmiechają się. Kul armatnich się nie boi, a lęka się trucizny? I cały Paryż owiewa łagodny uśmiech, przyćmiewający sławę bohatera.

„Czy myślicie może, że odnoszę tu zwycięstwa dla wywyższenia adwokatów Dyrektorjatu lub założenia republiki?" — pisał jeszcze podczas kampanji włoskiej. — „Nie, Francja potrzebuje wodza, a nie pyskaczy-ideologów... Ale czas jeszcze nie nadszedł, gruszka jeszcze nie dojrzała".[28]

Tymczasem wszakże czuje się w Paryżu skrępowany i przygnębiony. „Paryż ciąży mi niby płaszcz z ołowiu". — „Skrzydłom tym potrzeba wolnego

lotu w przestworze światowym. Tutaj on zmarnieje; precz stąd".[29] Dokąd — o tem powie mu jego wiedza wspominająca.

Już w pierwszych dniach rewolucji rozpoczęła się walka o panowanie nad światem między Francją a Anglją, między starym a nowym sposobem rządzenia. „Duch wolności, który republikę od dnia jej narodzin wysunął na czoło Europy, domaga się, aby Francja stała się także władczynią mórz i najdalszych krajów" — powiedział Napoleon w swojej odezwie do armji wschodniej.[30]

Plan desantu w Anglji omawiany był prawdopodobnie już w Komitecie Ocalenia Publicznego, który przekazał go Dyrektorjatowi. „Wszystkie wysiłki nasze zwrócimy ku flocie i zgnieciemy Anglję, a wówczas Europa legnie nam u nóg" — pisał Napoleon w dniu podpisania pokoju w Campo Formio".[31] Lecz w chwili, gdy został mianowany głównodowodzącym armji desantowej, miał już co innego w głowie.

„Tylko zajrzę na Północ i jeśli tam, jak przypuszczam, narazie nic się zrobić nie da, to nasza armja angielska stanie się armją wschodnią". — „Wasza Europa jest kretowiskiem! Tylko na Wschodzie, gdzie mieszka sześćset miljonów ludzi, można zakładać wielkie państwa i urzeczywistniać wielkie rewolucje".[32]

Przez Egipt dostać się do Indyj, aby tam zadać śmiertelny cios światowemu panowaniu Anglji, oto gigantyczny plan, „szaleńcza chimera, zrodzona w chorym mózgu". Ale im bardziej ta chimera jest szaleńcza, tem bardziej jest ona miła Dyrektorjatowi. „Niech idzie na Wschód; tam skręci kark!"

Dnia 19 maja 1798 roku Bonaparte wypłynął z portu Tulońskiego na fregacie „Orient", liczącej sto dział. Prowadził flotę, składającą się ze czterdziestu ośmiu okrętów wojennych i z dwustu osiemdziesięciu statków transportowych, wiozących czterdzieści osiem tysięcy żołnierzy. Flota ruszyła na Maltę ku Egiptowi.

Jego wiedza wspominająca powiedziała mu, że wzejść musi na wschodzie jak słońce.

Egipt. 1798—1799.

„Wszystkie prawdopodobieństwa były przeciwko nam, za nami ani jedno. Z lekkiem sercem ruszyliśmy na spotkanie zagładzie prawie zupełnie pewnej. Trzeba przyznać, że gra była szaleńcza i nawet powodzenie nie byłoby mogło usprawiedliwić jej" — pisze generał Marmont, uczestnik wyprawy egipskiej w swoim pamiętniku.[1]

Eskadra angielska admirała Nelsona stała na czatach wpobliżu Tulonu. Flota, to nie szpileczka: nawet gdyby dzięki jakiemuś cudowi zdołała opuścić port niepostrzeżenie, czyliż można było przypuścić, że tego pływającego

miasta, liczącego siedem kilometrów długości, Nelson nie dostrzeże na otwartem morzu w ciągu sześciotygodniowej żeglugi z Tulonu do Aleksandrji? A dostrzegłszy je, musiał przecie myśleć tylko o tem, w jaki sposób je zniszczyć.

I oto tysiące ludzi, ufając szczęśliwej gwieździe Bonapartego, postawiło na jedną kartę w tej szaleńczej grze swój los, życie, honor — słowem, wszystko. A przecież nie byli to ludzie myślący abstrakcyjnie, jak naprzykład członkowie Instytutu — chemik Berthollet, fizyk Monge, archeolog Denon, — którzy zgrubsza mogli być już obeznani z teorją prawdopodobieństwa ich kolegi Laplace'a; nie, śród nich byli także ludzie trzeźwi, doświadczeni, którzy naogół nie kwapią się popełniać szaleństwa.

„Popatrz na tego człowieka — rzekł bankier Collot do generała Junota: gdyby uważał za potrzebne, to bez żadnego namysłu kazałby nas pozrzucać z pokładu. A może i sami rzucilibyśmy się w wodę, aby mu się tylko przypodobać".[2]

Wnetże przy opuszczaniu portu zaczyna się szaleńcza gra: stawka za stawką, wygrana za wygraną, a cuda mnożą się tu w stosunku geometrycznym. Gdyby to nie było historją, to nie wierzyłoby się w to tak samo, jak się nie wierzy w baśni cudowne.

Właśnie na dzień, godzinę i minutę, gdy to jest potrzebne, mistral, wiejący z północo-wschodu, istna burza, pędzi eskadrę angielską daleko od wybrzeża, rozprasza ją na pełnem morzu i wyrządza statkom takie szkody, że na ich naprawienie potrzeba całego tygodnia czasu. Gdy eskadra powraca pod Tulon, Bonaparte jest od dni dwunastu w drodze. Nelson, który zupełnie trafnie przypuszcza, że flota francuska płynie ku Malcie, pędzi za nią, dogania ją i mija niezauważoną, jakgdyby Nereidy, śpiesząc na pomoc szczęśliwej gwieździe Napoleona, przyćmiły lunety angielskie mgłą morską.

Po dniach dziewięciu Malta poddaje się Francuzom prawie bez oporu. Tymczasem Nelson, który trafnie odgaduje kurs Bonapartego, kieruje się ku Aleksandrji; gdy i tam go nie znajduje, rusza dalej ku Syrji; gdyby był w Aleksandrji zabawił o jeden dzień dłużej, to flotę francuską byłby złapał z całą pewnością. Z masztu fregaty, którą Bonaparte wysłał na zwiady, widziano eskadrę angielską, wypływającą na pełne morze. Następnie przez cały miesiąc ściga Nelson znikającą upiorną flotę po morzu Śródziemnem, a w tym czasie dokonywa się właśnie okupacja Egiptu przez Francuzów.

Dnia 2 lipca o godzinie pierwszej w południe Bonaparte jako pierwszy wkracza na egipską ziemię. Tegoż samego dnia Aleksandrja, niegdyś stolica Wschodu, obecnie zaś marne miasteczko, liczące sześć tysięcy mieszkańców, zostaje wzięta niemal gołą ręką, a w pięć dni później armja francuska rusza na Kair, lecz nie brzegiem Nilu, na którego wodach mogłaby się czaić nieprzyjacielska flotylla, ale wpoprzek pustyni Damanhur.

Trzeba wiedzieć, czem jest egipska pustynia w lipcu i zdala od Nilu, aby zdać sobie sprawę, co armja znieść musiała w ciągu tego sześciodniowego marszu. Żołnierzom zdawało się, że wpadli w żar piekielny; wielu pomarło, wielu oszalało, nietyle z powodu gorąca, głodu i pragnienia, ile ze zgrozy. Doszło do dezercji, szemrania, niemal do jawnego buntu. Ale dość było, aby się Bonaparte pokazał śród buntowników, a natychmiast nastawał spokój, i żołnierze szli za nim kornie w gorejące piekło, jak cienie za Hermesem, przewodnikiem dusz.

Dnia 12 lipca ujrzeli Nil, którego wezbrane wody były bezkresne jak morze; rzucili się w jego fale, aby się wykąpać, i zapominali o wszystkich swoich mękach, jak cienie zmarłych piły zapomnienie z wodą letejską. Przez dalszych dziewięć dni maszerowano nad brzegiem Nilu, i nagle o świcie 21 lipca przed oczami żołnierzy zajaśniała fata morgana czarodziejskiej wizji z tysiąca i jednej nocy — Kair ze czterema setkami swoich minaretów, z ogromnym meczetem Dżemil-Azhar, Kair, umiłowane miasto Proroka, spadkobierca Memfisu i Heljopolisu. A obok miasta, na żółtej pustyni Gizeh, odcinając się od szaro-fioletowego tła dalekich gór Mokattamu, nurzały się w różowej mgle słonecznej blade sylwety olbrzymich zjaw. „Co to jest?“ — pytali żołnierze, a gdy im odpowiadano, że to są piramidy, groby królewskie, wierzyć nie chcieli, że te góry są dziełem ludzkich rąk.

Pod murami Kairu, w obozie Embabeh, czekała na nich sławna na całym Wschodzie jazda Mameluków, błyszcząca od stali, złota i drogich kamieni — także wizja Szeherezady. A na czele wszystkich, na łabędzio-białym smukłym koniu, kręcącym się tanecznemi ruchy, jedzie stary basza Murad-bej, władca Egiptu, w zielonym turbanie, spiętym brylantową agrafą.

„Będziemy rżnąć ich głowy jak arbuzy w polu!“ — zawołał, dowiedziawszy się, że Francuzi nie mają konnicy.[3]

Mamelucy, dzielni synowie pustyni, nie znali dyscypliny, nie wierzyli w żadne armaty — każdy z nich wierzył tylko w siebie i w swoją klingę damasceńską, w swego beduińskiego rumaka i w Proroka.

„Żołnierze, czterdzieści wieków spogląda na was z wyżyn tych piramid!“ — rzekł Bonaparte i ustawił pięć dywizyj w czworoboki, dodając po jednej armacie na każdym rogu. Było to pięć żywych twierdz, których mury jeżyły się groźnie bagnetami.

Pierwszy wściekły atak mameluckiej jazdy na prawe skrzydło, gdzie stał najdalej wysunięty czworobok generała Desaix, byłby je niemal rozbił, ale czworobok sformował się natychmiast na nowo. Nieubłaganie wolno wwiercały się czworoboki, niby żelazne kliny, w żywe ciało jazdy. Jeźdźcy krążyli dokoła nich i rozbijali się o nie żałośnie, niby fale o skalne wybrzeże; przypadali i odskakiwali, jak psy od nastawionych kolców jeża.



NAPOLEON POD PIRAMIDAMI
(według stalorytu G. A. Hennig'a, z obrazu A. Gros'a.)

Z bitwy stała się niebawem rzeź... Widząc, że los ich jest przypieczętowany, Mamelukowie popadli w szał wściekłości: po ostatnim wystrzale z pistoletu, po ostatnim ciosie jatagana, ciskali broń w twarz zwycięzców, a sami rzucali się na bagnety, chwytali je gołemi rękoma, gryźli zębami, a padając i umierając u nóg żołnierzy, próbowali gryźć ich jeszcze w nogi. Tak wydawała ostatnie tchnienie dzika wolność Azji u stóp oświeconej Europy.

Cały obóz Embabeh stał się łupem Francuzów. Żołnierze zaimprowizowali tu natychmiast targowisko, na którem sprzedawano i kupowano drogocenną zdobycz, zerwaną ze zwłok jeszcze nie ostygłych. Prócz tego nabywano i zbywano tu konie, siodła, czapraki, dywany, futra, srebro, porcelanę, wschodnie wina i przysmaki. Żołnierze jedli, pili, tańczyli i śpiewali pieśni rewolucyjne. Inni zaś, siedząc nad brzegiem Nilu, bagnetami, zgiętemi w haki i przywiązanemi do długich postronków, wyławiali z rzecznych fal złote ryby — zwłoki Mameluków, kapiące od złota.

A na to wszystko z wyżyn piramid spoglądało czterdzieści wieków.

Dnia 24 lipca armja francuska wkroczyła do Kairu. Tutaj Bonaparte przez dni trzynaście mógł myśleć, że połowa zadania wykonana: droga do Indyj otwarta. Ale siódmego sierpnia przyszła straszliwa wieść: Nelson wytropił wreszcie swoją zdobycz, flotę francuską w rejdzie Abukiru wpobliżu Aleksandrji, rzucił się na nią jak jastrząb na kurkę i zniszczył ją. Francuski admirał Brueys zginął w walce.

Los wyprawy egipskiej był przypieczętowany: Bonaparte, odcięty od Francji, złapał się we własne zwycięstwo jak mysz w pułapkę.

„Floty już nie mamy; pozostaje nam tylko zginąć, albo wyjść stąd wielkimi, jak starożytni bohaterowie!“ — mawiał do żołnierzy, ale gdy był sam, to chwytał się za głowę i wołał:

„Brueys, Brueys, nieszczęsny, coś ty mi zrobił!“[4]

Wiedział on — pamiętał — co to jest Abukir. Morze pokonało ląd, droga do Indyj zamknięta, — otwarta dokąd? Tego jeszcze nie wiedział — już zapomniał, ale pamiętał milczący los — pusta stronica uczniowskiego kajetu ze czterema zaledwie słowami: „Św. Helena, malutka wyspa“. Abukir to ojciec Trafalgaru i dziad Waterloo.

W taki sposób może po raz pierwszy zrozumiał Bonaparte, że „od wielkości do śmieszności tylko krok“. Olbrzymia chimera pękła niby bańka mydlana, góra porodziła mysz.

Znowuż zaczęło się w armji szemranie: „Żołnierze buntowali się, a generałowie także — wspomina Napoleon na św. Helenie. — Strach pomyśleć, ale zdaje się, iż dobrze się stało, że flota została w Abukirze zniszczona, bo w przeciwnym razie cała armja byłaby samowolnie wsiadła na statki“.[5]

W sztabie była zmowa, aby schwytać Bonapartego, przemocą zawieźć

go do Aleksandrji i tam przymusić do układów z Anglją, aby po zwróceniu jej Egiptu otrzymać prawo powrotu do ojczyzny. Spisek nie udał się tylko dlatego, iż wporę został odkryty.

Pękła jedna chimera — powstała inna, jeszcze większa: z trzydziestotysięczną armją, odciętą od podstawy operacyjnej, przebić się przez Syrję i Mezopotamję do Indyj śladem Aleksandra Wielkiego, wywołać powstanie całej Azji i na czele jej z ogromną armją przez Konstantynopol zajść Europie na tyły, aby założyć światowe panowanie nad Wschodem i Zachodem.

Całemi dniami, leżąc na podłodze na porozkładanych mapach, Bonaparte wymierzał cyrklem drogę do Indyj. Czy przypomniał sobie wtedy o tem, że jako ubogi porucznik artylerji w ubogiej izdebce koszar auxońskich przy nikłym blasku łojówki marzył: „Faraon Sezostris w roku 1491 przed narodzeniem Chrystusa zdobył całą Azję a morzem i lądem dotarł do Indyj"?

„W Egipcie czułem się wolny od krępujących pęt cywilizacji" — rzekł, gdy znajdował się już na wyżynach władzy jako cesarz. — „Widziałem się w duchu na drodze do Azji na grzbiecie słonia; głowę miałem owiniętą turbanem a w ręku trzymałem nowy Koran, ułożony przeze mnie. Był to najpiękniejszy okres mego życia, gdyż był najidealniejszy".[6]

Czyliż marzenia jego były naprawdę takie niedorzeczne, jak się zdawało? Generał Marmont, świetny znawca owoczesnej sytuacji Wschodu, a nie należący bynajmniej do wielbicieli Napoleona, zapewnia, że przewaga jakości nad ilością przy braku jakiejkolwiek wojennej techniki w Azji, nawet niebardzo licznej armji europejskiej mogła zapewnić bezgraniczne korzyści: armja taka byłaby wniknęła w ciało starego zbutwiałego kontynentu, jak ostra stal w miękki wosk. „Marzyłem i wiedziałem, że marzenia swoje mogę urzeczywistnić" — zapewnia sam Napoleon.[7]

Marzył o rekrutacji niezliczonych fellachów i czarnych autochtonów Afryki. Zaczynał już rozważać sprawę poselstwa do Mekki i treść pisma do jednego z sułtanów krain graniczących z Indjami.

Przeszkody duchowe były większe od przeszkód materjalnych: aby się naprawdę wyzwolić od europejskiej chrześcijańskiej cywilizacji, trzeba było odrzucić samoż chrześcijaństwo. Czy był na to zdecydowany, czy też udawał jedynie, że gotów jest uczynić to? W każdym razie był dość nieostrożny, że powtórzył swawolny żart lekkomyślnego króla: „Paryż wart mszy",[8] to znaczy: panowanie nad światem warte jest chrześcijaństwa.

„Wieczorami uprawiałem z bejami teologję i mówiłem im, że istnieje tylko jeden Bóg Mahometa i że niedorzecznością jest wierzyć, że trzy mogą być jedno. Zawsze miałem na ogniu siedem konewek z kawą i ani jeden z odwiedzających mnie Turków nie odszedł, nie wypiwszy u mnie filiżanki kawy".[9]

Być może, iż synowie Proroka wyczuli w nim tchnienie jego ducha, gdy nazwali go „Ognistym Sułtanem", ale bodaj że mu nie uwierzyli, iż jest „Wysłańcem Bożym", „drugiem Wcieleniem Proroka", nawet wówczas, gdy w odezwie jego do muzułmańskich szeików i ulemów czytali: „Od początku świata było w gwiazdach pisane, że zniszczę wszystkich nieprzyjaciół islamu, poobalam wszystkie krzyże a potem przybędę z Zachodu, aby spełnić swoje przeznaczenie". — „Tak sobie z nich żartowałem" — dodaje we wspomnieniach o owych czasach.[10] „Oczywiście, była to szarlatanerja, ale wyższego gatunku".[11] Wkońcu zapewnia: „Cała armja, idąc za moim przykładem, byłaby bez wahania zmieniła wiarę".

Ale gdyby rzeczywiście armja bezbożnych sankjulotów była się okazała gotową do takiego „żartu", to najwięcej byłby od niej ucierpiał on sam, podobnie jak „wolterjanin" generał Menou, który, przeszedłszy na islam, stał się pośmiewiskiem wszystkich.

Dnia 10 lutego 1799 roku rozpoczął Bonaparte wyprawę syryjską. Wbrew wszystkim swoim gigantycznym chimerom zdawał on sobie jednak sprawę, że armja idzie za nim jedynie dlatego, iż ma nadzieję wydostać się z niewoli egipskiej.

Straszliwą pustynię Synajską, po której Izrael błąkał się przez lat czterdzieści, przebyli Francuzi w ciągu dwóch tygodni. Dnia 25 lutego przybyli do Gazy, pierwszego miasta palestyńskiego; 6 marca zajęli Jaffę, gdzie trzeba było rozstrzelać dwa tysiące Arnautów wziętych do niewoli. „Nigdy jeszcze wojna nie wydała mi się tak ohydną!" — pisał Bonaparte do Dyrektorjatu.[12] Okrążając podnóże Karmelu, podeszli 17 marca do murów St. Jean d'Acre, starożytnej Ptolemaidy. W ciągu miesiąca z okładem przebyli od Kairu do Acre około siedmiuset kilometrów, bijąc się w drodze i oblegając twierdze.

Nędzna forteczka, chatka na kurzych łapkach, „une bicoque", jak się wyrażał Bonaparte, wydawała się mu łatwą zdobyczą. Ale los zadecydował inaczej. Oblężenie trwało dwa miesiące; pół armji straciło tu życie, ale twierdza się nie poddała. Gdy zaś angielski commodore Sydney Smith schwytał na morzu transport artylerji, przeznaczonej dla Bonapartego, własną swoją artylerję przerzucił do twierdzy i garnizon jej wzmocnił dwudziestu tysiącami bagnetów, wtedy zrozumiał Bonaparte, że Acre oznacza koniec wyprawy syryjskiej, jak Abukir był końcem wyprawy egipskiej. I znowuż morze pokonało ląd.

„Ziarnko piasku zamknęło drogę memu przeznaczeniu" — rzekł Napoleon na św. Helenie. — „Gdyby Acre zostało było wzięte, to armje francuskie byłyby się rzuciły na Damaszek i Aleppo i w czasie najkrótszym byłyby dotarły do Eufratu. Sześćset tysięcy chrześcijańskich Druzów byłoby się do mnie przyłączyło i kto może wiedzieć, do czego byłoby to doprowadziło? Byłbym

doszedł aż do Konstantynopola, aż do Indyj... byłbym przemienił oblicze świata!"[13]

Najgorsze było to, że nagle opadło go coś jakby ślepota — zapomniał, dokąd wzywało go przeznaczenie.

Stać dłużej pod murami Acre było niemożliwością. Dnia 24 maja przerwał Napoleon oblężenie i rozpoczął odwrót do Egiptu. Trzeba było przebyć tę samą przestrzeń siedmiuset kilometrów, tym razem wszakże z armją pobitą. Z Egiptu szli żołnierze z nadzieją w sercu, wracali do niego orgarnięci rozpaczą, jakgdyby człowiek żywcem pogrzebany wysilał się wydostać z grobu i opadał bezsilny, bo mu się to nie udało.

Lato owego roku było osobliwie gorące: trzydzieści sześć stopni Réaumura w cieniu. Stopy grzęzły w sypkim piasku pustyni, a na ciemię słońce zdawało się lać roztopiony ołów. Jak przed rokiem w pustyni Damanhuru, tak i tutaj ginęli ludzie w słonecznej spiekocie z głodu, pragnienia i wyczerpania; wielu postradało zmysły i odebrało sobie życie.

Bonaparte kazał oddać wszystkie konie chorym i rannym i razem z nimi maszerował piechotą. Śród chorych nie brakło i zadżumionych. Już w lazarecie w Jaffie chorych takich odwiedzał dwukrotnie, pocieszał ich, a raz pomagać miał nawet przy przenoszeniu jednego z chorych z łóżka na łóżko, aby lekarzom i żołnierzom pokazać, że dżuma nie jest taką straszną chorobą, za jaką uchodzi.

Maszerował z taborem, wciąż odpierając zbójeckie napady Beduinów, którzy roili się dokoła wojska, jak bąki i szerszenie dokoła do krwi obitych zwierząt jucznych. Dzielił udręki wszystkich, pocieszał i pobudzał żołnierzy. On sam na rękach swoich wyniósł z tego piekła całe wojsko, jak matka wynosi swe dziecko z płonącego domu.

Nie, bohaterskie dni Napoleona jeszcze nie minęły: Lodi, Arcole, Rivoli, cała wyprawa włoska była igraszką dziecinną w porównaniu z tym straszliwym pochodem. Rys ofiary w jego obliczu tutaj zaznaczył się wyraziście, jak nigdy dotąd. Rozżarzona ognista pustynia syryjska jest matką lodowatej pustyni z nad Berezyny. Kto wie, czy w porażkach swoich nie był on większym bohaterem, niż w swoich zwycięstwach.

Dnia 15 czerwca armja francuska przybyła zpowrotem do Kairu. Obie wyprawy: egipska i syryjska były stracone. Tego nie mógł wyrównać nawet świetnem zwycięstwem pod Abukirem, odniesionem 25 lipca, gdy siedemnaście tysięcy tureckich wojsk wylądowanych zepchnięto w morze.

Przez pół roku z Francji nie nadchodziły żadne wiadomości, tylko krążyły głuche wieści o jakiejś nieszczęśliwej wojnie. Nagle dowiedział się Bonaparte z gazet, które przypadkowo wpadły mu w ręce, że Francja znajduje się nad

skrajem przepaści: w kraju zamęt, nazewnątrz wojna; armja nadreńska pobita, włoska tak samo. Italja stracona — jego Italja.

Jakgdyby wielka światłość zajaśniała nad Napoleonem: przejrzał nagle, pojął, przypomniał sobie, dokąd wzywa go przeznaczenie.

Dnia 19 sierpnia w tajemnicy przed wszystkimi wyjechał z Kairu do Aleksandrji. Tutaj, także w sekrecie, kazał kontradmirałowi Ganteaume'owi przygotować dwie fregaty „Muiron" i „Carrère", które ocalały z pogromu pod Abukirem.

Dnia 23 sierpnia ukazała się odezwa: „Żołnierze! Wiadomości z Europy zmuszają mnie do opuszczenia Egiptu. Dowództwo armji przekazuję generałowi Kléberowi. Armja dowie się o mnie niebawem. Niełatwo przychodzi mi rozstać się z żołnierzami, do których przywiązałem się mocniej, niż do innych, ale nieobecność moja potrwa niedługo".

Czem jest generał, który opuszcza armję i ucieka z pola bitwy? Dezerterem. Tutaj wszakże miał do wyboru: sprzeniewierzyć się armji albo Francji. Poszedł tam, dokąd wzywało go przeznaczenie.

W nocy z 23 na 24 sierpnia Bonaparte na fregacie „Muiron" opuścił port, a nazajutrz wybrzeże egipskie zniknęło mu z oczu.

Znowuż zaczęła się szaleńcza gra: stawka za stawką, wygrana za wygraną, cuda mnożyły się w stosunku geometrycznym.

Sydney Smith, podobnie jak przedtem Nelson, pędzi za tym upiornym statkiem, i te same Nereidy mgłą morską przesłaniają jego lunety.

Pierwszy wiew wiatru, południowo-wschodniego, rzucił statki Bonapartego o czterysta kilometrów na zachód od Aleksandrji ku pustym wybrzeżom Wielkiej Cyrenajki, następnie wiatr przemienił się w stały północno-zachodni i powoli niósł statek wzdłuż afrykańskiego wybrzeża, zupełnej pustyni. Anglikowi nawet przez myśl przejść nie mogło, że Bonapartego tam właśnie szukać należy.

Dwadzieścia dni trwała ta beznadziejnie wolna żegluga pod wiatr i przeciw prądom morskim. Codzień z rana żeglarze mierzyli przebytą odległość i musieli stwierdzać, że się nie ruszyli z miejsca, lub nawet cofnęli się nieco. Dnia 19 września dotarli wreszcie do Wielkiej Syrty, gdzie nagle zapanowała zupełna cisza morska, poczem powstał wiatr południowo-zachodni i zapędził statki w cieśninę między przylądkiem Bon a Sycylją. Tutaj czatował angielski krążownik, ale Francuzi znaleźli się w cieśninie o pomyślnym dla nich zmierzchu wieczornym. Gdyby byli nadpłynęli choć o chwilę wcześniej, to nieprzyjaciel byłby ich dostrzegł; gdyby się zaś byli nieco spóźnili, to w ciemności sami nie byliby się mogli dostatecznie orjentować, aby ominąć niebezpieczne wybrzeże. W nocy dostrzegli światła angielskiego krążownika, a z rana stracili go z oczu.

Ten sam pomyślny wiatr południowo-zachodni zaniósł ich ku Korsyce; gdyby wiatr był nieco mocniejszy, to byliby się znaleźli śród floty angielskiej. Ale wiatr, który nagle zmienił się w pozornie niepożądanym dla żeglarzy kierunku północno-wschodnim, opadł nagle, jakgdyby był wykonał swoje zadanie, zaniósłszy Bonapartego do jego kolebki Ajaccio.

Dnia 7 października nastała pogoda pomyślna, i fregata „Muiron" leciała prosto ku wybrzeżom Prowancji, do Tulonu. Gdy żeglarze byli oddaleni od wybrzeża już tylko o czterdzieści kilometrów, nagle około wysp d'Hyères wynurzyły się przed nimi dwadzieścia dwa żagle — cała flota angielska. Dostrzegła ona francuskie fregaty i natychmiast rozpoczęła pościg.

„Zachodzące słońce świeciło nieprzyjacielowi prosto w oczy" — opowiada generał Marmont, który znajdował się na fregacie „Muiron". — „Widzieliśmy nieprzyjaciela całkiem dokładnie, sami wszakże, ponieważ osłaniała nas mgła wieczorowa, byliśmy mu niewidzialni. Nie mógł on ustalić miejsca naszych żagli i to jedynie uratowało nas. Była to ciężka chwila losowa. Ganteaume zaproponował Bonapartemu powrót na Korsykę, lecz on po minucie namysłu postanowił powierzyć się losowi i kazał jedynie zmienić kierunek na St. Raphael-Fréjus. Anglicy mniemali, że wypłynęliśmy z Tulonu, i ruszyli w pościg za nami na otwarte morze, gdy tymczasem my płynęliśmy prosto ku wybrzeżu".[14]

Nazajutrz 9 października Bonaparte wylądował we Fréjus i tegoż samego dnia wyjechał do Paryża.

„Nie będę się kusił opisywać entuzjazmu, jaki ogarnął całą Francję — pisze Marmont; — iskra, która strzeliła we Fréjus, przeleciała natychmiast cały kraj".[15] Była to iskra wschodzącego słońca.

18 brumaire. 1799.

„Tylko szaleniec lub łotr mógł pragnąć stłumienia rewolucji" — rzekł Napoleon po 18 brumaire'a,[1] a na św. Helenie się wyraził: „O 18 brumaire'a mówi się w wyrażeniach metafizycznych i jeszcze długo będzie się mówiło o tem, czy aby nie wykroczyliśmy przeciwko prawom i nie dopuściliśmy się zbrodni. Ale w najlepszym razie są to pojęcia oderwane, dobre tylko dla książek i dla mównic, lecz w obliczu władczej potrzeby nie zdały się one na nic. Tak samo możnaby oskarżać żeglarza, który ścina maszty, aby się uratować przed rozbiciem. Kierowniczy mężowie tego wielkiego przewrotu mogli oskarżycielom swoim odpowiedzieć, jak ów starożytny Rzymianin: Nasze usprawiedliwienie jest w tem, że uratowaliśmy ojczyznę, więc podziękujmy bogom".[2]

Tedy do ostatnich swoich dni Bonaparte wierzy lub wierzyć pragnie, że pokonał teror, czyli złą stronę rewolucji, a tem samem uratował jej stronę

dobrą, natomiast jakobini są przekonani, że zabił on całą rewolucję. Kto tu kogo oszukuje, lub kto jest oszukiwany?

„Powrót Bonapartego podobny był do wschodu słońca: wszystkie spojrzenia zwracały się ku niemu" — powiada generał Marmont w swoich wspomnieniach.[3] Wszystkie spojrzenia zwracały się ku niemu, ponieważ dopatrywano się w nim słońca pokoju po siedmioletniej nocy wojennej.

„Wiwat Bonaparte! Pokój! Pokój!" — wołały tłumy ludu, biegnące za nim przez całą Francję, od Fréjus aż do Paryża.[4]

„Wywalczyliśmy pokój, oto co we wszystkich teatrach, we wszystkich pismach prozą, wierszem i pieśnią bezustannie powtarzać należy" — wyraził się wieczorem 18 brumaire'a i bodaj że mówił szczerze, co myślał. Czem jest wojna, to wielki ten zdobywca wie lepiej od kogokolwiek. Pamięta on, co odczuwał w Jaffie, i przez całe życie nie zapomni o tem: „Jeszcze nigdy wojna nie wydała mi się tak ohydną!" Istotnie, chociaż może się to wydawać dość osobliwe, pragnienie pokoju było w nim równie mocne, jak pragnienie wojny. Celem wszystkich jego wojen jest panowanie nad światem, zjednoczenie wszystkich narodów w jeden związek braci, pokój światowy.

On nie zwodzi nikogo, ale wszyscy zwodzą się nim. Bonaparte to nie bóg wojny, ale bóg pokoju, oto jedno z tych wielkich „qui pro quo", jakie lubi niekiedy figlarz-los.

Nie zwodzi nikogo, a jeśli nawet to czyni, to nie rozmyślnie. Być może, iż, jak na polityka, jest on nawet zbyt prawdomówny. „Dość już partyj! Nie chcę ich więcej, nie ścierpię żadnej; do żadnej z nich nie należę; moją wielką partją jest naród francuski" — powiada w przededniu 18 brumaire'a, gdy walki partyjne goreją najżywszym ogniem i gdy porwała go była fala, która miała go wynieść wysoko.[5] Zgniecenie partyjnictwa oznaczało koniec wojny domowej, pokój wewnętrzny.

Dawny członek Konwentu, następnie deputowany do Rady Starszych, Bodin d'Ardennes, płomienny patrjota i republikanin, umarł nagle podobno z radości nad powrotem Bonapartego, w którym i on widział wschód słońca pokoju: rewolucja, republika były uratowane. Możnaby rzec, że ten biedak zmarł skutkiem nieporozumienia. Dla innych to samo nieporozumienie oznaczało życie.

Tej wichurze błędnych uczuć pozwala Napoleon „wznieść siebie ku mocy",[6] każe jej wydymać swoje żagle, jak niegdyś pomyślnemu wiatrowi żagle fregaty „Muiron"; samoułudzie całej Francji pozwala się otoczyć tak samo, jak mgle morskiej, gdy otaczała jego statek, ukrywając go przed oczyma Sydneya Smitha.

Zresztą niejeden czuje już, jak się rzeczy mają w istocie. „Opiekuńczy bóg, którego wzywam dla ojczyzny swojej, może być nawet despotą, byle

był genjuszem". Te prorocze słowa pisał pamflecista Saulot w roku 1792, gdy Bonaparte był jeszcze nieznany.[7] A w tym samym roku wypowiada się Lucjan Bonaparte o Napoleonie równie proroczo: „Zdaje się on posiadać zdolności tyrana i stanie się nim, gdyby miał dojść do władzy; wówczas imię jego stałoby się postrachem potomności".[8]

„Zobaczysz, mój drogi: po swoim powrocie sięgnie po koronę dla siebie" — przepowiadał generał Marmont generałowi Junotowi przy odjeździe do Egiptu.[9] A mówca klubowy we Fréjus, witając Bonapartego, który właśnie wylądował, woła: „Idź, generale, idź, i pobij nieprzyjaciela, a potem zrobimy cię królem, jeśli zechcesz!"[10]

Blask wschodzącego słońca opromienia całą Francję, ale przed Paryżem przygasa we mgle listopadowej.

Tutaj „nikt na niego nie czekał... Powrót jego nie wywołał żadnego osobliwego zapału... wydawał się on ucieczką... wyprawa egipska była traktowana jako przedsięwzięcie zgoła warjackie, sprawozdania armji wschodniej uważano za przechwałki, a samegoż Bonapartego za awanturnika".[11]

W kołach wojskowych był oskarżany o dezercję. Z czysto wojskowego punktu widzenia postępowania jego istotnie nie można było usprawiedliwić i dyrektor Sieyès miał rację, gdy, uskarżając się na jawnie impertynenckie zachowanie się Bonapartego względem niego, mówił: „Tego zuchwałego smyka należałoby rozstrzelać!"[12]

Generał Bernadotte proponuje Dyrektorjatowi oddać Napoleona pod sąd wojenny. „Nato nie jesteśmy dość mocni" — odpowiedział mu Barras.[13]

„Bonaparte miał do wyboru albo tron, albo szafot" — zapewniał generał Thiébault.[14] Jest w tem przesada, ale z pewnością wielu sobie tego życzyło i miało nadzieję, że się tak stanie.

Wogóle w salonach paryskich mówi się o Napoleonie niby o jakiejś ciekawej osobliwości, czy też nowej modzie, jak się naprzykład mówiło o fryzurze „à la grecque" zamiast „à la Titus." Już swoim wyglądem zewnętrznym wzbudza „bohater afrykański" powszechne zaciekawienie; najczęściej chodzi w dość dziwacznym ubiorze cywilnym, napoły Robinson, napoły bohater Szeherezady: w wysokim filcowym cylindrze, w długopołym zielonym surducie, przepasanym szerokim pasem ze wschodniego wielobarwnego szala, a za pasem krzywy turecki jatagan, obsypany brylantami. Wygląda tak nędznie, iż zdaje się, że „tygodnia nie przeżyje".[15] Pierś ma zapadłą, policzki tak samo, a cerę ma żółto-zieloną; tylko olbrzymie oczy błyszczą nieznośnym blaskiem.

Ciekawi biegają za nim, ale ujrzeć go zbliska niełatwo: pokazuje się tylko w Instytucie, pozatem nigdzie. W Instytucie otrzymuje święcenia ateistyczne od swoich dawnych i przyszłych wrogów, „ideologów", starych encyklopedystów, Volneyów i Cabanisów.

Zobaczyć go można tylko w domu Józefiny, w zacisznej ulicy Chantereine, która teraz na cześć Napoleona nazywa się rue Victoire.

Tam przechadza się po ogrodzie; opadłe liście szeleszczą pod jego stopami. Jak mało szelest ten przypomina zgrzyt pustynnego piasku w Syrji! I jak mało to lunatyczne światło słońca brumaire'a, grające na złotawej rdzy liści, na upiornej bladości wazonów antycznych, podobne jest do owego okrutnego słońca pustyni! A tam, za oknami domu, w półokrągłym salonie z pompejańskiemi malowidłami, ciała zachwycających kobiet, jaśniejące pod zwiewnemi tkaninami attyckiego peplum, jakże zgoła niepodobne są do straszliwych ciał jaffskich zadżumionych! Tak samo bronzowe sfinksy fotelowych poręczy nie przypominają prawdziwego Sfinksa, owo pierwsze wykute w kamieniu oblicze człowiecze, które spoglądało na ostatnie może oblicze Człowieka — l'Homme.

Po melodramatycznym zatargu z mężem z powodu pana Charles'a i innych amantów, Józefina bardzo szybko pogodziła się z mężem i niby niegdysiejsza Cyrce gorliwie stara się omotać swemi siećmi najgorszych nieprzyjaciół Bonapartego i poprzemieniać ich w poczciwe zwierzęta domowe. W taki sposób zostaje obłaskawiony dyrektor Sieyès, i los swój łączy ostatecznie z losem „zuchwałego smyka", którego dopiero co chciał był rozstrzelać.

Tutaj przy ulicy Victoire kuje się też plan przewrotu. Jest on bardzo prosty: konstytucja ma zostać zabita przez konstytucję. Pod pozorem rzekokomego sprzysiężenia terorystycznego posiedzenia obu Rad, wyższej — Rady Starszych, i niższej — Rady Pięciuset, mają zostać przeniesione do pobliskiej miejscowości Saint Cloud; dla przeprowadzenia tego zarządzenia Bonaparte mianowany został głównodowodzącym wszystkich wojsk okręgu paryskiego i całego rejonu konstytucyjnego.

Wszystko miało się odbyć zgoła po korsykańsku i po familijnemu. Główną osią przewrotu będzie Lucjan Bonaparte, dwudziestoczteroletni prezydent Rady Pięciuset, ów „łobuziak" — briconcello — który niegdyś tak zręcznie wysadził w powietrze beczkę prochu pod starym ojczulkiem Paolim; teraz podpaliłby beczkę z prochem pod całą Francją. Prócz tego jest tu jeszcze generał Murat, mąż Karoliny Bonaparte, i generał Leclerc, narzeczony Pauletty; jako dowódca kawalerji w St. Cloud, miał Murat otoczyć gmach zamku, w którym odbywać się będą posiedzenia obu Rad. Reszta sprzysiężonych należała także do rodziny; były to ptaki wywodzące się z gniazda Bonapartów: generał Berthier, szef sztabu najwyższego, Lannes, dowódca piechoty, Marmont, szef artylerji, Sebastiani, korsykanin, dowódca oddziałów dragonji. On to miał już w pierwszym dniu przewrotu zamknąć Radę Pięciuset w pałacu Bourbonów w Paryżu.

Dyrektorjatu nie trzeba było się obawiać: składał się on tylko ze „zgnił-

ków" — les pourris — jak wówczas określano partję rządową. Najbardziej „zgniły" był Barras, który miał „wszystkie występki dawnych i nowych czasów", Barras, uosobienie wyuzdania, podczas gdy Sieyès, ksiądz, pozbawiony godności kapłańskiej i królobójca, reprezentował ucieleśnioną „ideologję", to znaczy bezsilność. Był to „homunculus" w słoiku, ojciec niezliczonych konstytucyj poronionych. Czyż takim ludziom Bonaparte nie miałby dać rady?

Na dzień przewrotu wybrano 16 brumaire'a, potem odłożono go na piątek 17-go, ale Bonaparte jest zabobonny i boi się ciężkich dni, więc na jego naleganie termin zostaje jeszcze raz odsunięty na 18 brumaire'a (9 listopada).[16] Wygląda to na szaleństwo. Czyż od stu pięćdziesięciu sprzysiężonych można wymagać przestrzegania tajemnicy przez czterdzieści osiem godzin? Okazało się jednak, że można; nikt tajemnicy nie zdradził. „Tak wielkie było pragnienie przewrotu";[17] tak dalece „gruszka dojrzała".

W posępny dzień 18 brumaire'a zgromadziła się Rada Starszych — le Conseil des Anciens — naskutek wezwań porozsyłanych w nocy, między siódmą a ósmą rano, w ponurej sali Tuilerjów, gdzie zazwyczaj odbywała swoje posiedzenia. Stojąc, wysłuchała Rada pośpiesznie ułożonego sprawozdania o rzekomem sprzysiężeniu terorystów przeciwko wolności i ojczyźnie, i natychmiast, bez jakichkolwiek rozpraw, wydała dekret przeniesienia posiedzeń obu Rad do St. Cloud na południe dnia następnego. Wykonanie dekretu powierzone zostało generałowi Bonapartemu, jako nowomianowanemu wodzowi głównemu paryskiego okręgu wojskowego. Tylko pierwsza część dekretu odpowiadała prawu; część druga obrażała konstytucję: Rada Starszych nie miała prawa mianowania głównodowodzących. Tutaj właśnie już się zaczynał przewrót: jego oś wykonała niedostrzegalny obrót.

Około dziesiątej przybył Bonaparte ze szwadronem dragonów generała Sebastianiego do zamku i w otoczeniu wspaniałej świty swoich generałów wkroczył do sali posiedzeń.

Po raz pierwszy w życiu był Bonaparte zmuszony wygłosić mowę przed zgromadzeniem parlamentarnem. Ten mówca, miotający pioruny w swoich odezwach do armji i w rozmowach z poszczególnemi osobami, nie umiał rozmawiać z tłumem; dość osobliwy był więc widok tego człowieka, który umiał niewzruszenie stać pod gradem kul, ale mieszał się i popadał w zakłopotanie pod spojrzeniami „pyskaczy-adwokatów". „Gdy wygłaszał mowy, to wszyscy dostrzegali braki jego wymowy" — twierdzi jedna z jego współczesnych. „Mowy układano dla niego specjalnie, przepisywano je dużemi literami, a następnie uczono go wymowy, ale, jak tylko zaczynał przemawiać, zapominał o lekcji i wszystko odczytywał z karty głosem zduszonym, ledwo otwierając usta, z akcentem nietyle cudzoziemskim, ile raczej obcym, co zawsze wywierało wrażenie przykre: ten niezaprzeczony rys jego obcego

pochodzenia niemile raził ucho i zmysły".[18] Nie był Francuzem, nawet Korsykaninem nie był, i nikt nie wiedział, czem on był właściwie: był to człowiek bez ojczyzny.

„Republika była skazana na zagładę! — rzekł Bonaparte. — „Zrozumieliście to i wydaliście dekret, który ją uratuje... Nic w dziejach świata nie dorówna końcowi stulecia XVIII; nic w stuleciu XVIII nie dorasta do tej chwili. Przy pomocy wszystkich przyjaciół wolności, tych wszystkich, którzy konstytucję powołali do życia i strzegli jej, będę jej stróżem. Pragniemy republiki ugruntowanej na wolności i równości, na świętych podstawach przedstawicielstwa narodowego, i mieć ją będziemy. Przysięgam na to!"

„Przysięgamy!" — powtórzyli wszyscy generałowie świty jak jeden mąż, a z trybun ozwały się grzmiące oklaski.[19]

„W taki sposób zaprzysiągł wierność konstytucji, którą zniweczyć pragnął" — zauważył generał Marmont.[20]

Z sali posiedzeń wyszedł Bonaparte do ogrodu zamkowego, aby pokazać się wojsku. Za oddziałami wojska stał niewielki tłum ludu. Na twarzach malował się spokój, czy nawet obojętność.

Przy opuszczaniu pałacu zauważył Bonaparte wysłańca Barrasa, a mianowicie jego sekretarza Bottota, małego, słabowitego człowieczka, który daremnie starał się dotrzeć do niego przez tłum. Natychmiast Bonaparte uczynił go kozłem ofiarnym za błędy Dyrektorjatu. Podszedł do Bottota, w ciągu minuty słuchał jego niezrozumiałego paplania, ujął go za ramię, odsunął zlekka na stronę i, zwracając się do wojska i tłumu, zawołał głosem doniosłym:

„Wojsko połączyło się ze mną; ja łączę się z Izbą prawodawczą!"

Drżenie przeszło przez wojsko a także przez spokojny tłum.

„Coście z Francją zrobili?" — mówił Bonaparte dalej, spoglądając na Bottota płonącem okiem. Teraz nie czytał z karty, ale mówił prosto z serca, twarzą w twarz. „Coście z Francją zrobili?... Zostawiłem wam pokój, a znajduję wojnę; zostawiłem wam zwycięstwa, a znajduję porażki, zostawiłem wam miljony Italji a znajduję zbójeckie ustawy i ubóstwo. Co zrobiliście z setkami tysięcy Francuzów, towarzyszami mojej sławy? Wszyscy oni poginęli. Tak dalej iść nie może, bo w ciągu mniej niż trzech lat dojdziemy do despotyzmu... Garstka buntowników twierdzi, że jesteśmy wrogami republiki, my, którzy trudem swoim i bohaterstwem umocniliśmy ją! Nie, nie chcemy patrjotów lepszych od tych dzielnych bojowników, którzy za ojczyznę krew swą przelewali!"

„Niech żyje Bonaparte! Niech żyje republika!" — wołali żołnierze z zapałem, a tłum wtórował ich okrzykom.[21]

Wszystko szło jak z płatka. W ciągu dnia jeden z dyrektorów, Barras, zgłosił swoją dymisję; dwaj z nich, Sieyès i Ducos, połączyli się z Bonapartem;

Gohier miał areszt domowy w pałacu Luksemburskim, a generał Moulin nic już zrobić nie mógł, bo nie rozporządzał żadnemi siłami wojskowemi.

W tym samym czasie odbywało się posiedzenie Rady Pięciuset w pałacu Bourbońskim. Jakobini, do których należała większa część Rady Pięciuset, otrzymali wiadomość o rzekomem terorystycznem, to znaczy ich własnem, sprzysiężeniu; zdawali sobie sprawę z bliskiego przewrotu i szaleli w bezsilnej wściekłości. Szwadron kawalerji generała Sebastianiego otoczył był zamek. Na widok miedzianych kasków rzymskich i dobytych szabel dragonów „pyskacze-adwokaci" wspominali może 13 vendemiaire'a; co im wówczas zagrażało, to spełniało się teraz: nadszedł koniec ich władzy. Najodważniejsi z nich chcieli podburzyć przedmieścia Paryża. Ale czasy były już inne: przewrót dokonywał się, a nawet rzec można, był już dokonany, — i nikt tego nie zauważył. Wszędzie panował niezamącony spokój; nawet wietrzyk nie powiał, nawet listek nie poruszył się na drzewie: była to najcichsza ze wszystkich rewolucyj.

Tak zwana Oranżerja, długa wąska galerja w zamku St. Cloud, gdzie Rada Pięciuset miała obradować 19 brumaire'a, wbrew swoim dwunastu wysokim oknom, zajmującym całą ścianę i wychodzącym na ogród, wbrew kolumnom korynckim i sztukaterjom we wzniosłym stylu Ludwika XIV, przypominała pustą stodołę. Od wczesnego ranka tapicerowie krzątali się na swych drabinkach i stukali; aby gołe ściany jako tako przesłonić, obijano je tkaninami i dywanami.

Było zimno i wilgotno, tak, że przed ustami widać było parę. W kącie stał rozpalony żelazny piec a deputowani grzali się przed nim. Bonaparte wszedł do sali, badał, czy wszystko w porządku, i pobudzał tapicerów do pośpiechu. Młotki stukały, w piecu buzował ogień. Nagle z gromadki deputowanych wyrwał się okrzyk i to taki głośny, że Napoleon nie mógł udać, iż go nie słyszy:

„Ach, ten zbójca! Ach, łotr!"[22]

Na dziedzińcu zamkowym i w ogrodzie, mokrym jeszcze po wczorajszym deszczu, znalazło się pomimo chłodnego wiatru tego jasnego dnia jesiennego kilka grup deputowanych. Członkowie Rady Pięciuset porozumiewali się z członkami Rady Starszych. Zwlekanie zaczynało grozić niebezpieczeństwem. Nietylko radykałowie, ale i wielu umiarkowanych, zaczynali się niepokoić, widząc, że zamek otoczony jest wojskiem, i wspominając wczorajszy dyktatorski gest Bonapartego: można było wpaść we własne sidła.

„Chce się stać Cezarem, chce być Kromwelem! To się musi skończyć" — mówili najbardziej rezolutni.[23]

Biła dwunasta, pół do pierwszej, pierwsza. Wreszcie sala dla obrad Pięciuset była gotowa.

W długich płomienno-czerwonych togach rzymskich, w wysokich rzym-

skich trzewikach koturnowych i w dziwacznych czapkach na cztery rogi, zdobionych pióropuszami z trójkolorowych piór kogucich, wkroczyli prawodawcy do pustej, chłodnej stodoły, czyli Oranżerji.

Prezydent, Lucjan Bonaparte, otworzył posiedzenie. Niemal bezpośrednio po jego słowach powstały krzyki:

„Precz z dyktatorami! Jesteśmy wolni! Nie pozwolimy zastraszyć się bagnetami!"

Ktoś zaproponował powołanie komisji do zbadania „sprzysiężenia", ów powszechny środek nasenny parlamentów. Ale jakobini słyszeć o tem nie chcieli i hałasowali dalej. Lucjan dzwonił. Wygwizdywano go, grożono mu, sykano. Gromada deputowanych oblegała trybunę i krzyczała:

„Konstytucja albo śmierć!"

Wreszcie uchwalono, że każdy z deputowanych ma złożyć przysięgę na konstytucję. Lucjan był zadowolony: wrogowie Bonapartego stracą dużo drogocennego czasu, jego zaś przyjaciele zyskają na czasie.

Ceremonja składania przysięgi była powikłana i przewlekła. W ciągu pierwszych pięciu minut mogło było złożyć przysięgę zaledwie trzech deputowanych. Gdyby dalej szło tak samo, to cały dzień nie wystarczyłby dla pięciuset przysięgających. Ceremonjał został przyśpieszony i około czwartej składanie przysięgi było ukończone.

Rada Starszych, która obradowała w jednej z sal sąsiednich, zachowywała się z większem dostojeństwem. Ale i ona była bezradna. Deputowani prosili członków specjalnej komisji, która już wczoraj została mianowana dla zbadania „sprzysiężenia", aby się dokładniej wypowiedzieli, jak jest właściwie ze sprawą sprzysiężenia i jakie niebezpieczeństwo zagraża wolności i ojczyźnie. Ale komisja nie mogła udzielić odpowiedzi zadowalającej, ponieważ sama nic nie wiedziała, więc odpowiadała ogólnikami. Doszło wreszcie do ogólnej dyskusji, nie mającej końca. W tej doniosłej chwili, gdy ważyły się losy rewolucji, a tem samem i losy tych „gadatliwych ideologów", nad których głowami miecz Cezara już się unosił, ci gadali bezustannie, pławiąc się w krasomówczej frazeologji, nie mogli dojść do żadnej decyzji i uchwalili ostatecznie wszystko odłożyć na później, posiedzenie przerwać i czekać, co się będzie działo dalej.

Tymczasem Sieyès przebywał w jednej z dolnych sal zamku — skutkiem nierówności gruntu sale znajdowały się na różnej wysokości — w przyszłej pracowni cesarza, która była ogromną, wspaniale złoconą komnatą, ale całkiem pustą, bo stały w niej tylko dwa fotele; na jednym z nich siedział Sieyès, przy kominie, z twarzą pozieleniałą od chłodu, bardziej niż kiedykolwiek przypominający „homunculusa". Ogień palił się źle; w braku szczypiec poprawiał Sieyès płonące drwa polanem. Zdawało się jednak, że ani żar komina, ani nawet słońce, nie mogłoby ogrzać bezkrwistego ciała „homunculusa".

Bonaparte chodził po komnacie tam i sam, z „miną zdradzającą wzburzenie". Co pięć minut przybywał adjutant Lavalette z meldunkiem z sali Rady Pięciuset. Wiadomości były złe: kilku jakobinów wybrało się już było do Paryża, aby podburzyć przedmieścia. Wprawdzie samo przez się nie groziło to niebezpieczeństwem, ale w takiej wyjątkowej sytuacji nie można było wiedzieć, co chwila następna przyniesie. Daleko niebezpieczniejsze było to, że jakobińscy generałowie, Jourdan i Augereau, najwięksi wrogowie Bonapartego, przybyli do St. Cloud. Oczekiwano także Bernadottego, który niczego tak nie pragnął, jak oddania Bonapartego przy pierwszej lepszej sposobności pod sąd, teraz już nietylko jako „dezertera", ale też jako „zbrodniarza stanu".

Bonaparte czuje, że działać trzeba, nie tracąc ani jednej minuty. Idzie tedy bez świty, w towarzystwie jedynie dwóch adjutantów, rzędem pustych komnat do Rady Starszych. Tem obraża prawo, które niepowołanym zabrania wkraczać do sali bez wezwania Rady. Wkracza do niej burzliwie, niemal wbiega pędem; na środku sali przed krzesłem prezydenta staje i zaczyna przemawiać.

Mówi źle, jest zmieszany, jak zwykle wobec zgromadzenia; zapomina, o czem chciał powiedzieć, plącze się i gubi w górnolotnych frazesach; słowa grzęzną mu w krtani, albo też płyną bez związku.

„Obywatele, siedzicie na wulkanie... Pozwólcie mi, jako żołnierzowi, mówić otwarcie... Jestem oczerniany, mówią o Cezarze i Kromwelu, o dyktaturze... Gdybym dążył do czegoś podobnego, czyliż śpieszyłbym tutaj, aby wspomóc przedstawicieli ludu?... Niema czasu do stracenia... Republika nie ma żadnego rządu... Tylko Rada Starszych pozostała jej jeszcze... Ona musi przedsięwziąć kroki — a co ona rozkaże, to ja wykonam. Ratujmy wolność, ratujmy równość!"

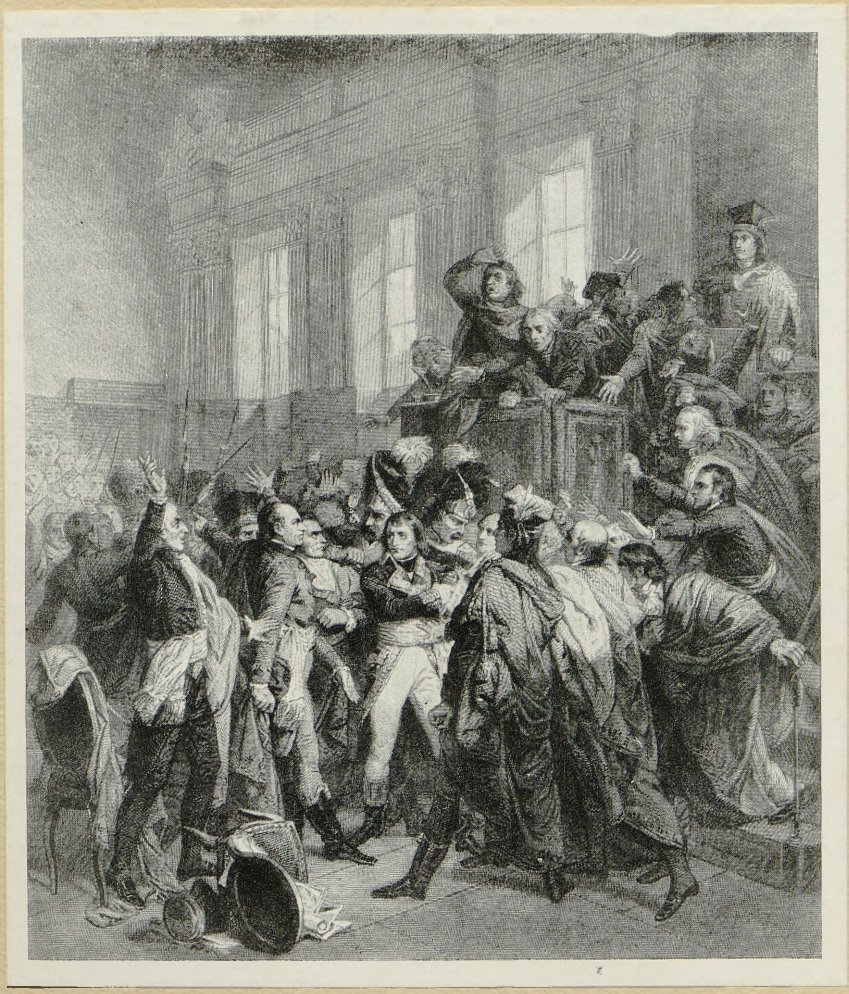
„A konstytucja?" — przerywa mu jakiś głos.

„Przeciw konstytucji wykroczyliście sami" — mówi Bonaparte dalej po krótkiem przykrem milczeniu. — „Nikt już nie zwraca na nią uwagi. Powiem wszystko..."

„No, wreszcie odsłoni przed nami tajemnice sprzysiężenia!" — uradowali się szczerze przyjaciele Bonapartego. Ale, niestety, ich radość trwała niezbyt długo, bo nie odsłonił on nic i zadowolił się takiemi samemi frazeologicznemi ogólnikami, jak przedtem komisja.

„Nie, obywatele, nie jestem intrygantem" — zakończył zgoła niespodzianie. — „Sądzę, iż miłości swej dla ojczyzny dowiodłem dostatecznie... Lecz jeśli ja miałbym być wrogiem ojczyzny, to wy wszyscy bądźcie Brutusami!"

Czuje, że utracił grunt pod nogami i zmieszał się ostatecznie, niby nowicjusz na scenie lub próżniak podczas egzaminu.



18-TY BRUMAIRE'A
(według stalorytu J. Geoffroy'a z obrazu Fr. Bouchot'a.)

W sali zapanował wrzask i hałas.

„Nazwiska, wymień pan nazwiska!“

Lecz on nie wymienia żadnych nazwisk, mówi dalej niejasno i mętnie, nie znajduje właściwego tonu, wpada w przesadę. Nagle próbuje deputowanych zastraszyć. Przypomniał mu się pewien frazes, którego użył niegdyś przed szeikami w Kairze:

„Obywatele, pamiętajcie, że towarzyszy mi bóg wojny, bóg zwycięstwa!“

Frazes ten przywiódł długobrodych szeików i nauczycieli islamu do jego stóp, ale na francuskich prawodawcach nie wywarł żadnego wrażenia. Powstał szmer niezadowolenia.

„Wy zaś, moi towarzysze wojenni, uczestnicy moich walk, dzielni moi grenadjerowie“ — woła Bonaparte, zwracając się do straży, stojącej przy drzwiach — „uważajcie i, gdyby który z mówców podpłaconych przez zagranicę odważył się wymówić słowa: poza prawem, wymierzone przeciwko waszemu generałowi, niech wojenny wasz piorun spadnie na jego głowę!“

Przewodniczący przerywa mu, stara się go uspokoić i przywołać do tematu sprzysiężenia. Napróżno. Bonaparte trzyma się swoich ogólników, jakgdyby nagle sam stał się jednym z pyskaczy-adwokatów.

„Jeśli zginie wolność, wy odpowiecie za to przed światem, przed potomnymi, przed ojczyzną!“ — krzyczy, jakby się zapadał w przepaść, i wybiega z sali niby wygwizdany aktor albo uczniak ścięty przy egzaminie.

„Augereau, czy pamiętasz jeszcze Arcole?“ — pyta jakobińskiego generała, przebiegając obok niego.

Ów uśmiecha się w milczeniu, a ten uśmiech mówi Bonapartemu, że naprawdę nastało dla niego nowe Arcole; i tak samo, jak wtedy, on sam, z chorągwią w ręku, pod ogniem kartaczownic rzucał się na most, tak teraz rzuca się w piekło jakobinów, w Radę Pięciuset.

W wąskiem przejściu, wiodącem z zamku do Oranżerji, panuje taki ścisk, że Bonaparte ze swoją świtą, która w drodze przyłączyła się do niego, przebija się jedynie z wielkim trudem. Świta zatrzymuje się u drzwi. Bonaparte wchodzi do sali sam. Tutaj wre jeszcze ciągle burza parlamentarna. Z trudem przeciska się Bonaparte śród deputowanych i dociera do trybuny. Zrazu nie dostrzegają go. Nagle powstaje niesłychany wrzask, krzyk, wycie:

„Precz z dyktatorem! Precz z tyranami! Poza prawem! Poza prawem!“

Jakobini otaczają Bonapartego, tłoczą się dokoła niego, rzucają się na niego z pięściami, chwytają go za kołnierz. Pod ciężarem nacierających na niego ciał, pod palącemi oddechami, które zieją z ich ust razem z dzikiemi wyzwiskami, blednie on i chwieje się. Jeszcze chwila, a będzie musiał paść nieprzytomny.

„Sztylety połyskiwały nad jego głową“ — zapewniać będą później przy-

jaciele Bonapartego, a wrogowie przeczyć. Czy sztylety połyskiwały rzeczywiście, tego nie wiemy; w każdym razie było to możliwe.

Grenadjerzy, którzy stali przy drzwiach na warcie, widzieli swego generała w niebezpieczeństwie. Rzucają się mu na pomoc i kułakami odtrącają deputowanych nabok; dowódcy czynią to samo. Na miejscach, przeznaczonych dla publiczności, tłoczą się wystraszeni mężczyźni i kobiety i zamykają wyjścia; inni, stojący w niszach okiennych, rozwierają okna i wyskakują do ogrodu. Wszędzie jest zamęt, bijatyka, wycie, wrzaski kobiet.

„Niech żyje Bonaparte!“ — wrzeszczy jakaś kobieta, jakby ją zarzynano, a głosy z tłumu odpowiadają jej.

Żołnierze i dowódcy biją się z deputowanymi. Jeden z nich zaplątał się nogami w dywanie i jak długi zwalił się na ziemię. Jednemu z grenadjerów rozerwano rękaw od góry do dołu.

Bonaparte staje się przedmiotem napaści jakobina Destrema, olbrzyma o sile Herkulesowej.

„A więc na to zdobywałeś swoje zwycięstwa!“ — krzyczy mu Destrem prosto w twarz, a pięść jego ciężko opada na ramię Bonapartego. — „Ale pięść Destrema nie była gorsza od każdej innej pięści“.

Wreszcie grenadjerzy przecisnęli się do Bonapartego, wydzierają go z rąk opętańców i osłaniają własnemi piersiami. Olbrzym Destrem jeszcze ciągle wali pięściami w grenadjerów i rozdaje im ciosy, przeznaczone dla ich generała. Dwaj grenadjerzy wyprowadzają Bonapartego, niosąc go niemal na rękach. Jego twarz jest trupio blada i wykrzywiona, oczy są zamknięte; głowa zwisa mu przez ramię i chwieje się, jak łeb drewnianej kukły. To ma być „bóg wojny, bóg zwycięstwa?“

„Poza prawem! Poza prawem!“ — wyją opętańcy na sali.

Ongi za dni Teroru okrzyk taki oznaczał śmierć. Topór gilotyny spadał po tych słowach nieuniknienie. Teraz siła tych słów osłabła, ale pomimo to są one jeszcze dość groźne.

Deputowani wdrapują się na trybunę, walą w nią pięściami tak mocno, jakby ją chcieli rozbić na drzazgi, i domagają się natychmiastowego głosowania nad wyrokiem: „Poza prawem!“

Ale przewodniczący Lucjan umie zapanować nad sytuacją. On jeden jest spokojny i niewzruszenie trwa na trybunie, niby skała śród szalejących fal. Dokonywa cudu: zażegnywa burzę, a gdy nastaje cisza, rzuca kilka uspokajających słów w obronie brata.

Krzyki ponawiają się wszakże natychmiast.

„Bonaparte splamił dzisiaj swoją sławę! Tfy!“

„Bonaparte występował jak jaki król!“

„Prędzej, prezydencie, każ głosować!“

Zgodnie ze starym obyczajem z czasów Teroru jakobini przechodzą z „panie", na „ty".

Ktoś głosuje za czemś, ale w hałasie nie można dosłyszeć, co on zacz i na co oddaje swój głos. Jest tu tak samo, jak poprzedniego wieczora było w pałacu Bourbońskim: bezradne zgromadzenie nie może ruszyć z miejsca. Wrzawa staje się śmieszna i wstrętna.

Bonaparte zeszedł do sali dolnej. W pierwszych chwilach jest on tak dalece wzburzony, że rzuca tylko słowa bez związku i nikogo nie poznaje.

„Generale" — zwraca się do Sieyèsa — „oni chcą mnie ogłosić za znajdującego się poza prawem".

Sieyès jeszcze ciągle siedzi przy kominie, jest zziębnięty i rozgrzać się nie może. Spogląda na Bonapartego okiem spokojnem, jakgdyby go to wcale nie dziwiło, że został awansowany na generała. Bez najmniejszego poruszenia w „homunculusowej" twarzy, wypowiada z godnością, odpowiadającą swemu stanowisku, te prorocze słowa:

„Oni sami znajdą się poza prawem!"

A po chwili namysłu dodaje tonem stanowczym:

„Nadeszła chwila, w której trzeba zacząć tłuc szablami!"

Ale, aby zacząć tłuc szablami, trzeba móc zaczepić się choćby o strzępek prawa.

„Poza prawem! Generał Bonaparte został ogłoszony za znajdującego się poza prawem!" — krzyczą dwaj wysłańcy Talleyranda, wpadając na salę.

Bonaparte dobywa szpady, biegnie ku oknu, rozwala je i, niby na polu bitwy, zwraca się do wojska, stojącego na dziedzińcu, i woła:

„Do broni! Do broni!"

Okrzyk biegnie od bataljonu do bataljonu i długo nie milknie. Chóralne echo historji podchwyci go i poniesie coraz dalej i dalej, aż na koniec świata.

Bonaparte rzuca się na dziedziniec, wskakuje na konia i pędzi na front stojących przed zamkiem wojsk rządowych.

„Żołnierze! — krzyczy — czy mogę na was liczyć?"

Grenadjerzy milczą i może myślą w duchu: „Niechże się panowie wodzą za łby, a nam co do tego?"

Sieyès, który wygląda oknem, dostrzega nawet jakiś podejrzany ruch w szeregach, jakgdyby żołnierze rzucić się chcieli na Bonapartego.

Lecz on galopuje dalej do swoich wiernych dragonów i wojsk linjowych. Tam wita go burza entuzjastycznych okrzyków. Na znak, dany przez niego, nastaje cisza, a Bonaparte przemawia do dowódców. Skarży się na Radę Pięciuset, „podłych zdrajców, najmitów Anglji".

„Ja im powiadam, jak należy ratować republikę, a oni chcą mnie zabić!"

Wygląda straszliwie; po jego twarzy spływa krew. Przed chwilą w pierw-

szych minutach rozpaczy rozdrapał na czole pryszcze, pochodzące z tulońskiej świerzby. Na widok tej krwi żołnierze wierzą, że jakobini chcą go zabić.

„Żołnierze; czy mogę na was polegać?“

„Możesz! Możesz! Niech żyje Bonaparte! Niech żyje republika!“

Ale grenadjerzy przed zamkiem milczą, jak przedtem, a czas leci i dochodzi już piąta. Cienie pod bezlistnemi drzewami parku gęstnieją, wewnątrz zamku jest już niemal zupełnie ciemno. Jeszcze krótka chwila, a fatalny dzień przejdzie w jeszcze fatalniejszą bodaj noc. „Gdyby Bonaparte został był natychmiast ogłoszony, jako znajdujący się poza prawem, to Bóg wie, coby się było stało“ — opowiada pewien świadek naoczny.[24]

Generał Frégival pędem przybywa z Oranżerji, podbiega do Bonapartego i z polecenia przewodniczącego Lucjana szepcze mu do ucha:

„Jeśli posiedzenie w ciągu dziesięciu minut nie zostanie przerwane, to nie odpowiadam za nic!“

Twarz Bonapartego przemienia się w jednej chwili; z jego oczu strzela błyskawica, w tej chwili jest on znowuż „bogiem wojny, bogiem zwycięstwa“. Jego „wiedza wspominająca“ powiada mu, co uczynić trzeba: z piekła jakobinów wyprowadzić, wynieść Lucjana.

Rzekło się, stało się. Zanim upłynęło dziesięć minut, oddział wiernych grenadjerów 79 pułku linjowego wynosił prezydenta z Oranżerji na ramionach, niby relikwje świętego, zmierzając ku dziedzińcowi. Brat połączył się z bratem, przewodniczący Rady z głównodowodzącym armji, władza prawodawcza z wykonawczą. Wreszcie może się bagnet zaczepić o strzępek prawa: armja ocali republikę.

„Generałowie, żołnierze, obywatele!“ — krzyczy Lucjan głosem już ochrypłym. — „Teroryści w Radzie Pięciuset, zuchwali zbóje, podkupieni przez Anglję, zbuntowali się przeciwko Radzie Starszych i chcą ogłosić głównodowodzącego armji za znajdującego się poza prawem... Oświadczam wam, że tylko ci są prawdziwymi prawodawcami, którzy ze zgromadzenia wyjdą do mnie; resztę należy rozpędzić przemocą... Ci mordercy nie są już przedstawicielami ludu, ale przedstawicielami sztyletu!“

Wskazuje na okrwawioną twarz Napoleona; następnie chwyta szpadę i przystawia ją do piersi brata, czyniąc to gestem tragicznym, godnym zaiste aktora Talmy.

„Przysięgam, że brata swego własną ręką zabiję, gdyby kiedykolwiek ważył się na zamach przeciwko wolności Francji!“

W tej chwili „łobuziak“ nie pamiętał o swojem własnem proroctwie: „Gdyby Napoleon doszedł do władzy, to stanie się tyranem, a imię jego będzie postrachem dla potomnych!“

Wreszcie zapał powszechny porywa także grenadjerów gwardji narodowej.



BONAPARTE, I-SZY KONSUL
(według obrazu J. Isabey'a).

Rozwścieczeni dragoni i kompanje 79 pułku linjowego naciskają ich od tyłu. Już oto drgnęli, ruszyli z miejsca i gotowi są pójść, dokąd ich rozkaz Bonapartego powiedzie. Nareszcie można wydawać rozkazy.

Dowódcy podnoszą szpady; bębny biją do ataku. Murat ustawia kolumnę i prowadzi ją do zamku. W coraz gęstszym mroku rozlega się dudnienie maszerujących nóg, głucha wściekłość warczących bębnów.

Przerażony tłum usuwa się nabok i wita Cezara-Oswobodziciela entuzjastycznemi okrzykami:

„Hurra! Precz z jakobinami! Precz z rokiem 93! Oto Rubikon!“

Przez grube mury zamku przenika głuchy łoskot bębnów; zbliża się coraz bardziej, idzie korytarzami i schodami, — teraz staje u drzwi.

Drzwi rozwalają się szeroko, rozbłyskują bagnety.

Zgromadzenie jeszcze wciąż szaleje i ryczy, jak zdychające zwierzę. Ale kolumna powoli posuwa się naprzód: wąska zrazu, staje się coraz szerszą i zajmuje całą przednią część galerji. Kilka czerwonych tog już ucieka, inne tłoczą się w głębi sali, tworząc wielkie czerwone ciało.

„Żołnierze, plamicie swoje laury!“ — krzyczy ktoś z trybuny. Warczenie bębnów przegłusza ten krzyk.

„Jesteście rozpuszczeni, obywatele!“ — woła Murat.

Druga kolumna pod wodzą generała Leclerca wkracza do sali.

„Naprzód, grenadjerzy!“

Ale Murat znajduje lepsze słowo komendy:

„Rozegnać wszystkich... ich mać! F... moi tout ce monde là dehors!“

Żołnierze idą naprzód ze skrzyżowanemi bagnetami, a czerwone ciało topnieje wobec tego najeżonego muru, niby wosk na słońcu.

W ciągu pięciu minut sala jest opróżniona. Tylko kilku najoporniejszych siedzi w fotelach w pozach zastygłych, bez ruchu, niby ostatni rzymscy senatorowie wobec barbarzyńskich hord Attyli. Lecz grenadjerzy biorą ich spokojnie na ramiona, niby niegrzeczne dzieci, i wynoszą na dziedziniec.

Nastała noc, w sali jest ciemno i pusto. Tylko głuche warczenie bębnów słychać bezustannie.

Ten i ów uciekł sromotnie, wyskoczył oknem; ale większość deputowanych ustąpiła jedynie przed brutalną przemocą, zachowując godność, jaka przystała prawodawcom. Lecz na dziedzińcu sytuacja zmienia się zupełnie. Żołnierze witają panów „adwokatów“, „morderców“ ich generała, „podłych jurgieltników Anglji“, wyzwiskami, śmiechem, gwizdaniem, hukaniem, kpinami. Czerwoni mężowie nie wiedzą, w którą stronę się obrócić; stopy plączą się im w długich togach, gdy co rychlej oddalają się przez dziedzińce, tarasy, kwietniki, w aleje parków, w poręby leśne, i znikają w mro-

kach nocy. Biegną, jakby ich ścigała jakaś niewidzialna siła; czerwone szaty opadają im z ramion, więc zostają porzucone, lub też zaczepiają się o ciernie krzewów i zawisają na nich podarte. Czerwone łachmany jaśnieją w rowach i wilczych dołach, niby krwawy ślad uciekającego rannego zwierzęcia — zaszczutej i poszarpanej na śmierć przez jej własne młode Wilczycy — rewolucji.

„Ça ira, ça ira
Les aristocrates à la lanterne,
Ça ira,
On les pendra!"

„Dobrze będzie, dobrze będzie,
Wszystkich panów na latarniach,
Na latarniach,
Powiesimy!"

śpiewali żołnierze wesoło, gdy w nocy szeroką drogą wersalską maszerowali z Saint Cloud do Paryża. Ich sumienie było spokojne, bo spełnili swój obowiązek: uratowali republikę, rewolucję.[25]

„Farsa skończona!" — odezwał się ktoś do jednego z deputowanych z Rady Pięciuset, napotkanego w nocy w parku St. Cloud, i parsknął mu śmiechem w nos.

Istotnie, farsa rewolucji była skończona.

Tej samej nocy Talleyrand w wesołem kole przyjacielskiem wieczerzał w zacisznym domku swej przyjaciółki w St. Cloud. Rozmawiano o wydarzeniach dnia. Jeden z biesiadników podniósł swój kielich pod światło, zachwycał się, patrząc, jak cudnie perli się Moët, przymknął oczy i rzekł z uśmiechem:

„Generale Bonaparte, generale Bonaparte, dzisiaj zachowywał się pan niepoprawnie!".

Miało to znaczyć: „Stchórzył pan".

I rzeczywiście, cóż to się z nim działo, gdy żołnierze wynosili go na ramionach z piekła jakobińskiego? Czyż człowiek ten, „w wojnie najodważniejszy, jaki istniał kiedykolwiek", zląkł się „szczekaczy-adwokatów"?

Istotnie, groza, jakiej nie doznał nigdy przedtem i nigdy potem, ogarnęła jego duszę. Groza wobec czego?

„Ultima Cumaei venit jam carminis aetas;
Magnus ab integro saeculorum jam nascitur ordo...
Aspice convexo matantem pondere mundum.

Ostatnie czasy pieśń już kumejska obwieszcza
I w nowych wieków kolei stary odradza się świat...
Patrz, jako całym ciężarem oś się światowa nachyla".[26]
Wergiljusz, Ekloga IV.

Bonaparte ma rację: nic w dziejach świata nie dorówna rewolucji francuskiej, a nic w tej rewolucji nie może zmierzyć się z tą chwilą, z tym 18 brumaire'a, szczytem szczytów, gdy istotnie oś ziemi się chwieje i punkt ciężkości się przesuwa.

Zaczynała się nowa era — „panowanie jednego". Tak dokładnie określa to jeden ze współczesnych.[27] A inny dodaje: „Cała moc rządu przypadła jemu jedynemu".[28] Bonaparte i rewolucja, człowiek i ludzkość, wszyscy i jeden, — oto wieki świata, eony, które się przesunęły.

Cerkiewna słowiańszczyzna posiada słowo cudownej głębi do określenia pojęcia „umarł", a mianowicie: „prestawiłsia", to znaczy: przestawił się. Człowiek „się przestawia", czyli że z jednej kategorji istnienia przechodzi do drugiej. Coś podobnego dokonało się w owej chwili: eon ludzkości umarł,— eon człowieka się narodził.

Zgiełk jest cechą rewolucyj małych, spokój jest znamieniem rewolucyj wielkich. „Przy moim powrocie do Paryża miasto było tak spokojne, jakby się nic nie było stało, albo jakgdyby St. Cloud było od Paryża oddalone przynajmniej o czterysta kilometrów".[29]

Oś świata obróciła się; wszystko poruszyło się z miejsca, powywracało, stanęło do góry nogami,— i ani wietrzyk nie drgnął, ani listek nie zaszeleścił: była to najcichsza ze wszystkich rewolucyj. Nikt jej nie zauważył, — tylko Bonaparte był jej świadom, dzięki tej nieziemskiej grozie, która mu zmroziła krew w żyłach. W okamgnieniu, gdy twarz jego pobladła jak twarz trupa i gdy głowa zwisała mu przez ramię, niby łeb kukły drewnianej, wydał się „tchórzem", ale naprawdę pozostał „najodważniejszym człowiekiem, jaki istniał kiedykolwiek". Być może, iż w żadnej innej chwili życia nie okazał się tak bohaterskim, jak wtedy, bo każdy inny ciężarem tego przeżycia zostałby zmiażdżony jak robak, jak plewa między dwoma młyńskiemi kamieniami-eonami. On zaś pozostał nietknięty: umarł Bonaparte — narodził się Napoleon.

Czego musiałby doznawać człowiek, którego żywa dusza zostałaby przeniesiona z jego ciała w inne ciało, tego nawet przedstawić sobie nie umiemy. Bonaparte przeżył to właśnie, gdy dusza jego z ciała rewolucyjnego przeniosła się w ciało Cezara.

Ale doznawał on jeszcze innej grozy, daleko większej.

„Tylko szaleniec lub łotr mógłby zmierzać do zamordowania rewolucji". Wiedział on, że zamordować jej nie można, bo taiła się w niej wiekuista

prawda i wiekuiste życie: nikt nie rozumiał tego tak dobrze, jak on: nieśmiertelne Wilczę nieśmiertelnej Wilczycy. Czyż wszystka krew jego żył nie była mlekiem jej żelaznego wymienia? „Ja jestem rewolucja! — Je suis la révolution!“ — powiada tak samo Cezar Napoleon, jak mówił Bonaparte. I dość popatrzeć uważnie w jego twarz, aby ją w niej poznać. Nie, on jej nie zamordował; uczynił coś gorszego: zapłonął ku niej straszliwą miłością, zmieszał krew swą, krew syna, z krwią matki: zhańbił matkę swoją, jak Edyp. Lecz tamten nie wiedział, co czyni, ten zaś swoją wiedzą wspominającą wiedział o tem dość dobrze, a jednak nie cofnął się; lecz inaczej postąpić nie mógł, bo nato został posłany na świat. Jego „wiedza wspominająca“ powiedziała mu też, że jego grzech nigdy odpuszczony mu nie będzie. To przyprawiło go o bladość większą, niż zasłyszane wołanie: „Poza prawem!“ I nie sztylet jakobiński zamigotał mu przed oczami, ale sztylet Nemezys — Przeznaczenia.

Zarówno Edyp, jak Napoleon, obaj porwani zostają Przeznaczeniem; czy chcą, czy nie chcą, muszą powtarzać boskie misterjum w tragedji człowieczeństwa. Syn nieba i ziemi, Dionizos, płodzi sam siebie z matką swoją, Demeterą, Ziemią; sam siebie rodzi z eonu w eon, w osobie drugiego Dionizosa, Jakchosa, który jest cieniem Syna nadchodzącego.

Aby ujarzmić boskie zwierzę, człekożerczego Sfinksa, rozwiązał Edyp jego zagadkę: Człowiek. To samo czyni Napoleon, lecz nie słowami, ale czynem: z matki swej, Rewolucji, sam siebie zrodził z czasu w wieczność; Bonaparte zrodził Napoleona, człowiek — nadczłowieka.

Oto jest Słońce, które dźwiga się z macierzyńskiego łona odwiecznej Nocy, z prastarego Chaosu, z Rewolucji: Napoleon — Człowiek.

POŁUDNIE.

Konsul. 1799—1804.

Bonaparte, konsul, był jedynym posiadaczem władzy, gdy po 18 brumaire'a na miejsce Dyrektorjatu wyznaczony został konsulat z trzech osób — Sieyèsa, Roger-Ducota i Bonapartego.

Władza za pokój — tak brzmiał milczący układ między nim a Francją. Lecz, aby zawrzeć pokój, trzeba było naprzód zwyciężyć, to znaczy zdobyć Italję. Nato przecie powrócił do Francji, gdy armję egipską porzucił „niby dezerter". Długa wojna była niemożliwa, zarówno z powodu fatalnej sytuacji finansowej, jako też dlatego, że cały kraj gorąco pragnął pokoju. Nieprzyjaciela trzeba było zaskoczyć nagłem natarciem; trzeba było spaść na niego jak błyskawica.

Austrjacka armja generała Melasa, która według wyrażenia Bonapartego „zawisła"[1] na liguryjskiej Rivierze, gdzie oblegała Genuę, w roku 1800 opuściła Piemont, Lombardję i całą Italję północną i porzuciła helweckie przesmyki alpejskie. Tę sytuację zapragnął wyzyskać, wtargnąć do Lombardji, wpaść na tyły Melasa, zaskoczyć go, odciąć od jego podstawy operacyjnej i zniszczyć. W tym celu musiał zostać powtórzony bajeczny czyn Hannibala— przejście przez Alpy.

Dnia szóstego maja Pierwszy Konsul opuścił Paryż, piętnastego maja rozpoczął się marsz 40.000-nej armji odwodowej przez Alpy. Była to walka ludzkiego mrowiska z lodowcowemi kolosami Symplonu, św. Gotarda i św. Bernarda.

Główna część armji maszerowała przez św. Bernarda, od Martigny do Aosty. Ciasnemi wąwozami poza granicą wiecznych śniegów, na zlodowaciałych, śliskich ścieżkach, nad zawrotnemi otchłaniami, gdzie i jednemu człowiekowi przemknąć się bardzo trudno, sunęła gęsiego nieskończona linja piechoty, kawalerji, artylerji. Armaty, pozdejmowane z lawet, układano w drążonych pniach świerkowych, które zprzodu zaokrąglano, a pod spodem tak gładzono, aby się mogły ślizgać po śniegu; kanonierzy — po stu chłopa na armatę! — wciągali je na linach pod górę. Zadymka waliła ich śniegiem w twarz, a oni pozbawieni sił padali, zrywali się na nowo i wlekli się dalej.

W miejscach uciążliwszych muzykanci musieli grać, bębny wzywały do ataku, a żołnierze szturmowali wyżyny, niby twierdze; jedni drugim włazili na plecy, tworząc żywe drabiny, i w ten sposób wdrapywali się na strome ściany

skalne; czepiali się ostrych kamieni, ocierali sobie przytem skórę z rąk, łamali paznogcie i przelewali krew strumieniami. A wszystko to czyniono z minami wesołemi, przy śpiewie pieśni rewolucyjnych i pochwałach na cześć zwycięskiego pochodu ludzkości: per aspera ad astra!

Schodzenie było jeszcze trudniejsze, niż wspinanie się pod górę: po stronie północnej była jeszcze zima i powłoka śnieżna była twarda; na południu była już wiosna; śnieg topniał i był miękki. Przy wkraczaniu na miękką powłokę śnieżną ludzie, tak samo jak konie i muły, zapadali w głębokie doły, pełne mokrego śniegu, i ginęli w nich, albo też ześlizgiwali się z lodowatych, topniejących, wyjątkowo śliskich wyżyn i przepadali w otchłaniach.

Sam Napoleon omal że nie zginął w przepaści: jego muł potknął się tuż nad otchłanią i, gdyby jego przewodnik nie był go mocno przytrzymał za uzdę, to razem z jeźdźcem byłby się stoczył w głębinę.

Dnia 27 maja wkroczyła armja francuska na niebronioną równinę lombardzką. Dzięki temu najważniejszemu manewrowi całej wyprawy zyskał Bonaparte natychmiast strategiczną przewagę nad armją austrjacką, która znajdowała się w położeniu zgoła nienaturalnem: tyłem zwrócona była ku Francji, czołem ku Lombardji, zaskoczona przez nieprzyjaciela i odcięta od podstawy operacyjnej. Drzwi do domu nieprzyjacielskiego były wyłamane, i Bonaparte wkroczył do niego; spadł na Italję jak błyskawica. Już 2 czerwca wkroczył do Medjolanu, a generał Melas ciągle jeszcze myślał o nim, że znajduje się w Paryżu.

Pierwsze zadanie było rozwiązane; należało wykonać drugie — pobić Melasa. Austrjak przekroczył Po, ale bitwy nie przyjmował, lecz cofnął się, wyczekując posiłków. Bonaparte śledził go bacznie i dla osaczenia go wyciągał swoją linję bojową coraz bardziej, skutkiem czego stawała się ona, oczywiście, coraz słabsza. Wyborny strateg Melas zrozumiał to i zręcznym manewrem ściągnął wszystkie swoje siły, znajdujące się na szerokiej równinie od San Giuliano do Marengo, aby przerwać centrum Bonapartego.

Dnia 14 czerwca o świcie rozpoczęła się potężna bitwa, która miała zadecydować o losach Italji, Austrji, Francji, całej Europy. Szczęście sprzyjało Melasowi; nad przeciwnikiem swoim górował przedewszystkiem artylerją: sto armat przeciw piętnastu. Pewni zwycięstwa Austrjacy walczyli jak lwy, odpierając cztery ataki ogólne i dwanaście kawaleryjskich. Zajmowali na równinie wieś za wsią i trzymali Francuzów pod bezustannym ogniem kartaczowym. Jakkolwiek Francuzi mężnie stawiali czoło przeciwnikowi, to jednak przewaga jego była zbyt wielka. Około drugiej po południu francuskie szeregi zaczęły się chwiać i doszło do odwrotu na całej linji.

Wtedy Bonaparte rzucił do walki swoją ostatnią rezerwę — ośmiuset grenadjerów gwardji konsularnej. Ten „front granitowy“ w swej pozycji



BONAPARTE, I-SZY KONSUL
(według akwatinty Levachez'a z obrazu L. Boilly'ego).

czworobocznej niewzruszenie stawiał czoło wszystkim najzacieklejszym atakom austrjackiej piechoty, kawalerji i artylerji. Ale i ta garstka nie mogła dokonać nic więcej nad osłanianie odwrotu, aby nie powiedzieć ucieczki całej armji. I wreszcie sama ona zaczęła się powoli, krok za krokiem, cofać: cztery kilometry w ciągu trzech godzin.

Bitwa była przegrana. Lekko ranny, ale wprost oszalały z radości, Melas, wyprawił był już kurjera do Wiednia z wieścią o zwycięstwie.

Bonaparte zrozumiał, że bitwa była przegrana. Postawił wszystko na jedną kartę i przegrał wszystko: Italję, Francję, zdobycze brumaire'a. Dopiero co był Cezarem, a oto znowuż stawał się „dezerterem", „zbrodniarzem stanu", znajdował się „poza prawem", był „mordercą matki rewolucji", „szaleńcem, czy łotrem".

„Tak, bitwa jest przegrana" — wyraził się do generałów sztabu, siedząc przy drodze do San Giuliano i żując źdźbło trawy. „Ale jest dopiero godzina druga. Jedna bitwa została przegrana. Wydajmy drugą, jak tylko nadejdzie generał Desaix z rezerwami".

Wypluł trawkę, zerwał nową i znowu zaczął żuć. Był zupełnie spokojny, ale w dwadzieścia i jeden lat później, walcząc ze śmiercią, miał sobie przypomnieć tę chwilę i śmierć nie wydawała mu się straszniejsza..

„Generale Bonaparte, generale Bonaparte! Zachowywał się pan dzisiaj niepoprawnie — pan stchórzył!" Ten, co to powiedział, powinien był spojrzeć nań w tej chwili, a może byłby zrozumiał, że ktoś, kto zwyciężył wszystkie grozy ziemskie, sam może być pokonany tylko przez grozę nadziemską.

„ A oto generał Desaix!" — rzekł Bonaparte z takim spokojem, jakgdyby wiedział, jakgdyby sobie przypominał, że tak się właśnie stanie, że tak się stało. Odetchnął z głębi piersi, powstał, wskoczył na konia i rzucił się w bitwę jak błyskawica!"

„Żołnierze, potrzebuję waszego życia, a wy musicie mi je ofiarować!"[2]

Pierwszą ofiarą był Desaix, ukochany brat Napoleona. Zaledwie rzucił się w bitwę, kula trafiła go prosto w pierś. Padając, zdołał zawołać tylko jedno słowo: „Śmierć!" Ale nieśmiertelny duch bohatera przeszedł w żołnierzy. „Umrzeć! Pomścić go!" Z tą myślą sześciotysięczna rezerwowa armja generała Desaix rzuciła się w bitwę. I sto austrjackich dział zamilkło, uciekający zawrócili, ścigani przemienili się w ścigających, pobici stali się zwycięzcami.

„Człowiek przeznaczenia!" — szepcze Melas w zabobonnej trwodze, patrząc w twarz Napoleona jak w błyskawicę.

I armja austrjacka kapituluje. Piemont zostaje oddany, Lombardja także, cała Italja aż do Mincio.

Oto jest Marengo, zwycięstwo zwycięstw, południe słońca Napoleona! Francja szalała z radości. „Zwycięstwo i pokój"!"

Dnia 9 lutego 1801 roku zostaje zawarty pokój z Austrją w Luneville, 25 marca 1802 roku pokój z Anglją w Amiens. Dziesięcioletnie wojny rewolucji są skończone. Jest tak, jakby nadchodził pokój światowy.

Bonaparte dotrzymał warunków umowy: ujął władzę w swoje ręce i dał pokój.

Pierwszym jego czynem po zawarciu pokoju jest dążenie do przywrócenia Francji duszy chrześcijańskiej, której pozbawiła ją rewolucja. Acz sam nie wierzący, wiedział jednak, że ludzie bez wiary żyć nie mogą.

Dnia 15 lipca 1801 roku został podpisany konkordat, czyli układ Francji ze Stolicą Świętą: Kościół Gallikański odzyskał wszystkie swoje prawa, połączył się z Rzymskim, i papież ponownie został uznany jako jego głowa. Pierwszy Konsul miał biskupów mianować, Watykan miał ich wyświęcać i zatwierdzać w urzędzie; żadna bulla papieska nie mogła być we Francji ogłoszona, żaden sobór zwołany, bez zezwolenia rządu.

„To było najwspanialsze zwycięstwo nad duchem rewolucji, a wszystkie inne były tylko następstwem tego jednego, najważniejszego" — powiada jeden ze współczesnych. Powodzenie konkordatu wykazało, że Bonaparte jaśniej od całego swego otoczenia widział, co się taiło w sercach. „Czy może mam wynajdować jaką nową religję?" — rzekł do przeciwników konkordatu. „Nie, ja widzę te rzeczy inaczej. Mnie potrzebna jest stara wiara katolicka. Ona jedna tkwi w sercach, wyplenić się nie da i tylko ona może pozyskać dla mnie serca i przezwyciężyć wszystkie trudności".[3]

„Najstraszniejszym wrogiem jest obecnie ateizm, nie fanatyzm"[4] — to słowo Napoleona obala całe bezbożnictwo wieku XVIII, a być może, iż czyni jeszcze więcej.

Prócz dążeń politycznych, które niebawem wyprzeć miały wszystkie sprawy kościelne, duch jego żywił tajne myśli o religji, a serce jego zachowało uczucia stare, korzeniami swemi sięgające niezawodnie najwcześniejszych wrażeń dziecięcych. Przejawiały się one w wielu wybitnych momentach jego życia i zapłonęły wreszcie w ostatnich jego chwilach tak potężnie, że nie mogły pozostawiać najmniejszej wątpliwości" — powiada ten sam współczesny.[5]

s Niedarmo matka Napoleona jeszcze przed jego narodzeniem ofiarowała yna Najświętszej Pannie i niedarmo przyszedł on na świat 15 sierpnia w dzień Wniebowzięcia Marji Panny. Nie bez przyczyny wzruszał go o zmierzchu w alei lipowej parku w Brienne dzwon na Anioł Pański tak głęboko, że pokochał go na całe życie.

Dnia 18 kwietnia 1802 roku w niedzielę wielkanocną, podczas pierwszego uroczystego nabożeństwa, jakie było odprawiane od czasu rewolucji, w katedrze Notre-Dame de Paris ogłoszono pokój zawarty w Amiens i konkordat — pokój z ludźmi i z Bogiem. Po dziewięcioletniem milczeniu znowuż

ozwały się nad Paryżem dzwony katedry, a odpowiadały im dzwony całej Francji: „Chrystus zmartwychwstał!"

„Wrogowie Pierwszego Konsula i rewolucji cieszyli się, jego przyjaciele wraz z całą armją byli zaskoczeni" — opowiada generał Thiébault.[6] W armji wszyscy ateistyczni generałowie z roku 1789 byli oburzeni.

„Wspaniała ceremonja. Niestety, brak tego miljona ludzi, którzy pomarli, niszcząc to, co my na nowo ustanawiamy!" — rzekł jakobiński generał Augereau podczas nabożeństwa wielkanocnego d. 18 kwietnia.[7]

„Trudniej mi było przywrócić religję, niż wygrywać bitwy" — rzekł Napoleon później.[8]

„Nie powinniśmy zapominać" — rzekł Pius VII, jeniec cesarski w Fontainebleau, niemal męczennik w roku 1813 — „nie powinniśmy zapominać, że religja odnowienie swoje zawdzięcza najprzód Bogu, a następnie jemu, Napoleonowi. Konkordat był chrześcijańskiem, heroicznem dziełem ratowniczem!"[9]

Drugiem dziełem pokojowem Bonapartego był Kodeks.

„Sława moja spoczywa nie na moich zwycięstwach, ale na moim Kodeksie" — mawiał nieraz.[10] „Mój Kodeks był ratunkową kotwicą Francji. Za niego błogosławić mnie będzie potomność".[11]

„Zwycięstwa Bonapartego wzbudzały więcej strachu, niż szacunku" — wyraził się pewien dawny minister Ludwika XVI. — „Ale, gdy zajrzałem do Kodeksu, doznałem uczucia głębokiej czci... Skąd się w nim to wszystko wzięło?... O, cóż za człowieka posiadaliście w nim! Zaprawdę był on cudem!"[12]

„Kodeks jest jednem z najpiękniejszych dzieł, stworzonych przez człowieka" — tak charakteryzuje generał Marmont zgoła trafnie jeden z najbardziej istotnych rysów Kodeksu. Piękno jego zawarte jest w jego prostocie, jasności, dokładności, w poczuciu umiaru, czyli w tem, co stanowiło przymioty grecko-rzymskiego genjuszu, od Pitagorasa aż po Pascala, genjuszu apollińskiego, słonecznego.

Poczucie umiaru umiał Napoleon określić jedynie słowem swego języka ojczystego, włosko-łacińskiem i śródziemnomorskiem słowem: „mezzo termine", co znaczy: pośrednie, znajdujące się w pośrodku między przeciwieństwami. To właśnie jest harmonja sprzeczności Heraklita[13], genjusz w kwadracie Napoleona. „Ze sprzeczności rodzi się najpiękniejsza harmonja; walka jest ojcem wszech rzeczy" — powiedział podobnież Heraklit.

W tym to sensie jest Napoleon, jak powiedział Nietzsche, ostatniem wcieleniem słonecznego boga Apollina; w najgłębszem znaczeniu metafizycznem jest on tak samo, jak bóg Mitra, niezwyciężonem Słońcem, wiekuistym Pośrednikiem; jest to Misotes, Pojednawca, wiążący przeciwieństwa, jednoczący stare z nowem, z ranka i wieczora tworzący południe.

Siła władzy państwowej spoczywa „w średniej mierze powszechnej pomyślności". To zrozumiał on, jak nikt inny.[14] „Wszystko, co jest przesadzone, jest bez znaczenia — Tout ce qui est exagéré est insignifiant" — rzekł Talleyrand, a to samo mógł był powiedzieć także Napoleon, twórca Kodeksu. To znaczy, że wszystko, co jest przesadzone, nie jest boskie; boski jest tylko umiar.

„Dla umocnienia republiki, prawa opierać się muszą na podstawie umiarkowania" — wyraził się zaraz po 18 brumaire'a w odezwie swojej, wydanej w imieniu Konsulów. „Miara jest podstawą moralności i pierwszą cnotą człowieka. Bez niej jest on dzikiem zwierzęciem. Bez umiarkowania może istnieć partja, ale nie rząd ludowy".[15]

„Wszystko zło — wywodził w Radzie Państwa — jakie w czasie rewolucji spadło na naszą piękną Francję, należy przypisać owej mrocznej metafizyce, która chytrze wytropić usiłuje pierwsze przyczyny wszech rzeczy, aby na nich zbudować prawodawstwo narodów, zamiast przystosowywać prawa do znajomości ludzkiego erca i do wskazań historji".[16]

„Mroczna metafizyka" to „ideologja" krańcowych rewolucjonistów. Im przeciwstawia on „boski umiar" — „mezzo termine". Od martwej wiedzy zapominanej ku żywej wiedzy wspominanej, od intelektu do intuicji — oto droga Bonapartego, droga Kodeksu. Jego celem jest nieosiągnięty cel rewolucji, aby „wreszcie panowanie rozumu, pełny rozwój i trwały triumf ludzkich sił umocnić i uświęcić".[17] Chodzi tu nie o panowanie oderwanego, mechanicznego rozumu, lecz o panowanie żywego, organicznego Logosu.

„Kodeks Napoleona pomimo swoich niedoskonałości i luk zawiera najwyższy wymiar przyrodzonej sprawiedliwości i rozsądku, jaki kiedykolwiek został przez ludzi ułożony w ustawach. Ustalając wolność wszystkich Francuzów wobec prawa, wolność ziemi i wolność obywatelską, pełnię swobody woli ludzkiej w dziedzinie prawa, Kodeks ten sankcjonuje zarazem rewolucję. Jej kipiąca lawa zastyga tu, otrzymuje niezniszczalnie trwałe kształty, staje się bronzem i granitem. Tu na każdem miejscu znajdujemy połączenia, prawne drogi pośrednie — „moyen terme"; tu różne stany i różne sfery interesów znajdują zabezpieczenie. Kodeks ten, który w istocie swej jest demokratyczny, ile że chroni wszystkich przed odnowieniem przywilejów feudalnych, jest w wielu swoich częściach kodeksem mieszczańskim, stworzonym dla owego stanu średniego, który rewolucję zapoczątkował i ostatecznie ujął ją wyłącznie w swoje ręce".[18]

Później, „pod samowładczem panowaniem (cesarza Napoleona) zasady wolności zostały niemal zupełnie zniesione; ale zasada równości wobec prawa, bezstronność sądów, wynagradzanie za szkody wyrządzone przez osoby prywatne, czy też przez władze, przestrzegane były daleko lepiej pod jego

panowaniem, chociaż wojował z połową świata, niż nawet w czasach pokojowych pod rządami, które przyszły po nim".[19]

Kodeks ten jest uniwersalny jak rewolucja. Wszystkie ludy europejskie przyjęły go za swój, bo „dawał im on to dobrodziejstwo rewolucji, które większość odczuwa i rozumie: postęp bez burzenia, bez oderwanej krańcowości i wyjaskrawień. Kodeks ten zwyciężył i utrzymał się dlatego, że niema w nim niczego zbyt transcendentnego i przesadzonego". Jest on dostosowaniem ducha imperjum rzymskiego do współczesnej Europy. „Napoleon, podobnie jak Rzym, straciwszy panowanie nad światem, pozostawił mu swoje ustawy".[20]

„Ja uświęciłem rewolucję i przelałem ją w nasze prawa" — powiada na pół roku przed śmiercią;[21] a potem, na dwa dni przed nią, już w mękach agonji, w malignie: „Ja uświęciłem wszystkie zasady (rewolucji) ...ja przelałem je w swoje prawa, w swoje czyny... Niema ani jednej, której nie byłbym uświęcił..."[22] Jakgdyby się tłumaczył ze strasznej winy, która ciążyła na nim przez całe życie! Czy nie jest nią ta wina, którą obciążają go jakobini, że wobec matki swojej, rewolucji, dopuścił się czegoś gorszego, niż mordu, że ją zhańbił? Kodeks jest właśnie owem łożem kazirodczem, na którem syn łączy się z matką, Napoleon z rewolucją. Lecz jakobini nie dostrzegają sprawy najważniejszej: boskiego misterjum w ludzkiej tragedji; to, co zgubiło Edypa-Napoleona, stało się szczęściem ludzkości. Owocem kazirodztwa stał się nowy eon, „złoty wiek" świata.

„Kto Francji nie widział przed 18 brumaire'a i później, ten wyobrazić sobie nie może spustoszeń zawinionych przez rewolucję".[23] To znaczy, że nie może sobie wyobrazić, co Napoleon uczynił dla Francji.

Kasy państwowe są puste; żołnierze nie otrzymują żołdu, jedzenia, ubrania; wszystkie ulice są spustoszone; niema ani jednego mostu, przez który możnaby przechodzić bez narażenia się na niebezpieczeństwo; na rzekach i kanałach nie widać już żadnych statków; publiczne gmachy i pomniki rozpadają się; kościoły są pozamykane, dzwony milczą; pola opustoszały; wszędzie jest rozbój, nędza, głód.[24] Tak było do 18 brumaire'a, lecz potem „dźwiga się kraj z chaosu".[25] „Wszystko zaczyna się odrazu i postępuje z jednaką szybkością: prawodawstwo, administracja, finanse, handel, komunikacja, armja, flota, rolnictwo, przemysł, nauka, sztuka — wszystko powstaje, zakwita nagle, jak pod działaniem czarów".[26]

„W tej głowie jest więcej wiedzy, a w tych dwóch latach jest więcej wielkich czynów, niż w całej dynastji królów francuskich" — rzekł członek Rady Państwa Roederer o Bonapartem.[27] „Rządzę oto już prawie rok" — rzekł Bonaparte sam — „w tym czasie zamknąłem Manège (miejsce zgromadzeń jakobińskich), odparłem wroga, uporządkowałem finanse, odnowiłem administrację i nie przelałem ani kropli krwi".[28] A nawet później, gdy już przelał

dużo krwi, pamiętał o tem, że chwała pokoju większa jest od chwały wojny. „Smutno mi, że muszę mieszkać w obozie wojennym i że mnie to odwodzi— od najważniejszego celu moich dążeń i najżywszej potrzeby serca, to jest stworzenia dobrej, solidnej organizacji wszystkich urządzeń, dotyczących działalności banków, handlu i przemysłu“ — pisał w roku 1805 do ministra finansów.[29]

Jeszcze w czasach wyprawy włoskiej, gdy według wyrażenia Talleyranda „boski Osjan wznosi go ponad ziemię“,[30] wie Bonaparte, że dostawcom mięsa płaci się za ich towar dziesięć sous, gdy na targu kosztuje on tylko pięć.[31] Ten sam bóg Demjurg objawia się w słońcach i w atomach.

Jakby cudem wszystkie pulsy życiowe zaczynają tętnić na nowo, rany się zabliźniają. „Francja przeżywa cud ozdrowienia“, a jej lekarzem jest Bonaparte.[32]

„Wiara w przyszłość, bezgraniczne nadzieje — oto skutki przewrotu 18 brumaire'a“ — powiada jeden ze współczesnych.[33] „Uczucia szczęścia, jakie przepełniało Francję po zakończeniu wojny, nawet najśmielsza fantazja przedstawić sobie nie może“ — mówi inny.[34] Była to szczęśliwość „złotego wieku“.

„O Corse á cheveux plats, que ta France était belle
Au grand soleil de Messidor!“

„O gładkowłosy Korsykanie, jak piękna była Francja twoja
Pod wielkiem słońcem Messidora!“

Wszystko zmieniło się tak nagle, iż się zdawało, że od wypadków rewolucyjnych upłynęło lat dwadzieścia i że wszystkie jej ślady z dniem każdym zacierają się coraz bardziej“ — pisze prefekt jednego z departamentów do ministra spraw wewnętrznych. Widzi się, jak dusze ludzkie zaczynają jaśnieć na nowo, jak serca otwierają się nadziei i jak znowuż kochać zaczynają. Tylko dwa dni rewolucyjne zapamiętał sobie lud: 14 lipca i 18 brumaire'a. Wszystko, co się mieści między temi dwoma dniami, zostało zapomniane.[35] Zapomniane w „słońcu Messidora“, w szczęśliwości „wieku złotego“.

„Przeminął wiek żelazny i złoty wiek nastaje.
Patrz, Chłopcze, łono nieuprawnej ziemi
Niesie ci w darze bluszcze, akanty i zioła pachnące.
Kozy same przyniosą do domu pełne wymiona,
A trzody bać się nie będą lwa ogromnego.
Najmilsze kwiaty same osypią twoją kołyskę,

Wąż jadowity umrze i uschnie ziele trujące,
A wszędzie drzew balsamicznych zakwitną pachnące gaje.
Bogactwem kłosów ciężarnych łany się żyzne rozzłocą,
Na cierniach dzikich zawisną soczyste grona czerwone,
Z sękatych dębów popłyną strugi miodowej patoki.
Rychło nastanie ten wiek, niedługo sławnym się staniesz,
Bogów potomku cudowny, o Dziecię wielkie Zeusa,
Patrz, oto całym ciężarem oś się światowa nachyla,
I łono ziemi, i fale morza, i niebo błękitne!
Widzisz, jak wszystko się cieszy, że złoty wiek się przybliża?"[36]

Wergiljusz, Ekloga IV.

Być może, iż nigdy od czasów Augusta, od czasów Chrystusa, świat nie wierzył tak niezłomnie w „wiek złoty" i jego rychłe nadejście, jak w ciągu trzech czy czterech lat Konsulatu.

„Zdawało się, że ludzie dotarli do szczytów człowieczeństwa i dzięki samejże obecności tego cudownego, Umiłowanego, Straszliwego, jakiego nigdy jeszcze nie było na świecie, uważać się mogą, jak ich praojcowie w raju, za władców wszystkiego, co Bóg stworzył pod niebem".[37]

Być może, iż ludzie nigdy jeszcze nie byli tak gotowi, jak wtedy, do wołania: „Adveniat regnum Tuum — Przyjdź królestwo Twoje". Ale do kogo zwrócić się z tem wołaniem? Do syna „kazirodztwa", Dionizosa, syna Zeusowego według Wergiljusza, czy też do Syna Bożego według Ewangelji? Tego jeszcze nikt nie wiedział, nikt nie widział. A ta ślepota winna jest temu, że szczęście „wieku złotego" trwało tylko chwilę i że rozwiało się jak sen. Ale być może, że ludzie jeszcze ciągle żyją tym krótkim snem.

Cesarz. 1804.

„Bardzo cię proszę, Napoleonie, nie stawaj się królem! Ten nicpoń Lucjan podbechtuje cię, ale nie powinieneś go słuchać" — śród pieszczot mówiła Józefina do Bonapartego.[1]

Lecz on nie byłby mógł spełnić jej prośby, nawet gdyby był chciał: od 18 brumaire'a był wszak „królem". Szara poczwarka nad złotym motylem już się rozpadała.

Dnia 20 stycznia 1800 r., gdy Pierwszy Konsul z pałacu Luksemburskiego przenosił się do Tuileryj, zabrakło karet dworskich i trzeba było donająć kilku dorożkarzy, przyczem dla przyzwoitości numery na ich dorożkach zalepiono białym papierem.[2] Było to święte ubóstwo republiki.

W Radzie Państwa zwracano się do Bonapartego, tytułując go poprostu:

„Obywatelu Konsulu".[3] Ubierał się on tak skromnie, że pewien rojalista wziął go za służącego i pomyłkę swą spostrzegł dopiero wówczas, gdy spotkał się z jego spojrzeniem.[4]

Gdy przed rozpoczęciem uroczystego nabożeństwa z powodu zawarcia pokoju w Amiens i konkordatu, duchowieństwo katedry Notre Dame pytało go, czy kadzić należy także obu jego kolegom, odpowiedział: „Nie!" To znaczyło, że wobec Boga był on już cesarzem. Złoty motyl zrzucał już z siebie szarą skorupę poczwarki.

„Et du Premier Consul, déjà par maint endroit
Le front de l'Empereur brisait le masque étroit —

I ciasną maskę pierwszego Konsula
Rozsadzało miejscami czoło Cesarza".

Dopomagali mu w tem wrogowie lepiej od przyjaciół; zwawiej, niż zwycięstwa wojenne, prowadziły go do tronu zamachy na jego życie w czasie pokoju.

Dnia 7 germinala 1800 r., niebawem po odjeździe Pierwszego Konsula do Italji, bezpośrednio przed Marengo, w Paryżu wykryte zostało sprzysiężenie. W odezwie sprzysiężonych była mowa o „podłych intrygach" 18 brumaire'a i „zbrodniczych zamiarach" tego dnia oraz o konieczności ratowania republiki i rewolucji jeszcze raz. Sprzysiężeni mieli się zabrać do dzieła w dniu odjazdu Pierwszego Konsula do armji. Na czele sprzysiężonych stali: minister wojny, generał Bernadotte, minister spraw wewnętrznych, Lucjan Bonaparte, minister policji, Fouché, i komendant Paryża, Lefebvre. „Sprzysiężenie zostało stłumione bez hałasu i tylko niewielu dowiedziało się o niem".[5]

Dnia 3 nivôse (24 grudnia 1800) przy ulicy St. Nicaise wybuchła maszyna piekielna pod powozem Pierwszego Konsula. Od wybuchu zostały potłuczone szyby nietylko w powozie Bonapartego, lecz i w powozie Józefiny, jadącej tuż za nim, tak, że siedzącą obok niej córkę jej Hortensję odłamki szkła lekko zraniły w rękę. Piętnaście sąsiednich domów zostało uszkodzonych, trzech przechodniów zabitych, wielu rannych. Napoleon ocalał tylko cudem: woźnica, który był nieco podchmielony, popędzał konie do szalonego biegu i szybko przebył niebezpieczne miejsce.

Pierwszy Konsul jechał właśnie do Opery, gdzie wieczoru tego dawano oratorjum Haydna: „Stworzenie". Wszedł do swej loży i odpowiadał tak spokojnym ukłonem na entuzjastyczne okrzyki i oklaski dwutysięcznego tłumu, który jeszcze nic nie wiedział o zamachu, że w nikim nie powstał ani cień podejrzenia o tem, co się stało. „Te łotry chciały mnie wyrzucić w powietrze" —

rzekł do swego sąsiada w loży, a potem zwrócił się do swego adjutanta: „Niech mi pan przyniesie program!“[6]

Za „łotrów“ uważał jakobinów, ale się mylił: zamachowcami byli szuani, jak wówczas nazywano bretońskich spiskowców rojalistycznych. Zresztą i jakobini byliby gotowi połączyć się z rojalistami dla zgładzenia Pierwszego Konsula.

„Powietrze pełne jest sztyletów“ — donosił mu minister policji Fouché. Bonaparte wiedział, że do tych sztyletów Fouché byłby gotów dołączyć także swój.[7]

W roku 1800 założony został „Związek Tyranobójców“[8], który później, już za cesarstwa, przemienił się w „Związek Filadelfów“. Mówili oni: „Napoleon przyćmił sławę Bonapartego. Wolność naszą najprzód uratował, a później ją zniszczył“.[9]

W latach konsulatu, 1800—1804, powietrze było istotnie pełne sztyletów, ale mordercy, czyhający na życie Bonapartego, stali się pomocnikami Napoleona: podarli oni cieniutką maskę Pierwszego Konsula, osłaniającą twarz Imperatora; zmiażdżyli szarą skorupkę poczwarki, zamykającą złotego motyla.

Im bardziej nienawidziło go kilkudziesięciu ludzi, tem goręcej kochały go miljony. „Co się z nami stanie, jeśli nam go braknie? Kto uratuje nas przed czerwoną przepaścią?“ — mówili wszyscy. Wszyscy byli przekonani, że „czerwona przepaść“ Teroru jeszcze ciągle grozi Francji zagładą.[10]

W październiku 1800 r. Fouché przedłożył Pierwszemu Konsulowi broszurę jego brata Józefa: „Paralela między Cezarem, Kromwelem a Bonapartem“. Oczywiście, że Józef chciał oddać Napoleonowi usługę, ale takie zestawienia były tem samem, co mówienie o postronku w domu powieszonego. Józef poszedł za to na honorowe wygnanie: został posłem w Hiszpanji. Skorupka poczwarki trzyma się już tylko zlekka motyla, ale jeszcze z niego nie opadła zupełnie.

Zresztą wszyscy widzieli całkiem jasno, dokąd prowadzi droga, gdy dnia 16 thermidora (4 sierpnia) 1802 uchwałą senatu, na podstawie plebiscytu więcej niż trzech miljonów głosów, urząd Pierwszego Konsula przemieniony został na dożywotni. Przewodniczący senatu zakomunikował Bonapartemu to postanowienie na uroczystem zebraniu w Tuilerjach.

„Senatorowie — odpowiedział Pierwszy Konsul — życie obywatela należy do ojczyzny. Lud francuski życzy sobie, abym mu oddał całe życie swoje... Poddaję się... Przez usiłowania moje przy waszej pomocy, przez zaufanie i wolę tego wielkiego państwa, wolność, równość i pomyślność Francuzów mają być zabezpieczone wobec kaprysów losu i przed niepewną przyszłością. Najlepszy z narodów będzie zarazem najszczęśliwszy, jak na to zasługuje,

aby szczęściem swojem przyczyniać się do podniesienia szczęścia Europy. Pocieszając się świadomością, że wolą Tego, z Którego wszystko się wywodzi, powołany byłem, aby odnowić na ziemi prawo, ład i równość, spokojnie i bez troski o sąd potomnych słuchać będę kiedyś bicia godziny mej śmierci".[11]

„Powołany wolą Tego, z Którego wszystko się wywodzi" — to znaczy: — „Jestem powołany przez Boga, jestem wybrańcem Boga, pomazańcem".

„Taki oto jest koniec rewolucji, która zrazu była taką potężną i niemal wszystkich za sobą porywającą miłością wolności i ojczyzny!" Tak oburzają się już nie jakobini, lecz republikanie umiarkowani. „Tyle krwi musiało spłynąć na pobojowiskach, tyle dobrobytu musiało ulec zniszczeniu, tyle ofiar nieoszacowanych musiało zostać złożonych, aby króla jednego zastąpił inny i aby miejsce rodu panującego, który rządził Francją od stuleci, zajął ród, o którym jeszcze przed dziesięciu laty nikt nic nie wiedział, a który na początku rewolucji nawet za francuski uchodzić jeszcze nie mógł! Czyż upadliśmy już tak nisko, że zbawienia swego musimy szukać w despotyzmie i bez zastrzeżeń poddawać się Bonapartom?"[12]

A tymczasem Bonapartowie między sobą toczyli już spory o następstwo korony. Gdy Ludwik zrzeka się swoich praw na rzecz swego synka, Józef, który tymczasem powraca z wygnania, oburzony tem, że chciano go obejść, wygłasza zgoła nieprzystojną mowę w senacie. „Przeklina Pierwszego Konsula i życzy mu śmierci, która byłaby szczęściem dla Francji i Bonapartów".[13]

Bracia przeszkadzają mu tylko, natomiast pomagają mu nieprzyjaciele: mordercy Bonapartego prostują drogi Napoleonowi.

Na początku roku 1804 w Paryżu aresztowano czterdziestu spiskowców, którzy planowali zamach na życie Pierwszego Konsula; byli to przeważnie płatni agenci rządu austrjackiego; śród nich znajdowali się: George Cadoudal, szuan z Bretanji, i dwaj generałowie Pichegru i Moreau. Za współudział w spisku oskarżono wtedy — zgoła niewinnie, jak się później niezbicie okazało — księcia d'Enghien, Ludwika Bourbona Condé, jednego z ostatnich potomków starego francuskiego domu królewskiego; mieszkał on wtedy w Ettenheim w margrabstwie Badeńskiem, niedaleko Renu i granicy francuskiej.

Dnia 15 marca oddział żandarmów francuskich potajemnie przekroczył granicę, przybył do Ettenheim, zaaresztował księcia, sprowadził go do Paryża i osadził w twierdzy Vincennes. Tutaj 21 marca o godzinie drugiej w nocy na zasadzie wyroku sądu polowego został on rozstrzelany w rowie fortecznym. Sąd był pustą komedją, bo wyrok wydany był bezpośrednio przez Bonapartego.

Niewinność d'Enghiena była taka oczywista, że nawet podstawieni sędziowie zabiegali o jego ułaskawienie. Czy Bonaparte wiedział, że książę był niewinny? W każdym razie mógł był o tem wiedzieć.

„Powróciliśmy do okropności roku 1793; ta sama ręka, która wyciągnęła nas z przepaści, zepchnęła nas w nią ponownie" — powiada hrabia Ségur. „Byłem zniweczony. Dotąd byłem dumny z wielkiego człowieka, któremu służyłem, ale teraz..."[14] Nie miał odwagi dokończyć zdania... „teraz zamiast bohatera mam przed sobą złoczyńcę".

Czemuż to Napoleon kazał zamordować d'Enghiena?

„Ludzie ci w mej osobie chcieli zamordować rewolucję. Musiałem ją obronić; pokazałem, do czego ona była zdolna... Raz na zawsze zmusiłem jakobinów i rojalistów do milczenia".[15]

Nie, nie zmusił, i lepiejby Wilczę zrobiło, gdyby nie wspominało o zagryzionej Wilczycy-rewolucji.

„Czyż jestem pies, którego każdy przechodzień może zabić na ulicy?"[16] „Miałem naturalne prawo samoobrony... Każdej chwili ze wszystkich stron groziły mi zamachy... Maszyny piekielne, sprzysiężenia, sidła najróżniejsze... Zmęczyło mnie to wreszcie i skorzystałem ze sposobności, aby teror przerzucić zpowrotem do Londynu. Wojna za wojnę... Krew za krew... Moja krew też nie błoto".[17]

Może te wywody byłyby słuszne, gdyby d'Enghien nie był niewinny i gdyby Bonaparte nie był o tem wiedział z wszelką pewnością.

Na trzy dni przed śmiercią, gdy agonja już się zaczynała, zażądał zapieczętowanego pakietu, w którym znajdował się jego testament, otworzył go, dopisał coś w sekrecie, zapieczętował go na nowo i oddał. Dopisał wtedy te słowa: „Kazałem księcia d'Enghien zaaresztować i skazać, ponieważ było to potrzebne dla spokoju, pomyślności i honoru narodu francuskiego, ile że hrabia d'Artois według swego własnego zeznania miał w Paryżu sześćdziesięciu morderców do dyspozycji. W podobnem położeniu i dzisiaj działałbym tak samo".[18]

I tutaj możnaby się ostatecznie z nim zgodzić, gdyby był z wszelką pewnością nie wiedział, że książę d'Enghien nie należał do zamachowców.

„Wbrew jego zapewnieniom, jestem przekonany, że miewał on wyrzuty sumienia. Dręczyły go one do samej śmierci. Męczące wspomnienia zmusiły go do zrobienia owego dopisku w testamencie" — powiada kanclerz Pasquier, który znał Napoleona dokładnie, a w sprawie tej był drobiazgowo poinformowany.[19] Zdaje się, że tak było istotnie. Wyrzuty sumienia dręczyły go przez całe życie; nie opuściły go też do ostatniej chwili.

W sposób najprostszy i najlepszy wyraził się w tej sprawie Holland, prawdziwy przyjaciel Napoleona: „Trzeba się zgodzić, że jest on winien tej zbrodni; nic go tu nie usprawiedliwia; plama ta pozostanie na zawsze na jego pamięci!"[20]

Anglicy mogli się cieszyć: rów forteczny w Vincennes, w którym roz-

strzelany został niewinny potomek Bourbonów, jest granicą między starym a nowym porządkiem, przecięciem pępowiny, która nowonarodzonego Cezara łączyła z władzą królewską. Trup d'Enghiena był dla Bonapartego stopniem wiodącym do tronu cesarskiego, krew zamordowanego była jego cesarską purpurą.

„Wielki człowiecze, dokończ swoje dzieło, uczyń je nieśmiertelnem!" Z taką prośbą zwraca się senat do Pierwszego Konsula, w tydzień po straceniu księcia, 28 marca, proponując mu władzę najwyższą.[21] Lecz słowa te wydają się Bonapartemu jeszcze niedość wyraźnemi, czy też zbyt wstydliwemi. „Uważacie za właściwe zmienić niektóre z naszych urządzeń, aby zapewnić zwycięstwo wolności i równości po wszystkie czasy. Proszę was, abyście myśl swoją wypowiedzieli całkiem jasno" — pisze do senatu. — „Najwyższe dobro Francji wymaga tego, aby władza nad republiką przyznana została Bonapartemu jako cesarzowi i aby w rodzie jego stała się dziedziczna" — odpowiada senat.[22]

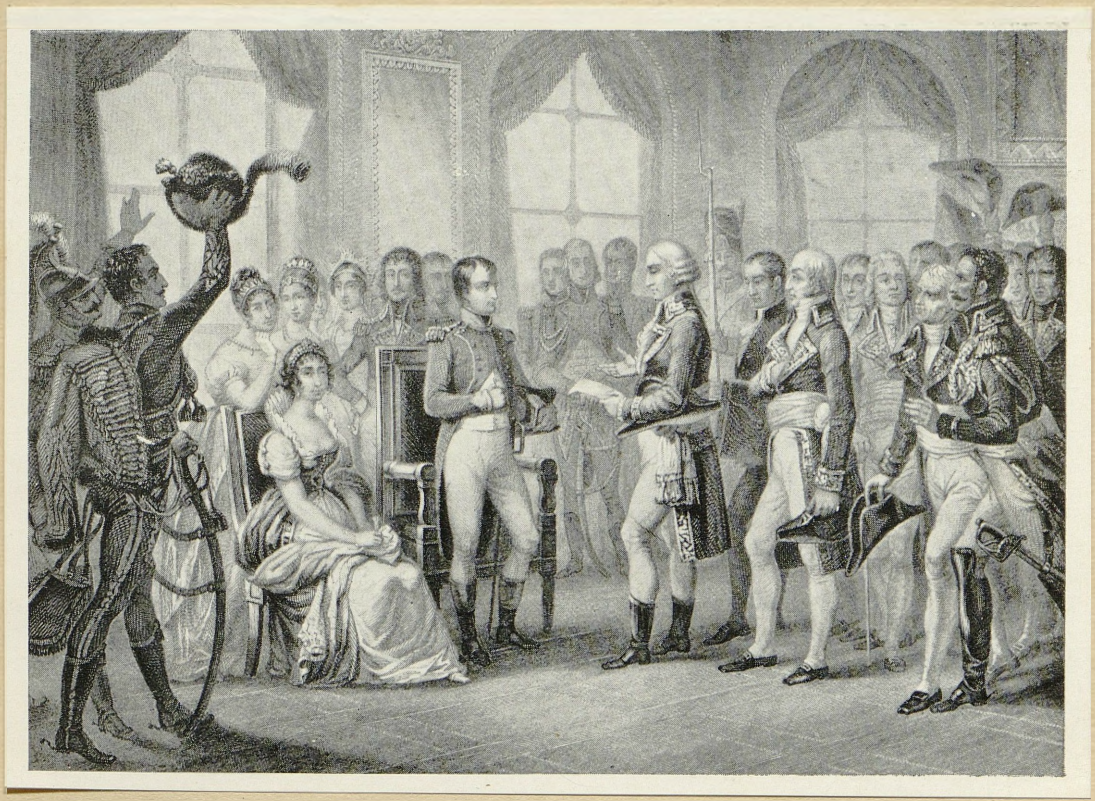
Skorupka poczwarki pękła — wyleciał z niej motyl.

Dnia 18 maja 1804 roku długi szereg powozów, eskortowany przez kirasjerów, skierował się do St. Cloud. Była piąta po południu, ta sama godzina, gdy dnia 19 brumaire'a kolumna grenadjerów Murata bagnetami rozpędzała Radę Pięciuset. Senatorowie wchodzą do tej samej komnaty, gdzie tegoż samego 19 brumaire'a generał Bonaparte na ramionach swoich grenadjerów wyniesiony został z piekła jakobińskiego, w napadzie szalonej wściekłości do krwi rozdrapując pryszcze świerzby na czole, której nabawił się pod Tulonem, a do „homunculusa" Sieyèsa, grzejącego się przy kominie, zwrócił się ze słowami wyjąkanemi bez związku:

„Generale, oni chcą mnie ogłosić poza prawem!"

„Panie!... Wasza Cesarska Mości!" — zwrócił się z ramienia senatu Drugi Konsul, Cambacérès, do Konsula Pierwszego, który jeszcze wczoraj był jego kolegą — „w tej oto chwili senat ogłasza Napoleona Bonapartego cesarzem Francuzów!"

„Vive l'empereur!" — ozwał się okrzyk z grona senatorów. Pewien świadek naoczny zapewnia zresztą, że okrzyki i oklaski były dość umiarkowane. „Cesarz odpowiadał głosem pewnym siebie i donośnym. Wszyscy zdawali się być zakłopotani, tylko nie on... Wielu z tych, którzy nie odrazu przyzwyczaili się do nowego porządku rzeczy, zwracało się do niego, nazywając go jużto „obywatelem Pierwszym Konsulem", jużto „Cesarzem" albo „Cesarską Mością". Cała ceremonja trwała nie dłużej niż kwadrans... Przy powrocie do Paryża widziałem, że na wszystkich ulicach zbierały się tłumy. Armatnie salwy i niezliczone powozy powyciągały na ulice mnóstwo ciekawych. Ale wieczorem nie było żadnej uroczystości, ani iluminacji. Tłum zdawał się wogóle nie wiedzieć, co się stało, lub też było mu to zgoła obojętne".[23]



OGŁOSZENIE CESARSTWA
(według stalorytu T. Goutier'a z obrazu E. Charpentier'a.)

Napoleon chciał się zrazu koronować w Akwizgranie, niegdysiejszej stolicy Karolingów. „Paryż — wyraził się — to wrzód Francji, Paryżanie są niewdzięczni i lekkomyślni, obsypują mnie najordynarniejszemi wyzwiskami".[24] W takiej oto chwili gotów był wyrzec się serca Francji! Czuje się już cesarzem nietylko Francji, ale panem całego świata.

Papież Pius VII oświadczył się z gotowością przybycia do Paryża, aby ukoronować cesarza. Usługa za usługę — za konkordat koronacja!

„Pragnąłbym, aby to się stało dla wielkiego szczęścia, jakie z tego powstanie dla religji, Kościoła i państwa" — pisał legat Caprara do Watykanu.[25]

„Opatrzność Boża i konstytucyjne prawa państwowe przekazały rodzinie naszej dziedziczną godność cesarską" — głosił manifest. Znaczyło to, że koronowany będzie nietylko Napoleon, lecz także jego małżonka — wbrew wszelkiemu obyczajowi, bo od przeszło dwóchset lat nie była koronowana żadna kobieta.

W ostatniej chwili dowiedział się papież, że Józefina wcale nie była żoną cesarza, lecz jego „kochanką", gdyż ślubu kościelnego nie wzięli. Koronowanie takiej pary byłoby bluźnierstwem. To też papież odmówił stanowczo i zażądał kościelnego ślubu cesarskiej pary. Napoleon zgodził się na to niechętnie, bo myślał już o rozwodzie, nie chcąc łączyć losu dynastji z bezdzietną Józefiną. Wuj Fesch, kardynał, udzielił im ślubu potajemnie, bez świadków, w pracowni cesarza.

Przed koronacją miał on przystąpić do Komunji Świętej. Odmówił stanowczo: przyjmowanie Komunji bez wiary w sakrament wydawało mu się obłudą i bluźnierstwem. „Nie chcemy obarczać swego i jego sumienia" — rzekł papież i własnoręcznie napisał na programie uroczystości: „Non comunicheranno — nie przystąpią do Komunji św." — „Prędzej czy później Wasza Cesarska Mość sam dojdzie do tego i będzie z nami" — rzekł do cesarza.[26]

Tu spotykamy się ze sprzecznością w Napoleonie: od jednego sakramentu się uchyla, a zarazem żąda udzielenia mu sakramentu innego — koronacji cesarskiej, która według wykładu św. Piotra Damianiego jest piątym sakramentem: sacramentum quintum est injunctio regis. Przez uchylenie się od Komunji św. obniżała się też wartość koronacji. Jakiż bowiem mogło mieć sens udzielanie jednego z sakramentów człowiekowi, który nawet do Kościoła nie należał?[27]

Dnia 11 frimaire'a (2 grudnia) 1804 roku odbyła się w katedrze Notre-Dame de Paris niesłychanie wspaniała, ale chłodna i nudna ceremonja koronacji.

Niejeden widział, że cesarz „kilkakrotnie stłumiał ziewanie", a gdy papież go namaszczał, to on zdawał się myśleć tylko o tem, aby się jak najprędzej wytrzeć. Twarz jego była obojętna i znieruchomiała, jakgdyby był „pogrą-

żony w magnetycznym śnie". Czy może okiem jasnowidza, które w chwilach decydujących zawsze mu służyło, widział, albo wspominał, że koronuje się jako ofiara?

„Vivat Imperator in aeternum! — Niech żyje Cesarz po wieki!" — zawołał papież i sięgał ręką po koronę.

Ale Napoleon uprzedził go: sam ujął koronę, zdjął z głowy złoty wieniec laurowy i włożył koronę.[28]

„Il cielo mi la diede; guai a chi la toccherà! — Bóg mi ją dał; biada temu, ktoby jej dotknął!" — miał powiedzieć później, gdy koronował się w Medjolanie lombardzką Koroną Żelazną.

„Czy nato wolność dana była ludziom, aby z niej nigdy nie korzystali? Czy zawsze człowiek, który wyciągnie rękę po jej owoc, będzie musiał umrzeć?" — pytał w Trybunale stary uczciwy jakobin Carnot, jedyny, który głosował przeciw proklamowaniu Napoleona cesarzem.

„W tej chwili właśnie zrobiliśmy cesarza" — pisał Paul Louis Courier. — „Taki człowiek jak Bonaparte, żołnierz, wódz, pierwszy śród wodzów całego świata, chce, aby go nazywać Cesarską Mością. Być Bonapartem i stać się cesarzem! Chce się poniżyć! Biedny człowiek! Myśli jego są niższe od jego losu".[29]

De Pradt, biskup Malines, nie tail przed Napoleonem, że podczas swej podróży urzędowej po wielu okolicach Francji nie zauważył „jakichkolwiek przychylnych nastrojów, któreby ceremonja ta była wywołała". — „Zawsze mi się wydawało, że możesz być, Cesarzu, koronowany tylko własną szpadą" — rzekł Napoleonowi w oczy i ciszej dodał: „To oszukiwanie samego siebie, istne dzieciństwo!"[30]

Beethoven poświęcił Bonapartemu trzecią symfonję, ale gdy się dowiedział, że Napoleon stał się cesarzem, przekreślił dedykację i napisał zamiast niej: „Eroica. Pamięci wielkiego człowieka". W symfonji tej jest marsz żałobny, jakgdyby Beethoven także był wiedział, pamiętał o tem, że Bonaparte koronował się jako ofiara.

Koronacyjny płaszcz cesarza usiany był złotemi pszczołami. Takie same pszczoły znaleziono w grobowcu Childeryka I, jednego z najstarszych królów frankońskich. Co to miało znaczyć?

Gdy Samson udał się do Timnat „oto lew młody ryczący zabieżał mu. I przypadł nań duch Pański, i rozdarł lwa jakoby rozdarł koźlę. A wróciwszy po kilku dniach, aby obejrzeć ów ścierw lwi, widział, że oto rój pszczół był w ścierwie lwim i miód". I zadał on zagadkę Filistyńczykom: „Z pożerającego wyszedł pokarm, a z mocnego wyszła słodkość".[31]

Gdyby Napoleonowi na św. Helenie ktoś był zadał tę zagadkę i przypomniał mu pszczoły na jego płaszczu koronacyjnym, to byłby on może pojął,



NAPOLEON W STROJU KORONACYJNYM
(według stalorytu T. Goutiere'a z obrazu F. Gérard'a.)

co te pszczoły oznaczały. Samego siebie rozszarpał jak Samson lwa i „oto rój pszczół był w ścierwie lwim i miód", miód złotego wieku, miód najsłodszej ofiary. Taki bo jest sens słów: „Z pożerającego wyszedł pokarm, a z mocnego wyszła słodkość".

Zwycięstwa. 1805—1807.

„Władza moja zależy od mej sławy, a sława moja od moich zwycięstw" — mawiał Napoleon. — „Zwycięstwo uczyniło mnie tem, czem jestem i tylko zwycięstwami zdołam władzę zachować. Nowonarodzony rząd musi olśniewać i wprawiać w zdumienie; jeśli tego nie czyni, to upada".[1]

Wie on, przypomina sobie, że największe i ostatnie jego zwycięstwo, przewyższające wszystkie inne zwycięstwa, musi się narodzić z pojedynku z Anglją o panowanie nad światem. Wszystkie jego wojny, od Tulonu aż po Waterloo, są jedną bezustanną wojną z Anglją. Szuka on jej wszędzie: najprzód za Italją, Egiptem, Syrją, potem za Austrją, Niemcami, Hiszpanją, Rosją; szuka morza za lądami, przebija się przez lądy ku morzu. On, wyspiarz, walczy bezustannie z wyspą. „O gdybym był zapanował nad morzami!" — będzie później wzdychał na św. Helenie. Wie on mocą swojej wiedzy wspominającej, że panowanie nad morzami jest panowaniem nad światem.

„Zniszczę Anglję i Francja stanie się panią świata" — powiedział po Marengo.[2] „Skupmy wszystkie swoje wysiłki na flocie, rozbijmy Anglję, a cała Europa legnie u naszych stóp!"

Pokój podpisany w Amiens, który zdawał się być zawarty na wieczność całą, trwał zaledwie cztery miesiące. Myśl o wylądowaniu w Anglji, o wtargnięciu w samo serce nieprzyjaciela, tak samo nie opuszczała cesarza, jak nie opuszczała Pierwszego Konsula. Dnia 19 lipca 1805 roku udał się on do obozu w Boulogne nad kanałem La Manche. W obozie tym już od dwóch lat pracowano nad przygotowaniami do wylądowania w Anglji: porty pogłębiano, budowano warsztaty okrętowe, zakładano składy broni, urządzano tamy, mola, fortyfikacje, kopano rowy i szańce. Wielka Armja — nazwa ta pojawia się tu po raz pierwszy — zbierała się w obozie w Boulogne. Sześć korpusów było rozłożonych na wzgórzach, tworzących amfiteatr dokoła miasta; pośrodku znajdowała się cesarska kwatera główna.

„Flotylla narodowa", składająca się z 2365 statków różnej wielkości i kształtu, od kanonierek aż po statki linjowe, a licząca dwanaście tysięcy ludzi załogi, miała umożliwić transport 160.000 wojska, 10.000 koni i 650 armat.

Ciężka sprawa lądowania miała być możliwa do wykonania w przeciągu ośmiu godzin: chodziło jedynie o najbardziej korzystne warunki przy przebywaniu cieśniny morskiej, liczącej trzydzieści dwa kilometry szerokości. „Osiem

pomyślnych godzin nocnych mogłoby zadecydować o losach świata" — pisał Pierwszy Konsul do admirała Ganteaume'a, a później cesarz do admirała Latour-Trevillé'go: „Jeśli cieśnina będzie w naszem posiadaniu tylko przez sześć godzin, to zdobędziemy świat!"[3]

W Amiens zbudowano łuk triumfalny z napisem: „Droga do Anglji". Pod cesarskim namiotem w Boulogne wykopano starożytną rzymską siekierę bojową, która miała pochodzić z obozu Juljusza Cezara, pierwszego zdobywcy Anglji. Obóz w Boulogne ma więc być koroną dwóch tysiącleci historji.

Dnia 15 sierpnia w dniu urodzin Napoleona odbyła się uroczysta ceremonja: rozdawnictwo krzyżów ustanowionego właśnie orderu Legji Honorowej. Cesarz siedział na tysiącletnim tronie żelaznym króla Dagoberta, ustawionym na wyżynie, z której widać było cały obóz i morze, usiane okrętami: był to nowożytny Xerxes. Zdawało się, że dość jednego gestu jego ręki, aby zniszczyć Anglję i zdobyć świat.

Ale w Paryżu nie wierzono w lądowanie. „Wywoływało ono powszechny śmiech" — opowiada Bourrienne. „Istotnie trudno było wyobrazić sobie przedsięwzięcie kosztowniejsze, niepożyteczniejsze i śmieszniejsze zarazem".[4] Ukazywały się karykatury: okręty bulońskie przedstawiano jako skorupki od orzechów, pływające w miednicy; marynarz angielski siedzi na wybrzeżu i pali fajkę, a dym jego fajki odwiewa całą flotę francuską. W Anglji śmiano się również, ale i drżano zarazem.

„Dużo dyskutowano nad tem, czy Bonaparte wyprawę do Anglji planuje na serjo" — opowiada generał Marmont. — „Jestem najgłębiej przekonany, że tak. Wyprawa ta była gorącem marzeniem jego całego życia, jego najwyższą nadzieją. Lądowanie było zgoła możliwe. Twierdzę Dover zamierzał Bonaparte zburzyć ogniem artyleryjskim a jej załogę zmusić do poddania się. Miało to być dziełem jednego okamgnienia. Dobrze, że wyprawa do Anglji nie rozpoczęła się w tej samej chwili, w której Austrja z tak wielkiemi siłami ruszyła przeciwko nam" — rzekłem do niego pewnego razu, już po rozpoczęciu działań wojennych przeciwko Austrji. „Gdybyśmy w Anglji wylądowali i wkroczyli do Londynu, co nastąpiłoby z wszelką pewnością, to sameż kobiety Strassburga zdołałyby obronić nasze granice" — odpowiedział Bonaparte. Nigdy niczego nie pragnął tak gorąco, jak tego".[5]

„W Anglji byłbym ogłosił republikę, byłbym zniósł szlachtę i Izbę Wyższą, a zarazem byłbym kazał wywłaszczyć wszystkich, którzyby się przeciwstawili mnie, wolności, równości i zwierzchnictwu ludu. W mieście tak wielkiem, jak Londyn, zawsze jest dużo pospólstwa i niezadowolonych. Dokoła mnie byłaby się wytworzyła wielka partja. W Irlandji byłbym też wywołał powstanie..."[6] „Duża część Anglików pragnęła naszego przybycia. Po wylądowaniu dość byłoby jednego potężnego ciosu, którego wynik nie pozostawiał naj-



KORONACJA CESARZOWEJ JÓZEFINY
(według stalorytu A. Gabriel'a z obrazu J. David'a).

mniejszych wątpliwości, a droga na Londyn stałaby otworem. Lud angielski, jęczący pod jarzmem oligarchji, byłby się do nas natychmiast przyłączył; bylibyśmy się stali jego sprzymierzeńcami, przybywającymi, aby go wyzwolić, i ozwalibyśmy się do niego czarodziejskiemi słowy: wolność, równość!"[7]

Powodzenie lądowania zależne było od pewnego manewru generała Villeneuve'a, który z flotą francuską wysłany został na Antyle, aby flotę angielską odciągnąć od kanału La Manche. Pierwsza część tego przedsięwzięcia udała się: Villeneuve dotarł aż do Martyniki, a flota angielska ruszyła za nim. Ale w drodze powrotnej, gdy koło Ferrol natknął się na admirała Nelsona, zawrócił na południe i popłynął ku Kadyksowi, zamiast według rozkazu płynąć na Rochefort i Brest, tu otrzymać posiłki floty hiszpańskiej i francuskiej, a następnie ukazać się nieoczekiwanie w Kanale i uwolnić go na kilka dni od statków angielskich, dzięki czemu „powodzenie lądowania byłoby raz na zawsze zapewnione".[8]

„Przybywaj pan, przybywaj do cieśniny La Manche, nie tracąc ani chwili! Anglja będzie nasza, trzeba tylko, aby pan się tu zjawił na dwadzieścia cztery godziny" — pisał Napoleon 22 sierpnia do Villeneuve'a, ale 23 otrzymał wiadomość, że ten zawrócił na południe. To przesądzało losy lądowania.[9]

Jak niegdyś w Egipcie i w Syrji, tak i tutaj olbrzymia chimera pękła niby bańka mydlana. Stękająca góra porodziła myszkę. Miljony zostały utopione w wodzie, wyrzucone w powietrze. Flotylla narodowa była tylko garstką skorupek orzechowych, pływających w miednicy. Ale stało się i tym razem tak jak wtedy: ledwo że jedna chimera pękła, natychmiast pojawiła się inna. Cała Europa miała zostać zmobilizowana przeciwko Anglji, ląd stały miał ruszyć przeciwko morzu.

Jeszcze tegoż samego dnia, to jest 23 sierpnia, zwraca się Napoleon do armji z oświadczeniem, że Austrja, skuszona złotem Anglji, powstała przeciw Francji. Obóz w Boulogne zostaje zwinięty, a zarazem dyktuje się plan wyprawy przeciwko Austrji. Wszystkie ruchy wielkiej armji, liczba marszów, podział i wyzyskanie poszczególnych oddziałów zostają ustalone, przewidziane, obliczone z matematyczną ścisłością. Wiedza łączy się tu z proroctwem, matematyka z jasnowidztwem. Obóz w Boulogne zwija się, a wielka armja, licząca sto osiemdziesiąt tysięcy ludzi, z nad morza jakby cudem spada nad brzeg Dunaju. Porusza się ona z taką szybkością, w takim wzorowym porządku, że gdyby ktoś mógł przyglądać się jej z wysokości, to byłby musiał wziąć ją za harmonijnie pląsające szeregi dionizyjskiego korowodu, na którego czele kroczy sam bóg.

„Zdawało się, że niby bóg
Wzbił się w błękitne nadobłocze,

Wszystkiego strzegł i wszystkich wiódł
Spojrzeniem swych cudownych oczu".[10]

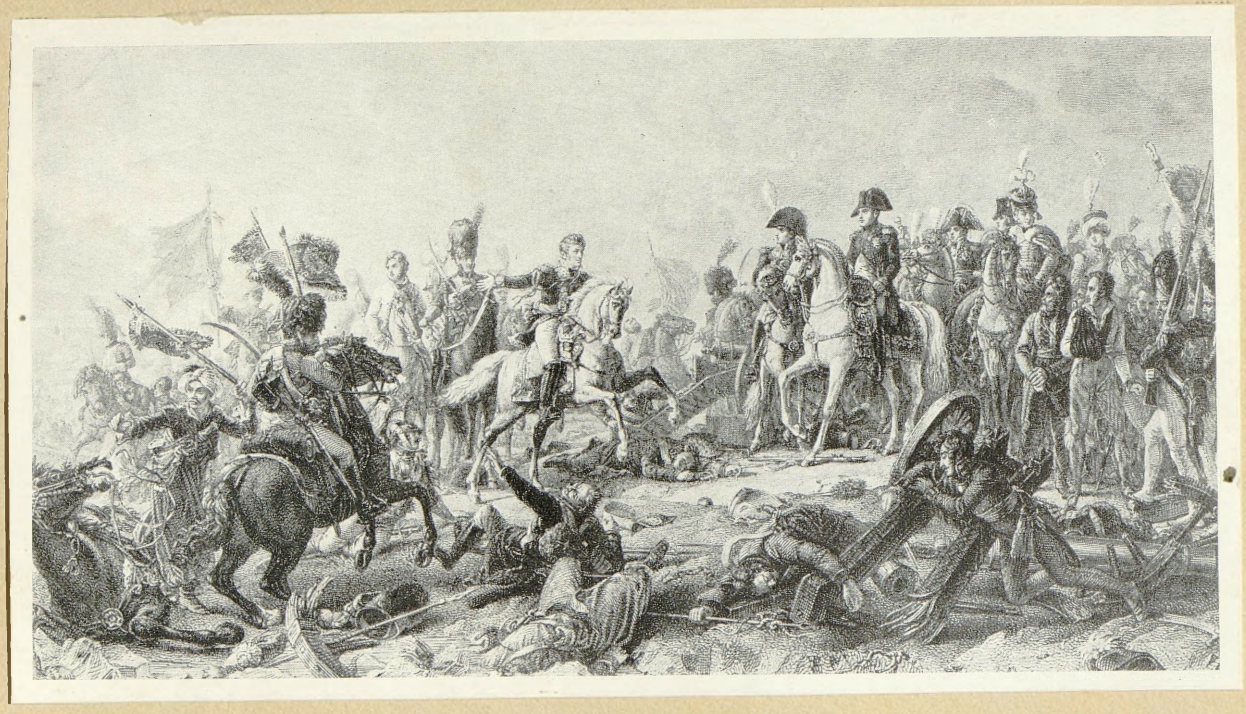
Cesarstwo Napoleona stoi na ośmiu kolumnach ośmiu zwycięstw, a mianowicie czterech południowych, któremi opanował morze Śródziemne od Gibraltaru po Adrjatyk: Lodi, Arcole, Rivoli, Marengo; i cztery północne, które otworzyły mu Europę środkową od Renu po Niemen: Ulm, Austerlitz, Jena, Frydland.

Zwycięstwa południowe były wywalczone ciężko, natomiast północne były łatwe. Przy tamtych Napoleon był wschodzącem słońcem, tutaj zaś jest nieruchomą gwiazdą w zenicie; tamte tęczowały wielobarwnie, niby promienie porannego słońca, te są równomierne, białe, jak słońce południowe; tamte pogłębiały jego potęgę, te ją rozpowszechniały; tamte były osobiste, te są bezosobowe, a przynajmniej przesłaniają jego osobę i jego oblicze. Takie jest słońce południowe, olśniewająco-niewidzialne. Tamte zwycięstwa były bohaterskie, te... nie mamy żadnego słowa, któreby je charakteryzowały. Starożytni Grecy byliby je nazwali demonicznemi, i może jedyny z pośród nas, Goethe, zrozumiał, co to słowo znaczy, bo on właśnie określił istotę Napoleona jako demoniczną, oczywiście nie w naszem znaczeniu chrześcijańskiem, lecz w znaczeniu pogańskiem. Daimon jest bogiem ziemi. Kto nie zna praw demonizmu, temu wydaje się on cudowny, nadziemski, lecz być może, iż demoniczne jest równie proste i naturalne, jak wszystko, co uważamy za konieczne i powszednie.

Skąd się naprawdę brała w Napoleonie ta cudowna zaiste władza jego nad ludźmi i wypadkami? Jego kolega szkolny i sekretarz, Bourrienne, mówi o rodzaju magnetycznego przewidywania — une sorte de prévision magnétique.[11] „Miałem wewnętrzne wyczuwanie tego, co mnie oczekiwało".— „...Nigdy nie spotkało mnie nic takiego, czego nie byłbym przewidział" — powiedział Napoleon.[12]

Tak było zawsze, lecz w ciągu dwóch lat od 1805 do 1807, od Ulmu po Frydland, w stopniu wyższym, niż kiedykolwiek.

Ludzie są słabi, bo są ślepi i nie wiedzą, co nadchodzi. Napoleon wie, wie ze wspominań swoich tak dobrze o tem, co nadchodzi, jak pamięta o tem, co było. Wiedzieć, to znaczy móc. Wszystko może, gdyż wszystko wie. Przez mury widzi on nawskroś, jak przez szyby; przenika je jak duch. Zwycięża tak łatwo, iż zdaje się, że nawet ręki wyciągać nie potrzebuje, aby uszczknąć laur. Zwycięstwa same padają do jego stóp, jak dojrzały owoc z drzewa. To już nie wojna, ale pochód triumfalny. Gdyby to było trwało jeszcze dłużej, to byłby zaszedł dalej i byłby zdobył cały świat. Ale i w ciągu tych dwóch lat było tylko krótkie okamgnienie — dni czterdzieści, niewiele więcej, od



BITWA POD AUSTERLITZ
(według stalorytu Beyera, z obrazu Fr. Gérard'a).

Ulmu po Austerlitz. Lecz potem światło staje się bledsze i słabsze; ostatniem łatwem i jasnem zwycięstwem jest Frydland. On sam zdaje się to wyczuwać: robi koniec wojnom pokojem tylżyckim, być może w nadziei, że ten pokój będzie pokojem ostatecznym. Anglja będzie pokonana przez europejską blokadę, która ląd stały rzuci przeciwko morzu.

Zwycięstwa południowe, które podobne są do błyskawic, nie dają się opisać, ale jeszcze trudniej opisać zwycięstwa północne — ów nieruchomy, olśniewająco jasny blask południa. Niema tu zresztą nic do opisywania: wciąż dzieje się jedno. Trzeba jedynie powtarzać zawsze to samo: wie i dlatego może; przewiduje zgóry i dlatego zwycięża.

Rozpiąć olbrzymią sieć od Renu aż po Dunaj i schwytać w nią austrjackiego marszałka Macka — oto był ulmski plan Napoleona. Mack zaś sam włazi w zastawione sidła. „Wygląda tak, jakgdyby plan austrjackiej kampanji projektowany był nie przez Macka, lecz przeze mnie“ — powiada Napoleon przy przekraczaniu Renu dnia 1 października 1805 roku i przepowiada: „Kaudyński wąwóz Macka nazywać się będzie Ulm“.[13]

Jak przepowiedział, tak też się stało: cała armja austrjacka wpadła pod Ulmem w sieci.

Być może, iż Mack wcale nie był takim głupcem i tchórzem, jak się zdaje; tylko że stracił rozsądek pod oszałamiającem spojrzeniem „demona“, jak ptak ulega czarowi wężowego spojrzenia. Mógł był wycofać się z Ulmu, albo zamknąć się w twierdzy i czekać przybycia sprzymierzonej armji rosyjskiej, która forsownemi marszami śpieszyła mu na pomoc. Ale on nie uczynił ani jednego, ani drugiego: 20 października poddał się niemal bez walki.

Po zniszczeniu lub rozproszeniu osiemdziesięciotysięcznej armji austrjackiej, w ciągu niespełna trzech tygodni, maszeruje Napoleon na Wiedeń, zdobywa miasto także niemal bez walki i przekracza Dunaj, pędząc przed sobą austrjacko-rosyjską armję, która ustępowała przed nim na Morawy.

Dnia 1 grudnia 1805 roku, w nocy przed bitwą pod Austerlitz, gdy cesarz objeżdża front, żołnierze, pamiętając, że dzień ten jest pierwszą rocznicą koronacji, poprzytwierdzali do bagnetów gałązki jedliny i witali swego wodza blaskiem sześćdziesięciu tysięcy pochodni. Była to wilja płomienna na cześć boga Mitry, niezwyciężonego słońca, Cesarza. Zdawało się, że zaraził ich swojem własnem magnetycznem przewidywaniem, bo słońce Austerlitz wzeszło im już w nocy.

Dnia 2 grudnia walka zaczęła się o świcie. Rosjanie i Austrjacy wykonywają plan Napoleona równie posłusznie, jak to uczynił Mack: włażą w sidła moczarowatej okolicy Tellnitz. Kawaleryjski atak Murata wypiera ich w stronę Austerlitz. Korpusy marszałków Soulta i Bernadottego, ukryte w wąwozie Holbachu i mgłą osłonięte, występują nagle i atakują wyżyny

Pratzenu. W tej chwili, jak powiada sprawozdanie, „słońce Austerlitzu wzeszło promienne — le soleil d'Austerlitz se leva radieux".

Nie papież koroną cezarów, lecz cesarz sam ukoronował się tem słońcem.

Dnia 14 października 1806 roku — Jena. Może ów saski pastor, który pokazał Francuzom boczną ścieżkę na wyżynie Landgrafenbergu, wcale nie był takim Judaszem, za jakiego uchodzi; i on tak samo, jak Mack, stracił rozum pod oszałamiającem spojrzeniem „demona"; zrozumiał, że wszelka walka z nim jest beznadziejna, — że zwyciężyć musiał.

Znowuż pomaga cesarzowi mgła poranna i znowuż wschodzi słońce Jeny, jak słońce Austerlitzu, promienne, i oświeca armję francuską, która z wyżyn Landgrafenbergu wali się nagle na zaskoczone prusko-saskie wojska.

Pod Austerlitz zdobył Napoleon władzę nad Austrją, Jena dała mu Prusy. Dnia 27 października 1806 roku wkracza jako triumfator do Berlina i szpadę Fryderyka Wielkiego wysyła do Paryża.

Pierwszem losowem ostrzeżeniem zwycięzcy jest Iława — 8 lutego 1807 r. Tutaj Rosjanie bili się, jak jeszcze nikt się nie bił. „Od czasu wynalezienia prochu takiej rzezi jeszcze nie było" — opowiada świadek naoczny.[14] Korpus Augereau prawie cały został zniszczony ogniem artyleryjskim. Podczas bitwy zrywa się burza śnieżna i olbrzymie masy śniegu ciska w oczy Francuzom z taką siłą, że ci na piętnaście kroków nie widzą nic przed sobą. Nic wiedzą, gdzie stoi nieprzyjaciel, i kilka razy strzelają do własnych oddziałów. Groza roku 1812, groza fatum, zajrzała w oczy Napoleona w tę lodowatą, żelazną i krwawą noc pod Iławą.

Rosjanie rozpoczęli wreszcie odwrót, ale nieprzyjacielowi pozostawili tylko pobojowisko i trzydzieści tysięcy zabitych i rannych.

„Co za straszliwy widok" — powtarzał Napoleon raz za razem, przejeżdżając przez pole bitwy. — „Powinnoby to natchnąć władców miłością dla pokoju i wstrętem dla wojny!" — Może wspominał o Jaffie: „Jeszcze nigdy wojna nie wydała mi się tak ohydną".

Ale Iława była tylko chmurą; odpłynęła, i znowuż słońce świeci jasno.

Dnia 14 czerwca 1807 roku w rocznicę Marengo—Frydland. Powtarza się zawsze to samo: magnetyczne przewidywanie zwycięstwa jest właśnie zwycięstwem. Wszędzie jest olśniewająco-jasny blask południa. „Około południa, gdy Napoleon dyktował plan bitwy, twarz jego jaśniała tak radośnie, jakgdyby już był zwyciężył" — opowiada Ségur.[15] Spożywa śniadanie tuż wobec nieprzyjaciela, pod świstem kul, a gdy go ostrzegają, odpowiada z uśmiechem: „Niech nam Rosjanie przeszkadzają przy śniadaniu, my im zato gruntownie zmierzimy kolację!" Gdy przegląda wojska, to na powitalne okrzyki żołnierzy odpowiada raz za razem: „Szczęśliwy dzień, szczęśliwy dzień, rocznica Marengo!" A twarz jego jest jak słońce.[16]



BITWA POD JENĄ
(według stalorytu J. Pourvoyeur'a z obrazu H. Vernet'a).

Na początku bitwy mają Francuzi tylko 26.000 bagnetów przeciwko 75.000. Generałowie proponują cesarzowi, aby bitwę odłożył do jutra. „Nie, nie, dwa razy nie można liczyć na taki błąd" — odpowiada, bo spostrzega, że generał Bennigsen, głównodowodzący armji rosyjskiej, może zostać zaatakowany od tyłu, okrążony i zmiażdżony.

A „na kolację" Rosjanie wycofują się za Niemen.

Niemen jest tajemniczą rubieżą między Wschodem a Zachodem. Dotarłszy do niego, Napoleon zatrzymał się i zdawał się rozmyślać: czy przekroczyć tę rzekę, czy nie? Nie przekroczył jej; być może, iż „przypomniał" sobie, że godzina jego jeszcze nie nadeszła...

Dnia 25 czerwca — południe; południe lata i doby.

„Południe parne, ciężkie, senne...
Leniwo płyną rzeczne fale,
A w niebie czystem i płomiennem
Obłoki toną ociężale.
Żar parną mgłą omotał ziemię
I cały świat leniwie drzemie..."[17]

Parno jest na piaszczystych wybrzeżach Niemna; powietrze pachnie ciepłą wodą, rybami, ciepłemi poziomkami i żywicą sosnowego boru. Jest duszno; w słonecznej spiekocie lęże się burza.

Pośrodku Niemna, naprzeciwko miasteczka Tylży, stanął prom na kotwicy. Na promie jest drewniany domek, a nad jego wejściem w wieńcu ze świeżej zieleni łączą się z sobą dwie litery: N. i A. Napoleon i Aleksander.

Łódź Napoleona odbija od brzegu lewego, łódź cara od prawego. Oto spotykają się z sobą; obaj cesarzowie wstępują na prom i w obliczu obu armij, przy bezustannych okrzykach Rosjan i Francuzów, wołających „Vive l'empereur!" — ściskają się jak bracia. Uścisk Wschodu i Zachodu, Azji i Europy.

Połowa lata, południe, szczytowa chwila doby Napoleona. W zenicie łączy słońce obie półkule nieba: wschód i zachód.

„Anglików nienawidzę tak samo, jak Wasza Cesarska Mość" — powiada Aleksander.

„Jeśli tak, to pokój zawarty" — odpowiada Napoleon.

„Do żadnego człowieka nie byłem tak uprzedzony, jak do niego, ale po czterdziestominutowej rozmowie wszystkie moje uprzedzenia rozwiały się jak sen".[18] — „Nigdy nie kochałem żadnego człowieka tak jak jego" — wspominał Aleksander później.[19]

Jeden drugiego pragnie uwieść. Napoleon nazywa Aleksandra uwodzicielem.[20] Odgaduje go zresztą, czy też mniema go odgadywać. „Prawdziwy

bizantyńczyk; subtelny, zręczny, zakłamany; zajdzie daleko".[21] — „Pochlebiajcie jego próżności" — doradza Aleksander swoim przyjaciołom Prusakom.

Dnia 8 lipca 1807 zostaje podpisany pokój tylżycki. „Układ tylżycki decyduje o losach świata" — powiada Napoleon.[22] Cała Europa, od Petersburga po Neapol, zwraca się frontem przeciwko Anglji, ląd stały powstaje przeciwko morzu. Gigantyczna chimera staje się niemal rzeczywistością.

Słońce stoi w zenicie. Najwyższy punkt został osiągnięty, zaczyna się zniżanie.

„Bystrzy obserwatorzy dostrzegli schyłek Napoleona już w roku 1805" — powiada Stendhal.[23] Nawet wierzyć się nie chce: 1805—1807, Austerlitz, Tylża, południe słońca Napoleona! A jednak inaczej być nie mogło. W godzinie południowej słońce zaczyna chylić się ku zachodowi.

„Nieszczęsny! Żal mi ciebie. Podobni tobie zazdrościć ci będą, a jednak będziesz najbiedniejszym śród nich!" O tem wie i to pamięta, ale teraz u szczytu potęgi widzi jaśniej, niż kiedykolwiek. Otrzymał wszystko i osiągnął wszystko, lecz nagle sposępniał i nie pragnie już niczego. Potęga, wielkość, sława — wszystko, co ludziom wydaje się tak upragnione, jemu ukazuje się puste i zbędne. Pragnie on czegoś innego; sam jednak nie wie, czego chce, i nigdy się o tem nie dowie. Nawet na wyspie św. Heleny nie byłby tego zrozumiał i nie byłby w to uwierzył, gdyby mu ktoś był powiedział, że bezpośrednio po Tylży, w godzinie swego południa, zatęskni do nocy, do stania się ofiarą, do rozszarpania samego siebie, jak Samson rozszarpał lwa na drodze do Timnat.

„Genjusze to meteory, które spalać się muszą, aby oświecać swoje czasy". Spalić się, umrzeć, stać się ofiarą. „Z pożerającego wyszedł pokarm, a z mocnego wyszła słodkość". O tem brzęczały pszczoły na cesarskiej purpurze.

Prawdziwa, ofiarna dusza Napoleona jest niewidzialną gwiazdą południową.

„Duszaby gwiazdą być pragnęła,
Ale nie w nocy, kiedy z nieba
Słońca jak wielkie żywe oczy
Patrzą na śpiący ziemski świat, —
Lecz w dzień, gdy skryte niby w dymie
Palących ostrych blasków słońca
W eterze czystym, niewidzialnym,
Najjaśniej jarzą się jak bóstwa".[24]

Słońce Napoleona, wzbiwszy się na najwyższy punkt zenitu, zwraca się ku zachodowi, i w południe nastaje wieczór.



BITWA POD IŁAWĄ
(według stalorytu Ch. Beyera z rysunku E. Charpentier'a).

WIECZÓR.

Pojedynek z Anglją. 1808.

„Anglja oczekuje, że każdy spełni swój obowiązek“ — ten prosty i wielki sygnał bojowy, godny wielkiego narodu, podany został na maszcie fregaty „Victory“ przez admirała Nelsona przed bitwą pod Trafalgarem, na wodach hiszpańskich koło Kadyksu 21 października 1805 roku, nazajutrz po ulmskiej kapitulacji, która była początkiem światowych zwycięstw Napoleona.[1] Nelson „spełnił swój obowiązek“. Poległ w walce, a umierając, miał szczęście widzieć zwycięstwo: francusko-hiszpańska flota była zniszczona przez angielską, i tem zwycięstwem stwierdzone zostało ostatecznie, w obliczu najgroźniejszego wroga Anglji, Napoleona, jej panowanie światowe.

„Kilka okrętów francuskich zatonęło podczas burzy po walce podjętej nieostrożnie“ — powie Napoleon o Trafalgarze, nadrabiając miną, ale nie oszuka nikogo: flota została zniszczona i na nic się zdały wszystkie zwycięstwa na lądzie: Marengo, Ulm, Austerlitz, Jena, Frydland. Tak samo, jak niegdyś w Egipcie zamknięto go Abukirem, tak teraz Trafalgarem schwytano go w Europie niby mysz w pułapkę. Cóż miałby z tego, choćby przeszedł i pokonał całą Europę i Azję aż do Indyj? Stały ląd bez morza to dla niego to samo, co mogiła dla człowieka żywcem pogrzebanego, albo wiekuiste więzienie — „Św. Helena, malutka wyspa“.

Kontynentalna blokada, ogłoszona dekretem berlińskim z dnia 21 listopada 1806 roku — to odpowiedź na Trafalgar. Wszystkie porty europejskie zostają dla angielskiej floty zamknięte; wszystkie statki angielskie mają być chwytane; wszystkie towary podlegają konfiskacie jako zdobycz wojenna, a poddani wielkobrytańscy zostają aresztowani jako jeńcy wojenni; nawet stosunki pocztowe z Anglją ulegają zerwaniu. Zadusić ją nadprodukcją towarów, nie znajdujących zbytu na rynkach zewnętrznych, niby „atakiem apoplektycznym skutkiem przekrwienia“ — oto cel blokady. „Trzeba, żeby ci wrogowie wszystkich narodów znaleźli się poza prawem“ — powiada „Moniteur“. „Jest to walka na życie i śmierć“.[2]

Czy blokada mogła mieć powodzenie? Rozstrzygnąć to nie tak łatwo, jak się zdawało wtedy i jak niejednemu zdaje się dzisiaj.

Mówią, że gdyby się blokada była udała, to zaduszona zostałaby nie

Anglja, ale Europa, odgrodzona od świata olbrzymim murem chińskim, ciągnącym się od Archangielska do Konstantynopola. Dla urzeczywistnienia tego dziwacznego planu, Napoleon skazywał samego siebie na konieczność zawojowywania lub anektowania wszystkich krajów europejskich, na zagarnianie ich przemocą, wprost po zbójecku. Tak zagarnięta została Portugalja, Hiszpanja, Holandja, państwo kościelne. Skazywał się wreszcie na konieczne zerwanie z Rosją, co było główną przyczyną jego upadku. A wszystko to było daremne, bo towary angielskie mogły znajdować zbyt także poza Europą, w kolonjach.[3]

„Bezsensowne było proklamowanie blokady Anglji, gdy flota angielska blokowała wszystkie porty francuskie" — wyraża się jeden ze współczesnych. — „Tym nierozsądnym dekretem Napoleon najbardziej zaszkodził samemu sobie. Detronizacja dwudziestu królów nie byłaby wzbudziła takiej przeciw niemu nienawiści, jak to... Blokada byłaby się mogła udać tylko w tym nieprawdopodobnym wypadku, gdyby wszystkie państwa europejskie przestrzegały jej rzetelnie; ale jeden otwarty port niszczył całą blokadę".[4] Sam-ż rząd francuski tworzył luki w tym nieprzeniknionym murze, wydając „przepustki" — „licences", dla towarów, które były mu potrzebne.[5]

„Był to nonsens dlatego, że szkodził wszystkim".[6] Dla zabicia Anglji Europa miała zamordować samą siebie: cała ona została przykryta blokadą niby szklanym kloszem, z pod którego wypompowano powietrze.

Wszystkie te zastrzeżenia wskazują jedynie na trudności i niebezpieczeństwa blokady, ale trudności i niebezpieczeństwa nie są niemożliwością, osobliwie dla Napoleona. „Niemożliwość to tylko straszydło lękliwych i ucieczka tchórzów".[7]

Nie należy zapominać, że jego strategiczny plan w pojedynku z Anglją urzeczywistniony był tylko w drobnej części; część najważniejsza, wzięcie w posiadanie morza Śródziemnego, jako podstawy operacyjnej przeciwko Anglji, została — nie z jego winy — nie wykonana. Gdyby ten plan był się udał, to orzeł Napoleona byłby rozpostarł swoje skrzydła nad całą Europą, opierając lewe na Gibraltarze a prawe na Bosforze. „Wszystkie narody Europy, niby poszczególne korpusy olbrzymiej armji, byłyby ruszyły przeciw Anglji".[8] A za Europą byłaby poszła Azja; wszystkie lądy ziemi byłyby się rzuciły na morze.

Zdaje się, że już w miodowych miesiącach tylżyckich zakomunikował on część tego planu Aleksandrowi. Jego list z 2 lutego 1808 wskazuje, o czem sobie wtedy niby para kochanków szeptali.

„Armja, złożona z Rosjan, Francuzów, poczęści może z Austrjaków, licząca 50.000 bagnetów, maszerująca przez Konstantynopol do Azji, przeraziłaby Anglję, zanimby jeszcze dotarła do Eufratu, i zmusiłaby ją do upoko-

rzenia się przed kontynentem. Ja w Dalmacji, Wasza Cesarska Mość nad Dunajem, — w przeciągu miesiąca armje nasze mogłyby stać nad Bosforem. Cios ten dałby się odczuć aż w Indjach, i Anglja byłaby pokonana... Dzięki naszej serdecznej przyjaźni świat znajduje się w sytuacji, w jakiej jeszcze nigdy się nie znajdował... Obaj wolelibyśmy żyć w spokoju i pokoju śród rozległych obszarów naszych krajów, mając na oku ich wewnętrzną rozbudowę i pomyślność, ale wrogowie świata, Anglicy, nie dopuszczają do tego. Wbrew woli swojej musimy dążyć do tem większej potęgi. Mądrość i polityka domagają się, abyśmy czynili to, czego żąda od nas przeznaczenie, i abyśmy szli, dokąd prowadzi nas bieg wypadków. Dopiero wówczas miljony pigmejów, którzy nie chcą widzieć, że miara wydarzeń dzisiejszych nie spoczywa w gazetach z zeszłego wieku, lecz w historji świata, — zgodzą się z nami i pójdą, dokąd im iść rozkażemy... Otwieram tu przed Waszą Cesarską Mością całą duszę moją. Układ tylżycki zadecyduje o losach świata".[9]

Nie, całej swojej duszy nie otworzył i tutaj; gdyby to był uczynił, to Aleksander byłby się może cofnął przerażony.

Jednocześnie z obmyślaniem wyprawy do Indyj zastanawia się nad wyprawą do Egiptu, aby wszystkie trzy kontynenty — Europę, Azję i Afrykę — podnieść przeciwko Anglji. „W tym samym czasie floty i flotylle ukazywać się będą przed portami francuskiemi oceanu Atlantyckiego dla wykonania szeregu demonstracyj: Irlandja, podburzona przez francuskich agentów, poruszy się, lekkie krążowniki, docierając do wszystkich mórz, wzniecać będą popłoch na wodach nieprzyjacielskich. Ogłuszona temi ciosami, niezdolna do odparcia ich, zachwieje się Anglja. W tym huraganie światowym — „tourbillon du monde" — oszołomiona grozą i bezsilna, będzie musiała ustąpić przed natarciem odnowionej Francji, uznać w niej zwycięzczynię, i ostatecznie z tego olbrzymiego wstrząsu wzejdzie trwały pokój".[10]

Światowy huragan to światowa rewolucja, którą wzniecić ma Napoleon, Robespierre na koniu, a trwały pokój to pokój całego świata — królestwo Boże. „Adveniat regnum Tuum" — jak jest w Ewangelji, albo „zielony raj", „złoty wiek" — „redeunt Saturnia regna" — według mesjanicznych przepowiedni Wergilego.

„Cesarz oszalał, nadobre i całkiem oszalał. Djabli nas wezmą wszystkich razem, a cała ta awantura skończy się ogromną katastrofą!" — rzekł minister marynarki Decrès.[11] Być może, że i Aleksandra nawiedziła myśl podobna, gdy odczytywał list Napoleona i gdy do tej politycznej grozy europejskiej dodał jeszcze mistyczną grozę rosyjską, ujętą w słowa: „Napoleon-Antychryst".

„Głód władzy nad światem tkwi w jego naturze; można zmienić jej postać, powstrzymać go narazie, ale wytępić w nim tego głodu nie można" —

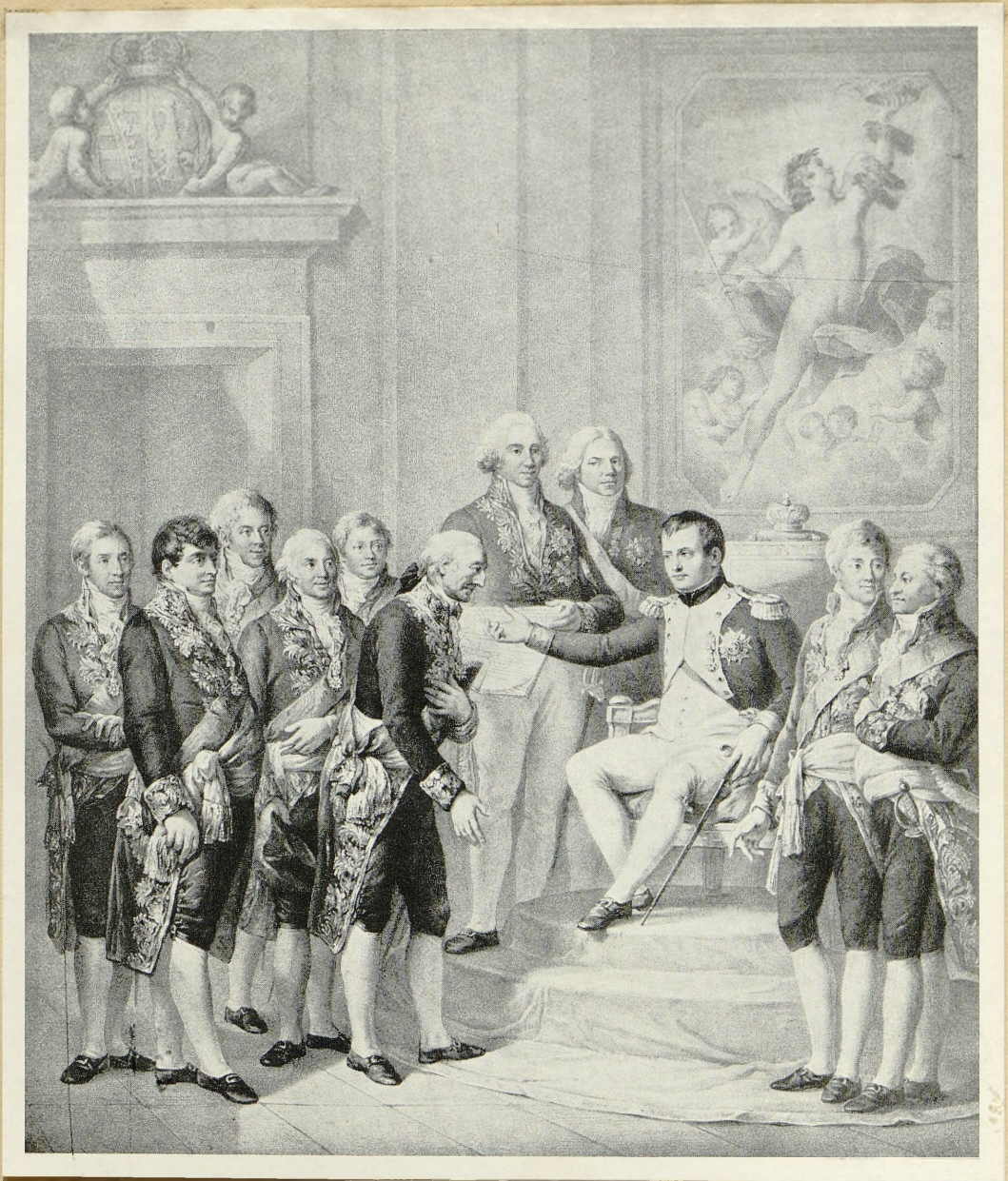
powiedział Metternich. „Zdanie moje co do Napoleona nigdy nie uległo zmianie: jego niewiarogodnym zamiarem było zawsze i jest ujarzmienie całego kontynentu i oddanie go pod władzę jednostki".[12]

Czy istotnie tak było? Czy Napoleon naprawdę „oszalał"? W każdym razie był on niebardziej szalony, niż rewolucja i niż do dnia dzisiejszego żyjąca z niej cywilizacja europejska, która jest zastygłą lawą wygasłego wulkanu rewolucji. Ona to przekazała mu jako dziedzictwo pojedynek Francji z Anglją o panowanie nad światem, a bronią w tym pojedynku miała być blokada kontynentalna. Pomysł ten uchwalony był już w roku 1795 przez Komitet Ocalenia Publicznego.[13]

Napoleon wie bardzo dobrze, z kim walczy. Pierwszą ranę, jaką otrzymał w czasie oblężenia Tulonu, zadał mu bagnet angielski, a także ostatnią — Waterloo, Św. Helena — otrzymać miał z rąk Anglji. Nie przeszkadzało mu to, oczywiście, oceniać siłę i wielkość nieprzyjaciela. „Anglicy są lepszym gatunkiem ludzi, niż Francuzi. Gdybym był posiadał armję angielską, to byłbym cały świat zawojował. Gdybym był wybrańcem Anglji, a nie Francji, to w roku 1815 byłbym mógł przegrać dziesięć Waterloo, nie tracąc ani jednego głosu w parlamencie i ani jednego żołnierza w armji, i ostatecznie byłbym musiał zwyciężyć pomimo wszystko".[14]

Ale w tem właśnie cała sprawa, że Anglja, wytwór narodowy, wybrać go nie mogła; uczynić to mogła jedynie Francja, wytwór kosmiczny. „Anglja oczekuje, że każdy spełni swój obowiązek". Francja wierzy, że każdy gotów jest umrzeć w obronie jej honoru. Co więcej znaczy: powinność, czy honor? Powinność wobec ojczyzny, czy honor wobec świata? Co jest lepsze dla narodu: czy poświęcenie świata dla siebie, czy też poświęcenie siebie dla świata? Zamknąć się w sobie, czy też wyjść poza siebie, w świat? Dzieje narodów jeszcze ciągle zajęte są rozstrzyganiem tego zagadnienia i dotąd jeszcze go nie rozstrzygnęły. W tym sensie i pojedynek Francji z Anglją dotąd rozstrzygnięty nie został. Chodzi tu o przeciwstawienie pierwiastka narodowego kosmicznemu.

Anglja, wyspa, ograniczona jest sama sobą, skoncentrowana jest w sobie, żyje dla siebie; rewolucyjna, a następnie cesarska, Francja nie przestaje zmieniać swoich granic; wychodzi ona poza siebie, dąży do wszechświata. Być może, iż nikt tak nie kocha wolności, jak Anglicy, ale jedynie wolność samą w sobie. Anglja jest najliberalniejszym i najkonserwatywniejszym, a zarazem najmniej rewolucyjnym krajem w całej Europie. Swoją rewolucję narodową załatwiła już dawno i nawet przez myśl jej nie przejdzie, aby się troszczyć o rewolucję światową. „Ja jestem rewolucja" — powiada Napoleon, a potem jeszcze ostrzej i stanowczej dodaje: „Cesarstwo, to rewolucja". — „Ja jestem reakcją; Anglja jest reakcją" — byłby mógł powiedzieć w obliczu



NADANIE KONSTYTUCJI KSIĘSTWU WARSZAWSKIEMU
(według obrazu M. Bacciarelli'ego, lit. Fr. Hanfstaengel'a).

światowej rewolucji francuskiej każdy Anglik, od pierwszego lorda admiralicji aż do ostatniego maklera City.

Lecz oto doszło do potwornego wprost nieporozumienia: Anglja stała się „ostoją wolności", jej obrończynią przeciw Napoleonowi, gnębicielowi. „Na szczęście narody zostały uratowane dzięki wałowi ochronnemu, którego broń Napoleona pokonać nie zdołała: kilkukilometrowa cieśnina morska broniła cywilizacji świata".[15] Że w to wierzono w salonie pani Rémusat, temu dziwić się nie trzeba; dziwne jest tylko to, że wierzył w to cały świat i bodaj dotąd jeszcze wierzy.

Napoleon, „potworny despota", jest za Francją, ale kto jest za Anglją? Lord Pitt, parlament, City, „business" i złodziejstwa plutokracji. Co jest straszniejsze: wielki despota, „Robespierre na koniu", czy też miljon drobnych oszustów?

Lecz oto wszystko się miesza, jakgdyby sam djabeł był tasował karty w tej oszukańczej grze. Francja, uosobienie rewolucji, wydaje się reakcją, Anglja — reakcja uchodzi za rewolucję, wolność nazywają niewolą, niewolę wolnością, przeszłość staje się przyszłością, przyszłość przeszłością. Jest tak, jakby się wszystkie lądy były rzuciły przeciwko morzom i jakby już nie było ani morza, ani lądu. Zda się, że przyszedł nowy potop i nastał nowy chaos — narazie tylko w duszach, gdy tymczasem w rzeczywistem życiu wszystko pozostaje lub pozostać pragnie takiem, jakiem było. Lecz pozostać tak nie może: chaos duchów musi wytworzyć chaos istotny. Pierwszy pomiot jego — wojnę światową — już widzieliśmy, więc ujrzymy może i drugi: rewolucję światową. Z tym zaczynającym się chaosem walczy Napoleon i przezeń zostaje pokonany.

Poczucie miary — „mezzo termine" — którem obdarzony był w postaci tak doskonałej Bonaparte — twór narodowy, zdaje się zatracać Napoleon — twór światowy. Lecz tak właśnie być musi: miara bytowania narodowego nie jest miarą bytowania światowego. Tam obowiązuje nasza euklidesowska geometrja trzech wymiarów, a tu — nieznana nam geometrja czwartego wymiaru. Być może, iż ta nowa miara Napoleona wydaje się nam właśnie niewymiernością, szaleństwem. Gruszka światowości jeszcze nie dojrzała — oto czego nie dostrzegł, czy też dostrzegł może zbyt późno ten przedwczesny wszechczłowiek.[16]

Nie należy zapominać i o tem, że w domu dla obłąkanych warjatem wydaje się człowiek rozumny, i zresztą łatwo może tam stracić rozum. Napoleon wyczuwał bliskość szaleństwa: „Nie można spocząć na łożu cezarów i nie zarazić się od nich szałem zagłady, oszalałem i ja".[17]

Lecz główną przyczyną jego upadku nie jest szaleństwo, ale — chociaż musi się to wydać dziwne — dobroduszność. Zbyt łatwo uwierzył słowom Aleksandra, wypowiedzianym na tylżyckim promie: „Anglików nienawidzę

tak samo, jak Wasza Cesarska Mość!" „Zręczny, obłudny bizantyńczyk" oszukał Korsykanina; wszystko przyrzekł i niczego nie dotrzymał; był on jak owa trzcina nadłamana prorockiej przypowieści: oprzeć się na niej nie można, bo się łamie i przebija rękę. Miękki był i ustępliwy jak mech rosyjskich moczarów; gdy się na nim stawiało nogę, to się zapadało w bagno.

„Po przyjacielsku chciałem wyprzeć Rosję do Azji" — powiada Napoleon. „Zaproponowałem jej Konstantynopol" — ale bez cieśnin, tego klucza kluczów.[18] „Klucz ten jest zbyt cenny: sam on wyważyć może wartość całego cesarstwa; kto go posiada, ten posiada świat".[19] O cieśniny rozbił się układ tylżycki.

Na jesieni roku 1808 doszło do ponownego spotkania obu cesarzów w Erfurcie. Gdy aktor Talma wygłaszał ze sceny słowa wolterowskiego „Edypa":

„L'amitié d'un grand home est un bienfait des dieux. —
Przyjaźń wielkiego męża jest darem bogów". —

Aleksander i Napoleon uścisnęli się, aczkolwiek już nie tak serdecznie, jak na tylżyckim promie: dużo wody upłynęło od owego czasu i w Sekwanie, i w Niemnie.

Na tylżyckiej porcelanie ukazał się rys; zalepia się go w Erfurcie, ale pomimo tej naprawy dość jest stuknąć w ściankę wazonu, aby z fałszywego, złowieszczego dźwięku wyczuć groźbę:

„Rok 1812!"

Powstanie narodów. 1809.

„Cała Europa powstanie przeciwko niemu. Im mocniej skuje on z sobą narody, tem straszliwszy będzie wybuch. Wierzcie mi: jeśli się tylko utrzymamy, to Francja padnie wyczerpana swemi zwycięstwami". Tak mówił pruski generał Blücher, przyszły zwycięzca z pod Waterloo, jeszcze w roku 1806, po bitwie pod Jeną.[1] Wybuch nastąpił wcześniej, niż może nawet Blücher przypuszczał.

Aby zamknąć koło europejskiej blokady od Gibraltaru po Wisłę, musiał Napoleon opanować Hiszpanję. Szybkość i łatwość, z jaką w roku 1807 generał Junot zajął Portugalję, wzbudzała w cesarzu przekonanie, że równie łatwo i szybko uda mu się opanować cały półwysep. Że on, który objął połowę dziedzictwa Bourbonów — Francję — ma prawo także do drugiej połowy, mianowicie do dziedzictwa Bourbonów hiszpańskich, — to wmówił w niego Mefistofel-Talleyrand.

W roku 1808 korpus Murata, pod pretekstem konieczności wspomożenia

Junota w Portugalji, wkracza do Hiszpanji i dociera aż do Eskurjalu w Madrycie, gdzie sytuacja jest tak beznadziejnie zawikłana, iż francuskim nosom wydaje się, iż pieczeń już jest upieczona.

Następca tronu Ferdynand, książę Asturji, nienawidzi pierwszego ministra Godoya, „księcia pokoju", awanturnika ciemnego pochodzenia, który starego, niemal zdziecinniałego króla Karola VI opanował zupełnie przy pomocy królowej, będącej jego kochanką, cały kraj rujnował, a dom królewski hańbił. Z powodu Godoya dochodzi do sporów między rodzicami a synem, a spory te doprowadzają wreszcie do rzeczywistej wojny domowej. W Aranjuezie wybucha powstanie na korzyść następcy tronu, którego jako Ferdynanda VII lud obwołuje królem; książę pokoju zostaje wtrącony do więzienia i omal nie zabity, stary król zrzeka się tronu na rzecz syna.

Dnia 15 kwietnia 1808 roku Napoleon udaje się na zamek Marrac w okolicy Bayonne, aby wypadki hiszpańskie śledzić z pobliża, i zaprasza do siebie cały dom hiszpański: syna, ojca, matkę i kochanka. Wszyscy oni skwapliwie korzystają z zaproszenia, w nadziei, że w Napoleonie znajdą rozjemcę. Lecz dnia 2 maja dochodzi w Madrycie do ponownego powstania przeciwko francuskiej armji okupacyjnej. Murat topi powstanie we krwi. Mamelukowie wyrzynają około piętnastu tysięcy powstańców.

Tymczasem Napoleon zmusza króla Ferdynanda do złożenia korony, pod pretekstem, że powstanie madryckie jest dziełem jego zwolenników; proponuje zwrócenie korony staremu królowi, który jednakże przyjąć jej nie chce. Na to tylko czekał Napoleon: Ferdynand zostaje zamknięty w Valençay, Karol w Compiègne, hiszpański tron jest wolny. Cesarz sadza na nim swego brata Józefa, a szwagra swego, Joachima Murata, robi królem Neapolu.

„Koronę, odebraną jednemu, wsadził na głowę drugiemu i każdy z obu tych królów poszedł w swoją stronę, niby rekruci, którzy pomieniali się czapkami" — powiada Chateaubriand.[2]

„Dokonano najbardziej bezprawnego złupienia korony, jakie znają dzieje współczesne" — oburza się generał Marbot. — „Narzucić się na rozjemcę między ojcem a synem, aby obu zwabić w pułapkę i ograbić — to było łotrostwem i niegodziwością, które napiętnowała historja, a Opatrzność nie omieszkała ukarać".[3] Oburzenie to przedstawia nam Marbota jako człowieka o szlachetnym sposobie myślenia, ale lichego polityka. Niestety, dzieje współczesne znają jeszcze większe zbrodnie, które przez ludzi były nagradzane, a przez Opatrzność nie zostały ukarane, przynajmniej tu na ziemi.

Talleyrand-Mefistofeles, „gnój w jedwabnej pończosze" — „vous n'êtez que du fumier dans un bas de soie" — jak Napoleon powiedział mu w oczy,— triumfuje. Zdołał zarzucić cesarzowi pętlę na szyję: bezgranicznie mądry człowiek uwikła się w bezgranicznie głupią historję, aż po szyję zanurzy się

we krwi i w brudzie. Napoleon będzie panował nad światem, a nad Napoleonem zapanuje Talleyrand.

Zresztą cesarz sam osądza się tak surowo, że trzeba być Tainem, aby bić powalonego. „Przyznaję, że do sprawy tej zabrałem się bardzo źle; niemoralność była tu zbyt jawna, niesprawiedliwość zbyt cyniczna, a całość budziła odrazę, gdyż była niepowodzeniem: dzięki niemu zamach ukazał się w całej swej wstrętnej nagości, bez tej wielkości i tych licznych dobrodziejstw, jakie miałem na celu. Ta nieszczęsna wojna zgubiła mnie... Wrzód ten zmierził mi życie".[4]

Po zbrodni, popełnionej w Bayonne, z nową siłą wybucha powstanie, które w Madrycie zostało utopione we krwi. Tym razem wybucha ono w całej Hiszpanji, pokrytej szeroką siecią powstańczych — napoły zbójeckich, napoły bohaterskich — band: guerilla. Nóż i kula czyhają na francuskich żołnierzy na każdym rogu. „Bić Hiszpanów jest rzeczą bardzo łatwą, ale pokonać ich jest niepodobieństwem, ponieważ wszelka prawidłowa wojna z nimi jest wyłączona". Duch narodu, to niewidzialny, nieuchwytny, wszędyobecny wróg. „Gdy taka wojna się przewleka, to demoralizuje ona wojsko i hartuje naród".[5]

We dnie i w nocy setki tysięcy fanatycznych mnichów głoszą „dwunastu miljonom zawszonych żebraków" świętą wojnę.[6] „W Napoleonie łączą się dwie istoty: człowiecza i szatańska".[7] „Z kogo się on wywodzi?" — „Z grzechu". — „Czy to grzech zabić Francuza?" — „Nie, ale radości niebieskie czekają tego, kto zabija tych psów heretyckich". Taki jest patrjotyczny katechizm hiszpańskich mnichów.

Dobrodziejstw Napoleona nikt sobie w Hiszpanji nie życzy: ani króla Józefa, ani Jana Jakóba Rousseau'a, ani praw ludzkich i obywatelskich, ani kodeksu, ani nawet „złotego wieku" z armją okupacyjną. Hiszpanie wolą starym swoim zwyczajem żyć dalej dumni i zawszeni. Dzika ścieżka górska w Sierra Morena, pachnąca śnieżnym wiewem, kminem i kozim nawozem, ma dla nich większą wartość, niż Pola Elizejskie z triumfalnemi łukami.

Biedny Józef, król-kukła, płacze ze wstydu i strachu. „Niema ani jednego Hiszpana, który trzymałby ze mną; nieprzyjacielem moim jest dzielny dwunastomiljonowy naród, doprowadzony do rozpaczy!"[8]

Bohaterski generał Dupont otrzymuje rozkaz zajęcia południowej Hiszpanji. Dnia 22 lipca 1808 roku zostaje on niedaleko Cordovy w wąwozie Baylen u podnóża Sierra Morena przez nieprzyjaciela otoczony i zmuszony do poddania osiemnastotysięcznej armji. „Jego żołnierze, przeważnie gołowąsy chłopcy-rekruci, wyczerpani ośmiogodzinną walką po piętnastogodzinnych marszach forsownych pod palącemi promieniami lipcowego słońca Andaluzji, nietylko że nie mogli walczyć, ale poprostu z nóg się walili".[9]



SOMOSIERRA
(według stalorytu Massard'a z obrazu H. Vernet'a).

Padali powoli na ziemię, jak skoszone kłosy, w oczekiwaniu śmierci lub niewoli. Sam bóg wojny w położeniu podobnem byłby musiał kapitulować. Niemniej jednak porażka w wąwozie Baylen wywierała w Hiszpanji, Francji, w całej Europie wrażenie głośnego policzka, wymierzonego Wielkiej Armji, a nawet samemuż cesarzowi. Baylen był karą za Bayonne.

„Honor stracony — tego naprawić nie można. Rany, zadane honorowi, są nieuleczalne!“ — szepcze Napoleon, otrzymawszy tę wieść, i blednie tak bardzo, iż zdawało się, że omdleje.[10] A w Radzie Państwa płacze, gdy mówi o Baylen.

Magja zwycięstw została zniweczona: Napoleon nie jest niezwyciężony. Madryt zostaje ewakuowany; Józef sromotnie wygnany. Angielska armja pod dowództwem Wellesleya, przyszłego księcia Wellingtona, bohatera Waterloo, ląduje w Lizbonie, maszeruje na Salamankę, na Valladolid i uczy się zwyciężać Francuzów.

W roku 1808 Napoleon ponownie rzuca się z armją, liczącą dwieście pięćdziesiąt tysięcy bagnetów, na Burgos i Madryt, ponownie wprowadza Józefa na tron i w przeciągu miesiąca z niewielkim okładem opanowuje całą północną część półwyspu. Hiszpanie uciekają prawie bez walki. Ale „łatwo jest Hiszpanów bić, niepodobna ich pokonać“. Z każdym krokiem coraz głębiej zapada się Napoleon w tem krwawem, bezdennem bagnie.

Nagle, nie kończąc wyprawy, pędzi 18 stycznia 1808 roku do Paryża. Na półwyspie pozostawia trzysta tysięcy bagnetów. „Ale co to znaczy w środowisku dwunastu miljonów opętanych!“[11] Pędzi do Paryża, gdyż doszła go wieść o sprzysiężeniu ministra spraw zagranicznych Talleyranda i ministra policji Fouchégo, którzy na wypadek śmierci Napoleona podczas wojny hiszpańskiej chcieli przeprowadzić własne plany. Zamiast niewinnego d'Enghiena powinien był skazać tych dwóch, uwolnić świat od zakały! Lecz on im przebacza, jak wogóle największym wrogom swoim łatwo darowuje winy, być może przez pogardę dla nich. W spisku brał udział także szwagier cesarza, król Neapolu Murat, wraz z żoną swoją Karoliną Bonaparte, lady Macbeth, jak ją nazywano.[12]

Napoleon dowiaduje się także, że Austrja rusza przeciw Francji. Znajduje się on teraz w położeniu człowieka, który jedną nogą ugrzązł w bagnie i ma się oto bronić wobec nacierającego nieprzyjaciela. Bagno to Hiszpanja, nieprzyjaciel to Austrja, Anglja, cała Europa.

Krótka wyprawa przeciwko Austrji ma przebieg wspaniały, ale są to już złowieszcze blaski wieczorowego słońca, zachodzącego śród chmur.

Essling 21 i 22 maja 1809 roku to już niemal porażka; Wagram 5 i 6 czerwca to zwycięstwo niepełne. Bitwa jest wygrana, nieprzyjaciel w odwrocie, „ale rzecz dziwna: nie wzięliśmy ani jednego jeńca, nie zdobyliśmy ani

jednego sztandaru" — opowiada jeden z uczestników bitwy.[13] Zbyt to już ciężkie zwycięstwo, okupione resztkami sił. Napoleon nawet nie ściga cofającego się nieprzyjaciela: zraniony lew odgryza się jeszcze nacierającym nań psom, ale nie ma już nawet tyle siły, aby się na nich rzucić i rozszarpać ich. Być może, iż właśnie pod Wagram po raz pierwszy spostrzegł, że walczy nie z cesarzami, ale z narodami.

Dnia 13 października 1809 w Schönbrunnie pod Wiedniem, podczas parady wojsk francuskich, schwytany został na dziedzińcu zamkowym młodzieniec, niemal chłopiec jeszcze, osiemnastoletni Fryderyk Staps, syn ewangelickiego pastora z Naumburga. Chciał on zabić Napoleona nożem kuchennym, jak się do tego otwarcie przyznał na badaniu. „Za co chciał mnie pan zabić?" — „Za to, że pan krzywdzi moją ojczyznę..." — „Ułaskawię pana, jeśli mnie pan przeprosi". — „Nie proszę o przebaczenie, ale żałuję, że mi się nie udało zabić pana". — „Cóżto u djabła, wygląda na to, że zbrodnia jest dla ciebie niczem!?" — „Zabić pana to nie zbrodnia, ale powinność". — „Jeśli ułaskawię pana pomimo to, czy mi pan podziękuje?" — „Nie, zabiję pana pomimo wszystko".

„Napoleon zdębiał" — opowiada świadek naoczny. — „Oto owoce nauki iluminatów: armatami nie niszczy się sekt" — odezwał się do swego otoczenia, gdy Staps został odprowadzony. „Proszę się dowiedzieć, jak się zachował wobec śmierci, i donieść mi o tem".

Staps umarł jak bohater. Gdy go wyprowadzono na rozstrzelanie, zawołał: „Niech żyje wolność! Niech żyją Niemcy!" I padł nieżywy.

Napoleon nie mógł długo o nim zapomnieć. „Nie mogę zapomnieć o tym nieszczęśniku. W głowie mi się mąci, gdy o nim myślę. Przekracza to moje zdolności pojmowania!"[14]

Nie, to nie przekraczało jego zdolności pojmowania: jego wiedza wspominająca mówiła mu, że ten osiemnastoletni chłopiec o bardzo białej, dziewczęcej twarzy, o rysach starożytnych bohaterów i chrześcijańskich męczenników, był Cherubinem-mścicielem wolności, jego własnym sobowtórem, Bonapartem-jakobinem z roku 1793: „Gdyby własny mój ojciec zmierzał do tyranji, tobym go zasztyletował!"*

Być może, iż podczas przesłuchania młodego Stapsa zrozumiał Napoleon lepiej, niż na polach Wagramu, że nie z cesarzami walczy, ale z narodami. Bezpośrednio po zamachu przyśpieszył układy pokojowe z Austrją. „Pragnę z tem raz skończyć!"[15] Nie, z tem nie skończy on nigdy.

„Wasza Cesarska Mość może być przekonana, że Rosjanie i Niemcy

* I tutaj powtórzenie było nieuniknione, ponieważ to samo zdarzenie ukazuje się tu w innem oświetleniu: od strony czasów, nie od strony jego osoby.



BITWA POD WAGRAM
(według stalorytu P. Girardet'a z obrazu H. Vernet'a.)

w razie porażki naszej powstaną co do jednego, aby strząsnąć z siebie jarzmo. Będzie to wyprawa krzyżowa. Wszyscy sprzymierzeńcy opuszczą Waszą Cesarską Mość, a poddani zmuszą swoich władców do połączenia się z naszymi wrogami" — powiedział Napoleonowi generał Rapp już w roku 1806, po bitwie pod Jeną. Napoleon nie znał Niemców, gdy porównywał ich z pieskami, które tylko ujadają, ale nie kąsają. Później miał się przekonać, do czego oni są zdolni.[16]

W tym samym roku, gdy norymberski księgarz Palm rozstrzelany został za rozpowszechnianie broszury: „Niemcy w najgłębszem swem poniżeniu", burza rozpaczy i buntu wstrząsnęła całym krajem. W Prusach rozpoczyna się powstanie narodowe: w latach 1807—1813 napisał Fichte swoje „Mowy do narodu niemieckiego", Arndt wydał „Katechizm żołnierzy niemieckich", Körner ogłosił „Lirę i miecz".

„Ferment dochodzi do szczytu" — przestrzega Hieronim, król Westfalji, swego brata Napoleona. — „Najniedorzeczniejsze nadzieje przyjmowane są z zapałem; wszyscy spoglądają ku Hiszpanji. Gdyby doszło do wojny, to wszystkie kraje między Renem i Odrą stałyby się ogniskiem olbrzymiego powstania".[17] To samo właśnie miał na myśli Blücher, gdy mówił: „Im ściślej skuje narody, tem straszliwszy będzie wybuch".

Nietylko władcy, lecz i poddani oburzeni są podziałem Europy między Bonapartów. Józef siedzi w Madrycie, Hieronim w Westfalji, Ludwik w Holandji, Eliza w Toskanie, mąż Karoliny, Joachim, w Neapolu.

Napoleon kraje Europę jak tort imieninowy, aby obdzielać wszystkich swoich braci i siostry. Orzeł cesarski karmi swoje pisklęta Europą, niby padliną.

On sam wie zresztą, że do wybuchu dojść musi. Gdy stąpa po ziemi, to czuje, że cała ona wre pod jego stopami i drży jak wulkan. Ale co ma robić? Pokonywać narody, czy zrzec się panowania nad światem? „Ujrzałem przed sobą węzeł gordyjski i rozciąłem go".[18] Węzeł narodów, węzeł z ciała i krwi chciał rozciąć mieczem ułudnego panowania nad światem, a tymczasem zrobił zeń tylko pętlę i zaciągnął ją na własnej szyi.

„Nie chciałem zrobić nikomu nic złego, ale gdy pędzi mój potężny rydwan polityczny, to musi mieć wolną drogę dla siebie, i biada temu, kto wpadnie pod jego koła!"[19]

On sam wpadł pod te koła.

Dynastja. 1810—1811.

Marja Ludwika, córka cesarza austrjackiego, stała się zdobyczą zwycięzcy z pod Wagram.

Józefina była bezdzietna, a Napoleon potrzebował następcy tronu, aby

założyć dynastję. „Gdybym miał nieszczęście stracić Józefinę, to być może względy państwowe zmusiłyby mnie ożenić się po raz drugi, ale w takim razie ożeniłbym się tylko z brzuchem — „j'épouserai un ventre", — a Józefina i tak pozostałaby jedyną towarzyszką mego życia" — mawiał Napoleon. To też ożenił się z brzuchem Marji Ludwiki, bo jej matka miała dzieci trzynaścioro, jej babka siedemnaścioro, a jej prababka dwadzieścia i sześcioro.

Dnia 15 grudnia 1809 roku zostaje ogłoszony rozwód i „dobrowolne" zrzeczenie się cesarzowej Józefiny, co się nie obyło bez licznych wybuchów płaczu, spazmów, omdleń i potoków łez, wylanych przez Józefinę. I on płakał; zresztą płacz przychodził mu łatwo, gdy go spotykały przykrości drobne lub średnie; przy wielkim bólu nie zdobywał się ani na jedną łzę. Do Józefiny przywiązany był szczerze: chociaż może się to wydawać dziwne, Napoleon jest człowiekiem nawyków, przywiązuje się do „starych pantofli". Józefina była dla niego takim „starym pantoflem, miękkim, nie uciskającym stopy".

Prócz habsburskiej płodności pociąga go w Marji Ludwice także i krew bourbońska: żeniąc się z nią, może Ludwika XVI nazywać „wujaszkiem", a Marję Antoninę „ciocią". Żołnierz rewolucji zniżył się najprzód na poziom cesarza, a potem stał się nawet następcą Habsburgów. — „Patrzcież, prawdziwa warga habsburska!" — woła zachwycony, porównywając jej portrety z medaljonami Habsburgów.[2]

Napoleon zapomniał o Bonapartem. „Nie mam syna, i syn nie przydałby mi się na nic. Uczucia rodzinne są mi zupełnie obce. Pod Marengo najbardziej bałem się tego, że jeśli zginę, to jeden z braci moich stanie się moim następcą". — „Jedynym moim następcą jest naród francuski. On jest synem moim; tylko dla niego pracowałem".[3]

Poniżył się, wyparł się samego siebie, pozbył się osobowości na rzecz rodu. Nie chciał już być jednym i jedynym, ale w Habsburgu zapragnął mieć drugiego Napoleona.

Gdy w roku 1814 Marja Ludwika przybyła do Rambouillet, Franciszek II był zaskoczony nadzwyczajnem podobieństwem trzechletniego króla Rzymu do Józefa II. „Prawdziwy Habsburg!"[4]

Czterdziestoletni narzeczony odmładza się dla osiemnastoletniej narzeczonej: zamawia eleganckie, obcisłe ubranie i obcisłe trzewiki, jakich nie znosi; uczy się tańczyć walca, choć od kręcenia się wkółko doznaje nudności.[5] Z wielką niecierpliwością wyczekuje narzeczonej, jak mały chłopiec, nie mogący się doczekać nowej zabawki.

W nocy, w deszczu, pędzi błotnistemi drogami na jej spotkanie aż do Compiègne, rzuca się do jej powozu i bierze ją w posiadanie pośpiesznie, po żołniersku.[6]

Jej skóra jest porcelanowo-biała, jej oczy fajansowo-błękitne, ale ruchy

ma twarde, jakby drewniane, a twarz zlekka ospowatą i różową; pierś ma sowitą, jak mamka, ale jest niewinna, jak dziesięcioletnia dziewczynka.

Gdy on ją całuje, to ona chusteczką ociera twarz. „Cóżto, Ludwiko, brzydzisz się mną?“ — „Nie, to tylko takie przyzwyczajenie; to samo robię, gdy mnie całuje król Rzymu“.

Małżonek lubi ciepło, małżonka — chłód. „Śpij u mnie, Ludwiko“. — „Nie, twój pokój jest za bardzo ogrzany“.[7]

„Nie boję się go wcale, ale zaczynam przypuszczać, że on się mnie boi“ — powiada Marja Ludwika do Metternicha w trzy miesiące po ślubie.

Napoleon wyobraża sobie, że jest przez nią kochany. W roku 1814, po jego abdykacji, pisze ona do niego, że go nigdy nie opuści, że „żadna siła ludzka nie oderwie jej od niego“. On zaś wierzy w to, czy też udaje, że wierzy. „Nie znacie cesarzowej; jest to kobieta wielkiego charakteru!“ — wyraża się do swoich zaufanych.[8] — „Jest ona mądrzejsza i polityczniejsza od wszystkich moich braci“.[9]

Spodziewa się, że pójdzie za nim na Elbę, bo „człowieka kocha w nim bardziej, niż cesarza“. A tam, na Elbie, poleca pewnemu malarzowi, aby na plafonie zamku wymalował dwa gołąbki, tak ściśle związane z sobą jedwabną wstążką, że gdy rozlatują się w różne strony, to zaciska się między wszystkich niemi węzeł.[10]

Na tydzień przed śmiercią na Św. Helenie przekazuje jej swoje serce. „Włóżcie je do spirytusu i zawieźcie mojej drogiej Marji Ludwice do Parmy; powiedzcie jej, że ją tkliwie kocham i nigdy kochać jej nie przestałem. Opowiedzcie jej o wszystkiem, coście tutaj widzieli, jak tu żyłem i jak umarłem“. W tym czasie była ona już kochanką austrjackiego dyplomaty, barona Neipperga, ciemnego awanturnika, śmiertelnego wroga Napoleona i długoletniego szpiega.[11]

„Proszę moją drogą małżonkę Marję Ludwikę, aby czuwała nad moim synem“ — czytamy w testamencie cesarza.[12] Na szczęście umarł, nie dowiedziawszy się, jak nad nim czuwała.

Dnia 2 kwietnia 1810 roku ślubu udzielił cesarskiej parze ten sam kardynał Fesch, który łączył Napoleona z Józefiną. Dnia 20 marca 1811 roku urodził im się syn, król Rzymu. Ułudna dynastja została założona; przepaść przysypano kwiatami. Zresztą Napoleon zdaje się nie mieć żadnych złudzeń: „Ożenek mój z Marją Ludwiką mnie zgubił... Stanąłem nad przepaścią, przysypaną kwiatami“.[13]

Pierwszy kamień, jaki przywiązał sobie do szyi, to Hiszpanja, drugi — dynastja, trzeci — papież.

„Papież panuje nad duszami, a ja — tylko nad materją“. — „Księża zagarniają ludzkie dusze dla siebie, a mnie pozostawiają tylko trupy“.[14]

Na to się on nie zgadza; trupy pragnie ożywić, dusze połączyć z materją. Głosi on, że niema dwóch namiestników Chrystusa, papieża i Cezara, lecz jest tylko jeden — Cezar. „Bóg uczynił cesarza namiestnikiem swej władzy i podobieństwem swojem na ziemi".[15]

„Miałem nadzieję, że zdołam papieża opanować; coby to był za wpływ, co za władza nad światem!"[16] „Światem ducha byłbym rządził równie łatwo, jak światem politycznym".[17] „Papieża byłbym wywyższył niesłychanie... byłbym go otoczył taką czcią i takim przepychem, że przestałby opłakiwać utratę władzy świeckiej. Byłbym z niego zrobił bożyszcze, a on żyłby przy moim boku. Paryż stałby się był stolicą świata chrześcijańskiego, a ja miałbym swoją własną katedrę, tak jak Konstantyn i Karol Wielki".[18]

Dekretem majowym, wydanym w roku 1809 w Schönbrunnie po Esslingu, pozbawił on papieża państwa kościelnego, czyli władzy świeckiej. Papież rzucił klątwę na cesarza. — „Trzeba skończyć ze względami! To oszalały błazen, którego trzeba zamknąć" — pisze Napoleon do Murata. Ten zaś przy pomocy wojska przemocą wdziera się do Kwirynału, aresztuje papieża i wywozi chorego starca, który jedną nogą stoi już w grobie, najpierw do Toskany, następnie do Grenobli, a wkońcu do Savony na genueńskiej Rivierze.

Cesarz rozkazuje przenieść kardynałów i kancelarję papieską do Paryża, tam też zamierza przenieść papieża, aby go mieć zawsze na oku i nie wypuszczać z rąk. Później przeniósł go do Fontainebleau, uwięził go tam i zmusił do podpisania drugiego konkordatu, zawierającego zrzeczenie się władzy świeckiej; zresztą papież odwołał ten konkordat niebawem. W Fontainebleau mieszkał on pod dozorem oficera żadarmerji, który był jego strażnikiem.[19] W roku 1810 odebrano mu sekretarza i wszystkie dokumenty, a nawet pióro i papier. Ale papież jest nieugięty. „Chodzi tu o Nasze sumienie, i dlatego nikt u Nas nic nie wskóra, choćby z Nas skórę darto".[20]

Tak więc Napoleon sam obcina gałąź, na której siedzi — świętą koronację; żelaznym mieczem walczy z upiorem.[21]

„Nawet w krajach protestanckich oburzano się na niego za jego postępowanie z papieżem".[22] „Zabrałem się do tej sprawy bardzo źle" — byłby mógł powiedzieć o swoim zatargu z papieżem, jak powiedział o wojnie z Hiszpanją. „Wszystko to wygląda bardzo wstrętnie, bo spotkałem się z niepowodzeniem... W ten sposób zamach ukazuje się w całej swej odrażającej nagości". — „Podniosłem rękę zbyt wysoko, chciałem działać jako Opatrzność".[23]

Jego lekarz przyboczny, Corvisart, wyleczył go już w pierwszych latach cesarskich z tulońskiej świerzby; zaraz potem zaczął cesarz tyć. Razem z chudością swoją stracił on tę boską lekkość, o której mawiał niekiedy, wspominając czasy młodości. „Zdawało mi się wówczas, że latam w powietrzu".

Gdy potem dochodzi do czterdziestki, to tłuścieje, grubieje i staje się ociężały. Całkiem wbrew naturze dusza jego jest zdrowa w ciele chorem, a chorzeje w ciele zdrowem. Jego niegdysiejsza cera żółta przemienia się w matowobiałą, marmurowo-zimną. W jego zlekka obrzękłej twarzy ujawnia się coś miękkiego, niewieściego, czy nawet zniewieściałego. Pewien lokaj prowincjonalny, widząc go w powozie dworskim obok cesarzowej, w paradnym kapeluszu z wielkim białym pióropuszem, bierze go za starą guwernantkę Marji Ludwiki. Zamiast dawnej osjańskiej tęsknoty, na twarzy jego rozgościła się teraz ciężka, kamienna nuda — sen letargiczny.

„Żal mi pana" — powiada Talleyrand do najwyższego mistrza ceremonji Remusata. „Musi pan bawić kogoś, kogo zabawić niepodobna — l'inamusable!"

Cesarz sam się nieraz dziwi, że jego bale dworskie są takie nudne. — „Pochodzi to stąd, że wesołość nie słucha bębna" — objaśnia go Talleyrand.[24]

Cesarz się nudzi, podobnie jak jego poddani. Nawet zwycięstwa nie rozweselają go; nastrajają go one tylko tem posępniej, bo wojna wydaje się mu nieskończona.

„Tu panuje powszechne przygnębienie i niezadowolenie" — pisze jedna ze współczesnych w liście prywatnym. — „Zwycięstwa nie wywołują entuzjazmu, a nawet zdumienia; poprostu przesycono się cudami".[25]

Rewolucyjny dyktator staje się samowładnym despotą.

Rozporządzenie marcowe z roku 1810, które ponownie zaprowadza karę więzienia dla przestępców politycznych, „kasuje pierwszy czyn rewolucji, a mianowicie zdobycie Bastylji".[26] Szkoły i licea przemieniają się w koszary, a muzy maszerują tam w takt bębna, tak samo, jak damy na balach dworskich. Wolność prasy została zdławiona. Z 73 gazet pozostają tylko cztery; ich artykuły pochodzą z kancelarji opinji publicznej (Bureau de l'esprit publique), a redaktorów mianuje minister policji. „Prasa drukarska jest istnym arsenałem, do którego ogół nie powinien mieć dostępu; książki wolno drukować tylko tym osobom, które cieszą się zaufaniem rządu".[27] — „Gazety powinny podawać tylko ogłoszenia" — bredzi cesarz.[28] „Byłoby dobrze zakazać Tartuffa".[29] „Myślenie jest największym wrogiem władców".[30]

Poczciwie liberalna pani de Staël staje się przedmiotem szykan. „Panowanie podszczuwaczy już się skończyło; chcę, aby mnie słuchano; szanujcie władzę, gdyż pochodzi ona od Boga".[31] Człowiekowi tej miary, co Chateaubriand, z powodu jakiejś nieostrożnej uwagi o Neronie i Tacycie, grozi cesarz, że go „zarąbią szablami na stopniach pałacu Tuileryjskiego".

Wszystkim jest duszno, ciężko i straszno, jak w malignie. Napoleon wie o tem najlepiej: „Gdy umrę, to cały świat odetchnie z uczuciem ulgi!"[32]

„Bóg stworzył Bonapartego i odpoczął" — rzekł mu w oczy prefekt

jednego z departamentów. — „Lepiej byłby zrobił, gdyby był odpoczywał przedtem!“ — dorzucił ktoś szeptem do tego.[33]

Miasto Paryż projektuje napis dla tronu cesarskiego: „Ego sum qui sum. Jestem, który jestem“. — „Zakazuję wam porównywać mnie z Bogiem“ — odpowiada na to cesarz z uczuciem nudy i wstrętu wobec zbyt już bezwstydnego pochlebstwa.[34]

„Podobny on jest do kamiennego gościa: gdy kroczy, to ziemia drży pod jego stopami. Od ostatniego kamerdynera aż po pierwszego ministra wszyscy doznawali uczucia grozy i strachu, gdy się przybliżał“.[35]

Czy wiedział on, co robi, czy też nieskończenie Widzący oślepł, a bezgranicznie Mądry oszalał? Wiedział wszystko; wiedział, że gubi samego siebie, ale nie mógł temu zapobiec, aby się nie zgubić, nie spalić, nie uśmiercić, nie uczynić z siebie ofiary. „Przez całe swoje życie wszystko składałem w ofierze swemu przeznaczeniu: spokój, korzyść, szczęście“.[36] Nie mógł uniknąć tego, aby się nie poświęcić, jak słońce nie może uniknąć zachodzenia.

„Straszliwa maczuga, którą on jeden tylko zdołał podnieść, spadła na jego własną głowę“.[37] Wiedział, że opaść ona musi, i aż dziwno to powiedzieć, sam zdał się pragnąć tego.

„On sam siebie zgubił, popełnił samobójstwo polityczne“ — powiada jeden ze współczesnych.[38] Samobójstwo, to rozszarpanie samego siebie. „Duch Pański zstąpił na niego i rozszarpał lwa jako koźlę“. On sam się rozszarpał, aby „z pożerającego wyszedł pokarm a z mocnego słodkość“.

W roku 1808, przed wojną hiszpańską, zawiesił sobie na szyi flakonik z trucizną i nie zdjął go aż do końca życia;[39] ale truć się nie potrzebuje, bo już jest otruty. Cesarska purpura otula go jak koszula Dejaniry: przylgnęła ona do ciała i spala je aż do kości. I nie pozbędzie się jej, aż wstąpi na ołtarz ofiarny: musi się na nim spalić, jak się spala słońce na ołtarzu gasnącego dnia.

„Gdybyż to było trwałe, gdybyż to tylko było trwałe! — Pourvou que ça doure, pourvou que ça doure!“ — szeptała matka Letycja i potrząsała głową jak jasnowidząca Parka.[40] „Była głęboko przekonana, że wszystko się załamie“.[41] Być może, iż wiedział o tem także jej syn, może słyszał głos przeznaczenia i uległe szedł za nim, jak dziecko idzie za matką.

Wiedział on, że bliska jest jego godzina — rok 1812.

Moskwa. 1812.

„Podczas długich zimowych nocy roku 1811 całemi godzinami leżał na sofie, grążąc się w głębokiem zamyśleniu; niekiedy zrywał się nagle z krzykiem: — Kto mnie woła? — I zaczynał chodzić po pokoju, szepcząc, jakby sobie odpowiadał: — Nie, jeszcze za wcześnie, jeszcze nie gotowe... trzeba

będzie odłożyć na jakie trzy lata..."[1] Lecz on wiedział, że tego nie odłoży, i wiedział, że to przeznaczenie go wzywa.

„Ani ja nie chciałem wojny, ani Aleksander jej nie chciał, ale zetknęliśmy się z sobą, okoliczności rzuciły jednego przeciw drugiemu, a los dokonał reszty".[2]

Wyprawa rosyjska jest nieuniknioną konsekwencją blokady kontynentalnej, czyli pojedynku między Francją a Anglją. „Zniszczywszy Austrję i Prusy, te naturalne szańce Europy zachodniej, Napoleon znalazł się w obliczu rosyjskiego Wschodu".[3]

W jesieni roku 1810 dawały się odczuć skutki blokady kontynentalnej: w londyńskiej City doszło do kilku bankructw; wewnętrzna sytuacja Anglji staje się nieznośna, a przesilenie gospodarcze zagraża rewolucją społeczną. Napoleon sądzi, że już jest bardzo bliski celu: Anglja jest w przededniu upadku; trzeba jej zadać ostatni cios, zamknąć Bałtyk, czyli zatkać ostatnią szczelinę, przez którą angielskie towary wsączają się na kontynent. „Pokój i wojna spoczywają w ręku Rosji" — powiada Napoleon i proponuje Aleksandrowi konfiskatę nietylko angielskich, lecz i neutralnych statków z angielskiemi towarami, znajdujących się na wodach Bałtyku. „Jeszcze nigdy nie znajdowała się Anglja w położeniu tak rozpaczliwem... Posiadamy wiadomości pewne, że pragnie ona pokoju... Jeśli Rosja połączy się z Francją, to wołanie o pokój stanie się w Anglji tak powszechne, że rząd angielski zmuszony będzie prosić o pokój"[4]

Ale upadek Anglji nie odpowiada bynajmniej życzeniom Aleksandra: w Anglji widzi on ostatni szaniec przeciwko „ujarzmieniu narodów przez władzę jednego". W tym samym czasie Napoleon dowiaduje się, że 1200 neutralnych statków wyładowało towary w portach rosyjskich, i zdaje sobie sprawę, że Rosja nigdy nie przyłączy się do blokady.

Od stycznia roku 1811 Aleksander w tajemnicy mobilizuje dwieście czterdzieści tysięcy bagnetów na pograniczu zachodniem. Oszukuje Napoleona bez najmniejszego wstydu; gotuje cios na niego i zadałby mu go, gdyby się Polska zgodziła.

Ale Napoleon uprzedza Aleksandra: ku wiośnie roku 1811 gromadzi w Niemczech armję niebywałą dotąd — sześćset siedemdziesiąt tysięcy bagnetów — jednoczącą w sobie dwie trzecie całej wojskowej Europy, zdyscyplinowanej żelazną ręką i poruszanej wolą jednego człowieka. Decyduje się uderzyć na Rosję w roku 1812.

„Żołnierze! — powiada on w odezwie do Wielkiej Armji — wojna się zaczyna... Rosja zostaje porwana swym własnym losem; jej przeznaczenie wypełnić się musi... Przekroczmyż Niemen!"[5]

Do Niemna zbliża się 22 czerwca 1812 roku.

I znowuż jest tak samo, jak było pięć lat temu, w roku układu tylżyckiego:

„Południe parne, ciężkie, senne...
Leniwo płyną rzeczne fale,
A w niebie czystem i płomiennem
Obłoki toną ociężale.
Żar parną mgłą omotał ziemię
I cały świat leniwie drzemie..."[6]

I znowuż parno jest nad piaszczystemi ławicami, pachnie ciepła woda, pachną ryby, ciepłe poziomki i strużki żywicy sosnowego boru. Jest duszno; w spiekocie lęże się burza.

Przeciwległy brzeg jest pusty. Gdzież są Rosjanie? O wieczorowym zmierzchu kilku wywiadowców przeprawia się łodzią przez rzekę. Jeździec, oficer należący do kozackiego patrolu, wypada z lasu i, pędząc na koniu, krzyczy: „Co wy za jedni?" — „Francuzi". — „Czego chcecie?" — „A cóż to, nie wiesz, ty pieski synu? Wojować chcemy, zająć Wilno, Polskę, Rosję!" Jeździec, milcząc, zawraca konia i pędzi nazad do lasu! Trzy strzały huknęły wślad za nim; rozgłośne echo powtórzyło je w lesie i znowuż zaległa martwa cisza.[7]

Trzema kolumnami na trzech mostach pontonowych armja przechodziła przez Niemen. Rosjanie nie przeszkadzali przeprawie. Cieszyli się z tego wszyscy, prócz cesarza. Stojąc na przeciwnym brzegu, śledził ruchy wojsk i często spoglądał wdal, jakgdyby kogoś wyczekiwał. Nagle wskoczył na konia i sam, bez konwoju, pocwałował do lasu. Pędzi wiorstę, dwie, trzy — żywego ducha nie widać. Przystanął, obejrzał się, zasłuchał: cisza, pustka, bezkresna — bezkresna tajemnica — Rosja. „Kto mnie woła?" — krzyknął i popędził nazad nad Niemen.

Armja szła na Rosję przez Litwę — Kowno, Wilno, Witebsk, nigdzie nie spotykając nieprzyjaciela i zapadając coraz bardziej i coraz dalej w ciszę, pustkę, bezkres. Jakby padała w przepaść, jakby tonęła w wodzie, jakby siekierą opadała na dno. Groza ogarniała żołnierzy. To już była nie wojna, ale coś tajemniczego: ludzie walczą z ludźmi albo z przyrodą, ale jak tu walczyć z czemś nieistotnem, nieuchwytnem — z Przestrzenią?

W spiekocie lęgła się burza naprawdę: wybuchła przy oberwaniach chmur, wywołując istny potop, i nagle po słonecznym skwarze nastały chłody: w lipcu — październik. Dziesięć tysięcy koni padło od złej paszy i nagłych chłodów, a ich gnijące trupy leżały przy drogach i zarażały powietrze. Nieprzebyte błoto uniemożliwiało dowóz prowjantu. W armji zaczął się głód, wybuchła gnilna gorączka i czerwonka. Ludzie padali jak muchy, uciekali z pod sztandarów. A to dopiero początek; jest się jeszcze na Litwie.

„Wiem, że położenie armji jest straszne — powiada Napoleon. — Od

Wilna połowa wojska pozostała wtyle, a teraz mamy zdrowych już tylko jedną trzecią. Niema czasu do stracenia, trzeba wymusić pokój: jest on w Moskwie. Zresztą armja zatrzymać się już nie może: podtrzymuje ją tylko ruch; można z nią iść naprzód, ale nie można się zatrzymywać i nie można się cofać. Jest to armja do ataku, a nie do obrony".[8]

Lecz choćby się armja mogła zatrzymać, onby się zatrzymać nie mógł: przestrzeń przeraża i pociąga ku sobie jak przepaść. Musi więc iść naprzód, wciąż naprzód, zapadać się w przepaść, w głębię, w ciszę bezmierną — w bezkresną tajemnicę — Rosję.

Dnia 28 lipca — Witebsk. Cesarz wchodzi do pokoju, przygotowanego dla niego, odpasuje szpadę, kładzie ją na stole z mapą Rosji i mówi: „Tu się zatrzymam, poczekam, rozpatrzę się, dam odpocząć armji, zorganizuję Polskę, skupię siły. Wyprawa roku 1812 skończona; wyprawa roku 1813 dokona reszty". — „W roku 1813 będziemy w Moskwie, w 1814 w Petersburgu. Wyprawa na Rosję potrwa trzy lata".[9]

To są słowa dla innych, ale sam wie, że się nie zatrzyma; dojdzie do Moskwy, dotknie dna przepaści.

Dnia 17 sierpnia—Smoleńsk. Miasto zostało zdobyte szturmem, spalone. Francuzi sądzili, że Rosjanie nie poddadzą bez walki świętych bram Moskwy ze starym obrazem Matki Boskiej. Owszem, poddali, tyle tylko, że Królową Niebios wywieźli.

„Oddali Smoleńsk — oddadzą i Moskwę! — krzyczy wściekły Napoleon. Tchórze, baby, ludzie bez ojczyzny! Gołą ręką ich weźmiemy!"[10] „A no spróbuj i weź ich!" — odpowiadają bez słowa ponure twarze marszałków.

Walka, wreszcie walka! Dnia 5 września Francuzi ujrzeli wkońcu armję rosyjską. Broniąc dostępu do Moskwy od drogi możajskiej, zajęła ona ufortyfikowane wyżyny Borodina.

Drgnęła wielka armja, na nowo uwierzyła w gwiazdę Wodza, zrozumiała, że to jest pierwsza i ostatnia bitwa, decydująca o wszystkiem, że trzeba w niej zwyciężyć, albo zginąć.

W nocy poprzedzającej bitwę cesarz spał źle: zaziębił się, dostał kataru z dreszczami i kaszlem. W czasie jesiennego porównania dnia z nocą, gdy dzień ustępował nocy, a słońce zimie — cesarz zawsze czuł się źle, jakby słabł i niedomagał razem ze słońcem.

Budził się co chwila, pytał, która godzina, i kazał się dowiadywać, czy Rosjanie się nie wycofują: gorączka jego wzmagała się na samą myśl, że mogliby się wycofać.

O piątej rano, gdy mu doniesiono, że marszałek Ney wciąż jeszcze widzi nieprzyjaciela prosi o zezwolenie na rozpoczęcie natarcia, cesarz wstał,

otrząsnął się, jakby się ożywiał i rzekł: „Wreszcie trzymamy ich! Naprzód tedy, otwórzmy sobie bramę Moskwy!“[11]

Wyszedł na zajęty onegdaj szaniec szewardyński, poczekał na wschód słońca, a wskazując na nie, zawołał: „To słońce Austerlitzu!“ Ale rzekł to głosem tak obojętnym, że lepiej było milczeć.

A i słońce wschodziło przeciw niemu, od strony Rosjan, oślepiając Francuzów i odsłaniając ich na ciosy nieprzyjaciela.[12]

Bitwa się rozpoczęła — „najkrwawsza ze wszystkich moich bitew“ — powie o niej Napoleon. Być może, iż nietylko Francuzi i Rosjanie, lecz wogóle ludzie wszystkich czasów nigdy nie bili się z taką zaciekłością i z takiem męstwem po jednej i po drugiej stronie, jak wtedy, bo walczyli o jednakie dla siebie świętości: Francuzi — o pokój i o Człowieka, Rosjanie o ojczyznę i o coś jeszcze większego, sami nie wiedząc, o co. „O Chrystusa przeciw Antychrystowi“ — powtarzali sobie w duchu.

Po raz pierwszy w życiu Napoleon nie brał udziału w bitwie. Szaniec szewardyński, na którym przebywał on cały dzień, znajdował się na tyłach armji francuskiej; pole bitwy, przysłonione pagórkami, widać było stamtąd niedokładnie. Cesarz to siadał na składanem krześle polowem, to przechadzał się po nasypie reduty. Na jego twarzy była kamienna nuda — „letargiczny sen“. Pragnął bitwy, a gdy się zaczęła, nawet patrzeć na nią nie raczył i obojętnie przyjmował raporty. Dowiadując się o bohaterskiej śmierci swoich najdzielniejszych, tylko ze smutkiem machał ręką, jakby myślał o czem innem, jakby go zajmowały zgoła inne sprawy. Jakie? A może poprostu był chory? „Z ciałem swojem zawsze robić mogłem, co mi się podobało“.[13] Ale teraz nic z niem zrobić nie mógł. Chciał podbić świat, a nie mógł pokonać kataru. Zgarbiony, z pochyloną głową, siedział i kaszlał, kichał i smarkał. Jego obrzękła i biała twarz niewieścia przypominała „starą guwernantkę Marji Ludwiki“. Ludzie i bogowie nie darują mu tego, że w takiej chwili on, Człowiek, okazał się „zmokłą kurą“. Być może zresztą, że wcale nie chodzi mu o to, aby mu ktoś coś darowywał — że wogóle niczego mu nie potrzeba. Świata pokonywać już nie chce, bo zrozumiał, że gra nie warta świecy. „Do jakich lat trzydziestu zwycięstwo może oślepiać i upiększać okropności wojny sławą, ale potem...“[14] „Jeszcze nigdy wojna nie przedstawiała mi się czemś równie ohydnem!“

Mógł zwyciężyć, ale nie zechciał; odepchnął Zwycięstwo, jak znudzony kochanek odtrąca kochankę. Tego mu ono nie daruje.

Kawaleryjski atak Murata rozbija całe lewe skrzydło Kutuzowa, konnica Latour-Maubourga zajmuje wyżyny Semionowska: droga do zwycięstwa stoi otworem. Lecz wyczerpani marszałkowie, Ney i Murat, proszą o posiłki. Cesarz się waha — wydaje rozkazy i cofa je. Okoliczność tę wyzyskują Ro-

sjanie: Bagration przywraca na nowo przerwaną linję, i teraz już nie chodzi o dokonanie zwycięstwa, lecz o utrzymanie go. Marszałkowie znowuż proszą, błagają o posiłki. Cesarz każe ruszyć gwardji; ale zaledwie ta ruszyła, zatrzymuje ją: „Nie, poczekam jeszcze..."[15]

Koło południa prawe skrzydło tak głęboko werżnęło się w rosyjską armję, iż widzi wszystkie jej obnażone wnętrzności, całe tyły aż do drogi możajskiej: uciekinierów, rannych, wozy taboru; tylko rów i poręba leśna oddziela od nich Francuzów; należy zadać cios ostatni, aby przebić się do nich i zadecydować o losach bitwy, a może nawet o losach całej wyprawy. „Gwardji! Gwardji! — błagają i domagają się marszałkowie. — Niech tylko pokaże się zdaleka, a my sami zrobimy resztę!" „Nie, jeszcze niedość jasno widzę sytuację na swej szachownicy... Jeśli jutro będzie nowa bitwa, cóż ja będę miał?" — odpowiada cesarz.[16]

„Nie poznaję go!" — wzdycha Murat ze smutkiem. — „Cóż on tam robi na tyłach? — krzyczy wściekły Ney. — Jeśli chce być nie generałem, ale cesarzem, to niech wraca do Tuileryjskiego pałacu, my będziemy walczyć za niego!"[17]

Gdy Napoleon dał wreszcie gwardję, było już za późno: Rosjanie wycofali się w zupełnym porządku, pozostawiając Francuzom tylko pole bitwy, na którem więcej było zwycięzców zabitych, niż żywych.

„Moskwa! Moskwa! — wołali żołnierze, klaszcząc w dłonie z radości, gdy 14 września, o godzinie drugiej po południu, na skraju możajskiej równiny ujrzeli złociste kopuły. Odrazu zapomnieli o wszystkich udrękach wojny, bo cesarz obiecał, że będzie „pokój w Moskwie".

Być też może, iż radowali się z czegoś jeszcze większego, czego nie umieli wyrazić. Przez Moskwę wiedzie droga na Wschód, gdzie niegdyś Stwórca założył swój ogrojec, raj dla Adama. I oto nowy Adam, Człowiek, prowadzi ich do nowego raju, do królestwa wolności, równości i braterstwa. Od Taboru do Gibraltaru, od Piramid do Moskwy. Taki jest napoleoński krzyż na ziemi — znamię apokaliptyczne.

„Cel stuleci był osiągnięty, dokonała się Rewolucja — wspominać on będzie sam już na wyspie świętej Heleny swoje owoczesne marzenia. — Stawałem się kielichem Starego i Nowego Testamentu, naturalnym między niemi pośrednikiem".[18] „Ambicja moja, może największa i najgłębsza, jaka istniała kiedykolwiek, spoczywała w tem, iż chciałem umocnić i uświęcić wreszcie panowanie rozumu — całkowitą manifestację i zupełny triumf ludzkich sił".[19] „Jakież byłyby się wtedy odsłoniły widnokręgi siły, sławy, szczęścia, pomyślności!"[20] To znaczy: „Przez Moskwę do raju"!

„Nareszcie!" — zawołał, jakgdyby budził się ze strasznego snu, gdy z góry Pokłonnej spoglądał na Moskwę, leżącą u jego nóg.[21]

Czeka na posłów, aby natychmiast rozpocząć układy o pokój, i nagle dowiaduje się, że Moskwa jest bezludna. Nie wierzy i wciąż jeszcze czeka. Dopiero pod wieczór wjeżdża do Moskwy i znowuż zdaje się zasypiać ciężkim snem: pustka ludnego i nagle opustoszałego miasta straszniejsza jest od najstraszniejszej pustyni. Pustka, cisza bezmierna, bezkresna tajemnica, Rosja-Przeznaczenie.

Tej samej nocy dowiaduje się, że Moskwa płonie. Płonąć będzie przez pięć dni. Francuzi gaszą, ale nie ugaszą: miasto zaczyna się palić odrazu ze wszystkich stron; podpalaczami są złodzieje i zbójcy, rozmyślnie w tym celu powypuszczani z więzień. „Ludzie o djabelskich pyskach śród buzujących płomieni — istny obraz piekła" — wspomina świadek naoczny. „Co za ludzie, co za ludzie! To Scytowie!" — szepcze Napoleon pełen zgrozy.

Dni są jasne i suche; wieje mocny wiatr północno-wschodni; całe miasto, z wyjątkiem kościołów i pałaców, jest drewniane, więc przemienia się w morze płomieni. „Było to najbardziej majestatyczne i najstraszliwsze widowisko, jakie widziałem kiedykolwiek" — wspomina Napoleon.[22]

Oto, czem odpowiedziała mu Rosja — samospaleniem.

Całemi godzinami, patrząc na pożar z okien pałacu na Kremlu, widzi, jak całe jego życie — zwycięstwa, sława, majestat — znika, niby dym w kłębach iskier i płomieni.

Czy zazdrości on Rosji? Czy wspomina własną próbę ognia: „Spłonąć, aby oświecić swoją epokę"?

Kreml osaczony jest płomieniem. Żar jest tak wielki, że gdy cesarz spogląda przez okno, to szyby palą go w czoło.

Ucieka z Kremla, „po płonącej ziemi, pod ognistem niebem, śród ognistych ścian i omal nie ginie".[23]

W Petrowskiem-Razumowskiem wyczekuje wygaśnięcia pożaru Moskwy i powraca na jej popielisko. Nie wie, co ma robić: postanawia to wyprawę na Petersburg, to zimowanie w Moskwie; miota się, jak zaszczute zwierzę. Wkońcu wysyła posła do Aleksandra. „Pragnę pokoju — mówi do posła — potrzebuję pokoju za wszelką cenę; tylko honor niech pan ratuje!"[24]

Aleksander nie odpowiada: pokoju nie będzie.

Trzynastego października pada pierwszy śnieg, zapowiadając surową zimę rosyjską: po piekle płomiennem, piekło lodowate.

Dziewiętnastego października wielka armja — już nie wielka, ale mała — ledwo szósta część wojska, które ruszyło na Rosję — opuszcza Moskwę; na drodze kałuskiej zaczyna się odwrót.

Dwudziestego ósmego października nastały mrozy, a 8 listopada w drodze do Wiaźmy Francuzów zaskoczyła taka zamieć śnieżna, że ludziom, którzy nie znali zimy rosyjskiej, zdawało się, iż zginąć muszą. Czarne niebo zwaliło

się na białą ziemię i wszystko zmieszało się, skotłowało, w białym wściekłym chaosie. Ludzie zachłystywali się na wietrze, ślepli od śniegu, drętwieli od chłodu, potykali się, padali i już nie wstawali. Zamieć przywalała ich zaspami śniegu, niby mogiłami. Cała droga odwrotu usiana była takiemi mogiłami, niby cmentarz nie mający końca.

Najstraszliwsze były długie noce zimowe. Podczas biwakowania w stepie przy dwudziesto-stopniowym mrozie, nie wiedzieli żołnierze, gdzie się schować przed ostrym, lodowatym wichrem. Na kolację smażyli sobie padlinę końską przy tlących się węglach, topili śnieg na polewkę z garści zgniłej mąki i natychmiast padali na śnieg zmożeni snem, a z rana biwak otoczony był kołem zdrętwiałych trupów i tysiącami koni, które padły w polu.

Ale lepiej było zmarznąć, niż dostać się w ręce kozaków albo chłopów: ci bowiem zabijali nie odrazu, lecz znęcali się długo i drwili, albo poprostu wyrzucali nagich na śnieg; gdy zaś jeńców było zbyt wielu, to gnali ich, popędzając lancami, jak bydło, być może na nowe, jeszcze gorsze męki.

Sto tysięcy Francuzów wyszło z Moskwy, a po trzech tygodniach zostało ich już tylko trzydzieści sześć tysięcy, a i ci byli żywymi trupami, śmiesznemi i straszliwemi kukłami, w łachmanach pstrych i zawszonych — w czynowniczych frakach, popich szatach, kobiecych kaftanach i czepkach. Nie było ani podwładnych, ani dowódców: niedola zrównała wszystkich. Stada głodnych psów deptały im po piętach; chmary kruków krążyły nad nimi, jak nad padliną.

Oczywiście, nie wszystko jest takie: jest jeszcze gwardja. Starzy wąsale-grenadjerzy wciąż jeszcze prezentują broń zgrabiałemi rękoma i słabnącemi głosami wołają jak na tuileryjskich paradach: „Niech żyje cesarz!“ Ci dokonywają i dokonywać będą takich cudów, że wnukowie nie uwierzą.

Marszałek Ney, osłaniając odwrót na Smoleńsk, mając dwa tysiące przeciw siedemdziesięciu, bije się przez dziesięć dni zrzędu i zwycięża. Nietylko Francja, ale i cały świat nigdy nie zapomni tego świętego bohaterstwa.

A Napoleon? Ciągle jeszcze „zmokła kura“? Nie! Ale zdaje się, jakgdyby był czekał tego ostatecznego swego upadku, aby powstać z niego w sławie jeszcze większej, niż wszystkie jego zwycięstwa.

Blada, śmiertelnie blada jest jego twarz, podobna do martwego białego śniegu, ale cudna i straszliwa, jak twarz Dionizosa, zstępującego do piekieł. I oto ci, co są w piekle, znowuż na widok jego wzbudzają w sobie nadzieję, że on ich uratuje, wyprowadzi z piekła do raju.

„Zimno ci, przyjacielu?“ — pyta on starego grenadjera, maszerującego razem z nim podczas dwudziesto-stopniowego mrozu. — „Nie, Najjaśniejszy Panie, gdy patrzę na ciebie, to mi ciepło!“[25] Ciepło, jak na słońcu w lodowatem piekle.

Ludzie wciąż jeszcze wierzą w niego; gdyby nie wierzyli, to czyż tysiąc razy nie byliby go zabili, gdy szedł razem z nimi, brnąc po śniegu z kijem w ręku? Nie, nie zabijają go, ale umierają za niego i wierzą w niego sankjuloty-bezbożniki, że „dzisiaj jeszcze będą z nim w raju". A może i on sam jeszcze wierzy, że prowadzi ich do raju przez piekło, a wierzyć w takiej chwili, to znaczy być Człowiekiem.

Styksem tego piekła jest Berezyna. Ku niej zapędzają go, naganiają jak zająca, Kutuzow od wschodu, Wittgenstein od północy, Cziczagow od południa, aby tam ku radości wszystkich prawosławnych zatłuc ostatecznie „psa Antychrysta".

I on wie o tem — wie, że dla niego Berezyna jest tem samem, czem dla Macka był Ulm — pułapka, wąwóz Kaudyński, ostateczna już hańba — kapitulacja. Wie o tem, ale pomimo wszystko idzie naprzód, bo innej drogi niema. A najgorsze to, że wszystkiemu winien on sam: idąc na Moskwę, tak szaleńczo wierzył w zwycięstwo, że cały materjał pontonowy spalił w Orszy i teraz niema się na czem przeprawić przez rzekę. I jak na złość nastała odwilż, lód popękał i rzekę wypełniła kra.

Dwudziestego piątego listopada Napoleon jest nad Berezyną. Tam już jest Cziczagow pod Borysowem, czeka na niego i czuwa; a Wittgenstein lada chwila połączy się z Kutuzowem, niby dwie szczęki żelaznych kleszczy.

„Sytuacja była tego rodzaju, iż zdawało się, że ani jeden Francuz, nawet sam Napoleon wymknąć się nie może" — opowiada generał Rapp. — „Położenie nasze jest rozpaczliwe — mówi marszałek Ney. — Jeśli Napoleon wyprowadzi nas z niego, to znaczy, że sam djabeł mu pomaga!" — „Proponowałem mu, aby ratować tylko jego, przeprawić go przez rzekę w odległości kilku mil od tego miejsca, a potem doprowadzić go pod osłoną wiernych Polaków do Wilna — powiada Murat. — Ale on nawet o tem słyszeć nie chce. A mnie się zdaje, że się stąd żywcem nie wydostaniemy... Wszyscy tu zginiemy, bo poddawać się niepodobna!"[26]

Wigilja Berezyny to dzień straszliwej uroczystości. Cesarz każe rozpalić ognisko, poznosić sztandary całej armji i powrzucać je w ogień, aby nie wpadły w ręce wroga. „Żołnierze występowali z szeregów jeden po drugim i rzucali w ogień to, co im było droższe nad życie. Nigdy dotąd nie widziałem większej hańby i rozpaczy: było to podobne do piętnowania całej armji".[27] Te święte orły sztandarów latały po całym świecie, od Taboru do Gibraltaru, od Piramid do Moskwy, a oto płoną i razem z płomieniem wzlatują ku niebu.

Blada, śmiertelnie blada jest twarz cesarza, martwa, jak martwy śnieg, ale radosna, jakgdyby pokonał nieprzyjaciela: samospalenie Moskwy — samospalenie orłów.

Jeśli spalił sztandary, honor armji, to znaczy, iż sam wiedział, że niema

ratunku, i nikogo nie łudził. Wiedział o tem tak dobrze, jak to, że dwa razy dwa to cztery, a jednak wierzył w cud. I jak zawsze w życiu człowieka, w życiu wszystkich ludzi — gdzie wiara, tam i cud.

Cziczagow opuścił Borysów, tamten brzeg jest wolny. Ludzie oczom swoim nie wierzą. „To niemożliwe! Niemożliwe!“ — szepcze Napoleon, i blada twarz jego blednie jeszcze bardziej. „Znowuż więc rozbłysła moja gwiazda!“— powiada, spoglądając na niebo.[28] Gwiazda jego nie opuści go do samego końca, ale poprowadzi go już innemi drogami, niż on przypuszcza.

Bród pod Studzianką, w oddaleniu jakich dwunastu wiorst na północ od Borysowa i w górze rzeki, był jedynym możliwym punktem przeprawy dla armji francuskiej, gdyby go nie był strzegł Cziczagow. Marszałek Oudinot wysłany został ku Brodowi Ukołodzkiemu, jakie czterdzieści wiorst na południe od Borysowa wdół rzeki, aby tam demonstrować budowanie mostu, oszukać i odciągnąć Cziczagowa od Studzianki. W powodzenie tego manewru Napoleon prawie wcale nie wierzył: Cziczagow musiałby zgłupieć docna, aby uwierzyć w tak ordynarny wybieg. Ale uwierzył: ogłupiał pod czarującem spojrzeniem Demona, jak ptak pod spojrzeniem węża. Z matematyczną ścisłością wypełnił on wszystkie plany nieprzyjaciela: „Obaj razem odeszli od Borysowa: Cziczagow na Ukołodę, Napoleon na Studziankę“.[29]

Tutaj rankiem 26-go Francuzi zaczęli budować dwa mosty; jeden szerszy, dla artylerji, taborów i konnicy, drugi węższy, dla piechoty. Belki i deski z rozebranych chat służyły do budowy mostowych przęseł i kozłów, ze starych kół od armat brano gwoździe i zwory.

Ludzie, wbijający słupy w muliste dno rzeki, stali po pas w lodowatej wodzie sześć i siedem godzin zrzędu i jeszcze musieli odpychać rękoma olbrzymie kry, pędzone ku nim falą i wiatrem; kto nie odepchnął kry wporę sam został porwany, albo tonął. Widok ich posiniałych twarzy był straszny. Niejeden padł trupem przy tej pracy, a tu ani kropli wódki, aby się rozgrzać, a łożem dla spoczynku będzie tylko śnieg.[30] Krwi swej nie przelewali ci ludzie na polach bitw, lecz pozwalali jej zamarzać w żyłach, ale tacy nieznani bohaterzy godniejsi są sławy od niejednego sławionego bohatera.

Nazajutrz, 27 listopada, mosty były gotowe. Napoleon przeszedł po nich z gwardją i korpusem Neya. Główna rzecz zrobiona: cesarz uratowany — a z nim cesarstwo, honor Wielkiej Armji.

Dwudziestego ósmego Cziczagow połapał się wreszcie i rzucił się ku Studziance. Wittgenstein i Kutuzow zdążali mu na pomoc pośpiesznemi marszami. Każdej chwili mogli się ukazać koło Studzianki. Trzeba się było śpieszyć z przeprawą. Ale sklecony naprędce most artyleryjski nie wytrzymał zbyt wielkiego obciążenia i załamał się. Wszyscy rzucili się ku drugiemu mostowi, zatłoczonemu wozami, mnóstwem chorych, rannych, kobiet, dzieci,

starców — całym wielotysięcznym moskiewskim taborem. Artylerja musiała przebijać się przez nich.

W tej chwili z obu stron rzeki ozwały się strzały armatnie i w tłumie na moście rozeszła się wieść: „Cziczagow! Wittgenstein!“ Pociski zagwizdały nad głowami i zaczęły się wrzynać w tłum. Ludzie, opanowani grozą, dusili się wzajemnie, deptali, strącali w wodę. Żołnierze torowali sobie drogę skroś tłumu bagnetami i szablami. A trupy zaduszonych płynęły w tłumie jak żywe, nie opadając.

Ludzie zdziczeli. Ale jednocześnie, niby gwiazdy w nocy, zapalały się serca bohaterstwem: mężczyźni ustępowali kobietom, dorośli — dzieciom, ci, co byli skazani na nieuniknioną śmierć, ratowali ginących. Pewien kanonier o zwierzęcej twarzy, który szablą torował sobie drogę skroś tłum, ujrzał nagle w wodzie tonącą matkę z dzieckiem i, narażając się, że zostanie zadeptany, nachylił się, schwycił dziecko i przycisnął je do piersi z macierzyńską tkliwością.[31]

Armaty toczyły się po ludzkich ciałach. Kry, zderzając się z sobą, trzaskały w wodzie, kości, pękając, trzaskały we krwi. Ludzie wisieli nad wodą, trzymając się jedną ręką za brzeżek mostu, dopóki ręki nie zmiażdżyło koło: wówczas spadali w wodę.

Słychać było nieludzkie krzyki, jęki, przekleństwa, błagania i skądś zdaleka dolatujące okrzyki: „Niech żyje cesarz!“ — niby ryk potępieńców, dobywający się z piekła i wzywający ratunku Zbawcy.

Miński gubernator na wiosnę tegoż roku kazał zebrać trupy ludzi i spalić w Studziance; było ich dwadzieścia cztery tysięcy. A rybacy z wybrzeży Berezyny jeszcze po dziesięciu latach mieli znajdować w rzece wysepki i pagórki z kości francuskich, zlepionych mułem i zarosłych niezapominajkami.[32] Kwiaty te zdawały się mówić: „Nie zapomnijcie, ludzie, o tych, którzy tutaj poginęli, pamiętajcie o tych, co tu szli za Człowiekiem, przez piekło dążąc do raju! Pamięć im wiekuista, a jemu chwała wieczna!“

ZACHÓD.

Lipsk. 1813.

Co to za jeden ten blady człowiek, który na łeb na szyję dniem i nocą pędzi karetą pocztową? Owija się w futro, kapelusz ściąga na czoło, chowa się w kąciku sanek czy karety i nie śmie wyjrzeć. Niedoświadczony kurjer, wiozący ważne papiery, tchórzliwy szpieg wojenny, czy może dezerter Wielkiej Armji, zdrajca cesarza? Nie, to sam cesarz.

W nocy z 5 na 6 grudnia wyjechał z miasteczka Smorgonie za Berezyną, przez Wilno, Warszawę, Drezno, Moguncję — przez całą Europę przeleciał w ciągu dwunastu dni i w nocy z 17 na 18 grudnia był w Tuileryjskiem pałacu.

Powoli wchodzi po stopniach schodów pałacowych, a oczom jego jawi się czyjaś twarz. Może to ten grenadjer, którego pytał wtedy nad Berezyną, przy dwudziestu stopniach mrozu, czy mu nie zimno? — „Nie, Najjaśniejszy Panie, gdy patrzę na ciebie, to mi ciepło!“ Ciepło, jak na słońcu w lodowatem piekle. Ale słońce odeszło i grenadjer zamarzł, jak niezawodnie w tej chwili zamarza cała armja. Wyniósł ją wprawdzie cesarz na rękach z lodowatego piekła, ale ją upuścił, uciekł od niej, porzucił ją w piekle. Porzucić armję, czy Francję? Trzeba się było zdecydować, jak wtedy w Egipcie, i tak też się zdecydował: porzucił armję dla Francji. Usłyszał głos przeznaczenia i poszedł za nim, jak dziecko idzie za głosem matki.

„Zdrowie Jego Cesarskiej Mości jest lepsze, niż kiedykolwiek“ — głosił biuletyn, który przybył do Francji na dwa dni przed jego przyjazdem, jako 29 biuletyn berezyński. Na wieść tę, przybywającą z Wielkiej Armji, drgnęła cała Francja. „Rodziny poległych, osuszcie łzy: Napoleon jest zdrów!“ — gorzko śmiał się Chateaubriand.[1] Z czego się śmiał? „Żyw i zdrów“ — powinien był powiedzieć cesarz, bo samaż pogłoska o jego śmierci, puszczona przez zuchwałego spiskowca, generała Maleta, omal że nie spowodowała obalenia dynastji. Tak było natychmiast po Moskwie, a cóż dopiero mogło być po Berezynie!?

„Po powrocie do Paryża był on bardzo wesoły“ — powiada kamerdyner cesarski, Constant. — „Był taki sam, jak przed rosyjską wyprawą; w jego rysach była ta sama jasność. To, co było przeszłością, zdawało się nie istnieć dla niego“.[2]

Zimę spędził tak samo, jak zwykle: zbyt chłodne pocałunki Marji Ludwiki,

ocierane chusteczką, kłopoty z małym ząbkującym królem Rzymu, posiedzenia Rady Stanu, audjencje posłów, całe noce spędzane przy pracy, jarzące się żyrandole sali balowej w pawilonie Flory, dźwięki rogów myśliwskich w lasach Fontainebleau — to samo, co zawsze. Śnił mu się straszny sen — Moskwa, Berezyna — ale zbudził się i zapomniał o śnie. „Zdaje się, że przyroda sama przeznaczyła mnie dla wielkich nieszczęść; dusza moja była pod niemi jak marmur: piorun nie zdruzgotał jej, lecz zsunął się po niej jedynie".[3] „Jestem ugruntowany na skale".[4]

Lecz i skała zaczyna drżeć pod nim. „Wybuch", przepowiedziany przez Blüchera, nastąpił w Niemczech.

Dwudziestego ósmego lutego 1813 roku król pruski Fryderyk Wilhelm III podpisał w Kaliszu umowę, zawartą z cesarzem rosyjskim, Aleksandrem I: Prusy mają być odbudowane w granicach z roku 1806; Aleksander nie złoży broni, dopóki nie wyzwoli Niemiec z pod jarzma francuskiego.

Prusy wypowiadają wojnę Francji. Do nowej koalicji przyłącza się Szwecja z następcą tronu Bernadottem, księciem Pontecorvo, byłym marszałkiem Francji, na czele.

Rosja, Prusy, Szwecja — na północy, Hiszpanja, Portugalja — na południu, Anglja — na zachodzie, a na wschodzie chwiejąca się już Austrja. Cała Europa to wulkan wybuchający.

Piątego kwietnia Francja ogłasza nowy pobór 180.000 ludzi. „Dokonywa się on tak szybko i sprawnie, iż zdaje się, że wojska same z ziemi wyrastają".[5]

Dnia 14 kwietnia, pozostawiwszy Marję Ludwikę jako regentkę, cesarz wyjeżdża z Paryża do Moguncji. Stutysięczna armja koncentruje się na lewym brzegu Saali i idzie na wschód ku Lipskowi.

Drugiego maja błyskawicowe zwycięstwo nad Rosjanami i Prusakami pod Lützen, dwudziestego drugie zwycięstwo pod Budziszynem. Sprzymierzeni w bezładzie wycofują się na Śląsk. Zmartwychwstała Wielka Armja, pogrzebana nad Berezyną. Koalicję opanowuje zgroza.

Czwartego czerwca zostaje podpisany rozejm w Poischwitz, Metternich proponuje cesarzowi kongres mocarstw sprzymierzonych w Pradze. Ale 26-go w Dreznie, w ciągu ośmiogodzinnej rozmowy, niby doświadczony lekarz wystukuje i wysłuchuje cudem zmartwychwstałego i oświadcza: „To człowiek stracony! — C'en est fait de lui!"[6] „Bonaparte to łotr, trzeba go zabić, bo póki żyje, będzie biczem całego świata!" — wyraża się koalicja, „opinja publiczna Europy", usty Bernadottego — „tej kanalji Pontecorvo", jak go nazywa marszałek Berthier.[7] „Zabić, zadeptać gada, zetrzeć głowę Smoka!" — majaczy Aleksander w mistycznej malignie.

„Największym błędem moim było to, iż wrogów swoich uważałem za mądrzejszych, niż byli w rzeczywistości. Wiedziałem, że jestem Europie ko-

niecznie potrzebny, i myślałem, że oni wiedzą o tem także, więc nie będą dążyć do mojej zguby" — wyrazi się Napoleon na wyspie Świętej Heleny.[8]

Z praskiego kongresu sojusznicy korzystają tylko dla zyskania na czasie i wciągnięcia Austrji do koalicji. Proponują Francji cofnąć się do granic naturalnych — Pirenejów, Alp i Renu. Ale zanim Napoleon zdołał odpowiedzieć, kongres został zamknięty, a Austrja, odrzuciwszy maskę, przyłączyła się do sprzymierzonych.

Rozejm skończony, wojna trwa dalej. W dniach 26—27 sierpnia zwycięstwo Napoleona pod Dreznem — „ostatni uśmiech losu: od tej chwili zaczyna się nieprzerwany łańcuch niesłychanych fatalnych wydarzeń".[9] „Dręczyło mnie to, bo przewidziałem koniec tego wszystkiego — wspomina Napoleon.— Gwiazda moja bladła, cugle wyśliznęły się z rąk i już nic zrobić nie mogłem".[10] Wszystko widzi, słyszy, wie, ale nie może się przebudzić, jak we śnie letargicznym.

Po zwycięstwie pod Dreznem mógł był zniszczyć całą armję pruską: już ją ścigał, ale nagle zachorował; przypuszczano, że go otruto. Musiał wrócić do Drezna; przeleżał tylko jeden dzień i w ciągu tego dnia stracił owoce wszystkich zwycięstw. Dość, aby się odwrócił, a jego generałowie i marszałkowie odnoszą porażki: Blücher bije francuską armję na Śląsku, Bernadotte — w Prusach, generała Vandamme'a biją w Czechach pod Chlumem. Powstaje Westfalja, powstaje Bawarja, król Wirtembergji uprzedza Napoleona, że cała Konfederacja Reńska porzuci go, i doradza mu jak najszybciej wycofać się za Moguncję. Koalicja otacza go groźnem półkolem, on cofa się pod Lipsk. Tutaj doganiają go sprzymierzeni i zmuszają do przyjęcia bitwy.

Szesnastego października pierwszy dzień walki niezdecydowany; po sześciu odpartych atakach nieprzyjaciel pozostawia Francuzom tylko pole bitwy.

Siedemnastego rosyjska armja Bennigsena łączy się z austrjacką, pod dowództwem Schwarzenberga; północna — Bernadottego, także ukazuje się na linji bojowej. Groźne półkole łączy oba końce martwym węzłem. Napoleon prosi o rozejm; lepiej byłby dał pokój, bo tem ujawnił tylko słabość własną. Sprzymierzeńcy nawet nie odpowiadają: jutro bitwa.

Zaczęła się ta bitwa o godzinie ósmej rano: około trzeciej po południu, po trzeciem natarciu starej gwardji, austrjacka linja drgnęła — lada chwila zacznie się ucieczka, lecz nagle w samym środku francuskiej armji stało się coś tak osobliwego, że ludzie zrazu zrozumieć nie mogą, co się dzieje: cały dwunastotysięczny korpus saskiej piechoty, a za nim i wirtemberska konnica całą siłą rzucają się naprzód ku linji nieprzyjacielskiej. Pomyślano, że to atak, ale nie: zatrzymali się, zawrócili w stronę Francuzów i palnęli w nich ze wszystkich dział. „Nędzni zdrajcy!" — oburza się generał Marbot, uczestnik bitwy.[11] Dlaczego „nędzni"? Nie zechcieli być „wszechświatowymi" według

Napoleona-Robespierre'a, chcieli pozostać Niemcami. Swój do swego: drobna kulka rtęci połączyła się z dużą, — to nie podłość, ale fizyka. Ciało i krew narodów powstały przeciwko upiorowi światowości, i upiór znikł.

Straszliwa pustka rozwarła się w centrum armji francuskiej, jakgdyby wyrwano z niej serce. Lecz tylko ściślej zwarły się szeregi i walka trwała do nocy.

Gdy noc zapadała, obie armje stały na tych samych pozycjach, co z rana. „Nie straciliśmy ani piędzi ziemi" — powiada Marbot.[12] Ale Francuzi są prawie zupełnie okrążeni i mają czterdzieści tysięcy zabitych i rannych; z dwóch set dwudziestu tysięcy pocisków pozostało im tylko szesnaście tysięcy — na dwie godziny. Cesarz nakazuje odwrót.

Jedyna droga odwrotu to most na rzece Elsterze na przedmieściu Lipska, Lindenau. Most jest podminowany, aby po przejściu wojsk można było wysadzić go w powietrze. Przeprawa zaczęła się dziewiętnastego i trwała przez całą noc do dwudziestego. Blücher z Prusakami wtargnął z rana do Lipska i uderzył na tyły ustępujących Francuzów. Ci zaś trzymali się jeszcze, broniąc mostu.

Nagle rozległ się ogłuszający wybuch: most wyleciał w powietrze. Podoficer, stojący przy minie, widząc wjeżdżających kozaków, pomyślał, że atakują most i zapalił lont miny. Połowa armji pozostała na tamtym brzegu. Zaczęła się rzeź: Rosjanie, Niemcy, Szwedzi, Austrjacy, mordowali Francuzów przez cały dzień aż do nocy.[13]

A cesarz? „Spał spokojnie w fotelu przez dwie godziny i zbudził się dopiero od wybuchu wysadzanego mostu" — opowiada jego sekretarz Fain.[14] Zbudził się i zrozumiał, że zginęła armja, zginęło cesarstwo. Berezyna—Elstera: tam początek, tu koniec. Natoż więc uciekał stamtąd? I tak oto uratował Francję!?

„Czyż ten pieski syn wie, co robi?" — rzekł marszałek Augereau do marszałka Macdonalda. — „Czyż pan nie widzi, że stracił głowę? Łotr! Chciał nas wszystkich opuścić, wszystkich poświęcić!"[15] To znaczy, że, znalazłszy się z gwardją na przeciwnym brzegu rzeki, rozmyślnie kazał most wysadzić, aby zapewnić sobie odwrót.

„Czy nie czas zrobić koniec temu wszystkiemu i nie dopuścić, aby Francję zgubił tak samo, jak zgubił armję?" — pyta marszałek Ney.[16]

„Był on tak wyczerpany i znużony, że często, gdy przybywano do niego po rozkazy, sadowił się w fotelu, nogi opierał na stole i pogwizdywał" — opowiada Stendhal.[17]

„Zdaje się, że pomimo wszystkich moich nieszczęść, wciąż jeszcze jestem najpotężniejszym monarchą w Europie i że sprawy moje mogą się poprawić" — powiada Napoleon w tydzień po pogromie pod Lipskiem, w pełni odwrotu

na Ren.[18] Kto w chwili podobnej tak przemawia, ten jeszcze nie jest zmęczony, ten ma jeszcze „duszę jak marmur: piorun nie zdruzgotał jej, ale ześliznął się po niej".

Czy sprawy jego mogą się poprawić? Mogą, jeśli zechce. Ale czy zechce? Czy warto chcieć?

Aby uratować cofającą się armję, generałowie proponowali mu podpalić wszystkie przedmieścia Lipska, prócz Lindenau, gdzie odwrót przez most dokonywałby się pod osłoną ognia. Uratowałby armję, Francję, siebie, ale nie zechciał: żal mu było miasta, a ta „niepotrzebna wielkoduszność kosztowała go koronę" — powiada ten sam Marbot, który tak surowo sądził go za względnie lichą „zbrodnię" bayońską.[19] „Taki człowiek, jak ja, pluje na życie miljona ludzi". Lecz tu oto nie plunął.

Borodino—Lipsk: być może, że i tutaj, tak jak tam, zrozumiał nagle, iż gra nie warta świecy. „Do lat trzydziestu zwycięstwo może jeszcze olśniewać i sława upiększać okropności wojny, ale później..." — „Jeszcze nigdy wojna nie wydała mi się taką ohydą!"

Zrozumiał to i zrobiło mu się smutno, zasnął od smutku. Zapragnął końca, jak słońce w purpurowej krwi zachodu pragnie gwiezdnej nocy.

Los ocalałej armji był o niewiele lepszy od losu tej, która zginęła. Wyniszczona, głodna, obszarpana, upadła na duchu, cofała się, uciekała nad Ren. Tyfus dziesiątkował ją tak, że nietylko wszystkie szpitale i domy, lecz nawet drogi i ulice usłane były trupami. Najlepsi żołnierze, bohaterowie wielkich wojen, doszli do stanu „zbydlęcenia";[20] wlekli się z jedną tylko myślą: umrzeć we Francji.

Zdawało się, że to upiór Wielkiej Armji powstał ze swego lodowatego grobu rosyjskiego.

Abdykacja. 1814.

Prusy, Austrja, Szwecja, Rosja, Hiszpanja — cała Europa gotowa była rzucić się na Francję, jak na zaszczute zwierzę rzuca się sfora psów. Ale zanim odważa się wkroczyć do lwiej jamy, zażegnywa lwie zęby.

Główny kucharz kuchni sprzymierzonych, Metternich, układa frankfurckie notyfikacje; dyplomatyczne szwaczki szyją dla wściekłego olbrzyma kaftan bezpieczeństwa. Sprzymierzeni znowuż proponują Francji cofnąć się do granic „naturalnych". Ale jest to takaż sama pusta komedja, jak kongres praski. Jeszcze Napoleon nie zdążył odpowiedzieć, a już ukazuje się odezwa: „Mocarstwa sprzymierzone walczą nie z Francją, ale z tą przewagą, jaką na nieszczęście Europy i Francji cesarz Napoleon wyzyskiwał zbyt długo

poza granicami swego cesarstwa". I proponując pokój, rozpoczynają wojnę: „Mocarstwa nie złożą broni, dopóki nie zabezpieczą swoich narodów od niezliczonych nieszczęść, które już lat dwadzieścia ciężą nad Europą".[1]

To właśnie według słów „kanalji Pontecorvo" ma znaczyć: „Bonaparte to łotr; trzeba go zabić, bo dopóki on żyje, będzie biczem świata".

Schwarzenberg wkracza do Francji przez Alzację, Bernadotte przez Belgję, Wellington przez Pireneje; Blücher idzie na Paryż, a za nim Aleksander. Czynna armja sprzymierzeńców liczy trzysta pięćdziesiąt tysięcy bagnetów, sześćset pięćdziesiąt jest w odwodzie, i cała ta miljonowa lawina wali się na Francję, niemal bezbronną.

A Francja po ćwierćwieczu rewolucyjnych i cesarskich wojen pragnie pokoju tak mocno, jak człowiek konający z pragnienia chce wody. Starzy ludzie śpią w piaskach piramid, młodsi — w śniegach Rosji, młodzi w błotach Lipska; pozostały już tylko dzieci. Dzieci i kobiety uprawiają pola. „Gdy niema koni do pługów, to kopać ziemię można i rydlem" — pociesza ludność minister spraw wewnętrznych.[2] Orzą dzieci, te dzieci, które na miejscu swej pracy polec mają niby żniwo krwawych kłosów.

Francja pragnie pokoju i wie, że Napoleon to wojna i już nie zwycięstwo, ale pogrom. Nie, wciąż jeszcze zwycięstwo. „Wiara w jego genjusz jest bezgraniczna; cały naród stoi za nim" — mówią raporty policji.[3]

„Wyście mnie wybrali — jestem dziełem waszych rąk, powinniście mnie bronić" — zwraca się Napoleon do legjonów Gwardji Narodowej 23 stycznia na samym początku francuskiej kampanji.[4]

„Pierwsza kampanja, włoska, i ostatnia, francuska, to dwie najwspanialsze sprawy wojenne" — przyznaje wróg Napoleona, Chateaubriand.[5]

„Stutysięcznym" przezwali go sprzymierzeni. To znaczy, że armja z nim na czele staje się o sto tysięcy wojska mocniejszą. „Szybkość i siła naszych ciosów wyrwała im to słowo z ust — wspomina cesarz. — Nigdy jeszcze garstka mężnych nie dokonywała takich cudów. Z powodu naszych porażek niewielu się o nich dowiedziało, ale nieprzyjaciel liczył je na własnej skórze i ocenił je tak, jak na to zasługiwały. Każdy z nas był wtedy istnym Briareusem, sturękim gigantem".[6]

„Każdy z nas" — co za nas? Generałów, marszałków? Nie! „Generałowie moi stali się ociężałymi, niezdarnymi i dlatego niefortunnymi. Nie byli to już ludzie z początków rewolucji... Trzeba rzec prawdę: im się już nie chciało wojować. Zbyt ich przesyciłem zaszczytami i bogactwami. Zakosztowawszy kielicha rozkoszy, pragnęli tylko spokoju i gotowi byli zdobyć go za wszelką cenę. Święty płomień przygasał: chciało się im być marszałkami Ludwika XVI".[7] „Prości żołnierze i porucznicy bili się jeszcze o zwycięstwo, ale sztaby generalne biły się już tylko o pokój" — twierdzi historyk tej kampanji.[8]

Jest to zresztą zrozumiałe: wielu z pośród nich, jak naprzykład Marmontowi, w ciągu dziesięciu lat nie udało się spędzić w Paryżu więcej, niż trzy miesiące. Wojna wydaje się im nieskończona. Gdzież się ostatecznie zatrzymają? Nad Renem, Eufratem, Indem, czy też nigdzie, jak żydzi wieczni tułacze i Kainy?

„Dokąd idziemy? Co się z nami stanie? Jeśli on padnie, czy i my razem z nim padniemy?" — słyszy cesarz przez drzwi sztabów tchórzliwe szepty.[9] „Francji — pokój, Napoleonowi — wojna!" — tym zapewnieniom sprzymierzeńców marszałkowie wierzą.

Tak jest w armji — tak w Paryżu. Ten i ów w Paryżu odzywa się już, że należy się go pozbyć jako warjata.[10] Talleyrand przygotowuje mu los Pawła I, a były minister Fouché, na południu Francji, szepcze do ucha siostrze jego, księżnie Elizie Toskańskiej: „Dla nas, Wasza Wysokości, jedyny ratunek — zabić cesarza!"[11]

Nie, towarzyszami jego bohaterstwa nie są już generałowie i marszałkowie, ale ostatni weterani starej gwardji, którzy ocaleli, i młodziutkie rekruty, gołowąsy chłopcy, podobni do dziewczyn, Marje Ludwiki, jak ich wtedy nazywano. Poznać ich można odrazu po niewinności ich spojrzenia, po chłopskim ubiorze pod płaszczem żołnierskim i po „niezachwianie spokojnem, jakby wrodzonem męstwie".[12] „Odwaga tryska z nich poprostu!" — zachwyca się nimi sam cesarz.[13] „O, ileż bohaterstwa jest we krwi Francuzów! — wspomina marszałek Marmont, mówiąc o dwóch rekrutach. — Jeden z nich, stojąc w ogniu i zupełnie spokojnie przysłuchując się świstowi kul, sam nie strzelał. „Czemuż to nie strzelasz?" — pytam go. — „Strzelałbym pewno nie gorzej od innych, gdyby mi kto nabijał karabin" — odpowiedział dobrodusznie. Biedny chłopiec nie umiał nabijać karabinu. Drugi, nieco sprytniejszy, rzekł do oficera: „Wasza Miłość strzela wybornie; raczy pan wziąć mój karabin, a ja będę podawał patrony!" Oficer zgodził się na to, a chłopiec w ciągu całej bitwy stał pod strasznym ogniem, nie mrugnąwszy okiem".[14]

„Czy można było nazywać żołnierzami tych niezliczonych jednodniowych motylków wojny, stających dzisiaj w szeregu, aby jutro polec?"[15] Padają oni

„Jak konwalja, podcięta zabójczym sierpem żniwiarza".

„Młoda gwardja topnieje jak śnieg na słońcu" — powiada cesarz. — „Herodowe mordowanie niemowląt!" — warczy stary, surowy generał Drouot, widząc, jak chłopcy walą się pokotem pod pruskiemi pociskami.[16]

Ale jak tylko nauczą się trzymać karabin, to bić się będą niegorzej od starych, wąsatych grenadjerów, ocalałych pod Berezyną i Lipskiem.

Te oto święte dzieci Francji — jej święta dusza — trzymają z cesarzem.

„Już się staję ofiarą“ — mogłaby rzec Francja, jak Joanna d'Arc, wstępująca na stos.

Ludzie bezczeszczą go, nazywają Antychrystem, a dzieci wołają mu „Hosanna“, „usty niemowląt wykonywają chwałę“. A dlatego tak wierzą w niego, lubią go, bo widać i w nim jest coś dziecięcego, dobrego, a może i świętego. Ofiarą stanie się i on. Czy sam on tego chce? Czy zrozumiał, czy przypomniał sobie, czego chciał, czem się dręczył przez całe życie? Nie, nie zrozumiał, i być może, iż nigdy tego nie zrozumie.

Ale nagle zapragnął zwycięstwa, bo jeśli wogóle jest jaka święta wojna, to tylko taka obrona ojczyzny. „Niechże wrogowie moi wiedzą, że jeszcze ciągle jestem taki sam, jak pod Wagram i Austerlitz!“[17] A także pod Marengo, Arcole, Favoritą. „Znowuż obułem buty z cholewami włoskiej kampanji!“[18]

Pierwsze marsze sprzymierzonych przez bezbronną Francję — to niemal pochody triumfalne. Łatwy triumf: trzysta tysięcy ludzi przeciw tysiącom trzydziestu — dziesięciu na jednego.

Pierwsza bitwa pod La Rothière jest zwycięstwem nieprzyjaciela. Napoleon, nie zdążywszy skoncentrować swoich wojsk, ustąpił wobec przewagi.

„Od tego dnia nie jest on już dla nas straszny i Wasza Cesarska Mość może powiedzieć: Ja obdarzę świat pokojem!“ Takiemi słowy składa rosyjski generał Sacken życzenia cesarzowi Aleksandrowi.[19]

Napoleon został pokonany we Francji, lew jest osaczony w swojej własnej jaskini. „Wyprawa skończona“ — mówią sprzymierzeni. „Jeszcze nie zaczęta“ — powiada Napoleon.

Dziesiątego Champaubert, jedenastego Montmirail, dwunastego Château Thierry, trzynastego Vauchamps, osiemnastego Montereau: zwycięstwo za zwycięstwem, błyskawica za błyskawicą, jak podczas kampanji włoskiej. Nieprzyjaciel ucieka w nieporządku za Wogezy. „Sprzymierzeni nie wiedzą, że w tej chwili są oni dalej od Paryża, niż ja od Monachjum lub Wiednia“.[20] Nie, oni wiedzą o tem i na kongresie w Chatillon ofiarowują mu pokój. Oczywiście, jest to ta sama pusta komedja, jak w Pradze i we Frankfurcie; ma ona dowieść, że pokój z Napoleonem jest rzeczą niemożliwą. Zamawiają lwowi zęby, aby zyskać na czasie i ściągnąć rezerwy. Jest to ten sam kaftan bezpieczeństwa, tylko że w Chatillon jest on jeszcze ciaśniejszy, niż był we Frankfurcie: zamiast granic naturalnych proponują mu przedrewolucyjne. „Jakto? Po tylu wysiłkach, po takim przelewie krwi, po takich zwycięstwach, Francja ma się stać mniejsza, niż w chwili, gdy ją otrzymałem? Nigdy! Czy mógłbym się na to zgodzić bez dopuszczenia się zdrady i podłości?“ — odpowiada Napoleon i na nowo rozpoczyna ścigać Blüchera. Wkrótce musi go dopędzić, zgnieść i zakończyć wojnę od jednego zamachu.[21] Ale Blücher nie ucieka, lecz idzie naprzód; z rozpaczliwem zuchwalstwem przekracza Marnę, wy-

sadza mosty za sobą i idzie prosto na bezbronny Paryż. A marszałkowie francuscy wspomagają go przytem; dość, aby się Napoleon odwrócił, a jego marszałkowie ponoszą klęski. Dnia 27 lutego cofa się marszałek Oudinot z pod Bar-sur-Aube. „Zdrada!“ — wołają żołnierze, widząc, że wysyła się ich do walki bez artylerji.

Napoleon pragnie Blüchera zniszczyć i pędzi go na Soissons, najważniejszy punkt strategiczny wielkiej drogi Mons-Paris. I byłby go zniszczył, gdyby się Soissons było trzymało przynajmniej jeszcze półtora dnia. Ale dowódca twierdzy, generał brygady Moreau, kapituluje „honorowo“. „Rozstrzelać go w ciągu dwudziestu czterech godzin!“ — krzyczy cesarz i omal nie płacze ze wściekłości. Lecz coby to pomogło, choćby Moreau został rozstrzelany? Blücher jest uratowany; zajmuje twierdzę i zamyka się w niej.

Siódmego marca Craonne, jedenastego Laon, 21—Arcis-sur-Aube: daremne zwycięstwa, podobne do porażek, uderzenia piorunu w pustkę. Francuzi nie ustępują ani na krok, ale jest ich coraz mniej: śmierć zbiera bogate żniwo śród dzieci, „młoda gwardja topnieje jak śnieg w słońcu“. A liczba wrogów jest coraz większa; przybywają ich niezliczone zastępy: wali się miljonowa lawina.

„Chmara wron zadziobie orła“ — słowa te charakteryzują całą kampanję.[22] Śmiertelnie ranny orzeł bije i miota się, a po każdem uderzeniu jego szponów sypie się pierze jego przeciwników — wron. Lecz on jest sam, a wrony nadlatują całemi chmarami: pokonają go i zadziobią na śmierć.

Dnia 25 marca marszałkowie Mortier i Marmont zostają pod Fère-Champenoise pobici na głowę. Ostatnia zapora na drodze sprzymierzonych jest usunięta: Blücher, Aleksander, Schwarzenberg łączą się z sobą i idą na Paryż.

Napoleon dowiaduje się o tem 27-go w Saint Dizier. Tutaj rozpoczął kampanję, tu ją też kończy: fatalne koło zamknięte. Noc spędza cesarz samotnie, zamknąwszy się w głębokiej zadumie nad mapami wojennemi. „Co robić? Bronić się, czy poddać Paryż?“ Te dwie myśli walczyły w nim już od samego początku kampanji. „Jeśli nieprzyjaciel podejdzie pod Paryż, to cesarstwo skończone“. — „Póki ja żyję, Paryż poddany nie będzie“. — „Trzeba się pogrzebać pod gruzami Paryża“.[23] Czemuż nakazał, aby cesarzowa-regentka z następcą wyjechała? Czemu odwołał korpusy Mortiera i Marmonta, które osłaniały Paryż? „Zawsze przewidywał możliwość poddania Paryża i stopniowo oswoił się z tą myślą“ — opowiada człowiek bliski cesarzowi, jego sekretarz Fain.[24]

Ale w ostatniej chwili nawiedzają go jednak wątpliwości. Wie on, że poddać Paryż to znaczy odpowiedzieć na rosyjski rok 1812 takim samym rokiem francuskim, czyli na samospalenie Moskwy — samospaleniem Paryża. Czy

może wycofać się w głąb Francji i cały kraj wezwać do wojny rewolucyjnej przeciwko nieprzyjacielowi? Jeżeli powstańcza Hiszpanja zdołała pokonać jego, Napoleona, to czyliż Francja tem bardziej nie miałaby pokonać Blüchera? Należałoby tylko całkiem poważnie powrócić do roku 1793, odrzucić purpurę cesarską, Napoleona zadusić i wskrzesić Bonapartego, Robespierre'a na koniu, i rzec: Ja jestem rewolucja! Rzec tak, aby cały świat zadrżał w posadach.

Czy może to uczynić? Może. Ale czy zechce? Czy opłaci się chcieć? Żal mu było przedmieść Lipska i nie chciał ich spalić. Czyż może spalić Francję — cały świat? Czy może powie o rewolucji to samo, co powiedział o wojnie: „Jeszcze nigdy nie wydała mi się ona tak ohydną?"

Wieczorem dnia następnego, czyli 28 kwietnia otrzymuje Napoleon depeszę szyfrowaną od pierwszego dyrektora poczty Lavalette'a: „Jeśli cesarz chce zapobiec poddaniu Paryża, to obecność jego tutaj jest bezwarunkowo potrzebna. Ani minuty niema do stracenia".[25]

Dwudziestego dziewiątego prowadzi Napoleon armję na Paryż. Ale jej ruchy są zbyt wolne. 30-go przekazuje dowództwo naczelnikowi sztabu Berthierowi z rozkazem, aby prowadził wojsko na Fontainebleau, a sam, bez konwoju, na łeb na szyję pędzi powozem pocztowym, jak niegdyś po przebyciu Berezyny.

Po drodze otrzymuje wieści, jedną gorszą od drugiej: nieprzyjaciel podchodzi pod Paryż; cesarzowa z następcą wyjechała do Loary; bitwa toczy się pod Paryżem.

W nocy zatrzymuje się cesarz na stacji pocztowej Cour-de-France, tuż pod Paryżem, aby przeprząc konie. Od strony ulicy słychać w ciemności tętent kopyt końskich. „Stój" — woła cesarz. Generał Belliard, dowódca oddziału jazdy, poznaje głos i zeskakuje z konia. Napoleon odprowadza go samego na stronę, idzie z nim wzdłuż drogi, zasypuje go pytaniami i dowiaduje się, że bitwa pod Paryżem przegrana. Król Józef, jako wódz najwyższy, uciekł, według umowy wojska mają opuścić miasto.

„Do Paryża! Do Paryża! Niech pan każe zaprzęgać powóz!"

„Za późno, Najjaśniejszy Panie, kapitulacja jest prawdopodobnie już podpisana..."[26]

Ale cesarz nie słucha, chce pędzić do Paryża, uderzyć na trwogę, oświecić miasto wielkiemi ogniami, wszystkich bez wyjątku uzbroić, walczyć na ulicach, jeśli będzie potrzeba spalić Paryż, jak Rosjanie spalili Moskwę.

Nie czekając na powóz, rusza szybkim krokiem drogą w stronę Paryża, jakgdyby chciał wkroczyć do Paryża sam jeden bez broni.

Blade gwiazdy migoczą na niebie, czerwone światła na ziemi. Co to? Pruski biwak na lewym brzegu Sekwany, tuż przed murami miasta.

Cesarz przystaje i wolnym krokiem z głową pochyloną zawraca. Czy już za późno, czy jeszcze nie? A może kapitulacja jeszcze nie podpisana?

Powróciwszy na pocztę, wyprawia Coulaincourta do Paryża z upoważnieniem prowadzenia rokowań pokojowych.

Noc spędza pochylony nad mapami, jak w St. Dizier. O pierwszem świtaniu przybywa kurjer: kapitulacja jest podpisana, sprzymierzeni mają dziś wkroczyć do Paryża.

Paryża ani nie bronił, ani go nie poddał, lecz samego siebie poddał losowi.

Tą samą drogą wraca zpowrotem do Fontainebleau i na dole w małych pokojach obok galerji Franciszka I zajmuje mieszkanie.

Tu pragnie wyczekać koncentracji wojska i wydać bitwę pod Paryżem. Sześćdziesiąt tysięcy ludzi ma do dyspozycji — a z nim, stutysięcznym, jest sto sześćdziesiąt tysięcy wojska. Może i tutaj, podobnie jak pod Lipskiem, jest on wciąż jeszcze „najpotężniejszym monarchą europejskim, a sprawy jego mogą się jeszcze poprawić"?

Pierwszego kwietnia donoszą mu o triumfalnem wejściu sprzymierzonych do Paryża. Trzeciego Coulaincourt przynosi mu odpowiedź cesarza Aleksandra, który odmawia wszczynania z nim rokowań pokojowych.

Tegoż samego dnia cesarz dokonywa przeglądu dwóch dywizyj młodej i starej gwardji w Cour du Cheval Blanc w Fontainebleau i zwraca się do wojska:

„Nieprzyjaciel wyprzedził nas o trzy marsze dzienne i zajął Paryż. Cesarzowi Aleksandrowi zaofiarowałem pokój kosztem wielkich ofiar wszystkich naszych zwycięstw po rewolucji. Odrzucił go. Chcę mu wydać bitwę pod Paryżem. Czy jesteście na to gotowi?"

„Niech żyje cesarz! Na Paryż! Na Paryż! Chcemy umrzeć na gruzach Paryża!" — odpowiedziało wojsko głosem gromowym.[27]

„Abdykacja. Nie pozostaje nic innego prócz abdykacji!" — szepcze Ney w gromadce marszałków, o dwa kroki zaledwie od cesarza. Lecz on nie słyszy, czy też udaje, że nie słyszy, i powraca do swoich komnat. Marszałkowie idą za nim, a na ich czele Ney, którego wszyscy popychają naprzód, szeptem dodając mu odwagi. Ma przemówić za wszystkich.

„Czy Wasza Cesarska Mość ma wieści z Paryża?"

„Nie, jakie są?"

„Bardzo złe. Senat ogłosił Waszą Cesarską Mość za zdetronizowanego i zwolnił naród i wojsko z przysięgi".

„Do tego nie miał senat żadnego prawa, to mógł uczynić jedynie naród" — odpowiedział cesarz spokojnie. — „Sprzymierzonych zdławię pod Paryżem".

„Położenie nasze jest rozpaczliwe" — mówi Ney dalej. — „Szkoda, że pokój nie został wcześniej zawarty, teraz pozostaje już tylko abdykacja".

Wchodzi marszałek Macdonald i przyłącza się do ogólnego chóru.

„Armja nie chce narażać Paryża na los Moskwy... Postanowiliśmy zrobić koniec... Dość już mamy tej nieszczęsnej wojny; nie chcemy rozpętywać jeszcze i wojny domowej... Co do mnie, to oświadczam Waszej Cesarskiej Mości, że szpada moja nigdy nie zaczerwieni się od krwi francuskiej".

„Panowie postanowili tak, a ja myślę inaczej: wydam bitwę pod Paryżem..."

„Armja nie pójdzie na Paryż!" — mówi Ney głosem podniesionym.

„Armja będzie słuchać mnie!" — odpowiada cesarz jeszcze głośniej.

„Wasza Cesarska Mości, armja słucha swoich generałów!"[28]

Napoleon wiedział, że dość byłoby rzucić słowo adjutantowi, pełniącemu służbę, a wszyscy marszałkowie zostaliby aresztowani, ale uczynić to w obliczu nieprzyjaciela nie było rzeczą tak łatwą. A zresztą, czy inni byliby lepsi od tych? Odsyła ich i, pozostawszy sam na sam z Coulaincourtem, pisze warunkową abdykację, w której zastrzega dla syna następstwo tronu, a cesarzowej przekazuje regencję. Coulaincourt, Macdonald i Ney zawożą abdykację do Paryża.

W tej samej godzinie zdradza go stary, wierny i bohaterski marszałek Marmont, jego towarzysz kampanji egipskiej; pisze on do Schwarzenberga: „Pragnąc zbliżyć armję do narodu, aby zapobiec wszelkiej możliwości wojny domowej i przelewu krwi, oświadczam, że razem z wojskiem mojem gotów jestem opuścić armję Napoleona pod warunkami następującemi: Po pierwsze, wojsku wolno będzie wymaszerować do Normadji z całem uzbrojeniem, taborami i amunicją. Po drugie, gdyby skutkiem tego ruchu wojska Napoleon dostać się miał do niewoli sprzymierzonych, będzie mu zagwarantowane życie i wolność w granicach terytorjum i kraju, jaki sprzymierzeni wybiorą". To znaczy: „Róbcie sobie z nim, co chcecie; wrzućcie go do rowu, pogrzebcie go żywcem — tylko go nie zabijajcie". — „To wielkoduszność iście francuska!" — odpowiada Schwarzenberg, zapewne nie bez drwiny, i oczywiście zgadza się na wszystko.[29]

Szósty korpus Marmonta stał w Essonnes, między Fontainebleau a Paryżem, i służył Napoleonowi jako osłona przed sprzymierzonymi. Ponieważ Marmont uprowadzał go, więc wydawał bezbronnego cesarza w ręce sprzymierzonych.

Aleksander, który w tej zdradzie dopatrzył się dzieła „boskiej Opatrzności" na rzecz Bourbonów, oświadczył, że warunkowego zrzeczenia się Napoleona na rzecz syna przyjąć nie może i zażądał abdykacji bezwarunkowej.

Napoleon, dowiedziawszy się o zdradzie Marmonta, długo nie chciał w to uwierzyć, a gdy wreszcie uwierzyć musiał, rzekł: „Będzie nieszczęśliwszy ode mnie!"

„Przebaczam im; oby i Francja im przebaczyła" — czytamy w jego testamencie, gdzie o Marmoncie wspomina, wymieniając wszystkich innych zdrajców swoich, a między nimi i Talleyranda. „Miejmy nadzieję, że w dniu Sądu Ostatecznego pocałunek djabła Talleyranda spali usta Judasza Marmonta".

Po odwrocie korpusu z Essonnes bitwa pod Paryżem stała się niemożliwa, i Napoleon zdecydował się odejść za Loarę. O, gdybyż się był zdecydował wcześniej! Wszystko jedno, jeśli ginąć, to przecież lepiej ginąć swobodnie, dobrowolnie wejść na stos razem z świętą Francją — Joanną d'Arc. A teraz ofiara wymuszona — stracenie. Gdy sam nie poszedł, to go zaprowadzą; sam się nie zdecydował — zadecyduje Los.

Wieczorem 5 kwietnia powracają Coulaincourt, Macdonald i Ney z Paryża do Fontainebleau i donoszą cesarzowi, że senat ogłosił hrabiego Prowancji królem, jako Ludwika XVIII, i że Aleksander nie przyjmuje abdykacji warunkowej, lecz żąda bezwarunkowej.

„A więc wojna" — odpowiedział cesarz spokojnie. — „Cóż robić? Wojna nie gorsza jest w tej chwili od takiego pokoju!"[30]

Już przedtem, przewidując odpowiedź Aleksandra, wydał rozkaz wycofania wojsk za Loarę. Przednia straż gwardji miała jutro wczesnym rankiem wymaszerować do Malesherbes, reszta wojska wyruszyć miała za nią tego samego dnia po południu.

Wieczorem 5 kwietnia na tajnem posiedzeniu postanowili generałowie nie wykonywać żadnych rozkazów cesarza, dotyczących ruchu wojsk. O godzinie drugiej w nocy generał Friant, dowódca I dywizji starej gwardji, zakomunikował tę uchwałę wszystkim dowódcom korpusów, a z rana Coulaincourt, Macdonald i Ney zawiadomili o niej szefa sztabu generalnego.

Dnia 6 kwietnia po raz ostatni Napoleon zbiera u siebie marszałków. Na podstawie map wojennych i przy uwzględnieniu sił, jakie mu pozostały, przedstawia im bardzo spokojnie i szczegółowo swój plan odwrotu. „Może jeszcze da się wszystko uratować".[31]

Marszałkowie milczą; ich twarze nie są bynajmniej kamienne, jak oblicze losu; nie, przypominają one nędzną glinę, z której ulepiony został Adam. „Może jeszcze da się wszystko uratować!" To słowo boskiej stanowczości jest nieznośne dla synów Adamowych, zrodzonych z prochu ziemi.

Marszałkowie milczą, a gdy Napoleon żąda odpowiedzi, mówią, że pozostały już tylko szczątki armji. Nawet gdyby się mu udał odwrót za Loarę, te ostatnie wysiłki mogłyby jedynie doprowadzić do wojny domowej. I nędzne twarze gliniaste mówią mu bez słowa: „Abdykuj!"

„Chcecie pokoju — będziecie go mieli!" — mówi cesarz, siada przy stole i pisze.

„Ponieważ mocarstwa sprzymierzone oznaczają Napoleona, jako jedyną przeszkodę w dążeniu do przywrócenia pokoju, oświadcza on, wierny swej przysiędze, że za siebie i swoich następców zrzeka się tronów Francji i Włoch, bo dla dobra Francji gotów jest ponieść jakąkolwiek ofiarę osobistą, nawet ofiarę z życia".[32]

„Ofiarę!" Oto słowo to zostało wyrzeczone i wyryte na wiekuistych tablicach Przeznaczenia. Oblicze ofiary — takie jest odtąd nowe oblicze Napoleona-Człowieka.

Zamek opustoszał natychmiast — wszyscy się rozbiegają. „Mogło się zdawać, że cesarz został już pochowany".[33]

W zamku jest cicho, lecz tem większy zgiełk panuje w koszarach. Tam nie chcą o abdykacji nic słyszeć i wszyscy są oburzeni zdradą marszałków. W nocy stara gwardja w porządku bojowym pod rozwianemi sztandarami, z pochodniami i przy dźwiękach Marsyljanki i hymnu napoleońskiego, przeciąga ulicami miasta. Twarze żołnierzy są jakieś osobliwe i straszne: widać po nich, że dość było woli cesarza, a jeszcze zawsze z takimi ludźmi byłby mógł cały świat przejść i zdobyć.

Dnia 12 kwietnia przybył z Paryża marszałek Macdonald, aby od Napoleona otrzymać podpisany, czyli jak mówią dyplomaci, ratyfikowany dokument abdykacji, dla przekazania go sprzymierzonym. Cesarz rozkazał mu, aby przybył po ten papier dnia następnego o dziewiątej rano.

Co się działo tej nocy, o tem nikt dokładnie nie wie. W oknach zamku rozbłysły światła; ludzie biegali tam i sam, krzyczeli, wzywali pomocy. Rozeszła się wieść, że cesarz chciał się otruć trucizną, którą od wojny hiszpańskiej nosił we flakoniku na szyi, ale mu się to nie udało, ponieważ zczasem trucizna straciła na sile. Ostre wymioty były jedynym skutkiem.[34]

Sam on zaprzeczył tej pogłosce na wyspie Św. Heleny z wielkiem oburzeniem. Na samobójstwo spoglądał zawsze z uczuciem pogardy. „Tylko błazny popełniają samobójstwo".[35] „Samobójca nie jest niczem lepszem od dezertera; uciec od życia to tak samo, jakby się uciekło z pola bitwy" — powiada w jednym z rozkazów do armji. Wiedział on, pamiętał, że do ucieczki nie miał żadnej drogi.

Być może, iż tej straszliwej nocy wspomnienie powiedziało mu tak jasno, jak nigdy dotąd, że jest on wieczny razem ze wszystkiemi swojemi mękami i z całym swoim straszliwym wstydem. „Umrzeć na polu bitwy, to nic; ale w takiej chwili, w takiem błocie — nie! Nigdy, przenigdy!"[36] „Wstydzę się za swoją abdykację" — rzekł na wyspie Św. Heleny. „Był to błąd, była to słabość, głupi figiel, nagły wybuch, nadmiar temperamentu. Byłem opanowany obrzydzeniem i pogardą dla wszystkiego, co mnie otaczało, także dla losu; chciałem mu rzucić rękawicę wyzwania".[37] Rzucił ją, ale los jej nie



NAPOLEON PO ABDYKACJI W FONTAINEBLEAU
(według obrazu P. Delaroche'a).

podjął. Wtedy zrozumiał, że na wieki gorzeć będzie w piekielnym ogniu wstydu.

Co to jest ratyfikacja? Obustronnie wyrażona zgoda dwóch kontrahentów, którzy przyjmują wzajemnie postawione sobie warunki. W tym wypadku dla Napoleona było to wyrażenie zgody na przyjęcie wyspy Elby zamiast panowania nad światem. Dawano mu takie śmieszne państwo Sancho Pansy, a do tego roczne apanaże w wysokości dwóch miljonów, z pozostawieniem mu tytułu cesarskiego. „Jestem człowiekiem, którego można wprawdzie zabić, ale którego obrażać nie wolno" — mówił niejednokrotnie. Nagle zrozumiał, że zabić go nie wolno, ale obrażać go można.[38] Wymierzono mu policzek, zaś on ratyfikował ten policzek.

O godzinie dziewiątej rano przyszedł do niego Macdonald. „Cesarz siedział przy kominie w prostym białym szlafroku flanelowym, w pantoflach na bosą nogę, z piersią odkrytą. Łokcie opierał na kolanach, a twarz ukrywał w dłoniach" — opowiada Macdonald. „Gdy wszedłem, nie poruszył się, chociaż mnie głośno zameldowano. Zdawał się być pogrążony w głębokiej zadumie" — we śnie letargicznym,[39] jak mawiał Bourrienne. „Po kilkuminutowem milczeniu odezwał się książę Vicenzy (Coulaincourt): „Wasza Cesarska Mości, marszałek, książę Tarentu, oczekuje rozkazów; musi wracać do Paryża". Cesarz spojrzał na mnie zdumiony, jakby się zbudził ze snu: wstał, podał mi rękę i przepraszał, że nie słyszał, gdy wchodziłem. Gdy odjął ręce od twarzy, byłem boleśnie zaskoczony jego zmienionym wyglądem: cera jego była żółta, niemal oliwkowa. „Wasza Cesarska Mość jest chory" — rzekłem. — „Tak, miałem złą noc" — odpowiedział, usiadł, zajął poprzednią pozycję i ponownie zapadł w głęboką zadumę. Spoglądaliśmy na niego w milczeniu. „Wasza Cesarska Mości, książę Tarentu czeka" — powtórzył wkońcu książę Vicenzy po dość długiem milczeniu. „Trzeba mu wręczyć ratyfikację; termin jej upływa w ciągu dwudziestu czterech godzin, a wymiana ma być dokonana w Paryżu". Cesarz wstał znowu, budząc się ze swej zadumy. Zdawało się, że trochę się ożywił, ale cera i wyraz twarzy nie zmieniły się. „Czuję się trochę lepiej" — rzekł.[40]

Tego dnia wręczył Macdonaldowi ratyfikację, a marszałek zawiózł ją do Paryża.

Że Napoleon wszystko to zniósł i pozostał przy życiu, było zapewne zwycięstwem większem, niż Arcole i Marengo.

Dwudziestego kwietnia, to jest w dniu wyznaczonym przez sprzymierzonych na odjazd cesarza na wyspę Elbę, powozy zajechały o dziesiątej z rana. Grenadjerzy starej gwardji stali z bronią u nogi w Cour du Cheval Blanc. Punktualnie o godzinie dwunastej, tak samo jak za szczęśliwych dni konsulatu i cesarstwa, na dziedzińcu ukazał się cesarz w prostym zielonym

uniformie strzeleckim, w płaszczu polowym i w kapeluszu stosowanym. Grenadjerzy sprezentowali broń, bębny zagrały marsza.

„Żołnierze mojej starej gwardji, żegnajcie! — rzekł cesarz, wchodząc w szeregi. — Przez lat dwadzieścia kroczyliście ze mną drogami honoru i sławy. W tych ostatnich dniach, jak w dniach naszego szczęścia, nie przestawaliście być wzorem męstwa i wierności. Z takimi ludźmi, jak wy, sprawa nasza nie jest przegrana, ale wojna byłaby jeszcze trudniejsza... Wyjeżdżam. A wy, przyjaciele, służcie dalej Francji... Żegnajcie, starzy moi towarzysze! Chciałbym was wszystkich przycisnąć do serca... Podajcie mi sztandar!“

Generał Petit podał mu go. Uścisnął i ucałował najprzód generała, potem sztandar.

„Żegnajcie dzieci! Niech ostatni ten mój pocałunek przeniknie do waszych serc. Bądźcie zawsze dzielni i dobrzy!“

Grenadjerzy płakali.[41]

Dnia 27 kwietnia Napoleon był w St. Raphael-Fréjus, gdzie przed niespełna dwudziestu laty wylądował po wyprawie egipskiej i przed 18 brumaire'a. Tutaj wzeszło jego słońce i tutaj miało też zajść, ale jeszcze nie na zawsze. Jego majestatyczny promień purpurowy miał przed zachodem jeszcze raz zajaśnieć.

Elba. Sto dni. 1814—1815.

„Elba będzie wyspą pokoju“ — rzekł Napoleon, gdy dnia 4 maja opuszczał angielską fregatę, aby w Porto Ferrajo, w głównym porcie wyspy, wysiąść na ląd.[1]

„Będę tu sobie żył jak jaki sędzia pokoju... Cesarz umarł. Jestem niczem i nie myślę o niczem innem, tylko o swojej małej wyspie. Nic mnie nie interesuje, prócz mojej rodziny, mego domku, moich krów i mułów“.[2] Zdaje się, że w pierwszych dniach, a może nawet w pierwszych tygodniach pobytu na Elbie czuł właśnie tak, jak się wyrażał. Może wspominał swoje marzenia dziecięce, jakie go nawiedzały w Ajaccio w domku z desek skleconym, a może wracały sny uczniowskie ze szkoły w Brienne, śnione w zielonej pustelni, gdzie według nauki Rousseau'a powracał do natury, i sny ucznia szkoły paryskiej, siedzącego w ciemnym pokoju o zasłoniętych oknach, przy blasku świec płonących w jasny dzień, może ożywały marzenia porucznika artylerji w koszarach w Auxonne i myśli o rozbitku, zapędzonym burzą na samotną, bezludną wysepkę Gorgonę? „Byłem panem na swej wyspie; tutaj mogłem być jeśli nie szczęśliwy, to przynajmniej mądry i spokojny“.[3] Może jego wiedza wspominająca powiedziała mu, że dla niego cały świat był wyspą bezludną,

że władza nad światem znaczyła niewiele więcej, niż takie państwo lilipucie, królestwo Sanczo Pansy — Elba.

„No cóż, stary mruku, przykrzy ci się?" — zapytał starego grenadjera, należącego do jego straży „honorowej" na wyspie.

„Przykrzyć się nie przykrzy, Wasza Cesarska Mości, ale żeby mnie to miało cieszyć osobliwie, tego nie powiem."

„Tak myśleć nie trzeba, mój przyjacielu: życie trzeba brać takiem, jakie ono jest".[4]

To więcej, niż mądra maksyma życiowa; jest to pokorne poddanie się mocy wyższej, która — on to czuje — prowadzi go wszędzie. „Ubicumque felix Napoleo — wszędzie szczęśliwy Napoleon" — wypisane było na jednej z kolumn jego domu wiejskiego, San-Martino, na Elbie. Byłby mógł istotnie wszędzie być szczęśliwy, gdyby był szukał szczęścia.

„Wyspą pokoju" Elba się nie stała. Zabrał się natychmiast do roboty z taką samą nienasyconą gorliwością, jak wszędzie i zawsze. Małą wyspę zorganizował tak, jak niegdyś wielkie cesarstwo: pozakładał drogi, pobudował szpitale, szkoły, koszary, teatr. Powyznaczał urzędy celne, uregulował akcyzy i podatki, urządził kopalnię żelaza, zajmował się przyswojeniem jedwabników, oddawał w dzierżawę rybołóstwo i saliny, wprowadzał nowe metody uprawy roli, sadził winnice, dbał o upiększenie Porto Ferrajo i wprowadził urządzenia sanitarne.

„Elba podobna była do wyspy zbawionych" — opowiada jeden z jej mieszkańców.[5] Zdawało się, że Napoleon na tym malutkim kawałeczku ziemi pragnie stworzyć to wszystko, czego nie dano mu stworzyć na całym świecie: wiek złoty i ziemski raj.

Stan taki trwał pół roku; byłby może trwał dłużej, gdyby mu ludzie byli dali spokój. Ale jak niegdyś swawolni chłopcy brienneńscy wdzierali się do jego pustelni, tak sprzymierzone mocarstwa wdzierają się w jego życie na „wyspie zbawionych".

Elba to nie Gorgona. Z gazet i pogłosek dowiaduje się on, co się w świecie dzieje. Ratyfikacja, podpisana w Fontainebleau, ma swoje konsekwencje, a te spadają na niego szeregiem coraz nowych policzków. Żonę jego wpędzają w objęcia występnego niegodziwca i szpiega, Neipperga, odbierają jej syna. „Tak samo w starożytności odbierano zwyciężonym ich dzieci, aby uświetnić triumf zwycięzców" — skarży się cesarz.[6] Ludwik XVIII uważa, że dwumiljonowe apanaże są dla Napoleona za wysokie i zatrzymuje je, nietyle przez chciwość, ile dlatego, aby wroga swego upokorzyć. Talleyrand i Castlereagh zastanawiają się na kongresie wiedeńskim nad sprawą wygnania cesarza na jaką wyspę oceanu Atlantyckiego. „Los Napoleona jest przypieczętowany: zostanie wygnany na Santa Lucia... Klimat tamtejszy w czasie niedługim

uwolni świat od korsykańskiego potwora" — winszują sobie wzajemnie Anglicy.[7] „Napoleon na Elbie jest dla Francji i dla całej Europy tem samem, czem Wezuwjusz dla Neapolu" — przestrzega Fouché.[8] Wygnanie jest bardzo dobre — myśli niejeden — ale grób jest lepszy. „Wielki to błąd, że Bonapartego pozostawiono przy życiu: dopóki nie leży on w głębi sześciu stóp pod ziemią, nie można być spokojnym".[9] Algierscy korsarze proponują wziąć go do niewoli, rzymscy mnisi radzą zasztyletować go.

„Chcą mnie zgładzić — niech tak będzie!... Jestem żołnierzem... pierś swą sam odsłonię; ale nie chcę być deportowany" — rzekł do angielskiego pełnomocnika Campbella[10] zapewne wtedy, gdy w gazecie angielskiej, przysłanej mu przez lady Holland, wyczytał wieść, że ma być wygnany na wyspę Świętej Heleny.[11] „Św. Helena, mała wyspa" — te słowa, zapisane w kajecie szkolnym z następującą po nich pustą stronicą — niemego losu — nie przyszły mu wtedy, oczywiście, do głowy, lecz serce jego przeniknął może proroczy dreszcz.

Dowiaduje się, że śród sprzymierzonych niema jedności, że lada chwila może dojść do zatargów i do wojny, chociaż już nie z jego powodu; że Francja nienawidzi Bourbona, który do Francji wkroczył po trupach Francuzów na barkach rosyjskiego kozaka, jak go przedstawiają na karykaturach. Francja wzywa jego, Napoleona, czeka na niego jak na Mesjasza.

O tem wszystkiem mówi mu wysłannik marszałka Berthiera, były audytor Rady Stanu, Fleury de Chaboulon, który, przebrany za marynarza, potajemnie przybył do Porto-Ferrajo.

Napoleon postanawia „rozerwać trupią koszulę". Dnia 25 lutego 1815 roku rozkazuje on zafrachtować dwa okręty, naprawić stary bryg „L'Inconstant", pomalować go jako statek angielski, zaopatrzyć w broń i żywność. W nocy na 26 wsiada na statek z malutką armją, na kilku innych statkach płynącą: sześciuset grenadjerów i strzelców starej gwardji, czterystu strzelców korsykańskich i stu polskich ułanów. Z tą garstką ludzi musi zdobyć Francję. Pierwszego marca ląduje w zatoce Jouan, między Antibes i Cannes.

„Francuzi! — mówi w odezwie do narodu — na wygnaniu swojem usłyszałem wasze skargi i życzenia: domagacie się jedynego prawowitego rządu, jakiście sobie sami wybrali. Przepłynąłem morze i przybywam, aby bronić waszych praw". A w odezwie do armji mówi: „Żołnierze, zbierajcie się pod sztandarem swego wodza. Życie jego należy do was; prawa jego są prawami waszemi i prawami ludu. Zwycięstwo wyprzedzać nas będzie krokiem szturmowym, Orzeł z trójbarwną flagą poleci od jednej kościelnej wieży do drugiej, aż dotrze do wież Notre Dame w Paryżu".[12]

Jak rzekł, tak się też stało. Iskra, która niegdyś po wyprawie egipskiej strzeliła we Fréjus, zapłonęła teraz w zatoce Jouan i niebawem obleciała

całą Francję. Wtedy słońce wschodziło, a teraz zachodzi: jego ostatni majestatyczny promień purpurowym płomieniem przebija się przez chmury. „Najpiękniejszym okresem mego życia był marsz z Cannes do Paryża" — mówił cesarz na Św. Helenie.[13] Może nigdy dotąd nie czuł się tak nieśmiertelnym, jak w owych dniach swego „przyjścia wtórego".

Poprzez Alpy nadmorskie orzeł leci na północ. Malutka armja idzie przez wschodnią Prowancję, przekradając się ustronnemi drogami: ludność tamtejsza, rojalistyczna, zachowuje się obojętnie, albo jest dla cesarza usposobiona zaciekle wrogo. Ale już na granicy Delfinatu powstaje wszystek lud na jego drodze, jakby się dźwigała cała ziemia. W tych dniach zachodzącego słońca jest on ziemi bliższy, niż kiedykolwiek.

Ludzie okoliczni biegną na jego spotkanie. Porównywają jego żywą twarz z wizerunkiem na monecie pięciofrankowej, przekonywają się, że to „nikt inny, tylko on sam", witają go nie kończącemi się okrzykami: „Niech żyje cesarz!"[14]

Gdy dnia 7 marca zbliża się do wąwozu Laffray pod Grenoblą, spotyka się z wysłanym przeciwko niemu bataljonem 5 pułku linjowego po dowództwem Delesserta. Obejść go niepodobna: z jednej strony wznosi się łańcuch stromych wzgórz, z drugiej ciągną się jeziora. Polscy ułani z cesarskiej straży przedniej jadą na spotkanie bataljonu. Gdy Delessert na twarzach swoich żołnierzy spostrzega przerażenie, pojmuje, że wszczynać walki nie należy, i pragnie żołnierzy odprowadzić nazad. Ale ułani jadą za nimi tak blisko, że żołnierze czują oddech koni na karkach. Wówczas Delessert komenderuje: „Na bagnety!" Żołnierze wykonują rozkaz mechanicznie. Ale ułani, którym rozkazano, aby w żadnym razie nie atakowali, zawracają konie i ustępują. W tej chwili cesarz na czele swoich starych strzelców, którzy na jego rozkaz poopuszczali karabiny lufami ku ziemi, podchodzi do bataljonu.

„Oto on! Ognia!" — komenderuje kapitan Randon, tracąc panowanie nad sobą.

Żołnierze bledną, nogi uginają się pod nimi, karabiny drżą w ich kurczowo zaciśniętych dłoniach. Na kilka kroków przed nimi Napoleon staje.

„Żołnierze!" — mówi donośnie głosem stanowczym. — „Jestem wasz cesarz. Poznajecie mnie?"

Robi jeszcze dwa-trzy kroki naprzód i rozchyla płaszcz, przywdziany na mundur strzelecki.

„Jeśli śród was jest żołnierz, który chce zabić swego cesarza — oto jestem!"

„Niech żyje cesarz!" — rozlega się zapamiętały krzyk. Ludzie wybiegają z szeregów ku niemu, rzucają się do jego stóp, obejmują go za kolana, całują jego buty, szpadę, podołek jego płaszcza. W tej chwili naprawdę widzą w nim „zmartwychwstałego Mesjasza".[15]

Oto bramy Grenobli rozwarte, garnizon forteczny poddał się. Żołnierze rzucają się ku cesarzowi „z takiem zapamiętaniem, iż zdaje się, że go rozszarpią na kawałki; otaczają go, podnoszą, niosą na rękach". Tak też doniosą go aż do Paryża.[16]

W nocy armja cesarska wkracza do Grenobli. Dwutysięczny tłum chłopów z siekierami, widłami, pikami, fuzjami i pochodniami towarzyszy jej przy dźwiękach Marsyljanki i przy okrzykach: „Niech żyje cesarz! Niech żyje wolność! Precz z Bourbonami!"[17]

„Tutaj zrodziła się rewolucja — powiadają mieszkańcy mieściny Vizille pod Grenoblą, witając cesarza — my pierwsi domagaliśmy się Praw Człowieka, i tutaj też zmartwychwstaje wolność i honor Francji".[18]

„To nowy napad rewolucji" — trafnie wyraża się marszałek Ney.[19] „Jest zgoła nieprawdopodobne, aby lud chciał na nowo Bonapartego" — pisze pełnomocnik rosyjski.[20] Po Moskwie i Berezynie, po Lipsku i Paryżu — po rzekach krwi przelanej i na samą myśl o tej krwi, która jeszcze popłynąć musi, było to istotnie nieprawdopodobne, niby cud „wtórego przyjścia Pańskiego".

„Wasza Cesarska Mość zawsze czyni cuda, bo gdyśmy się dowiedzieli o powrocie twoim, to myśleliśmy, że oszalałeś..." — temi słowy zaczął witać cesarza adjunkt mera w Mâcon, ale nie zdołał dokończyć tej mowy, przegłuszonej zapamiętałemi okrzykami: „Niech żyje cesarz!"[21] Nietylko cesarz oszalał, oszalała cała Francja.

Dwaj chłopi w miasteczku Villefranche w departamencie lionskim kupili od właściciela gospody, w której cesarz bawił, kostki spożytego przezeń kurczęcia, aby je przechowywać jak relikwje.

W Lionie dwudziestotysięczny tłum, przez trzy, cztery dni, wystaje bezustannie pod oknami jego mieszkania, ani myśląc ustępować, i woła raz za razem: „Niech żyje cesarz! Niech żyje rewolucja!"[22]

On sam wie o tem, że jest rewolucją. Znowuż zapala się duchem roku 1793, czuje się „Robespierrem na koniu" i działa stanowczo i szybko, jak Konwent: zakazuje noszenia białych kokard, kasuje starą szlachtę i tytuły feudalne, detronizuje króla. „Uważam — powiada — że nienawiść przeciw szlachcie i duchowieństwu jest dziś równie mocna, jak na początku rewolucji".[23]

Tak, rewolucja zmartwychwstała, a razem z nią on, Człowiek. Dla jednych jest on „potworem wychodzącym z otchłani", dla drugich „Mesjaszem wstającym z grobu".

„Wasza Królewska Mości — powiada marszałek Ney, podobnież dziecię rewolucji, i z pełnym czci pocałunkiem pochyla się nad ręką starego Bourbona — mam nadzieję, że z Bonapartem dam sobie radę i że ci go, Najjaśniejszy Panie, przywiozę w żelaznej klatce".[24] Wyrażenie to podoba się Neyowi tak dalece

że powtarza je przy każdej nadarzonej sposobności, a gdy ktoś zauważa, że lepiej byłoby przywieźć go w trumnie, odpowiada: „Nie, nie znacie Paryża: Paryżanie muszą go zobaczyć w klatce".[25]

Ney z królewskiemi wojskami manewruje między Soissons a Mâcon, aby całą „szajkę zbójecką za jednym zamachem złapać i zniszczyć. Nagle otrzymuje on list: „Drogi bracie, przybądź do mnie do Châlons, przyjmę cię tam tak, jak nazajutrz po Borodinie".[26] I oto najdzielniejszy z dzielnych blednie, jak owi żołnierze pod Grenoblą, gdy usłyszeli komendę: „Oto on! Ognia!" Jest mu tak, jakby go porwał nagły szał. „Huragan mnie porwał, straciłem głowę" — przyznał się później. „Rzuciłem się w przepaść, jak niegdyś rzucałem się na armaty".[27] Złamał wiarę Bourbonowi i poddał się Bonapartemu. Zresztą nie byłby mógł walczyć nawet, gdyby był chciał: „Nie można przecie wstrzymać morza rękoma" — skarżył się jeszcze przed zdradą.[28]

Od Lionu do Paryża lot orła staje się coraz wyższy. Pochód idącego za nim tłumu rewolucyjnego przypomina „nocną ognistą drogę meteoru".[29]

W nocy na 20 marca król ucieka z Tuilerjów, a wieczorem dnia następnego powóz cesarski zbliża się do pawilonu Flory i zatrzymuje się o kilka kroków przed nim: ścisk jest tak wielki, że dotrzeć do podjazdu niepodobna. Ludzie otaczają powóz, otwierają drzwi, biorą cesarza na ramiona, niosą go przez dziedziniec, przysionek, po schodach. Jeszcze chwila, a zmiażdżą go, zadepczą, zabiją. On zaś nie widzi nic i nie słyszy, niesiony na fali tłumu ludzkiego jak blady kwiatek: z ramionami wyciągniętemi, z głową odrzuconą wtył, z oczyma przymkniętemi i z zastygłym uśmiechem na ustach, podobny jest do lunatyka we śnie albo do boga Dionizosa śród szalejących bachantek. „Ci, co go nieśli, byli jak szaleni, a tysiące innych byli szczęśliwi, jeśli im się udało ucałować podołek jego płaszcza, lub choćby tylko musnąć go... Miałem takie uczucie, jakbym był świadkiem zmartwychwstania Chrystusa" — opowiada pewien świadek naoczny.[30]

Kongres wiedeński ogarnia przerażenie. Trzynastego marca osiem państw sprzymierzonych: Anglja, Austrja, Rosja, Szwecja, Prusy, Holandja, Hiszpanja i Portugalja, podpisują deklarację: „Napoleon Bonaparte przez swoje ponowne ukazanie się we Francji staje poza prawem obywatelskiem i politycznem, a jako burzyciel pokoju światowego podpada publicznym sądom karnym".[31]

Siódma koalicja dochodzi do skutku. Pełnomocnicy Anglji, Austrji, Rosji i Prus zawierają umowę, która ma na celu „zachowanie pokoju", i na ten cel wystawiają po sto pięćdziesiąt tysięcy wojska, wszystkie państwa razem miljon żołnierzy, na czas „dopóki Bonaparte nie będzie pozbawiony możności zakłócania pokoju Europy".[32]

Stopień przerażenia daje się zmierzyć stopniem wściekłości. „Francuzów

oszczędzaliśmy napróżno; należałoby ich wszystkich wytępić" — wrzeszczą gazety niemieckie. „Cały naród francuski należy uważać za postawiony poza prawem!" — „Wytłuc ich wszystkich, jak wściekłe psy!"[33]

Straszliwe widmo Bonapartego to upiór rewolucji. Zrozumiał to Aleksander lepiej od kogokolwiek. „Oddzielić go, oddzielić od jakobinów!" — powtarza raz za razem i w krwawej łunie nowej wojny widzi gigantyczną zjawę jeźdźca Apokalipsy, „Robespierre'a na koniu". „Napoleon to Apollyon, szkodnik, anioł przepaści" — szepcze, pochylony nad Apokalipsą. „Sześćset sześćdziesiąt i sześć — znak zwierza".

Przerażenie było niepotrzebne: nowy rozbłysk rewolucji musiał zagasnąć tak samo, jak gaśnie ów ostatni, czerwony promień zachodu, i znowuż wszystko musiało zasępić się nagle i zdrętwieć. To, co jeszcze przed chwilą wydawało się najprawdziwszem złotem dukatowem, musiało się przemienić w szary ołów. Po roku 1793 musiał przyjść rok 1811. „Robespierre na koniu" znika — cesarz Napoleon ukazuje się na nowo.

„Przez całą Francję przeszedłem witany wszędzie z entuzjazmem i na ramionach obywateli zaniesiony zostałem do swej rezydencji, ale zaledwie przekroczyłem jej progi, gdy nagle jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wszystko odwróciło się ode mnie, ochłódło".[34]

Nie, to on ochłódł dla wszystkiego. Na nowo opanowała go melancholja; znowuż nie chciało mu się niczego, jak pod Borodinem; popadł w sen letargiczny, jak pod Lipskiem. Wszystko słyszy i widzi, ale nie może się zbudzić, nawet palcem poruszyć nie może, gdy układają go do trumny i zakopują w ziemi.

Ludwik XVIII dał Francji konstytucję, czyli „Charte constitutionnelle". Bonaparte nie może dać się zakasować Bourbonowi. „Napoleonie, ogranicz swoją władzę!" — brzęczą mu w uszach słowa starych jakobinów Konwentu i nowych liberałów Restauracji. „Francja chce być wolna... Jutro będziesz miał buntowników zamiast poddanych, jeśli nie dasz wolności".[35]

Benjamin Constant, nowy „homunculus" - Sieyès i ojciec poronionych konstytucyj, szkicuje „Chartę liberalną" — „Akt uzupełniający do konstytucji cesarstwa," „Acte additionnel".

Tylko w letargicznym śnie można było w chwili tak osobliwej, w obliczu miljonowej inwazji, zsiąść z konia i przesiąść się do powozu parlamentarnego, a z rewolucyjnego dyktatora przemienić się w konstytucyjnego monarchę.

Sam on to czuje. „Spychają mnie na drogę, która nie jest moją drogą, osłabiają mnie, nakładają mi pęta. Francja mnie widzi, ale mnie nie odnajduje. Gdzież jest dawna ręka cesarza, która mogła była doprowadzić Europę do pokoju? — pyta Francja".[36]

„Wbrew swemu przekonaniu stał się liberałem; stał się kaleką i pozbawił się siły. Już nie był samym sobą“ — powiada pewien uczciwy jakobin.[37]

Dnia 1 czerwca odbywa się uroczystość nowej konstytucji, Benjaminy, jak ją przezwano, czyli zgromadzenie kolegjów wyborczych, które głosowały za „Aktem uzupełniającym“. Jest to uroczysta i posępna ceremonja na polu Majowem, dawniej Marsowem. Kardynałowie odprawiają mszę, a cesarz, stając na tronie, wzniesionym na środku placu, opiera rękę na księdze Ewangelji i składa przysięgę na konstytucję. Przypuszczano, że przybędzie na tę uroczystość w prostym mundurze strzelców lub grenadjerów starej gwardji, jak pod Marengo lub Austerlitz, a tymczasem ubrany jest w starożytną purpurową tunikę rzymską, w płaszcz usiany złotemi pszczołami, w białe spodnie atłasowe i w czarny kapelusz hiszpański z białemi piórami. „Co za maskarada!“ — szepczą sobie w tłumie. Naprawdę, złowieszcza maskarada: powiewa od niej tchnieniem rozkładu, jak od kogoś, kto wyszedł z grobu.

Siódmego czerwca odbywa się pierwsze posiedzenie nowej Izby w obecności cesarza. On wygłasza mowę: „W ciągu trzech miesięcy okoliczności i zaufanie narodu wyposażyły mnie w nieograniczoną władzę. Dzisiaj wypełnia się najgorętsze pragnienie mego serca: zakładam monarchję konstytucyjną. Upewnienie losu narodów nie jest w mocy ludzi; uczynić to mogą tylko instytucje“.[38]

„Nie jest w mocy ludzi“ — to znaczy: on, Człowiek, jest bezsilny. To była abdykacja gorsza od pierwszej.

„Wbrew całemu samoopanowaniu, nie umiał utaić bólu i gniewu, któremi płacił za te wyznania. Twarz jego była śmiertelnie blada, rysy wykrzywione, głos przenikliwie ostry.“

Takich uczuć musiał doznawać nagle ogłuchły Beethoven, gdy, grając symfonję, uderzał w fałszywe tony, sam to wyczuwał, a jednak zmienić tego nie mógł.

Obie pierwsze armje sprzymierzone, angielsko-holenderska pod Wellingtonem i pruska pod Blücherem, chciały się połączyć, aby przez granicę belgijską wtargnąć do Francji. Była to tylko straż przednia, za którą stały rezerwy: Austrja, Szwecja, Rosja — ta sama lawina miljonowa, jak roku zeszłego.

Ministrowi Davoutowi udało się w ciągu trzech miesięcy zmobilizować sto trzydzieści tysięcy żołnierzy. Drobna część tych sił składała się ze szczątków Wielkiej Armji, resztę tworzyły naogół „Marje-Ludwiki“. Były to ostatnie krople krwi z żył Francji. Cały kraj podobny był w tej chwili do konia, zajeżdżonego przez oszalałego jeźdźca: lada chwila koń mógł paść i złamać kark jeźdźcowi.

Nie jest wszakże wyłączone, że ci ostatni byli najlepsi. „Aby sobie zdać sprawę z entuzjazmu armji francuskiej — pisze pewien szpieg angielski

z Paryża do Wellingtona — dość jest zrobić porównanie między rokiem 1792 a chwilą obecną, a i tak przewaga jest dzisiaj bezwzględnie po stronie Bonapartego". — „Uczucia, jakie ożywiają armję, nie są ani patrjotyzmem, ani entuzjazmem; jest to wściekły gniew na nieprzyjaciela za cesarza" — pisze francuski generał Foy w swoim dzienniku. A pewien francuski dezerter wyraża się krótko i węzłowato: „To opętańcy".[39]

„Jeszcze nigdy nie miał w ręku broni tak straszliwej i kruchej" — powiada najlepszy historyk roku 1815.[40]

Straszliwej i kruchej zarazem, bo jej ostrze było zbyt wytoczone. Z taką armją równie łatwo zwyciężać, jak i zostać zwyciężonym; wszystko zależy od jej ducha, a duch od wodza.

Kim-że on jest — bestją, która zerwała się z łańcucha, szaleńcem z brzytwą w ręku, jak mniemają sprzymierzeni, czy też zawsze jeszcze wodzem, który do raju wiedzie przez piekło, jak wierzy Francja? O tem miała zadecydować największa bitwa nowych czasów — Waterloo.

Waterloo. 1815.

„Zwyciężam pod Waterloo" — powiada Napoleon na Św. Helenie. Że Waterloo jest porażką Napoleona, o tem wiedzą wszyscy; on jeden wie, że to zwycięstwo. „Zwyciężam pod Waterloo i w tejże chwili staczam się w przepaść".[1] Ale zanim stoczył się w przepaść, wzniósł się tak wysoko, jak nigdy dotąd. Całe jego życie to jeden z najwyższych wierzchołków ludzkiej woli, a szczytem tego wierzchołka jest Waterloo.

„Podczas ostatniej swojej kampanji Napoleon wykazał ruchliwość trzydziestoletniego generała" — twierdzi najlepszy historyk tej wojny.[2] W trzydziestym roku życia Napoleon jest zwycięzcą pod Marengo, słońcem w zenicie; pod Waterloo jaśnieje to samo słońce. Jeśli tak, to znaczy, że wporę ocknął się z letargu; był martwy i ożył.

To jest jedno z dwóch świadectw, a oto świadectwo drugie, pochodzące od angielskiego marszałka Wolseleya: „Napoleon podczas całej kampanji znajdował się w stanie letargicznym".[3]

Komu tu wierzyć? Czy może sprzeczność jest pozorna?

„Uczucia powodzenia ostatecznego już nie miałem — mówi Napoleon dalej, wspominając Waterloo. — Czy zaczęły mnie zdradzać lata, które zazwyczaj sprzyjają szczęściu, czy też przybladło to, co w moich własnych oczach i w mej wyobraźni stanowiło cudowność moich przeznaczeń, dość, iż czułem doskonale, że mi czegoś brak. Nie było już tego dawnego szczęścia, które szło za mną krok w krok i zasypywało mnie swemi darami. Był to surowy

los, któremu dary jego wyrywałem jakby przemocą i który mścił się za to na mnie natychmiast. Nie miałem bowiem ani jednego powodzenia, za którem nie szłaby natychmiast porażka". — „A wszystkie te ciosy, rzec to muszę, zabijały mnie raczej, niż zadziwiały: instynkt mówił mi, że koniec będzie nieszczęsny. Nie powiem, aby to było wpływało na moje decyzje i czyny, ale miałem wewnętrzne uczucie tego, co mnie oczekuje".[4]

Albo ściślej: dwa uczucia mieszały się w nim, migotały jak dwa światełka: uczucie wzlotu i uczucie padania. Choćby nie wiem jak usiłował zbudzić się z letargu, jego zasłona wisiała nad nim, choćby nie wiem jak wskrzesał — martwy punkt czerniał na jaśniejącem ciele zmartwychwstałego. Zwyciężając, wiedział, że będzie zwyciężony, ale wiedział o tem nie na pewno i musiał walczyć aż do końca. Aby tak walczyć, trzeba było mieć siły olbrzymie. To znaczy: Waterloo jest jednym ze szczytów ludzkiej woli w historji.

Plan Napoleona polegał na tem, że obie armje nieprzyjacielskie, zajmujące Belgję, a mianowicie angielsko-holenderską Wellingtona i pruską Blüchera, należało pobić pokolei, zanim zdołają się one połączyć z sobą. W tym celu musiał się wsunąć między nie i wymiarkować ten punkt szosy brukselskiej, w którym prawdopodobnie nastąpić miało spotkanie. Tam chciał następnie „spaść jak błyskawica".

Wczesnym rankiem 15 czerwca awangarda francuska przekroczyła granicę belgijską, pod Charleroi przeszła przez Sambrę, z łatwością wyparła trzydziestodwutysięczną pruską straż przednią generała Zietena i natychmiast posunęła się ku północy. Cały ten cudownie udatny manewr wykonany został z taką samą matematyczną precyzją i z proroczem jasnowidzeniem, jak w promiennych dniach Austerlitzu i Frydlandu.

Pruska armja, przybywająca od wschodu z Namuru, i angielska, idąca od północy z Brukseli, musiały się spotkać z sobą na szosie, wiodącej z Nivelles do Namuru. Tu postanowił Napoleon ustawić wojska w kształcie rogatki: prawe skrzydło ustawić ku wschodowi w mieścinie Sombreffe na drodze do Namuru, lewe ku zachodowi na drodze brukselskiej w Quatres-Bras, gdzie obie drogi się przecinają. On sam zajął stanowisko w miejscu, gdzie te trzy punkty tworzyły wierzchołek trójkąta, we Fleurus, aby dnia następnego rzucić się na tę z obu armij nieprzyjacielskich, która nadejdzie pierwsza. Gdyby się wszakże obie uchylić miały, to zajmie Brukselę bez jedynego wystrzału.

„Dzień dobry, Ney. Cieszę się, że pana spotykam" — rzekł cesarz do generała, który właśnie ukazał się na froncie. — „Obejmie pan dowództwo nad pierwszym i drugim korpusem. Niech pan idzie i odpiera nieprzyjaciela na drodze brukselskiej i niech pan zajmie stanowisko na Quatres-Bras".[5]

Że ta pozycja jest osią całej spodziewanej bitwy, a może nawet całej kampanji, z tego Napoleon zdawał sobie dokładnie sprawę. „Pruska armja

przepadła, jeśli pan działać będzie zdecydowanie. Losy Francji są w pańskich ręku" — powie on Neyowi dnia następnego. Tem zleceniem, najwyższym dowodem zaufania, dowiedzie, że nie pamięta mu ani Fontainebleau, ani klatki.

Ney, otrzymawszy rozkaz o trzeciej po południu, mógł był dotrzeć do Quatres-Bras około piątej i bez trudu byłby zajął słabo bronioną pozycję; ale zatrzymał się w drodze, zajmując się głupstwami, a gdy wreszcie z niewielką awangardą dotarł do celu po siódmej wieczorem, to pozycja była już zajęta przez cztery tysiące nassauskiej piechoty. Może i wtedy nie byłoby jeszcze za późno, gdyby najdzielniejszy z dzielnych po raz pierwszy w życiu nie był się przestraszył, wyobraziwszy sobie, że ma przed sobą całą armję angielską, i gdyby nie był odłożył sprawy do jutra dla sprowadzenia rezerw. Tejże samej nocy Wellington skoncentrował na Quatres-Bras całą swoją armję, tak, że Ney nic już zrobić nie mógł. Ale najgorsze to, że cesarz, nie otrzymawszy od niego żadnej wiadomości, był przekonany, że wszystko idzie według planu. Oś koła złamała się, a Napoleon jechał na niem dalej.

Trudno sobie wyobrazić, co się stało z Neyem w ciągu tych godzin fatalnych, gdy los cesarza i los Francji spoczywał w jego rękach. Jakgdyby letargiem Napoleona zaraził się był i on. Tamten się zbudził, ten zasnął.

Boki rogatki nie rozparły się należycie: lewy nie dotarł do szosy brukselskiej, a prawy do namurskiej, gdy nagle ukazała się pruska przednia straż Blüchera. Niemniej jednak najważniejsza rzecz była zrobiona: Wellington oddzielony był od Blüchera.

Rankiem 16-go Napoleon dowiedział się, że idzie na niego cała armja pruska. „Być może, że w ciągu trzech godzin rozstrzygną się losy całej kampanji — powiada cesarz. — Jeśli Ney wykona mój rozkaz należycie, to nie ucieknie ani jedna pruska armata".

Nowy rozkaz leci do Neya: „Cesarz atakuje nieprzyjaciela na stanowisku przez niego zajętem między Brye i St. Amand. Bitwa już się toczy. Niech pan poczyni, co trzeba, dla obejścia pierwszego skrzydła nieprzyjacielskiego i uderzenia na jego tyły z bezpośredniej bliskości. Armja ta jest stracona, jeśli działać pan będzie zdecydowanie. Losy Francji są w pańskich ręku".[6]

Bitwa zaczęła się o trzeciej po południu w dwóch miejscowościach, w St. Amand i Ligny. Cesarz oczekuje Neya około godziny szóstej. Jak tylko usłyszy grzmot dział na tyłach Prusaków, rzuci rezerwy na nieprzyjacielskie centrum, zgniecie nieprzyjaciela, odetnie mu odwrót na Sombreffe i bagnetami rzuci go na bagnety Neya: z sześćdziesięciu tysięcy Prusaków nie ucieknie ani jeden.

Nadeszła szósta, siódma — armaty Neya wciąż się jeszcze nie odzywają. Nagle na tyłach Francuzów pod Fleurus ukazała się nieznana kolumna w trzydzieści tysięcy bagnetów. Co to za jedni? Anglicy? Prusacy? Jakieś

ciemne wspomnienie czy przeczucie ściska serce cesarza: gdzie i kiedy to się już stało? Czy dopiero się stanie? „Zdrada! Uciekać, kto żyw!“ — krzyczą żołnierze na widok nadciągającej kolumny i uciekają. Aby uciekających powstrzymać, trzeba wymierzyć przeciw nim własne armaty.

Nie było to, będzie nie tutaj, nie zaraz. Nieznana kolumna to korpus generała Erlona, który odłączył się od Neya i wykonał błędny manewr. Ney nie przybył i już nie przybędzie. Oś koła złamała się i już niema nic, na czemby można jechać dalej. Najważniejszy manewr nie powiódł się, armja pruska zniszczona nie będzie. Ale można ją pobić i odciąć od angielskiej. Cesarz rozkazuje wykonać ostatni atak rezerwami.

Jednocześnie wszystkie baterje rozpoczynają ogień na wyżyny Ligny. Gwardja zostaje ustawiona w kolumnach dywizjami: cesarz sam prowadzi ją do walki.

W tej chwili wybucha burza. Armaty odpowiadają piorunom, karabiny przecinają błyskawice, jakgdyby się ta sama bitwa toczyła na ziemi i w niebie. Czy Napoleon wspominał o tem, jak to dwadzieścia lat temu podczas oblężenia Tulonu śród grzmotów szedł na szańce angielskie? Całe jego życie między temi dwiema burzami było burzą Boga.

Około ósmej pruskie centrum zostało przerwane i zaczął się odwrót. Wiatr pędzi chmury ku wschodowi i Blücher widzi z pagórka całą swoją armję w ucieczce. Ale „nie uważa się za pokonanego, dopóki bić się można“.[7] Rzuca w walkę ostatnie swoje rezerwy i sam, siedemdziesięcioletni starzec, idzie z niemi w ogień jak płomienny młodzieniec.

Walka trwa do nocy. Koń pod Blücherem zostaje ranny, pada i przygniata go. Adjutant, hrabia Nostitz, śpieszy mu z pomocą. W tej chwili szwadron francuskich kirasjerów pędzi obok nich, przelatuje niemal nad nimi, ale nie poznaje ich w mroku. Po minucie, zawracając, pędzi nazad i znowuż nie poznaje. Nostitz przywołuje pruskich dragonów. Blüchera wydobywają z pod konia, potłuczonego, napoły omdlałego, sadzają go na podoficerskiego konia i prowadzą daleko na tyły, w falę uciekinierów. Jest ich dużo: jutro między Liège a Akwizgranem zatrzymają ich osiemdziesiąt tysięcy.

„Starego Blüchera dobrze łupnęli kolanem w zadek! Z osiemnaście mil odleciał — powiada Wellington i zwyczajem swoim śmieje się tak, jakby kto drapał gwoździem szkło. — I nam wypadnie pewno cofnąć się. W Anglji powiedzą, że nas zdmuchnęli, ale nic na to nie poradzę“.[8]

Z rana 17-go Napoleon dowiaduje się, że Prusacy cofają się na Liège i Namur, że Wellington wciąż jeszcze stoi na Quatres-Bras, a Ney — w letargu.

„Ja pójdę przeciwko Anglikom, a pan niech ściga Prusaków“[9] — mówi cesarz do marszałka Grouchy'ego i losowego ciężaru swych słów nie czuje.

Lecz odczuwa je Grouchy. Jeszcze nigdy w ciągu jego długiej służby

nie powierzono mu zadania tak trudnego: będzie miał do czynienia z całą armją pruską, która, choć pobita, zawsze jeszcze jest straszna, jak podrażnione ranne zwierzę. On, odważny generał jazdy, jest człowiekiem silnej woli, mądrym, sumiennym, ale jest on „człowiekiem bieżącej godziny",[10] jednego manewru, jednego wysiłku, jest to znawca taktyki miejscowej, lecz nie strateg ogólny. Najgorsze to, że sam on to odczuwa i uczuciem tem będzie skuty, rozbity jak paraliżem. Ale nie powie przecie marszałek Francji: „Daruj, Najjaśniejszy Panie, ja się boję!"—boby mu język zdrętwiał. Zresztą za późno na to: cesarz udziela mu wskazówek szczegółowych, jak z trzydziestotrzechtysięcznym korpusem deptać ma Blücherowi po piętach i ustalić, dokąd on idzie, czy chce i może połączyć się z Wellingtonem.

O, gdyby Napoleon był wiedział, co robi! Ale nie wiedział, nie widział! Ktoś prowadził go za rękę, jak ślepca.

Blücher załatwiony — pozostaje Wellington. Około południa, z lekką konnicą — wszystkie inne wojska idą za nią — cesarz pędzi drogą namurską na Quatres-Bras. Lecz po drodze dowiaduje się, że Wellington odszedł stamtąd, lub akurat odchodzi. Pozostał tam tylko lord Uxbridge z lekką kawalerją dla osłaniania odwrotu. Blücher uciekł wczoraj, dzisiaj chce mu się wymknąć Wellington. „Nie było ani jednego powodzenia, po którym nie byłaby natychmiast nastąpiła porażka". Gdyby mu ktoś nie przeszkadzał bezustannie, gdyby mu się nie plątał pod nogami jego Niewidzialny, to i on, Napoleon, nie byłby przegapiał sposobności, jak Ney w letargu, byłby wystąpił o sześć godzin wcześniej, zaskoczył i zgniótł Wellingtona, tym ostatnim ciosem kończąc całą kampanję. Ale może i tak jeszcze nie za późno.

Kirasjerzy, strzelcy, ułani, konne baterje gwardji, pędzą szybkim kłusem szosą. Cesarz ze szwadronem służbowym na czele wszystkich.

Lord Uxbridge na pierwszą wieść, że nadciągają Francuzi, wybiega na szosę. Jest i Wellington, gotowy do drogi. Nieprzyjaciel jeszcze daleko, tylko stalowe refleksy połyskują na słońcu. „To bagnety" — powiada Wellington, ale popatrzywszy przez lornetę, poznaje kirasjerów. Komendę oddaje Uxbridge'owi, dosiada konia i pędzi galopem za swoją odchodzącą armją, szosą brukselską prosto na północ ku Waterloo.

Godzina druga po południu. Czarne chmury, pędzone wiatrem, gromadzą się na niebie. Z północnego zachodu nadciąga burza. Nad Quatres-Bras już jest cień, a na szosie, od strony, skąd przybywają Francuzi, wciąż jeszcze świeci słońce.

Uxbridge siedzi na koniu obok lekkiej baterji konnej; wyloty dział zwrócone są przeciw Francuzom. Nagle woddali na wierzchołku wzgórza ukazuje się jeździec z małym oddziałem wojska. Jeździec i jego koń oświetlony jest od tyłu i na tle jasnego nieba kreśli się czarno, jakby z bronzu wykuty.

„Ognia! Ognia! Celować porządnie!“ — krzyczy Uxbridge, poznając cesarza. Działa zagrzmiały.

Napoleon rozkazuje wystąpić konnej baterji gwardji, ale Uxbridge pojedynku nie przyjmuje: przerażony bliskością Francuzów, każe odwrócić armaty i co rychlej ucieka.

W tejże chwili wybucha burza. Śród oślepiających błyskawic i przy odgłosie grzmotów „angielscy husarzy i kanonierzy, smagani wichrem i deszczem, uciekają szalonym galopem jak opętani“ — opowiada pewien świadek naoczny.

„Prędzej! Prędzej! Na miłość Boską prędzej!“ — krzyczy lord Uxbridge, pełen takiej zgrozy, jakgdyby gnał się za nim apokaliptyczny jeździec śród błyskawic i grzmotów.[11]

Tak pędzą szosą brukselską ku północy, na Mont St. Jean-Waterloo, dokąd cała armja angielska wycofała się już z rana. Dopiero pod Genappe, za rzeką Dyle, przeprawiwszy się przez nią pierwszy, ustawia Uxbridge baterje na brzegu przeciwnym i zaczyna się odstrzeliwać. Francuzi spędzają go i gnają dalej, lecz pościg staje się już wolniejszy: ulewa przemieniła szosę w potok, a pole w topiel, w której konie grzęzły po kolana.

Pod wieczór dotarli do fermy Belle-Alliance na płaskiem zboczu wzgórza, a raczej góry tej samej nazwy. Naprzeciwko jest takie same wzgórze z podobnem zboczem, Mont St. Jean, bardzo mocna pozycja, na której ufortyfikował się Wellington. Cała okolica otrzymała nazwę od niewielkiego osiedla, znajdującego się na tyłach Anglików — Waterloo. Między wzgórzami był głęboki jar. Z wierzchołków wzgórz aż po krańce horyzontu widać było bezkresne łany dojrzewającego zboża, zlekka falujące. Tu i owdzie wąskie smugi lasu i smukłe wieże kościelne nad wioskami: stara, cicha Flandrja. Ale w tej chwili wszystko to było otulone ołowianym zmierzchem wieczorowym, obrzmiałym od deszczu.

Angielska jazda stoczyła się w jar i po śliskiem zboczu wdrapywała się, jak mogła, na Mont St. Jean.

Napoleon zatrzymał się, nie wiedząc, kogo ma przed sobą — całą armję angielską, czy tylko straż tylną. Kazał dać kilka próbnych strzałów i z odpowiedzi angielskich bateryj wywnioskował, że na Mont St. Jean znajdowała się cała armja nieprzyjacielska.

Pora była już zbyt późna, aby można było rozpoczynać bitwę, a przytem główne siły francuskie były jeszcze daleko.

„Chciałbym zatrzymać słońce jak Jozue!“ — zawołał Napoleon.[12]

Odłożył bitwę na jutro, na 18 czerwca, i kazał rozbić obóz pod Belle-Alliance, a sam zajął kwaterę w fermie Caillou, w milutkim domku, dopiero co złupionym i splugawionym przez żołnierzy brunświckich. Rozpalił wielki

ogień w kominie, aby się osuszyć, bo pod ulewnym deszczem przemókł do ostatniej nitki, „jakgdyby wyszedł z wanny".

O dziewiątej wieczorem dowiedział się od wywiadowców, że Blücher idzie nie na Liège, ale na Wavre, czyli, że znowuż zmierza do połączenia się z Wellingtonem, ale wieścią tą się nie zaniepokoił: w trzydzieści sześć godzin po laniu pod Ligny z trzydziestoma tysiącami Francuzów na tyłach, chyba nie odważy się Blücher na flankowy marsz z Wavre ku Mont St. Jean. A gdyby się nawet odważył, czyliż pobita, przygnębiona armja mogłaby stanąć do walki?

W nocy spał cesarz mało: zbudził się o pierwszej w nocy i w towarzystwie jedynie generała Bertranda obszedł straże, znowuż pod ulewnym deszczem. Niepokoił się żywo, że Wellington mógłby się wymknąć. Nasłuchiwał, starał się przez mrok i deszcz wypatrzeć, czy w obozie angielskim nie widać ogni biwakowych, czy nie wszczyna się tam jaki podejrzany ruch. Nie, wszystko było pogrążone w ciszy i mroku; obóz spoczywał w głębokim śnie.

Zaczynało świtać, gdy Napoleon powrócił do fermy Caillou. Tutaj czekał na niego list od Grouchy'ego: Blücher idzie dwiema kolumnami — zdaje się jedną na Liège, drugą na Wavre; gdyby się to potwierdziło, to on, Grouchy, popędzi za nim, aby go odciąć od Wellingtona. Zuch Grouchy! Nie taki, jak letargiczny Ney! Cesarz uspokoił się tak dalece, że nawet nie posłał mu nowych instrukcyj: wszystko było takie jasne, jak dwa razy dwa cztery. Że czasem dwa razy dwa bywa i pięć, jeśli los się uprze, o tem nie pamiętał. O, gdyby był wiedział, jak to w przeddzień, leżąc na słomie i stękając od bólu w starych gnatach, siedemdziesięcioletni młodzieniec, feldmarszałek: „Naprzód" — „Vorwärts", warczał: „Do konia każę się przywiązać, a bitwy nie przepuszczę!" Taki jest Blücher, syn Prus, i taka jego matka; ona cała prze: Naprzód! A w tej chwili dwa razy dwa to dla niej pięć.

Rankiem, wysłani na wywiad oficerowie, belgijscy szpiedzy i dezerterzy, donieśli Napoleonowi, że armja angielska nie poruszyła się przez noc. Będzie bitwa i zwycięstwo, jak dwa razy dwa cztery. Blade słońce z za chmur, zmartwychwstałe słońce Austerlitzu — „oświeci zagładę armji angielskiej".[13]

Tylko jedno złe: walki nie można rozpoczynać w chwili, gdy cesarz zechce i gdy uzna to za odpowiednie. Deszcz przestał padać, ale zrobiło się takie błoto, że niepodobna ruszyć armat, dopóki trochę nie przeschnie; a każda godzina zwłoki to pomoc dla Blüchera.

Napoleon zniecierpliwiony chodzi tam i sam po pokoju; czasem podchodzi ku oknu i spogląda na niebo.

O piątej wydał rozkaz, że bitwa ma się zacząć o dziewiątej, ale i o dziewiątej wojska nie są jeszcze na pozycjach: czyszczą broń, gotują polewkę.

„Armja angielska przeszło o ćwierć liczniejsza od naszej, a jednak mamy



NAPOLEON
(według obrazu R. Delaroche'a).

90 szans przeciw 10, że wygramy" — rzekł Napoleon, śniadając w fermie z generałami.

Do pokoju wszedł Ney, ale już nie letargiczny, bo zbudził się jeszcze dnia poprzedniego pod Quatres-Bras, zrozumiał, jakiego piwa nawarzył, i minę miał taką żałosną, że cesarz nie zdobył się na to, aby go sfukać, jak się należy.

„Wszystkie szanse byłyby za nami, gdyby Wellington był takim głupcem, żeby na nas czekać — rzekł Ney, wchodząc i słysząc słowa cesarza. — W tej chwili on ustępuje i jeśli Wasza Cesarska Mość się nie pośpieszy zaatakować go, to się wymknie..."

„Kiepsko pan patrzył — odparł Napoleon. — Na odwrót za późno, a choćby nawet ruszył, to i tak zginął. Kości rzucone — wszystko na naszą korzyść!"

Marszałek Soult wieczorem dnia poprzedniego doradzał cesarzowi odwołać połowę wojska Grouchy'ego, bo ludzie tu są potrzebniejsi w wielkiej walce z armją angielską, taką dzielną i groźną. Tę samą radę powtarza i dzisiaj.

„Wellington pobił pana i dlatego wydaje się panu takim wielkim wodzem" — odpowiedział cesarz gniewnie. „A ja panu powiem, że Wellington jest kiepskim generałem, a Anglicy są lichymi żołnierzami. Całą tę sprawę załatwimy jak śniadanie!"

Wszedł generał Reille. Napoleon zapytał go, co on sądzi o Anglikach.

„To dzielni żołnierze, Najjaśniejszy Panie! Ich stanowczość i pewność siebie jest tak wielka, że prostym atakiem podejść do nich nie można, chyba wybiegiem".[14]

Reille znał Anglików z czasów kampanji hiszpańskiej; Napoleon natomiast nie znał ich prawie wcale. Powinien był usłuchać Reille'a, ale go nie usłuchał: ta sama siła, która wczoraj zawiązała mu oczy wobec Grouchy'ego, zamknęła mu dzisiaj uszy wobec Reille'a.

Niebo pojaśniało, wybłysło słońce, czerstwy wiaterek osuszył drogi. Dowódcy artylerji donosili, że niebawem będzie można ruszyć działa.

Napoleon dosiadł konia i objeżdżał wojska. „Jeszcze nigdy żołnierze nie wołali z takim zapałem: „Niech żyje cesarz!" „Zapał ich graniczył z szaleństwem" — opowiada świadek naoczny. „Bliskość angielskich wojsk, których ciemno-czerwoną linję widzieliśmy w odległości mniej więcej tysiąca kroków, nadawała tym okrzykom coś uroczystego i niesamowitego".[15]

Francuzi zdawali sobie sprawę tak jasno, jak nigdy dotąd, że tutaj i natychmiast rozstrzygną się losy nietylko Francji, ale i Człowieka — całej ludzkości

Około jedenastej wojska wciąż jeszcze nie były uszykowane. Napoleon rozkazał atakować o pierwszej. Wbrew radzie Reille'a postanowił nie manewrować, ale odrazu uderzyć na angielskie centrum, aby je przerwać, od-

rzucić za Mont St. Jean, a następnie działać zależnie od okoliczności, mając już zwycięstwo w ręku. Tak samo, jak lat temu trzydzieści, w południe szczęścia „postawił wszystko na jedną kartę".[16]

O kwadrans na dwunastą nakazał drobny atak wstępny na zamek Hougomont, położony na dnie jaru w lesie i tworzący najprzedniejszą pozycję angielską.

Zagrzmiał pierwszy strzał armatni. Angielscy oficerowie spojrzeli na zegarki: było pół do dwunastej.

Hougomont to dopiero początek bitwy, ale tak krwawy, że podług niego można wywnioskować, jak się ta bitwa dalej rozwijać będzie. Tymczasem Napoleon przygotowuje główny atak: na przedzie i na prawem skrzydle Belle-Alliance ustawia on baterję z osiemnastu dział, która ma rozbić centrum angielskie. Około pierwszej Ney melduje cesarzowi, że wszystko jest gotowe i że czeka tylko na rozkaz rozpoczęcia bitwy. Napoleon po raz ostatni obrzuca okiem pole bitwy, zanim jeszcze dym bateryj podniesie się jak zasłona między wzgórzami. W odległości jakich dziesięciu kilometrów na północo-zachód w połowie drogi od Wavre widzi on jakgdyby ciemny obłok, wychodzący z lasu St. Lambert. Odrazu zdaje sobie sprawę, co to znaczy, ale pomimo to pyta o zdanie oficerów sztabowych. Poglądy są podzielone: jedni mówią, że to las albo cień chmury; inni uważają, że to kolumna wojska w marszu, francuskie albo pruskie mundury. Soult widzi zgoła wyraźnie, że to duży oddział.

Ciemne przeczuwające wspomnienie ściska serce cesarza: gdzie i kiedy to było — czy też kiedy to będzie? Byłżeby to Blücher? Nie, to jeszcze nie Blücher. Wzięty do niewoli oficer pruski powiada, że to jest przednia straż pruskiego generała Bülowa, zbliżająca się do St. Lambert. Napoleon spodziewa się, pragnie się spodziewać, że korpus ten nie jest armją. Jeniec przemilcza, że za nim idzie cała armja Bülowa.

„Bülow zamierza zaatakować nasze prawe skrzydło" — pisze Napoleon do Grouchy'ego. — „Niech pan nie traci ani minuty i łączy się z nami, aby Bülowa zaskoczyć i pobić".[17]

„Z rana mieliśmy dziewięćdziesiąt szans, teraz mamy ich sześćdziesiąt przeciw czterdziestu. Jeśli Grouchy naprawi swój straszliwy błąd i, nie bawiąc się, szybko przybędzie, to zwycięstwo będzie tem bardziej decydujące, bo korpus Bülowa zniszczymy zupełnie" — mówi cesarz do Soulta.[18]

Ten zaś milczy zadąsany, chociaż mógłby cesarzowi przypomnieć swoją mądrą radę sprowadzenia połowy sił Grouchy'ego.

Około drugiej wydaje cesarz rozkaz Neyowi, aby atakował: pół dnia stracono, a każda godzina, każda minuta wychodzi na dobre Blücherowi.

Cztery dywizje piechoty opuszczają się w głąb jaru; większa ich część

pozostaje pod ciągle jeszcze nie zdobytym Hougomont i pod La Haye Sainte, drugą przednią pozycją angielską. Część mniejsza wdrapuje się na śliskie zbocza wzgórza Mont St. Jean i już wdziera się na wierzchołek; jeszcze tylko kilka kroków, zajmie stanowiska i da czas konnicy, aby ta zrobiła swoje, a zwycięstwo zdobyte.[19] Ale przeciwatak angielskiej kawalerji odrzuca ich na dno jaru.

Godzina trzecia. Walka przycicha, jakgdyby odpoczywała dla zebrania sił. Wellington ma tylko jeden cel: utrzymać się do nadejścia Blüchera. Ale ten nie nadchodzi, a w angielskiej kwaterze głównej budzą się obawy, że drugiego natarcia wojsko nie wytrzyma.

To drugie natarcie nakazuje Napoleon o pół do czwartej i przygotowuje je ogniem artyleryjskim takiej siły, jakiego najstarsi żołnierze przez całe życie jeszcze nie słyszeli".[20] Ale i drugi atak nie udaje się: fala się dźwiga, uderza o skałę i rozbija się. Reille miał rację: „Do Anglików nie można podejść prostym atakiem, chyba wybiegiem". Ale na to już za późno.

Ney od samego początku marzył o wielkim ataku kawaleryjskim pod jego osobistem dowództwem, aby naprawić Quatres-Bras. Nie czekając na rozkaz cesarza, szykuje na dnie jaru z wielkim pośpiechem oddział jazdy w pięć tysięcy kirasjerów, ułanów i strzelców gwardji i prowadzi ich na Mont St. Jean. I ta fala rozbija się i opada zpowrotem w wąwóz, ale dźwiga się na nowo i przenika tak głęboko, jak dotąd żadna: już francuscy kirasjerzy galopują na wierzchołku wzgórza, opanowują armaty, przerywają nieprzyjacielskie linje.

„Obawiam się, że wszystko skończone" — mówi angielski pułkownik artylerji Gould do kapitana kawalerji Mercera.[21]

„Zwycięstwo! Zwycięstwo!" — wołają generałowie, otaczający cesarza, lecz on jest zdumiony i gniewny, bo najlepszej jazdy użyto do ataku bez jego rozkazu.

„Ney pokwapił się za bardzo, to się może źle skończyć" — powiada, rozglądając się po polu bitwy, i po chwilowem milczeniu dodaje: „Tak jest, akurat o godzinę za wcześnie, ale nic już na to nie poradzimy, trzeba go poprzeć". I nakazuje ciężkiej jeździe Kellermanna, aby mu pośpieszyła z pomocą.

Czy jest za późno, czy za wcześnie, tego sam on może nie wie, bo położenie z każdą minutą staje się groźniejsze: dwie bitwy toczyły się jednocześnie: jedna na froncie z Anglikami, druga na skrzydłach z Prusakami. Bülow już nadszedł, odebrał Francuzom na prawem skrzydle miasteczko Plancenoit, zagraża im okrążeniem i odcięciem odwrotu. Młoda gwardja z trudem wytrzymuje natarcie.

Na Mont St. Jean nie zmieniło się nic: uderza fala za falą i rozbija się.

Francuzi powiadają, że to się nigdy skończyć nie może, Anglicy natomiast wiedzą, że koniec jest blisko. „Centrum naszej linji było odsłonięte" — opowiada pewien świadek naoczny. — „W żadnej chwili w ciągu tej bitwy wynik walki nie wydawał się bardziej wątpliwy".

Wellington traci swoją niezachwianą równowagę. „Musi nadejść noc, albo Prusacy!" — mruczy, stojąc pod starym wiązem na skrzyżowaniu dróg do Ohain i do Brukseli, gdzie stał prawie przez cały czas bitwy. Dowódcy wszystkich oddziałów podbiegają do niego i, meldując mu o swojem rozpaczliwem położeniu, pytają, co robić.

„Stać!" — odpowiada Wellington.

Podbiegają inni z tem samem zapytaniem.

„Stać, stać do ostatka!"[22]

Ney widzi, czy też czuje, że linja angielska drgnęła; być może, iż starczyłoby garstki świeżych sił, aby jej zadać cios ostatni. Posyła adjutanta do cesarza i prosi o trochę piechoty. „Piechoty!" — odpowiada cesarz. — „Skąd ją będę brał? Czy mam ją dla was urodzić?"[23]

Tak samo odpowiedział na reducie Szewardyńskiej, gdy odtrącił zwycięstwo, jak znudzony kochanek odtrąca kochankę. Pod Marengo i Arcole było inaczej. Martwy punkt poczerniał nagle na ciele zmartwychwstałego.

Ma jeszcze osiem bataljonów starej gwardji i sześć bataljonów średniej. Gdyby w tej chwili był przysłał Neyowi połowę tych sił, to „te posiłki byłyby przerwały nasze centrum" — przyznaje najlepszy angielski historyk Waterloo.[24] Ale Napoleonowi zdaje się, że jeśli pozostanie bez kawaleryjskiej rezerwy, to bodaj że nie zdoła obronić własnej pozycji. Ta chwila jest dla niego nie mniej groźna, niż dla Wellingtona. Młoda gwardja cofnęła się już pod naciskiem Bülowa; pruskie pociski szarpią ziemię pod Belle-Alliance; francuskie skrzydło jest okrążone, tył zagrożony.

Cesarz każe uszykować jedenaście bataljonów gwardji w tyleż carré, ustawia je wzdłuż drogi brukselskiej naprzeciwko Plancenoit i posyła dwa bataljony dla odebrania Prusakom tej miejscowości. Atakują i w ciągu dwudziestu minut odbierają.

Kwadrans na ósmą. Ale słońce zachodzi jasno; przez dwie godziny jeszcze będzie widno: w ciągu tych dwóch godzin wszystko się rozstrzygnie.

Nagle z oddali, od strony, z której przyszedł Bülow, słychać grzmienie armat; potężnieje, zbliża się, odzywa się już pod Limal, niecałe dwanaście kilometrów stąd. Nareszcie przybywa Grouchy! Zuch! Nie bawił się i przybył na czas. Blüchera jednak dogonił i teraz się z nim bije; czy zwycięży, czy nie, to wszystko jedno, bo go zatrzyma, przeszkodzi jego połączeniu się z Anglikami. Ręka, która Napoleona tyle razy ratowała nad brzegiem przepaści, uratuje go i teraz.

Już i Francuzi widzą teraz, że linja angielska się chwieje. Wellington rzucił do boju swoje ostatnie rezerwy, a przynajmniej tak się to cesarzowi przedstawia, zaś on ma tymczasem całą swoją gwardję, niezwyciężoną! Wysuwa dziewięć swoich bataljonów, które przedtem ustawił był na drodze brukselskiej uszykowane w carré, sam staje na czele pierwszego bataljonu i prowadzi swoich żołnierzy do ostatniego natarcia, na dno jaru, ku La Haye Sainte, w piekielny ogień.

Przed pół godziną, gdy Ney prosił o posiłki, atak ten byłby mógł być decydującym. Teraz za późno. Wellington miał dość czasu, aby stanowisko swoje naprawić i odzyskać odwagę; już on coś wie w tej chwili: na drodze ku Ohain widzi coś, czego Francuzi przez przegrodę pagórków widzieć nie mogą.

Ale cesarz na dnie jaru widzi to także: to korpus Blüchera. A więc Grouchy jednak pokpił sprawę, nie przybył na czas i już niczego nie uratuje. Ta sama ręka, która Napoleona dopiero co podnosiła nad przepaścią, strąca go w nią. Ale twarz jego jest tak samo spokojna, jak pod Arcole i Marengo: gdyby ludzie nań spojrzeli, to dostrzegliby zwycięstwo na tej twarzy.

Na całą linję bojową wysyła adjutantów z radosną wieścią: „Grouchy nadciągnął, przybył na czas, przynosi ratunek!“ A ludzie widzą prawdę, ale wierzą kłamstwu. „Niech żyje cesarz!“ — krzyczą tak wściekle, że krzyk ich przegłusza grzmot armat. Ranni i konający zrywają się i przyłączają swoje głosy do okrzyków na cześć cesarza. Stary żołnierz z pod Marengo siedzi nad rowem przydrożnym z potrzaskanemi nogami i głosem donośnym mówi do idących w bój:

„To nic, bracia, naprzód! Niech żyje cesarz!“[25]

Między Hougomont a La Haye Sainte stoi pięć bataljonów, wystawionych na piekielny ogień całej armji angielskiej, noga przy nodze, bagnet przy bagnecie, spokojni, majestatyczni, jak podczas parad w Tuilerjach. Wszyscy generałowie, między nimi Ney i Friant, stoją w ogniu jako pierwsi. Ney spada z piątego zabitego pod nim konia i idzie pieszo z obnażoną szpadą.

Baterje angielskie biją z odległości trzechset kroków, podwójnym ogniem kartaczowym: od frontu i ze skrzydła. Każda salwa robi wyrwy w bataljonach. Ludzie zamykają szeregi, zacieśniają carré i idą dalej, krzycząc: „Niech żyje cesarz!“ Anglicy stoją mocno, wypełniając rozkaz Wellingtona: „Stać do ostatka!“[26]

„Kto najdłużej wytrzyma, ten wygra!“ — powiada stary angielski żołnierz, odgryzając patron.

Dwa francuskie bataljony weszły już na zbocze Mont St. Jean, nie spotykając nieprzyjaciela. Nagle o jakie dwadzieścia kroków przed nimi wynurza się ciemno-czerwony mur — gwardja angielska. Żołnierze ci byli ukryci

w wysokiem zbożu i jak na sprężynach zerwali się na komendę: „Gwardja naprzód! Bij! Up, guard, and at them!“ Celują — biją! Pierwsza salwa kosi trzystu ludzi — niemal połowę dwóch bataljonów, już dawniej przerzedzonych ogniem kartaczowym. Przystanęli i zmieszali się z powodu wielkiego mnóstwa zabitych i rannych. Zamiast ruszyć na bagnety, oficerowie sprawiają szyki i przez dziesięć minut ludzie stoją pod ogniem podwójnym: karabinowym i kartaczowym. Wreszcie cofają się.

Wellington, widząc, że gwardja drgnęła, nakazuje atak ogólny. Anglicy z wysuniętemi bagnetami i opuszczonemi głowami biegną na tę garść Francuzów, obalają ich i w walce ręcznej staczają się razem z nimi na dno jaru. „Ludzie pomieszali się z sobą tak dalece, iż niepodobna było strzelać do nich“ — opowiada świadek naoczny.[27]

„Gwardja w odwrocie!“ — rozlega się okrzyk wzdłuż całej francuskiej linji i brzmi jak podzwonne Wielkiej Armji.

W tej samej chwili korpus Blüchera wynurza się na drodze ku Ohain i rzuca się na Francuzów. „Zdrada! Uciekaj, kto żyw!“ — krzyczą napadnięci i uciekają. Bo jakże nie zdrada? Dopiero co sam cesarz powiedział, że idzie Grouchy, a tymczasem Blücher!

Wellington pragnie dobić tę śmiertelnie zranioną armję: wyjeżdża konno na front, na sam skraj góry, zdejmuje kapelusz, macha nim w powietrzu. Wojska zrozumiały ten znak. Wszystkie bataljony, baterje, szwadrony wszystkich dywizyj rzucają się odrazu naprzód, depczą rannych i zabitych, miażdżą ich kopytami końskiemi, kołami armat. Od prawego skrzydła ku lewemu Anglicy, Hanowerczycy, Belgijczycy, Brunświczanie, Holendrzy, Prusacy, przy odgłosie bębnów, rogów i trąb, w gęstnącym mroku potokami walą się na dno jaru.

Francuzi uciekają na Belle-Alliance. Angielscy huzarzy i dragoni ścigają ich i sieką szablami. „Bez litości! Bez litości! No quarter! No quarter!“ — wrzeszczą jak opętani.

Cesarz widzi wszystko, ale jakby nie widział. Twarz jego jest senna, nieruchoma, jak w letargicznym śnie. Spał, ocknął się i znowuż zasnął; był umarły, ożył i umarł ponownie.

Dusza śpi, ale ciało czuwa, porusza się. Szykuje trzy ostatnie bataljony w trzy carré na dnie jaru w jakich dwustu krokach od La Haye Sainte: pierwsze wysyła na drogę brukselską, aby pod ochroną tej tamy armja mogła się opamiętać i wycofać w porządku. Sam siedzi na koniu pośrodku carré. W jego martwej duszy jest już jedna tylko myśl: „Umrzeć! Umrzeć tutaj natychmiast, na polu bitwy!“[28] Obok niego, przed nim, za nim, wszędzie padają ludzie, a jemu nic. Ktoś go chroni. Naco?

Tuż wpobliżu na drodze ukazuje się Ney, bez kapelusza, zmieniony

do niepoznania, czarny od prochu; uniform na nim jest w strzępach, jeden z naramienników rozcięty szablą; trzymając w ręku złomek szpady, krzyczy wściekle na hrabiego d'Erlona, porwanego nurtem powszechnej ucieczki:

„Erlon, jeśli pozostaniemy przy życiu, to nas obu powieszą!"

Powstrzymuje uciekających i prowadzi ich na nowo do walki.

„Chodźcie tu, ludzie, i patrzcie, jak umiera marszałek Francji!"

Wszyscy dokoła niego pozabijani, lecz on wciąż jeszcze trzyma się pobojowiska, na którem szuka śmierci.[29]

Trzy bataljony gwardji stoją jeszcze w carré, ztyłu, zprzodu, z obu stron zasypywane gradem kartaczów. Wreszcie cesarz nakazuje odwrót. Bataljony wycofują się powoli, krok za krokiem. To już nie carré, jest ich na nie za mało: idą trójkątem ze skrzyżowanemi bagnetami i przebijają się przez mur nieprzyjaciół, otaczających ich ze wszystkich stron, jak sfora psów osaczonego odyńca.

Nieprzyjaciel jest tak blisko, że pomimo grzmotu armat słychać głos biegnący od frontu do frontu.

„Poddaj się! Poddaj się!" — krzyczą Anglicy.

Generał Cambronne, doprowadzony do wściekłości tem nawoływaniem, odpowiada nieprzyzwoitem wyzwiskiem:

„Merde!"

I, trafiony kulą w czoło, pada zabity.[30]

Słowo Cambronne'a zawiera w sobie sens Waterloo. Napoleona pokonali Wellington i Blücher. Co to znaczy?

„Wellington prócz wojny nie ma w głowie ani dwóch myśli".[31] W głowie Blüchera jest niewiele lepiej. Wellington wie, że trzeba stać, ale dlaczego stać— dla Anglji, czy dla angielskiej plutokracji, — tego nie wie. Blücher wie, że trzeba iść naprzód, ale dokąd i dla czego? Dla Prus, czy dla pruskich pałek — tego nie wie on również.

W Napoleonie-Człowieku żyje największa myśl człowieczeństwa: pokój światowy, bratni związek wszystkich narodów, królestwo Boże. Choćby nawet nie wiedział, w jaki sposób ma tę myśl urzeczywistnić, choćby do raju dążył przez piekło i w piekle utknął, — to jednak myśl jego pozostanie największa, a zwycięstwo, odniesione przez Wellingtona i Blüchera, będzie zwycięstwem głupoty nad ludzkim rozumem. Waterloo zadecydowało o losach świata, a gdyby ta decyzja miała być ostateczna, to świat okazałby się godny nie Napoleona — Człowieka, lecz godny łajna — merde!

W nocy czekał cesarz na cofające się wojska wpobliżu Quatres-Bras, na leśnej polanie przy ognisku biwakowem, rozpalonem przez kilku grenadjerów starej gwardji. Stał z rękoma założonemi na piersi, nieruchomy jak posąg, z oczyma zwróconemi ku Waterloo. Uciekający oficer podszedł do niego

i rzekł: „Najjaśniejszy Panie, oddal się stąd natychmiast, bo nie masz tu żadnej osłony!“

Cesarz nie odpowiedział, jakgdyby nie słyszał. Oficer spojrzał mu w twarz i spostrzegł, że cesarz płacze.[32]

Umarli nie płaczą, więc cesarz żył! Ożył na nowo — po raz drugi! Zbyt wielki ból nawet żywym nie wyciska z oczu łez: a więc ból ten był niewielki.

Nazajutrz rano pisze z Philippeville do brata Józefa w Paryżu: „Bitwa przegrana, ale jeszcze nie wszystko stracone: jeśli skupię wszystkie swoje siły, to mogę wystawić trzysta tysięcy wojska z rezerw i gwardji narodowej... Należy mi wszakże pomagać, a nie przeszkadzać... Mam nadzieję, że deputowani zrozumieją swoją powinność i połączą się ze mną dla uratowania Francji“.[33] To właśnie znaczy: Waterloo to nie taka znowu wielka bieda. „Piorun nie zdruzgotał jego duszy, ale tylko ześliznął się po niej“.

Wieczorem 20 czerwca, w drodze z Philippeville do Paryża, Napoleon wysiadł z powozu na dziedzińcu pocztowego zajazdu w Laon. Przez otwartą bramę widać było z ulicy, jak chodzi po dziedzińcu z głową spuszczoną i z rękoma skrzyżowanemi na piersiach. Na podwórzu zajazdu leżały kupy stajennego nawozu. Ktoś ze spoglądających na cesarza z ulicy rzekł szeptem: „Hiob na kupie gnoju!“[34]

„Nagim wyszedł z żywota matki mojej i nagim się zaś tam wrócę. Pan dał, Pan też wziął, niech będzie imię Pańskie błogosławione!“[35] Tego Napoleon nie powie, bo nie wie, komuby to miał powiedzieć. Ale w duszy jego panuje dziwna cisza i jasność. „Może mi pan nie uwierzy, ale nie żałuję mej wielkości; niebardzo jestem czuły na to, co utraciłem“ — powie on na Św. Helenie.[36] To samo mógłby powiedzieć i teraz, on, Hiob na kupie gnoju.

Zrozumiał, wspomniał, że życie to tylko sen, powtarzający się po wieki; kołobieg życia — kołobieg słońca: brzask przedranny, wschód, południe, wieczór, zachód, noc.

NOC.

Abdykacja druga. 1815.

„Cóż pomoże człowiekowi, choćby wszystek świat pozyskał, a na duszy swojej szkodował? Albo co za zamianę da człowiek za duszę swoją?“ Słowa te mogłyby służyć jako nadpis dla Nocy Napoleona.

W swoich latach ostatnich, podobnie jak w ciągu całego swego życia, o duszy nie myślał; możnaby nawet powiedzieć, że o niej nie pamiętał, nie wiedział, czy wogóle duszę ma. Ale ona sama pamiętała o sobie i dbała o zbawienie swoje wbrew niemu.

Że dusza człowieka — „serce“ jego — niekiedy powstaje przeciwko człowiekowi, walczy z nim, o tem wiedziały mądre dzieci, starożytni Egipcjanie. „Serce moje, serce matki mojej, nie powstawaj na mnie, nie świadcz przeciwko mnie“ — mówi zmarły, gdy na straszliwym sądzie Ozyrysa serce jego ważą na nieomylnej wadze. To znaczy, że serce człowieka albo dusza jego jest istotą samodzielną, niezależną, niby jakiś żyjący w człowieku bóg, i biada człowiekowi, gdy serce jego powstaje na niego.

Niedolę tę poznał Napoleon na sobie.

„O cóż będziemy grali? Uprzedzam pana, że duszy swojej na kartę nie postawię“ — powiada u Lermontowa gracz Ługin do zjawy starego lichwiarza.

„A ja mam w banku taką oto rzecz“ — odpowiada zjawa.

„Obok niego chwiało się coś białego, niewyraźnego i przezroczystego... Było to cudne boskie zwidzenie: pochylona nad jego ramieniem, promieniała główka kobieca; jej usta zdawały się błagać, w oczach jej był niewypowiedziany smutek, od ciemnych ścian pokoju odcinała się ona, jak zaranna gwiazda na omglonem niebie“.[1]

„Gwiazda“ — trafne słowo znalazł Lermontow, tak bliski duchem Napoleonowi. Oddzielona od człowieka, dusza jego niby jakiś bóg żyje w nim i nad nim, jest jego losem nadziemskim i to właśnie jest „Gwiazdą“ — losem Napoleona.

„Chcę, by mnie kochało pięćset miljonów ludzi“ — majaczył u szczytu swej potęgi i wielkości.[2]

„Ty głupi człowiecze!“ — byłaby mogła jemu, najmądrzejszemu człowiekowi, odpowiedzieć jego jeszcze mądrzejsza dusza. „Cóżby ci pomogło,

choćbyś cały świat pozyskał, a na duszy swojej szkodował? Choćby cię cała ludzkość kochała, a ty sam — nikogo?"

„Nie myślcie — mawiał Napoleon, — że serce mam mniej tkliwe niż inni ludzie; jestem nawet dobry, ale od samego dzieciństwa tłumiłem w sobie tę stronę duszy, i teraz skarlała ona we mnie".[3]

Skarlała, ale niezupełnie: zbudziła się, powstała i zaczęła gubić jego, aby uratować siebie.

„Składam siebie w ofierze — je m'offre en sacrifice" — słowa te, z jego wtórej abdykacji, takie obce, takie nieprawdopodobne w jego ustach, to także nadpis dla jego Nocy, jakby mówił nie on sam, ale jego los nadziemski, jego Dusza, Gwiazda. Za tę duszę stawia on na kartę wszystko, co posiada, gdy gra ze starym lichwiarzem — Losem.

W trzy dni po Waterloo, 21 czerwca o godzinie ósmej rano cesarz powrócił do Paryża, do pałacu Elizejskiego. Zdawał się być znużony; twarz jego była żółta jak wosk, policzki zapadły, oczy przygasły.

„Już nie mam sił... Potrzebuję dwóch godzin spokoju... Duszno!" — rzekł, chwytając się za pierś przy wysiadaniu z powozu do Coulaincourta, ministra spraw zagranicznych, który wyszedł mu na spotkanie. „O, losie, losie! Zwycięstwo trzy razy wymknęło mi się z rąk... Ale i teraz nie wszystko jeszcze stracone... Znajdę ludzi, znajdę broń... Wszystko jeszcze może się zmienić na dobre".[4]

Wziął gorącą kąpiel i natychmiast udał się na posiedzenie Rady Ministrów.

„Położenie nasze jest ciężkie — rzekł po krótkiem przedstawieniu sytuacji wojskowej. — Przybyłem, aby natchnąć naród wielką i dobrowolną ofiarnością... Jak tylko Francja powstanie, nieprzyjaciel będzie zniszczony... Potrzebuję wielkiej władzy, tymczasowej dyktatury, aby uratować ojczyznę. Przez wzgląd na dobro powszechne mógłbym ją sam zagarnąć, byłoby wszakże pożyteczniejsze, bardziej popularne, gdybym ją otrzymał z rąk Izby".[5]

Ministrowie trwali w ponurem milczeniu. Gdy Napoleon zapytał ich pokolei, odpowiadali wymijająco.

„Mówcie, panowie, zupełnie otwarcie. Czy deputowani życzą sobie mej abdykacji?" — zapytał cesarz.

„Obawiam się tego, Najjaśniejszy Panie" — odpowiedział członek Izby, Regnault, kreatura Fouchégo, ministra policji.

„Jeśli Izba nie dopomoże cesarzowi, to da on sobie radę i bez niej!" — zawołał brat Napoleona, Lucjan.

„Mam nadzieję, że obecność nieprzyjaciela na ziemi francuskiej wzbudzi w deputowanych świadomość obowiązku" — rzekł cesarz. — „Naród nie nato mnie wybrał, aby mnie obalić, ale aby mnie wspierać... Nie obawiam się ich... Dośćby mi było rzec jedno słowo, aby wszyscy oni zostali wyrżnięci.

Nie obawiam się o swoją osobę, lecz o Francję. Jeśli będziemy się kłócić, to wszystko przepadnie. Tymczasem patrjotyzm ludu, jego nienawiść dla obcych najeźdźców, jego miłość dla mnie, mogłaby w nas zbudzić siły olbrzymie..."

I natychmiast zaczął rozwijać plan nowej kampanji z takim zapałem, że ministrowie, zasłuchawszy się, zapomnieli o Waterloo: znowuż zmartwychwstał przed nimi „bóg wojny, bóg zwycięstwa".

„To szatan, nie człowiek — mówił w kilka godzin później Fouché do swoich nowych przyjaciół — rojalistów. — Nastraszył mnie dzisiaj: kiedym go słuchał, to mi się zdawało, że wszystko zacznie odnowa. Na szczęście odnowa się nie zaczyna!"[6]

W pałacu Elizejskim rozmawiano, a w Izbie działano. Uchwalono wniosek: „Izba ogłasza posiedzenie w permanencji, wszelką próbę rozwiązania jej uznaje za zbrodnię stanu, a każdego, ktoby się o to pokusił, za zdrajcę ojczyzny".

Napoleon zrozumiał, co to znaczy.

„Powinienem był rozpędzić ich jeszcze przed wyjazdem na front, a teraz wszystko skończone: oni zgubią Francję!" — wyraził się tegoż samego dnia po drugiem posiedzeniu Rady Ministrów, i dodał półgłosem, jakby mówił do siebie:

„Jeśli trzeba, to się zrzeknę..."

Wieczorem wyszedł z bratem Lucjanem do parku pałacowego, oddzielonego od ulicy przykopem i niziutkim, rozpadającym się murem.

„Niech żyje cesarz! Broni! Broni!" — krzyczał na ulicy tłum, nie zamilkając ani na chwilę.

„Słyszysz? — zapytał Lucjan. — Co za lud! Dość jednego słowa, a wrogowie twoi padną. Tak jest po całej Francji. A ty chciałbyś oddać ją na pastwę zdrajcom?"

Napoleon pozdrowił tłum ruchem ręki i odpowiedział Lucjanowi:

„Czyliż jestem czemś więcej, niż prostym człowiekiem, aby ogłupiałą Izbę zawrócić ku jedności, która jedynie uratowaćby nas mogła, czy też jestem wzgardzonym przywódcą partyjnym, aby rozpalać wojnę domową? Nie, nigdy! Osiemnastego brumaire'a obnażyliśmy miecz dla szczęścia Francji; dla tegoż samego szczęścia winniśmy w tej chwili odrzucić go daleko od siebie. Dla Francji gotów jestem uczynić wszystko — dla siebie nie żądam niczego".[7]

Po odejściu Lucjana podszedł do Napoleona Benjamin Constant, ojciec „Benjaminy", owej poronionej konstytucji, która teraz miała powalić cesarza. Okrzyki tłumu przerażały Constanta: cóżby to było, gdyby Napoleon dla ratowania się rozpętał drugą, jeszcze gorszą rewolucję?

Cesarz długo bez słowa spoglądał na lud.

„Czy widzi pan tych ludzi?“ — zapytał wreszcie. — „Nie ich obsypywałem złotem i zaszczytami; nędzarzami ich zastałem i nędzarzami ich zostawiam, ale w nich odzywa się rzetelny instynkt i wierny głos narodu. Gdybym zechciał, to po upływie godziny buntownicza Izba przestałaby istnieć... Ale życie ludzkie nie warte takiej ceny. Nie chcę być królem Żakerji. Powróciłem z Elby nie nato, aby Paryż zalać krwią...“[8]

Co to znaczy? To znaczy, że pierwsza Rewolucja — polityczna, już skończona i że zaczyna się, albo mogłaby się zacząć druga — społeczna. Mieszczaństwo zrobiło rewolucję pierwszą, drugą zrobi czerń, motłoch, jak się wtedy mówiło — „proletarjat“, jak powiedzielibyśmy dzisiaj. „Sama czerń jest niczem i nic nie zrobi, ale ze mną może zrobić wszystko“ — mawiał Napoleon.[9]

Przykop pałacu Elizejskiego, za którym krzyczał tłum, był granicą tych dwóch rewolucyj, dwóch wieków-eonów. Czy przekroczy on tę granicę, czy też wyrazi się o rewolucji, jak się wyraził o wojnie: „Jeszcze nigdy nie wydała mi się ona taką ohydną?“

Może przypomniał sobie w tej chwili, jak to ćwierć wieku temu dnia 10 sierpnia 1792 roku, idąc na Place du Carrousel, „spotkał gromadkę ludzi wstrętnych z wejrzenia“, niosących na ostrzu piki ludzką głowę i wymuszających na nim, aby wołał: „Niech żyje lud!“ Być może, iż zrozumiał, że motłoch obecny straszliwszy jest od tamtego; młoda Wilczyca-Rewolucja groźniejsza jest od starej, zagryzionej przez niego, jej Wilczę. Jeśli zwróci się do tej, to któż zdoła powiedzieć, kto kogo zagryzie?

Nazajutrz, 22-go, Lucjan na posiedzeniu Rady Ministrów namawiał brata, aby powtórzył 18 brumaire'a, rozpędzając Izbę bagnetami.

„Nie, mój drogi Lucjanie — odpowiedział cesarz — chociaż 18 brumaire'a prawem naszem było tylko ratowanie narodu, a teraz mamy wszystkie prawa, to jednak korzystać z nich nie powinniśmy...“

A pomilczawszy chwilę, mówił dalej:

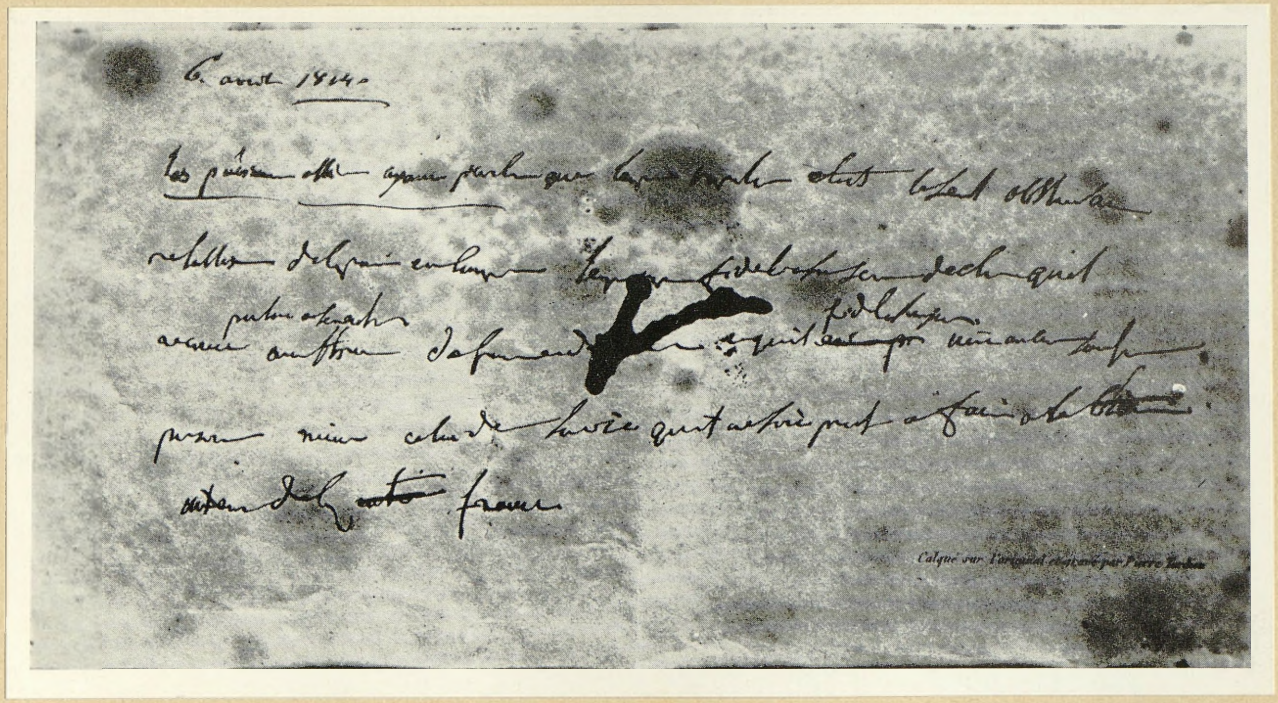
„Książę Lucjanie, pisz...“

Nagle odwrócił się do Fouchégo z takim drwiącym uśmiechem, że ten cały skręcił się pod nim, jak gad przebity strzałą.

„Niechże i pan skreśli przy tej sposobności kilka słów dla tych dobrych ludzi, aby się uspokoili. Dostaną oni, czego pragną!“

Lucjan siadł przy stole i ujął pióro, ale wnetże przy pierwszych słowach, podyktowanych mu przez brata, złamał pióro na papierze, zerwał się, odtrącił krzesło i ruszył ku drzwiom.

„Stój!“ — zawołał cesarz tonem tak rozkazującym, że wezwany mimowoli usłuchał, zawrócił i siadł na nowo za stołem. Nastała głęboka cisza;



FACSIMILE AKTU ABDYKACJI NAPOLEONA.

słychać było tylko dalekie krzyki, dolatujące z za pałacowego parku: „Niech żyje cesarz!“

„Rozpoczynając wojnę o niepodległość Francji — dyktował Napoleon — liczyłem na to, że wszystkie władze narodu połączą się ze mną w jednym wysiłku, we wspólnej woli, i miałem prawo liczyć na powodzenie. Ale, jak widzę, okoliczności uległy zmianie, więc składam się w ofierze nieprzyjaciołom ojczyzny. Obyż tylko byli oni szczerzy w swoich zapewnieniach i obyż życzyli źle tylko mnie! Zjednoczcie się wszyscy, aby uratować Francję i pozostać wolnym narodem!“

O synu zapomniał. Przypomnieli mu o nim, więc dodał: „Syna swego ogłaszam cesarzem Francuzów pod imieniem Napoleona II. Wzywam Izbę, aby według prawa ustanowiła regencję“.[10]

Cały Paryż bulgotał, jak kocieł nad ogniem. Tłumy robotników chodziły po ulicach z pieśniami rewolucyjnemi. Wieść o abdykacji dolała oliwy do ognia. Coraz groźniej rozbrzmiewały okrzyki: „Do broni! Do broni!“

W tłumie znajdowali się także oficerowie Wielkiej Armji.

„Bataljonami pójdziemy na Izbę — odgrażali się — zażądamy naszego cesarza, a jeśli nam go nie dadzą, to podpalimy Paryż z czterech stron!“

„Jeszcze nigdy lud nie okazał Napoleonowi tak wielkiej miłości“ — wspomina świadek naoczny.[11]

Że abdykacja pozbawi obronę dowództwa i pociągnie za sobą cudzoziemski najazd, to lud przeczuwał i pragnął uratować Francję, jak w roku 1793. „Czerń razem z Napoleonem może uczynić wszystko“. O tem wiedział i Fouché. Stchórzył tak dalece, że postanowił wyjechać z Paryża.

Dnia 24-go czerwca Izba postanowiła „prosić byłego cesarza, aby opuścił stolicę“. Napoleon zgodził się wyjechać na zamek Malmaison, oddalony o jakie dwie godziny od miasta, i 25-go wyjechał chyłkiem, ukrywając się przed tłumem, oblegającym pałac, jakby uciekał.

We Francji nie mógł pozostawać. Pierwszą jego myślą było szukać przytułku w Anglji: powierzyć się honorowi swoich największych wrogów, — to wydawało mu się wielkością godną jego wielkiego losu. Bliscy jego starali się wszelkiemi siłami przekonać go, że myśl tę należy porzucić i uciekać do Ameryki.

Wiedząc, że w porcie Rochefort stoją dwie fregaty, gotowe do odpłynięcia, „Saale“ i „Meduza“, prosił, aby mu je oddano do podróży. Ale Fouché, który zapragnął wejść z sojusznikami w targi o głowę cesarza, nie śpieszył się, aby mu ułatwić opuszczenie Francji. Do Malmaison został wysłany generał Becker z jawnem zleceniem ochraniania cesarza i z tajnym rozkazem pilnowania go.

Wyczekując daremnie przybycia fregat, Napoleon żył w Malmaison,

bodajże po raz pierwszy w życiu bezczynnie. W tym opuszczonym zamku, w którym spędził najlepsze swoje lata, dusza jego pogrążyła się w słodkiej ułudzie wspomnień. Wspominał wschodzące słońce Konsulatu, południe, wieczór i zachód Cesarstwa. Wspominał zmarłą Józefinę.

Przed kapitulacją Paryża 29 marca 1814 uciekała ona przed rosyjskimi kozakami, gdzie oczy poprowadzą, zaszywszy brylanty i perły w watowaną spódnicę; ale potem odzyskała śmiałość, wróciła do Malmaison i oczekiwała tutaj łask Bourbonów i sprzymierzonych. O Napoleonie jakgdyby była zapomniała. Rosjanie, Austrjacy, Anglicy, Prusacy — wszyscy byli w Malmaison gośćmi mile widzianymi, a już najbardziej cesarz Aleksander. Mniemając, że nie jest mu obojętna, kokietowała go, odmładzała się, stroiła się w białe sukienki muślinowe, jak siedemnastoletnia dziewczyna, i nie przeczuwała, że jedną nogą stoi w grobie.

Dnia 22 maja musiała się położyć: zaziębiwszy się, dostała kataru z nieznacznym bólem gardła. Nie zwracając na to uwagi, tańczyła na balu z Aleksandrem i z królem pruskim, rozgrzała się i w lekkiej sukni balowej wyszła na wilgotny chłód do ogrodu, zaziębiła się jeszcze bardziej i zapadła na krup; 28-go zaczęło się konanie, a 29-go, nie odzyskawszy przytomności, Józefina umarła.

Nie pozostawiła po sobie nic, prócz trzech miljonów długów za perfumy, kremy, pudry, rękawiczki, gorsety, koronki, kapelusze, szmatki. Na krótko przed śmiercią, całkiem jeszcze zdrowa i nawet pozornie wesoła, wygłosiła dziwnie głębokie jak na nią słowa: „Czasem zdaje mi się, że już umarłam i że pozostało mi tylko smutne uczucie, iż mnie niema".[12] Kto wie, może jej nigdy nie było: może w niej była para zamiast duszy, jak w pierwszej żonie Adama, Lilit.

Nikt nie pomyślał, aby Napoleona powiadomić o jej śmierci. Dowiedział się o niej na wyspie Elbie ze starej gazety, która przypadkowo wpadła mu w ręce. „Zdawał się być bardzo zasmucony i zamknął się w pokoju".[13]

Natychmiast po powrocie do Paryża wezwał do siebie doktora Moreau, który był obecny przy śmierci Józefiny, i zaczął go wypytywać:

„Na co umarła?"

„Ze smutku".

„Ze smutku... Jakiego smutku?"

„Smuciły ją wydarzenia, sytuacja Waszej Cesarskiej Mości..."

„Dobra kobieta! Dobra Józefina! Kochała mnie prawdziwie!"[14]

Prawdzie patrzeć w oczy potrafił jak nikt inny, ale też jak nikt inny umiał siebie oszukiwać.

W słodkiej ułudzie wspomnień grążył się i teraz, gdy przezrocza noc letnia opadała na stare wiązy i buki, tworzące aleje parkowe w Malmaison, na milczące stawy, odbijające gwiaździste niebo, na których majaczyły

białe łabędzie jak blade upiory, na kwietniki, gdzie unosiły się pachnące dusze umierających róż.

„Biedna Józefina! — mówił, błądząc po ogrodzie. — Nie mogę przywyknąć żyć tu bez niej. Ciągle mi się zdaje, że wynurza się z alei i zrywa jedną z tych róż, które tak lubiła... Była to najcudniejsza z kobiet, jakie znałem!“[15]

W tym czasie Fouché, głowa rządu tymczasowego, kręcił się, wił, niby gad bez stosu pacierzowego, między sprzymierzonymi, Bourbonem, Bonapartem i rewolucyjnym Paryżem. Zakomunikował on Wellingtonowi, że Napoleon pragnie wyjechać do Ameryki, pozornie prosząc o przepustkę dla niego, w rzeczywistości dając Anglikom możność wzmocnienia blokady krążowników wybrzeżnych, aby go nie wypuścić z Francji.

Trzy razy w ciągu trzech dni powtarzał cesarz prośbę o fregaty. Wreszcie nadeszła odpowiedź: fregaty będą wpogotowiu, ale nie wyjdą z portu przed otrzymaniem przepustki.

Napoleon zrozumiał, że to pułapka. „Nie pojadę do Rochefort, dopóki nie będę miał pewności, iż zdołam wyjechać stamtąd natychmiast“ — odpowiedział Fouchému odrazu.[16] Mając do wyboru między dwoma więzieniami, wolał Malmaison: stąd było bądź co bądź bliżej do ostatniej ucieczki — armji.

Przepustki Wellington, oczywiście, odmówił. Komisarze sprzymierzonych oświadczyli pełnomocnikom francuskim, że „pragnąc na zawsze pozbawić Napoleona Bonapartego możności naruszania pokoju Europy i Francji, mocarstwa żądają, aby Napoleon został oddany pod ich opiekę“.[17]

Nawet najbardziej umiarkowani z pośród dyplomatów sprzymierzeńczych myśleli o dożywotniem zamknięciu cesarza w jednej z twierdz na kontynencie, albo o deportacji na bardzo daleką wyspę. Lord Liverpool proponował wydać„Bonapartego królowi francuskiemu, aby ten mógł się załatwić z nim jako buntownikiem“. Blücher, uważając się za narzędzie Opatrzności Bożej, chciał rozstrzelać go albo powiesić przed frontem pruskiej armji, aby „tem oddać przysługę ludzkości“.[18] A Fouché w dalszym ciągu wiódł targi o głowę cesarza, ofiarowując ją za rozejm to Anglji, to Austrji, a jednocześnie wyciągał go z pułapki Malmaison do pewniejszej — Rochefort.

Dnia 28 czerwca do Malmaison wpadł dowódca 3-go legjonu Gwardji Narodowej z wieścią, że do zamku podchodzą Prusacy. W tej samej chwili generał Becker otrzymał od ministra wojny Davouta naglący rozkaz spalenia mostów na Sekwanie, aby uniemożliwić nieprzyjacielowi podchodzenie do zamku, bo Blücher gotował się już wysłać oddział żołnierzy dla zabrania cesarza do niewoli.

W zamku nastał popłoch.

„Gdybym widział, że cesarz musi się dostać w ręce Prusaków, to go zastrzelę!“ — mówił jeden z jego otoczenia, generał Gourgaud.[19]

Jeszcze większy niepokój ogarniał Fouchégo i Davouta. Blücher zbliżał się ku Paryżowi, gdzie ośmdziesięciotysięczna armja rwała się do walki z takim bohaterskim zapałem, iż generałowie nie wątpili, że Prusacy zostaną pobici. Coby to było, gdyby Napoleon zechciał stanąć na czele tej armji, albo, jeszcze gorzej, gdyby armja ta sama ruszyła do niego do Malmaison? To przeraziło Fouchégo tak bardzo, iż nareszcie zdecydował się wypuścić Napoleona z Francji.

Dnia 29-go, wczesnym rankiem, generał Becker zakomunikował cesarzowi, że rząd tymczasowy postanowił oddać do jego dyspozycji dwie fregaty w Rochefort bez wyczekiwania angielskiej przepustki.

Pruska konnica zbliżała się do Malmaison, trzeba było śpieszyć się z odjazdem. Cesarz zgodził się wyjechać tegoż samego dnia.

Podczas rozmowy z głównym dyrektorem poczt, Lavalettem, o ruchach wojsk nieprzyjacielskich, od strony wielkiej drogi za parkiem dały się słyszeć głośne okrzyki. „Co to?“ — zapytał cesarz, a gdy mu odpowiedziano, że to francuski pułk linjowy, przechodząc obok zamku, aby zająć wyżyny Saint Germain, składa mu hołd, cesarz zdawał się być wzruszony. Przez chwilę rozmyślał, pochylił się nad mapą, gdzie rozkład sił francuskich pooznaczany był szpilkami, przestawił je, podniósł głowę i rzekł:

„Francja nie powinna być zawojowana przez garść Prusaków. Mogę jeszcze zatrzymać nieprzyjaciela i dać tymczasowemu rządowi czas na układy z mocarstwami“.

Szybko wyszedł z pokoju i po kilku minutach wrócił w pełnym generalskim mundurze strzeleckiego pułku starej gwardji, w butach z ostrogami, ze szpadą i stosowanym kapeluszem pod pachą. Jakby odmłodniał nagle: dopiero co był smutnym więźniem, a oto znowuż stał się cesarzem.

„Generale — zwrócił się do Beckera — sytuacja Francji, wola patrjotów, okrzyki żołnierzy domagają się mej obecności w armji. Polecam panu donieść rządowi, że proszę o dowództwo nie w charakterze cesarza, lecz prostego generała, którego imię i sława mogą jeszcze wywrzeć wielki wpływ na losy Francji. Na honor żołnierza, obywatela i Francuza przysięgam wyjechać do Ameryki, jak tylko odeprę nieprzyjaciela!“[20]

Generał Becker miał duszę żołnierską; słowa Napoleona zbudziły w nim nadzieję. Natychmiast pośpieszył do Paryża z serdecznem pragnieniem powodzenia dla swej misji.

„Cóżto on kpi sobie z nas, czy co? — wrzasnął wściekły Fouché, gdy Becker zakomunikował mu prośbę Napoleona. — Czy to my nie wiemy, jak onby dotrzymał swej obietnicy, gdybyśmy mogli ją przyjąć. Precz, precz z nim z Francji!“

Było to kopnięcie, wymierzone przez osła konającemu lwowi.

„Ci ludzie nie wiedzą, co czynią — rzekł cesarz spokojnie, dowiedziawszy się o odmowie Fouchégo. — Nie pozostaje mi nic innego, jak wyjechać".[21]

Znowuż wyszedł z pokoju, zdjął mundur, wdział bronzowy frak, kazał otworzyć pokój, w którym umarła Józefina, przebył w nim, zamknąwszy się, kilka minut, a wyszedłszy stamtąd, przyjął oficerów straży pałacowej.

„Widzimy, że nie będziemy mieli szczęścia służyć Waszej Cesarskiej Mości - zaczął jeden z nich przemawiać w imieniu towarzyszy, ale nie dokończył przemówienia i zapłakał. Cesarz uścisnął go bez słowa.

Podjechał powóz. Napoleon wsiadł do niego i pojechał do Rochefort.

„Bellerophon". 1815.

„Papusiu, wracaj do klatki!" — wołała kiedyś stara głupia babunia na papugę, która wymknęła się z klatki i wyleciała na ogród. Ale papuga siedziała na gałęzi wysokiego drzewa, chytrem oczkiem spoglądała nadół i skrzeczała: „Papusia głupia"! Ale naprawdę wcale głupia nie była: do klatki wracać nie chciała. Ta anegdotka przypomina się mimowoli, gdy chcemy pojąć, co też mogło Napoleona pociągać ku niewoli angielskiej.

„Prosty uczniak byłby się okazał sprytniejszy ode mnie — Un écolier eut été plus habile que moi" — rzekł sam, gdy już był jeńcem.[1] Istotnie, uczniak byłby okazał więcej przebiegłości, niż „sprytny polityk", głupia papuga była mądrzejsza od tego najmądrzejszego. Ale o to tu właśnie idzie, że miara człowieka przerasta jego rozum. Gdyby Napoleon nie był stracił rozumu, to nie byłby osiągnął pełni swego człowieczeństwa.

„Składam siebie w ofierze". — Gdy wymawiał te słowa, to może sam jeszcze nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi, gdy zaś zrozumiał ich sens i przeraził się, było już za późno. „Zawsze czynię to, co mówię, albo umieram".

„Ofiara!" — Oto, co go pociągało, czem czarowało go jego nadziemskie przeznaczenie — jego „Gwiazda", która oddzieliła się od niego i powstała przeciwko niemu. Czy chce, czy nie chce, musi iść tam, dokąd go woła ta mądra Gwiazda.

Ofiara była jedną z pokus jego, drugą był — honor. „Poczucie honoru wojskowego posiadał Napoleon w stopniu najwyższym... Ten sprytny polityk był żołnierzem, rycerzem bez przygany" — powiada jeden z jego najlepszych historyków.[2]

Napoleon zna ludzi, widzi ich nawskroś i zdanie o nich ma niezbyt pochlebne. „Ludzie musieliby być bardzo podli, aby mieli być takimi, jakimi ich sobie wyobrażam" — mawiał. Zdawałoby się, że takiego człowieka oszukać trudno. Przeciwnie, łatwo, bowiem jako prawdziwy rycerz odznacza

się on także dziecinną ufnością, dobrodusznością. Chociaż wydaje się to osobliwe, jest w Napoleonie Don Kichot, wieczny romantyk, kochanek Marzenia-Dulcynei. Ludzie nie mogliby go oszukać, gdyby on sam nie chciał być oszukany; lecz on chciał tego zbyt często, być może, iż dlatego właśnie, że zbyt dobrze widział gorzką ludzką rzeczywistość.

Rycerska i głupia zarazem myśl oddania się w ręce Anglików, zaufania honorowi nieprzyjaciela, kusiła go już dawno — zawsze. Zawsze wiedział, pamiętał, że to się stanie.

Jako siedemnastoletni chłopiec, Bonaparte napisał w uczniowskim zeszycie nowelkę o austrjackim awanturniku, baronie Neuhofie, który w roku 1737 ogłosił się królem Korsyki jako Teodor I, został aresztowany przez Anglików, osadzony w londyńskim Towrze i dopiero po wielu latach odzyskał wolność dzięki lordowi Walpole'owi. „Niesprawiedliwi ludzie! Chciałem uszczęśliwić swój naród i na chwilę mi się to udało, ale los mnie zdradził, jestem w więzieniu, a wy mną gardzicie" — pisze Teodor do lorda Walpole'a, który mu odpowiada: „Pan cierpi, jest pan nieszczęśliwy, a tego dość, aby mieć prawo do współczucia Anglików".[3]

„Drogo zapłaciłem za swoje rycerskie i romantyczne mniemanie o was, panowie Anglicy!" — Słowy temi Napoleon na Św. Helenie zdaje się kończyć swoją niedokończoną nowelkę dziecięcą.[4]

W tych samych zeszytach szkolnych wypisuje on trzy słowa: „Św. Helena, mała wyspa, Ste Helène, petite isle..." A dalszym ciągiem jest pusta stronica. Teraz ją zapisywał.

Przez całą drogę z Malmaison do Rochefort tłumy biegły za nim ciągle z tem samem niemilknącem: „Niech żyje cesarz!" — jak wtedy, gdy wracał z Elby. Lecz teraz, wiedząc, że porzuca on Francję, płakali i błagali go: „Pozostań z nami, pozostań, nie opuszczaj nas!"[5]

W mieście Niort 2-gi pułk huzarów omal że się nie zbuntował, domagając się, aby cesarz przyjął dowództwo i poprowadził go na Paryż.

Cud Elby mógłby się powtórzyć, gdyby on był zechciał. Lecz on nie chciał już niczego. Za niego chciała teraz jego Dusza cudu innego, większego.

Dnia 3 lipca przybył do Rochefort, gdzie według doniesienia szpiega rojalistów przyjęty został jak bóg".[6] Obie fregaty „Saale" i „Meduza" gotowe były do odpłynięcia, ale na morze wydostać się nie mogły, bo angielski krążownik „Bellerophon" blokował rejd.

Została zwołana rada wojenno-morska i na niej przedstawiono plan ucieczki. U ujścia Żyrondy stały dwie francuskie korwety pod dowództwem kapitana Baudina.

„Znam Baudina" — rzekł stary wice-admirał Martin, szczerze cesarzowi

oddany. „Jest to jedyny człowiek, który Waszą Cesarską Mość zdrowo i cało przewieźć może do Ameryki".

Napoleon zgodził się na ten plan i, gdyby go był natychmiast wykonał, to byłby uratowany. Ale wykonanie odłożył; upłynęły dwa-trzy dni, a on wciąż odkładał. Otoczenie jego, przypuszczając, że plan ten mu się nie podoba, zaproponowało inny: małą duńską 5-tonową goeletę „Magdalenę" miano naładować wódką i zabrać cesarza na pokład ze czterema osobami otoczenia; wrazie kontroli cesarz miał się ukryć w pustej beczce.

I na ten plan godził się Napoleon, kazał nawet zakupić ładunek wódki, jakgdyby wcale nie myślał o tem, co powie historja, jeśli po dwudziestoletniej wojnie Anglicy znajdą go w pustej beczce.

Na wszystko godził się może dlatego, że już niczego nie chciał, prócz jednego, co pociągało go coraz bardziej, jak pociąga przepaść człowieka, który się nad nią pochylił i jest kuszony pragnieniem rzucenia się w nią.

Napoleon wahał się, ale Fouchému było pilno. Czwartego lipca, po kapitulacji Paryża, obawiał się bardziej, niż kiedykolwiek, że cesarz mógłby ująć w swe ręce dowództwo nad armją. „Niech pan go natychmiast wsadzi na statek, jeśli zajdzie potrzeba, to przemocą" — pisał Fouché do generała Beckera. Kazał go wsadzić na statek, ale nie kazał go uprowadzić. Chciał w nim mieć zakładnika, przedstawiał go sobie jako dyplomatyczny „żywy towar", trzymany na statku.

Dnia 8 lipca Becker przybył do cesarza i błagał go, aby się na coś zdecydował, gdyż położenie jego w Rochefort staje się niebezpieczne.

„Gdyby się stała rzecz najgorsza, czyliż starczyłoby ci, generale, odwagi, zdradzić mnie?" — zapytał Napoleon z uśmiechem.

„Wasza Cesarska Mość wie, że życie swoje oddam za niego, ale w razie zmiany rządu nic uczynić nie zdołam".

„Dobrze więc, niech pan przygotuje szalupy do przejazdu na wyspę Aix. Tam będę wpobliżu fregat i wsiądę na jedną z nich przy najbliższym wietrze pomyślnym".[7]

Marynarze mieli niewielką nadzieję, aby zbyt mocny wiatr lądowy pozwolił statkom wypłynąć na morze, choćby się ryzykowało wielkie niebezpieczeństwo. Tegoż samego wieczora Napoleon udał się do rybackiego portu Fouras i wsiadł na szalupę. Gromada starych rybaków i marynarzy przyglądała mu się w milczeniu i odrętwieniu. Lecz gdy wioślarze ujęli za wiosła, ryk falezy przegłuszył rozpaczliwy krzyk: „Niech żyje cesarz!" — „Płakaliśmy jak małe dziewczyny" — opowiadał jeden z tłumu.

Cesarz kazał się zawieźć nie na wyspę Aix, jak postanowił zrazu, lecz na fregatę „Saale", na której spędził dwa dni. Z fregaty widać było „Bellerophona" jasno, jak na dłoni. Pokusa stawała się coraz większa. Walczył z nią

przez dwa dni, a dnia trzeciego wysłał swoich pełnomocników, księcia Rovigo i hrabiego Las Cases, na krążownik, z urzędowem poleceniem dowiedzenia się, czy może mieć nadzieję otrzymania paszportu, a jeśli nie, czy „Bellerophon" przeszkadzałby jego wyjazdowi. Misja sekretna obu tych wysłańców polegała na tem, aby się dowiedzieli o zamiarach, jakie rząd angielski ma w stosunku do Napoleona i jakiego mógłby się spodziewać przyjęcia, gdyby się ukazał na krążowniku.

Dowódca „Bellerophona", kapitan Maitland, przyjął wysłańców, ale na pytania odpowiadał wymijająco, że o paszporcie nic mu niewiadomo, a tem mniej o zamiarach rządu, ale gdyby fregaty chciały wypłynąć na morze, toby je zaatakował; tak samo kazałby zrewidować wszystkie francuskie i neutralne statki handlowe i, gdyby na jednym z nich znalazł Napoleona, to zatrzymałby go pod aresztem, dopóki nie dostałby odpowiedniego rozkazu swego przełożonego, admirała Hothama.

Las Cases i Rovigo starali się przekonać Maitlanda, że cesarz pragnie się udać do Ameryki, aby tam, zdala od wszelkiej polityki, dożyć dni swoich.

„Jeśli tak, to czemuż nie szuka azylu w Anglji?" — zapytał Maitland.

Na to czekali Francuzi, chociaż nic po sobie poznać nie dali. Aby wybadać kapitana, jak on rozumie słowo „azyl", udali zdumienie i czynili zastrzeżenia, że niby wilgotny i chłodny klimat Anglji byłby niezdrowy dla cesarza, a zarazem, że byłoby to zbyt blisko Francji i budziłoby podejrzenie co do zamiarów możliwego powrotu cesarza. Wreszcie przywykł on do uważania Anglików za największych swoich wrogów, a znowuż przez nich traktowany jest jako potwór pozbawiony serca i wszelkich uczuć ludzkich. Oczywiście, że Maitland już dla samej kurtuazji musiał ich zapewnić, że mniemanie Anglji o Napoleonie nie jest znowu takie złe i że z ich strony niczego obawiać się nie potrzebuje. Na tem skończyła się rozmowa.[8]

Po powrocie swoim do cesarza, wysłańcy oświadczyli, że chociaż Maitland bardzo jest uprzejmy, to jednak spodziewać się po nim niczego dobrego nie można. Wieść o tem, że Napoleon jest zmuszony oddać się w ręce Anglików, wywołała w załodze i w dowództwie wielkie wzburzenie. Dowódca „Meduzy", kapitan Ponée zaproponował nowy plan:

„Dzisiejszej nocy wypłynie na morze „Meduza", a za nią „Saale", przyczem „Meduza" w ciemnościach zaatakuje nagle „Bellerophona". Rozpocznę walkę pokład przy pokładzie i nie puszczę go ani na krok; dwie godziny utrzymam się z pewnością. Fregata moja po takiej walce będzie w stanie opłakanym, ale „Saale", wspierana przez lądowy bryz, będzie miała dość czasu, aby się wydostać na pełne morze".

Wiedział bardzo dobrze, że poświęcał na pewną zagładę nietylko fregatę, lecz całą załogę i samego siebie. Cesarz był do głębi wzruszony.

Plan Ponéego można było wykonać jedynie po otrzymaniu zezwolenia pierwszego dowódcy obu fregat. Zezwolenia tego udzielił on zrazu, ale później je cofnął, bojąc się Fouchégo.

Po fregatach nie można było spodziewać się niczego, więc cesarz postanowił udać się na wyspę Aix.

Załoga statku była zrozpaczona. Marynarze płakali, tłukli się pięściami po głowie, rzucali czapki na pokład i deptali je z wściekłości.

„Chciałem go uratować, albo umrzeć" — rzekł Ponée. — „Nie zna on Anglików. Przepadł nieszczęsny!"[9]

Sześciu oficerów 14-go pułku morskiego, stojącego na wyspie Aix, sześciu młodych chłopców, przedstawiło cesarzowi jeszcze jeden plan: dwie dwumasztowe szalupy pontonowe, stojące w porcie Rochefort, miały zabrać cesarza z kilkoma osobami jego otoczenia i w nocnych ciemnościach płynąć wzdłuż brzegu aż do La Rochelle, a stamtąd wypłynąć na pełne morze. Pierwszy lepszy napotkany statek handlowy kupiłoby się, albo wzięło przemocą, i ten statek dowiózłby zbiegów do Ameryki.

Napoleon nie chciał młodzieńców zasmucić, więc udał, że się na ich propozycję zgadza, ale naprawdę postanowił już był co innego. Proponowano mu tyle ofiar, że wreszcie i sam zrozumiał, co to jest ofiara. Być może, iż ciągle jeszcze powtarzał, jak ów gracz Lermontowa, nagabywany przez lichwiarza: „Duszy swej na kartę nie postawię". A jednak już to uczynił.

Trzynastego wieczorem w ubogiej izbie domku na wyspie Aix, w którym cesarz miał mieszkanie, toczyła się rozmowa między nim a generałem Gourgaudem, człowiekiem niegłupim, ale brutalnym, o planie sześciu młodziutkich marynarzy.

„Konby się uśmiał z takiego planu — rzekł Gourgaud. — Szkoda, że Waszej Cesarskiej Mości brak odwagi oddać się w ręce Anglików. Byłoby to najlepsze. Rola awanturnika nie przystoi cesarskiemu dostojeństwu... Historja powiedziałaby, że Wasza Cesarska Mość abdykował tylko ze strachu, ponieważ ofiary swej nie składa do ostatka".

Cham uczył bohatera; ów zaś milczał, ponieważ na takie słowa odpowiedzi nie było.

„Tak, może najmądrzej byłoby poddać się im" — odrzekł wreszcie cesarz, spoglądając przez otwarte okno; na czerwonem tle wieczorowego nieba maszty „Bellerophonu" kreśliły się jak sieć pajęcza. „Już wczoraj miałem zamiar udać się na „Bellerophon", ale ostatecznie nie zdecydowałem się na to. Mieszkać śród wrogów — myśli tej znieść nie mogę..."

Nagle oknem wleciał mały ptaszek i trzepotał się wystraszony w kącie izby. Gourgaud wstał, złapał ptaka i ścisnął go w dłoni.

„Puścić go! Puścić! Dość tu już nieszczęśliwych!" — zawołał Napoleon.

Gourgaud wypuścił ptaka oknem.

„Zobaczymy, dokąd poleci — rzekł cesarz — będzie mi to wróżbą".

„Najjaśniejszy Panie, poleciał ku „Bellerophonowi!" — zawołał triumfująco Gourgaud.[10]

Napoleon nie odpowiedział nic, ale jego twarz się zasępiła. Znowuż usłyszał wezwanie: „Papusiu, pójdź do klatki!"

Tejże samej nocy polecił przenieść bagaż na oba dwumasztowce i duńską goeletę, ponieważ postanowiono skombinować oba plany.

O godzinie jedenastej generał Becker zameldował cesarzowi, że wszystko gotowe. Napoleon nie odpowiedział nic, Becker opuścił izbę i czekał dość długo, a wkońcu poprosił generała Bertranda o powtórzenie meldunku. Ale zaledwie Bertrand wszedł i zaczął mówić, gdy Napoleon mu przerwał: „Nie, nie pojadę, lecz przenocuję tutaj".

Po upływie kilku minut kazał powiedzieć Las Casesowi i generałowi Lallemandowi, że jutro wczesnym rankiem uda się na „Bellerophon".

Ale i tego jeszcze nie uczynił, odłożywszy rzecz do dnia następnego. Znowuż wysłał Las Casesa na „Bellerophon". Wiedział on, że rząd angielski nie zgodzi się na żadne obietnice, ale Maitland miał mu dać słowo, że go nie zaaresztuje jako jeńca wojennego.

„Nie posiadam żadnych pełnomocnictw i nic obiecać nie mogę" — odpowiedział Anglik. — „Ale uważam za pewne, że angielska opinja publiczna, potężniejsza nawet od władzy państwowej, zmusi ministrów angielskich do postępowania zgodnie z wielkodusznemi uczuciami narodu angielskiego".[11]

W tłumaczeniu na język honoru miało to znaczyć: „Napoleon znajdzie w Anglji schronienie. Jeśli jako proszący usiądzie przy jej ognisku, to ona go nie zdradzi".

Z taką odpowiedzią wrócił Las Cases do cesarza, ów zaś zwołał najbliższych swoich na ostatnią naradę. Zdania były podzielone: jedni radzili jechać na „Bellerophon", drudzy byli temu przeciwni. Generał Montholon proponował podjęcie pierwszego planu, to znaczy przebić się do ujścia Żyrondy, gdzie „Bajadera" wciąż jeszcze stała wpogotowiu. Generał Lallemand zaklinał cesarza, aby uciekał na duńskiej goelecie — znowuż ta pusta beczka! — albo też, aby się udał do armji, która cofnęła się nad Loarę: można było liczyć na 14-ty pułk morski, podobnie jak na pułki linjowe w Rochefort i La Rochelle, na federatów, na garnizon w Bordeaux, na 2-gi pułk huzarów w Niort i na wiele oddziałów wojskowych, jakie napotka się po drodze. Wreszcie cała armja przyjęłaby go z zapałem.

„Wszyscy żołnierze łakną tylko tego, aby walczyć i umrzeć za Waszą Cesarską Mość!" — wywodził Lallemand.

„Nie — odpowiedział cesarz, potrząsając głową — gdyby chodziło o cesarstwo, to mógłbym się pokusić o drugą Elbę, ale dla mnie osobiście nie powinien już paść ani jeden strzał armatni. Jutro rano jedziemy".

Pozostawszy sam na sam z generałem Gourgaudem, pokazał mu szkic listu do angielskiego księcia-regenta:

„Wasza Królewska Wysokości! Prześladowany przez partje, które szarpią mój kraj, i ścigany nienawiścią mocarstw europejskich, zakończyłem swoją karjerę polityczną i przybywam do Waszej Królewskiej Wysokości, aby jak Temistokles zasiąść przy ognisku narodu angielskiego. Oddaję się pod opiekę jego praw i o tę opiekę proszę Waszą Królewską Wysokość jako najpotężniejszego, najwytrwalszego i najwielkoduszniejszego ze wszystkich moich nieprzyjaciół".[12]

Gourgaud miał się z tym listem udać do Anglji i wręczyć go księciu regentowi osobiście. Natychmiast Napoleon zaczął marzyć o swojem życiu w Anglji: w duchu widział się otoczony przyjaciółmi w samotnym domku wiejskim, oddalonym o dziesięć lub dwanaście mil od Londynu. Tam pragnął „mieszkać pod nazwiskiem pułkownika Muirona", wspominając tego bohatera, który na moście pod Arcole własnem ciałem osłonił go przed kartaczem austrjackim i umarł na jego piersi, tak, że krew jego opryskała mu twarz. „Składam siebie w ofierze" — Muiron nietylko to powiedział, ale i uczynił. I oto dusza przypomniała Napoleonowi otrzymaną naukę.

„Życie dokonać w domku wiejskim, w niezamąconej idylli" — w to przecie uwierzą, na to zgodzą się angielscy ministrowie, Wellington, Blücher, Fouché, Talleyrand. „Uczniak byłby się zdobył na więcej sprytu, niż ja". Mając lat czterdzieści sześć, Napoleon postępuje jak sześcioletni chłopiec.

Piętnastego rankiem przy wschodzie słońca wsiadł cesarz na francuski bryg „Jastrząb".

„Ma na sobie stosowany kapelusz
I szary mundur polowy".[13]

Był to ten sam kapelusz i ten sam mundur, które miał na sobie pod Austerlitz i Waterloo.

Gdy marynarze powitali go zwykłym okrzykiem: „Niech żyje cesarz!" — z głosów ich wydzierało się łkanie.

„Czy Wasza Cesarska Mość życzy sobie, abym mu zgodnie z otrzymanemi zleceniami towarzyszył na krążownik?" — zapytał generał Becker.

„Nie, niech pan wraca na wyspę" — odpowiedział Napoleon. — „Wywarłoby to bardzo złe wrażenie, gdyby powiedziano, że Francja wydała mnie Anglji".[14]

Statek — łódź Charona, nigdy nie wracająca — odbił od brzegu. Czy

wiedział Napoleon, czy powiedziała mu o tem jego wiedza wspominająca, że Francję i cały świat opuszczał na zawsze?

Dnia 26 lipca „Bellerophon“ zarzucił kotwicę w porcie Plymouth a 31-go admirał lord Keith powiadomił „generała Bonapartego“, że zgodnie z uchwałą rządu angielskiego ma on pójść na wieczne wygnanie na wyspę Św. Heleny.

Napoleon był oburzony, ale ostatecznie niebardzo i niedługo.

„Na wyspę Św. Heleny nie pojadę“ — rzekł do swego otoczenia. — „Taki koniec to hańba... Lepiej niech krew moja obryzga pokład „Bellerophonu!“.

„Tak, Najjaśniejszy Panie — mężnie odpowiedzieli jego wierni towarzysze — będziemy się bronić, dopóki nie wymordują nas wszystkich, albo podpalimy składy prochu!“[15]

Tegoż samego dnia, jak zazwyczaj, wyszedł cesarz na pokład, aby rzucić okiem na niezliczone łodzie, podwożące ciekawych. „Twarz jego była tak spokojna, jak zawsze“ — opowiada świadek naoczny. Już się był ze swoim losem pogodził. „Nikt lepiej ode mnie nie umie pogodzić się z koniecznością; w tem wyraża się prawdziwa potęga rozsądku i triumf ducha“.[16]

Jak na daleką podróż, „Bellerophon“ był za mały, więc w Portsmouth przygotowano wielki okręt wojenny, „Northumberland“, pod rozkazami admirała lorda Cockburna. Ponieważ wszakże statek ten jeszcze nie był zupełnie wyekwipowany, więc „Bellerophon“ mógł był wypłynąć na spotkanie „Northumberlandu“ dopiero 4 sierpnia.

Cały ten dzień cesarz spędził zamknięty w swej kajucie. Jego wierni towarzysze byli zaniepokojeni: wiedzieli oni, że w ubraniu ukrywa flakonik z trucizną, i obawiali się, że odbierze sobie życie.

Wieczorem udał się do niego Montholon z takiem przerażeniem w twarzy, że cesarz odrazu odgadł, o co chodzi.

„Anglicy byliby zapewne radzi, gdybym popełnił samobójstwo“ — rzekł ze śmiechem.[17]

A więc myślał o tem niezawodnie.

„Niekiedy bierze mnie ochota opuścić was, mój drogi, i jest to rzeczą nietrudną“ — rzekł do Las Casesa. — „Trzeba się tylko nieco pobudzić... Tem bardziej, że przekonania moje nie stawiają mi żadnej przeszkody... Nie wierzę w wieczne męki. Bóg nie mógłby dopuścić do takiego zaprzeczenia swego nieskończonego miłosierdzia, osobliwie za taką rzecz, jak to... Bo i o cóż tu chodzi ostatecznie? Jest to pragnienie powrócenia do niego nieco wcześniej...“

Las Cases zaczął mówić, jak się zwykle mówi w takich razach, o cierpliwości i odwadze, o tem, że wszystko może się jeszcze zmienić na lepsze.

„Może pan ma rację — rzekł Napoleon, wysłuchawszy uważnie jego

wywodów. — Istotnie, człowiek winien wypełnić swoje przeznaczenie do ostatka, to moja wielka zasada. Wypełniajmyż je tedy".

„I zaczął mówić o innych sprawach; spokojnie, nawet wesoło".[18]

Pomimo to uważał za konieczne napisać, czy też podpisać, protest ułożony przez Las Casesa.

„W obliczu Boga i ludzi protestuję uroczyście przeciwko gwałtowi, jakiego dopuszczono się na mnie... Nie jestem jeńcem — jestem gościem Anglji... W chwili, gdy wkroczyłem na pokład „Bellerophonu", zasiadłem przy ognisku narodu brytyjskiego... Jeśli rząd angielski wydał kapitanowi „Bellerophonu" rozkaz przyjęcia mnie na pokład i wciągnięcia w pułapkę, to pohańbił tem sam siebie i swój sztandar... Odwołuję się do historji: powie ona, że nieprzyjaciel, który przez lat dwadzieścia walczył z narodem angielskim, w nieszczęściu swojem dobrowolnie przybył do niego, aby się oddać pod ochronę praw angielskich... I jakże odpowiedziała mu Anglja? Świętoszkowato podała mu rękę, a gdy ją ujął, zamordowała go".[19]

Prawdę powiedziawszy, wszystko to nie jest tak przekonywujące, jak on tego pragnął, lub to sobie wyobrażał. Dziecinna prostoduszność jest w polityce nieprzebaczalna. On sam wie doskonale, jak bardzo ziemia ugina się pod jego ciężarem: „Gdy umrę, to cały świat odetchnie z uczuciem ulgi".[20] Czyż Anglja mogła była przyjąć takiego gościa? Oko za oko, ząb za ząb: Anglja postąpiła z Napoleonem niegorzej, niż on postąpił z królem hiszpańskim. Plymouth za Bayonne. Anglja byłaby mogła odpowiedzieć mu jego własnemi słowy: „Gdy pędzi mój rydwan polityczny, to musi mieć wolną drogę, i biada temu, kto wpadnie pod jego koła!"

Jest coś z całopalnej ofiary w tem, co go spotyka, ale jest w tem także odpłata, której nie można nazwać niesprawiedliwą. Byłoby lepiej, gdyby ją był przyjął bez słowa.

Siódmego sierpnia „Northumberland" wziął cesarza na pokład i ruszył natychmiast w podróż...

„Gdy gwiazdy błysną z wieczora,
Po oceanu bezkresie
Wiatr pod wzdętemi żaglami
Samotny okręt skądś niesie...
Maszty ma sztywne, wysokie,
Nie szumi na nich bandera,
Luka przy luce w milczeniu
Armat się paszczą rozwiera.
Śród mórz jest wyspa samotna,
Skalista pustka cmentarza;

Na wyspie tej jest mogiła,
A w niej zagrzebano cesarza..."[21]

Zagrzebano żywcem.

Święta Helena. 1815—1821.

„Wyspa Św. Heleny to mała, prawie zupełnie stroma skała, długa, wąska, gładka, ciemna, bardziej podobna do olbrzymiej trumny, pływającej po oceanie, niż do osiedla żyjących".[1]

Płaskowyże Ruperts Hill, sześć tysięcy stóp nad powierzchnią morza, z opuszczoną fermą Longwood i niegdysiejszemi oborami, gdzie umieszczono cesarza, jest najstraszliwszem miejscem tej straszliwej wyspy. Czarne skały są murami więziennemi, nisko zwisające chmury są piwnicznemi sklepieniami, a wszędzie dokoła są bezdenne przepaści i bezkresny ocean. Ta wyspa to jakby „tamten świat", „kraina, z której niema powrotu".[2] Przedpiekle Dantego z napisem:

„Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tutaj wchodzicie".

Samaż natura jest tu przeklętą niewolnicą, na wieczne męki skazaną. Wieje tu wiecznie ten sam wiatr, południowo-zachodni pasat, goreje wiecznie to samo słońce podzwrotnikowe. „Ten wiatr szarpie mi serce, słońce spala mi mózg" — skarży się cesarz.[3]

Wiecznie ta sama pora roku: nie zima i nie lato, nie wiosna i nie jesień; jakaś już wprost nadludzka nuda, monotonja wieczności.

Grunt tworzy tu kredowata glina, która po deszczu staje się lepka i do stóp przylepia się takiemi bryłami, że chodzenie staje się męczarnią. Roślinność odpowiada temu gruntowi; składa się ona z karłowatych drzew kauczukowych, powyginanych przez wiatr na jedną stronę, z suchych wrzosów, tłustych kaktusów i bladych garcynij, wydzielających jadowity sok.

Tuż nad samą ziemią pełzną upiorne chmury; gdy się wejdzie w taką chmurę, to wszystko rozpływa się raptem we mgle; człowiek znika nawet samemu sobie i sam staje się upiorem.

Burz na tej wyspie niema. Wierzchołek góry Diany stanowi tu piorunochron. Wiekuista spiekota przytłacza pierś, jest smutek bez końca i tęsknota.

Sam djabeł nie byłby mógł wyszukać miejsca okropniejszego na piekło dla Napoleona.

„Najgorętszem pragnieniem angielskich dyplomatów, gdy Napoleon wpadł

w ich ręce, było to, aby go ktoś powiesił albo zastrzelił. Gdy się z tem nikt nie kwapił, postanowili umieścić go za kratą, niby złodzieja kieszonkowego-pickpocketa" — powiada lord Roseberry.

„Gdyby Anglicy byli Napoleona natychmiast zabili, to byliby postąpili daleko wielkoduszniej, niż wywożąc go na Św. Helenę" — powiada Las Cases, współwięzień cesarza.[4]

„Życia sobie nie odbiorę — powiada Napoleon. — Takiej przyjemności wrogom swoim nie zrobię. Przysiągłem sobie wypić ten kielich aż do dna. Byłbym rad, gdyby mnie oni zabić chcieli".[5] A dalej, nawiązując do niedawnego rozstrzelania króla Murata w Kalabrji, powiada: „Kalabryjczycy byli nie tak barbarzyńscy, byli bardziej wielkoduszni, niż ludzie z Plymouth".[6] „Gdybym otrzymał wiadomość, że nadszedł rozkaz stracenia mnie, uważałbym to za łaskę i byłbym szczęśliwy".[7]

Przez długi czas ludzie nie mogli dźwignąć i spętać olbrzyma, leżącego w śnie letargicznym: wreszcie dźwignęli go, spętali, ułożyli w trumnie, a wieko przybili.

Dnia 15 października 1816 roku, po siedemdziesięciodniowej żegludze, wpłynął „Northumberland" do portu Jamestown i zarzucił kotwicę. Longwood nie był jeszcze urządzony. Jeńca umieszczono w domu angielskiego kupca Balcombe'a, „The Briars", i dopiero 10 grudnia przeprowadzono go do Longwood. Trzy więzienia, trzy trumny, jedna w drugiej: najpierw ocean, Św. Helena oddalona jest niemal o dwa tysiące kilometrów od Przylądka Dobrej Nadziei, — następnie peryferja wyspy, dwadzieścia cztery kilometry; wreszcie trzecie koło, obejmujące dwanaście mil i otoczone łańcuchem strażników, w obrębie którego jeniec mógł chodzić i jeździć. Obóz angielski oddalony był od Longwood tylko o sto kroków i znajdował się bezpośrednio przed oknami mieszkania cesarza. Nie można było zrobić stu kroków bez natknięcia się na angielski bagnet. O dziewiątej wieczorem straże zbliżały się ku sobie: dom był wówczas otoczony tak ściśle, że nikt nie mógł z niego wyjść niedostrzeżony. Przez całą noc patrole krążyły dokoła domu. Wszystkie miejsca, które rzeczywiście, lub pozornie, mogły się nadawać do lądowania, były poobsadzane, podobnie jak wszystkie ścieżki prowadzące ku morzu, choćby nawet były tak strome, że cesarz przy swej korpulencji w żaden sposób nie byłby mógł zejść po nich, nie narażając się na skręcenie karku.

W ciągu długich lat wojennych tak dalece przyzwyczaił się on do ruchu, że długie jazdy konne stały się koniecznością nietylko dla jego zdrowia, ale poprostu dla jego życia. Ale zaledwie przybył do Longwood, z uczuciem obrzydzenia zrezygnował ze spacerów konnych. „Nie mogę się wiercić, jak wiewiórka w klatce. Gdy czuję konia pod sobą, to muszę mieć wolność rozpędu, ale ja wiem, że mi tego nie wolno, i męczę się tem".[8] Lekarze straszą

go niebezpiecznemi chorobami, jeśli nie będzie jeździł. „Tem lepiej, prędzej będzie koniec“ — odpowiada obojętnie.

Przez całe życie był w ruchu, pracował, tworzył, dążył do czegoś, i oto teraz nastał taki zastój, bezruch, bezcelowość życia, bezczynność, spokój — śmierć. „To przejście od życia czynnego do zupełnego bezruchu zniweczyło we mnie wszystko“.[9] Zniszczenie zaczyna się od ducha, w jego najgłębszej istności-woli. Wszechpożerająca wola, bezgraniczna potęga ducha, która niegdyś cały świat ogarniała, zwraca się teraz wyłącznie ku niemu, rozszarpuje go i pożera. „Pożresz własne serce swoje“ — przepowiedział mu Byron. „Tortura spokoju“ — z cudowną trafnością określa Puszkin ten stan rzeczy.

Groza tej tortury polega na tem, że obejmuje ona bezgraniczny okres czasu. Morderczą truciznę pije on kroplami. „Zabijają mnie ukłuciami szpilki — on m'assassine à coups d'épingles“. Jest to jego stała, powtarzająca się skarga. „Ukłuciami szpilki zabija się tego, na którego pokonanie nie wystarczały sprzymierzone armje całej Europy“.[10]

Przypomina on człowieka, którego rozebrano, przywiązano do słupa, pomazano miodem i pozostawiono na pożarcie owadom.

Najokropniejszą w tej torturze jest hańba. „Lornety całej Europy zwrócone są ku Św. Helenie“. Wszyscy ci Fouché'owie, Talleyrandowie, Wellingtonowie i chamskie dusze niewolnicze wszystkich czasów, teraźniejszości i przyszłości, patrzą i wyczekują chwili, w której człowiek nagi zacznie się wić pod ukąszeniami owadów.

„Przysiągłem sobie wypić ten kielich aż do dna“. Ale gdy podniósł go do ust, spostrzegł, że kielich ten jest bezdenny. Straszną jest rzeczą dla człowieka napoły umarłego dusić się w trumnie, a cóż dopiero dla zdrowego, nieśmiertelnie-młodego!

„Co mówią ludzie? Czy się zestarzał? On ma w brzuchu jeszcze czterdzieści wypraw wojennych“ — zawołał pewien żołnierz angielski, gdy go ujrzał na wyspie Św. Heleny.[11]

„Czuję się równie mocny jak dawniej. Nie jestem zmęczony, nie czuję się osłabiony“ — powiada cesarz na początku swej niewoli. — „Sam się dziwię, że ostatnie wielkie wydarzenia tak mało na mnie oddziałały; wszystko to ześliznęło się po mnie jak ołów po marmurze; ciężar ścisnął sprężynę, ale jej nie złamał. Rozpręża się ona z dawną elastycznością“.[12]

Jego zabawy z dziewczynkami Betsy i Jenny Balcombe, córkami właściciela „The Briars“, dowodzą, że w czterdziestoześcioletnim Napoleonie wciąż jeszcze tkwi mały chłopiec. Gawędzi, śmieje się, bawi się w ciuciubabkę, nietylko dla sprawienia przyjemności im, ale dla przyjemności własnej.

Po wielu latach staruszka Betsy umie go sobie przypomnieć jedynie jako czternastoletniego rówieśnika.[13]

Wieczna młodość — wieczna nadzieja.

„Prędzej czy później wyjedziemy stąd do Ameryki lub do Anglji".[14] „Sądzę, że gdy we Francji na nowo zapanuje porządek i spokój, rząd angielski pozwoli mi powrócić do Europy... Tylko umarli nie wracają".[15] Ale w duchu powiada sobie może, iż można wysnuć także wniosek przeciwny: Kto nie powraca, jest umarły.

„Jeśli mnie pan opuści — powiada do generała Gourgauda — to może będę we Francji wcześniej od pana. Tam wszystko kipi. Trzeba cierpliwie wyczekiwać przesilenia. Mam przed sobą jeszcze długie życie; karjera moja jeszcze nie skończona".[16]

Ma nadzieję, że ze Św. Heleną będzie tak samo, jak z Elbą. Angielska partja buntowników (Riots) zapragnie posiąść w nim wodza dla obrony praw ludu, opanuje kilka portów angielskich, wyśle po niego okręty i zawiezie go do Francji dla obalenia Bourbonów.[17]

W Rio de Janeiro został aresztowany francuski pułkownik, który na parowej szalupie starał się przedostać na Św. Helenę dla uwolnienia cesarza. Co nie udało się jednemu, może udać się innym.

Chłopiec okrętowy z angielskiej fregaty „Conqueror" w porcie Jamestown szepnął coś komuś do ucha i w Longwood zapanowuje nastrój uroczysty. „Anglicy sami mówią podobno, że cesarz niedługo powróci na tron".[18]

„Gdyby mi Francja teraz zaproponowała koronę, tobym ją odrzucił — powiada, ale dodaje: — o ile nie byłbym przekonany, że jest to ogólnem życzeniem całego narodu".[19]

A gdyby na Francję już liczyć nie było można, to pozostawałaby jeszcze Ameryka.

„Kto wie, czy Wasza Cesarska Mość nie założy potężnego państwa w Ameryce".

„Nie, nato jestem za stary".[20]

Ale on sam nie wierzy w swoją starość. „Mam przed sobą jeszcze piętnaście lat życia" — powiada w marcu 1817 roku, a w październiku, na krótko przed wybuchem jego śmiertelnej choroby, wywodzi:

„Nie mam jeszcze pięćdziesięciu lat; stan mego zdrowia jest znośny. Mogę żyć jeszcze co najmniej lat trzydzieści".[21]

Tak się odzywa w godzinach jasnych, ale niekiedy słowa jego brzmią też inaczej:

„Pojmuje pan chyba, że gdy się w nocy budzę i przypominam sobie, czem byłem, to muszę miewać także chwile ciężkie!"[22]

Czemże jest jego bezgraniczna nadzieja? Jest ona bezgraniczną odwagą.

„Jak pan się zmienił! — powiada do generała Gourgauda, który stał się melancholikiem i zaczyna myśleć o zdradzie. — Czy powiedzieć panu, dla-

czego? Bo panu brak odwagi. Jesteśmy tu na polu bitwy, a kto opuszcza pole bitwy dlatego, że mu szczęście nie sprzyja, jest tchórzem".[23]

Z mapą przed oczami układa plan ucieczki ze Św. Heleny.

„Za dnia przez miasto byłoby najlepiej. A jeśli uczynimy to od strony wybrzeża, to swemi strzelbami łowieckiemi położymy z dziesięciu strażników".

„Dwudziestu, Najjaśniejszy Panie."[24]

Układa się plany zgoła niedorzeczne. Cesarz ma się przebrać za służącego, albo też ukryć się w koszu z brudną bielizną. Ale człowieka, który nie zna trwogi, a który zdecydowany jest uciec, a nie siedzi za kratami i ryglami, lecz może się swobodnie poruszać na przestrzeni dwunastu mil, nawet najczujniejsze straże świata ustrzec nie zdołają. Mógłby uciekać, ale nie ucieka. Coś go powstrzymuje. Ale co?

„Trzeba się pogodzić ze swoim losem. Wszystko pisane jest w gwiazdach — mówi, patrząc w niebo. — Trzeba być posłusznym własnej gwieździe".[25] „Sądzę, że trzeba to przypisać mej gwieździe, iż dostałem się tutaj".[26]

Oto, co go trzyma i strzeże — jego własna gwiazda, jego dusza, która oddzieliła się od niego i powstała przeciwko niemu. To jest niewidzialny łańcuch, którym przykuty jest do Św. Heleny, jak Prometeusz do swej skały.

„Bóg wojny, bóg zwycięstwa" musi walczyć i zwyciężać do ostatka. Ale z kim musi walczyć? Z longwoodzkiemi szczurami, z pchłami, pluskwami, komarami, moskitami? Także i z niemi, a następnie z dziedzicznym wrogiem — Anglją. Zaś Anglją jest tu Lowe. Lew zamknięty w klatce, musi gryźć kratę; kratą jest Lowe. Pogrzebany za życia musi walić w wieko trumny; a wieko to Lowe.

A może nie jest on bynajmniej tak wielkim łotrem, jak się jeńcowi wydaje? Wysoki, chudy, żylasty, piegowaty, rudy, agent wojskowy i szpieg na Korsyce, który z trudem dochrapał się rangi generała, jest przecie tylko ślepem narzędziem angielskich ministrów.

„Powiedzcie generałowi Bonapartemu, że to szczęście dla niego, iż dostał się w ręce człowieka tak dobrego, jak ja. Drugi byłby go za jego występki spętał łańcuchami" — powiada Lowe.[27] „Dobry człowiek" — to może przesada, ale mógłby też być gorszy od niego.

„Moje instrukcje są tego rodzaju, że poprostu trudno je opowiedzieć" — przyznaje się pewnego razu i listem do ministrów angielskich przymawia się za cesarzem.[28]

„Generał Bonaparte wziął się źle do rzeczy. Powinien był przez kilka lat siedzieć cicho, to wreszcie byłby się świat zainteresował jego losem".[29] Może tak było istotnie, a w każdym razie zdaje się, iż Lowe życzył sobie szczerze, aby tak było.

Był on nawet dowcipny.

„Nie byłbym przypuszczał, że generał Bonaparte przez tyle godzin musi się gotować w gorącej wodzie i że ta procedura musi być tak często powtarzana“ — żartuje sobie dobrodusznie z gorących kąpieli cesarza, na które w Longwood wody poprostu nie starczało. Łotrzy, pozbawieni resztek sumienia, nie żartują.

„Był on największym wrogiem Anglji, a także moim, ale mu przebaczam“ — powiedział później nad trumną Napoleona.[30] Byłaż to haniebna obłuda kata? Któż to wie! W każdym razie niełatwo katowi przebaczyć swej ofierze.

Zresztą obaj oni są katami i ofiarami zarazem. Męczą się i dręczą nawzajem bezustannie; doprowadzają się do szaleństwa; trudno powiedzieć, kto kogo bardziej krzywdzi.

Lowe zaczyna istotnie szaleć z bezustannego strachu, że Napoleon mógłby mu uciec. Wie on, że tamten uciekać może, ale nie wie, dlaczego nie ucieka.

Więzień domaga się od swego strażnika rzeczy niemożliwych: prawa swobodnego ruchu i możności obcowania z mieszkańcami wyspy: znaczyłoby to tyleż, co otworzyć klatkę orła. Żąda, aby mu się strażnik nie pokazywał na oczy: znaczyłoby to zrzec się wszelkiego nadzoru.

„Cesarz powiada, że woli umrzeć, niż obcować z Lowem“.[31] Gdy ten wdziera się do niego przemocą, cesarz krzyczy:

„Wejdzie tu tylko po moim trupie! Dajcie mi pistolety!“[32]

W sypialni jego leży stale kilka nabitych pistoletów i kilka szpad.

Codzień z rana do Longwood przybywa angielski oficer, a gdy cesarz chowa się przed nim, to zagląda on przez dziurkę od klucza, czy więzień jeszcze jest. Pewnego razu, gdy Napoleon siedział w wannie i zauważył, że oficer go obserwuje, wyskoczył z wanny i nagi, z rysami wykrzywionemi wściekłością, ruszył ku oficerowi, grożąc, że go zabije. Przybyły uciekł czem prędzej.

„Pierwszy, który się waży wejść do mnie, zostanie zastrzelony!“

„To mój jeniec wojenny i już ja go ujarzmię!“ — krzyczy wściekły Lowe, ale wie, że nic nie poradzi. Może go zabić, ale go nie ujarzmi. Strażnik więzienia staje się więźniem. „Gdy na mnie spogląda, to oczy ma takie, jak schwytana hiena“ — powiada cesarz. — „Między nami stała filiżanka kawy, a mnie się zdawało, że ją zatruł swojem spojrzeniem. Kazałem Marchandowi (kamerdynerowi) wylać kawę oknem“.[33] W taki sposób „schwytana hiena“ staje się potężną, nadziemską istotą — szatanem piekła w Longwood.

W ciągu ostatnich lat pięciu nie widzieli się ani razu, ale między nimi wrzała bezustannie ponura walka, już nie o rzeczy poważne, ale o drobiazgi, o tytuł cesarski.

„Wolałbym umrzeć, niż pozwolić na to, aby mnie nazywano generałem Bonaparte. Znaczyłoby to, że już nie chcę być cesarzem“.[34]

„Mój panie, dla pana nie jestem generałem Bonaparte. Ani pan, ani

ktokolwiek na świecie, nie może mi wydrzeć tytułu, który mi się należy" — krzyczy na Lowe'a podczas jednego z ich ostatnich spotkań.

Ale czyż sam nie zrezygnował dwukrotnie i czy nie rezygnował także obecnie?

„Dość się naszalałem. Potrzebuję spokoju i dlatego zrzekłem się tronu".[35] Nie, nie zrzekł się. „Abdykację swą cofam i wstydzę się za nią. Był to błąd mój, słabość..."[36] O ofierze swej czasem pamięta, czasem o niej zapomina. Czy może niewolnik Gourgaud miał rację, gdy mówił: „Historja powie, że Wasza Cesarska Mość zrzekł się tylko ze strachu, bo ofiary swej nie ponosi do ostatka".

Bywają wszakże chwile, gdy się nad wszystkiem zastanawia i nad wszystkiem triumfuje.

„On (Lowe) nic mi zrobić nie może. Jestem tutaj równie wolny, jak byłem niegdyś, gdy panowałem nad całą Europą".[37] „Innych upadek ich poniża, mnie podnosi on nieskończenie".[38] „Przeznaczeniu memu potrzeba było nieszczęścia. Gdybym był umarł na tronie w obłoku wszechmocy, to dla wielu byłbym pozostał zagadką. Ale teraz, dzięki memu nieszczęściu, mogę być sądzony w całej nagości".[39] „Może pan nie uwierzy, że nie żałuję swej wielkości? Utraconego nie żałuję!" — „Dlaczego nie miałbym wierzyć Waszej Cesarskiej Mości" — odpowiada Las Cases. „Tutaj jesteś, Najjaśniejszy Panie, stanowczo większy, niż w Tuilerjach. Strażnicy twoi leżą u twych nóg. Duch twój zwycięża wszystko, co się zbliża do niego. Jesteś podobny do świętego Ludwika w niewoli Saracenów — prawdziwym panem zwycięzców".[40]

Albo do Prometeusza, przykutego do skały — „Napoléon cloué sur un roc à la façon de Prométhée".[41]

Ogrodnikiem w „The Briars" był mały niewolnik malajski, Toby. Istnieje zastraszający i cudowny związek między biednym Tobym a biednym „Bonym".*

Z Tobym marynarze angielscy zrobili to samo, co ministrowie angielscy z Bonym. Oszukali go, wywieźli daleko i sprzedali jako niewolnika.

Cesarz zaprzyjaźnił się z Tobym i chciał go wykupić. I Toby pokochał cesarza, i nigdy nie nazywał go inaczej, jak „dobrym panem" — good gentleman — albo poprostu „dobrym człowiekiem" — good man.[42] „Często wypytywał cesarz starego Malajczyka o jego młodość, o strony rodzinne, rodzinę, rozmawiał z nim o jego położeniu obecnem, jakgdyby chciał pojąć jego uczucia".[43]

Gdy razu pewnego poszedł z Las Casesem na spacer i ujrzał Toby'ego, pracującego na zagonie, zatrzymał się i rzekł:

„Jakże nędznem stworzeniem jest jednak człowiek! Skorupa zawsze

* Angielskie spieszczenie nazwiska „Bonaparte".

jednaka, ale jądro różne. Tego ludzie nie chcą zrozumieć i dlatego wyrządzają wiele złego. Gdyby Toby był Brutusem, to byłby się zabił; gdyby był Ezopem, to może byłby się stał doradcą gubernatora; gdyby był głęboko wierzącym chrześcijaninem, to łańcuchy swoje dźwigałby w imię Jezusa Chrystusa i błogosławiłby je. Ale biedny Toby w prostocie serca swego nie myśli o niczem podobnem; garbi się i pracuje".

Przez kilka minut cesarz milczał, a potem, idąc dalej, wywodził:

„Oczywiście, biedny Toby to nie król Ryszard. Ale zbrodnia, jakiej się na nim dopuszczono, jest równie straszna. I ten człowiek miał przecie swoją rodzinę, własne życie, przyjaciół. A gdy mu na kark włożono jarzmo niewoli, dopuszczono się na nim straszliwej zbrodni".

Urwał nagle, a po chwili mówił dalej:

„Po oczach twoich, drogi przyjacielu, widzę, iż myślisz, że Toby nie jest jedyny na Świętej Helenie".

I, jakby dotknięty tem porównaniem, czy też może pragnąc dodać odwagi Las Casesowi, zawołał głosem namiętnym i dumnym zarazem:

„Nie, mój drogi, tu nie może być mowy o jakiemkolwiek porównaniu, bo chociaż zbrodnia druga może być jeszcze większa, to jednak ofiara jej ma więcej sił do walki. Ciała naszego nie dręczą, a gdyby to nawet czyniono, to mamy duszę i umysł, które mogą katów pokonać... Może los nasz godzien jest nawet zawiści. Cały świat patrzy na nas. Wciąż jeszcze jesteśmy męczennikami wielkiej sprawy. Walczymy tu przeciw potędze bogów, a ludy nas błogosławią".[44]

To znaczy: Prometeusz na skale, jako ofiara za ludzkość. Tu kończy się historja Napoleona, a rozpoczyna się misterjum. Czyjże los, czyjaż osoba w dziejach wszystkich czasów i narodów żywiej przypomina starożytnego Tytana?

Papież Pius VII nazwał Napoleona komedjantem. Ale być może, iż całe jego życie, podobnie, jak to porównanie z Tobym, jest komedją już nie ludzką, ale boską.

„Będziesz przedmiotem zawiści podobnych sobie i najnędzniejszym śród nich" — przepowiedział samemu sobie na początku życia, a pod koniec proroctwo to się wypełniło: Napoleon jest biedniejszy od Toby'ego. „Błogosławieni ubodzy duchem" — można to powiedzieć o ludziach takich, jak Toby, ale nie o Napoleonie.

Któż to postawił ich obok siebie, kto ich porównał i naco? Tego wciąż jeszcze nie wie. Uważa, że o porównaniu mowy tu być nie może. Owszem, może być! Czy może syn zapomniał o matce, Napoleon o rewolucji, która słowo Boże powtarza rykiem zwierzęcym, mowę łagodną rykiem gromu: „Ostatni będą pierwszymi?"

„Nikt w świecie nie może mi odebrać należnych mi tytułów". Jeszcze ciągle czepia się swego cesarstwa, jak tonący źdźbła słomy. „Komedjant" wciąż jeszcze gra komedję. W ciasnych izbach domu w Longwood, w niegdysiejszej oborze, gdzie przez uszkodzony dach kapie deszcz, gdzie z wilgotnych ścian w strzępach zwisają perkalowe tapety, gdzie nadgniłe deski podłogi uginają się pod nogami, a szczury biegają całemi stadami — jeden wyskoczył pewnego razu z kapelusza cesarza — panowała surowa etykieta, jak w Tuilerjach. Służący chodzili w liberji, obok miejsca cesarza stało niezajęte krzesło dla cesarzowej, dworzanie musieli stać wyprostowani.

Ktoś w jego obecności zauważył, że Chińczycy czczą swego cesarza jak boga.

„Tak być powinno" — odpowiedział na to.

Podczas jednego ze spacerów zgubił sprzączkę od trzewika. Wszyscy pochylili się, aby ją odszukać. „W Tuilerjach nie byłby na to zezwolił, lecz tutaj zdawało się mu to podobać, a my wszyscy byliśmy mu wdzięczni, że nas nie pozbawił tego zaszczytu" — wspomina Las Cases.

„Sam wiem, że upadłem, lecz gdy ktoś z moich bliskich daje mi to odczuć..." — zaczął cesarz kiedyś mówić, gdy jeden z jego otoczenia go pogniewał. Ale zdania nie dokończył.

„Słowa te, jego gest, brzmienie jego głosu raniły mi serce — opowiada Las Cases. — Byłbym przed nim padł na ziemię, aby całować jego stopy".

„Ludzie są pretensjonalni, egoistyczni i często niesprawiedliwi" — mówił cesarz dalej. — „Wiem o tem i dlatego w niepewności zawsze zadaję sobie pytanie, jak byłbym postąpił w Tuilerjach. To jest mój wielki miernik".[45]

Jest to miernik fałszywy. Napoleon poniża się nim. Ale trzeba mieć duszę niewolnika, jak Gourgaud i tych czterdzieści tysięcy biografów Napoleona, aby się tem cieszyć. „Jest taki mały, jak my, i taki nędzny, jak my".

Prometeusz spętany w wieczności, ale w czasie jest to człowiek, który z opuchłym policzkiem siedzi przy kominie i gdera obyczajem starców:

„Przeklęty wicher. To on przyprawia mnie o chorobę... Patrzcie, drżę przeziębiony, jak tchórz w strachu... Niechże pan powie, panie doktorze, jaka śmierć najlżejsza? Mówią, że najlepiej zamarznąć: umiera się jakby we śnie..."[46]

Wie, że życia sobie nie odbierze, ale o śmierci myśli jak spragniony o wodzie.

Minuty, godziny, dni, miesiące, lata — zawsze ta sama tortura: nuda pożerająca, jak straszliwe słońce podzwrotnikowe.

Nie wie, co robić z czasem. Z rana całemi godzinami wyleguje się w łóżku, albo siedzi w wannie. W ciągu dnia nieumyty, nieogolony, w białym szlafroku, w białych spodniach, w koszuli z rozchełstanym kołnierzem i czerwoną kraciastą chustką na głowie, leży na kanapie i zaczytuje się do zapamiętania.

Stół jest zawalony książkami, a na podłodze leżą kupy przeczytanych, postrzępionych książek. Niekiedy dyktuje całemi dniami i nocami, a potem zakopuje rękopisy w ziemi. Zamiast spacerów konnych, urządził sobie wewnątrz domu długą deskę na paliku i huśta się na niej, jak na drewnianym koniku.

Wieczorami dworzanie zbierają się w salonie Jego Cesarskiej Mości; grają w karty, w domino, w szachy, gawędzą o przeszłości, jak „cienie na polach Elizejskich".

„Niedługo zostanę zapomniany" — powiada cesarz. — „Gdyby pocisk armatni był mnie zabił w Kremlu, to byłbym równie wielki jak Cezar i Aleksander... a teraz jestem prawie niczem..."[47]

Długo siedzi w milczeniu, z głową opartą na dłoniach; wreszcie powstaje i mówi:

„Cóż to jednak za romans moje życie!"[48]

Ogromnie nie lubi osamotnienia po obiedzie, a nawet zdaje się go bać. Całemi godzinami siedzi przy stole, aby się panie nie mogły oddalić, podtrzymuje ospałą rozmowę, albo przechodzi do salonu i czyta nagłos, przeważnie klasyczne tragedje francuskie. Szczególniej lubił „Zairę" Woltera, która otoczeniu tak się zmierziła, że Gourgaud i pani Montholon chcieli mu wykraść tę książkę z bibljoteki. Słuchacze podrzemują, ale on ich pilnuje:

„Madame Montholon, pani śpi?"

„Niechże się pan ocknie, panie Gourgaud!"

Za karę każe im czytać i, założywszy ręce na piersi, słucha, ale po upływie pięciu minut sam zaczyna drzemać.[49]

„Boże mój, co za straszliwa nuda!" — szepcze, gdy pozostaje sam.

Idzie się huśtać na huśtawce, albo posyła generałowi Gourgaudowi zadanie na temat stożków ściętych, zagadnienie zaopatrywania oblężonego miasta w mąkę przy pomocy bomb, albo też filozofuje, ziewając:

„Zdaje się, że człowiek powstał z błota pod wpływem ciepła słonecznego. Herodot opowiada, że za jego czasów ił Nilu przemieniał się w szczury, i można było obserwować, jak się tworzą w ile..."[50]

Albo dokucza prawowiernemu Gourgaudowi, wywodząc, że mahometanizm lepszy jest od chrześcijaństwa, ponieważ połowę kuli ziemskiej zdobył w ciągu wieku, a chrześcijaństwo potrzebowało na to trzy wieki.

„A papież swoją drogą wierzy w Chrystusa!" — dziwił się całkiem szczerze.[51] — Niech pan powie, panie Gourgaud, czy Bóg może zrobić tak, żeby kij nie miał dwóch końców?"

„Może, Najjaśniejszy Panie; obręcz to kij, ale bez końca".[52]

Wszyscy milczą. Cesarz zasępia się i, ziewając, zaczyna na nowo:

„Kardynałowi Caseliemu udawało się czasem zachwiać mnie w mojej niewierze... Ale pomimo to jestem zdania, że gdy się umarło, to już akuratnie —

quand nous sommes morts, nous sommes bien morts. Bo cóż to jest dusza? Gdy na polowaniu w mej obecności patroszono jelenia, to widziałem, że wnętrzności ma takie same jak człowiek... Elektryczność, galwanizm, magnetyzm — oto wielka tajemnica przyrody... Jestem skłonny mniemać, że mózg ludzki, jak pompa, ssie te prądy z powietrza i wytwarza z nich duszę..."[53]

Znowuż milczenie.

„Cóżto, Gourgaud, jesteś pan dzisiaj taki ponury, jak grenadjerska czapa...? A i pani, madame Bertrand, czemu taka smutna? Czy może dlatego, że wczoraj powiedziałem, iż podobna pani do praczki?"[54]

Biedaczka czerwieni się, nie wie, gdzie spojrzeć, a milczenie staje się jeszcze przykrzejsze. Wiatr wyje w kominie; deszcz bije w szyby; chmury pełzną nisko i zaglądają w okna jak upiory.

„Tam do djabła, moi panowie, nie jesteście dzisiaj wcale uprzejmi — powiada cesarz, wstaje od stołu i przechodzi do salonu. — A gdzież to mój biedny Las Cases? On mi przynajmniej opowiadał bajki, a wy wszyscy jesteście jak szlafmyce".[55]

Więźniowie ci nienawidzą się wzajemnie, jak mogą się nienawidzieć tylko jeńcy, leżący na garści słomy w jednem więzieniu. O drobiazgi kłócą się bez końca, i to jeszcze szczęście, bo inaczej chyba oszaleliby z nudy.

Pewnego razu z obory w Longwood uciekła dopiero co przyprowadzona tam krowa, i wszyscy pokłócili się z sobą z tej przyczyny i to tak bardzo, że życie stało się w domu nieznośne. Główna odpowiedzialność za krowę spadała na nadkoniuszego Gourgauda, bo obora krowy stała tuż koło stajni dla koni.

„Cesarz jest ogromnie rozgniewany z powodu krowy. Jeśli się ona nie odnajdzie, to powiedział, że wytłucze wszystkie nasze kury, kozy i koźlęta — zapisuje Gourgaud w swoim dzienniku. — Ale ja o tych krowich sprawach nie chcę nic wiedzieć; cóż mi do tego, czy w Longwood jest o jedną krowę mniej, czy więcej... Zniosę zresztą i to, jak wszystko inne".[56]

Gourgaud jest śmiertelnie skłócony z marszałkiem dworu Montholonem. Co między nimi zaszło, trudno ustalić, ale nieprzyjaźń wzmogła się jeszcze i skutkiem tego, że wmieszała się do niej pani Montholon, mająca miłosny stosunek z cesarzem. Owocem tego stosunku było dziecko, które urodziło się w Longwood. Wiedzieli o tem wszyscy, prócz męża, a może i on wiedział, ale znosił to, milcząc.

Zatarg zaostrzył się wreszcie tak bardzo, że Gourgaud chciał do Montholona wysłać świadków z wyzwaniem.

„Jak pan śmie grozić mu? Pan jest, proszę pana, zbójem i mordercą! Zakazuję panu odgrażać się! Ja sam bić się z panem będę za niego... Ja pana przeklnę..." — krzyczał cesarz, nie śmiejąc spojrzeć generałowi prosto w oczy.

Trzeba rzec prawdę, że sprawa ta jest jedną z najgorszych spraw Napoleona. Aby tak oszukać ostatniego i jedynego przyjaciela, który dochował mu wierności do ostatka, uwieść mu żonę nie przez miłość i nawet nie przez namiętność — kobiet byłoby się dla Napoleona znalazło dość i na Św. Helenie, ale poprostu dla zabicia nudy między „Zairą" a huśtawką, — nato trzeba było upaść istotnie. „Ja wiem, że upadłem". Stopień upadku jest stopniem tortury.

Trwała ona sześć lat. Przez te sześć lat czekał wyzwolenia „Pojmany Rycerz".

„W kamienny pancerz zakuto mnie teraz,
Kamiennym hełmem ściśnięto mi głowę,
Zaklęta tarcza od ciosów nie chroni
A koń mój pędzi i nikt go nie wstrzyma.
Czas niedościgły — mój koń szybkonogi,
Przyłbica moja — więzienne okucia,
Tarcz moja — brama żelazna ciemnicy.
Prędzej leć, czasie, nieścigły i chyży,
Tchu mi nie staje pod nowym pancerzem.
Śmierć, gdy dojadę, potrzyma mi strzemię,
Zsiądę i zrzucę na ziemię przyłbicę".[57]

Śmierć. 1821.

Wreszcie rozchorował się. Cierpienie podkradło się niepostrzeżenie. Pierwsze oznaki: obrzęki nóg, szkorbut, bóle w prawym boku, pojawiły się już wiosną 1817. Doktór O'Meara, lekarz niewybitny wprawdzie, ale człowiek mądry i uczciwy, doniósł Hudsonowi Lowe'owi, że choroba cesarza może się stać niebezpieczna, jeśli się przeciw niej nie przedsięweźmie kroków stanowczych. Główną przyczyną choroby było życie siedzące i uparte zrzekanie się cesarza spacerów konnych, ile że miał wstręt nieprzeparty do poruszania się w zamkniętej przestrzeni.

Lowe przestraszył się oczywiście — nie odpowiedzialności wobec ministrów angielskich, bo rychła śmierć Napoleona mogła im być tylko na rękę, ale czegoś innego: być może, iż nie chciał być zabójcą Napoleona. Dał więc do zrozumienia, że gotów jest zgodzić się na jak najdalsze ustępstwa. Ale cesarz odpowiedział, że sobie nie życzy żadnych dobrodziejstw od „wyrzutka", i wszystko pozostało po dawnemu.

W ciągu półtora roku chory miewał się to lepiej, to gorzej, aż wreszcie

pod jesień 1819 roku stan jego pogorszył się tak dalece, że musiał się położyć.

Czuł bezustanny ciężar i ból w prawym boku. Lekarze sądzili, że jest to choroba wątroby, lecz on sam odrazu odgadł, że chory jest na to samo, na co zmarł jego ojciec, — na raka w żołądku. Nikomu o tem nie mówił, bo może i sam nie miał jeszcze pewności, czy tak jest istotnie.

Odwaga, która zdradziła go w zdrowiu, powróciła w chorobie. Nie chciał umierać — „uciekać z pola bitwy". — „Z ciałem swojem mogłem zawsze robić, co chciałem". Myślał, że uda mu się to i tym razem.

Lekarzom nie ufał, lekarstw nie używał, leczył się po swojemu. Jak tylko po ataku choroby poczuł się lepiej, zabrał się do robót ogrodowych. Kierując partją chińskich robotników, całemi dniami sadził drzewa w ogrodzie, rozplanowywał kwietniki, trawniki, aleje, gaje; urządzał kanały, fontanny, kaskady, groty. Do pracy swojej tak się zapalił, jakgdyby na nowo powziął był nadzieję, że piekło przerobi w raj.

Kuracja ta zdawała się skuteczna, ale roboty kończyły się na niczem: okrutne słońce spalało kwiaty, deszcze spłókiwały roboty ziemne, wiatr łamał i z korzeniami wyrywał drzewa. Raju zrobić nie zdołał: piekło pozostało piekłem. Ta Syzyfowa praca zmierziła mu się tak dalece, że znowuż zamknął się w pokojach.

Powtórzył się atak choroby. W chwilach najcięższych wspominał dzieciństwo i matkę.

„Ach, mamo Letycjo, mamo Letycjo!" — szeptał, zakrywszy twarz dłońmi.[1]

Tam, w początkach życia było coś twardego, Święta Skała, Pietra Santa, jak się nazywała jedna z jego korsykańskich prababek, a tu, u końca życia, taka sama skała, Święta Helena, a wszystko, co mieści się między niemi, to tylko przelotny obłok-upiór.

Wstał jeszcze raz i zaczął chodzić po pokojach, ale z każdym dniem stawał się słabszy.

„Cóżto za życie! — mówił. — Przecież ja nie żyję, ale wegetuję! Wszystko jest mi ciężarem, wszystko mnie męczy... Ach, doktorze, jakąż dobrą rzeczą jest spokój! Najlepszą dla mnie rzeczą jest łóżko; nie oddałbym go za wszystkie królestwa świata. Ale jakże nisko upadłem! Dawniej nie znosiłem pokoju, a teraz jestem jak odrętwiały; muszę się zmuszać do otwarcia oczu. Dawniej mogłem czterem albo pięciu sekretarzom dyktować jednocześnie najróżniejsze rzeczy, a pisali tak szybko, jak mówiłem. Ale wtedy byłem Napoleonem, a dzisiaj jestem niczem!"[2]

Nie, jeszcze dzisiaj był tem, czem był ongi. Lekarz badał mu kiedyś puls. Chory spojrzał, uśmiechnął się do niego i rzekł:



ŚMIERĆ NAPOLEONA
(według stalorytu Lerouge'a z rysunku K. Steubena).

„To tak samo, jakgdyby się generał wsłuchiwał w manewrującą armję"...[3]

Uchem słyszał, ale okiem nie widział: był ślepy. W tem powiedzeniu wyraża się cały jasnowidz, Napoleon.

Znowuż duch pokonywa ciało. Siłą woli odzyskuje zdrowie.

„Do djabła z medycyną!" — powiada do doktora Antommarchiego, młodego Korsykanina, człowieka nieokrzesanego i ciemnego, ale zarazem bardzo zarozumiałego. — „Jest we mnie jeszcze coś, co mnie elektryzuje i wzbudza we mnie myśli, że moja maszyna jeszcze jakiś czas będzie posłuszna mej woli. Czy nie tak, zatracony doktorze, fujaro korsykańska?" — śmieje się i pociąga go za ucho.[4]

Odbywa dłuższą przejażdżkę konną, pędzi galopem pięć-sześć mil. Ale zabieg ten już nie skutkuje. Ta forsowna jazda nie wywołuje obfitych potów jak dawniej, a po niej czuje się on jeszcze gorzej, niż przedtem. „Cesarz jest bardzo smutny" — zapisuje sobie Antommarchi dnia 23 stycznia 1821 roku.

„Nie oszukuj mnie, doktorze, będę umiał umrzeć odważnie" — powiada chory nazajutrz. — „Gdy wybije moja godzina, to ani pan, ani wszyscy lekarze świata odmienić tego nie zdołają".[5]

Zrozumiał, że nie z chorobą walczy, ale ze śmiercią, a patrzy jej w oczy tak spokojnie, jak dawniej na polu bitwy, chociaż tutaj, człowiekowi żywcem pogrzebanemu, przychodzi to daleko trudniej.

„Czemu to oszczędzały mnie kule, jeśli było mi pisane umrzeć śmiercią tak nędzną?" — buntuje się czasem.[6]

„Kiedy jeszcze byłem Napoleonem — mówi pewnego razu, myjąc się — to robiłem te rzeczy szybko i wesoło. Ale czy teraz nie wszystko jedno, jak wyglądam? Takie drobiazgi kosztują mnie dzisiaj więcej trudu, niż dawniej ułożenie planu całej kampanji".[7]

Nie jadał prawie wcale; po każdym kąsku miewał nudności i womity. Bóle w boku i w żołądku stawały się nieznośne.

„Tutaj — skarżył się — jest tak, jakby się wrzynała brzytwa".[8]

Codzień wieczorem oficer służbowy musiał meldować gubernatorowi, że widział „generała Bonapartego". Ale przez dwa tygodnie nie mógł złożyć zwykłego meldunku, bo cesarz ani się pokazywał, ani nawet nie podchodził ku oknu. Lowe przybył wreszcie sam do Longwood, chodził dokoła domu, starając się zobaczyć cesarza, ale go nie zobaczył. Oddalając się, zagroził oficerowi, że się z nim rozprawi, jeśli nie postawi on na swojem i nie każe sobie pokazać Napoleona żywego czy umarłego.

Oficer postawił wreszcie na swojem: stał tuż przy oknie i przez rozsunięte firanki zaglądał do pokoju, w którym chory siedział w fotelu. Ale Lowe nie zadowolił się tem i żądał, aby jego zaufany oficer został wpuszczony do domu, grożąc, że w przeciwnym razie wtargnie do niego przemocą. Można sobie

wyobrazić, czemby się to było skończyło, gdyby się cesarz nie był zgodził przyjąć angielskiego lekarza pułkowego Arnotta, o którego bystrym umyśle i szlachetności serca słyszał bardzo wiele.

Arnott doradzał mu, aby się przeprowadził do nowego domu, który zbudowano dla niego w Longwood: pokoje są tam większe i jest tam więcej powietrza.

„Naco? Umrę i tak, i tak" — odpowiedział Napoleon z takim spokojem i pewnością siebie, że lekarz nie miał odwagi zaprzeczyć mu.[9]

Drugiego kwietnia, dowiedziawszy się, że na horyzoncie ukazała się kometa, rzekł cesarz, jakby mówił do samego siebie:

„A więc śmierć: kometa przepowiedziała także śmierć Cezara".[10]

Nagle zrobiło się mu lepiej. Ból ustał. Cesarz mógł jeść, nie doznając mdłości. Przeniósł się z łóżka na fotel; czytał gazety, słuchał historji Hannibala, „Iljadę". Kazał zerwać kwiatek w ogrodzie i wąchał go długo. Wszyscy się cieszyli.

„No i cóż, doktorze, to znaczy, że jeszcze nie koniec?" — rzekł cesarz wesoło, gdy do pokoju wszedł Antommarchi. Potem rozejrzał się dokoła i mówił dalej:

„Tak, drodzy przyjaciele, dzisiaj jest mi lepiej, ale ja i tak wiem, że koniec mój niedaleki. Gdy umrę, powrócicie do Europy, zobaczycie krewnych i przyjaciół, i będziecie szczęśliwi. I ja zobaczę swoich dzielnych bohaterów na polach Elizejskich: Klebera, Desaix, Bessières'a, Duroca, Neya, Murata, Massenę, Berthiera — wszyscy oni pośpieszą mi na spotkanie, będą ze mną rozmawiać o tem, cośmy wspólnie przedsiębrali, i będą poprostu szaleli z zapału i z olśniewającej swej sławy. Będziemy rozmawiali o swoich wojnach z Hannibalem, Scypjonem, Cezarem, Fryderykiem. Cóżto będzie za radość! Byle się niebo nie przestraszyło, gdy się zbierze razem tylu wojowników!" — dodał ze śmiechem.[11]

Wszedł Arnott. Cesarz powiedział i jemu, że czuje się lepiej.

„A jednak, drogi doktorze, sprawa jest załatwiona, cios został zadany, umieram" — dodał po chwili milczenia innym tonem, bardziej uroczystym. — „Podejdź bliżej, Bertrand, ja będę mówił, a ty słowo w słowo przetłumaczysz na angielski moją mowę panu Arnottowi".

Wyliczywszy wszystkie oszustwa, gwałty, zbrodnie i zdrady Anglji, kończył tak:

„Wyście mnie zabili, więc umierając na tej straszliwej skale, w spadku przekazuję hańbę i grozę śmierci panującemu domowi Anglji".[12]

Wieczorem znowuż zrobiło się gorzej. Siły opuściły go niemal zupełnie; był jak omdlały.

Na kilka dni przedtem zaczął pisać swój testament. Teraz pracował nad

nim dalej. Właśnie miał jeszcze dość sił, więc kazał wezwać Montholona i Marchanda, zamknął się z nimi i, siedząc w łóżku, jedną ręką trzymał teczkę z papierami, a drugą pisał. Gdy po womitach dostał ostrych dreszczów, Montholon owijał jego lodowate nogi gorącemi chustkami.

„Wasza Cesarska Mość powinien odpocząć" — rzekł Montholon.

„Nie, mój synu, czuję, że trzeba się śpieszyć".[13]

Gdy siły opuszczały go zupełnie, wypijał szklankę mocnego wina konstanckiego, czyli „lał oliwę na ogień", jak się wyrażał Arnott, i pisał dalej.[14]

Testament zawiera mnóstwo punktów, a każdy z nich jest bardzo szczegółowy. Wymienia on setki spraw, sum i osób. Wspomina wszystkich, którzy mu w życiu wyświadczyli co dobrego, dziękuje im i wyznacza nagrody nietylko żywym, lecz i umarłym, w osobie ich dzieci i wnuków. Dodaje coraz nowe imiona, i daleko do końca spisu, bo się boi, że mógłby kogoś zapomnieć.

Po strasznej nocy, w ciągu której miał ostrą gorączkę i bredził, kazał sobie podać szkatułki z kosztownościami i na łóżku na kołdrze porozkładał tabakierki, bombonierki, medaljony, kamee, zegarki, ordery, gwiazdy legji honorowej, i wymieniał osoby, które przedmioty te mają otrzymać jako pamiątki. Doktór Arnott ma otrzymać złotą kasetkę. Na herbowej tarczy, która zdobi wieko, rysuje cesarz między dwoma atakami womitów ręką drżącą, niezgrabnie, ale starannie, swoje cesarskie „N".

Gdy wszystko uporządkował i pozapisywał, zapakował te rzeczy na nowo, poowiązywał pudełka czerwonemi i zielonemi wstążkami jedwabnemi, opieczętował je, a klucze oddał Marchandowi.

„Ciało moje ma zostać poddane sekcji, a jeśli się pokaże, że istotnie miałem raka w żołądku, to niech pan powie memu synowi, aby się miał na baczności" — powtarza raz za razem Antommarchiemu. „Ta choroba jest podobno dziedziczna w naszej rodzinie. Niechże przynajmniej mój syn jej uniknie. Obiecał mi to pan, panie doktorze. Proszę nie zapomnieć o tem".[15]

Pamięta o towarzyszach swoich i o ich powrocie do ojczyzny, aby im nie wypadło biedować w drodze powrotnej, jak już biedowali w drodze do niego. Robi dokładny spis wszystkich wiktuałów, jakie znajdują się w Longwood; nawet o owcach nie zapomniał.[16]

„Ja nie jestem dobry — mawiał nieraz — nie, dobry nie jestem i nigdy dobry nie byłem, ale na mnie można polegać, je suis sûr.[17]

Istotnie, można polegać na człowieku, który pamięta o cudzym głodzie nawet wówczas, gdy sam doznaje nudności i wciąż womituje.

W nocy w straszliwych dreszczach, pod brzytwą ostrego bólu, dyktuje dwa Marzenia — Rêveries: pierwsze niewyraźne, być może gorączkowa maligna, drugie — o najdoskonalszej organizacji Gwardji Narodowej dla obrony Francji przed obcym najazdem".[18]

„A moi biedni Chińczycy! — przypomina sobie nagle. — Na pamiątkę rozdajcie im dwadzieścia sztuk złota. I z nimi trzeba się przecie rozstać, jak się należy!“[19]

W testamencie prosi, aby go pochowano na brzegach Sekwany „śród narodu francuskiego, który tak kochał“,[20] albo „na Korsyce, w katedrze w Ajaccio, obok jego przodków“.

„A jeśli nie wypuszczą mnie stąd nawet umarłego, to pochowajcie mnie tam, gdzie płynie ta woda, taka świeża, taka czysta“.[21]

Codzień przynoszono mu wodę z sąsiedniej doliny Geranji, gdzie pod trzema wierzbami tryskało czyste i chłodne źródło. Woda ta stała się mu w czasie jego choroby osobliwie miła. Zawsze, gdy się jej napił, powtarzał: „C'est bon, c'est bien bon“.[22]

Wyrażając życzenie, aby był pochowany koło tego źródła, ofiarowywał niejako matce Ziemi resztę tego, co posiadał — prochy swoje.

„Umieram w wierze rzymsko-apostolskiej, w której się urodziłem“ — pisze w swoim testamencie.[23]

Czy tak jest istotnie?

Na początku swojej choroby prosił wuja, kardynała Fescha, iżby przysłał mu dwóch kapłanów, aby nie „zdechł, jak pies“.[24] Ów przysłał mu dwóch starych korsykańskich księży: ojca Vignaliego i ojca Buonavitę.

Dnia 21 kwietnia, gdy chory zrozumiał, że umrzeć musi, wezwał ojca Vignaliego i rzekł do niego:

„Czy ksiądz wie, co to jest „chambre ardente?“

„Wiem, Najjaśniejszy Panie“.

„Czy ksiądz urządzał ją kiedy?“

„Nie, Najjaśniejszy Panie“.

„Urządzi ją ksiądz dla mnie. Gdy umrę, to proszę ustawić ołtarz w pokoju sąsiednim, postawić na nim kielich z Hostją i odmawiać modlitwy za umarłych. Urodziłem się w wierze katolickiej, pragnę zachować wszystkie jej ceremonje i otrzymać wiatyk“.

W tej chwili uśmiechnął się doktór Antommarchi, który stał w nogach łóżka cesarskiego.

„Pańskie głupstwa już mi się sprzykrzyły, panie doktorze! — zawołał cesarz. — Pańską lekkomyślność i pańskie złe maniery mogę panu wybaczyć, ale pańskiej oschłości serca nie wybaczę nigdy! Precz!“

Lekarz wyszedł.

„Gdy umrę — mówił Napoleon dalej do księdza — proszę mnie położyć w „chambre ardente“ i modlić się tam bez przerwy aż do mego pogrzebu“.

Przez chwilę milczał, a potem mówił o ojczystej wiosce księdza Vignaliego

na Korsyce, o domku, jaki chciał sobie tam zbudować, i o zacisznem życiu, jakie byłby tam prowadził".[25]

Ojciec Vignali padł na kolana, w milczeniu ucałował rękę chorego, zwisającą z łóżka, i ze łzami w oczach opuścił pokój, nie wyrzekłszy ani słowa. Być może, iż zrozumiał, że z człowiekiem, który tak dobrze mówił o rzeczach ziemskich, nie trzeba rozmawiać o rzeczach niebieskich.

Upłynęły jeszcze dwa tygodnie — dwa tygodnie mąk śmiertelnych. O ojcu Vignalim cesarz jakby zapomniał, a jeśli o nim pamiętał, to widać swoje sprawy ostateczne ciągle odkładał. Wreszcie dnia 2 maja posłał po niego, żądając wszakże, aby ksiądz przybył do niego w ubiorze cywilnym — „en costume bourgeois" — i aby nikomu nie pokazywał tego, co przyniesie, mianowicie kielicha z Hostją. Rozkaz ten powtórzył kilkakrotnie".[26]

„Zdaje się, że Napoleon życzył sobie otrzymać wiatyk kościelny, ale wstydził się to uczynić jawnie, ponieważ wiedział, że wielu uważać to będzie za słabość, a może i dlatego, że sam uważał to za słabość" — powiada lord Holland, na podstawie wiadomości, otrzymanej od Montholona.[27]

Duchowny wszedł do pokoju umierającego i pozostał z nim sam. Marchand, który stał przed drzwiami pokoju przyległego, nie wpuszczał nikogo. Po upływie pół godziny ojciec Vignali wyszedł i w prostocie swego serca, wbrew życzeniu cesarza, powiedział, że cesarz się wyspowiadał i przyjął ostatnie namaszczenie, ale nie przyjął Komunji Świętej, „z powodu stanu swego żołądka".[28]

Po sakramencie nie zmieniło się nic: umierający był tak samo jak przedtem prosty i dobry dla wszystkich, zapominał o sobie dla innych, ale o rzeczach niebieskich nie myślał. Myślał tylko o sprawach ziemskich: tylko Ziemię kochał do ostatka.

W godzinę po odejściu ojca Vignaliego, wezwał wszystkich swoich towarzyszy i rzekł do nich:

„Umieram. Bądźcie wierni mej pamięci i nie zamraczajcie jej niczem. Uświęciłem wszystkie dobre zasady, przelałem je w swoje prawa i w swoje czyny... Niestety, okoliczności były twarde i zmuszały i mnie być twardym w wyczekiwaniu lepszych czasów. Ale szczęście odwróciło się od nas, a ja nie mogłem odprężyć napiętego łuku. Nie otrzymała więc Francja tych instytucyj wolnościowych, jakie jej dać zamierzałem. Ale ona mnie nie potępi, gdyż zna moje zamiary, kocha moje imię, moje zwycięstwa. Bądźcież i wy w jedności z Francją i nie zdradźcie naszej sławy... Zdala od niej wszystko jest hańbą i zagładą".[29]

Kto tak mówi, ten nie kaja się z niczego.

W ciągu ostatnich dwóch dni cierpiał bardzo, był smutny, miotał się, gorączkował. Zaspokajając pragnienie wodą ze źródła doliny Geranji, powtarzał za każdym razem:

„Dobra, bardzo dobra".

W gorączce bredził o swoich bitwach.

„Stengel, Desaix, Massena... Aha, zwycięstwo się waży... Szybko, szybko, do ataku! Zwyciężymy!"[30]

W nocy z 4 na 5 maja lada chwila oczekiwano końca. Na dworze szalał wicher, Montholon był przy cesarzu sam. Cesarz, który dopiero co bredził w gorączce tak niewyraźnie, że słów jego nie można było zrozumieć, krzyknął nagle:

„Francja... Armja...!"

Wyprostował się i wyskoczył z łóżka. Montholon chciał go powstrzymać, ale cesarz się oparł i obaj upadli na podłogę. Umierający tak mocno ścisnął Montholona za szyję, że ten byłby się zadusił, a wołać o pomoc nie mógł. Wreszcie w pokoju sąsiednim usłyszano hałas, pośpieszono z pomocą, rozdzielono walczących i ułożono Napoleona na łóżku. Już się więcej nie poruszył. Był to ostatni wybuch tej siły, która niegdyś wywracała świat.

Przez cały dzień leżał jak umarły. Tylko z wyrazu twarzy można było poznać, że wielki Wojownik wciąż jeszcze walczy — z ostatnim wrogiem — śmiercią.

Ku wieczorowi wichura przycichła. O godzinie piątej minut czterdzieści i dziewięć z bastjonów twierdzy Jamestown rozległ się strzał armatni, zapowiadający capstrzyk. Słońce zachodziło — Napoleon skonał.

Zwłoki jego ułożono na wąskiem łóżku polowem i przykryto je niebieskim płaszczem wojskowym. U boku położono mu szpadę, na piersi krzyż.

Jego umarła twarz odmłodniała i przypominała twarz Bonapartego, Pierwszego Konsula.

Gdy podoficerowie angielskiego garnizonu w Longwood żegnali zwłoki cesarza, jeden z nich rzekł do swego małego synka:

„Przypatrz mu się dobrze, to największy człowiek świata".[31]

Pochowano go w Geranji obok źródła pod trzema płaczącemi wierzbami.

Lowe targował się z Francuzami o napis na grobie: Napoleon czy Bonaparte? Nie mogli się zgodzić, więc grób pozostał bez napisu. Może tak było najlepiej: spoczywał tu większy od Bonapartego i większy od Napoleona — Człowiek.

„Chcę, aby prochy moje spoczęły na brzegiem Sekwany". Życzenie to zostało później spełnione, ale kto wie, czy nie powiedział prawdy piewca Napoleona, Lermontow, wywodząc, że duch cesarza tęskni

„Za wyspą upalną pod niebem dalekich stron,
Gdzie go ocean strzegł, jak On niezwyciężony,
Ocean, wielki, jak On..."



MASKA POŚMIERTNA NAPOLEONA.

i gdzie nad bezimienną mogiłą błyszczała Konstelacja Krzyża. W życiu nie zdołał pojąć, ale może pojął w śmierci, co to jest Krzyż.

Napoleon sam się nigdy za siebie nie modlił, lecz opowieść o nim lepiej może zakończyć modlitwą:

Wieczne daj odpocznienie, o Panie, duszy zgasłego sługi Twego, Napoleona, w przybytkach sprawiedliwych!

NAPOLEON-CZŁOWIEK.

Sędziowie Napoleona.

Losem wezwany do wypełnienia
niewiadomego rozkazu...
Puszkin.

Ukazać oblicze człowieka, dać zajrzeć w jego duszę, to według Plutarcha cel wszelkiej biografji, „opisu życia“ bohatera.

Pod tym względem Napoleon szczęścia nie miał. Ale nie dlatego, by pisano o nim za mało; przeciwnie, pisano o nim tyle, ile o żadnym człowieku naszych czasów. Napisano o nim podobno już czterdzieści tysięcy książek, a wiele ich jeszcze napiszą! I nie można powiedzieć, aby to było bez pożytku. Dowiadujemy się nieskończenie wiele o jego wojnach, polityce, dyplomacji, ustawodawstwie, administracji; o jego ministrach, marszałkach, braciach, siostrach, żonach, kochankach, a nawet to i owo o nim samym. Ale rzecz osobliwa: im więcej się o nim dowiadujemy, tem mniej go znamy.

„Ten wielki człowiek staje się coraz bardziej nieznany“ — powiada Stendhal, jego współczesny.[1] „Dzieje Napoleona są najbardziej nieznane ze wszystkich dziejów“ — mówi pisarz współczesny, Leon Bloy.[2]

To znaczy, że w ciągu przeszło wieku „nieznajomość“ Napoleona wzrasta.

Istotnie, chociaż rzecz to niesłychanie dziwna, Napoleon przy całej swej sławie jest nieznany. Czterdzieści tysięcy książek — czterdzieści tysięcy kamieni nagrobnych, a pod niemi „nieznany żołnierz“.

Może pochodzi to stąd, że według słów Heraklita „choćby się wszystkie drogi przewędrowało, do dna duszy się nie dotrze, taka ona jest głęboka“. Nie znamy przecie nawet duszy ludzi nam najbliższych; nie znamy także własnej.

Czy też może duszy jego wogóle niepodobna zamknąć w książce? Z pomiędzy kartek ucieka ona, jak woda przecieka pomiędzy palcami. Pod badawczem spojrzeniem historji tajemnica jego pogłębia się coraz bardziej, jak niezgłębione i przezroczyste wody pod promieniem reflektora.

Istotnie, nieznajomość Napoleona ma swą przyczynę i w tem, ale zdaje się, że nietylko w tem. Do cudzej duszy wtargnąć niepodobna, ale można się do niej zbliżyć, albo koło niej przejść. Być może, że i my przechodzimy koło duszy Napoleona.

Poznawać cudzą duszę, to znaczy oceniać ją, a w czyjej duszy znajdziemy wagę dla takiego ciężaru jak Napoleon?

„Do niczego nie mogę przyrównać uczuć, jakich doznawałem w obecności tej potężnej istoty" — wspomina pewien współczesny jego, nietyle nawet wielbiciel, ile raczej oskarżyciel.[3] Wrażeń takich doznają wszyscy, którzy zbliżają się do niego, zarówno przyjaciele, jak wrogowie. Przyczyną tego jest może nie samaż wielkość, ale na pewno ogrom i niewspółmierność jego duszy przy porównaniu jej z innemi duszami ludzkiemi. Śród nas jest on tem, czem był Gulliwer śród Liliputów.

Karły patrzą swemi małemi oczkami, które wszystko powiększają, niby mikroskop, i widzą każdą komórkę naskórka Gulliwera, lecz jego twarzy nie widzą: wydaje się im ona olbrzymią mglistą plamą. Swoim malutkim łokciem mogą wymierzyć jego ciało z matematyczną dokładnością, ale wmyśleć się w nie i wczuć — nie mogą.

I my nie możemy wczuć się w duszę Napoleona. A tego właśnie potrzeba, aby go poznać: nie ujrzawszy czyjej duszy od wewnątrz, poznać jej niepodobna.

Zdaje się, że tylko jeden człowiek mógł sądzić Napoleona, jako równy równego, a mianowicie Goethe. Czem Napoleon jest w dziedzinie czynu, tem Goethe jest w kontemplacji: obaj są organizatorami chaosu-rewolucji. I właśnie dlatego we drzwiach, wiodących z jednej izby do drugiej, z wieków średnich w czasy nasze, stoją naprzeciw siebie, niby dwie olbrzymie karjatydy.

„W życiu Goethego nie było nic większego nad tę najrealniejszą istotę, nad to „ens realissimum", któremu na imię Napoleon" — powiada Nietzsche.[4]

„Napoleon to istne streszczenie świata". — „Życie jego to życie półboga. Można rzec, że ten blask, który go otaczał, nie przygasał ani na chwilę, i dlatego właśnie życie jego jest takie promienne. Świat nigdy dotąd nie widział i może nigdy nie ujrzy nic podobnego".[5] Taki jest sąd Goethego, człowieka równego Napoleonowi. A gdy chodzi o nas, nierównych jemu, to stosunek jest jeszcze gorszy, niż porównanie Liliputów z Gulliwerem. Mamy tu do czynienia z różnicą dusz nietylko co do wielkości, wzrostu, ilości, lecz i co do jakości. Jego dusza inna jest niż u ludzi wogóle — innej natury. I dlatego wzbudza on w ludziach taki niepojęty strach, do niczego ziemskiego zgoła niepodobny.

„Strach, wzbudzany przez Napoleona — wywodzi pani de Staël — ma źródło w tem osobliwem oddziaływaniu jego osobistości, jakiego doznawali wszyscy, którzy zbliżali się do niego. W życiu swojem dość spotykałam ludzi godnych czci albo pogardy, ale w tem wrażeniu, jakie wywoływał we mnie Napoleon, nie było niczego przypominającego jednych albo drugich". — „Rychło spostrzegłam, że osoby jego niepodobna wyrazić słowy, jakich przy-

wykliśmy używać. Nie był on ani dobry, ani zły, ani miłosierny, ani okrutny, w tym sensie, jak się mówi o ludziach wogóle. Taka istota, nie mająca podobnej sobie śród ludzi, nie mogła właściwie ani wzbudzać, ani doznawać współczucia. Był on albo mniej, albo więcej niż człowiekiem: jego postać, rozsądek, mowa — wszystko miało na sobie piętno jakiejś obcej natury".[6]

„Był on na naszym świecie cudzoziemcem, i tajemnicą było wszystko w nim" — tak go zrozumiał siedemnastoletni chłopiec rosyjski, Lermontow, który Napoleona nigdy nie widział. Było to „ens realissimum", jakie nigdy dotąd nie stąpało po powierzchni globu ziemskiego, pan świata — cudzoziemiec. „Królestwo moje nie z tego jest świata" — byłby mógł powiedzieć i on, chociaż nie w tem znaczeniu, w jakiem słowa te zostały wypowiedziane po raz pierwszy.

Sam on zdaje sobie sprawę z „inności" duszy mieszkającej w jego piersi. „Jestem zawsze sam śród ludzi" — tak tłumaczy siedemnastoletni, nikomu nieznany porucznik artylerji Bonaparte, całe swoje przyszłe życie.[7] A potem, stojąc u szczytu potęgi, powiada: „Nie jestem podobny do nikogo; nie przyjmę niczyich warunków".[8] O pewnym zaś mężu stanu, o sobie samym, powiada: „Był zawsze osamotniony, zawsze stał po jednej stronie, gdy po stronie drugiej był cały świat".[9]

Ta „inna dusza" budzi w ludziach nietylko strach i nietylko odstręcza ich, ale także przyciąga. Raz wzbudza ona uczucie miłości, to znowu — nienawiści. „Wszyscy mnie kochali i wszyscy nienawidzili".

Ten wysłaniec boży, męczennik za sprawę ludzkości i nowy Prometeusz, przykuty do skały na wyspie Świętej Heleny, ten nowy Mesjasz a zarazem zbójca, znajdujący się poza prawem, korsykański ludożerca, apokaliptyczna bestja otchłani, Antychryst — był dla wszystkich wszystkiem. Bodaj że o żadnego człowieka nie zmagała się tak wytrwale miłość z nienawiścią. Sprzeczne promienie tych uczuć przesłaniają jego twarz tak dalece, że jej widzieć nie można. Czy on sam się widział?

„Tysiąclecia przeminą, zanim powtórzą się okoliczności podobne do moich i wydadzą człowieka takiego, jak ja".[10] Mówi on to bez pychy, albo też pycha jego tak dalece podobna jest do pokory, że jednej od drugiej odróżnić niepodobna.

„Gdyby mi się było udało wykonać, co zamierzałem, to byłbym po sobie zostawił sławę największego człowieka, jaki istniał kiedykolwiek. Ale i tak, pomimo niepowodzenia mego, uważany będę za człowieka niezwykłego".[11] Bodaj że jest to zbyt korne o sobie mniemanie, po którem przychodzi jeszcze korniejsze: „Niedługo zostanę zapomniany; historycy niewiele będą mieli o mnie do powiedzenia".[12] „Gdyby mnie kula armatnia była zabiła na Kremlu, to byłbym równie wielki jak Aleksander lub Cezar, bo dzieła moje i moja

dynastja byłyby się we Francji utrzymały, a teraz będę prawie niczem".[13] To powiada człowiek za życia pogrzebany na wyspie Św. Heleny. Mówi o sobie spokojnie, beznamiętnie, niby o kimś postronnym, jak człowiek żywy o osobie umarłej, albo jeszcze spokojniej: jak umarły o żyjącym. Ten cudzoziemiec istnienia jest obcym samemu sobie. Spogląda na siebie zboku i, myśląc o sobie, nie mówi „ja", ale „on".

Niekiedy wydaje się, że i on tak samo nie zna siebie, jak my go nie znamy. Wie on tylko tyle, że ziemi ciężko jest dźwigać człowieka takiego, jak on. „Gdy umrę, to cały świat odetchnie z ulgą: uf!"[14] „Przyszłość pokaże, czy dla świata byłoby lepiej, gdybym nigdy nie był istniał".[15]

Tak mówi czasem, ale przygodnie znajduje inne słowa: „Nadejdzie czas, że ludzie będą opłakiwać moje nieszczęścia i mój upadek".[16] „Będziecie mnie opłakiwać krwawemi łzami".[17]

„Fu vera gloria?
Ai posteri ardua sentenza".

„Niechaj potomni rozwiążą trudną zagadkę,
Czyli prawdziwą była jego sława".[18]

Ale i potomni byli sędziami nielepszymi od współczesnych.

„Potworna mieszanina proroka i szarlatana". — „Zakłamany jak sprawozdanie z pola bitwy — to przysłowie nie bez powodu krążyło za jego czasów". — „Jego mocna, jasna, prosta, włoska natura, w mrocznej francuskiej atmosferze przemieniła się w fanfaronadę". — „Zakłamał się do ostatnich granic i przepadł w nicości". — „Biedny Napoleon, nasz ostatni bohater!" Tak wyraża się Carlyle w swojej głośnej książce o „Kulcie bohaterów". Gdyby zdanie to było sprawiedliwe, to trudno byłoby zrozumieć, w jaki sposób ten „szarlatan, przepadły w nicości", popadł między zastępy bohaterów. Zresztą obraz Napoleona jest tu naszkicowany tak marnie, brutalnie i powierzchownie, że nie warto zastanawiać się nad nim.

Mocniejszy od Carlyle'a jest Taine. Jego książka o Napoleonie[19] zdaje się być owem ostatniem dziełem, które zdobyło sobie dusze czytelników i nierychło da się z nich wyprzeć. Wpływ swój na dusze i uczucia zawdzięcza to dzieło nietyle bodaj talentowi i erudycji autora, ile raczej jego zgodności z duchem czasu. Taine powiedział o Napoleonie to wszystko, co ogół miał na sercu.

„Bezmierny we wszystkiem, a jeszcze bardziej dziwaczny, przekracza on nietylko wszelkie granice, ale rozsadza każdą ramę. Jego temperament, popędy, namiętności i moralność wzbudzają mniemanie, że jest on ulany z innego metalu i według innej formy, niż jego współobywatele i współcześni.

Od czasów Cezara nie było niczego, co mogłoby mu dorównywać głębią i rozległością genjalnych planów, bohaterską siłą ducha, rozsądku i woli".[20]

Taki jest początek, a oto zakończenie: „Polityczna działalność Napoleona jest czynem egoizmu, na którego usługach był genjusz. Ten egoizm, który panował zarówno nad wzniesioną przez siebie budowlą ogólno-europejską, jak i nad francuską, zniszczył wszystko". Śród ludzkości Napoleon jest „wspaniałym drapieżnikiem, puszczonym na spokojne stado". — „W nim ujawnia się bezmierność i okrucieństwo jego egoizmu", gdy w roku 1813 w Dreznie wyraża się do Metternicha: „Człowiek taki, jak ja, gwiżdże na życie miljona ludzi". — „Z takim charakterem, jak jego, istotnie trudno wyżyć; genjusz jego zbyt jest wielki i niszczycielski; im większy, tem fatalniejszy". — „Jest to egoizm, który rozrósł się w potwora i w łonie społeczności ludzkiej wytworzył sobie przepotężną jaźń, wysuwającą coraz dalej swoje drapieżne i uporczywe macki; wszelki opór obraża go, wszelka wolność go ogranicza, a w granicach swego bezmiernego zasięgu, któremi zawładnął, nie cierpi żadnego życia, o ile nie jest ono dodatkiem i narzędziem jego życia własnego".[21] Innemi słowy jest to potworny pająk, który cały świat trzyma w łapach i wysysa go niby muchę, albo też jest to maszyna piekielna, wymyślona przez szatana dla zniszczenia świata, albo wreszcie bestja apokaliptyczna, wychodząca z otchłani. Napoleon-Apoljon, gubiciel, jak owocześni egzegeci Apokalipsy objaśniali jego imię.

„Patrzajże, matuś, jakiego potwora porodziłaś" — śmiał się przy odczytywaniu podobnych paszkwilów.[22]

Gdy po pierwszej abdykacji komisarze sprzymierzonych w roku 1814 wywieźli go na wyspę Elbę, rojaliści małego prowanckiego miasteczka Orgon wznieśli szubienicę i powiesili na niej kukłę, mającą przedstawiać Napoleona, przy okrzykach: „Precz z Korsykaninem! Precz ze zbójem!" A burmistrz miasteczka Orgon wygłosił przemówienie: „Powieszę go własnemi rękoma, zemszczę się za wszystko, co się wtedy stało". Niegdyś, przy powrocie Napoleona z Egiptu, ten sam burmistrz, wygłaszając mowę powitalną, klęczał przed nim.[23]

Coś podobnego widzimy u Taine'a: na początku książki oddaje cześć bohaterowi, a na końcu wiesza na szubienicy jego kukłę.

„Przyzwyczajenie się do najokrutniejszych faktów nie zatwardza serca tak bardzo, jak je zatwardzają abstrakcje. Żołnierze są lepsi od adwokatów"— mawiał Napoleon, jakgdyby w przeczuciu tego, jak to adwokaci i ideologowie zachowają się względem niego.[24]

Jest to znakiem czasu, że na książkę Taine'a nikt nie odpowiedział, bowiem bladej aczkolwiek sumiennej książki Artura Lévy'ego, który wykazuje, że Napoleon był sobie zwyczajnym „poczciwym mieszczuchem", za odpowiedź uważać nie można.[25]

I jeszcze jeden znak czasu: w wyroku wydanym na Napoleona Wschód zgadza się z Zachodem, wierzący Tołstoj mówi to samo, co niewierzący Taine. Zdanie pijanego sługi Ławruszki w „Pokoju i wojnie“ jest zdaniem Tołstoja: Napoleon dopuszcza się jedynie „pomyślnych zbrodni“. Posiada on „wspaniałą i pewną siebie ograniczoność“. — „Dziecinna zuchwałość i pewność siebie zdobywają mu wielką sławę“. Dla jego „głupoty i podłości trudno byłoby znaleźć przykładów“; jest w nim „najwyższy stopień podłości, jakiej przyzwyczaja się wstydzić każde dziecko“.[26]

Rosyjskiemu prorokowi nie przeczono, tak samo, jak nie przeczono europejskiemu uczonemu. A stado ludzkie naoślep rzuciło się tam, dokąd wiedli je pasterze. „Tłum w swej podłości cieszy się z poniżenia wielkiego, ze słabości potężnego: Jest mały, jak my, jest podły, jak my! — Kłamiecie, łotry: jest mały i podły, ale nie tak samo, jak wy: inaczej!“[27]

W Leonie Bloy'u widzimy biegunowe przeciwieństwo Taine'a i Tołstoja. Jego książka „Dusza Napoleona“ jest dziwnie mętna, pozbawiona umiaru, miejscami niedorzeczna, ale genjalnie głęboka. Jest to jedna z najwybitniejszych książek o Napoleonie.[28]

Bystrość tej książki i jej nowość spoczywa w tem, że jej autor bierze mit — domniemany mit prawdziwych doznań religijnych, własnych i narodowych — i podnosi go do znaczenia poznawczej metody historycznej. Jak wtajemniczeni misterjów eleuzyńskich wiedzieli, tak i on wie, że mit nie jest skłamaną bajką, lecz proroczym symbolem, znakiem prawdy jeszcze utajonej, zasłoną misterjum. Dotrzeć do misterjum mógł tylko ten, kto podniósł zasłonę. Przez duszę własną i duszę narodu ku duszy bohatera; poprzez mit Napoleona ku misterjum Napoleona — oto droga, którą Bloy idzie do swego celu.

„Napoleona objaśnić nie można, bo jest on najbardziej niepojęty z ludzi, będąc przedewszystkiem obrazem tego, który przyjść ma, i może już jest niedaleko, obrazem i poprzednikiem kogoś bardzo nam bliskiego“. — „Któryż z pośród nas, Francuzów, lub nawet cudzoziemców z końca XIX stulecia, nie czuł bezmiernego smutku, że tak a nie inaczej zakończyła się niezrównana Epopeja. Kto, obdarzony choćby atomem tylko duszy, nie bolał na samą myśl o upadku, zaprawdę zbyt nagłym, wielkiego Cesarstwa i jego Wodza. Kogóż nie byłaby przygnębiała myśl, że ludzie, którzy jeszcze wczoraj stali na szczytach ludzkości i mogli się czuć jak pierwsi ludzie w raju i uważać się za władców wszystkiego, co stworzył Bóg pod niebem, a to wszystko dzięki prostej obecności tego Cudownego, Umiłowanego, Straszliwego, raptem na nowo zapaść się musieli w stare błoto Bourbonów?“[29]

Raj utracony i odzyskany oto jest osłona mitu napoleońskiego, chroniącego jego misterjum; tutaj stykała się dusza narodu z duszą bohatera.

„Gorączkowe majaki warjata albo jarmarczne obrazki“ — powiedziałby

może o książce Bloy'a Hipolit Taine, ale nie miałby racji. Czy psychologja mas z lat 1793—1815 nie przypomina gorączkowych majaczeń szalonego, i czy obrazki jarmarczne nie są drogocennym dokumentem dla badacza dziejów? A Bloy staje się dla nas właśnie dlatego tak cenny, że z duszy swej czyni dzwon dla napoleońskiej psychologji mas i że mit Napoleona powołuje do nowego życia. Gdy mówi o swym cesarzu, to ma w oczach łzy, jak starzy wąsale-grenadjerzy Wielkiej Armji. I dlatego jeszcze jest on dla nas taki cenny, że dowodzi, iż w duszy Francuzów i Francji Napoleon wciąż jeszcze żyje, dzisiaj może potężniej, niż kiedykolwiek, że pomimo czterdziestu tysięcy książek — czterdziestu tysięcy kamieni nagrobnych — Nieznany Żołnierz wciąż zmartwychwstaje.

„A o godzinie północnej
Cesarz powstaje z mogiły".[30]

Wiedzieć o tem dobrze jest nietylko Francuzom, lecz wszystkim Europejczykom wogóle, bo wszystkim bohater może być potrzebny. „Będziecie mnie opłakiwać krwawemi łzami".

Bloy uważa się za „dobrego katolika", ale dobrzy katolicy widzą w nim najgorszego heretyka. W każdym razie nie ulega żadnej wątpliwości, że jest on chrześcijaninem, a przynajmniej być nim chce. Czasem wszakże nawet chrześcijanin może mieć wątpliwości, czy Bloy się modli, czy też bluźni. W każdym razie rozstrzyga on zbyt łatwo i zbyt śmiało, że Napoleon „jest poprzednikiem tego, który przyjść musi". Kogo ma na myśli, niewiadomo, ale czytelnik może myśleć o Paraklecie, nowym Adamie, który ma przywrócić ludzkości raj utracony. Zbyt już łatwo i bez bólu decyduje on: „Nie mogę wyobrazić sobie raju bez swego cesarza". Napoleon w raju, a obok niego Joanna d'Arc, to sprawa nietylko niedowiedziona, ale wymagająca dopiero udowodnienia, i to nietylko dla „dobrych katolików". Chodzi właśnie o to, w jaki sposób Napoleon miałby się połączyć z Joanną d'Arc.

Czy Bloy się modli, czy też bluźni, trudno zadecydować i wtedy, gdy on mówi: „Bóg patrzył w krwawe zwierciadło wojny, które odbijało mu oblicze Napoleona. Bóg kocha go, jak własny swój obraz; kocha tego Gwałtownika tak samo, jak swoich najkorniejszych apostołów, męczenników i wyznawców".[31]

Być może, iż to jest bluźnierstwo, ale zanim się na to zdecydujemy, dobrze będzie przypomnieć sobie te słowa: „Winną prasę tłoczyłem ja sam, a żaden z ludów nie był ze mną. Ja tłoczyłem nieprzyjaciół w gniewie swym i podeptałem ich w popędliwości mojej, aż pryskała krew mocarzów ich na szaty moje; a tak wszystko odzienie moje spluskałem".[32]

Dlatego właśnie nawet najłaskawszy śród apostołów pamiętać każe, iż „straszne jest wpaść w ręce Boga zagniewanego". Gdybyśmy byli o tem pamiętali, to może w dniach naszych oblicze Boga nie byłoby się nam pokazało tak straszliwe, jak nigdy dotąd, w krwawem zwierciedle wojny.

W każdym razie nie wolno Napoleona czynić odpowiedzialnym za dwa miljony ludzi, którzy zginęli podczas jego wojen.[33] Gdy podjął wojnę Francji przeciw legitymistycznej Europie jako dziedzictwo rewolucji, nie mógł jej przerwać, nawet gdyby był chciał. Zupełnie słusznie powiada: „Gdybym był przegrał pod Marengo, to lata 1814—1815 byłyby nastały natychmiast wtedy".[34]

Wrzód wojny domowej wyleczył on może nietylko na ciele Francji, lecz na ciele całej Europy, a dzisiaj wiemy z doświadczenia, o ile wojna domowa straszniejsza jest od wojny narodów. Wojny napoleońskie są igraszką dziecięcą w porównaniu z wielką wojną światową i z rosyjską wojną domową, w których 15 miljonów zginęło w walkach orężnych, 30 miljonów pomarło skutkiem epidemij, a 5 miljonów skutkiem głodu. A to, że nie było między nami Napoleona, nietylko niczemu nie zapobiegło, lecz przeciwnie, pogorszyło sytuację.

Tak, czy owak, pod jednym względem Bloy ma słuszność niezaprzeczoną: albo dzieje Napoleona zostaną raz na zawsze najciemniejszym punktem wszystkich dziejów, albo też opromienione zostaną blaskiem chrześcijaństwa, bo mit napoleoński wciąż jeszcze bliski jest w duszy ludu misterjum chrześcijańskiemu, a do duszy bohatera wciąż jeszcze niema innej drogi, jak przez duszę ludu. To znaczy, że ostateczny sąd o Napoleonie wydadzą nie adwokaci i ideologowie, autorzy czterdziestu tysięcy książek; nie ci będą sądzić, którzy mówią, lecz ci, którzy milczą, to jest lud.

A cóż mówi o Napoleonie lud? Trudno to stwierdzić, nietylko dlatego, że lud milczy, ale także dlatego, że myśli jego zbyt są od naszych oddalone.

Lud nazywa Napoleona poprostu Człowiekiem — l'Homme — jakgdyby chciał tem powiedzieć, że miarę człowieczeństwa wypełnił on doskonalej, niż ludzie inni, nazywa go także „małym kapralem", czem zdaje się mówić, że dla prostaczka jest on człowiekiem bliskim. Do tego przyznaje się i sam Bohater, gdy mówi: „Tylko w waszych salonach, śród oficerów, a może i śród generałów, uchodziłem za człowieka strasznego, ale nigdy nie byłem uważany za takiego przez prostych żołnierzy: oni posiadali nieomylny instynkt prawdy i współczucia; wiedzieli, że byłem ich obrońcą i że nikomu nie pozwoliłbym ich skrzywdzić".[35] „Struny duszy ludu harmonizują z duszą moją; wyszedłem z ludu i głos mój działa na lud. Niech pan spojrzy na tych rekrutów, na te dzieci ziemi: nie schlebiałem im; byłem wobec nich surowy, a jednak szli oni za mną z okrzykami: „Niech żyje cesarz"! — Jest tak dlatego, że jesteśmy spokrewnieni duszami".[36]

Istotnie, ludzie szli za nim, jak w ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat nie szli za nikim: szli za nim przez morza i rzeki, przez góry i stepy, od piramid aż po Moskwę; byliby poszli za nim jeszcze dalej, aż na koniec świata, gdyby ich był poprowadził; szli za nim śród niewypowiedzianych mąk, cierpieli głód, pragnienie, chłód, spiekotę słoneczną, choroby, rany, śmierć — i czuli się szczęśliwymi. On zaś wiedział o tem. „Jakkolwiek wielka była moja potęga fizyczna, duchowa była jeszcze większa: graniczyła ona z czarodziejstwem".[37]

Gdy w ogniu bitwy powiada: „Żołnierze, potrzebuję waszego życia, musicie mi je poświęcić!" — to żołnierze wiedzą, że uczynić to muszą. „Nikomu żołnierze nie służyli wierniej, niż mnie. Z ostatnią kroplą krwi, która wylewała się z ich żył, z piersi ich wyrywał się okrzyk: Niech żyje cesarz!"[38]

Jak daleko sięgała pamięć ludzka, nie zdarzyło się nic, co mogłoby się równać z zagładą sześćsettysięcznej Wielkiej Armji podczas wyprawy na Rosję w roku 1812. Napoleon wiedział i cała armja wiedziała, że zagłada ta zawiniona była nie przez pożar Moskwy, nie przez chłód, ani przez zdradę sprzymierzonych, lecz wyłącznie przez niego, tylko przez niego. I czy armja powstała przeciwko niemu, czy szemrała? Nie, tylko starzy wąsale-grenadjerzy gderali zcicha, ale i tak szli dalej, teraz już nie za nim, lecz obok niego, bo śród nich i razem z nimi brnie on skroś śniegu, opierając się na kiju. „Nad Berezyną był już tylko cień Wielkiej Armji, lecz on był dla niej zawsze jeszcze tem, czem jest dla duszy ludzkiej nadzieja". Idąc obok nich, nie obawiał się niczego z ich strony, rozmawiał z nimi uprzejmie, a oni odpowiadali mu podobnie. „Karabiny swoje byliby wymierzyli raczej przeciwko samym sobie, niż przeciwko niemu". — „Padali i konali u jego nóg, ale nawet umierając, nie szemrali przeciwko niemu, lecz ubóstwiali go".[39]

Francja zadrżała ze zgrozy, gdy otrzymała 29 biuletyn Wielkiej Armji, donoszący o jej zagładzie. Biuletyn ów kończył się słowami: „Zdrowie Jego Cesarskiej Mości nie było nigdy lepsze". — „Rodziny, otrzyjcie łzy: Napoleon jest zdrów!" — wołał Chateaubriand z gorzkim śmiechem.[40] Ale prości ludzie płakali, gdy Napoleon po powrocie do Paryża mówił do nich przed nowym poborem: „Wybraliście mnie, jestem dziełem waszych rąk, musicie mnie bronić!"[41]

W wyprawie 1812 roku zginęło trzysta tysięcy ludzi, nowy pobór miał dać sto osiemdziesiąt tysięcy. Do wojska można było brać tylko całkiem młodych chłopców, bo starsze roczniki już dawno były wybrane. „Te dzielne dzieci łakną sławy; nie patrzą ani na lewo, ani na prawo, lecz zawsze przed siebie" — mówił marszałek Ney z entuzjazmem. I Napoleon był zachwycony: „Męstwo tryska z nich poprostu".[42]

Lecz gdy i ci polegli pod Lipskiem, trzeba było na rok 1814 wzywać pod broń gołowąsych młodzieniaszków, podobnych do dziewczyn, Marje-Ludwiki,

jak ich nazwano. Wielu z nich nawet karabinu nabić nie umiało, ale po kilku dniach służby chłopcy ci zdobywali dojrzałość starych żołnierzy roku 96, zdobywców świata.

To, co pewien współczesny powiedział o triumfalnym pochodzie Napoleona z Elby do Paryża, możnaby zastosować do całego jego życia: „Pochód mas ludowych, idących za nim, podobny jest do ognistego śladu meteoru na nocnem niebie".[43]

Lud pozostał mu wierny do ostatka; byłby poszedł za nim nawet po bitwie pod Waterloo. Drogą z Malmaison do Rochefort — na Świętą Helenę — tłum biegł za nim i wołał ze łzami: „Niech żyje cesarz! Pozostań, pozostań z nami!"[44]

Członkowie Izby, ministrowie, marszałkowie, bracia i siostry, żony i kochanki — wszyscy sprzeniewierzają mu się, tylko nie lud. Im wyżsi są ludzie, im bliżsi jemu, tem złośliwszem okiem spoglądają na niego, tem mniej go kochają; im niżsi są i bardziej oddaleni od niego, tem są lepsi i tem bardziej go kochają. „Bóg ukrył swoje dzieło przed mądrymi świata tego i objawił je niemowlętom".

Rojaliści w Marsylji podczas białego teroru w roku 1815 chcieli zmusić starą murzynkę egipską do okrzyku: Niech żyje król! Nie dała się zmusić i wołała: Niech żyje cesarz! Powalono ją pchnięciem bagnetu w brzuch. Wyprostowała się i, oburącz podtrzymując wypadające wnętrzności, wołała: Niech żyje cesarz! Wrzucono ją do cuchnącej wody starego portu; tonąc, wynurzyła się po raz ostatni i zawołała: Niech żyje cesarz![45]

Doprawdy, że ludzie nikogo tak nie kochali, jak jego, dla nikogo nie umierali w taki sposób w ciągu całych dwóch tysięcy lat.

Straszne jest to, co on powiada: „Człowiek taki, jak ja, gwiżdże na życie miljona ludzi". Lecz może jeszcze straszniejsze jest to, że miljony ludzi odpowiadają mu: „Gwiżdżemy na życie nasze dla człowieka takiego, jak ty".

Cóż w nim kochali? Za co umierali? Za ojczyznę, za człowieka, za brata? Tak, ale jeszcze za coś większego.

Zdaje się, że poeta trafnie wypowiedział, za co stara gwardja umierała pod Waterloo:

„Comprenant, qu'ils allaient mourir dans cette fête,
Saluèrent leur dieu dans la tempête" —

„Wiedząc, że zgiełk bitewny zagładę im wróży,
Bóstwo swoje witali głośno w rykach burzy".[46]

Ale gdyby ktoś był powiedział owym dwom grenadjerom, którzy pod St. Jean d'Acre osłonili go własnemi ciałami przed wybuchającą bombą, że jest

on dla nich bóstwem, to nie byliby tego zrozumieli i może byliby parsknęli śmiechem, ponieważ jako prawi starzy sankjuloci w Boga nie wierzyli.[47]

Gdy w nocy poprzedzającej Austerlitz cesarz obchodził wojska, żołnierze przypomnieli sobie, że jest właśnie rocznica koronacji; pozapalali tedy garstki słomy i suche gałązki, poznajdowane u ogni strażowych, poprzywiązywali je do bagnetów i powitali cesarza osiemdziesięciu tysiącami pochodni.[48] On już wiedział, a przez niego dzięki proroczemu przeczuciu napoleońskiego genjuszu wiedziała cała armja, że słońce Austerlitzu wzejdzie jutro promienne. Tak też było w sprawozdaniu: „Le soleil se leva radieux" — słońce wzeszło promienne. Lecz jakiemu słońcu ludzie oddawali cześć w tej płomiennej wigilji, tego nie wiedzieli. Gdyby byli żyli nie w XIX wieku po Chrystusie, ale w drugim lub trzecim, to byliby wiedzieli, że czczą boga Mitrę, niezwyciężone słońce — Sol Invictus.

Biedny „ideolog" Nietzsche musiał oszaleć, aby to zrozumieć. „Napoleon jest ostatniem wcieleniem słonecznego boga Apollina". Także mądry Goethe zdawał się wiedzieć o tem, gdy mówił: „Znajdował się on w stanie nieustającego oświecenia; dlatego też los jego był taki promienny" — taki słoneczny.

„Zimno ci, mój przyjacielu?" — pyta Napoleon starego grenadjera, który przy dwudziestu stopniach mrozu szedł obok niego nad Berezyną. „Nie, Najjaśniejszy Panie, gdy widzę ciebie, to mi ciepło" — odpowiedział zapytany.[49]

Tak samo byłby mógł odpowiedzieć jaki starożytny Egipcjanin swemu faraonowi, słonecznemu bogu: „Zaprawdę ze słońca wyszedłeś, jak dziecko z łona matki".[50]

Słoneczny mit cierpiącego boga-człowieka — Ozyrysa, Tamuza, Dionizosa, Adonisa, Atisa, Mitry — prastary mit ludzkości, jest tylko osłoną misterjum chrześcijańskiego.

Słońce wschodzi promienne i zachodzi we krwi zabitej ofiary. Słońce Austerlitzu chyli się na Św. Helenie ku zachodowi. Święta Helena to więcej, niż cała reszta życia Napoleona: wszystkie jego zwycięstwa, jego sława, jego wielkość, są tylko przygotowaniem dla Św. Heleny i dzięki niej jedynie możemy pojąć jego życie.

Modli się, czy bluźni, gdy na na Św. Helenie powiada: „Jezus Chrystus nie byłby Bogiem, gdyby nie był umarł na krzyżu!"[51] Mogłyż te słowa wymówić te same usta, które powiedziały były: „Człowiek taki jak ja, gwiżdże na życie miljona ludzi"? Chyba że sam nie wie, co mówi? Być może, ale w każdym razie nie są to puste słowa, lecz najcięższe pewno i najważniejsze, które rozstrzygnęły wszystko w jego przeznaczeniu.

Niech się jemu samemu zdaje, że Św. Helena to nie ofiara, ale kara. Objaśnić go, a może i usprawiedliwić, to znaczy wytłumaczyć Św. Helenę i wykazać, dlaczego pomimo wszystko nie była ona karą, lecz ofiarą, i nie zagładą,

lecz ratunkiem. Losy Aleksandra i Cezara nie miały w sobie nic podobnego, a Napoleon bez Św. Heleny nie byłby bohaterem chrześcijańskiej — wbrew wszystkiemu chrześcijańskiej — Francji i wbrew wszystkiemu chrześcijańskiej ludzkości.

Tak rozumiał go też lud, a to znaczy: mit Napoleona jest osłoną misterjum chrześcijańskiego. „Nie mogę wyobrazić sobie raju bez swego cesarza" — tak samo mógłby się wyrazić i lud.

Gdy Napoleon przebywał na wyspie Elbie, do jednego z szynków paryskich weszli trzej żołnierze i zażądali czterech szklanek. „Przecież jest was tylko trzech" — zdziwił się gospodarz. — „Wszystko jedno, dawaj cztery: przyjdzie i czwarty". Czwartym był Napoleon.

Gdy na ulicy spotkało się dwóch, którzy w niego wierzyli, to jeden z nich pytał: „Czy wierzysz w Jezusa Chrystusa?" — „Wierzę w niego i w jego zmartwychwstanie" — odpowiadał drugi.[52]

Dnia 20 marca 1815 roku, gdy Napoleon powrócił z Elby do Paryża, tłum na rękach zaniósł go do pałacu Tuileryjskiego. „Ci, co go nieśli, byli jak szaleni, a niezliczone tysiące innych były szczęśliwe, gdy im się udało ucałować podołek jego szaty, lub przynajmniej dotknąć go. Miałem wrażenie, jakgdybym był obecny przy zmartwychwstaniu Chrystusa".[53]

„Do Francji szli grenadjerzy dwaj,
Co byli w rosyjskiej niewoli..."

Może byli to ci sami, którzy w St. Jean d'Acre własnem ciałem osłaniali go przed wybuchem bomby. Jeden prosi drugiego, aby go pochował w ziemi ojczystej.

„Chcę leżeć spokojnie i słuchać: czuj duch —
Jakbym leżał w grobie na straży,
Aż kiedyś ryk armat mnie zbudzi ze snu
I rżenie pędzących rumaków.
To może mój cesarz przebiega mój grób,
Blask słońca migocze na broni,
Wtedy porwę za broń i popędzę co tchu
Cesarza, cesarza ochronić!"

To znaczy, że Napoleon zmartwychwstanie i zbudzi umarłych.

„W dzieciństwie znałem inwalidów, którzy jego (Napoleona) nie umieli odróżnić od Syna Bożego" — opowiada Bloy.[54]

Jeśli to bluźnierstwo, to Napoleon nie jest za nie odpowiedzialny. „Proszę nie przyrównywać mnie do Boga! Wyrażenia podobne są takie osobliwe

i jest w nich tak mało szacunku dla mnie, iż pragnę wierzyć, że pan nie zastanawiał się nad tem, co pan pisał" — rzekł Napoleon pewnego razu do nieostrożnego pochlebcy, ministra marynarki Decrès.[55]

Nie był on ateistą, ale też nie był chrześcijaninem. „Umieram w wierze apostolsko-rzymskiej, w której się urodziłem" — pisze w swoim testamencie.[56] Ale chociaż urodził się i umarł jako chrześcijanin, to jednak żył tak, jakby nigdy żadnego chrześcijaństwa nie było. „Daję pierwszeństwo religji mahometańskiej: ona nie taka niedorzeczna, jak nasza".[57] To samo powiedział także na wyspie Św. Heleny; i to także nie są puste słowa.

Goethe niezupełnie ma rację, gdy powiada, że Napoleon jest „streszczeniem świata". Nie, nie całego świata, lecz tej jego połowy, którą nazywamy „pogańską"; druga zaś połowa, którą nazywamy „chrześcijańską", była dla Napoleona zamknięta i ciemna, jak Hades dla starożytnych, kraina cieniów, nocna półkula firmamentu. O tem zaś, że obie półkule — nocna i dzienna — łączą się z sobą, on nie wie.

Myśl o tem, że Napoleon jest poprzednikiem nadchodzącego Chrystusa, jest równie bezsensowna, jak bluźniercza; tak samo niedorzeczna jest myśl, iż Napoleon jest poprzednikiem Antychrysta. W tem właśnie spoczywa jego cała tragika — i nietylko jego, lecz także nasza, bo niedarmo jest on ostatnim naszym bohaterem, — iż nie wie on, czyim jest poprzednikiem. Tutaj, w tym najważniejszym punkcie, nie jest on ani potwierdzeniem, ani zaprzeczeniem, lecz jedynie i wyłącznie pytaniem bez odpowiedzi.

„Oczywiście, że taki człowiek jak ja, jest zawsze bogiem, albo szatanem"— śmieje się może tak, jak się niekiedy śmieją ludzie ze strachu.[58] I rzeczywiście, jest to straszne i dla nas, i dla niego, — nie wiedzieć, przez kogo został nam posłany ten ostatni bohater chrześcijańskiej ludzkości: przez Boga, czy przez szatana?

„Napoleon był naturą demoniczną" — powiada Goethe, używając pojęcia demonizmu w starożytnym sensie pogańskim: demon to ani Bóg, ani szatan, lecz istota pośrednia.

Napoleon, bohater Zachodu, sam jest jak Zachód, wieczór świata:

> „Zaiste jasność miał wieczoru: Ani był nocą, ani dniem,
> Ani światłością, ani mrokiem".[59]

Dlatego też jest on taki nieznany, taki tajemniczy.

Zdaje się, że Puszkin powiedział o nim słowo najgłębsze, jakie powiedzieć było można: „Losem wezwany do wypełnienia niewiadomego rozkazu".

I dlatego sądy ludzi o nim są takie bezsilne.

Organizator chaosu.

Cóż pociąga ludzi ku Napoleonowi? Czemuż tłum pędzi za nim, niby „płomienny ślad meteoru na nocnem niebie?“

Hrabia Ségur, uczestnik wyprawy na Rosję, opisuje wkroczenie jazdy Murata do Moskwy, jeszcze przez płomień nietkniętej, ale już groźnie opustoszałej, dnia 14 września 1812 roku: „Z tajoną grozą słuchali jeźdźcy dudnienia kopyt końskich pod sobą“ — jedynego odgłosu w ciszy olbrzymiego, bezludnego miasta. „Ogarniało ich zdumienie, że słyszą tylko siebie śród takiej masy domów“.[1]

W tem zdumieniu i w tej tajonej grozie spoczywa to samo uczucie apokaliptyczne, jakie jest w całem misterjum napoleońskiem; ale to uczucie zaczęło się już wcześniej, w czasie rewolucji, gdy potęgowało się czasem tak bardzo, że niemal nabierało podobieństwa — oczywiście, nieświadomie — chrześcijańskiej eschatologji pierwszych wieków i wyczekiwania końca świata. „Niebawem wszystko się skończy i nastanie nowa ziemia i nowe niebo“. W uczuciu tem łączy się początek czasów z końcem; istnieje bezmierna przedhistorja: „Czterdzieści wieków patrzy na was z wysokości tych piramid“ — a z tego rodzi się nieskończenie nowe, niebywałe, najosobliwsze w swoim rodzaju uczucie: jeszcze niczyje oczy nie widziały niczego podobnego i niczyje już nigdy widzieć nie będą. Radosne przerażenie, jak przed przyjściem Pana, fanatyczny krzyk jasnowidzów: „Maran atha! — Pan przychodzi!“

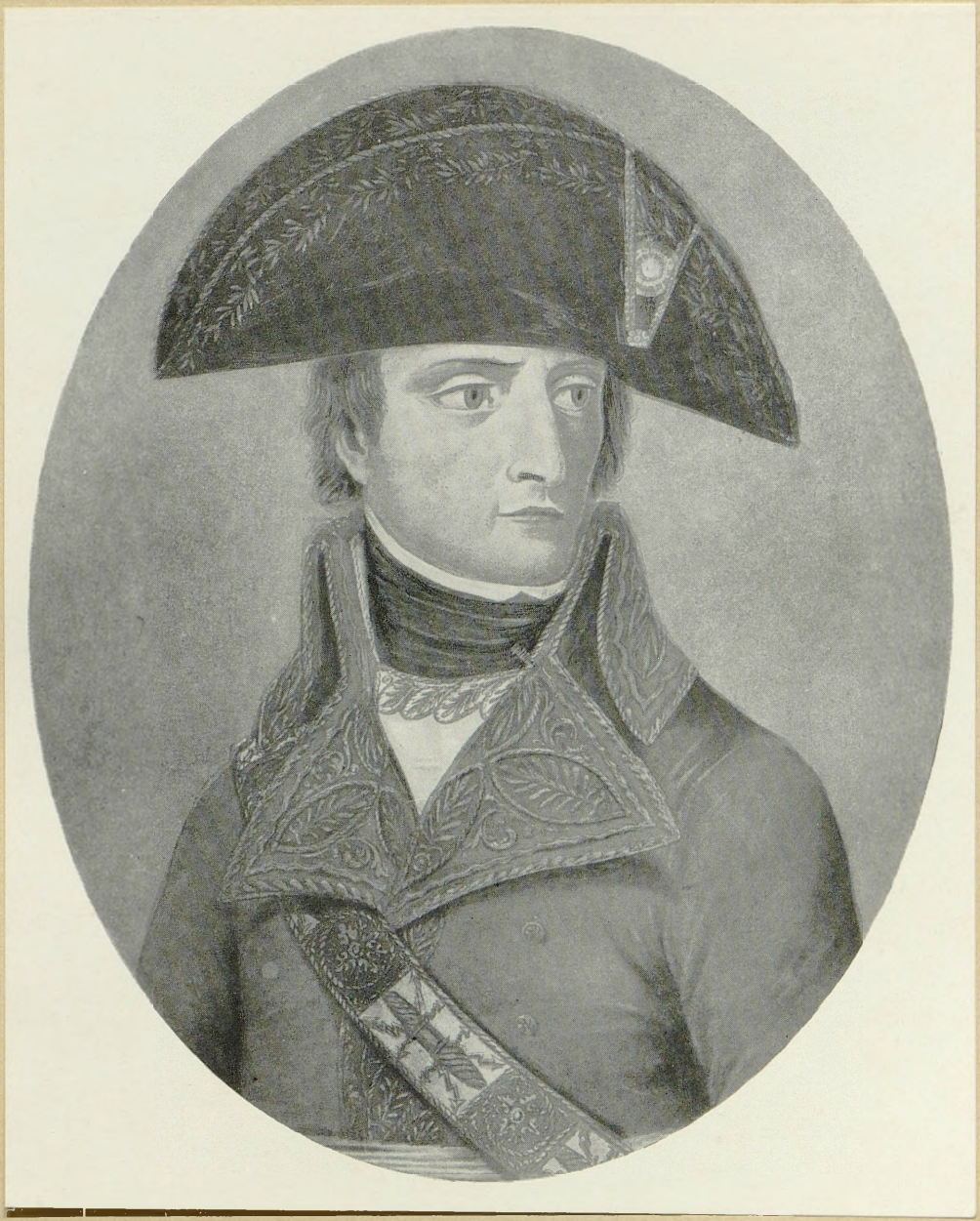
„Wszystkich zdobywców starożytności pozostawiliśmy daleko za sobą“ — mówi Ségur dalej. — „Byliśmy pijani sławą. Potem ogarnął nas smutek: byłoż to wyczerpanie skutkiem nadmiaru niezliczonych wrażeń, czy też było to uczucie osamotnienia na tej straszliwej wysokości, niepewność, w jakiej błądziliśmy na tych najwyższych szczytach, z których ukazywały się oczom bezkresne dale?“

Ta sama eschatologja jest w książce Bloy'a: „Ludzie znajdowali się na najwyższych szczytach człowieczeństwa, i dzięki samejże obecności tego Cudownego, Umiłowanego, Straszliwego, jakiego jeszcze nigdy nie było na świecie, mogli spoglądać na siebie jak pierwsi ludzie w raju i uważać się za władców wszystkiego, co Bóg stworzył pod niebem“.

To właśnie pociąga ludzi ku Napoleonowi: stare marzenie o raju utraconym, o królestwie Bożem na ziemi, jako i w niebie — o ludzkiem królestwie wolności, braterstwa i równości.

To znaczy: dusza Napoleona jest duszą rewolucji. On jest błyskawicą tej burzy: dziwo morskie, wyrzucone na brzeg głębią otchłani.

Rewolucja wykarmiła go, jak wilczyca Romulusa i Remusa. I choćby ją



BONAPARTE, I-SZY KONSUL
(według akwatinty Morel'a z obrazu And. Appiani'ego).

przeklinał nie wiem jak, choćby ją zabijał, jednak wciąż powraca do jej żelaznych cycków. Krew jego żył jest wilczem mlekiem Rewolucji.

On — to jej ucieleśnienie. „Ja jestem francuska rewolucja" — mawiał Napoleon po straceniu księcia d'Enghien, czyli po jednym z najgorszych i najstraszniejszych czynów swoich. Czyn ten nie był szaleństwem: związek Napoleona z królobójstwem 1793 roku, Terorem, duszą rewolucji, utrwala się tem straceniem. Forteczny rów twierdzy Vincennes, gdzie został rozstrzelany niewinny potomek Bourbonów, jest granicą między starym a nowym porządkiem, przecięciem pępowiny, która nowonarodzonego Cezara łączyła z władzą królewską. Trup d'Enghiena jest dla Bonapartego pierwszym stopniem cesarskiego tronu; krew d'Enghiena jest dla niego purpurą imperatora.

„Jedynie przez osłabienie wszystkich innych władz, utrwalę własną władzę rewolucji" — mówi on w Radzie Stanu z okazji swej koronacji.[2] A po dwuznacznej mowie Chateaubrianda w Akademji o pisarzu Józefie Chénierze, królobójcy z roku 1793, powiedział: „Jak śmie Akademja rozprawiać o królobójcach, gdy ja, osoba koronowana, która winnaby ich bardziej nienawidzieć od Akademji, zasiadam z nimi przy stole biesiadnym i w Radzie Stanu obok Cambacérèsa (kanclerza stanu, byłego członka Konwentu i również królobójcy).[3] „Prawdziwe namaszczenie nowego Cezara to nie święty olej sakralnej Ampułki, lecz rewolucyjna wola ludu. Korony nie zrabowałem; podniosłem ją z błota, a lud włożył mi ją na głowę; uszanujcie tedy wolę ludu".[4]

„Ja jestem rewolucja francuska" — powiada on na początku cesarstwa, a pod jego koniec dodaje: „Cesarstwo to rewolucja".[5]

Rewolucja jest duszą cesarstwa, jego dynamiką. Ona nadaje mu ruch, jak dusza ciału. Ledwo drobna szczelina ukazuje się w budowie cesarstwa, a natychmiast tryska z niej rozżarzona lawa rewolucji.

„Trzeba wdziać znowuż kawaleryjskie buty roku 93" — powiada Napoleon w roku 1814, podczas najazdu sprzymierzonych na Francję.[6] A w roku 1815 w przededniu Waterloo mówi: „Cesarz, Konsul, Żołnierz — wszystko wziąłem z rąk ludu... wola moja jest wolą ludu; prawa moje są jego prawami".[7] A po Waterloo, przed odjazdem do Rochefort — ostatnią podróżą przed Świętą Heleną, twierdzi: „Mocarstwa europejskie prowadzą wojnę nie ze mną, ale z rewolucją".[8]

Dla tej właśnie przyczyny stary szlachetny jakobin Carnot, członek Komitetu Ocalenia Publicznego, Don Kichot i filantrop roku 93, dochował mu wierności aż do końca. „Honor i pomyślność Francji nie pozwalają mi wątpić, że sprawa Napoleona pomimo wszystko była sprawą rewolucji" — uzasadnia inny jakobin swoją wierność.[9]

„Oddzielcie go, oddzielcie od jakobinów!" — powtarzał cesarz Aleksan-

der I na kongresie wiedeńskim, pełen zabobonnej zgrozy, gdy dotarła do niego wiadomość o ucieczce Napoleona z Elby. Zdaje się, że bodaj jedyny Aleksander zrozumiał niebezpieczeństwo, spoczywające w tem, iż Napoleon mógłby na nowo stać się jak ongi ucieleśnieniem rewolucji, Robespierrem na koniu.

Najstraszliwszą grozę rewolucji, jej piekielne oblicze, oblicze Meduzy, na którego widok wszelkie życie kamienieje, znał on lepiej od kogokolwiek. „Rewolucja jest jedną z najstraszliwszych klęsk, jakie niebo zesłać może na ziemię".[10] Doznaje on fizycznego a zarazem metafizycznego obrzydzenia wobec rewolucyjnego motłochu, „la vile canaille". Dnia 10 sierpnia 1792 przygląda się z Place du Carrousel, jak tłum wdziera się do pałacu Tuileryjskiego i, blednąc, szepcze: „Che coglione. — Ach, hołota... Jakże można było wpuścić ich tam! Czterystu lub pięciuset z nich należałoby zmieść kartaczami, a reszta rozbiegłaby się sama!"[11]

Ludzkiej trwogi nie zna, ale blednie, gdy słyszy opowieści o okrucieństwach, na jakie zdobywa się lud. Gdy podczas jego przejażdżek po Paryżu który z robotników rzucał się przed nim na kolana, aby go prosić o jaką łaskę, pierwszym jego odruchem było drgnienie i rzucenie się wstecz".[12]

„Zły człowiek, lichy człowiek!" — mówił nad grobem Rousseau w Ermenonville. — „Gdyby nie on, nie byłoby rewolucji francuskiej. Oczywiście, nie byłoby i mnie... ale Francja byłaby może tem szczęśliwsza".[13] „Wasz Rousseau to szaleniec: to on doprowadził nas do tego stanu".[14] „Przyszłość pokaże, czy dla szczęścia świata nie byłoby lepiej, gdyby na świecie nie było ani Rousseau, ani mnie".[15]

Lecz on wie, że rewolucja była nieunikniona, że sprowadzał ją ten sam los, co i jego. „Zdaje się, że nasza rewolucja była nieuniknionem fatum, moralną eksplozją, równie nieubłaganą, jak wyładowanie się sił fizycznych podczas wybuchu wulkanu".[16]

Rewolucja to chaos. Jej siły są nieskończenie niszczycielskie. Gdyby się jej pozostawiło wolną drogę, to zniszczyłaby ludzki kosmos aż do posad, do owej gładkiej deski, o której śpiewa się w „Internacjonali". Aby uratować kosmos, trzeba opętać chaos. To właśnie czyni Napoleon, i cokolwiek sądzilibyśmy o innych jego czynach, trzeba się zgodzić, że jest to dzieło dobre i nawet święte, albo, jak powiedzieliby starożytni — boskie, gdyż bogowie są przeważnie pogromcami i organizatorami chaosu.

„Ja przykryłem otchłań chaosu, zorganizowałem chaos; ja oczyściłem rewolucję".[17]

Kosmos żywi się chaosem; najwspanialszy kosmos nie jest niczem innem, jak tylko zorganizowanym chaosem. O tem wiedzą bogowie, a także wie on, domniemany morderca rewolucji, ale w istocie prawdziwy jej bóg Musaget.

„Pomimo wszystkich swoich okropności, rewolucja była prawdziwą przy-

czyną naszego moralnego odrodzenia: tak samo z cuchnącego nawozu rodzą się najszlachetniejsze rośliny. Ten poczynający się ruch mogą ludzie chwilowo powstrzymać, albo na jakiś czas stłumić, ale nie mogą go zabić".[18] „Nic nie zdoła zniweczyć lub zatrzeć wzniosłych zasad rewolucji; te wielkie i wspaniałe prawdy posiadają wartości wiekuiste: przeistoczyliśmy je taką sławą, otoczyliśmy takiemi cudami... Są one już nieśmiertelne. Żyją one w Wielkiej Brytanji, jaśnieją w Ameryce, we Francji stały się własnością ludu: z tego trójramiennego świecznika promieniować będzie światłość świata... Prawdy te winny stać się religją wszystkich narodów, a cała ta przedziwna epoka, cokolwiek rzecby o niej można, związana zostanie z mojem imieniem, ja bowiem zapaliłem jej światło, opromieniłem jej początki, a oto prześladowania uczyniły mnie jej Mesjaszem po wszystkie czasy. Moi przyjaciele i wrogowie powiedzą, że byłem pierwszym żołnierzem Rewolucji i jej wielkim Wodzem. I nawet gdy mnie już nie będzie, zawsze jeszcze pozostanę dla narodów gwiazdą ich praw, imię moje będzie ich hasłem bojowem, ich nadzieją w walce".[19]

Według słów Puszkina

„On testamentem mrocznego wygnania
Wieczystą wolność przekazał ludzkości".

Czy tak jest istotnie? Co przekazał on światu: wolność, czy niewolę?

Chaos rewolucji, przemieniając kosmos niższy, jednym z punktów wyjścia dotyka kosmosu wyższego; na okamgnienie nad półzwierzęcem i półboskiem obliczem rewolucji zapala się język ognisty — „potrzykroć płonące światło — das dreimal glühende Licht":[20] Wolność, Równość, Braterstwo — Syn, Ojciec, Duch. Lecz okamgnienie mija, blask przygasa i trzeci człon — Braterstwo, — synteza Wolności i Równości, — wypada z trzechczłonowej dialektyki. Zamiast braterstwa powstaje bratobójstwo, szczękanie noża gilotyny: „Braterstwo albo śmierć".

Pozostaje teza i antyteza — Wolność i Równość — w nierozstrzygalnej antynomji; wolność w anarchji, albo równość w niewoli; władza jednego nad wszystkimi, albo wszystkich nad jednym; unicestwienie społeczności w chaosie, albo unicestwienie indywidualności w przeklętym kosmosie.

Tę antynomję Napoleon niezawodnie ze smutkiem wyczuwał, ale jej nie rozstrzygnął, lecz tylko usunął, poświęcając wolność równości.

„Lepiej obrazić wolność niż równość, która jest namiętnością stulecia, a ja pragnę być synem stulecia".[21] „Równość, nic tylko równość, oto jest hasło, które go wiąże z rewolucją".[22] „Chciałem zaprowadzić systemat powszechnej równości".[23] „Pierwszą moją zasadą jest: wolna droga dla wszelkiego talentu, bez względu na pochodzenie i zamożność. I właśnie za ten

systemat równości jestem przez waszą (angielską) oligarchję nienawidzony".[24] „Wolność jest potrzebą niewielu wybranych... Można ją bezkarnie ograniczyć, ale równość jest tem, czego domaga się większość".[25]

Mylił się; wolności nie zdołał ograniczyć bezkarnie; zemściła się ona na nim wiecznem więzieniem na Św. Helenie. Nietylko nieliczni „wybrani" odwrócili się od niego, powstając w obronie wolności, lecz ruszyły przeciw niemu całe narody. Naród handlarzy, jak nazywał Anglików, wystąpił jako obrońca wolności świata.

Powstał więc fatalny dla niego schemat: śmiertelny pojedynek między Anglją, morzem, wolnością — z jednej strony, a Napoleonem, lądem, równością — z drugiej, czyli między tezą a antytezą. Do syntezy nie doszło: powszechne zbratanie ludów, zjednoczenie kontynentów świata, otoczona morzami Atlantyda nowa, utracony i odzyskany raj — wszystko pozostało utopją.

I zdaje się, że on — mówiąc językiem ludzkim, który mu wystarcza — winę swoją wobec wolności sam rozumie.

„Przysięgam, iż Francji tylko dlatego nie daję więcej wolności, że jestem przekonany, iż tak jest lepiej dla kraju".[26] „Mój despotyzm. Historyk wykaże, iż dyktatura była nieunikniona, bo u drzwi stała samowola, anarchja i poważne niepokoje".[27] „Mogłem być tylko ukoronowanym Waszyngtonem w gromadzie pokonanych władców, a tu bez dyktatury światowej nic się zrobić nie dało; dążyłem tedy do niej. Na czemże polega moja zbrodnia?"[28] A na dwa dni przed śmiercią, już niemal w agonji, a więc wtedy, gdy ludzie nie kłamią, rzekł: „Uświęciłem wszystkie zasady (rewolucji); przelałem je w swoje ustawy i czyny ...Niestety, okoliczności były twarde i zmuszały mnie do bezwzględności w oczekiwaniu lepszych czasów... Lecz oto przyszły niepowodzenia, nie mogłem odprężyć napiętego łuku i Francja musiała się obywać bez urządzeń wolnościowych, jakie jej dać zamierzałem".[29]

Że Napoleon w jakichkolwiek warunkach byłby się mógł stać Waszyngtonem, niebardzo jest prawdopodobne. W każdym razie jego przewinienie wobec wolności jest może mniejsze, niż się to wydawało jego współczesnym.

Wolność i równość to dwa wyrazy tej samej siły, jak światło i ciepło z tego samego słońca pochodzą. Prawdziwej równości niema bez wolności, nawet iskierki jej, a zasada Napoleona wolnej drogi dla talentów, podstawy dzisiejszej demokracji, jest równością istotną. Naogół ludzie nie znoszą zbyt wielkiej miary wolności, ale zupełnie obyć się bez niej nie mogą. Bardzo mała miarka wolności mieści się w Kodeksie Napoleona, ale zato jest ona tak mocno zagwarantowana, że cała cywilizacja europejska musiałaby runąć, aby ludzkość mogła być pozbawiona tej miary wolności.

Demokracja to lichutki raj; ale kto był w piekle, ten wie, że nawet lichutki raj lepszy jest od piekła i że mała miarka wolności demokratycznej w porów-

naniu z absolutną niewolą komunizmu jest tem, czem świeży wiew wiosennego poranka jest wobec lodowych kręgów dantejskiego Piekła, albo chłodu przestworów międzyplanetarnych.

Być może, iż Rosjanie, którzy zdążyli poznać piekło komunizmu, wiedzą o Napoleonie to, czego o nim nie wiedzą Europejczycy i czego nie można się dowiedzieć z czterdziestu tysięcy książek.

„Trzeba było odnieść zwycięstwo w Moskwie".[30] „Gdyby nie ten pożar (Moskwy) byłbym osiągnął wszystko".[31]

1812 i 1917. W jednym roku się zaczęło, a w drugim dobiegło końca; być może, iż zdarzenie drugie nie byłoby mogło nastąpić bez zdarzenia pierwszego. „Byłbym skasował w Rosji pańszczyznę".[32] Gdyby to uczynił, to może nie byłoby doszło do rosyjskiej rewolucji, do rosyjskiego piekła.

Kto podpalił Moskwę? Rosyjscy synowie ojczyzny? Nie, ale powypuszczani z więzień złodzieje, mordercy i zbójcy. „Ludzie o pyskach szatańskich śród buzujących płomieni — istny obraz piekła" — opowiada Ségur.[33]

„Co za ludzie! Co za ludzie! To Scytowie!" — wołał Napoleon w wieszczem przerażeniu. Scytowie „o skośnych i drapieżnych oczach"[34], gotowi rzucić się na Rzym, jak wilki rzucają się na padlinę. Napoleon wiedział o tem, jako jedyny śród Europejczyków.

„Przygaśnij, słońce Austerlitzu,
Buchnij płomieniem, wielka Moskwo!"[35]

Moskwa buchnęła płomieniem, proroctwo się spełniło.

„Jakiem nieszczęściem jest mój upadek! Zawiązałem miech z wichrami, a bagnet wroga go przebił. Byłbym mógł spokojnie zdążać ku odnowieniu świata, a oto odnowienie będzie się dokonywało śród burz.[36] Dość może jedynej iskry, aby rozpętać pożar światowy". Odblask tego pożaru świata widział on w Moskwie.

„Rosjanie, to barbarzyńcy, nie mający ojczyzny, bo każdy kraj wydaje się im lepszym, od tego, w którym się urodzili".[37]

„Przypomną sobie o mnie, gdy rosyjscy barbarzyńcy zapanują nad Europą, co nie byłoby się stało, gdyby nie wy, panowie Anglicy".[38] My powiedzielibyśmy dzisiaj: „Gdyby nie wy, panowie Europejczycy".

„Będziecie mnie opłakiwać krwawemi łzami!" — „Ja byłem Francji potrzebniejszy, niż Francja mnie".[39] Te słowa Napoleona są dla Francji wciąż jeszcze zagadką, ale nie są zagadką dla Rosji.

Względem Rosjan niezupełnie był sprawiedliwy: nie wszyscy oni są „barbarzyńcami". Są śród nich i tacy, którzy Europę bardziej kochają i lepiej ją znają, niż samiż Europejczycy.

I dzisiaj widzą Rosjanie coś, czego Europejczycy nie widzą: straszliwie wysoko ponad nami — według wysokości tej możemy osądzić, jak nisko upadliśmy, w jaką przepaść się stoczyliśmy — straszliwie tedy wysoko nad nami, na górach Zachodu, widzimy jeźdźca, którego sylweta ostro odcina się od tła nieba, czerwonego jakby od łuny pożaru. Któż to jest? Jakże możnaby go nie poznać!

„Ma na głowie trójgraniasty kapelusz
I szary mundur żołnierski".

Jedzie stępa, spogląda ku wschodowi, w ręku trzyma obnażoną szpadę i — czuwa. Czegóż strzeże i przed kim? Europejczycy tego nie wiedzą — Rosja wie: strzeże świętej Europy przed czerwonym szatanem.

Władca świata

„Idea powszechnego zjednoczenia ludzi jest ideą europejskiej ludzkości; jej zawdzięcza ona swą cywilizację i dla niej żyje jedynie" — powiada Dostojewskij w „Dzienniku literata", a słowami Wielkiego Inkwizytora o trzech kuszeniach Chrystusa na puszczy, słowami o chlebie, cudzie i potędze, mówi: „Potrzeba światowej jedności to ostatnia męka ludzkości. Zawsze dążyła ludzkość ku temu, aby cały świat zjednoczyć w całość wszystko ogarniającą. Dużo było wielkich narodów, ale im wyżej one stały, tem były nieszczęśliwsze, bo potężniej od innych odczuwały pragnienie powszechnego zjednoczenia ludzi".

Dostojewski ma rację: odwieczną i największą męką ludzkości jest niezaspokojone pragnienie jedności.

Gdy na pierwsze spojrzenie wydaje się, że jedynie realnemi istnościami historji są jedności narodowe — ludy, plemiona, języki — to przy bliższem rozejrzeniu się w sytuacji widać, że nie czynią one nic innego, tylko walczą z sobą, aby pokonać samych siebie i przeciwników swoich, a następnie wytworzyć istotę nową, uniwersalną, ponad narodami stojącą; że wszystkie te jednostki uważają siebie za mniej lub więcej porozrzucane członki — „disiecta membra" — tego byłego lub przyszłego ciała. Wszystkie one krzątają się i poruszają w dziejach, niby członki pociętego, ale nie zabitego węża, aby na nowo zjednoczyć się z sobą i zróść w jedną całość; albo jak kości suche widziane na polu przez proroka Ezechjela: „I stał się szum, i poruszenie, i łączyły się kości z kośćmi, ale ducha w nich nie było".

Od założyciela pierwszej monarchji światowej przez babilońskiego króla Sargona I (około 2800 r. przed Chrystusem) aż do Trzeciej Międzynarodówki, dzieje świata nie są niczem innem, tylko poruszaniem się tych pociętych części węża i szelestem krzątających się trupich kości.

Od chwili gdy ludzkość posiadła świadomość samej siebie, cierpi ona tą mękę — to nieukojone pragnienie uniwersalnego zjednoczenia. Stare monarchje światowe — Egipt, Babilonja, Asyrja, Medja, Persja, Macedonja — to szereg prób zaspokojenia tego pragnienia i połączenia się w jedną całość, obejmującą cały świat. Ta sama idea łączy obie połowy ludzkości: pogańską i chrześcijańską: tylko w helleńsko-rzymskiem państwie światowem zdołało chrześcijaństwo urzeczywistnić się: Syn Człowieczy nie przypadkowo narodził się w granicach imperjum rzymskiego, pod panowaniem Cezara rzymskiego.

Przez Rzym pogański zapoczątkowane dzieło uniwersalnego zjednoczenia kontynuowane jest przez Rzym chrześcijański aż do czasów naszych, do rewolucji. Rewolucja odchyliła się od chrześcijaństwa we wszystkiem, tylko nie w dążeniu do zjednoczenia powszechnego, do uniwersalności. „Rewolucja francuska nie była w gruncie rzeczy niczem innem, jak tylko ostatnim rodzajem reinkarnacji tej starorzymskiej formuły, która jest uniwersalną jednością" — powiada Dostojewskij, ale zdania swego nie kończy. Ostatnią reinkarnacją uniwersalnej jedności była nie rewolucja, nie chaos, lecz jego ujarzmiciel, Napoleon.

Dzieło uniwersalnej jedności było najważniejszem, ba, rzec można: jedynem całego jego życia. Gdy się nie rozumie tego, to się nie rozumie wogóle niczego z jego życia. Wszystkie jego czyny, jego myśli i uczucia z tego dzieła się wywodzą i ku niemu zmierzają.

„Głód panowania nad światem tkwi głęboko w jego naturze; można powstrzymywać ten głód, zmieniać jego postać, ale zniszczyć go nie można" — odgadł Metternich całkiem trafnie.[1] A dalej wywodzi on: „Zdanie moje co do tajemnych planów i zamiarów Napoleona nigdy zmianie nie uległo: jego potwornym celem było i jest zawsze to samo: ujarzmienie całego kontynentu i oddanie go pod panowanie jednostki".[2]

Dlaczego cel taki ma być potworny? Dlaczego panowanie Napoleona ma być uważane za ujarzmienie? Ponieważ jest on człowiekiem tak ambitnym i chciwym władzy, jakiego świat jeszcze nie widział!

Poczytać Napoleonowi jego żądzę władzy za winę, to tak samo, jakgdyby rzeźbiarzowi wyrzucano jego upodobanie w marmurze a muzykowi rozmiłowanie w tonach. Nie o to chodzi, że lubi władzę, ale dlaczego ją lubi, ku czemu się nią posługuje.

Żądza władzy jest potężną namiętnością, ale nie najpotężniejszą. Ze wszystkich ludzkich namiętności najgwałtowniejsza jest namiętność myślenia, która duszę przenika transcendentalnym ogniem; a ze wszystkich namiętnych myśli najbardziej namiętna jest ta, która opanowywała Napoleona — ostatnia męka ludzkości, jej nieukojone pragnienie — myśl uniwersalizmu. Być może,

iż nie jest to już namiętność, lecz coś większego, na określenie czego nie mamy odpowiedniego słowa, jako że według trafnego wyrażenia pani de Staël osoby Napoleona wogóle słowami wyrazić nie można.

„Chciałem władzy nad światem — przyznaje się on sam — ale kto na mojem miejscu nie byłby jej chciał? Świat wzywał mnie do władzy. Władcy i poddani śpieszyli sami, współzawodnicząc z sobą, pod moje berło!“[3]

O świecie mógłby był powiedzieć to samo, co powiedział o Francji: „Świat potrzebował mnie bardziej, niż ja jego“.

Jeśli to jest żądza władzy i ambicja, to jest ona nie naszego, lecz wyższego porządku, i słowami mowy potocznej istotnie trudno ją określić. On sam nie wie, czy ją ma. „Ambicji nie mam... A jeśli ją mam, to jest ona taka naturalna, taka wrodzona mi, tak ściśle z całą istotą moją związana, iż jest jak ta krew, która krąży w moich żyłach, jak powietrze, którem oddycham“.[4]

„Ambicja moja... Zapewne, jest ona może największa i najwyższa, jaka kiedykolwiek istniała. Dążyła ona ku temu, aby utrwalić i umocnić królestwo rozumu, zjednać triumf ludzkim siłom i uświęcić je“.[5]

Królestwo rozumu jest królestwem światowem. Jakiemi drogami zmierzał ku niemu?

„Jedną z największych moich myśli było zbieranie i jednoczenie ludów, które, pod względem geograficznym jednolite, z powodu rewolucyj i polityki były rozproszone i rozdrobnione... Z każdego pragnąłem stworzyć ciało narodowe“.[6] „Taki jest początek, a koniec: zjednoczenie ciał narodowych w jedno uniwersalne, w europejski związek narodów — association européenne“.[7]

„Co za wspaniałość, w takim triumfalnym pochodzie narodów przejść do potomności i otrzymać błogosławieństwo stuleci! Dopiero później, po tem pierwszem wyrównaniu, możnaby się oddać cudownemu marzeniu cywilizacji: wszędzie jedność praw, zasad moralnych, poglądów, uczuć, myśli i korzyści materjalnych“.[8] „Ogólno-europejski kodeks, ogólno-europejskie sądownictwo; jednolita waluta, wspólny system wag i miar, jednolite prawa“.— „Wszystkie rzeki otwarte dla wszystkich żeglarzy, wszystkie morza wolne“.[9] Powszechne rozbrojenie, koniec wojen, pokój światowy. „Cała Europa — jedną bliską sobie rodziną, tak, aby każdy Europejczyk podczas podróży wszędzie czuł się jak u siebie w domu“.[10]

„Potem może, w świetle uniwersalnego oświecenia, możnaby pomyśleć o kongresie w rodzaju amerykańskiego lub o greckiej amfiktjonji dla wielkiej rodziny europejskiej. Cóż za perspektywy siły, sławy, szczęścia i pomyślności otworzyłyby się przed światem!“

Wszystko to było już blisko, tak blisko, jak nigdy dotąd: zdawało się, że tylko rękę wyciągnąć. On zaś wyciągnął ją był dwukrotnie, czyniąc dwie

próby powszechnego odnowienia: „pierwszą republikańską, od południa ku Anglji; drugą monarchiczną od północy przez Rosję. Obie one miały na celu to samo i mogły były zostać urzeczywistnione wytrwałością, umiarem, rzetelnością. I wieleż niedoli, znanych i jeszcze nieznanych, mogła była uniknąć nieszczęsna Europa! Nigdy nie powzięto planu potężniejszego, a dla cywilizacji dobroczynniejszego, i nigdy urzeczywistnienie podobnego planu nie było bliższe. Co zaś zastanawia specjalnie: niepowodzenia moje były dziełem nie ludzi, lecz żywiołów; na południu zniszczyło mnie morze, na północy pożar Moskwy i mrozy. Tak więc woda, powietrze i ogień, cała natura przeciwstawiła się wrogo odnowieniu świata, aczkolwiek natura sama się go domaga. Tajemnice Opatrzności są niezbadane".[11] „Ale tak, czy owak, zjednoczenie ludów dojdzie do skutku siłą rzeczy: pierwszy bodziec jest dany, a ja nie mogę sobie wyobrazić, aby po moim upadku i po załamaniu się mego systemu możliwa była w Europie inna wielka równowaga poza zjednoczeniem się i sojuszem wielkich narodów".[12]

„Ale naco to wszystko?" — spytacie może, jak niegdyś doradca Pyrrhusa. Odpowiem wam: Aby stworzyć nową społeczność i zapobiec wielkiemu złu. Cała Europa czeka na to, pragnie tego; stary porządek się załamał, nowy się jeszcze nie utrwalił należycie i nie utrwali się bez straszliwych wstrząśnień".[13]

Jeszcze nigdy te słowa Napoleona nie miały takiego proroczego dźwięku, jak w czasach naszych. 1814—1914! Ten drugi, 1914, odpowiadał pierwszemu: w pierwszym upadło cesarstwo Napoleona, początek państwa światowego, w drugim wybuchła wojna światowa. Jedno ze straszliwych wstrząśnień przewaliło się właśnie poprzez ludzkość, a najstraszliwsze może dopiero nadchodzi, znowuż zgodnie z jego proroczem słowem: „Dość może będzie jednej iskierki dla rozpalenia nowego pożaru światowego". A naszym jedynym ratunkiem jest lichy cień uniwersalizmu, dusza niezrodzonego dziecka, błąkająca się w Limbach, albo niezdolny do życia niedonosek — Liga Narodów.

Aby zrozumieć dokładnie, czem dla Napoleona miała być uniwersalność, trzeba zdać sobie sprawę, że dla niego nie była ona czemś oderwanem, ale ciałem i krwią. Nie była ona czemś, co dopiero kiedyś nadejść miało, ale czemś, co w nim już było. Trzeba wiedzieć, że Napoleon nie jest człowiekiem z ideą uniwersalności, ale jest on człowiekiem uniwersalnym, albo, wyrażając się słowy Dostojewskiego, jest on „za wcześnie przybyłym wszechczłowiekiem". I w tem jest on tak samo, jak pod wielu innemi względami, „istotą nie mającą sobie równej", jak się głęboko wyraziła pani de Staël.

Nie jest on współczesny swej epoce, ale nieskończenie dalekiej przeszłości, gdy na całym świecie była tylko jedna mowa i jedno narzecze — jedno człowieczeństwo; albo też nieskończenie dalekiej przyszłości, gdy istnieć będzie jedna owczarnia i jeden pasterz. Rzec można, iż jest on niejako tworem

innego stworzenia: zbyt starym i zbyt nowym; przedpotopowym i apokaliptycznym.

Jest on człowiekiem bez ojczyzny, ale nie dla wewnętrznego braku, lecz dla wewnętrznego nadmiaru. W młodości kochał swój ojczysty kraj Korsykę i chciał być patrjotą wzorem korsykańskiego bohatera Paolego, albo klasycznych bohaterów Plutarcha. Ale mu się to nie udało: jego rodacy wygnali go niebawem i napiętnowali go mianem wroga ojczyzny.

On sam odczuwał to dobrze i miał wątpliwości; do końca dni swoich nie wiedział dokładnie, czem jest. „Jestem raczej Włochem lub Toskańczykiem, niż Korsykaninem".[14] „Koniecznie chciałem być Francuzem. Gdy mnie nazywano Korsykaninem, to było to dla mnie najdotkliwsze z możliwych obraźliwych wyzwisk".[15] „Pewien burmistrz — zdaje się, było to w Lionie — rzekł do mnie, sądząc, że mi prawi komplement: — Jest zdumiewające, że Wasza Cesarska Mość, nie będąc Francuzem, tak mocno Francję kocha i tyle dla kraju czyni. — Było mi tak, jakby mnie kto pałką zdzielił".[16]

„W jakimkolwiek języku byłby Napoleon przemawiał, zawsze miało się wrażenie, że język ten jest mu obcy; aby wyrazić swą myśl, musiał zadawać mu gwałt".[17] „Gdy wygłaszał mowy francuskie, wszyscy dostrzegali braki jego wymowy. Mowy te układano dla niego i wypisywano dużemi literami, a następnie uczono go wymawiać słowa, ale zaledwie zaczynał przemawiać, zapominał lekcję i głosem głuchym, ledwo otwierając usta, odczytywał mowę z karty, raczej cudzą, niż cudzoziemską wymową, co wywoływało wrażenie przygnębiające: ucho i myśl niemile były dotykane tym niezaprzeczonym dowodem jego narodowej obcości".[18]

To właśnie znaczyło: Człowiek bez języka, bez narodu, bez ojczyzny.

Czy Francję kochał? O, niezawodnie kochał ją. Ale nawet człowiek o umyśle tak bystrym, jak Stendhal, mylił się, przypuszczając, że kocha on ją jako ojczyznę. Napoleon sam się mylił pod tym względem. „Przysięgam, że wszystko co czynię, tylko dla Francji czynię".[19] „W szczęściu i w nieszczęściu, na polach bitw, w Radzie Stanu, na tronie i na wygnaniu, Francja była stałym przedmiotem moich myśli i czynów".[20] „Wszystko dla ludu francuskiego" — napomina syna w swoim testamencie. Czy on sam oddał mu wszystko?

Co to jest ojczyzna? Ziemia ojców, oddzielona granicami od krajów obcych. Ale jedynym celem wojen Napoleona było rozszerzenie granic Francji do nieskończoności a wreszcie zatarcie ich. „Gdy Francja stanie się Europą, to już Francji nie będzie" — przestrzegają go.[21] Ale właśnie do tego on zmierza. Miejsce Francji ma zająć świat.

„Co za wspaniałe wojska!" — z zapałem woła pruski marszałek Möllendorf w roku 1807, przy okazji odbywającej się w zdobytym Berlinie wojskowej

parady francuskiej. — „Istotnie, są one wspaniałe — odpowiada Napoleon.— Gdybyż tylko można było doprowadzić je do zapomnienia ojczyzny".[22]

„Naturę armji francuskiej wypaczył tak dalece, że zatraciła ona zupełnie pamięć narodową" — powiada pewna dama współczesna.[23] Mały Kapral był dla swoich żołnierzy czemś więcej, niż Francja: ojczyzna była tam, gdzie był on. Armja Napoleona była tak samo, jak on, istotą uniwersalną.

Zresztą niezawsze myli się co do swej miłości dla ojczyzny. „Mam tylko jedną namiętność, jedyną kochankę — Francję: sypiam z nią — je couche avec elle. Ona nie zdradziła mnie nigdy; dla mnie trwoni ona swoje złoto i swoją krew".[24] Tak nie mówią ludzie o swej ojczyźnie: jest ona dla nich matką, a nie kochanką; nie ojczyzna poświęca się za nich, ale oni za ojczyznę.

W wypadku najlepszym Francja jest dla niego kochanką, w najgorszym zaś rumakiem bojowym, ową klaczą cudowną, o której mówi poeta. Oszalały jeździec zajeździł ją na śmierć.

„Mourante, elle tomba sur un lit de mitraille
Et du coup te cassa les reins".[25]
„Konając, upadła na łoże kartaczy
I, padając, złamała ci kark".

Lecz oto rzecz najdziwniejsza: gdyby konającą Francję ktoś był zapytał, czy nie wolałaby ona nie mieć swego oszalałego jeźdźca, to odpowiedź jej byłaby niezawodnie brzmiała: „Nie, wolałabym go mieć!" I w tem jest wielkość Francji.

Nie Korsykanin, nie Włoch, nie Francuz, a może i nie Europejczyk.

Europa jest dla niego tylko drogą do Azji. „Stary sklepik, kretowisko — oto wasza Europa. Tylko na Wschodzie, gdzie mieszka sześćset miljonów ludzi, zakłada się wielkie państwa i przeprowadza się wielkie rewolucje".[26]

Parcie na Wschód charakteryzuje całe jego życie.

W Egipcie młody generał Bonaparte całemi godzinami leżał na podłodze nad porozkładanemi mapami i marzył o wyprawie śladami Aleksandra Wielkiego przez Mezopotamję na Indje.[27] Gdyby się jego marzenie było spełniło, to ostatni założyciel światowej monarchji byłby się po czterdziestu pięciu wiekach spotkał z założycielem pierwszym — babilońskim królem Sargonem. Ich droga była ta sama, tylko że jeden z nich szedł ze wschodu na zachód, drugi z zachodu na wschód.

„Wkraczam do Konstantynopola na czele niezmiernej armji, obalam panowanie tureckie i zakładam wielkie cesarstwo na wschodzie, które imię moje ako nieśmiertelne przekaże wiekom przyszłym" — marzy Napoleon, gdy pod St. Jean d'Acre przechadza się nad brzegiem morza.[28]

„Gdyby St. Jean d'Acre został był zdobyty, to armja byłaby się rzuciła na Damaszek i Aleppo i w czasie najkrótszym byłaby dotarła do Eufratu... Sześćset tysięcy ludzi (chrześcijan) byłoby do nas przystało, i kto wie, co z tego powstać mogło. Byłbym doszedł aż do Konstantynopola, aż do Indyj, byłbym przemienił oblicze ziemi" — marzy jeszcze na wyspie Św. Heleny.[29]

Zaledwie posiadł władzę po 18 brumaire'a, a natychmiast zaproponował cesarzowi Pawłowi I wyprawę na Indje, a później, znajdując się u szczytu swej potęgi, po Tylży, czyni Aleksandrowi I tę samą propozycję.

„Ta długa droga jest w gruncie rzeczy drogą do Indyj" — powiada w roku 1811 na kilka miesięcy przed wyprawą na Rosję. — „Aleksander (Macedoński) dla dotarcia nad brzeg Gangesu wyruszył z punktu równie odległego, jak ja z Moskwy... Z najdalszego krańca Europy muszę wpaść Azji na tyły, aby się zmierzyć z Anglją (w Indjach). Oczywiście, jest to przedsięwzięcie gigantyczne, ale w wieku XIX możliwe".[30]

W cesarskim taborze, który towarzyszył mu w wyprawie na Moskwę, znajdował się specjalnie opatrzony wóz ładowny, wiozący strój koronacyjny — berło, koronę i płaszcz purpurowy. Mówiono, że w świętem mieście Delhi, nad brzegiem Gangesu, cesarz ukoronuje się po raz drugi jako władca Wschodu i Zachodu.

W wigilję bitwy pod Borodinem otrzymał on z Paryża obraz swego syna i następcy tronu. Synek jego spoczywa, pół leżąc, w kołysce, a w rękach trzyma zabawkę — berło cesarskie, uwieńczone kulą ziemską.

W roku 1811 cesarz przesyła ministrowi marynarki Decrèsowi projekt do wykonania; w ciągu trzech lat mają być zbudowane dwie floty: na oceanie i na morzu Śródziemnem; podstawą pierwszej ma być Irlandja, podstawą drugiej — Egipt i Sycylja. Planowane są wyprawy do przylądka Dobrej Nadziei, do Surinam, na Martynikę i do innych krajów zamorskich. Floty mają być rozdzielone na obu półkulach, aby światowe panowanie można było utrwalić nietylko w Europie i w Azji, ale na całym globie ziemskim. „W ciągu lat pięciu będę panem świata" — powiada w tym samym roku 1811.[31]

„Cesarz oszalał, nadobre i zupełnie oszalał!" — woła Decrès ze zgrozą.[32] Ten plan wygląda istotnie jak szaleństwo. Nigdy dotąd żaden człowiek, ani Sargon, ani Aleksander, ani Cezar, nie myślał o panowaniu nad światem z taką straszliwą jasnością i nie patrzył na nie z takiej bliskości.

Niekiedy zdaje się, jakby myśli te przerażały jego samego. Zresztą „przerażać się" to wyrażenie zgoła obce jego naturze i zbyt ludzkie. W każdym razie czuje on fatalny ciężar swoich marzeń.

Wszystko, co czyni, czyni tylko dla urzeczywistnienia ich, ale nigdy o nich nie mówi. „Rozumiałem doskonale — mówił na Św. Helenie, gdy już wiedział, że wszystko przegrane i stracone — rozumiałem, że przedewszystkiem po-

trzebna mi jest tajemniczość. Tajemniczość otaczała mnie nimbem tej zagadkowości, która zawsze czaruje masy; wzbudzała te sekretne myśli, które tak oszałamiają umysły; przygotowywała te nagłe i olśniewające rozwiązania, które tak zachwycają ludzi i dają taką władzę nad nimi. To właśnie nakłoniło mnie do zbyt pośpiesznego rzucenia się na Moskwę. Gdybym był działał powolniej, byłbym mógł zapobiec wszelkiemu nieszczęściu. Nie mogłem wszakże zostawiać nieprzyjacielowi czasu do opamiętania się. Po tem, co już uczyniłem i co jeszcze uczynić zamierzałem, musiałem postępować tak, aby mój los i moje powodzenie miały w sobie coś nadnaturalnego".[33]

Potrzebował tajemnicy i nadnaturalności, to znaczy, że potrzebował religji. Gdy w myślach swoich o panowaniu nad światem dotarł do pewnego punktu, zrozumiał nagle, że bez religji obyć się nie zdoła, że nie może być uniwersalnego zjednoczenia ludzkości bez czynnika jednoczącego wewnętrznie, bez jedności absolutnej, czyli Boga.

„Zabierałem się do stworzenia religji. Widziałem siebie w drodze do Azji, jadącego na słoniu, w turbanie na głowie, z nowym, przez siebie ułożonym Koranem w ręku".[34] Oczywiście, Napoleon ironizuje, bo był dość mądry, aby zdawać sobie sprawę, że Koranów się nie układa, a religij się nie stwarza.

Wogóle trzeba zapamiętać, że na ten temat mówi zawsze niedbale albo bezradnie, ponieważ podchodzi do niego od strony zewnętrznej. Lecz i tutaj nie jest on powierzchowny, o nie! Przeciwnie, niekiedy bywa bardzo głęboki, ale zagadnienie widzi jedynie od zewnątrz i patrzy na nie z tą lekką drwiną, która przypomina trupią głowę ferneyskiego filozofa, szczerzącą zęby, chociaż Woltera w gruncie rzeczy nie lubi i nie szanuje. „Zły to człowiek i lichy! To on doprowadził nas do tego stanu, w jakim się znajdujemy" — powinien był powiedzieć raczej o nim, niż o Rousseau. Ale od wolterowskiego pokpiwania z religji uwolnić się nie może, chociaż i poprzez tę drwinę wyczuwa się, że religja nie jest mu rzeczą pustą i lekką, lecz przeciwnie, że jest sprawą poważną, ciężką a nawet straszną, aby znowuż użyć zbyt ludzkiego słowa, nie licującego z jego charakterem.

Tak czy owak, jak tylko zrozumiał, że sprawa panowania nad światem nie może się obejść bez religji, pojął zarazem, że panowanie nad światem w swej religijnej budowie podobne jest do piramidy, która zwęża się ku górze i wreszcie kończy się jedyną iglicą, jedynym punktem matematycznym, w którym ziemia styka się z niebem, człowiek z Bogiem. Albo, wyrażając się innemi słowy: Człowiek, dotarłszy do szczytu panowania nad światem, musi wbrew swej woli, czy chce, czy nie chce, wygłosić straszne, czy poprostu niedorzeczne, szalone słowa: „Jestem bóg" — „divus Caesar Imperator". Cesarzowie rzymscy mówili tak nie przez głupotę — przecież byli śród nich ludzie tak mądrzy, jak Juljusz Cezar — ani przez szatańską pychę — znajdowali

się śród nich i święci, jak Antoninus i Marek Aureljusz — ale dlatego, że wewnętrzna logika panowania nad światem zmuszała ich do tego: gdy człowiek dociera do takiej wyżyny, to rzec tak musi, gdyż w przeciwnym razie piramida się rozpada.

Spostrzega to i Napoleon z właściwą swemu umysłowi geometryczną jasnością. „Jak tylko człowiek staje się władcą, natychmiast oddzielony zostaje od reszty innych ludzi. W tem, że Aleksander głosił swoje boskie pochodzenie, dostrzegałem zawsze mądry instynkt polityczny".[35] Od wszystkich zwycięstw większa jest wielka polityka Aleksandra, zwiedzenie świątyni Ammona, gdzie wyrocznia szepcze mu do ucha: „Jesteś synem bożym".[36]

Aleksander i Cezar mogli tak uczynić przed narodzeniem Chrystusa, ale czy można było uczynić to później? Napoleon nie wie tego na pewno. Niekiedy wydaje się mu to możliwe. „Gdybym był z Moskwy powrócił zwycięzcą, to cały świat byłby się zwrócił ku mnie na nowo, podziwiając mnie i błogosławiąc. A wówczas dość byłoby zniknąć tajemniczo, aby ludy wskrzesiły legendę Romulusa: przyjęłaby się śród nich wiara, że wstąpiłem do nieba, aby zająć należne mi miejsce w korowodzie bogów".[37]

Innym znowuż razem zdaje się mu, że w naszych czasach jest to niemożliwe.

„Przyszedłem na świat za późno: już nic wielkiego dokonać nie można" — powiada w dniu swej koronacji 2 grudnia 1804 roku, do tego samego Decrès, któremu się zdawało, że cesarz oszalał. „Oczywiście, karjera moja jest olśniewająca, moja droga wspaniała, ale cóż to jest w porównaniu ze starożytnością? Tam, po zdobyciu Azji, oświadcza Aleksander, że jest synem Jowisza, i z wyjątkiem jego matki, Olimpji, która wie dokładnie, jak się rzeczy mają, Arystotelesa i jeszcze kilku ateńskich pedantów, cały Wschód mu wierzy. Ale gdyby mnie przyszło do głowy podać się za syna Boga Ojca i z racji tej kazać odśpiewać Te Deum, to w całym Paryżu nie znalazłaby się ani jedna przekupka, któraby mnie nie wygwizdała. Nie, dzisiaj narody są zbyt cywilizowane; nic się nie da zrobić".[38]

Raz tak, to znowu inaczej. Tutaj geometryczna jasność jego umysłu zawodzi go zupełnie; ciemna półkula nieba bierze górę, i światłość, o której mówił Goethe („Znajdował się w stanie nieprzerwanego oświecenia"), gaśnie nagle, tak, że posuwać się naprzód może tylko omackiem, aby nie wpaść w strefę śmieszności. „Od wzniosłego do śmiesznego jest tylko krok". Tutaj gwizdanie przekupki może zwalić władcę świata.

Niewyraźnie widzi, lub może tylko słyszy, że gdzieś wpobliżu, niejako tuż koło niego, wznosi się druga piramida panowania nad światem. Gdyby był spojrzał uważniej, to byłby spostrzegł, że wznosi się ona nie obok niego, lecz nad nim, i że obie piramidy przeciwstawiają się sobie: jedna z nich,

jego piramida, Rzym pogański, wznosi się od ziemi ku niebu; druga — chrześcijańska — państwo Boże, spływa z nieba na ziemię, tak, że igiice ich w pewnym punkcie stykają się ze sobą. W punkcie tym, w sensie piramidy ziemskiej, człowiek staje się bogiem, zaś w sensie piramidy górnej Bóg staje się człowiekiem; człowiek poświęca świat sobie, Bóg poświęca siebie dla świata. Że Napoleon przeciwieństwa te dostrzega, a przynajmniej niejasno wyczuwa, to wynika z jego słów, które bez jakiejkolwiek drwiny, ze straszliwą powagą wypowiada, gdy sam zostaje ukrzyżowany na wyspie Św. Heleny: „Jezus Chrystus nie byłby Bogiem, gdyby nie umarł był na krzyżu".

Powinien był zdecydować się na jedną z obu tych piramid. Ale nie czyni tego, bo się boi; tutaj można użyć o nim tego ludzkiego słowa. Pragnie on połączyć obie piramidy. Konkordat jest próbą takiego połączenia.

„Było to najwspanialsze zwycięstwo nad duchem rewolucji; wszystkie inne są tylko następstwem tego jednego, najważniejszego zwycięstwa. Powodzenie konkordatu wykazało, że Bonaparte lepiej od kogokolwiek ze swego otoczenia rozumiał, co się mieściło w głębi serc" — wypowiada się jeden z jego współczesnych.[39]

Zaiste rozumiał on, że religji się nie stwarza, że Koranów się nie układa; nie chciał on być potworną mieszaniną proroka i szarlatana, za jakiego Carlyle tak brutalnie i lekkomyślnie go podaje. „Czy chcecie może, abym wynalazł dla ludzi nową, nieznaną im dotąd religję, według swej fantazji? Nie, ja widzę te rzeczy inaczej: mnie potrzebna jest stara wiara katolicka; tylko ona żyje niewykorzeniona w głębi serc, ona jedna może mi pozyskać serca i wszystkie trudności pousuwać".[40]

Ale co jest główną przeszkodą w niej, w samejże religji, to zna już oddawna. „Chrześcijaństwa związać z państwem niepodobna" — pisze siedemnastoletni chłopiec Bonaparte w swoim kajecie szkolnym. — „Królestwo Chrystusa nie jest z tego świata. Na miejscu władzy ludu stawia ono władzę Boga". — "I na miejscu władcy" — byłby mógł dodać. „Ono niweczy jedność państwową".[41]

Aby zjednoczyć obie piramidy panowania nad światem, państwo i Kościół, coś istotnego w chrześcijaństwie musi ulec zmianie. Ale co? „Starałem się nie tykać dogmatu" — powiada Napoleon, wyrażając się szczerze, jak wojownik mówiący o rzeczach niewojennych.[42] Ale trudno było nie tykać dogmatu, trudniej, niż przypuszczał. Najistotniejsze jądro dogmatu tworzy właśnie pytanie: kto jest prawdziwym władcą świata: człowiek-bóg, czy Bóg-człowiek?

Pomimo to zabrał się do tego trudnego punktu, oświadczając, że niema dwóch namiestników Chrystusa, papieża i cesarza, lecz jest tylko jeden i jedyny — cesarz. Według katechizmu Napoleona: „Bóg uczynił cesarza

namiestnikiem swej władzy i podobieństwem swojem na ziemi".[43] Tylko podobieństwem? Arcybiskup Rouen bluźnierczo igra słowem „christos" — pomazany — i nazywa cesarza Chrystusem Opatrzności — le Christ de la Providence.[44]

„Miałem nadzieję, że papieża opanuję; cóżby to był za wpływ, co za dźwignia panowania nad światem!" I tę także tajemnicę odsłania Napoleon dopiero na wyspie Św. Heleny, gdy wszystko jest już skończone i sprawa przegrana.[45] „Świat duchowny byłbym opanował równie łatwo, jak polityczny".[46] „Byłbym papieża wyniósł na niesłychane wyżyny... byłbym go otoczył takiemi zaszczytami, takim blaskiem, że byłby przestał żałować utraconej władzy świeckiej. Byłbym z niego zrobił bożyszcze; byłby żył obok mnie; Paryż byłby się stał stolicą świata chrześcijańskiego, a ja byłbym rządził światem duchownym tak samo, jak państwem świeckiem". Myśl tę powtarza niejednokrotnie, powracając do niej przy każdej sposobności.[47]

Pomimo to, nie wie dokładnie, czy to byłoby sprawą łatwą, czy trudną. „Duchowna władza panującego była przedmiotem wszystkich moich myśli i życzeń... Bez niej rządzić nie można... Ale było to trudne do urzeczywistnienia; przy każdej próbie spostrzegałem niebezpieczeństwa. Zdawałem sobie sprawę, że lud byłby mnie opuścił, gdybym się był zabrał do rzeczy, jak się zabrać należało".[48] Przekupka byłaby go wygwizdała.

Od innych spraw gorsze jest to, że nie wie, co ma zrobić z papieżem. Żelaznym mieczem walczy z upiorem. Czasem go rozpieszcza, czasem go obraża. „Pius VII to istny baranek, prawdziwie dobry człowiek; szanuję go i kocham bardzo".[49] Tak odzywa się o papieżu na początku, a pod koniec powiada: „Papież to wściekły głupiec, którego trzeba zamknąć".[50] I zamyka go też, najpierw w Savonie, a później w Fontainebleau.

Papież nie chciał stać się bożyszczem, baranek okazał się lwem, miękki wosk przemienił się w twardą skałę, o której powiedziano: „A na tej skale zbuduję Kościół mój".

„Uczyniliśmy wszystko dla dojścia do porozumienia" — pisał papież Pius VII o konkordacie. — „Gotowi jesteśmy uczynić jeszcze więcej, byle tylko pozostały nienaruszone te podstawy, które dla nas są nietykalne. Chodzi tu o nasze sumienie i żadnych ustępstw nie uczynimy, choćby z nas skórę zdzierano".[51]

Trudno powiedzieć, jak byłaby się zakończyła ta wojna, może największa ze wszystkich napoleońskich wojen, gdyby całkiem nagle nie był nadszedł niespodziewany koniec, gdyby piramida panowania nad światem nie była się zawaliła, gdyby się nie była rozwiała jak sen, z którego Napoleon raptem zbudził się nagi na nagiej skale Św. Heleny.

Czy widział tego, z którym walczył, jak Jakób we śnie? „Nie puszczę cię,



NAPOLEON
(według obrazu J. Davida).

aż mnie pobłogosławisz". Bóg pobłogosławił Napoleona usty Ojca Świętego Piusa VII. „Nie powinniśmy zapominać, że religja oprócz Boga jemu (Napoleonowi) odnowienie swoje zawdzięcza przeważnie... Konkordat jest chrześcijańskim i heroicznym czynem ratowniczym".[52] Lepiej i mądrzej wyrazić tego nie można: „chrześcijański i heroiczny", boski i ludzki zarazem. Tutaj oto jest punkt, na którym stykają się z sobą obie piramidy.

Nie połączył ich z sobą, pod ich ciężarem załamał się; ale wielkość jego spoczywa właśnie w tem, że na przestrzeni dwóch chrześcijańskich tysiącleci, on jeden i jedyny, przynajmniej próbował udźwignąć ten ciężar.

Czy wiedział, kto go kusił? Jeśli wiedział, to nie w stanie czuwania, lecz tylko w proroczym śnie.

„Zawiódł go djabeł na górę bardzo wysoką i pokazał mu wszystkie królestwa świata i sławę ich. I rzekł mu: To wszystko dam tobie, jeśli upadłszy, pokłonisz mi się. Albowiem moje jest wszystko i dać mogę, komu zechcę".[53]

Napoleon nie pokłonił się szatanowi i królestwa świata odwróciły się od niego.

Cóż go powaliło? On sam mniemał, że Los, ale nie Los sprzeniewierzył się jemu, lecz on sam sprzeniewierzył się sobie. On, Mocny, stał się nagle słaby w obliczu Najmocniejszego, i właśnie może w tej słabości wielkość Wielkiego jest największa.

Tak też umarł, nie wiedząc, kto go pokonał, i nawet nie mógł rzec, jak pewien apostata starożytności: „Zwyciężyłeś, Galilejczyku!" Tylko w milczeniu pochylił głowę, gdy niewidzialna ręka wyciągnęła się ku niemu, koronę cesarską zdjęła z jego skroni i włożyła na nie koronę cierniową.

Człowiek z Atlantydy.

Matka Napoleona, Marja Letycja Buonaparte, ofiarowała go jeszcze przed jego narodzeniem Najświętszej Pannie, jakgdyby była wiedziała, że jej dziecko będzie potrzebowało tej świętej opieki. A na świat przyszedł chłopiec 15 sierpnia w dniu Wniebowzięcia Marji Panny.

Czy Napoleon choć raz w życiu pomyślał o tem ofiarowaniu? Bodaj że nie. Gdyby zaś był o niem wspomniał, to byłby się zapewne dziwił, jak my się dziwimy: Miała też komu kogo ofiarować!

Okazało się jednak, że ofiarowanie to nie było daremne, chociaż nie w tym sensie, w jakim rozumieją je zazwyczaj „dobrzy katolicy" a nawet chrześcijanie wogóle, lecz w sensie przedchrześcijańskich czcicieli Wielkiej Matki bogów — „Magna Mater deorum" — albowiem ona panowała tu, na wyspie Korsyce, jak wogóle na wszystkich wyspach i na wszystkich wybrzeżach morza Śródziemnego, już w odległych czasach przedchrześcijańskich.

W tej kolebce europejskiej ludzkości od czasów pradawnych, może jeszcze w okresie przedhistorycznym, kołysała ona dziecko swoje do snu pieśnią fal morskich. Egipska macierz Izyda, babilońska Isztar-Mami, chananejska Astarte, Virgo Coelestis Kartaginy, Rhea-Cybele Azji Mniejszej, grecka Demetera, Matka Ziemia, i Uranja, Matka niebieska — to zawsze ta sama Święta Dziewica, pod niezliczonemi imionami i w niezliczonych postaciach.

„Antiquam exquirite Matrem —
Prastarej szukajcie Macierzy".

Tego przykazania praojca Eneasza przestrzegał Napoleon, jak nikt inny: umiłował ją całą, wybrał dla siebie, całą zapragnął przycisnąć do serca — nie malutką Korsykę, nie malutką Francję, nie malutką Europę, ale całą wielką Matkę Ziemię.

Ale że Matka Ziemia jest zarazem Matką Nieba, o tem nie wiedział, albo też zapomniał o tem. A tymczasem przez całe jego życie dźwięczały nad nim tajemne dzwony jej zwiastowania.

„Zawsze lubiłem Anioł Pański wiejskich kościołów" — rzekł na Św. Helenie.[1] „Odgłos dzwonów wywierał na Napoleonie wrażenie głębokie, którego nie umiałem sobie nigdy wytłumaczyć" — opowiada jego kolega szkolny Bourrienne. — „Wsłuchiwał się w nie z rozkoszą. Ileż razy zdarzało się, że odgłos dzwonów wiejskiego kościoła przerywał nasze rozmowy o najważniejszych sprawach, gdyśmy chadzali aleją, wiodącą z Malmaison ku równinie Rueil. Przystawał wtedy, aby odgłos kroków nie zakłócał tych czarujących dźwięków, i zdawał się gniewać, że ja nie odczuwam tego tak samo, jak on. Wrażenie, jakie wywoływały w nim te dźwięki, były tak głębokie, że w głosie jego dostrzegałem mocne wzruszenie, gdy mówił: — To mi przypomina moje lata dziecięce w szkole w Brienne. Byłem wtedy szczęśliwy".[2]

Nad wszystkie inne dźwięki świata lubił te dwa, tak sobie przeciwne — grzmot armat i dzwony kościoła wiejskiego.

Gdy zaczarowani pielgrzymi chrześcijańskich legend błądzą w pustyni i słyszą z którejkolwiek strony dzwony Zwiastowania, to ruszają w ich kierunku. Napoleon nie idzie za wezwaniem dzwonów, i wogóle nie wie o tem, że dzwony wzywają; nie wie on nawet o samym sobie tego, co matka jego wiedziała już przed jego urodzeniem.

„Napoleon, który żył tylko ideą, nie potrafił objąć jej świadomością; przeczy on wszystkiemu idealnemu wogóle, odmawia mu wszelkiej rzeczywistości, gdy tymczasem sam zmierza do realizacji idei" — powiada Goethe.

Jakie to dziwne! Napoleon, jeden z najmądrzejszych ludzi, a jeśli mądrość mierzyć głębią, którą przenikał rzeczywistość, to najmądrzejszy wogóle,

przynajmniej na przestrzeni ostatnich dwóch tysiącleci, — ten właśnie Napoleon nie dostrzega własnej swojej idei, nie obejmuje jej świadomością, chociaż idea ta jest tak olbrzymia i chociaż pochłania go ona całkowicie. Czy to możliwe?

„Dwie dusze żyją w piersi mej, niestety!"

Dusza dnia i dusza nocy. Myśli duszy nocnej mierzchną w duszy dziennej, jak gwiazdy w blasku słońca. A słońce musi zajść, aby gwiazdy mogły rozbłysnąć. Lecz słońce Napoleona nie zachodzi nigdy. „Znajdował się on w stanie nieprzerwanego oświecenia" — powiada tenże sam Goethe. Dlatego też nie widzi nocnych myśli swoich — gwiazd. A właśnie o nich może mówią mu dzwony Zwiastowania.

Trzynastego października 1809 roku po bitwie pod Wagram, na dziedzińcu zamkowym w Schönbrunnie pod Wiedniem, podczas parady wojskowej schwytany został osiemnastoletni młodzieniec, niemal chłopiec, o białej, delikatnej twarzy dziewczęcej. Był to Fryderyk Staps, syn pastora ewangelickiego w Naumburgu. Z bocznej kieszeni jego marynarki wystawał wielki nóż kuchenny, niezgrabnie zawinięty w papier. Nożem tym chciał zamordować Napoleona, jak mu się sam podczas badania otwarcie przyznał.

„Dlaczego chciał mnie pan zamordować?"

„Za krzywdy wyrządzane mojej ojczyźnie..."

„Pan jest szalony, chory. Wezwać Corvisarta!"

Corvisart, lekarz przyboczny Napoleona, zbadał Stapsa i oświadczył, że jest on zupełnie zdrów.

„Ułaskawię pana, jeśli mnie pan poprosi o przebaczenie" — rzekł Napoleon.

„Nie proszę o przebaczenie, ale bardzo żałuję, że nie udał mi się mój zamiar" — odpowiedział Staps.

„Do djabła! Zbrodnia zdaje się nie mieć żadnego znaczenia dla pana".

„Zabić pana, to nie zbrodnia, ale obowiązek".

„No dobrze, a jeśli ułaskawię pana pomimo to, czy podziękuje mi pan?"

„Nie; zamordowałbym pana pomimo to".

„Napoleon zdrętwiał" — opowiada świadek naoczny.

„Oto są owoce nauki iluminatów, które zapowietrzyły Niemcy! Przeciwko temu nic zrobić nie można: sekt nie wytępia się armatami" — rzekł do swego otoczenia, gdy Staps został odprowadzony. — „Proszę się dowiedzieć, jak on umrze, i donieść mi o tem".

Staps umarł po bohatersku. Zaprowadzony na miejsce stracenia, zawołał: „Niech żyje wolność! Niech żyją Niemcy! Śmierć tyranowi!" I padł martwy.

Napoleon długo nie mógł o nim zapomnieć. „Ten nieszczęśnik wciąż mi się przypomina. Gdy o nim myślę, to tracę spokój... To przekracza moje rozumienie! — Cela me passe!“[3]

Cóż to przekraczało jego rozumienie, tego niemal bezgranicznego ducha, w tym osiemnastoletnim chłopcu, o białej, delikatnej, dziewczęcej twarzy, twarzy starożytnych bohaterów i męczenników chrześcijańskich? Co przyprawiało go o zdrętwienie? Czy aby nie podobieństwo z młodym Bonapartem, jakobinem roku 1793, który byłby odpowiedział to samo, co Staps, na pytanie: „Zbrodnia zdaje się nie mieć żadnego znaczenia dla pana?“ — „Dziwne pytanie! Niema obowiązku, niema prawa, gdzie niema wolności... Wiekuistemi literami wypisał Stwórca prawa człowieka w jego sercu!“[4] „Gdyby mój własny ojciec chciał się stać tyranem, przebiłbym go sztyletem!“[5] Może i to wstrząsnęło nim, lecz nie wyłącznie to. „Zdrętwiał“ dlatego, że nagle stanął w obliczu obcej, nieznanej mu potęgi, zgoła wobec niej bezsilny. Jak błyskawica rozjaśniła ona nagle jego własną duszę nocy, nocną półkulę nieba, na której kiedyś wzejść mu miał gwiazdozbiór Krzyża, niewidzialny na półkuli dziennej.

Goethe, wielki poganin, byłby się zdumiał i nie byłby chciał wierzyć, gdyby mu ktoś był próbował dowieść, że ta potężna idea, dla której żył Napoleon, chociaż nie umiał ogarnąć jej świadomością, jest przynajmniej w połowie ideą „chrześcijańską“. Jeszcze bardziej byłby się zdumiał Napoleon i jeszcze trudniej byłoby mu uwierzyć w to. Bowiem pomimo wszystkich błogosławieństw papieskich, czemże ostatecznie było dla niego chrześcijaństwo?

„Mnisza pokora działa zabójczo na wszelką cnotę, na każdą moc i potęgę. Niechby jaki ustawodawca powiedział człowiekowi, że wszystkie jego czyny winny mieć na celu jego szczęście tutaj, na ziemi“. — „Teologja jest kloaką wszystkich zabobonów i błędów“. — „Zamiast katechizmu, ludowi potrzebny jest krótki podręcznik geometrji“.[6] Wszystko to są zdania porucznika artylerji Bonapartego, jakobina, z roku 1793.

A teraz przypomnijmy sobie, co myślał i mówił głównodowodzący armji egipskiej w pięć lat później. „Paryż wart mszy“! To znaczy: „Zdobycie Azji warte jest chrześcijaństwa“. Bonaparte w Egipcie gotów był przyjąć islam. „A armja byłaby ze śmiechem zmieniła wiarę razem ze mną. Ale pomyślcie tylko, coby się z tego było stało: Europę byłbym wziął za łeb z drugiego końca; stara cywilizacja europejska byłaby została okrążona i kto byłby się odważył przeciwstawić misji Francji i odnowieniu świata?“[7] „Gdybym był pozostał na Wschodzie, to byłbym z pewnością tak samo jak Aleksander założył państwo światowe, odbywszy pielgrzymkę do Mekki“.[8] „Widziałem się w drodze do Azji, w turbanie na głowie i z nowym, przez siebie ułożonym Koranem w ręku“.

„Od początku świata było pisane w gwiazdach, że przyjdę od zachodu, aby wypełnić swoje przeznaczenie — zniszczyć wszystkich wrogów islamu i poobalać krzyże“ — powiada w odezwie do muzułmańskich szeików. „Tak sobie z nich pokpiwałem!“ Tak samo pokpiwał sobie z katolików w Italji: „Walczyłem z niewiernymi Turkami; jestem niemal krzyżowcem“.[9] „Była to szarlatanerja, ale o bardzo wysokim polocie“.[10] Temi słowy zdaje się Carlyle rozmyślnie wydrwiwać „potworną mieszaninę proroka i szarlatana“.

„Dlaczego walczysz ze mną?“ — pyta on Mustafę-paszę, wziętego do niewoli po zwycięstwie pod Abukirem. — „Z Rosjanami winieneś walczyć, z tymi niewiernymi, którzy czczą trzech Bogów, gdy ja, podobnie jak twój Prorok, wierzę tylko w jednego Boga“. — „Dobrze, jeśli tak jest w sercu twojem“ — odpowiedział Mustafa bardzo trafnie i zjadliwie. Całe nieszczęście Napoleona spoczywało właśnie w tem, że sam nie wiedział, co ma w sercu.[11]

Gdy później przyjmuje chrześcijaństwo, a raczej katolicyzm, to tylko powierzchownie, jako narzędzie panowania.

„My obaj mamy, oczywiście, niewiele religji, ale lud jej potrzebuje“.[12] „Czy mógłby istnieć porządek państwowy bez religji? Społeczeństwo nie może istnieć bez nierówności majątkowej, a nierówność nie może się ostać bez religji. Gdy ktoś umiera z głodu obok kogoś, mającego wszystkiego wbród, to stanowczo nie mógłby się z tem pogodzić, gdyby nie istniała potęga, która mu powiada: — Taka jest wola Boża; tu na ziemi muszą istnieć ubodzy i bogaci, tam, na drugim świecie, będzie inaczej“.[13]

Czy to ateizm? Nie. Genjalną bystrością spojrzenia dostrzega on właśnie to, czego my po tylu straszliwych doświadczeniach wciąż jeszcze dostrzec nie umiemy. „W tej chwili najstraszliwszym wrogiem jest nie fanatyzm, ale ateizm — Ce n'est pas le fanatisme qui est à craindre maintenant, mais l'athéisme“.[14] „Odnowiłem religję; jest to zasługa o skutkach nieobliczalnych, bo gdyby nie było religji, to ludzie mordowaliby się wzajemnie o najsłodszą gruszkę i najładniejszą dziewczynę“.[15]

Lecz gdy przyjmuje chrześcijaństwo zewnętrznie, wewnętrznie nawet nie próbuje z niem walczyć, przynajmniej nie w swej świadomości dziennej, w swej duszy dnia. Poprostu omija je.

W młodości, opierając się na Encyklopedji, ułożył sobie paralelę między Jezusem Chrystusem a Apolonjuszem z Tiany, przyznając pierwszeństwo Apolonjuszowi. Ale gdy brat jego Lucjan przypomniał mu o tem podczas Konsulatu, odpowiedział Napoleon ze śmiechem: „Dość! Zapomnij o tem, bo jeszcze skłócę się z Rzymem i będę musiał odprawiać publiczną pokutę, aby się mój konkordat nie okazał dziełem Belzebuba!“

„A papież naprawdę wierzy w Chrystusa!“ — zdumiewa się Napoleon

całkiem szczerze. — „Czy Chrystus istniał? Zdaje się, że żaden z historyków, nawet Józef Flawjusz, nie wspomina o nim".

„Doszedłem do przekonania, że Jezus nie istniał nigdy". Być może, iż wątpi on mniej o tem, czy Chrystus istniał, niż o tem, czy to jest potrzebne, aby był istniał.

I nagle znowuż myśl jak błyskawica: „Znam się na ludziach i powiadam, że Jezus Chrystus nie był człowiekiem!"[16] „Dobrze, jeśli tak jest w sercu twojem".

W sercu jego żyło bezustanne pytanie, a może było ono bezustanną męką: „Kim-że jestem? Skąd pochodzę? Dokąd idę?... Wiarę straciłem w trzynastym roku życia. Może jeszcze kiedy będę wierzył ślepo. Daj Boże! Nie opierałbym się wierze, sam jej pragnę, bo rozumiem, że to wielkie szczęście..."[17] „Rozum mój nie pozwala mi wierzyć, ale wspomnienia dzieciństwa i młodości prowadzą mnie znowuż ku niepewności".[18] Czy to nie te wspomnienia są w głębi jego serca tajemnym odgłosem dzwonów?

„Dobrze więc. Wierzę we wszystko, w co wierzy Kościół... Ale religij jest tyle, że niewiadomo, która z nich jest prawdziwa... Gdyby od samego początku świata była istniała tylko jedna, to uważałbym ją za prawdziwą".[19] Od początku świata, od prastarej Macierzy Ziemi.

„Antiquam exquirite Matrem".

Szukał jej, ale nie znalazł. Cóż mu stanęło na przeszkodzie? Z pewnością nie „występki kapłanów" i nie katechizm, zamiast którego byłby wolał dać ludowi podręcznik geometrji.

Pewnego razu na Św. Helenie, gdy hodował groch tyczkowy, zwrócił uwagę na cudowną budowę jego wąsów i zaczął mówić o istnieniu Boga Stwórcy.[20] „Idea Boga jest jednak najprostsza; któż to wszystko zrobił?"[21]

Gdy jego uczeni towarzysze, członkowie Instytutu, w drodze z Francji do Egiptu, siedząc podczas gwiaździstej nocy na pokładzie fregaty „Orient", przekonywali go, że Boga niema, wyciągnął nagle rękę przed siebie i wskazał na gwiazdy: „A któż stworzył to wszystko?"[22] Oczywiście, było to powiedziane z głębi serca.

A oto słowo jeszcze głębsze: „Niema cudów — wszystko jest cudem".[23] „Co to jest przyszłość? Co to jest przeszłość? I czem jesteśmy my sami? Co za czarodziejska mgła otacza nas i zasłania przed naszemi oczami to, co koniecznie widzieć winniśmy? Rodzimy się, żyjemy i umieramy śród samych cudów".[24]

Na Św. Helenie, będąc już chory, siedział razu pewnego w wannie i czytał Nowy Testament; nagle zawołał: „Nie jestem wcale ateistą!... Człowiek

potrzebuje cudowności!... Nikt nie zdoła powiedzieć, co będzie czynił w ostatnich swoich chwilach!"[25]

W ostatnich chwilach zapragnął kapłana katolickiego, aby „nie zdechnąć jak pies". Zwracając się do księdza, mówił: „Pragnę umrzeć jako dobry katolik"; gdy obecny doktór Antommarchi uśmiechnął się przy tych słowach, cesarz kazał mu wyjść z pokoju.[26]

„Umieram w apostolsko-rzymskiej religji, w której łonie się urodziłem" — czytamy w testamencie Napoleona. Czy to prawda, czy nieprawda? On sam tego nie wie. Nie ulega wszakże najmniejszej wątpliwości, że cała jego dusza nocna krąży bezustannie nie dokoła katolicyzmu, czy nawet chrześcijaństwa, ale dokoła samegoż Chrystusa. Bo i z kim-że on walczy, jeśli nie z Nim, kogóż musi on pokonać, jeśli nie Jego, aby stać się największym na świecie człowiekiem, władcą świata? Oto jest jego wielka idea, stanowiąca całe jego życie.

„Zawsze samotny śród ludzi, powracam do domu, aby marzyć sam na sam i oddawać się melancholji" — pisze Bonaparte w dzienniku 3 maja 1786 roku, jako siedemnastoletni podporucznik artylerji, siedząc w swej ubogiej izdebce. „O czem też będę marzył dzisiaj? O śmierci. W zaraniu życia mógłbym mieć nadzieję, że jeszcze długo żyć będę i że będę szczęśliwy. Cóż to za szaleństwo wzbudza we mnie pragnienie końca? Prawda, że nie mam nic do czynienia na tym świecie... Jak daleko odbiegli ludzie od natury! Jacy oni podli, jacy nędzni i godni pogardy!... Życie staje mi się ciężarem, bo ludzie, z którymi żyję, i prawdopodobnie zawsze żyć będę, tak samo niepodobni są do mnie, jak blask księżyca niepodobny jest do blasku słońca".[27]

Czegóż tak wielkiego dokonał ten oficerek, aby tak bardzo gardzić ludźmi? I co to ma znaczyć, że ludzie to blask księżyca, a on sam — blask słońca? My tego nie wiemy, ale wie to Nietzsche: „Napoleon był ostatniem wcieleniem boga słońca Apollina". Wie to i Goethe, że „życie Napoleona jest życiem półboga: całe ono promienne" — słoneczne. Ale najlepiej z wszystkich wie o tem ów stary grenadjer, idący nad Berezyną obok cesarza przy dwudziestostopniowym mrozie. „Zimno ci, przyjacielu". — „Nie, Najjaśniejszy Panie, gdy spoglądam na ciebie, to mi ciepło!" On wie, on czuje całem swojem drętwiejącem ciałem, że wszyscy ludzie zimni są, jak światło księżyca, tylko cesarz jest gorący, jak blask słońca.

Dzień 7 września, który pod Borodinem zadecydował o losie wyprawy na Rosję, a może i o losie całego cesarstwa Napoleona, był dniem przesilenia jesiennego, gdy słońce zbliża się ku zimie. Napoleon był tego dnia chory. „Pierwsze dni przesilenia oddziaływały na niego źle" — opowiada Ségur.[28] Odczuwał zawsze tajemny związek między ciałem swojem a słońcem. „Twoje ciało to blask słońca, członki twoje to najcudowniejsze promienie. Zaprawdę, ze słońca wyszedłeś, jak dziecko z łona matki!" — były słowa modlitwy po-

rannej egipskiego władcy Echnatona, syna słońca. A po upływie półczwarta tysiąclecia płomienną wigilją żołnierze składali hołd innemu synowi słońca, — słońcu Austerlitzu — samemuż cesarzowi.

W kilka lat po napisaniu słów o blasku księżycowym i słonecznym, w koszarach auxońskich pisze on dziwaczną nowelę, która zdaje się być bredzeniem gorączkowem. Może jest niem istotnie: cierpiał wtedy na nawroty zimnicy, któremi zionęły moczary auxońskie.

Nowela ta ma za temat krwawą zemstę korsykańską, wendetę, zwróconą przeciw całemu narodowi francuskiemu. Nienawidził wtedy Francuzów za ujarzmienie Korsyki i kochał swoich największych w przyszłości wrogów, Anglików, za to, że podczas powstania wspomagali Korsykanów.

Pewien Anglik, który w tej nowelce opowiada o sobie, dostaje się w drodze z Livorno do Hiszpanji na bezludną wyspę wpobliżu Korsyki, na niedostępną skałę, o którą wiecznie biją wściekłe fale. W tem miejscu rozbiło się już wiele statków, tak, że wyspa z tej przyczyny otrzymała swoje złowróżbne imię „Gorgona". Ale Anglik, człowiek skłonny do melancholji, zachwycony jest dzikim urokiem tej miejscowości. „Jeszcze nigdy nie zamieszkiwał człowiek schronu tak samotnego... Tutaj mógłbym być zupełnie spokojny, jeśli nie szczęśliwy". Z takiemi myślami zasypia w nocy w swym namiocie, gdy raptem budzi go blask płomieni i krzyk: „Zgiń, nieszczęsny!" Namiot płonie. Z trudem ratuje się Anglik z płonącego namiotu i dowiaduje się, że młoda dziewczyna, córka starca, jedynego mieszkańca Gorgony, chciała go spalić. Gdy starzec dowiaduje się, że przybysz jest Anglik, przyjmuje go jako pożądanego gościa i opowiada mu dzieje swego życia.

Jest to Korsykanin; w ciągu długich lat walczył z gnębicielami Korsyki: Genueńczykami, Austrjakami, Francuzami. Gdy Francuzi opanowali wyspę ostatecznie i zamordowali jego ojca, matkę, żonę i wszystkie dzieci z wyjątkiem jedynej córki, która znikła bez śladu, opuścił Korsykę i przeniósł się na Gorgonę, gdzie po rozlicznych przygodach odnalazł swą córkę. Tutaj żyli oboje jak dzicy, w ruinach starego klasztoru, żywiąc się żołędziami i rybami". „Nieszczęście moje doprowadziło mnie do tego, że znienawidziłem blask słońca. Już mi słońce nie świeci. Tylko w nocy oddycham świeżem powietrzem, aby serce moje nie musiało się zakrwawiać na widok gór, śród których mieszkali niegdyś wolni moi przodkowie... Przysiągłem przed swoim ołtarzem (miał niezawodnie na myśli ołtarz kaplicy klasztoru, w którego ruinach mieszkali), że nie przepuszczę żadnemu Francuzowi. Gdy statki rozbijają się o skały Gorgony, to ratujemy tonących rozbitków dlatego, że są ludźmi, i zabijamy ich za to, że są Francuzami.

W roku zeszłym omal że nie rozbił się tu francuski statek pocztowy. Pełne grozy wołania o pomoc ludzi ginących wzbudziły we mnie współczucie...

Rozpaliłem wielkie ognisko w miejscu, gdzie mogli lądować, i uratowałem ich w ten sposób... I jak się panu zdaje: czy uratowani okazali mi wdzięczność?

Gdy się dowiedzieli, że jestem Korsykaninem, schwytali mnie i zakuli w łańcuchy... Tak zostałem ukarany za swoją słabość. Rozgniewani przodkowie pomścili się na mnie za swoje niepomszczone dusze. Ale Bóg, widząc moją skruchę, uratował mnie. Statek zatrzymać się musiał siedem dni, bo jego zapas wody się wyczerpał. Musieli znaleźć studnię, więc obiecali mi wolność i zdjęli łańcuchy. Z chwili tej skorzystałem i jednemu z dwóch konwojujących mnie wbiłem sztylet w pierś. Wtedy po raz pierwszy spostrzegłem słońce — jakież promienne było! Córka moja, spętana, pozostała na statku. Wdziałem szaty zabitego przez siebie żołnierza, uzbroiłem się dwoma pistoletami, które miał przy sobie, szablą i sztyletem swoim, i udałem się na statek. Kapitan i chłopiec okrętowy byli pierwszemi memi ofiarami. Potem wymordowałem wszystkich innych... Zawlekliśmy trupy do stóp ołtarza i spaliliśmy je. To nowe kadzidło snać podobało się Bogu". [29] *

Nowe kadzidło? Nie, bardzo stare! Tylko odwieczne skały Gorgony pamiętają dawne czasy, gdy Molochowi, Baalowi, Szamaszowi i innym jeszcze starszym bogom, być może przedhistorycznym, przedpotopowym — składano ofiary z ludzi. A oto krwawa ta ofiara pokalała ołtarz chrześcijański, na którym składano niegdyś tylko ofiarę bezkrwawą. Człowiek nie widział słońca, żył w ciemnościach, aż do chwili, gdy niby kapłan Molocha wbił nóż w serce ludzkiej ofiary: dopiero wówczas promienne słońce zajaśniało nad nim na nowo.

„Gdybym miał wybierać religję, to jako boga czciłbym słońce, które wszystko ożywia. Ono jest prawdziwym bogiem ziemi" — rzekł Napoleon na wyspie Św. Heleny. Słowa te spływają z jego ust jakby odniechcenia i niedbale, ale w rzeczywistości pochodzą one z najtajniejszych głębin serca.[30]

Jaka blada i anemiczna była lunatycznie chłodna bogini rozumu, której Robespierre i Murat podobnież składali ofiary ludzkie, w porównaniu z tym słonecznym bogiem Napoleona! „Człowiek taki, jak ja, gwiżdże na życie miljona ludzi". Miljon ludzi już ofiarował, ileż byłby ich ofiarował jeszcze, gdyby się był stał panem świata?

Jest to całkiem zrozumiałe, że człowiek, w którego duszy, niby meteory w nocy, błąkają się takie myśli, podobne do rozżarzonych bryl, nie jest ani Korsykaninem, ani Włochem, ani Francuzem, ani wogóle Europejczykiem, ba nie jest nawet człowiekiem naszej epoki historycznej, czy nawet kosmicznej,

* Posiadamy tylko nieortograficzny i w złej francuszczyźnie napisany szkic nowelki. Trzeba ją było nieco uprościć i objaśnić, aby uwypuklić jej straszliwą myśl i uczucie.

naszego eonu... Jako dziecię innych epok słonecznych dusi się on w lunatycznie zimnem stuleciu, którego starzejące się słońce jest blade jak księżyc. Mimoa woli przytłacza ludzi swoją niezdarną wielkością, niby przedpotopowstwora.

„Cywilizacja jest mu potrosze zawsze wrogiem osobistym" — powiada Talleyrand o Napoleonie.[31] Z oddali może się wydawać, że tylko „potrosze", ale wewnętrznie może tak jest w mierze bardzo znacznej.

Każda cywilizacja, osobliwie zaś europejska, jest układem, przystojnością, dobrem wychowaniem. „Jaka to szkoda, że tak wielki człowiek jest tak źle wychowany!" — odpowiedział pewnego razu Talleyrand, oczywiście, nie w oczy, na pospolite wyzwiska Napoleona.[32] „Brak mu wychowania i dobrych manier" — powiada pani de Rémusat, zaufana Talleyranda. „Do pokoju nie umie on ani przyzwoicie wejść, ani z niego przyzwoicie wyjść, nie potrafi się skłonić, usiąść, powstać. Wszystkie jego ruchy są szorstkie i kanciaste; tak samo jego sposób mówienia... Wogóle wszelki ustalony przepis jest mu wstrętny; każda dowolność raduje go niby zwycięstwo; niczemu nie chciał się podporządkować, nawet gramatyce".[33] Nawet ubrać się nie potrafi, jak się należy; kamerdyner ubiera go cierpliwie jak dziecko, a gdy on sam rozbiera się w nocy, to niecierpliwie zrywa z siebie ubranie i rzuca je na podłogę, jak niepotrzebny i niemiły ciężar. Naturalnym stanem dla jego ciała jest czysta nagość czasów starożytnych, które nie znały fałszywego wstydu".[34]

Cywilizacja to „dobry smak". „Aha, dobry smak to jeden z tych klasycznych zwrotów, których ja nie uznaję!"[35] „Dobry smak to osobisty wróg Waszej Cesarskiej Mości; gdyby było można pozbyć się go przy pomocy armat, to już dawno byłby przestał istnieć" — rzekł mu Talleyrand.[36] Ma to znaczyć, że Napoleon nie może być cywilizowany, ale Napoleonowi może o to wcale nie chodziło. „Pan, mój panie, jesteś tylko gnojem w jedwabnej pończosze"— powiedział Talleyrandowi. Ale być może, że cała europejska cywilizacja była dla Napoleona takim samym „gnojem". „Gdy obok tego całego błazeństwa przechodzę, to niekiedy budzi się we mnie pragnienie, złapać wszystko za ogon i cisnąć do djabła!" — byłby mógł zawołać razem z Raskolnikowem.

„Skrzydłom potrzebny jest do lotu wolny przestwór. Niech stąd wyjeżdża, bo tu umrze" — powiada o nim pewna dama współczesna, na krótko przed jego wyjazdem do Egiptu. On sam też zdaje sobie sprawę z tego, że trzeba uciekać. „Paryż uciska mnie jak płaszcz ołowiany".[37] Nietylko Paryż, lecz cała cywilizacja europejska.

Dlatego Wschód pociąga go ku sobie tak potężnie. „W Egipcie czułem się wolny od więzów krępującej mnie cywilizacji... Był to najpiękniejszy czas mego życia, ponieważ był najidealniejszy. Ale los zadecydował inaczej...

Musiałem wrócić do rzeczywistości". Musiał wrócić do europejskiej cywilizacji, do jedwabnej pończochy pełnej gnoju.

Dlatego też lubi wojnę. „Wojna to stan przyrodzony, état naturel — obnażenie się, pozbycie się ołowianego płaszcza cywilizacji".[38]

Z tego też powodu kocha rewolucję; nienawidzi ją, pokonywa, a jednak kocha. „Marat... kocham go za to, że jest szczery. Zawsze mówi to, co myśli. To charakter. On sam walczy z wszystkimi".[39]

Napoleon, ujarzmiciel i organizator rewolucyjnego chaosu, czuje kipiący chaos w swojej własnej piersi, bodaj jeszcze większy niż cała rewolucja, i to jest jego największym czynem bohaterskim, że pokonał nietylko chaos zewnętrzny, lecz że zapanował i nad wewnętrznym, owem „przerażeniem Gorgony". Zresztą on sam nie byłby zdołał uratować się od niego. Ratuje go Matka Ziemia, a może także Matka niebieska.

Czemże tedy jest jego nienawiść dla cywilizacji? Dokąd chce on uciec od niej? W stan przyrodzony, jak w latach młodości, gdy się upajał pismami Rousseau'a. Ale był on zbyt chłodny i roztropny, aby się trwale entuzjazmować dziwactwami Jana Jakóba, których pozbył się niebawem. „Rousseau stał mi się osobliwie wstrętny, gdy poznałem Wschód: człowiek naturalny to dzikus, pies".[40]

Ale jeśli nie chciał uciekać w tę naturalną dzikość, to gdzie? Do innej cywilizacji, albo ściślej mówiąc w inny wiek światowo-historyczny, a może nawet w inną epokę kosmiczną — w inny eon. Z naszego lunatycznego w słoneczny. Ale jakiż jest ten wiek słoneczny?

„Dwie dusze żyją w piersi mej, niestety!"

Być może, iż ciągle jeszcze nie rozumiemy, jakie tragiczne znaczenie miała dla niego ta dwoistość duszy.

Dwie dusze to dwoistość świadomości: jedna świadomość czuwająca, powierzchowna świadomość dzienna, i druga świadomość: śpiąca, nocna. Pierwsza kieruje się prawami tożsamości i wypowiada się sylogizmami i indukcjami, a doprowadzona do ostateczności, nadaje całej budowie cywilizacji ów martwy, skostniały wygląd, który tak dobrze wszyscy znamy; druga działa według praw logiki nieznanej i wyraża się przeczuciami, jasnowidzeniem, intuicją, nadając kulturze oblicze żywe, organiczne, albo, mówiąc językiem starożytnych: magiczne.

Magja, teurgja — słowa te już dawno straciły dla nas swój sens rzeczywisty. Aby go sobie poniekąd przypomnieć, możemy wskazać jedynie na taką odległą a zarazem brutalną analogję, jak instynkt zwierzęcy. Mrówki, mieszkające nad brzegiem rzeki, wiedzą, gdzie mają założyć swoje mrowisko, aby go powódź znieść nie mogła; jaskółki wiedzą, dokąd trzeba lecieć, aby

odnaleźć zeszłoroczne gniazdo, oddalone o tysiąc mil. A ta wiedza, która jest równie autentyczna, jak wiedza zdobywana indukcją i sylogizmami, wydaje się nam cudowna, magiczna. Moglibyśmy też wskazać na delikatniejszą, ale i słabszą zarazem analogję genjalnych przeczuć i intuicyj w naukowej i artystycznej twórczości, bo i one nie opierają się na przesłankach i wnioskach oraz na indukcjach, lecz na nagłych cudownych wzlotach, tak, że właśnie ta cudowność staje się osobliwością genjuszów, ich niewspółmiernością z wszelką zwyczajną i powszednią mechaniką. Ale to wszystko jest zaledwie dalekim symbolem rzeczywistości dawno dla nas zaginionej, są to drobne ułamki olbrzymiej, nieznanej nam całości.

Gdy z tego punktu widzenia spoglądamy na szereg powstających i upadających wielkich kultur, cofając się daleko wstecz aż w głębie najodleglejszej starożytności, to spostrzegamy, że w miarę oddalania się od czasów naszych coraz mniej jest mechanicznej świadomości dziennej, a coraz więcej świadomości nocnej, czyli tej właśnie, którą starożytni nazywają magją, teurgją. Gdybyśmy zaś, idąc tą drogą, doszli aż do końca, to dotarlibyśmy do krańcowego antypoda, do biegunowo innego, lecz podobnego sobowtóra — przeciwnego w środkach, podobnego w celu, czyli w dążeniu do tytanicznego panowania nad przyrodą; byłaby to ta doskonale organiczna kultura „magiczna", którą mit platoński nazywa Atlantydą.

„Była niegdyś wyspa za Słupami Herkulesa, kraina większa od Libji i Azji Mniejszej razem. Nazywała się Atlantydą" — opowiada w „Timaiosie" Platona stary kapłan z Sais Ateńczykowi Solonowi jedną z najstarszych legend egipskich. „Zdarzyły się potężne trzęsienia ziemi i powodzie, i dnia pewnego w ciągu nocy wyspa Atlantyda znikła w wirze morskim".

Legendę o zagładzie wyspy Atlantydy mogli byli opowiedzieć Napoleonowi jego uczeni towarzysze, członkowie Instytutu, gdy na pokładzie fregaty „Muiron" w roku 1799 powracał z nimi z Egiptu do Francji i gdy po dłuższem rozczytywaniu się w Biblji zaczął z nimi rozmawiać o możliwej zagładzie świata przez nowy potop czy przez pożar.[41] Albo też mówili mu może już wcześniej, podczas pobytu w Egipcie o Atlantach, którzy panowanie swoje rozszerzyli aż po granice Egiptu.[42]

Jakich też uczuć musiał doznawać Napoleon, słuchając tej opowieści? Czy wiew myśli pokrewnej musnął jego duszę?

Pierwsze panowanie nad światem założyli Atlantowie, on chciał założyć — ostatnie.

Atlantowie byli dziećmi Oceanu, on także.

„Twe piętno nosił on na sobie,
Z twojego ducha zrodził się;

Jak ty, był mocny, nieugięty,
Głęboki, mroczny, tak jak ty".[43]

Atlantowie byli wyspiarzami; on także: urodził się na wyspie Korsyce, umarł na wyspie Św. Heleny. Jego pierwszy upadek zaprowadził go na wyspę Elbę, a przez całe życie walczył z wyspą Anglją, małą Atlantydą naszych czasów, o przyszłą wielką Atlantydę, która obejmować miała wszystkie kontynenty świata, oblane morzami.

Ale podobieństwo wewnętrzne jest może większe od zewnętrznego.

Matka-Ziemia, ojciec-Słońce, syn-Człowiek, oto religja Atlantów, sądząc z tego, co nam w strzępach przekazali babilońscy i sumeryjsko-akadzcy praojcowie naszych dziejów.

„Klinowem pismem tablic,
Pisanych przez mędrców prawieku".

„Gdybym musiał wybierać religję, to oddawałbym cześć słońcu. Ono jest prawdziwym bogiem ziemi". Matką ziemia, ojcem słońce, synem człowiek, oto jest może owa religja od początku świata, której szukał.

Atlantowie byli „organiczni", i on także. W ustawodawstwie zastąpił on abstrakcyjne schematy ideologów żywem doświadczeniem dziejowem; ze strategji wyparł wszystkie mechaniczne teorje dwoistą wiedzą organiczną: zrozumieniem żywej duszy żołnierza i wczuciem się w żywą naturę terenu, na którym rozgrywa się bitwa.

Tak jest w sprawach wielkich i w najdrobniejszych. Lekarzom, mechanikom ciała, nie wierzy tak samo, jak nie wierzy ideologom, mechanikom ducha; nie myśli on sylogizmami i nie leczy się lekarstwami; myśli jasnowidzeniem, intuicją, a leczy się magją, autosugestją.

Z konieczności przyjmuje pewną miarę mechaniczności, znajdującą się w cywilizacji; ale jej wyzszego stopnia sobie nie życzy. Gdy w roku 1803 przygotowywał desant w Anglji, Amerykanin Fulton zaproponował mu swój wynalazek — okręt parowy. Odrzucił tę propozycję, oczywiście, niesłusznie, bo okręt parowy byłby mógł dać mu zwycięstwo nad angielską flotą żaglową, czyli klucz do panowania nad światem.[44] Ale ten jeden przykład pokazuje nam jego wstręt do wszelkiej mechaniczności.

Sądząc według cyklopicznego budownictwa Atlantów, o którem opowiada nam Platon, technika ich była równie doskonała jak nasza, a może nawet znacznie doskonalsza. Rodząca się z religji naszej, czyli chrześcijaństwa, intuicja nasza jest równie głęboka, a może nawet znacznie głębsza od intuicji Atlantów.

Czemże więc różnimy się od nich? Naszą wolą i świadomością: nie czy-

nimy nic innego, tylko intuicję naszą poddajemy mechanice, naszą świadomość nocną wypieramy świadomością dzienną. Atlantowie czynili przeciwnie: świadomość dzienną wypierali oni świadomością nocną, a mechanikę podporządkowywali intuicji.

Napoleon i pod tym względem jest Atlantą, naszym antypodą: dla nas mechanika jest skrzydłem, które nas podnosi, dla niego jest ona ciężarem, leżącym na skrzydłach intuicji i przez nią dźwiganym.

Duszą Atlantydy była magja, duszą Napoleona podobnie. „Jakkolwiek wielka była moja potęga materjalna, duchowa była jeszcze większa: graniczyła ona z magją" .— „Było mi potrzebą, aby moje losy, moje powodzenie, miały w sobie coś nadnaturalnego". Po Waterloo wyraził się: „Cudowność mojego losu maleje".[45]

„Był on obdarzony rodzajem magnetycznego przewidywania — prévision magnétique — swoich przyszłych losów" — opowiada Bourrienne.[46] „Miałem wewnętrzne wyczucie tego, co mnie oczekiwało" — wypowiada się sam.[47] Można powiedzieć, że cały genjusz Napoleona spoczywał w tem wewnętrznem wyczuciu, w tem magnetycznem, magicznem przewidywaniu; ono to dawało mu takie bezgraniczne, w istocie wprost czarodziejskie panowanie nad ludźmi i zdarzeniami.

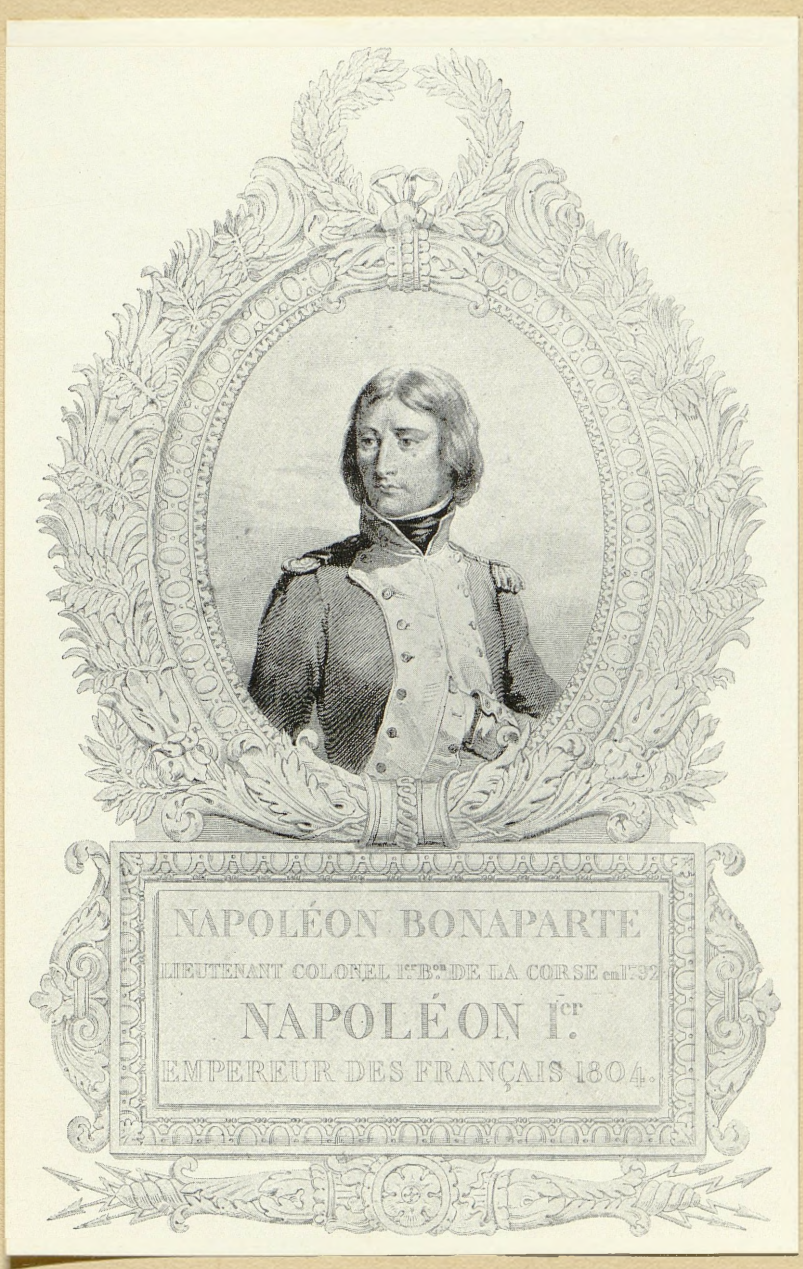
„Sire, vous faites toujours des miracles. — Najjaśniejszy Panie, zawsze czynisz cuda!" Te poczciwe i głębokie słowa wyrzekł do niego pomocnik mera miasta Mâcon, jeden ze świadków cudu Elby, triumfalnego pochodu cesarza na Paryż w roku 1815.[48]

„No, teraz nareszcie wysadzono go w powietrze" — wyraził się ktoś, uradowany, gdy w roku 1801 rozeszła się wieść, że pod powozem Pierwszego Konsula wybuchnęła maszyna piekielna. „Co? Wysadzono go w powietrze" — zawołał jakiś stary austrjacki wojskowy, świadek cudu wyprawy włoskiej. „Nie, moi panowie, wy go nie znacie... Założę się, że w tej chwili jest on zdrowszy, niż my wszyscy... Znam ja jego sztuczki już oddawna!"[49] To znaczy: sztuki magiczne, czary.

Siła magji to siła wywierania wpływu. „Gdy pragnął kogo pozyskać dla siebie, to w słowach jego spoczywał nieprzezwyciężony czar, istna siła magnetyczna" — opowiada Ségur.[50]

„Mądrym czarodziejem" nazywa go rosyjski poeta Tiutczew, zaś egipscy Mamelukowie nazywają go poprostu „czarownikiem".[51]

„Ten djabelski człowiek posiada taką władzę nade mną, że ja sam pojąć tego nie mogę" — przyznaje się generał Vandamme swojemu przyjacielowi. — „Nie boję się ani Boga, ani szatana, ale gdy znajduję się w jego pobliżu, to nieraz drżę jak dziecko; mógłby mnie przymusić, abym przelazł przez ucho igielne, abym się rzucił w ogień".



NAPOLEON-CESARZ
(według sztychu współczesnego).

„Wszędzie, gdzie byłem, tam rozkazywałem... Nato się urodziłem" — powiada Napoleon sam o sobie.[52] A ludzie wiedzą o tem.

„I na wyżynie niby bóg
Zdawał się wznosić ponad nimi,
Wszystkiem kierował, wszystkich wiódł,
Swemi oczami cudownemi".[53]

Oczami czarownika, „któremi głowę przebijał — ses regards qui traversaient la tête".[54] Straszliwa moc wywierania wpływu, magja, tkwiła w tych oczach.

Zaiste był czarownikiem, wielkim magiem, który życie własne i życie innych ludzi kształtował według woli swojej, który stwarzał dzieje świata, niby bezustanny cud.

Wszystko to znaczy właśnie, że dusza Napoleona jest duszą z Atlantydy, czyli że jest ona magją.

Nadużycie mechaniki grozi nam zagładą; nadużycie magji zgubiło Atlantów. Nasza droga jest inna, ale cel mamy ten sam, co i oni: zdobycie tytanicznej mocy nad naturą, a jej szczytem ma być człowiek, stający się bogiem. Według legendy Platona, Atlantowie są synami bożymi. „Gdy boska natura człowieka wyczerpywała się coraz bardziej przez mieszanie się z naturą ludzką, i gdy wreszcie natura ludzka wzięła górę nad naturą boską, skazili się ludzie... Mędrcy widzieli, że ludzie stali się źli, lecz głupcy mniemali, że ludzie dotarli do szczytu cnoty i szczęścia, gdy tymczasem oczy ich olśniewała opętańcza chciwość bogactwa i władzy... Wtedy Zeus postanowił ukarać skażony ród ludzki".[55] I Atlantyda znikła w głębiach morza.

Szał tytański zgubił Atlantów; zgubił też Napoleona. Miał on wyczucie boskiego umiaru, jak nikt inny, ale gdy dotarł do szczytu potęgi, zatracił to wyczucie, czy też poświęcił je tytańskiej bezmierności.

Czem jest Atlantyda? Legendą, czy proroctwem? Czy ona już była, czy też dopiero będzie? Dlaczegóż to dzisiaj właśnie bardziej, niż kiedykolwiek, wyczuwamy nieodpartą rzeczywistość w tym micie?

„Człowiek stanie się dostojny duchem boskiej tytańskiej dumy, a wówczas ukaże się Człowiek-Bóg" (Iwan Karamazow u Dostojewskiego). O kim to zostało powiedziane: o Atlantach, czy o nas? Czyż my nie jesteśmy takimi na śmierć skazanymi, szaloną pychą i żądzą władzy opanowanymi synami bożymi, którzy powstali przeciwko Bogu? I czyż nie czeka nas taki sam koniec?

„Jako było za dni Noego, tak będzie i w przyjście Syna Człowieczego. Albowiem jako za dni onych przed potopem jedli i pili, i żenili się, i zamąż wydawali aż do onego dnia, którego wszedł Noe do korabia, a nie spostrzegli

się, aż przyszedł potop i zabrał wszystkie: tak będzie i przyjście Syna Człowieczego".[56]

Atlantyda i Apokalipsa — koniec pierwszej ludzkości i koniec drugiej. Dlatego jest Napoleon człowiekiem z Atlantydy i jeźdźcem apokaliptycznym zarazem.

I dlatego zesłany został na świat, aby powiedzieć ludziom: „Może czas już jest bliski".

Dobry czy zły?

„Napoleon człowiek z Atlantydy" — nie jest określeniem zupełnie ścisłem. Właściwie należałoby powiedzieć: człowiek z Atlantydy tkwi w nim.

Że istota, nie mająca sobie równej, która według głębokiego wrażenia pani de Staël musi być uważana za mniej lub za więcej niż człowieka, że taka boska lub demoniczna istota naprawdę przebywała w ludzkiej postaci Napoleona — to zrozumieć przychodzi nam z trudem, natomiast starożytni byliby to zrozumieli całkiem łatwo.

„Napoleon jest ostatniem wcieleniem słonecznego boga Apollina" — zdanie to jest dla nas albo pustem słowem, albo najwyżej poetyckim obrazem, czy też ideą oderwaną. Natomiast pojęcie Aleksandra, jako ostatniego wcielenia boga Dionizosa, jest żywą, powszechno-historyczną potęgą i dźwignią, fundamentem tak potężnej rzeczywistości, jak cała kultura hellenistyczna. zupełnie tak samo jest Divus Caesar Imperator fundamentem uniwersalności rzymskiej.

Dla naszego idealizmu filozoficznego, pseudo-chrześcijańskiej duchowej bezcielesności, Bóg jest wobec człowieka transcendentny i w człowieku ucieleśnić się nie może; natomiast dla religijnego realizmu starożytnych Bóg się wciela, jest imanentny. Z tego punktu widzenia tak zwane pogaństwo, czyli ludzkość przedchrześcijańska, u szczytu swego rozwoju religijnego w misterjach cierpiącego Syna Bożego bliższe jest istoty chrześcijaństwa, niż my. W czem bowiem miałaby się zawierać ta istota, jeśli nie w stwierdzeniu boskiej immanencji, czyli możliwości uczłowieczenia się Boga? „Słowo ciałem się stało".

Starożytni wiedzieli, że „bogowie mają postać ludzką"; osobliwie dobrze wiedzieli o tem Grecy, którzy, jak nikt poza nimi, odczuwali boskość ciała ludzkiego. Olbrzymi nie są bogami, lecz tytanami; ich nadmierna, potworna wielkość oznacza słabość. Potęga bogów spoczywa w ich ludzkim umiarze.

O tem wiedzieli także prorocy Izraela. „Cóż jest człowiek, że o nim pamiętasz? Albo syn człowieczy, iż go nawiedzasz? Albowiem mało mniejszym uczyniłeś go od Aniołów".[1] „Jam rzekł: Bogowie jesteście, a synami Najwyższego jesteście wszyscy. A wszakże pomrzecie jako inni ludzie".[2] Kimże

są ci śmiertelni bogowie, jeśli nie ludźmi bogom podobnymi, owymi bohaterami, którzy przez starożytnych nazywani byli „synami bożymi"?

A Anioł Apokalipsy mierzy mury nowego Jeruzalem „trzciną złotą miary człowieczej, która jest miara Aniołowa".[3] To właśnie znaczy, chociaż tutaj doświadczenie religijne wyraża się w innych kategorjach, że „bogowie mają postać ludzką".

Zdaje się, że ten i ów ze współczesnych Napoleona dostrzegał w nim ten rys boski czy tytaniczny, poznał w nim „człowieka z Atlantydy", chociaż samo to określenie nikomu, oczywiście, do głowy nie przychodziło. Niejeden widział to w nim tak wyraziście, jak na wieku szkatułki hebanowej widzi się inkrustacje z kości słoniowej, wyczuwał w nim nadczłowieka zdaleka, jak psy wietrzą wilka. Ale dla nas przepadło bezpowrotnie to z wielkości Napoleona, co było dla oka dostępne w jego postaci i w rysach jego twarzy. Nawet najlepsze portrety nie oddają tego.

Wogóle zdaje się, że portrety jego w porównaniu z żywem obliczem są tem, czem jest popiół w porównaniu z płomieniem. Płomienia nie można ani odmalować, ani odtworzyć plastycznie. Tak samo jest z twarzą Napoleona. Łatwiej byłoby ją może wyraziło słowo, gdyby ten Dionizos był znalazł swego Orfeusza.

Oto jeden z jego najtrafniejszych portretów, naszkicowany przez kobietę, która niegdyś była w nim prawie zakochana, a potem przestraszyła się raptem swego uczucia i znienawidziła przedmiot swego uwielbienia: „Bonaparte jest wzrostu średniego, budowy niezupełnie proporcjonalnej: jego tułów jest zbyt długi. Ma ciemno-kasztanowe włosy i szaro-niebieskie oczy; w latach młodzieńczych, gdy był bardzo chudy, miał cerę żółtą, później, z latami, cera ta stawała się matowo-białą bez żadnego rumieńca. Rysy jego twarzy są cudownie piękne i przypominają antyczne medaljony. Usta są nieco płaskie, ale stają się bardzo miłe, gdy się uśmiecha; podbródek zdaje się być przykrótki, dolna szczęka jest ociężała i kanciasta. Ręce i nogi mają kształt szlachetny; jest z nich dumny. Jego matowe oczy, gdy jest spokojny, mają zazwyczaj wyraz melancholji i zadumy; lecz, gdy się gniewa, spojrzenie ich staje się odrazu surowe i groźne. Z uśmiechem bardzo mu do twarzy; czyni on go nagle całkiem młodym i dobrotliwym; trudno oprzeć mu się wtedy, tak dalece pięknieje i zmienia się..."[4]

Ale i ten najlepszy ze wszystkich portretów jest tylko popiołem zamiast płomienia. Brak tu rzeczy najważniejszej, tego czegoś, co nieustraszonego generała Vandamme'a „za każdym razem, gdy zbliżał się do Napoleona, przyprawiało o drżenie jak dziecko" i co byłoby go zmusiło — dla cesarza „przeleźć przez ucho igielne, albo rzucić się w ogień".

Daleko lepiej oddał to słowy prostemi pewien chłop belgijski, przewodnik

Napoleona na polu pod Waterloo. Gdy go się zapytano, jak mu się cesarz podobał, odpowiedział krótko i dziwnie: „Nawet gdyby jego twarz była tarczą zegara, to i tak nie miałoby się odwagi spojrzeć w nią, aby zobaczyć, która godzina. — Son visage aurait été un cadran d'horloge qu'on n'aurait pas osé regarder l'heure".[5]

A oto coś jeszcze osobliwszego.

Starożytni zastanawiali się wiele nad androgyniczną naturą bogów. Nawet w bogu tak męskim, jak Apollo Pytyjski, przebłyskuje kobiecość, a w Dionizosie, cierpiącym synu bożym misterjów, osiąga ona szczyt. Dla ukrócenia tytanicznej gwałtowności pierwszych ludzi, Androgynów, rozrąbali bogowie, według mitu Platona, każdego z nich na dwie części, męską i żeńską, „tak jak się włosem na dwoje przecina jajka, gdy się je soli na zapas",[6] a chociaż w micie niema o tem mowy, to jednak przychodzi na myśl, czy tytanizm nie ma związku z androgynizmem.

„Cielistość Napoleona nie jest właściwością naszej płci" — zauważa przygodnie Las Cases, nie przeczuwają nawet, jakich tajemnych głębin istoty Napoleona tu dotyka.[7] W tym najbardziej męskim mężczyźnie całego świata kobiecość przejawia się nietylko w właściwościach cielesnych, lecz niekiedy i w duchowych. „Jest on słabszy i wrażliwszy, niż przypuszczacie" — wyraziła się cesarzowa Józefina, która jego niewieście właściwości znała bardzo dobrze.[8] „Nieraz sławiono siłę mego charakteru — mówi on sam o sobie — lecz ja byłem miękki jak szmatka, osobliwie w stosunku do moich krewnych, o czem wiedzieli oni bardzo dobrze. Gdy mój pierwszy gniew przemijał, to ich upór i wytrwałość zawsze odnosiły zwycięstwo, tak, iż ostatecznie mogli ze mną robić, co im się podobało".[9] Płakał często i łatwo, jak kobieta; często robiło mu się źle, i wtedy trzeba mu było dawać cukrzoną wodę z kwiatem pomarańczowym, niby jakiej markizie z XVIII wieku.[10]

„Niech pan patrzy, panie doktorze — zwraca się on na Św. Helenie do swego lekarza Antommarchiego, gdy po zwykłem porannem zmywaniu wodą kolońską stał przed nim zupełnie nagi — co za ładne ramiona mam i jakie okrągłe piersi, a skórę gładką bez jednego włosa. Niejedna piękność mogłaby mi pozazdrościć takiej piersi".[11]

Gdyby mu ktoś był powiedział, że największa i najstraszliwsza ze wszystkich jego myśli — stać się podobnie jak Aleksander Wielki „drugim Dionizosem", zdobywcą Indyj, najbardziej niewieścim pośród bogów — że myśl ta w jakiś mistyczny sposób wiąże się z „cielistością, która nie jest właściwością naszej płci", to oczywiście nie byłby on tego zrozumiał i byłby się śmiał. Ale może nie byłby się śmiał ów stary Austrjak, który doskonale znał wszystkie „jego sztuczki", całą jego „magję", gdyby był usłyszał podobne wywody. „Jak ci się podoba nowa cesarzowa?" — zapytano pewnego lokaja, który

dopiero co przybył z prowincji i widział cesarzową w złocistej karecie galowej o ośmiu oknach. „Bardzo ładna! Bardzo! — odpowiedział zapytany. — A jaka dobra! Swoją starą guwernantkę zabrała z sobą do karety!“ Kto miał być tą guwernantką, zrozumiano dopiero wówczas, gdy dodał, że miała ona bladą, otyłą twarz a na głowie aksamitny tok malinowy z białemi piórami — był to galowy kapelusz cesarza, gdyż jego właśnie wzięto za guwernantkę.[12]

Do tej starej guwernantki trzeba sobie w duchu dodać oczy czarownika, które „przebijają głowę“, i to w takiej twarzy, która „gdyby była tarczą zegarową, nie miałoby się odwagi spojrzeć na nią, aby zobaczyć, która godzina“, a wtedy zrozumie się przestrach Austrjaka, który rzekłby może: „To jeszcze jedna z jego sztuczek: ten przeklęty czarownik i wilkołak przemienił się w kobietę“.

Z czem tu mamy ostatecznie do czynienia? Z czemś cudownem, czy też cudackiem? Jakaż to istota tkwi w Napoleonie, „nie mająca równej sobie?“ Jestże ona boska, czy demoniczna, dobra, czy zła?

Nietzsche byłby może odpowiedział tak samo, jak pani de Staël: nie jest ani dobry, ani zły, ale jest poza dobrem i złem. Ale taka odpowiedź jest zbyt wymijająca, bowiem i poza ludzkiem dobrem i złem istnieje jeszcze nadludzkie, boskie dobro i zło. Prócz naszych lichych miar moralnych, naszych drewnianych łokci, istnieje jeszcze „złota trzcina“, którą Anioł Apokalipsy wymierza mury miasta Bożego „miarą człowieczą, która jest miara Aniołowa“. Czemże jest Napoleon, mierzony tą miarą?

Ustalić to jest dla nas rzeczą bardzo ważną, bo jeśli on, nasz — pomimo wszystko — ostatni bohater, był „potworem“, to czemże jesteśmy my? Bowiem jaki bohater-człowiek, taka też ludzkość.

„Bonaparte ma wrodzoną złą naturę, wrodzoną skłonność do złego, zarówno w sprawach wielkich jak małych“. — „Zdaje się, że brak mu wszelkiej wielkodusznej dzielności“. — „Człowiek ten był mordercą wszelkiej cnoty“— powiada o nim pani de Rémusat, ta sama, która najpierw była w nim zakochana, a potem go znienawidziła.[13]

„Napoleon bynajmniej nie był zły, ale, przeciwnie, odznaczał się naturalną dobrocią“ — powiada o nim człowiek, który sam był bardzo dobry i rzetelny, a Napoleona kochał szczerze, mianowicie ostatni jego sekretarz, baron Fain.[14] To samo mówi jego pierwszy sekretarz i kolega szkolny Bourrienne, człowiek pozbawiony dobroci, i względem Napoleona rozgoryczony. „Zdaje mi się, że sądzę go dość bezwzględnie, tak, że można mi wierzyć na słowo, gdy powiadam: poza polityką był on wrażliwy, łaskawy i współczujący“.[15] Potwierdza to w roku 1810 także jego dawny przyjaciel, a późniejszy wróg, rosyjski cesarz Aleksander: „Nie znają go i sądzą go zbyt surowo,

a może nawet niesprawiedliwie... Poznawszy go bliżej, przekonałem się, że to człowiek dobry".[16]

„O, Napoleonie, niema w tobie nic współczesnego; cały i bez wyjątku jesteś z Plutarcha!" — zawołał stary korsykański bohater Paoli na widok dziewiętnastoletniego Bonapartego.[17] „Cały i bez wyjątku z Plutarcha", to znaczy cały i bez wyjątku z bronzu i marmuru, doskonały bohater, człowiek o doskonałej cnocie. A gdy po latach kilku młody lew pokazał szpony, zawołał ten sam Paoli: „Czy widzicie tego małego człowieka? Siedzą w nim dwaj Marjusze i jeden Sulla!"[18] To znaczy: dwaj zbójcy i jeden uzurpator.

Zaprawdę trudno sądzić o złu i dobru Napoleona według słów ludzkich i ich niejasnych uczuć. „Wszyscy mnie kochali i wszyscy nienawidzili". Promienie miłości i nienawiści krzyżują się na jego twarzy i wytwarzają zbyt jaskrawy blask.

A tutaj oto jego własne wyznanie, przypadkowa spowiedź, uczyniona w cztery oczy wobec złego ducha i uwodziciela Talleyranda podczas urzędowej rozmowy, niemal bezpośrednio po strasznej porażce pod Lipskiem w roku 1814. Była mowa o królu hiszpańskim Ferdynandzie VII, którego obaj zwabili do francuskiej pułapki w twierdzy Bayonne i obrabowali go, niby prawdziwi zbójcy zaczajeni u drogi. Zmusili go do zrzeczenia się tronu na rzecz cesarza Francji, co miało za następstwo długoletnią wojnę hiszpańską, beznadziejną i nie mającą końca, a zarazem będącą jedną z przyczyn upadku Napoleona. Talleyrand, właściwy autor tego złego czynu, doradzał Napoleonowi teraz, gdy już było za późno, naprawienie tej krzywdy i wypuszczenie Ferdynanda z niewoli francuskiej a zarazem wycofanie wojsk francuskich z Hiszpanji.

„Wasza Cesarska Mość jest jeszcze zbyt potężny, aby krok ten mógł być uważany za tchórzostwo czy podłość" — kończy on swój wywód dwuznacznie.

„Za podłość? — odpowiada Napoleon. — Trzeba panu wiedzieć, że nie cofnąłbym się przed żadną podłością, gdyby mi była pożyteczna. W gruncie rzeczy niema na świecie ani szlachetności, ani nikczemności; w charakterze moim mieści się wszystko, co mi jest potrzebne dla utrwalenia mej potęgi i dla zwodzenia wszystkich, którym się zdaje, że mnie znają. Przyznaję otwarcie, że jestem podły, w najgłębszej istocie podły — je suis lâche, essentiellement lâche.* Daję panu słowo, że nie doznawałbym żadnego wstrętu wobec tego, co ludzie nazywają „czynem bezecnym". Moje tajemne skłonności, które są ostatecznie zgoła naturalne i kłócą się z tą udawaną wielkością, w którą przyoblekać się muszę, dają mi bezgraniczne możliwości zwodzenia ludzi we wszystkiem, co o mnie sądzą. Dlatego też w tej chwili trzeba mi wie-

* Francuskie słowo: lâcheté, używane w tej rozmowie, oznacza zarazem i tchórzostwo, podłość.

dzieć tylko tyle, czy to, co mi pan proponuje, odpowiada mojej chwilowej polityce, a także — dodał z szatańskim uśmiechem — czy niema w tem jakich ukrytych korzyści dla pana, że mnie pan wciąga w tę sprawę".[19]

Aby tę osobliwą spowiedź zrozumieć, trzeba przedewszystkiem znać spowiednika. Talleyrand jest istotą w swoim rodzaju także niezwykłą. Jest to człowiek o umyśle wielkim, ale zupełnie pustym i martwym, gdyż żywy duch zawsze czerpie życie z serca, on zaś zamiast serca ma garstkę trupiego popiołu, albo tego pyłu, jaki się sypie ze zgniłej, wyschłej purchawki. On sam o tem wie i czuje swoją bezgraniczną pustkę wewnętrzną, swoją nicość, więc zła, drapieżna zawiść napełnia go wobec wszystkiego żywego i rzeczywistego, osobliwie wobec Napoleona, który w najprawdziwszem znaczeniu słowa jest rzeczywistym i żywym.

Co łączy tych dwóch ludzi? To, co Napoleonowi wydaje się w Talleyrandzie rzeczowym realizmem, genjalną niewybrednością wobec najbardziej cuchnącej ze wszystkich ludzkich kuchen — wobec polityki. Tak jest, to, a prócz tego jeszcze coś głębszego, transcendentalnego. Zdaje się, że związani są z sobą, jak Faust z Mefistofelesem, jak człowiek ze swoim cieniem „zaświatowym": coś bezgranicznie nieistotnego przylepiło się do najistotniejszego.

Ale najdziwniejsze to, że Napoleon choćby przez chwilę może, jak się zdaje, kochać Talleyranda, a co już najdziwniejsze, współczuje mu. Z transcendentalnej grzeczności, czy też ostrożności traktuje on tego szatana jako anioła-stróża. Bo jak inaczej możnaby sobie wytłumaczyć scenę następującą? W roku 1806, na osiem lat przed tą osobliwą spowiedzią, z powodu wyprawy pruskiej Napoleon prosto z zamku wybiera się na front. Przy rozstaniu, w ostatniej chwili obejmuje cesarzowę Józefinę i Talleyranda, przyciska jednocześnie oboje mocno do serca i płacze: „Jakże trudno przychodzi rozstać się z dwiema istotami, które kocha się bardziej, niż cokolwiek w świecie!" Płacze tak bardzo, że robi mu się słabo i, jak zwykle, musi się napić cukrzonej wody z kwiatem pomarańczowym.[20]

Chwila ta oczywiście minęła, a on zrozumiał, z kim ma do czynienia; ale i wtedy nie może się od niego oderwać. Ludzie ci są związani jak Faust z Mefistem z tą jedynie różnicą, że czary sprawuje tu nie szatan, ale człowiek.

„Mój panie, nie jesteś pan niczem innem, tylko gnojem w jedwabnej pończosze!" Jest to tylko jedno z tych jego niezliczonych łagodnych kopnięć, któremi odpędza zbyt natarczywego pudla-Mefista. A teraz przytoczmy jeszcze jedno, rzec można krwawe, chlaśnięcie biczem w twarz.

Scena ta rozegrała się w roku 1809 w sali tronowej Tuilerjów w kole najwyższych dygnitarzy, gdy cesarz na wieść o sprzysiężeniu Talleyranda, zwróconem przeciwko niemu, musiał był śpiesznie wracać z Hiszpanji do Paryża przed ukończeniem wyprawy.

Z nieukrywaną wściekłością Napoleon krzyczy na Talleyranda, co zdarzało się mu bardzo rzadko. Tamten zaś stoi w swej zwykłej postawie, łokciem wsparty na gzymsie komina, aby ulżyć chorej nodze — kulał jak djabeł — i wysłuchuje wszystkich chlaśnięć biczem, nie mrugnąwszy nawet.

„Pan jest złodziej, podlec, sumienia pan nie ma, w Boga pan nie wierzy! Przez całe swoje życie nie czynił pan nic innego, tylko wyłamywał się pan ze swoich obowiązków, wszystkich pan oszukiwał i zdradzał. Dla pana niema nic świętego, własnego ojca sprzedałby pan! Obsypałem pana dowodami swej łaski, a pan gotów jest dopuścić się względem mnie każdej niegodziwości! Już od dziesięciu miesięcy szczuje pan przeciwko mnie; w przekonaniu, że sprawy moje w Hiszpanji stoją źle, był pan dość bezczelny, aby każdego, kto chciał pana słuchać, zapewniać, że mi pan tę wyprawę zawsze odradzał, gdy tymczasem właśnie pan podsunął mi tę myśl i uparcie popychał mnie do tego przedsięwzięcia... Jakie są pańskie zamiary? Czego pan chce? Na co pan liczy? Niechże się pan odważy powiedzieć mi to w oczy! Zasługuje pan na to, aby pana stłuc jak tę szklankę, ale za bardzo panem gardzę, abym miał ręce swoje kalać na panu!“

Napoleon nie pokalał swoich rąk: Talleyrandowi nie stało się nic, a nawet przeciwnie, niebawem potem „przy omawianiu spraw wyjątkowo ważnych powołany został do Rady“.[21] On zaś wiedział o tem zgóry, już wtedy, gdy wysłuchiwał wyzwisk Napoleona, i gdy wszystkie smagnięcia nie spadały na niego, ale przechodziły przez niego jak skroś bezcielesnego upiora. Trudno byłoby powiedzieć, kto w tej okropnej scenie jest straszliwszy, mocniejszy, że tak powiemy nieśmiertelniejszy — Napoleon, czy Talleyrand, ów istotny, czy też nieistotny?

I to przed takim spowiednikiem złożyć taką spowiedź! Czy można w to uwierzyć? Owszem, można. Talleyrand jest zbyt sprytny, aby miał kłamać tak ordynarnie; wie on bardzo dobrze, że takie ordynarne kłamstwo byłoby niebawem zdemaskowane. On zaś pragnie, aby kłamstwo nigdy nie zostało ujawnione, i aby wielki człowiek żył w potomności z niestartem piętnem podłości na czole, z piętnem, które on sam na niem wycisnął. Talleyrand posługuje się najbardziej wyrafinowanem, szatańskiem zaiste kłamstwem, które jest niemal prawdą, owem kłamstwem, które o włos odchyla się od prawdy. Bardzo być może, że Talleyrand powtarza słowa Napoleona wielce dokładnie, tyle tylko, że sens ich nieco wypacza, ich ton — ich muzykę — odmienia. W tym kontrapunkcie kłamstwa Talleyrand jest genjuszem.

Czy Napoleon mógł powiedzieć: „Jestem podłym w najgłębszej swej istocie?“ Jeśli nawet słowo takie powiedział, to oczywiście nie w tym celu, jak to daje do zrozumienia Talleyrand, aby się cynicznie chełpić swoją podłością i nicować duszę swoją przed takiem zwierciadłem. Bo gdzież na całym

świecie jest naprawdę taki podlec, który powiedziałby o sobie: „Jestem podły?" Któryż łotr nie posiada tyle rozsądku, aby zachowywać pozory zewnętrzne i uchodzić za tem uczciwszego człowieka, im podlejszy jest istotnie?

Ależ naturalnie, Napoleon gardzi moralnemi sądami Talleyranda i jemu podobnych, razem z ich „cywilizacją" czyli „gnojem w jedwabnej pończosze". „Moje tajemne skłonności są ostatecznie naturalne — qui viennent de la nature..." Przy całem swojem zakłamaniu Talleyrand słów tych zmyślić nie mógł; w nich słyszymy głos Napoleona, ryk „przedpotowego potwora". Prawdopodobnie autentyczne są także i te słowa: „W gruncie rzeczy niema na świecie ani szlachetności, ani podłości". Tylko że należałoby dodać: „W pańskim świecie, panie Talleyrand". Czyliż dla Talleyranda nie jest to absolutną prawdą? Czyjaż twarz odbija się tu niby w błyszczącem zwierciedle: Napoleona, czy Talleyranda?

Nie, tym razem ów człowiek, który wszystkich wyprowadzał w pole, oszukał samego siebie i zdaje się, że nawet zgóry to przeczuł. „Ten szatański człowiek oszukuje nas we wszystkiem" — skarży się on do pani Rémusat. „Nawet w namiętnościach swoich nie daje się nam pojmać, bo i w nich umie się maskować, chociaż miewa namiętności prawdziwe".[22] Należałoby mniemać, iż o żadne inne namiętności chodzić tu nie może, jak tylko o ambicję i żądzę władzy. Nie, Talleyrand wie, albo niejasno wyczuwa, że przedmiot tych namiętności Napoleona, albo wyrażając się dokładniej, jego jedynej namiętności, jest czemś głębszem, pierwotniejszem. Ale czem? Tego nie wie. I my tego nie wiemy, a przynajmniej nie umielibyśmy jej nazwać. Możemy o niej tylko napomknąć: pełnia bytu. Nie pełnia życia, lecz tego, z czego się wszelkie życie wywodzi i ku czemu wraca. Jest to byt w jego najwyższym wymiarze, owa rzeczywistość, która samegoż Napoleona czyni istotą najrealniejszą — „ens realissimum" — a która dla Talleyranda, nierzeczywistego, mniej jest dostępna, niż dla kogokolwiek innego. To jest właśnie przedmiotem jego prawdziwej, jedynej namiętności, i wobec niej zawiść i nienawiść Talleyranda jest taka nienasycona i bezradna.

Ale jeśli nawet ten w całem znaczeniu słowa zły duch i oszczerca jego nie znajduje w nim tego fundamentalnego zła, za które człowiek godzien jest miana złoczyńcy, to gdzież jest to zło?

„Innych upadek poniża, a mnie podnosi on niepomiernie — powiada Napoleon na Św. Helenie. — Każdy dzień zdziera ze mnie skórę tyrana, zabójcy, złoczyńcy".[23] W jakiż to sposób narosła mu ta skóra? Czy w życiu jego nie było przynajmniej jednego bezwzględnie złego czynu, czy nie było w nim zbrodni?

On sam zdaje się być szczerze przekonany, że takiej zbrodni w jego życiu nie było. „Naturze mojej obcy jest wszelki czyn zły; w ciągu całego mego

panowania nie było ani jednego takiego czynu, abym zań nie umiał odpowiedzieć przed sądem, czyli takiego, za który nietylko nie potrzebowałbym się wstydzić, ale który miałbym prawo poczytać sobie za zaszczyt".[24] „W całem mojem życiu politycznem nie dopuściłem się ani jednej zbrodni; mógłbym to potwierdzić w obliczu śmierci; gdybym był zdolny do zbrodni, to nie znajdowałbym się teraz tutaj (na Św. Helenie)". „Naco zdałoby mi się to zresztą? Za bardzo jestem pod tym względem fatalistą i za bardzo pogardzam ludźmi".[25]

A sprawa księcia d'Enghien? Czy zapomniał o nim? A jeśli pamiętał, to czy pomimo to uważał się za niewinnego?

Sprawa ta miała się tak: Na początku roku 1804 schwytano czterdziestu spiskowców, przeważnie najmitów rządu angielskiego; spiskowcy ci przygotowywali zamach na życie Pierwszego Konsula, a śród nich znajdował się George Cadoudal, niegdysiejszy przywódca szuanów bretańskich i rojalista, i dwóch generałów: Pichegru i Moreau, sławny zwycięzca z pod Hohenlinden, ongi współzawodnik Bonapartego. W ciągu ostatnich trzech lat, od zamachu przy ulicy Nicaise, Pierwszy Konsul bezustannie otoczony był mordercami. „Powietrze pełne jest sztyletów" — przestrzegał go były minister Fouché.[26] Napoleon czuł to zresztą sam. „Czyż jestem pies, że każdy przechodzień może mnie zabić na ulicy?"[27] „Miałem naturalne prawo samoobrony — powiedział na wyspie Św. Heleny — co chwila byłem ze wszystkich stron napastowany... karabinami pneumatycznemi, maszynami piekielnemi, spiskami... Ostatecznie zmęczyło mnie to, więc skorzystałem ze sposobności, aby teror przerzucić nazad do Londynu... Wojna za wojnę... krew za krew".— „Przecież i moja krew też nie błoto. Wielką moją zasadą jest to, że w czasie wojny i w polityce zło jest dopuszczalne, o ile jest konieczne, ale wszystko inne jest zbrodnią".[28]

Mniemano — błędnie, jak później niezbicie wykazano — że książę d'Enghien, Louis Bourbon Condé, jeden z ostatnich potomków królewskiego domu francuskiego, brał w tem sprzysiężeniu udział i że nawet przez czas niejaki miał przebywać w Paryżu. Książę liczył lat trzydzieści, wyglądał na człowieka chorowitego, a jego zaduma i smutek przypominały puszkinowskiego „Ubogiego rycerza". W małem miasteczku Ettenheimie w margrabstwie Badeńskiem, wpobliżu Renu i granicy francuskiej, prowadził on życie samotne, polityką nie zajmował się prawie wcale, chodził na polowanie i oddawał się marzeniom miłosnym.

„Przypominam sobie, jakby to było dzisiaj — opowiada Napoleon na Św. Helenie: — pewnego dnia po obiedzie siedziałem przy filiżance kawy; w tem przychodzi ktoś i donosi mi o nowem sprzysiężeniu księcia Enghien... Nawet dokładnie nie wiedziałem, co on za jeden... Ale wszystko było przy-

gotowane". [29] Talleyrand zabrał się do tego. On też domagał się aresztowania księcia, które wbrew prawu międzynarodowemu zostało wykonane na obcem terytorjum.

Dnia 15 marca oddział francuskich żandarmów przekroczył granicę, wpadł do Ettenheimu, otoczył zaciszny dom księcia, wtargnął z gołemi szablami i wymierzonemi pistoletami do środka, aresztował księcia i pod konwojem sprowadził go zrazu do Strassburga, a następnie do Paryża, do twierdzy Vincennes.

Pierwszy Konsul pragnął powierzyć tę sprawę Muratowi, ówczesnemu gubernatorowi Paryża. Ale Murat oparł się temu stanowczo: „Nie zgodzę się na to, aby splamiono mój mundur żołnierski".[30] Bonaparte wziął wszystko na siebie; oczywiście, że za nim stał niewzruszenie jego anioł-stróż, Talleyrand. Minister policji Savary był tylko ślepem narzędziem ich obu.

W sprawie księcia miał wyrokować sąd polowy. „Wszystko musi zostać skończone dzisiejszej nocy" — stało w rozkazie. „Jeśli dojdzie do wyroku śmierci, o czem nie wątpię, to wyrok należy wykonać natychmiast, a skazany ma być pogrzebany na jednym z dziedzińców fortecznych. — Bonaparte".[31]

Przy pierwszem przesłuchaniu ujawniła się zupełna niewinność księcia. „Usilnie proszę o osobistą rozmowę z Pierwszym Konsulem" — napisał książę pod protokółem. „Moje imię, moje stanowisko, moja lojalność i moje okropne położenie wzbudzają we mnie nadzieję, że prośbie mojej nie odmówi".[32]

Prośby tej nie skierowano dalej: Talleyrand ją zatrzymał.

Dnia 21 marca o godzinie drugiej w nocy stawiono księcia przed sądem. Drugie przesłuchanie nie dodało do pierwszego nic istotnego. Oskarżony odpowiadał z godnością. Nie ukrywał — o czem zresztą wszyscy wiedzieli — że gotów jest zaciągnąć się pod sztandary mocarstw walczących z nielegalnym rządem Bonapartego, „gdyż stanowisko moje i krew Bourbonów, płynąca w moich żyłach, domagają się tego ode mnie". Natomiast zarzut zamachu na życie Pierwszego Konsula odrzucił z oburzeniem.

Jak tylko oskarżony został wyprowadzony, sędziowie wydali na niego wyrok śmierci, ale nie wiedząc według jakich artykułów i kodeksów sądzić go należy, pozostawili w wyroku puste miejsce. Niewinność księcia była dla nich tak niewątpliwa, że postanowili razem z jego prośbą o rozmowę z Pierwszym Konsulem przedstawić prośbę o ułaskawienie go. Przybyli za późno.[33]

O godzinie pół do trzeciej — posiedzenie trwało więc niecałe pół godziny — do celi księcia przybyli żandarmi. Gdy schodzono z nim nadół po schodach, aby go zaprowadzić do rowu fortecznego, zapytał, gdzie go prowadzą. Nikt mu nie odpowiedział. Zdołu wiało chłodem. Jednego ze swoich towarzyszy ujął za rękę i zapytał ponownie: „Do więzienia?" Ale gdy ujrzał oddział żołnierzy z karabinami, zrozumiał wszystko. Obciął pukiel włosów, zdjął

pierścień z palca i prosił, aby jedno i drugie zostało oddane jego uwielbianej księżniczce Rohan-Rochefort. Potem zapytał: „Czyliż nie dadzą mi duchownego?“ — „Chce widać umrzeć jako kapucyn!“ — ozwał się drwiący głos z wału fortecznego, zdaje się głos ministra Savary'ego. Książę ukląkł, pomodlił się, wstał i rzekł: „Jakie to straszne umierać z ręki Francuzów!“ Chciano mu zawiązać oczy, ale prosił, aby tego nie czyniono. Huknęła salwa i skazany padł martwy na ziemię.[34]

Pierwszy Konsul przez cały dzień poprzedzający siedział zamknięty w swoim gabinecie. Józefina wtargnęła do niego zapłakana, padła przed nim na kolana i prosiła o łaskę dla księcia. Bonaparte brutalnie odtrącił ją nogą i rzekł: „Idź precz! Jesteś dziecko i nie masz pojęcia o polityce!“

Nazajutrz o piątej rano zbudził ją, śpiącą obok niego, i rzekł: „Księcia d'Enghien niema już śród żyjących“. Krzyknęła i wybuchła płaczem: „Uspokój się i śpij!“ — rzekł chłodno i dodał znowuż: „Jesteś dziecko“.[35]

Czy to nieczułość? Bodaj że nie. Na dwa dni przed straceniem widział Chateaubriand Pierwszego Konsula podczas wielkiego przyjęcia w Tuilerjach: jego twarz była taka straszna, że po powrocie do domu Chateaubriand rzekł do domowników: „Bonaparte jest albo chory, albo też spotkało go coś niezwykłego, o czem nie wiemy“.[36]

„Coś ty zrobił, przyjacielu, coś ty zrobił!“ — narzekała Józefina w dniu stracenia. — „Tak, ci nieszczęśni, zbyt się pośpieszyli“ — rzekł w zadumie i dodał: „Niema rady, trzeba winę wziąć na siebie: byłoby podłością spychać ją na innych“.[37]

Hrabia Ségur widział go w trzy lub cztery dni później na Mszy w kaplicy zamkowej w Tuilerjach. „Przyglądałem mu się uważnie... Zdawało mi się, że widzę krwawą ofiarę przed ołtarzem... W twarzy jego szukałem jakiego rysu skruchy, czy przynajmniej żalu... lecz nic się w tej twarzy nie zmieniło... był spokojny“.

Po mszy przechodził Pierwszy Konsul obok szeregów dygnitarzy i rozmawiał z nimi o straceniu księcia. Widocznie pragnął się przekonać, jakie wrażenie ono wywarło, ale jedyna odpowiedź, jaką otrzymywał, była albo ordynarnem pochlebstwem, albo ponurem milczeniem. Wtedy zasępiła się jego twarz, zamilkł i szybko się oddalił.[38]

„Wróciliśmy do okropności roku 1793. Ta sama dłoń, która nas wyratowała, spycha nas na nowo w przepaść“ — rzekł hrabia Ségur i w słowach tych dał najlepszy wyraz owoczesnej opinji. „Jestem zgnębiony. Dawniej byłem dumny z tego wielkiego człowieka, któremu służyłem; był on dla mnie doskonałym bohaterem, a teraz...“ Nie miał odwagi dokończyć zdania i rzec: „A teraz nie jest już bohaterem, lecz złoczyńcą“.

Bonaparte otrzymał niebawem nagrodę za ten mord: półczwarta mi-

ljona głosów wypowiedziało się za projektem senatu obwołania go cesarzem. Na tron wstąpił poprzez trupa d'Enghiena, jeszcze nie ostygłego.

Tak dokonała się zgroza Gorgony — ofiarowanie człowieka: kapłan wbił nóż w serce ofiary i „spostrzegł słońce — jakie promienne!"

„Ludzie ci w mej osobie chcieli zabić rewolucję" — rzekł cesarz do swego otoczenia. — „Musiałem jej bronić. Pokazałem, do czego ona jest zdolna".— „Gdy się wszystko uspokoi, nikt nie będzie mnie potępiał — wszyscy zrozumieją, że to stracenie było wielkim czynem politycznym". — „Zarówno jakobinom, jak i rojalistom nakazałem milczenie na zawsze".[39]

„Ach, Najjaśniejszy Panie, lepiej o tem nie mówmy, bo zacznę płakać" — rzekła pani Rémusat pewnego dnia do niego, gdy się zgadało o księciu. — „Ach, łzy! Jedyny argument kobiecy!" — roześmiał się.[40]

Najstraszniejsze jest to, że on istotnie zdaje się nie rozumieć, o co chodzi. Dziecko zrozumiałoby, a on, najmądrzejszy z ludzi, nie rozumie.

„Jakto? Ludzie pamiętają jeszcze ciągle o tej sprawie? Co za dzieciństwo!" — woła w roku 1807, gdy się dowiaduje, że w Petersburgu myślą jeszcze o księciu d'Enghien.[41]

Ale i on sam pamięta o nim bardzo dobrze, a im dalej, tem pamięć jego jest lepsza. Ileż krwi wytoczył w swoich wojnach i zapomniał o niej, ale o tej krwi pamięta wszystko szczegółowo!

Nie można rzec, aby swoich czynów złych nie żałował, lub ich przynajmniej nie wyznawał. „Do tej rzeczy zabrałem się bardzo źle" — wyraża się o zrabowaniu korony hiszpańskiej, przyczynie tej niekończącej się wojny, w której zanurzył się jak w błocie, nie mogąc się z niej wydostać. „Niemoralność była tu zbyt jawna, niesprawiedliwość zbyt cyniczna, a całość miała wygląd ohydny, ponieważ ucierpiałem niepowodzenie; dzięki tej okoliczności zamach ukazał się w całej swej odrażającej nagości... Rana ta obrzydziła mi istnienie". A przy innej sposobności powiada: „Nie można położyć się na łożu cezarów bez zarażenia się szałem. I ja też oszalałem".[42]

Ze złych uczynków swoich się kaja, a tego, najgorszego czynu swego, nie żałuje; tak przynajmniej wydaje się jemu samemu i innym.

Na Św. Helenie Las Cases nie odważa się zagadać o księciu d'Enghien i czerwieni się, gdy Napoleon sam o nim mówić zaczyna, spokojnie z „nieodpartą i porywającą logiką". — „Gdy przestał mówić, byłem zdumiony, oszołomiony... Jestem przekonany, że tym razem darowałby mu". Tak mówił podczas gawęd w cztery oczy, a przy obcych słuchaczach „nagle wszystko się zmieniało: mówił, że sprawa pozostawiła w nim żal, ale nie wyrzuty sumienia i ani cienia wątpliwości (scrupule)".[43] A jednak w myślach jego jest rozdwojenie. „Talleyrand, ten łotr, oddał mi list księcia dopiero w dwa dni po jego śmierci".[44] Gdyby to się było stało wcześniej, „to, oczywiście, byłbym

mu przebaczył" — rzekł razu pewnego, ale kiedy indziej, jakgdyby się zwracał do potomnych, wyraził się inaczej: „Gdyby to wszystko jeszcze raz trzeba było zrobić, to zrobiłbym to jeszcze raz".[45] Widocznie sam on dobrze nie wie, co zrobiłby w podobnym wypadku: czy kazałby go stracić, czy też ułaskawiłby go.

Na trzy dni przed śmiercią, gdy męki konania już się były zaczęły, zażądał zapieczętowanego pakietu ze swoim testamentem, otworzył go, dopisał coś w sekrecie przed wszystkimi i, zapieczętowawszy go na nowo, oddał do przechowania. Słowa, dopisane przez niego, brzmią: „Rozkazałem księcia d'Enghien aresztować i stawić przed sądem; tego domagało się bezwzględnie bezpieczeństwo, pomyślność i honor narodu francuskiego, ponieważ hrabia d'Artois według własnego zeznania w tym czasie utrzymywał w Paryżu sześćdziesięciu morderców. W podobnych okolicznościach postąpiłbym dzisiaj tak samo".[46] Czyżby to miało znaczyć: „W obliczu śmierci, w obliczu Boga, jestem niewinny?" Tak, znaczenie tych słów jest takie, ale jeszcze i inne.

„Wierzę, że wbrew swoim twierdzeniom miewał wyrzuty sumienia: ścigały go one aż do grobu. Męczące wspomnienie zmusiło go do dodania tych słów do swego testamentu" — powiada kanclerz Pasquier, który Napoleona znał dobrze i w sprawie tej był doskonale poinformowany.[47] Tak jest niezawodnie: męka ta gnębiła go przez całe życie, z nią też umarł. Wyrzuty sumienia bez skruchy.

Najprościej i najlepiej wypowiada się w tej sprawie lord Holland, szczery przyjaciel Napoleona: „Trzeba się zgodzić, że jest on winien tej zbrodni; usprawiedliwić go w żaden sposób nie można; na jego pamięci pozostanie to wieczną plamą".[48] Ale gdyby zapytano: „Napoleon dopuścił się złego czynu, to znaczy, że jest złoczyńcą?" — to lord Holland odpowiedziałby tak, jak mówi o nim cała jego książka: „Nie, był on człowiekiem dobrym".

Czy człowiek dobry może się dopuszczać czynów „haniebnych?" Niech każdy z nas, zanim odpowie na to pytanie, zastanowi się nad tem, czy w życiu jego niema także jakiego „d'Enghiena". Może nie najgorsi, ale najlepsi z pośród nas, odpowiedzą: Tak! Każdy z nas ma swego d'Enghiena, piętno zarazy, którem w każdej duszy ludzkiej ujawnia się to, co chrześcijanie nazywają „grzechem pierworodnym": u małych jest ono małe, u większych — większe, u wielkich — wielkie. Miał taką plamę nawet korny król Dawid: krew Urjasza Hettejczyka. Między Dawidem a Napoleonem różnica jest, oczywiście, wielka: tamten się kajał, a ten się kajać nie chciał, czy też nie mógł, czy może sam nie wiedział, że się kaja.

„Wszyscy mnie kochali i wszyscy nienawidzili". Ale nikt mu nigdy nie współczuł, a tego, być może, potrzebował on najbardziej, bo, jakkolwiek brzmi to dziwnie, przy całej swej wielkości był biedny. Aby to zrozumieć,

dość wspomnieć, że nawet najostatniejszy śród ludzi może się modlić, a on nie mógł.

A jednak „człowiek to dobry". Wie o tem biedny Toby, ogrodnik na Św. Helenie. Napoleon bardzo pragnął wykupić go z niewoli, ale gubernator wyspy, Hudson Lowe, nie pozwolił na to. Napoleon miał współczucie dla biednego Toby'ego, może dlatego, że dostrzegał podobieństwo w ich losie: obaj byli ofiarami „cywilizacji". Toby urodził się jako wolny i dziki człowiek, lecz Europejczycy „oświecili" go, oszukali, wywlekli z ojczyzny i sprzedali go jako niewolnika. Także Toby pokochał Napoleona: nigdy nie nazywał go inaczej, tylko „dobrym panem — good gentleman", albo jeszcze lepiej: „dobrym człowiekiem — good man".[49]

O tem samem wiedzieli zadżumieni w Jaffie. Dnia 11 marca 1799 roku podczas wyprawy syryjskiej młody generał Bonaparte zwiedził lazaret zadżumionych, aby zawstydzić wystraszonych lekarzy i dodać odwagi żołnierzom, składając im dowód, że dżuma nie jest taka straszna, jak sobie wyobrażali; chodził długo śród chorych, pocieszał ich, brał za ręce, a jednego z nich pomógł przenieść na drugie łóżko.*

Wiedzieli o tem także ci ranni, którym generał Bonaparte przy odwrocie z pod Acre w straszliwej pustyni syryjskiej, gdzie ludzie umierają w spiekocie słonecznej, oddawał konie, muły i wielbłądy a nawet oddał własnego wierzchowca. Gdy służący, nie wierząc, że rozkaz ten od niego pochodzi, pyta, którego konia ma mu osiodłać, Napoleon uderza go biczykiem w twarz i krzyczy: „Wszyscy idą pieszo, wszyscy, do stu djabłów, a ja pierwszy!"

Wiedzieli o tem także i ci chłopi francuscy, którzy w ostatniej jego podróży z Niort do Rochefort i na Św. Helenę biegli za nim i głosem od łez nabrzmiałym wołali: „Niech żyje cesarz! Pozostań! Pozostań z nami!"[50] Było to w czasie sianokosu, a wysokie stogi siana przypominały ludziom roboty ziemne, wykonane w roku 1807 na rozkaz Napoleona dla osuszenia niegdyś moczarowatego i nieurodzajnego siedliska zabójczej febry, przemienionego obecnie w kwitnące łąki. „Oto jak wdzięczny jest mi lud za dobro, które dla niego wykonałem!" — mówi do swoich towarzyszy podróży.[51] Bo wszystko minie i wszystko popadnie w zapomnienie, ale to pozostanie: osuszone błoto, „uporządkowany chaos".

O tem wiedzą także tysiące tych ludzi, którzy na polach bitew umierali za niego z entuzjastycznym okrzykiem: „Niech żyje cesarz!" Wiedzieli oni, lub też czuli, że pragnie on dobra, bo głównym celem jego dążeń jest uniwersalne zjednoczenie ludzi, największe zaiste dobro.

* Wbrew zastrzeżeniom Bourrienne'a I, 372, potwierdzają ten fakt nietylko lekarze Larrey i Desgenettes, lecz i sam Napoleon mówi o nim w swej rozmowie z O'Mearą III, 210.

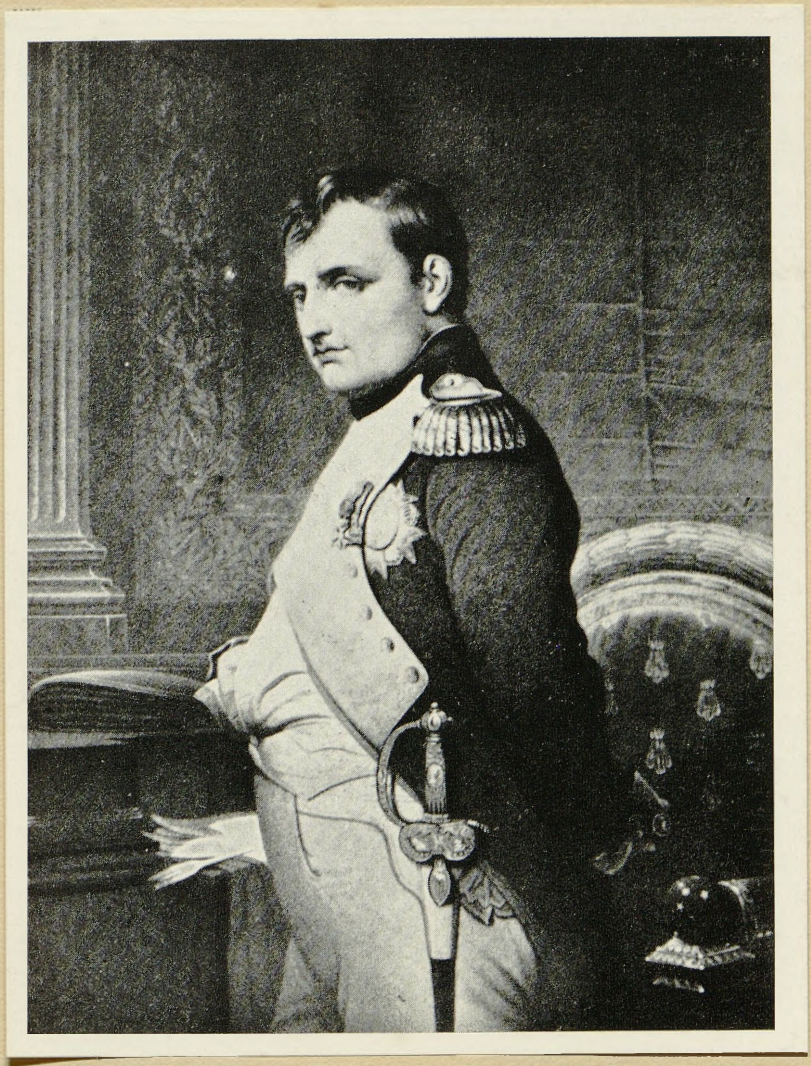
Tutaj znowuż, jak zawsze, przypominają się słowa Goethego: „Napoleon żył całkowicie w idei, ale jej nie zdołał objąć świadomością. Przeczy on wszelkiemu idealizmowi i odmawia mu jakiejkolwiek rzeczywistości, gdy naprawdę dąży do urzeczywistnienia go". To właśnie znaczy: Jego myśli i słowa mogą być złe, ale wola jest dobra. Jest on lepszy, niż sam o sobie mówi i myśli. Zło jest tylko na powierzchni, wewnątrz jest dobro.

Dlatego też nie należy ufać nadmiernie tej nieruchomej, nieubłaganej twarzy, jakby z bronzu odlanej lub z marmuru wyciosanej. „Mógłbym się dowiedzieć o śmierci mej żony, syna, wszystkich najbliższych bez mrugnięcia okiem; twarz moja wyglądałaby obojętnie i nieczule; ale gdy jestem sam, staję się znowuż człowiekiem i cierpię".[52] Wstydliwe cierpienie, wstydliwa dobroć — prawie zawsze wiążą się one z sobą — są jego rysem najbardziej znamiennym. „We mnie żyją dwaj ludzie: jeden to tylko głowa, drugi — tylko serce".[53] „Proszę nie sądzić, że serce moje mniej jest czułe, niż serca innych ludzi; jestem nawet dobry, ale tę stronę duszy tłumiłem w sobie od najwcześniejszego dzieciństwa, a teraz jest ona we mnie zaduszona".[54] Być może, że to nie on sam tłumił ją w sobie, lecz życie: przy ciężkiej pracy życiowej na duszy jego potworzyły się odciski, więc stwardniała; ale nie została zaduszona.

„Po każdej bitwie pierwszą jego troską byli ranni" — mówi baron Fain.— „Sam obchodził pole bitwy i rozkazywał opiekować się żołnierzami własnymi i nieprzyjacielskimi z równą troskliwością. Czuwał, aby wszyscy ranni byli opatrzeni i aby wszyscy, aż do ostatniego, byli poumieszczeni w lotnych lazaretach lub najbliższych szpitalach". — „Niektórych przekazywał specjalnej opiece swego chirurga przybocznego, troskliwie wypytywał się o najdrobniejsze szczegóły, dotyczące ich, o przebiegu leczenia, o rodzaju ran, o widoki na wyzdrowienie, o niebezpieczeństwo — wszystko pragnął wiedzieć. Dzięki tym wywiadom czynił w sekrecie wiele dobrego; jeden Bóg wie, ile". — „Jego sakiewka, którą w polu miewał przy sobie, zdawała się być bezdenna, tak szczodrze obdarowywał potrzebujących".[55]

Na polu bitwy pod Borodinem koń Napoleona trącił kopytem rannego; ten poruszył się i jęknął. Cesarz w gniewie skrzyczał swoich oficerów sztabowych i zwymyślał ich ostatniemi słowy za to, że nie zatroszczyli się o rannych. „To Rosjanin, Najjaśniejszy Panie" — odezwał się jeden z nich, aby go uspokoić. — „To wszystko jedno!" — krzyczał cesarz jeszcze gniewniej. — „Pan zdaje się nie wiedzieć, że po zwycięstwie niema wrogów — wszyscy są ludźmi!"[56]

Przy oglądaniu pola bitwy pod Ligny, na dwa dni przed Waterloo, zauważył ciężko rannego pruskiego oficera i przywołał do niego belgijskiego chłopa. „Czy wierzysz w piekło?" — „Tak". — „No to zaopiekuj się tym



NAPOLEON
(według obrazu R. Delaroche'a).

rannym, jeśli nie chcesz pójść do piekła; oddaję go pod twoją opiekę. W przeciwnym razie będziesz gorzał w piekle. Bóg chce, aby wszyscy byli miłosierni".[57] To nie modlitwa, ale to może warte więcej od wielu modlitw.

Na Św. Helenie przypomniał sobie, że przed laty dwudziestu podczas pierwszej wyprawy włoskiej po wielkiej bitwie — nie pamiętał już po której — przy świetle księżyca w towarzystwie kilku osób przechodził przez pobojowisko, na którem leżeli jeszcze zabici, dotąd niepochowani. Nagle zauważył psa wyjącego przy zwłokach swego pana. Gdy się zbliżyli, pies rzucił się ku nim, potem znowuż pobiegł do swego pana i lizał jego twarz; i znowuż wracał do nich, powtarzając to wiele razy, przyczem skowyczał bezustannie, „jakby wzywał ratunku, albo domagał się zemsty". „Nigdy na żadnem pobojowisku i nic nie wywarło na mnie takiego wrażenia... Człowiek ten — myślałem — opuszczony jest przez wszystkich, ale nie przez swego psa. Jakąż naukę daje tu człowiekowi przyroda w postaci tego psa! Czem w istocie jest człowiek i jaka tajemnica kryje się w jego uczuciach? Ja, który dowodziłem w tylu bitwach i spokojnie patrzyłem na zagładę tylu ludzi, byłem wstrząśnięty żałosnym skowytem tego psa".[58]

I sam on skowyczał jak pies, narzekał jak Achilles nad Patroklem, gdy najdzielniejszemu z dzielnych, marszałkowi Lannes'owi, pod Esslingiem pocisk zdruzgotał obie nogi. A w nocy, gdy siedzi sam w namiocie cesarskim i gdy przynoszą mu posiłek, zmusza się do jedzenia i płacze, a łzy kapią w polewkę.[59]

„Straszliwy widok!" — powtarza co chwila przy zwiedzaniu pola bitwy pod Eylau. — „Już to samo powinnoby wpoić władcom zamiłowanie pokoju i wzbudzić w nich wstręt do wojen".[60] Czyżby kłamał? Czy słowa te przeznacza tylko dla potomnych? Łatwo przyświadczyć, ale też pomylić się łatwo.

Lecz oto mamy nietylko słowa, ale i czyn. Przed drugą abdykacją w roku 1815, wiedział, że dość byłoby rzec słowo albo dać znak, aby rozpalić wojnę domową, która byłaby uratowała jeśli nie Francję, to jego samego. Ale tego nie chciał. „Życie jednego człowieka nie warte takiej zapłaty" — rzekł i podpisał abdykację.[61]

Gdy się zdanie to rzuci na jedną szalę, a na drugą owe straszliwe słowa: „Ja gwiżdżę na życie miljona ludzi" — które zdanie przeważy?

Wogóle lubił on rzucać straszne słowa, które spadały zpowrotem na jego własną głowę. Z drapieżną łapczywością wsłuchują się w nie dwa pająki, Talleyrand i Metternich, niby w bzykanie muchy, która wpadła w ich sieci. Wsłuchuje się w nie i mądry Taine, i dobrotliwy Tołstoj, i czterdzieści tysięcy sędziów: „Taki jest mały, jak my, taki lichy, jak my!"

„Może i rzeczywiście powiedział, że gdy pędzi jego rydwan polityczny, to musi mieć drogę wolną, i biada temu, kto wpadnie pod jego koła! — ale

to są tylko frazesy teatralne — dodaje baron Fain — słyszę w nich wielkiego aktora, ale lepiej poznaję Napoleona, gdy powiada: — Niech noc zapadnie na wczorajsze obrazy. — Albo: — Nie można powiedzieć, aby ludzie w gruncie rzeczy byli nieszlachetni. — A te słowa powiedziane zostały na wyspie Św. Heleny".[62]

„Krzyczał, ale nie uderzał" — opowiada de Pradt. — „Sam słyszałem, jak razu pewnego po wybuchu gniewu przeciwko jednemu ze swoich bliskich rzekł: — Ten nieszczęsny zmusza mnie do mówienia rzeczy, o których nie myślę i które nigdyby mi na myśl nie przyszły. — Gdy kogo odprawił, to po kwadransie wzywał go do siebie; jednał się z tymi, których obraził. Znam to z doświadczenia".[63]

„Gniewam się tylko potąd" — mówił Napoleon do de Pradta, wskazując dłonią na szyję.[64] „Trzeba panu wiedzieć, że człowiek, prawdziwy człowiek, nie jest zdolny do nienawiści" — rzekł do Las Casesa. „Jego gniew i niezadowolenie mijały w kilka minut po wybuchu...była to tylko iskra elektryczna... Człowiek stworzony do panowania i do sprawowania państwa, nie ogląda się na osoby; widzi on tylko rzeczy, ich wagę i ich następstwa". — „Wierzę, że byłby się mógł stać sprzymierzeńcem swoich największych wrogów i żyć z człowiekiem, który wyrządziłby mu największą krzywdę" — opowiada Las Cases pełen podziwu.

Sam Napoleon sądzi, że przebacza ludziom tak łatwo tylko przez pogardę dla nich. Ale może to nie jedyna przyczyna.

„Nie znacie ludzi" — mawiał do swoich towarzyszy niedoli na wyspie Św. Heleny, gdy ci oburzali się na jego niezliczonych zdrajców. — „Trudno jest znać ludzi i sądzić ich. Czy znacie samych siebie? A wreszcie — zostałem raczej opuszczony, niż zdradzony; dokoła mnie więcej było słabości, niż zdrady. Jest to zaparcie się Piotra: skrucha i łzy mogą być bardzo blisko takiej słabości". I kończy zdaniem najłaskawszem i najmędrszem może: „Ludzie przeważnie nie są źli".[65]

Nasza chrześcijańska cywilizacja nie ma słowa na określenie tego, co starożytni nazywali „virtus". Słowo to oznacza nietyle naszą cnotę, ile raczej bohaterską odwagę, dzielność przy jednoczesnej dobroci i najwyższej sile i mocy ducha. Taką dobroć miał właśnie Napoleon. Na tym świętym kamieniu — Pietra Santa, jak się nazywała jedna z jego korsykańskich prababek — ugruntowana jest cała jego istota.

Wdzięczność — bezustanne pamiętanie o otrzymanem dobru, niewzruszona wierność, dochowywana szlachetnemu — to przeważnie cnota męska: dlatego jest ona w Napoleonie tak mocno rozwinięta.

„Niewdzięcznością pogardzam, jako najwstrętniejszym występkiem serca" — mówi z głębi duszy. Wdzięczność to tajemna dobroć, podobna do ciepła wód

głębokich. Dlatego ukrywa się ona skromnie. „Nie jestem dobry. Nie, nie jestem dobry i nigdy dobry nie byłem, ale jestem wierny".[66]

Testament Napoleona to jeden z najpiękniejszych pomników ludzkiej wierności.

Pamięta on o wszystkich, którzy mu w życiu wyświadczyli coś dobrego; on, umierający, wskrzesza pamięcią swoją ludzi dawno umarłych, dziękuje im w ich dzieciach i wnukach, i niepokoi się stale, że mógł był kogoś przeoczyć. Na dziesięć dni przed śmiercią, gdy wił się już w straszliwych mękach końca, własnoręcznie napisał czwarty dodatek do swego testamentu, „ponieważ w paragrafach poprzednich nie wypełniliśmy wszystkich zobowiązań". Następuje trzydzieści dalszych paragrafów. „Synowi lub wnukowi generała Dugommiera, ongi głównodowodzącego armją pod Tulonem, przekazuję sto tysięcy franków, przez pamięć na szacunek, przywiązanie i przyjaźń, jaką okazywał Nam ten bohaterski i nieustraszony generał. — Sto tysięcy franków synowi lub wnukowi Gasparina, członka Konwentu, za to, że zaaprobował Nasz plan oblężenia Tulonu. — Sto tysięcy franków wdowie, synowi lub wnukowi Naszego adjutanta Muirona, który pod Arcole poległ przy Naszym boku, osłaniając Nas własnem ciałem".

A w jednym z pierwszych paragrafów przekazuje Larreyowi, chirurgowi polnemu, sto tysięcy franków, bo „jest on najcnotliwszym człowiekiem, jakiego znaliśmy".[67] Szlachetny pamięta o szlachetnym.

Że stara jego mamka Camilla Ilari, żona ubogiego korsykańskiego przewoźnika, doznawała stałych jego dobrodziejstw, to ostatecznie nic dziwnego, natomiast zastanawiające jest to, że mamce króla Ludwika XVI i dwom starym kobietom, siostrom Robespierre'a, z własnej szkatuły wypłacał stałą pensję.[68] W sposób tak prosty i cudowny pojednał w swem sercu kata z ofiarą.

Serce ludzkie łatwiej jest zaskoczyć i do gruntu poznać w rzeczach drobnych, niż w sprawach wielkich. Bohatera łatwiej nieraz podpatrzeć przez dziurkę od klucza, niż przez łuk bramy triumfalnej.

„Mogę o nim mówić tylko jako o człowieku napoły odzianym, a w tej postaci był on prawie zawsze dobry" — opowiada Constant, kamerdyner Napoleona w swoich wspomnieniach.[69]

Podczas jednej z wypraw nadreńskich zdarzyło się, że Constant po kilku nocach bezsennych głęboko zasnął w fotelu cesarza; ramiona skrzyżował na biurku, przykrywając niemi papiery i mapy, a głowa jego spoczywała na rękach. Nagle wszedł Napoleon z marszałkiem Berthierem i z mamelukiem Rustanem. Obaj oni chcieli zbudzić śpiącego, ale cesarz nie pozwolił; ponieważ w pokoju nie było drugiego krzesła, przysiadł na krawędzi łóżka polowego i dalej rozmawiał z Berthierem o dyspozycjach dnia jutrzejszego. Potrzebna była mapa. Napoleon podszedł do biurka i delikatnie, aby nie

zbudzić Constanta, starał się wyciągnąć ją z pod jego łokci. Ale Constant zbudził się jednak, zerwał się na równe nogi i zaczął przepraszać cesarza.

„Bardzo żałuję, panie Constant, że pana zbudziłem. Przepraszam pana“— rzekł cesarz z uprzejmym uśmiechem.[70]

Niejedną z żołnierskich chropowatości, jak np. różową suknię Józefiny, rozmyślnie oblaną atramentem, dlatego, że mu się nie podobała, a nawet głośne, chociaż nieprawdopodobne, uderzenie kolanem w brzuch filozofa Volney'a za głupie bluźnierstwo, — wszystko to można przebaczyć Napoleonowi za tę królewską grzeczność.

Paź ze świty, młody chłopiec, jadąc pewnego razu wierzchem przy drzwiczkach cesarskiej karety, przemókł na ulewnym deszczu. Wysiadając z karety, Napoleon zauważył, że chłopiec jest przemoczony do ostatniej nitki, kazał mu zostać na noc u siebie i kilka razy zapytywał go później, czy się nie przeziębił. Paź napisał o tem do swej matki, a ta, odczytując list syna, mogła się była dowiedzieć o Napoleonie tego i owego, co jest nieznane czterdziestu tysiącom sędziów.[71]

Lekarzowi O'Meara, który był na Św. Helenie, zrobiło się pewnego razu niedobrze: zemdlony upadł u nóg Napoleona. Gdy się zbudził z omdlenia, spostrzegł, że cesarz klęczy nad nim pochylony, patrzy mu w twarz i rozciera mu skronie wodą kolońską. „Nigdy nie zapomnę jego tkliwego zatroskania, jakie wtedy dostrzegłem w jego oczach“ — opowiada O'Meara.[72]

Najlepsze w człowieku jest to, co w nim jest najprostsze, najbardziej dziecinne. „Źli ludzie zrzadka tylko odczuwają miłość dla dzieci, ale Napoleon kochał dzieci“ — opowiada Bourrienne.[73]

Pierwszy Konsul, siedząc na podłodze, bawił się ze swoim kuzynkiem, małym Napoleonem, i sam stawał się dzieckiem; przy tej zabawie twarz jego miała wyraz prawdziwy. Gdy po upływie minuty przyjmuje posła angielskiego, lorda Witwortha, krzyczy na niego, grozi mu zerwaniem stosunków dyplomatycznych, wtedy przywdziewa maskę wzbudzającą strach.[74]

„Przez dwa tygodnie bawiłem u marszałka Bessières'a; bawiliśmy się jak piętnastoletni chłopcy“ — pisze on w roku 1806, między Austerlitzem a Jeną.

Czternastoletnia Betsy Balcombe, córka właściciela willi „The Briars“ na Św. Helenie, w której Napoleon spędził pierwsze miesiące swej niewoli, słyszała o nim od dni dzieciństwa jako o ludożerczym potworze, który osobliwie lubił pożerać małe dziewczynki; od pierwszego spotkania przyzwyczaiła się do niego tak szybko, że po dniach kilku bawiła się z nim i zbytkowała jak z rówieśnikiem. A po wielu latach, jako staruszka, nie umiała sobie przypomnieć Napoleona inaczej, tylko jako rówieśnika i towarzysza zabaw dziecięcych.[75]

Generał Gourgaud, jeden z dobrowolnych współwięźniów Napoleona na

Św. Helenie, nosił się z zamiarem opuszczenia cesarza, ale wstydził się powiedzieć mu o tem. Dnia pewnego Napoleon, spacerując z nim po ogrodzie, spostrzegł szpilkę na drodze, podniósł ją i podał generałowi z dziecięcym uśmiechem: „Masz, Gorgo, Gorgotto, szpileczkę, podaruję ci ją!“[76] Podarować komu ostry przedmiot, to znaczy pokłócić się z nim. Tego właśnie chce Gourgaud. „Co czynisz, czyń szybko“ — zdaje się mówić Napoleon. Smutek, wyrzut, tkliwość, drwina, przebaczenie — wszystko jest tu zarazem, a wszystko jest dziecinne. Ale Gourgaud nie zrozumiał nic z tego wszystkiego, podobnie jak beznadziejnie dorosły Taine i beznadziejnie żałujący dzieciństwa Tołstoj nie zrozumieli tego dziecięcego usposobienia Napoleona.

„Jeśli się nie staniecie jako dzieci...“ To znaczy, że dzieciństwo jest z Boga. Dlatego w bohaterze, w człowieku, łączy się dzieciństwo z boskością.

Takiego rodzaju jest zło i dobro w Napoleonie. A jaki jest on sam: zły, czy dobry? Gdybyśmy rzekli, że jest on doskonale dobry, „święty“, to byłoby to równie grubą nieprawdą, jak — gdybyśmy powiedzieli: jest złoczyńcą. Dobro i zło zmagało się w nim. Ale także w tej walce, jak i we wszystkiem innem, jest on istotą niepodobną do nas, jest tworem innego stworzenia, „człowiekiem z Atlantydy“. Serce jego jest kielichem, mieszczącym w sobie mieszaninę: kropla jakiejś krwi ofiarnej, niepodobnej jeszcze do krwi z Golgoty, wpadła do jakiejś ambrozji, która jeszcze nie jest olimpijską, i oto mieszanina zakipiała dzikim fermentem, stało się to, co nazywamy genjuszem Napoleona. Ale powiedzieć o nim poprostu: złoczyńca, moglibyśmy tylko my, dzieci najbezbożniejszego ze stuleci.

Potępienie bohatera-człowieka, jest potępieniem całej ludzkości. A oto już od lat stu potępiamy Napoleona. Czy nie czas byłoby powiedzieć, że bohaterem najbardziej ze wszystkich zohydzanym jest on?

Jego twarz po śmierci to jedna z najpiękniejszych twarzy ludzkich.[77]* Jest ona czysta i jasna jak niebo. Twarz ta mówi nam, że człowiek ten, jeśli nie w życiu, to w śmierci zło pokonał przez dobro; wypełnił on „miarę człowieczą, która jest miara Aniołowa.“ Śpiący półbóg i Anioł zarazem; Cherubin mocy i światła, spadły z nieba na ziemię. My zaś nie poznaliśmy się na nim i oto, co z nim zrobiliśmy!

Robotnik.

Połączenie przeciwieństw — oto, jak możnaby określić genjusz Napoleona. Tak określa go właśnie on sam.

„Przymioty potrzebne wielkiemu generałowi łączą się i jednoczą rzadko

* Porównaj szkic angielskiego kapitana Marryata: Napoleon na łożu śmierci, rysowany w dniu śmierci cesarza 5 maja 1821.

i z trudem. Najbardziej pożądanem, tem, co odrazu wysuwa człowieka na pierwsze miejsce, to umysł albo talent, równoważony charakterem lub męstwem". To według wyrażenia Napoleona znaczy: „być w kwadracie zarówno na wysokości jak i u podwalin".[1] Podstawą kwadratu jest dzielność, wola, jego wierzchem — rozum. „Rozum Napoleona równoważy jego wolę — la partie intellectuelle balance la volonté" — powiada mądrze i głęboko abbé Sieyès.[2] Ta równowaga między rozumem a wolą jest „kwadratem genjuszu".

My, ludzie dzisiejszej cywilizacji europejskiej, jesteśmy mniej lub więcej dotknięci chorobą Hamleta — oderwaniem się rozumu od woli, kontemplacji od czynu; Napoleon jest jedynym zdrowym śród chorych. W nas wszystkich obie dusze: nocna i dzienna, są poodrywane od siebie: tylko w nim są one połączone. My wszyscy zakosztowaliśmy jedynie owocu z drzewa poznania — i umieramy; on jeden zakosztował owocu z drzewa poznania i życia — i żyje. My wszyscy powiększamy swój rozum kosztem woli; on jeden jednoczy w sobie bezgraniczny rozum z bezgraniczną wolą. My wszyscy jesteśmy szerokiemi, niskiemi kwadratami woli, albo wysokiemi, wąskiemi kwadratami myślenia; on jeden jest kwadratem doskonałym.

Jak cała istota jego jednoczy w sobie te dwie przeciwne sobie zasady, tak i każda z nich w szczególności — wola i rozum — łączy w sobie przymioty przeciwne.

Pamięć i wyobraźnia oto pierwsza para przeciwieństw jego ducha; dynamika fantazji zwraca się ku przyszłości, statyka pamięci ku przeszłości.

„Mam zdumiewającą pamięć. W młodości swej znałem logarytmy przeszło trzydziestu czy czterdziestu liczb; znałem nietylko imiona wszystkich oficerów każdego pułku Francji, lecz nawet miejscowości, w których się te pułki rekrutowały, gdzie się który z nich odznaczył i jaki w nich panował duch polityczny".[3]

Gdy w latach późniejszych, już jako cesarz, przeglądał sprawozdania wojskowe — „états de situation" — dotyczące setek tysięcy ludzi od Gdańska po Gibraltar, to wnet dostrzegał najdrobniejsze niedokładności. „Czemu to piętnastu żandarmów, znajdujących się na wyspie Walcheren, nie ma broni?" — „Dlaczego nie zostały wymienione oba czterocalowe działa, stojące w Ostendzie?"[4] W roku 1813 przypomina sobie, że przed trzema laty wysłał do Hiszpanji dwa szwadrony 20 konnego pułku strzelców. Znał on wszystkie sprawozdania wojskowe napamięć, tak, że każdemu zbłąkanemu żołnierzowi według numeru jego pułku byłby mógł wskazać miejsce postoju jego korpusu.[5]

Ale pamięć jest dla niego tylko niewyczerpanym kamieniołomem, z którego wyobraźnia czerpie materjał dla swych gigantycznych budowli.

„Cesarz jest cały wyobraźnią" — zauważa de Pradt.[6] Możnaby dodać:

„I pamięcią", — bo w każdej chwili był wyłącznie tym przymiotem, którego właśnie potrzebował, choćby to był przymiot zupełnie przeciwny temu, którym posługiwał się dopiero co. Rozum jego był wielokształtnym Proteuszem, czarownikiem, który umiał przemienić wszystko we wszystko.

„Niezwykła wyobraźnia ożywiała tego chłodnego polityka" — powiada Chateaubriand. — „Jego rozum urzeczywistniał pomysły poety. Z całą pewnością można twierdzić, że nie byłby mógł wykonać tego, co wykonał, gdyby go nie była wspomagała Muza".[7]

„Niekiedy wydaje mi się, że wszystko jest możliwe, co temu dziwnemu człowiekowi przychodzi do głowy, a któż może wiedzieć, jakie pomysły zrodzą się w nim przy jego wyobraźni?" — proroczo wyraziła się Józefina w pierwszych czasach znajomości z nim.[8]

Wyobraźnia czyni go równie wielkim poetą w działaniu, jakimi byli Eschilos, Dante i Goethe w kontemplacji; ona czyni go muzykiem w powszechnodziejowej symfonji, nowym Orfeuszem, którego pieśń rozkazuje kamieniom układać się w mury miasta.

„Lubię władzę jako artysta... jak skrzypek lubi skrzypce... Lubię władzę, aby wydobywać z niej tony, melodje, harmonję".[9] I największą ze wszystkich harmonij świata — uniwersalne zjednoczenie ludzi.

Wiedza jako czynność twórcza i wiedza jako czysta kontemplacja, oto w umyśle jego druga para przeciwieństw. Nikt nie potrafi, tak jak on, wyzyskać Archimedesowego punktu oparcia woli dla dźwigni wiedzy. Zarazem radości czystej kontemplacji są mu tak zrozumiałe, że czasami miewa wątpliwości, czy nie urodził się na wielkiego uczonego i czy nie sprzeniewierzył się swemu prawdziwemu powołaniu, zrzekając się czystej kontemplacji dla czynu.

„Mam tu nową sposobność do ubolewania, że, porwany siłą okoliczności, poszedłem inną drogą, od wiedzy oddaloną" — pisze on do Laplace'a, przyjmując dedykację jego „Mechaniki niebieskiej" i wyrażając zachwyt dla jej „doskonałej jasności". A podczas rozpoczynających się okropności roku 1812 pisze do niego z Witebska, dziękując mu za nadesłanie „teorji prawdopodobieństwa" — „jednego z tych dzieł, które matematykę, najpierwszą z nauk udoskonalają".[10]

Jak Pitagoras, odczuwa on tajemną muzykę liczb. W ciężkich chwilach życia dla uspokojenia się odczytuje tablice logarytmów niby modlitewnik.[11]

Gdy po wyprawie egipskiej generał Bonaparte na pokładzie fregaty „Muiron" wraca do Francji, a jego towarzysze w zabójczym niepokoju z minuty na minutę wyczekują ukazania się floty angielskiej, która ściga ich już oddawna, on rozmawia jak najspokojniej z obu członkami Instytutu, Bertholletem i Mongem o chemji, fizyce i matematyce.[12]

W roku 1815, po drugiej abdykacji w Malmaison, rzekł cesarz do Monge'a: „Próżniaczka jest dla mnie najokrutniejszą udręką. Pozbawiony państwa i armji, widzę jedyny pokarm dla swej duszy w wiedzy... Pragnę rozpocząć nowe życie, aby potomnym pozostawić prace naukowe i wynalazki, godne mnie... Objedziemy razem cały nowy świat, od Kanady aż po przylądek Horna, aby podczas tej długiej podróży zbadać wszystkie wielkie zjawiska fizykalne kuli ziemskiej". Monge powiada, że jeszcze nigdy Napoleon nie wydał mu się tak wielki. Lecz oto rozległ się huk armat, cesarz pobiegł znowuż do swoich map i przestawiał szpilki. Znowuż marzył o wojnie — o czynie.[13] I do końca życia nie poznaje, co mu jest bliższe — kontemplacja, czy też czyn.

W jednym z opuszczonych pokojów domu w Longwood na Św. Helenie obserwował godzinami życie mrówek, zapominając w ten sposób o swem nieszczęściu i udrękach życia. Wytrwałość i mądrość mrówek przy poszukiwaniu ukrytego cukru zachwyca go. „To rozum, to więcej niż instynkt, to prawdziwy rozum... wzorowy przykład mądrości państwowej. O, gdybyż ludzie posiadali tyle jedności!"[14] Na tej mądrości mrówek wyczuwa tak samo, jak na żałosnem skowyczeniu psa przy zwłokach pana, że nieme stworzenie może być Stwórcy bliższe niż człowiek.

Jako człowiek chory, niemal umierający, całemi dniami obserwuje życie ryb w longwoodzkiej sadzawce, osobliwie ich igraszki miłosne i ich wojny. A gdy ryby z przyczyny nieznanej, być może z powodu jakiejś choroby epidemicznej, czy też zatrucia, wymierają, jest szczerze zasmucony i uważa to za złą przepowiednię: „A więc umrę i ja".[15]

Nieco dawniej, gdy był jeszcze zdrów, często w ciągu długich godzin oglądał atlas geograficzny Las Casesa z planisferami, rozmawiał o nowych hipotezach geologicznych i zastanawiał się nad nieznanemi przyczynami powstawania cyklonów i huraganów, tych potężnych oddechów świata, którego nie uważał za masyw martwej materji, lecz widział w nim, podobnie jak filozofowie jońscy, żywe ciało, wielkie zwierzę, Zoon.[16] Istotnie, prócz starożytnych, tylko w Goethem i w Lionardzie da Vinci wyczuwa się taką samą, jak w Napoleonie, łączność ludzkiego serca z sercem Matki-Ziemi.

„Z przyrodą jednem życiem żył,
Rozumiał dobrze szmer strumienia,
Szumiących liści mowę znał,
Rosnących ziół wyczuwał drgnienia;
Jak w księdze czytał w gwiazdach złotych,
Wiedział, co mówią fal łoskoty..."[17]

Synteza i analiza to trzecia para przeciwieństw jego umysłu. Najwyższa synteza, najdoskonalsza harmonja orfickich skrzypiec-mocy, to powszechne zjednoczenie ludzi. Rozległości tej syntezy odpowiada głębia analizy.

„Analizę lubiłem zawsze i, gdybym się był kiedykolwiek porządnie zakochał, to i kochankę swoją byłbym rozłożył na części. „Dlaczego?" i „Naco?" — to dwa pytania bardzo pożyteczne, i im częściej je sobie zadajemy, tem lepiej".[18] „Geometryczność jego umysłu skłaniała go do analizowania wszystkiego, nawet własnych uczuć" — opowiada pani de Rémusat. — „Bonaparte to człowiek, który rozmyślał najwięcej o przyczynach postępowania ludzi. Wiecznie czujny wobec najdrobniejszych przejawów własnego życia, bezustannie docierał do tajnych przyczyn duchowych swego postępowania, ale nigdy nie zdołał objaśnić sobie, ani pojąć tej naturalnej pewności wewnętrznej, która nieraz zmusza nas do działania bez jakiegokolwiek celu i zamiaru".[19] To jest zresztą błędne: motylkowata beztroska światowej damy typu pani de Rémusat była Napoleonowi, oczywiście, obca, ale z tego nie wynika, że była mu podobnie obca samorzutność, nieumyślność jego „świadomości nocnej", intuicji.

Miara i bezmierność — to w umyśle jego czwarta linja przeciwieństw. Słoneczny genjusz całej śródziemnomorskiej rasy, od Pitagorasa aż po Pascala, geometryczna jasność, dokładność, prostota, apolliński umiar — to właśnie genjusz Napoleona. „Jego styl przypomina Pascala" — mówi Sainte-Beuve. Należałoby dodać: I Pitagorasa. „Słowa jego zdają się być ryte ostrzem cyrkla".[20]

Niby szeregami liczb, organizuje on chaos rewolucji, rytmizuje go geometryczną miarą. „Wszędzie pozaprowadzałem tę samą prostotę, bo wszystko, co jest dobre i wszystko, co jest piękne, jest wytworem prostego, jednolitego zamiaru".[21] Prostota, ten wyraz doskonałej piękności, jest jakby boskim cyklem słonecznym, wkreślonym w kwadrat ludzkiego genjuszu.

A obok apollińskiego umiaru — dionizyjska bezmierność. Wielkie i piękne walczy w nim z bezmiernem, potwornem. „Ludzkie granice zostały w nim przekroczone" — powiada Ségur, mówiąc o wyprawie roku 1812. — „Genjusz jego, który pragnie wznieść się ponad przestrzeń i czas, staje się w pustce bezsilny. Jakkolwiek szeroko zakreślone były jego granice, i tak je przekroczył".[22]

Ta bezmierność i tytaniczność jego planów, przypominająca budowle Atlantów, przestraszyła biednego Decrès tak bardzo, że zawołał: „Cesarz zwarjował, stanowczo zwarjował! Zapamiętajcie sobie moje słowa: wszystkich nas wyśle on kiedyś do djabła i wszystko zakończy się straszną katastrofą".[23] Ale Napoleon powiada: „Niemożliwość to tylko upiór chwiejnych, ucieczka tchórzów".[24] Tutaj bezmierne naprawdę przypomina już szaleń-

stwo; tutaj geometrja trzech wymiarów staje się jedynie drogą do wymiaru czwartego; kwadrat ludzkiego genjuszu staje się podstawą boskiej piramidy, zmierzającej ku wierzchołkowi, ku iglicy najwyższego punktu: „Jestem bóg".

Ostatecznie pokonywa on i tę tytaniczną bezmierność przy pomocy boskiego umiaru, ale dokonywa tego na drodze nowej — jako ofiara.

W woli jego znajdujemy to samo połączenie przeciwieństw, ten sam kwadrat genjuszu, jak w jego umyśle.

Pokój i wojna, robotnik i wódz, to dwa przeciwieństwa, ale zarazem dwa zgadzające się z sobą wyrazy tej samej woli. W wojnie błyskawiczne, nagłe wyładowania, w pokoju wolne wysiłki, krople, drążące kamień.

Trudno powiedzieć, która z jego sentencyj charakteryzuje jego wolę lepiej, czy wojenna, czy pokojowa. Wojenna brzmi: „Trzeba wszystko stawiać na jedną kartę — Il faut jouer le tout pour le tout".[25] Jako robotnik powiada: „Cieszyłbym się, gdybym mógł odpocząć, ale wół zaprzężony — trzeba orać! — J'aimerais plus de repos; mais le boeuf est attelé, il faut qu'il laboure!"[26] Niełatwo rozstrzygnąć, w czem jest on większy: w wielkości swych zwycięstw, czy w pokorze swej pracy, w ogniu bitew, gdy lata podobny orłom swych sztandarów, czy w skupieniu pracy, gdy jak wół wlecze się powoli naprzód.

„Praca to mój żywioł; dla niej jestem stworzony. Znam miarę swych stóp, miarę swego oka, ale miary swej pracy nie zdołałem poznać nigdy".[27] „Pracuję stale; przy posiłku, w teatrze; budzę się w nocy, aby pracować. Dzisiaj w nocy wstałem o drugiej, usiadłem na sofie przy kominku i zabrałem się do przeglądania sprawozdań wojskowych, które przedstawiono mi wieczorem; znalazłem w nich dwadzieścia błędów i uwagi o nich przesłałem ministrowi, który właśnie zajęty jest w swej kancelarji ich poprawianiem".[28]

Trzy razy na miesiąc bywają mu przedstawiane sprawozdania ministerjum finansów, całe księgi w formacie ósemkowym, wypełnione liczbami, on zaś sprawdza wszystko tak dokładnie, że wykrywa omyłki o kilka centymów. Co dwa — trzy tygodnie rewiduje sprawozdania ministerjum wojny, które również układane są w księgach: numerowych, służbowych, korpusowych; piechoty, artylerji, inżynierji, rekrutów; w księgach armij obcych i t. d.[29] Odczytuje wszystko z najżywszem zaciekawieniem. „Przy odczytywaniu sprawozdania wojskowego doznaję większej przyjemności, niż młoda panna przy czytaniu powieści".[30] Czasem popada w zachwyt: „To sprawozdanie jest tak doskonale ułożone, że czyta się je, niby piękny poemat!"[31]

A wszystko to zostaje troskliwie poukładane w odpowiednich oddziałach jego pamięci, niby miód w plastrach, albo, wyrażając się prozaiczniej, gdyż lubi on prozę: „Jak akta w szufladach szafy biurowej". — „Gdy chcę dokończyć jaką pracę, to zamykam odpowiednią szufladę i otwieram inną,

tak, że prace moje nigdy nie mieszają się z sobą i nie męczą mnie. A gdy chcę spać, to zamykam wszystkie szuflady i zasypiam natychmiast".[32]

Ludzie są słabi, ponieważ bywają roztargnieni. Genjusz to czujność, a czujność to wola rozumu. Napoleon posiada tę wolę rozumu w stopniu najwyższym. „Siła i wytrwałość uwagi charakteryzują rozum Napoleona"— powiada Roederer, członek Rady Stanu. — „Osiemnaście godzin zrzędu może się zajmować tą samą pracą albo pracami różnemi; nigdy nie zdarzyło mi się zauważyć, aby umysł jego był stracił na sile lub elastyczności; nie zdarzało się to nawet przy fizycznem wyczerpaniu, przy najwyższem napięciu sił cielesnych, przy wybuchu gniewu; nie widziałem też nigdy, aby jedna praca odrywała go od drugiej. Nie było drugiego człowieka, który byłby tak całkowicie pochłonięty tem, co w danej chwili czynił".[33] „Siła jego umysłu jest zdumiewająca; pozwala mu ona wszystkie zdolności, wszystkie siły ducha, w okamgnieniu przerzucać i skupiać na tem, co w danej chwili domaga się jego uwagi, bez względu na to, czy chodzi o muchę, czy o słonia, o jednostkę, czy o całą armję. Dopóki jest czemś zajęty, wszystko inne zdaje się nie istnieć dla niego: zajęcie jest dla niego rodzajem przyjemności, od której nic go oderwać nie może".[34]

Ludzie się męczą, ale nie męczą się bogowie i wiekuiste siły przyrody. Tak samo niestrudzony jest i on.

„Jego współpracownicy załamują się i padają pod ciężarem, który na nich wkłada, a który sam dźwiga, nie czując jego wagi".[35] „Jako Konsul przewodniczył on czasami przy posiedzeniach sekcyjnych ministerjum spraw wewnętrznych od dziesiątej wieczorem do piątej rano". — „W Saint Cloud zdarzało się nierzadko, że członków Rady Stanu zatrzymywał przy pracy od dziesiątej rano do piątej po południu z przerwą ledwo piętnastominutową; przy końcu posiedzenia zdawał się być równie czerstwy jak na początku".[36] „Mogłem był rozprawiać o jakiej sprawie w ciągu ośmiu godzin, a potem z taką samą świeżością umysłu przerzucić się na inną sprawę. I dzisiaj jeszcze (na Św. Helenie) mógłbym dyktować dwanaście godzin zrzędu".[37] „Nieraz pracował piętnaście godzin bez przerwy, bez jedzenia i odpoczynku".[38]

Za Konsulatu zdarzyło się pewnego razu, że podczas posiedzenia urzędowego minister wojny zasnął; kilku innych członków Rady z największym trudem zwalczało znużenie. „Zbudźcie się, obywatele, zbudźcie się!" — wołał Bonaparte. — „Dopiero druga w nocy! Trzebaż przecie zarobić na pensję, którą nam płaci lud francuski".[39]

W ciągu siedemdziesięciu dwóch dni ostatniej wyprawy ludzie nie pojmowali, kiedy on znajdował czas na sen i posiłek.

Po strasznej klęsce pod Lipskiem, wyjeżdża 2 listopada 1813 roku z Moguncji i dnia następnego, 3 listopada, późnym wieczorem wysiada na

dziedzińcu Tuilerjów z powozu: z Moguncji do Paryża pędził, nie zatrzymując się w drodze. „Gdy wysiadł z powozu, nogi miał tak zdrętwiałe, że z trudem trzymał się na nich, a jego twarz była ze zmęczenia zupełnie zmieniona". Pomimo to, po krótkiem przywitaniu z żoną i synem, spędza resztę nocy ze swoimi ministrami, przyjmuje ich sprawozdania, dyktuje i wydaje rozkazy. O szóstej rano odprawia ich, a ministrowi finansów każe przyjść około południa znowuż: „Niech pan przyniesie rozrachunki urzędu rentowego, panie Gaudin, musimy je razem obrobić, jak się należy". W tych dniach sekretarz Napoleona, baron Fain, rzekł do hrabiego Lavalette'a: „Cesarz idzie spać o jedenastej, wstaje o trzeciej w nocy i pracuje do późnego wieczoru bez chwili wypoczynku. To się musi skończyć, bo inaczej zmarnuje siebie i mnie też".[40]

„W ciągu trzech lat (konsulatu) rządził więcej, niż królowie w ciągu stu lat" — powiada Roederer.[41] „To, co zrobiłem, jest niezmierne, ale to, co zrobić zamierzałem, jest jeszcze niezmierniejsze" — powiada sam.[42]

A ta fanatyczna, niepojęta, nieludzka praca trwa bez przerwy, bez pauzy, trzydzieści lat.

„Tacy ludzie nie mają ciała, ale są z bronzu" — powiada Raskolnikow o Napoleonie. Nie, mają oni ciało, i to słabe, może nawet słabsze od zwykłych ludzi.

Pierwszy Konsul „wygląda tak źle, iż zdaje się, że nie przeżyje tygodnia".[43] Gdy wraz z latami okrzepł, to i tak zaziębiał się przy każdym najlżejszym przewiewie; przy najmniejszem świetle nie może spać; gdy zje o kąsek za dużo, musi womitować; nie znosi on zapachu świeżej farby i ciasnego obuwia; łatwe łzy i częste mdłości dzieli z kobietami. Nerwy jego są przewrażliwione.

„Nerwy moje są w takim stanie, że zwarjowałbym, gdyby moje krążenie nie było takie jednostajne i wolne".[44]

Ale słabość ciała pokonywa on siłą ducha. „Z ciałem swojem robiłem zawsze, co chciałem".[45] Według apostoła Pawła istnieje ciało „duszne" i ciało „duchowe", czyli „psychiczne" i „pneumatyczne". Napoleon jest jednym z największych „pneumatyków", oczywiście nie w naszym, chrześcijańskim, sensie. Jego ciało duchowe zdaje się wprost dostrzegalnie występować z ciała psychicznego. Tu właśnie zaczyna się zapewne magja napoleońska.

W komnatach pałacu Tuileryjskiego mieszka on jak jaki mnich. Jako urodzony postnik i człowiek wstrzemięźliwy, jada niewiele. „Choćby się jadło nie wiem jak mało, zawsze jada się za wiele".[46] Nie pija nic prócz wody z winem czerwonem. Na jedzenie czasu nie traci: śniadanie trwa osiem minut, obiad — piętnaście; czasem zapomina, że jeszcze nie jadł obiadu. Kobiety pieści z takim samym pośpiechem. „Zresztą kobiety mają najwyżej pięć, sześć dni w roku jaką taką władzę nad nim, a i wtedy..." — wzdycha Józe-

fina ze smutkiem. Zdaje się, że jedynym jego przepychem jest tabaka do zażywania, lukrecja z anyżem dla odświeżania ust, kolońska woda i łaźnia parowa.

Jest bezinteresowny: on, najbogatszy władca Europy, nie posiadał nigdy mienia osobistego; nawet Malmaison nabyty został na imię Józefiny. „Każdy ma własny gust" — zwykł był mawiać. — „Ja znajdowałem upodobanie w budowaniu, ale nie w posiadaniu".[47] Francję opuścił z tak pustemi kieszeniami, że na Św. Helenie musiał był sprzedać swą srebrną zastawę stołową i musiał zostać pochowany na koszt Anglików, swoich strażników więziennych.

Ciało to bezwład, duch to ruch. Napoleon jest uosobieniem ruchu, piorunem, zamkniętym w człowieku.

„Zdawałoby się, że chce on urzeczywistnić perpetuum mobile" — melduje komisarz angielski z wyspy Elby. „Lubi towarzyszy swoich wędrówek doprowadzać na spacerach do ostatecznego wyczerpania. Zdaje się, że, dopóki jest na nogach, nie znajduje chwili czasu, aby usiąść i napisać cośkolwiek. Po spacerze, trwającym od piątej rano do trzeciej po południu, w ciągu którego zwiedza wszystkie fregaty i statki przewozowe, odbywa jeszcze trzygodzinną jazdę konną „dla wypoczynku", jak się do mnie sam wyraził".[48]

Podczas wyprawy hiszpańskiej w roku 1809 przebiegł na koniu trzydzieści pięć mil hiszpańskich w pięć godzin, czyli około stu i trzydziestu kilometrów, pędząc od Burgos do Valladolid. W drogę wybrał się z liczną świtą, ale po drodze towarzysze jego pokolei pozostawali wtyle, tak, że do Burgos przybył prawie sam.[49] Na łowach przebywa konno do stu kilometrów. Podczas pierwszej wyprawy włoskiej zajeździł pod Castiglione w ciągu trzech dni pięć koni na śmierć.

Równie niestrudzony jest on jako piechur. Niekiedy chodzi po pokoju tam i sam przez pięć—sześć godzin, sam tego nie dostrzegając.[50] Idąc, lubi gawędzić; „cały dzień mógłby tak wędrować".

Jego ruchliwość wewnętrzna odpowiada zewnętrznej. „Chmury, smagane wichurą, wolniej pędzą po niebie, niż jego myśli i uczucia".[51] Dlatego też trudno mu pisać: ręka nie może nadążyć za lotem myśli; dyktuje on tak szybko, iż ma się wrażenie, że rozmawia z pisarzem. „Gdyby ktoś był podsłuchiwał pod drzwiami, to byłby myślał, że to mówią dwaj ludzie". — Tego, co raz podyktował, nie powtórzy za żadną cenę i nie pozwala, aby mu przerywano. Ta niemożliwość powtórzenia raz podyktowanej myśli odpowiada całkowicie jego organicznej żywości. „Prawie zawsze dyktuje, chodząc; szybkość jego kroków pozwala wnioskować o szybkości jego myśli".[52]

Zdaje się, że jest on człowiekiem, który najwięcej był w ruchu. I takiego człowieka skazano na Św. Helenę, czyli na karę spokoju. Sam szatan nie byłby zdołał wymyślić dla niego okrutniejszych mąk piekielnych.

„Co wykonałem, było bezmierne, ale co wykonać zamierzałem, było jeszcze bezmierniejsze". Któż to mówi? Napoleon — władca świata? Nie, budowniczy rur odpływowych. „Trzeba wykonać tak wiele, jak ja wykonałem, aby się przekonać, jak to trudno czynić ludziom dobrze... Na rury odpływowe wydałem około trzydziestu miljonów i nikt mi za to nie podziękuje".[53]

Słońce Austerlitzu widoczne jest wszystkim, a rur odpływowych się nie widzi: ani podziemnych, ani politycznych, które osuszyły krwawe błota rewolucji. Ale gdzie jest oblicze bohatera bardziej boskie: w słońcu Austerlitzu, czy też w mroku rur odpływowych?

I oto mamy tu jeszcze jedną twarz Napoleona nieznanego: twarz pokornego. Zda się, jakby asyryjski bóg słońca zaprzągł olbrzymiego skrzydlatego byka do pługa i jakby orał niestrudzenie. „Cieszyłbym się, gdybym mógł odpocząć, ale wół zaprzężony — trzeba orać!"

Dokładność jego pracy jest może godna jeszcze większego podziwu, niż jej niezmierna masa. Jest to dokładność i sumienność, jakiej ludzie nie znają i jaka jest właściwością jedynie bogów i odwiecznych sił natury: tylko gwiazdy wschodzą na niebie z taką cudowną matematyczną punktualnością, tylko bogowie odpłacają ludziom tak sumiennie ich czyny.

Cieszy się jak dziecko, gdy w rachunkach miljonowych sum wykrywa omyłkę na dwadzieścia centymów. Pewnego razu w ręku jednej z dworskich dam cesarzowej spostrzegł książkę do zapisywania bielizny; otworzył ją, przejrzał i doszedł do wniosku, że należność za pranie obliczona jest zbyt wysoko: targował się o każdą sztukę bielizny i wreszcie osiągnął ceny, jakie uważał za słuszne.

Od wspaniałych nowych firanek w Tuilerjach odciął pewnego razu złoty chwościk i włożył go do kieszeni. W kilka dni później pokazał go administratorowi i rzekł: „Boże uchowaj, abym miał wątpić o pańskiej uczciwości, ale oszukano pana: zapłacił pan za to o jedną trzecią więcej, niż to warte".[54]

Zawsze ten sam demiurg, pracujący bóg, czy chodzi o słońca, czy o atomy. „Nad małem byłeś wierny, ustanowię cię nad wielkiem". Gdyby się nie był tak targował o owe dwadzieścia centymów, to nie byłby się stał cud, dzięki któremu w ciągu trzech, czterech lat Konsulatu, biedny kopciuszek Francja przemieniła się w najbogatszą królowę świata.

Na trzy tygodnie przed śmiercią siedzi w łóżku między jednym a drugim atakiem wymiotów, które z powodu rakowatego wrzodu w żołądku wydalają wymiocinę czarną jak fusy od kawy, siedzi więc, trzyma arkusz papieru na podkładce tekturowej, a pióro macza w kałamarzu, trzymanym przez marszałka dworu, i pisze dodatek do punktu „A" swego testamentu, wyliczając to, co w poprzednich paragrafach zapomniał: „Wszystkie moje materace i kołdry, pół tuzina koszul, pół tuzina chustek do nosa, chustki na szyję,



NAPOLEON
według rzeźby A. Canovy.

skarpetki, parę nocnych spodni, dwa szlafroki, parę podwiązek, dwie pary kalesonów i małe pudełko z tabaką".[55] Wszystko to przekazuje swemu synowi na pamiątkę.

„Co za filisterstwo! Gdybyż w takiej chwili myślał był raczej o swej duszy!" — tak myślimy my, „chrześcijanie", ale nie on „poganin". Cała jego dusza była wypełniona miłością dla ziemi: ta sama miłość, która żyła w jego marzeniu o panowaniu nad światem, wyraża się także w trosce o niuch tabaki.

„Dźwigałem świat na swoich barkach — J'ai porté le monde sur mes épaules". Jeśli nasza marniejąca Europa jeszcze jako tako trzyma się kupy, to może dlatego, że ten Atlas, ten gigantyczny, apokaliptyczny Filister, wciąż jeszcze dźwiga ją na swoich barkach.

Wódz.

Aby dobrze widzieć twarz Napoleona-wodza, trzeba zrozumieć, że wojna nie była dla niego rzeczą najważniejszą. On, „ens realissimum", widzi dziejową konieczność wojny dla swoich czasów lepiej od kogokolwiek; rozumie on, że wojna jeszcze ciągle jest „naturalnym stanem" człowieka. Ale jak we wszystkiem, tak i tutaj, od tego, co ludzie uważają za naturalne, przechodzi on ku temu, co uważają za nadnaturalne, przez konieczność wojny zmierza on ku cudowi pokoju. Jego cel główny, panowanie światowe, powszechne zjednoczenie ludzi, jest przecie zakończeniem wszystkich wojen, wiekuistym pokojem.

„Dla sprawiedliwej oceny Napoleona należałoby rzucić na szalę także i te wielkie czyny, których mu dokonać nie dano".[1] Tylko w wojnie mógł był dokonywać wielkich czynów, ale w nie pokoju. Tak jest, chociaż brzmi to osobliwie, Napoleon jest organizatorem pokoju: wiecznie toczy wojnę i pragnie pokoju; wojnę nietylko nienawidzi, ale nią gardzi, przynajmniej w swoich najwyższych chwilach życia. Zrozumiał przecie skowyt psa nad zwłokami pana na pobojowisku i zachował go w pamięci przez całe życie; zrozumiał on, czy też odczuł, że to nieme stworzenie w miłości stało wyżej, niż on, bohater, w nienawiści i w wojnie.

„Co to jest wojna? Barbarzyńskie rzemiosło".[2] „Wojna stanie się anachronizmem. Przyszłość należy do pokoju: kiedyś zwycięstwa będą odnoszone bez armat i bez bagnetów".[3] Słowa takie w ustach apostoła pokoju i ideologa, jak Tołstoj, mogą mieć wagę niewielką, ale w ustach Napoleona stają się one strasznie poważne.

Wola wojny i wola pokoju — to najgłębsze połączenie przeciwieństw w jego duszy; jest to najgłębszy, może jemu samemu niedostrzegalny „kwadrat genjuszu".

„Generał to najmądrzejszy śród mężnych“ — tak określa on genjusz wodza.[4] Dla dokończenia jego myśli, należałoby powiedzieć: „Generał to najmężniejszy śród mężnych i najmądrzejszy śród mądrych“. Doskonale mężnych ludzi jest mało, doskonale mądrych jeszcze mniej, a takich, którzy łączyliby w sobie oba te przymioty, wogóle niema, albo też trafiają się najwyżej raz w ciągu tysiącleci. Za takiego uważa się Napoleon sam: „Tysiące lat miną, zanim pojawi się człowiek podobny mnie“.

Sztuka wojenna polega na tem, że najprzód oblicza się dokładnie wszystkie szanse, a następnie ustala się z dokładnością niemal matematyczną, wiele szans można pozostawić przypadkowi... Ale koordynowanie wiedzy i przypadku mieści się tylko w głowie genjalnej. Dla umysłów miernych przypadek jest zawsze tajemnicą i staje się rzeczywistością tylko dla duchów wyższych.

Tajemnica przypadku, tajemnica losu, jest najwłaściwszą tajemnicą Napoleona, ponieważ jest on człowiekiem losu.

Według Heraklita „wieczność, eon, to dziecię grające w kości“. Przypadek, los, gwiazda, to kostka wieczności. A wojna także jest grą hazardową między wodzem a losem. Zasadą gry jest: „Wszystko za wszystko na jedną kartę!“ Nikt nie umiał grać w tę grę z takiem matematyczno-dokładnem wyrachowaniem, z takiem geometryczno-jasnem spojrzeniem, a zarazem z takim wieszczym darem, jak Napoleon. „Moim wielkim talentem jest jasnowidzenie... Linja pionowa jest krótsza od ukośnej...“[5] Połączenie przypadku z matematyką, sprawy najbardziej ślepej ze sprawą najjaśniejszą — to duchowy kwadrat genjuszu wojennego.

Przed rozpoczęciem każdej wielkiej wyprawy, albo przed wielką bitwą całemi dniami leży na podłodze, na olbrzymiej mapie, poprzetykanej szpileczkami o różnokolorowych główkach z wosku, oznaczających rzeczywiste lub przypuszczalne stanowiska wojsk własnych i nieprzyjacielskich; obmyśla cudowny porządek, w jakim oddziały wojskowe przerzucać się będą na setki i tysiące kilometrów, — z nad brzegu La Manche, z obozu Boulogne nad brzegi Renu, albo z gór Sierra Morena w stepy rosyjskie; ustala koncentryczne marsze, bezustanne ataki, błyskawiczne ciosy, cały strategiczny plan, prosty i piękny, jak dzieło sztuki albo teoremat geometrji. Główne zadanie polega na tem, aby wytworzyć przed początkiem operacji taką sytuację dla przeciwnika, iżby nie mógł się połączyć ze swoją podstawą operacyjną; Marengo, Ulm, Jena, Austerlitz — to różnorakie zastosowanie tej metody. W niej jest wszystko: matematyka, mechanika. „Siła armji, podobnie jak wielkość ruchu w mechanice, mierzy się masą pomnożoną przez szybkość; szybkość marszów zwiększa odwagę wojska i możliwość zwycięstwa“.[6]

Bezgraniczna ostrożność, niemal „tchórzliwość“ wodza, więcej tu warta, niż męstwo. „Niema człowieka tak trwożliwego, jak ja, gdy układam plan

wojny: przesadzam wszystkie niebezpieczeństwa... Doświadczam najbardziej męczącego niepokoju, co mi zresztą nie przeszkadza zachowywać wobec otoczenia zupełny spokój. Jestem wtedy jak panna w połogu — comme une fille qui accouche. Ale gdy się zdecydowałem, to zapominam o wszystkiem, tylko nie o tem, co mi może zapewnić powodzenie".[7]

Wszystko w ostatniej chwili zapomnieć jest równie trudno, jak wszystko aż do ostatniej chwili zachować w pamięci. Zrazu wolna mechanika, geometrycznie jasna wizja, a następnie — nagłe jasnowidzenie, prorocza błyskawica.

„Biada wodzowi, który na pole bitwy przybywa z gotowym systematem!"[8] Uwolnić się nagle od wiedzy, od rozsądku, odrzucić jedno i drugie, niby niepotrzebne brzemię, jest jeszcze trudniej, niż dźwigać to brzemię.

„Wojna to sztuka zgoła osobliwa: wydałem sześćdziesiąt wielkich bitew i niczego się w nich nie douczyłem, czego nie byłbym wiedział już w pierwszej".[9] „Miałem zawsze wewnętrzne wyczucie tego, co mnie czeka". To wewnętrzne wyczucie, czyli doświadczenie pierwotne, wyprzedzające wszelką wiedzę, jest właśnie tem magnetycznem przewidywaniem, o którem mówi Bourrienne; jest to wrodzona wiedza wspominająca, anamneza Platona. Doprawdy, śmiało rzec można, że w ciągu tysiącleci żadnemu człowiekowi nie była ona dana w tej mierze, co Napoleonowi.

„Zdawało się, że to ja układałem plan kampanji dla Macka, austrjackiego generała". — „Ulm będzie dla Macka przesmykiem Kaudyńskim" — przepowiedział Napoleon, i stało się według tej przepowiedni: w oznaczonym dniu, niemal o oznaczonej godzinie, musiał Ulm kapitulować.[10] Plan bitwy pod Austerlitz został wykonany z taką samą punktualnością: pierwszy promień zwycięskiego słońca zajaśniał akurat w dniu, o godzinie i minucie, gdy Napoleon mu rozkazał. Z rana w dniu bitwy pod Frydlandem, gdy zwycięstwo jeszcze nie było zdobyte, śniadał Napoleon spokojnie pod świszczącemi kulami, a jego twarz promieniała radością; widziano, iż on wie, pamięta, że już zwyciężył. Naprawdę, pamiętał przyszłość tak samo, jak przeszłość.

„Wielka sztuka staczania bitew polega na tem, aby podczas bitwy zmieniać swą linję operacyjną; to mój pomysł zupełnie nowy".[11] Jest to możliwe tylko wtedy, gdy plan jest całkiem niemechaniczny, ale organiczny: w głowie wodza pozostaje on do ostatka zmienny i płynny, niby roztopione żelazo w piecu hutniczym.

„Podczas wyjątkowo wielkich bitew panowało dokoła Napoleona głębokie milczenie. Gdyby nie bliższe lub dalsze grzmienie armat, to byłoby można usłyszeć bzykanie osy; ludzie jego otoczenia nie odważali się nawet zakaszlać".[12] W ciszy tej wsłuchuje się on w wewnętrzny głos swego „demona-doradcy", jak Sokrates, bada swoje magnetyczne przewidywanie.

Aż wreszcie nadchodzi owa ostatnia chwila „wszystko za wszystko rzucić

trzeba na ostatnią kartę". — „Losy bitew rozstrzygają się w jednej chwili, przez jedną myśl, jedną iskrę ducha".[13] „Bitwa jest zawsze rzeczą poważną, ale zwycięstwo zależy czasem od drobiazgu — od zajączka".[14] Tym zajączkiem jest skromna maska losu, wieczności, która jak dziecko w kości gra". Borodino przepada dlatego, że Napoleon miał katar, a Waterloo to deszcz, który nie przestał padać w odpowiedniej chwili.

W takiej ostatniej chwili dokonywa się owo ostatnie piorunujące wyładowanie woli, którem wódz wszystko rozstrzyga. „Niema nic trudniejszego, ale niema też nic cenniejszego nad umiejętność decydowania się".[15]

„Zrzadka tylko znajdował on u ludzi moralną odwagę drugiej godziny w nocy, to jest taką odwagę, w której człowiek, zaskoczony znienacka najbardziej niespodziewanemi okolicznościami, zachowuje swobodę rozsądku, rozwagi i decyzji. Napoleon mówi bez wahania się, że tą odwagę drugiej godziny w nocy dostrzegał w sobie w mierze wyższej, niż u wszystkich innych ludzi, i że zna tylko niewielu takich, którzy pod tym względem nie staliby bardzo daleko za nim".[16]

„Sądzę, że w wojnie jestem najodważniejszym człowiekiem, jaki istniał kiedykolwiek" — mówi w sposób prosty, bez cienia przechwałki, jedynie dlatego, że się o takich rzeczach zgadało.[17]

Ale jego odwaga wojenna nie jest w nim rzeczą najgłówniejszą; jest ona tylko drobną cząstką tej „odwagi po północy", o której mówi tak mądrze, w sensie prostym i przenośnym, chociaż z tego drugiego może nie zdaje sobie sprawy: południe woli, czyn, pochyli się ku zachodowi, a zbliżać się pocznie północ ofiary i cierpienia, lecz na obu półkulach jaśnieje to samo słońce odwagi.

Trzeba być ślepym, aby nie widzieć, że Napoleon jest na wojnie odważny. Takimi ślepcami są Taine i Tołstoj. Miara ich ślepoty jest miarą ich nienawiści. Taine stara się nawet wykazać, że Napoleon jest tchórzem. A wielu „sprawiedliwych sędziów" uwierzyło mu i uradowało się: „Taki sam tchórz, jak my!"

Trudno powiedzieć, kiedy Napoleon był najodważniejszy. Zdaje się, że odważny był w równej mierze zawsze, od Tulonu po Waterloo i dalej, aż po Świętą Helenę i do ostatniego tchnienia. Światłość, która według słów Goethego oświecała go, nie przygasała ani na chwilę. Ale po raz pierwszy ujrzała Francja oblicze młodego bohatera tak piękne, jakiego ludzie nie widzieli od czasów Epaminondasa i Leonidasa, przy dokonywaniu wielkiego czynu pod Arcole.

W listopadzie roku 1796 sytuacja generała Bonapartego, głównodowodzącego armją włoską, była niemal rozpaczliwa. Cała jego armja stopniała prawie zupełnie w nierównych zapasach: dwadzieścia tysięcy wyczerpanych

żołnierzy stało przeciwko sześćdziesięciu tysiącom ludzi w pełni sił. Z Francji pomoc nie nadchodziła. Kwiat armji, żołnierze i generałowie, stali się niezdolni do walki, szpitale były przepełnione rannymi i chorymi, ofiarami gorączki gnilnej, którą pozarażały ich błota Mantuańskie. I Bonaparte był chory. Co gorsza, duch armji upadł po nieudanym ataku na wyżyny Caldiero; austrjacki feldmarszałek Alvinzy usadowił się tam na niezdobytych stanowiskach i zagrażał Weronie. Po raz pierwszy w życiu zdarzyło się Napoleonowi, iż musiał zarządzić odwrót niemal zawstydzający.

„Obywatele Dyrektorzy — pisał w tych dniach — znajdujemy się może w przededniu utraty Italji... Ja spełniłem swój obowiązek i armja także. Sumienie moje jest czyste, ale dusza moja jest rozdarta... Posiłków! Przyślijcie pomoc!“ Wiedział, że mu posiłków nie poślą: jakobini, rojaliści a nawet samiż Dyrektorowie wyczekiwali tylko sposobności, aby go zgubić. „Nie mam żadnej nadziei — pisał do Józefiny — wszystko stracone... pozostaje mi jeszcze tylko odwaga osobista“.[18]

„Każdy inny generał na miejscu Napoleona byłby się wycofał za Mincio, i Italja byłaby stracona“ — powiada Stendhal, uczestnik wyprawy.[19]

Ale Bonaparte nie cofnął się. Wymyślił szaleńczo-zuchwały manewr: wpaść Austrjakom na tyły od strony nieprzebytych błot Adygi, zaskoczyć nieprzyjaciela, zmusić go do bitwy na trzech wąskich groblach, gdzie przewaga liczebna traciła na znaczeniu, a osobista odwaga żołnierzy decydowała o wszystkiem. Dla przeprowadzenia tego manewru trzeba było zdobyć natychmiast nagłem natarciem drewniany mostek, znajdujący się u końca jednej z tych grobel; mostek ten prowadził do miejscowości Arcole przez błotnisty potok Alpone i tworzył jedyne połączenie austrjackich etapów z błotami.

W nocy, w głębokiem milczeniu armja francuska opuściła Weronę. Śmiały plan Bonapartego podobał się wojsku tak bardzo, że nawet chorzy i ranni po szpitalach porzucali łóżka i przyłączali się do wyprawy.

Przednie kolumny francuskie skradały się w ciemnościach pod dowództwem generała Augereau poprzez groble Adygi i jeszcze przed świtem dotarły do mostu, prowadzącego do Arcole. Most ten wbrew oczekiwaniu Bonapartego był mocno broniony: dwa bataljony Chorwatów, łącznie z artylerją, mogły go obronić morderczym ogniem flankowym. Ale na odwrót było za późno. Wszędzie czyhała zagłada: tkwiło się jak w pułapce.

Pierwsza kolumna ruszyła do ataku, ale salwa kartaczowa zmiotła ją tak doszczętnie, jak dobra miotła zmiata śmieci; to samo powtórzyło się z kolumną drugą, trzecią i czwartą. Ludzie pędzili na most, a miotła zmiatała ich natychmiast. Ginęli daremnie. Byli to przeważnie chłopcy-gołowąsy, sankjuloci z roku 1793, także swego rodzaju ludzie z Plutarcha. Ale i tym ludziom nie uśmiechała się śmierć, pozbawiona celu i sensu; most był nie do zdobycia;

równie dobrze byłby kto mógł chcieć wskoczyć do nieba. Niemal wszyscy dowódcy byli powybijani lub ranni, żołnierze nie chcieli już ruszać do ataku. Augereau ze sztandarem w ręku rzucił się naprzód z okrzykiem: „Ach wy łotry, śmierci się pewno boicie!?“ Myślał, że porwie żołnierzy własnym przykładem, ale nikt się nie ruszył.[20]

Bonaparte przycwałował na koniu i na pierwsze spojrzenie spostrzegł, że wszystko stracone, jeśli most nie zostanie zaraz zdobyty. W takim razie nie on zaskoczy Alvinczy'ego, ale tamten jego zaskoczy, gdy dosłyszy zgiełk bitwy i uderzy z Caldiero; cała francuska armja zostanie zgnieciona i utonie w błotach. Ale Bonaparte w jednej chwili zrozumiał, co uczynić należy, zeskoczył z konia i porwał sztandar grenadjerów. Żołnierze nie domyślali się, czy też nie odważyli się domyślać, co on uczyni; spoglądali nań w milczeniu i nie ruszali się.

Miał na sobie bardzo prosty, krótki mundur niebieski, prawie bez ozdób, przepasany szerokim pasem jedwabnym, skórkowe spodnie i buty z koziej skóry z cholewkami. Pomimo swoich dwudziestu siedmiu lat był chudy i smukły, jak szesnastoletnia dziewczyna; długie kosmyki gładkich włosów, zlekka tylko przypudrowanych, spadały wzdłuż jego zapadłych policzków; do tego spokój dziwnej zadumy w twarzy i tylko nieznośny blask roztopionego metalu w jego wielkich oczach; była to twarz chorego chłopca, dla której żołnierze kochali go osobliwie i współczuli mu.

Jeszcze ciągle nie domyślali się, o co mu chodzi. Jedną ręką podniósł sztandar, święty strzęp, podziurawiony licznemi kulami, drugą — szpadę, obrócił się i zawołał: „Żołnierze! Czy już nie jesteście zwycięzcami z pod Lodi?!“ I rzucił się na most.[21]

Wszyscy rzucili się za nim, ożywieni jedną myślą: raczej samym umrzeć, niż widzieć śmierć tego „chorego chłopca“. Dowódcy otoczyli go, aby go osłaniać własnemi ciałami. Dwukrotnie już ranny generał Lannes osłonił go przed pierwszą salwą i padł, raniony po raz trzeci. Przed drugą salwą ochronił go pułkownik Muiron; został zabity na piersi Bonapartego, krew jego opryskała mu twarz.

Ogień kartaczowy kosił ludzi jak huragan, ale żołnierze pomimo to szli dalej i docierali do końca mostu. Lecz tu nie mogli już wytrzymać ognia, skierowanego przeciw nim z bezpośredniej bliskości, i zawrócili. Chorwaci ruszyli za nimi i bagnetami wykłuwali wszystkich, których nie zmiotły kartacze.

Bonaparte wciąż jeszcze stał na moście. Gromadka przebiegających obok niego grenadjerów porwała go na ramiona i wywlokła z ognia, ale w walce pierś o pierś uroniła go, nie spostrzegłszy tego. Spadł z mostu w moczar, zanurzając się po pas w błocie; miotał się w niem, ale zanurzał się coraz bar-

dziej. Ładnie było stać po bohatersku na moście, ale ginąć jak żaba w błocie, było wstrętne. Zdawało mu się, że pomimo zgiełku bitwy słyszy cichy szelest suchej trzciny nad głową. Widział nad sobą tylko szare niebo pełne ciszy, i zacichł sam. Czekał końca: albo pochłonie go grząskie błoto, albo też Austrjacy zabiją go lub wezmą do niewoli. Ale być może, iż pamiętał, że zostanie uratowany.

Austrjacy wyprzedzili go już byli na czterdzieści kroków, lecz wciąż jeszcze nie dostrzegali go, czy też nie poznawali twarzy powalanej i zbryzganej krwią Muirona. Tak chroniło go ciche niebo: tam, na moście, byłby zginął nieodwołalnie, tu, w błocie był uratowany; im głębiej w nie zapadał, tem bezpieczniejszy był przed kulami.

Grenadjerzy opamiętali się dopiero wówczas, gdy dotarli do brzegu. Spostrzegli, że Bonaparte zginął. „Gdzie on? Gdzie jest Bonaparte?“ — wrzeszczeli pełni zgrozy. „Biegnijcie nazad! Ratujcie go! Ratujcie!“ I na nowo rzucili się na most, odparli Chorwatów wściekłym atakiem, dostrzegli Bonapartego, który tkwił już w grzęzawisku po ramiona; jakoś przedostali się do niego, wydostali go z błota, wyprowadzili na brzeg i wsadzili na konia. Był uratowany.

Co się później stało, tego niepodobna zrozumieć, jak wogóle trudno jest zrozumieć wszelką bitwę, będącą w istocie chaosem. Nawet najbezpośredniejsi uczestnicy nie potrafią jej opisać należycie. Mostu nie zdobyto ani tego dnia, ani następnego, dopiero trzeciego dnia przekroczył go generał Massena niemal bez walki, ponieważ Austrjacy opuścili go sami; ośrodek akcji przeniósł się był tymczasem gdzie indziej.

Czy męstwo Bonapartego było bezpożyteczne? Nie, było w najwyższym stopniu pożyteczne. „Zapewniam pana, że to wszystko było koniecznie potrzebne do zwycięstwa“ — pisał on do Carnota, nie wspominając zresztą swego bohaterstwa, o którem zdaje się zapomniał, lecz pisząc o bohaterstwie Lannesa.[22] Tak jest, wszystko to było koniecznie potrzebne dla podniesienia odwagi żołnierzy i dla wzniecenia owej „iskry moralnej, która rozstrzyga losy bitwy“. Wyładowanie się woli w duszy wodza doprowadziło do niezliczonych wybuchów woli w duszach żołnierzy. Jakgdyby iskra padła była do składu prochu i doprowadziła do wybuchu.

W ciągu trzech dni po Arcole zaczęły się dziać takie cuda, że mężny, wytrwały i mądry Alvinczy stracił głowę i nie mógł pojąć, co się działo, i dlaczego żołnierze Bonapartego wściekli się raptem i gotowi byli powyskakiwać ze skóry. W swej bezradności popełniał jedno głupstwo po drugiem: opuścił niezdobyte stanowiska na Caldiero, oddał Weronę, Mantuę, całą Italję. Wszystko to przypadło Bonapartemu za to, że wpadł w grzęzawisko. Arcole, Piramidy, Marengo, Austerlitz, Jena, Frydland — to perły tego samego na-

szyjnika: gdyby się wtedy pod Arcole był przerwał sznur tych pereł, to cały naszyjnik byłby się rozsypał.

Na kilka minut przed śmiercią majaczył Napoleon o jakiejś walce na moście — może o walce na moście pod Arcole. Umierający wymówił wyraźnie tylko dwa słowa: „tête... armée". Może słowo „tête" miało oznaczać „tête de pont" — przyczółek mostowy. Sens tego majaczenia jest: most-armja-walka na moście.[23] W owej chwili musiał on przebyć inny most, daleko straszniejszy. Czy przejdzie przezeń, czy znowu wpadnie w błoto? Lecz choćby nawet w nie wpadł, to nic nie szkodzi: musi zostać uratowany, tak jak wtedy.

„Nieprzyjaciel pod Arcole pobity... Jestem trochę zmęczony" — pisał do Józefiny, tak samo przemilczając swoje bohaterstwo, jak w liście do Carnota.[24] Wogóle nie miał możności chwalić się przed ludźmi swem męstwem, bo dla niego różniło się ono zasadniczo od tego, co ludzie określają tem słowem. Gdyby człowiek wiedział zgóry o wszystkiem, co spotykać go będzie do ostatniej godziny życia, to dla niego nie byłoby ani naszego ludzkiego strachu, ani naszej odwagi. A właśnie tak wiedział o wszystkiem Napoleon, tak „pamiętał" przyszłość. Oczywiście, niezawsze, lecz tylko w chwilach wyjątkowych i pełnych grozy, ale grozy innej, nie ludzkiej, dla której pokonania potrzebna jest odwaga nie nasza, po ludzku rozumiana.

W chwilach takich czuł on swoją cudowną niepokonalność w walkach. Wydał sześćdziesiąt bitew wielkich, a małych bezliku; zabito pod nim dziewiętnaście koni.[25] Ale ranny był tylko dwa razy: pierwszy raz dość ciężko przy oblężeniu Tulonu w roku 1793, drugi raz lekko pod Ratysboną w roku 1809-tym.

Każda bitwa jest jakby grą człowieka z śmiercią w cetno i licho; razem z podnoszeniem stawki zmniejsza się szansa wygranej w progresji geometrycznej, ale przy bezustannem wygrywaniu podobieństwo tego, co nazywamy przypadkiem, przemienia się w takiej samej progresji w to, co nazywamy cudem. Niezranioność Napoleona w walkach wydaje się nam cudem.

„Ran nie zaznałeś, chroniony strasznym pancerzem,
Bo potężnego siła niewidzialna strzeże".[26]

Tylko to uczucie bezpieczeństwa i niedosiężności dla ran pozwalało mu tak igrać ze śmiercią, jak on to czynił. Marszałek Berthier, który pod Esslingem stał bezpośrednio na linji ognia niedaleko Napoleona, patrzył na niego dość długo z wymuszonym spokojem, aż wreszcie zawołał: „Jeśli Wasza Cesarska Mość stąd nie odejdzie, to każę grenadjerom usunąć Go przemocą".[27]

W bitwie pod Arcis cesarz sam szykował gwardję do boju na terenie,

gdzie co chwila wybuchały pociski. Gdy jeden z nich upadł tuż przed frontem, ludzie cofnęli się, lecz wyrównali się natychmiast. Napoleon chciał im dać nauczkę: ostrogami zmusił konia do zbliżenia się do dymiącej bomby i zatrzymał go nad nią: bomba wybuchła, koń zwalił się z rozdartym brzuchem i pociągnął jeźdźca za sobą; znikł on w kurzu i dymie, ale natychmiast powstał bez najmniejszej szkody, dosiadł innego konia i popędził do innych bataljonów, aby przeprowadzić potrzebne zarządzenia.[28]

Odwaga jest tak samo zaraźliwa, jak tchórzostwo. Odwaga zapala się od odwagi, jak świeca od świecy. Lecz nato, aby iskrą moralną, błyskawicą, która rozstrzyga losy bitew, zapalić całą armję i rozpłomienić ją, jak suchy las, trzeba ją do tego należycie przygotować — trzeby wysuszyć las. To właśnie czyni on stale: ciężką pracą, powoli i stopniowo podnosi wrażliwość żołnierzy do zarażania się odwagą; uczy ludzi umierać.

Aby ich należycie nauczać, musi zespolić się z żołnierzami w jedno serce i jedną duszę. Tak właśnie żyje ze swoimi żołnierzami i przychodzi mu to bez trudu. To, co w nim jest dziecięce i proste, zbliża go do człowieka z ludu. „Ukrył przed mądrymi świata tego i objawił niemowlętom". Mądrzy, czyli ideologowie, nienawidzą Napoleona, ludzie prości kochają go. Dla nich jest on największym z ludzi i Małym Kapralem; czczą wielkiego i współczują małemu.

„W biwakach rozmawiałem z prostymi żołnierzami i żartowałem z nimi. Zawsze dumny byłem z tego, iż jestem człowiekiem z ludu".[29]

Na wyspie Elbie spędza nieraz sześć godzin zrzędu w koszarach, ogląda prycze, próbuje zupę, chleb, wino, gawędzi z prostymi żołnierzami, jak z równymi sobie, i jest jak zwykle „surowy dla przełożonych a dobry dla podwładnych".[30]

W dniu największej swej goryczy i hańby, 7 czerwca 1815 roku, gdy skapitulował przed nędzną Izbą, wyrzekając się władzy i samego siebie, zapomina o wszystkiem i myśli tylko o butach żołnierskich. Do ministra wojny, marszałka Davouta, pisze: „Ze smutkiem widziałem, że żołnierze, którzy dzisiaj rano wyruszali w pole, mieli tylko po parze butów, gdy tymczasem w magazynach jest ich masa. Należy każdemu żołnierzowi włożyć dwie pary do tornistra, a jedną na nogi".[31]

Poznaje każdego żołnierza, albo zachowuje się tak, jakby każdego znał; przed przeglądem wojska ze specjalnych spisów uczy się nazwisk prostych żołnierzy napamięć.

Być może, iż rewolucyjna równość ucieleśniła się tylko tu, w armji Napoleona. „Starzy wąsale grenadjerzy nie byliby się nigdy odważyli rozmawiać tak poufale z najprostszym chorążym, jak rozmawiali z cesarzem".[32]

W straszliwej spiekocie pustyni egipskiej pod ruinami Pelusium żołnierze

ustąpili mu jedyny wąziutki pasek cienia pod murem, on zaś zrozumiał, że było to ustępstwo olbrzymie.[33] Odwdzięcza się im na pustyni Syryjskiej, gdy rannym i chorym oddaje wszystkie konie, nie wyłączając własnego wierzchowca. On, poganin, pamięta o przykazaniu chrześcijańskiem: „Generał winien traktować swoich żołnierzy tak, jak sam chciałby być traktowany".[34]

Tutaj mamy może coś jeszcze większego od rewolucyjnej równości, bo widzimy tu braterstwo niemal religijne.

Gdy wraca z Elby i zbliża się do Grenobli, pije wino z tego samego wiadra i tą samą szklanką, którą pili je dopiero co jego wąsaci grenadjerzy. Z jednego kielicha piją razem wino i krew.

Gdy pod Ratysboną cesarz zostaje ranny w nogę i natychmiast po nałożeniu mu opatrunku wskakuje na konia i rzuca się w walkę, żołnierze płaczą ze wzruszenia. „Krew to dusza" — wiedzieli o tem starożytni, i jeszcze dzisiaj wie o tem lud. Wraz z krwią „dusza wodza przechodzi w dusze żołnierzy".[35] Cała armja, od ostatniego żołnierza do marszałka, jest jedną duszą w jednem ciele.

Zdajemy sobie sprawę, dlaczego żołnierze nikomu tak wiernie nie służyli, jak Napoleonowi. Tracąc ostatnią kroplę krwi, wołali: „Niech żyje cesarz!" Rozumiemy, dlaczego dwaj grenadjerzy pod Acre osłaniali go własnem ciałem przed wybuchającą bombą; dlaczego generał Lannes, już dwukrotnie ranny, rzuca się w wir walki na moście pod Arcole, aby odnieść trzecią ranę, i dlaczego pułkownik Muiron umarł na piersi Napoleona. Rozumiemy, dlaczego generał Vandamme gotów jest „przeleźć przez ucho igielne, aby się rzucić w ogień za cesarza", i dlaczego generał Hautpoul, gdy Napoleon ściska i całuje go przed frontem, woła: „Aby się stać godnym takiego zaszczytu, muszę za Waszą Cesarską Mość umrzeć!" I nazajutrz ginie pod Eylau.[36] A pułkownik Sour, któremu pod Genape amputują ramię, a którego właśnie mianowano generałem, dyktuje list do cesarza: „Największa łaska, jaką mi Wasza Cesarska Mość wyświadczyć może, jest pozostawić mnie pułkownikiem w moim pułku ułanów, który mam nadzieję poprowadzić do zwycięstwa. Zrzekam się stopnia generała. Wielki Napoleon raczy mi to przebaczyć. Stopień pułkownika jest mi droższy nad wszystko inne". I ledwo nałożono mu opatrunek na krwawy kikut ramienia, natychmiast wskakuje na konia i pędzi do swego pułku zpowrotem.[37] Pojmujemy, w jaki sposób Ségur podczas operacji zwalcza ból i trwogę śmierci samąż myślą o swoim wodzu: „Pięknie jest umrzeć, być godnym jego!"[38] A stary żołnierz, współbojownik z pod Marengo, siedzi z nogami zdruzgotanemi przy drodze pod Waterloo i głosem mocnym, donośnym, powtarza: „To nic, bracia! Naprzód i niech żyje cesarz!"[39]

Ale bodaj że najpiękniejszym wyrazam zarazy odwagą jest Essling.

Gdy nagle rozeszła się wieść, że mosty na Dunaju, które łączyły francuską

armję z jej podstawą operacyjną, wyspą Lobau, zostały zerwane, a rezerwy marszałka Davouta odcięte, położenie armji na rozległej płaszczyźnie, pozbawionej oparcia, stało się tak rozpaczliwe, że wszyscy marszałkowie na naradzie wojennej wypowiedzieli się za opuszczeniem Lobau i odwrotem na prawy brzeg Dunaju. Cesarz wysłuchuje ich cierpliwie, ale postanawia nie ustępować. „Tak, tak! Tak się to robi!“ — woła marszałek Massena, generał rewolucyjny, wnuk garbarza i syn mydlarza, były przemytnik i sklepikarz, niepoprawny złodziej i lichwiarz, łupieżca własnych żołnierzy, zbawca Francji, zwycięzca Suworowa, „ukochany syn zwycięstwa“.„Tak, tak! Tak się to robi!“ — powtarza kilka razy, a mętne oczki tego chuderlawego człeczyny zapalają się cudownym ogniem. „Oto jest wielkie serce genjuszu, godnego rozkazywać nam!“ Wówczas Napoleon ujmuje go pod ramię, odprowadza go na stronę i przyjaźnie szepcze mu do ucha: „Massena! Musisz bronić wyspy i dokonać tego, coś z taką sławą rozpoczął. Ty jeden zrobić to możesz. I zrobisz to!“ Tak, zrobi to! Dusza Napoleona przeszła w duszę Masseny: mężny zapalił się od mężniejszego, jak się zapala świeca od świecy.

A gdy po kilku godzinach położenie armji staje się jeszcze rozpaczliwsze, i gdy nadchodzi ostatnia straszliwa wieść, że marszałek Lannes został śmiertelnie ranny, wtedy Napoleon opuszcza ręce: po raz pierwszy w życiu płacze podczas bitwy, jakgdyby tracił resztę odwagi; ale jak tylko odzyskuje równowagę, posyła generała Montyona do Masseny i każe mu powiedzieć, aby „się trzymał przynajmniej jeszcze cztery godziny“ w Aspern, najważniejszym dostępie do Lobau. „Powiedz pan cesarzowi — odpowiada Massena, chwytając Montyona za rękę i tak mocno ją ściskając, że ślady tego uścisku pozostają na niej jeszcze bardzo długo — powiedz pan cesarzowi, że żadna potęga świata nie zmusi mnie do porzucenia mego miejsca. Pozostanę tu cztery godziny — dwadzieścia cztery godziny — zawsze!“ I pozostał. Obrona Aspern była taka bohaterska, że nieprzyjaciel odważył się wkroczyć między jego ruiny dopiero nazajutrz, gdy francuska straż tylna ustąpiła była już dawno.[40]

„Beze mnie jest on niczem, ale ze mną jest moją prawą ręką“ — rzekł Napoleon o Muracie,[41] a to samo byłby mógł powiedzieć o wszystkich swoich marszałkach: wszyscy oni byli członkami swego wodza.

Istotnie, cała armja jest jednem ciałem i jedną duszą. „To czarownik“ — mówili egipscy Mamelucy Murada-beja o Napoleonie. — „Wszystkich swoich żołnierzy związał wielką białą liną i gdy za nią pociąga w tę lub inną stronę, to wszyscy oni poruszają się jak jedno ciało“.[42] Ta „biała lina“ to właśnie magja wodza, jego piorunowa wola. „Jakkolwiek wielka była moja władza materjalna, moja władza duchowa była jeszcze większa: graniczyła ona z magją“. — „Wasza Cesarska Mość dokonywa zawsze cudów!“ — brzmi prostaczo-głębokie wyznanie zastępcy mera w Mâcon.

„Gdy chciał kogo zjednać dla siebie, to w słowach jego spoczywał nieodparty czar, rodzaj magnetycznej siły“ — opowiada Ségur.[43] W takich chwilach swej największej potęgi rozkazuje on nie jak mężczyzna, ale oczarowuje jak kobieta. Tutaj przejawia się w nim „cielistość, która nie jest właściwością naszej płci“, jego dziwne podobieństwo z młodą pięknością, które on sam dostrzega, albo podobieństwo do starej guwernantki Marji Ludwiki, które wprowadza w błąd lokaja przybyłego z prowincji. To jedna z jego czarowniczych sztuczek, które tak przestraszają zabobonnego Austrjaka: „Ten przeklęty czarownik, wilkołak, przedzierzgnął się w kobietę“.

Także bóg Dionizos jest „wilkołakiem“. W „Bachantkach“ Eurypidesa jest on kobietokształtny — thelymorphos, w „Likurgu“ zaś Eschilosa jest już prawdziwym hermafrodytą. Także w misterjach eleuzyńskich Dionizos-Jakchos jest naturą obojnacką-diphyes: dwie istoty są w nim zamknięte, męska i niewieścia. Co to znaczy? To znaczy, że boska pełnia ludzkiej osobowości, połączenie dwóch rozdzielonych połów-płci, dwóch przeciwieństw, jest kwadratem genjuszu. Szczytem kwadratu jest męskość. Albo według słów Kanta: „Dopiero połączenie mężczyzny z kobietą tworzy człowieka“. Boska iskra ludzkiej osobowości zapala się dopiero przy zetknięciu się obu biegunów: kobiecej katody z męską anodą.

Napoleon jest bliższy swego wzoru, Aleksandra Wielkiego, niż sam przypuszcza. Aleksander chciał być drugim Dionizosem, co znaczy synem bożym: Dio—bóg, nysos — syn. Toteż ów stary inwalida armji napoleońskiej, którego Leon Bloy znał w swem dzieciństwie, nie potrafił odróżnić „cesarza od Syna Bożego“. Dlatego też żołnierze Napoleona piją z nim wino i krew z jednego kielicha, jak w misterjach dionizyjskich, i jednoczą się ciałem i duszą w Wielkiej Armji.

Armja ta porusza się z taką szybkością, w tak cudownym porządku, że gdy w roku 1805 na skinienie ręki cesarza zostaje ona przerzucona z nad brzegu kanału La Manche nad brzegi Renu, to ktoś, spoglądający na jej ruch z góry, byłby mógł mniemać, że widzi uporządkowany, tańczący korowód Dionizosa, na którego czele kroczy sam bóg.

„I na wyżynie niby bóg
Zdawał się wznosić ponad nimi,
Wszystkiem kierował, wszystkich wiódł
Swemi oczami cudownemi“.[44]

Te oczy o „nadprzyrodzonym blasku roztopionego metalu“ są oczami Dionizosa.

„Chcę, aby sztandary moje wzbudzały uczucie religijne“.[45] Jakąż-to religję ma on na myśli?

„Czyj głos słychać? Kto nas woła? Evoe!“ — Tak poznają bachantki Eurypidesa głos ich niewidzialnego boga. Ten sam głos rozbrzmiewa w słowach Napoleona: „Gdy w ogniu bitew przejeżdżałem przed frontem i wołałem: — Żołnierze, rozwijajcie sztandary, godzina nadeszła! — to trzeba było widzieć naszych Francuzów! Ludzie tańczyli z uciechy, jeden stanął za stu, a z takimi ludźmi wszystko wydawało się możliwe“.[46]

Ludzie tańczyli jak bachantki, opętane przez boga i oszalałe. „Napoleońscy żołnierze są opętani“ — rzekł pewien świadek naoczny w wigilję Waterloo.[47] To opętanie — katoche — w misterjach dionizyjskich jest dowodem obecności boga.

„Każdy, kogo Napoleon chce pociągnąć ku sobie, popada jakby w stan zachwycenia“. To zachwycenie, czyli ekstaza, jest znowuż dowodem obecności boga. Człowiek musi wyjść poza siebie, aby wejść w boga; musi on wyjść z ludzkiego fikcyjnego, rozdrobnionego i śmiertelnego „ja“, aby wejść w boskie „ja“, prawdziwe, nierozdzielne, nieśmiertelne. To znaczy: „Kto duszę swoją zachowa, straci ją, kto ją straci, znajdzie ją“.

Dionizos jest mistrzem ekstazy; Napoleon podobnież. Dionizos syn Semeli, kobiety śmiertelnej, jest człowiekiem, który staje się bogiem; tak samo Napoleon. Dionizos jest zdobywcą i krzewicielem pokoju; również Napoleon pragnie połączyć Zachód ze Wschodem, aby założyć panowanie światowe — królestwo wiecznego pokoju. Dionizos jest cierpiącym bogiem-człowiekiem; a Napoleon na wyspie Św. Heleny — przykuty do skały Prometeusz — jest tem samem, czem Dionizos.

„Świat patrzy na nas. I tu będziemy męczennikami wielkiej sprawy... Walczymy z potęgą bogów, a ludy nas błogosławią“ — powiada Napoleon. Tak samo byłby mógł mówić i Prometeusz.[48]

Być może, iż tu, na Św. Helenie, ujawnia największe męstwo; nie takie już, co to wybucha znagła, ale nieprzerwane męstwo drugiej godziny w nocy.

„W życiu mojem łatwo, oczywiście, wykrywać błędy, ale Arcole, Rivoli, Piramidy, Marengo, Austerlitz, Jena, Frydland, — to złomy granitu: ząb zawiści ich się nie imie“.[49] Nie, i to nie granit: jest to mgła, fantom, ale poza mgłą wznosi się granit — Św. Helena, święta skała, Pietra Santa, wiekuista odwaga.

„Mówią, że się postarzał? Przecież on ma jeszcze — niech mię djabli wezmą — sześćdziesiąt wypraw w brzuchu!“ — zawołał stary żołnierz angielski na wyspie Św. Heleny, ujrzawszy cesarza.[50] „Jeszcze nie mam pięćdziesięciu lat — wyraża się sam w roku 1817 — zdrowie moje jest znośne; mam przed sobą przynajmniej jeszcze trzydzieści lat życia“.[51] „Mówiono, że po Moskwie i Lipsku posiwiałem, ale, jak pan widzi, jeszcze dzisiaj brak mi siwych włosów; mam nadzieję, że zniosę jeszcze inne ciosy losu“.[52] „Może

mi pan nie uwierzy, ale nie żałuję swej wielkości; mało mam uczucia dla tego, co stracone".[53] „Samaż natura, zdaje się, stworzyła mnie dla wielkich cierpień; dusza moja zniosła je jak marmur; piorun nie zdruzgotał jej, ale się po niej ześliznął".[54] „Przeznaczeniu memu brakło nieszczęścia. Gdybym był umarł na tronie, w obłokach potęgi, to dla wielu byłbym pozostał tajemnicą. Ale teraz, dzięki memu nieszczęściu, mogą mnie sądzić w całej mej nagości".[55]

Nagością jego jest Św. Helena, święta skała niezłomnej odwagi. „Jestem ugruntowany na skale — je suis établi sur un roc" — powiada on, znajdując się u szczytu swej potęgi, i to samo byłby mógł powiedzieć także w głębi swego upadku.[56] Któż z pośród wszystkich ludzi wzniósł się był tak wysoko i tak nisko upadł, jak on? Ale im głębszy upadek, tem większa odwaga. Cały jego blask może przygasnąć, tylko nie ten, którym jako mistrz odwagi otoczył swą głowę. Barrès[57] niezupełnie trafnie nazywa Napoleona profesorem energji— le professeur de l'énergie. Napoleon jest chyba najmniej profesorem, a także słowo energja jest zbyt oderwane i zbyt mechaniczne dla tak bardzo organicznego zjawiska, jak odwaga Napoleona. Ale myśl sama jest słuszna.

Jako nauczyciel męstwa nie sprzeniewierza się sobie nigdy: rozrzutnie szafuje swem życiem pod Arcole, ale jak skąpiec doszukuje się dwudziestu centymów w sprawozdaniu ministra skarbu i nie zapomina o niuchu tabaki w tabakierce, którą przekazuje synowi testamentem: w tem wszystkiem jest zawsze to samo fanatyczne i ekstatyczne bohaterstwo. Napoleon jest mistrzem ekstazy i odwagi, ponieważ obie te siły są nierozdzielne: człowiek musi wyjść ze swego śmiertelnego „ja", aby przejść w nieśmiertelne, to znaczy, aby się stać zdolnym do ujawnienia tego najwyższego męstwa, które pokonywa strach śmierci. „Najgłębiej rozkoszuje się człowiek samym sobą w niebezpieczeństwie" — powiada Napoleon;[58] rozkoszuje się, upija, najbardziej upajającem winem Dionizosa, swem własnem boskiem nieśmiertelnem „ja" w obliczu śmierci.

„Co zatraceniem wiecznie grozi,
Serce śmiertelnych napełnia radością,
Niepojętemi rozkoszami darzy
Niby ogromnym zadatkiem wieczności".[59]

Dlatego też Dionizos ma tajemne imię Lyaios-Oswobodziciel: wyzwala on dusze ludzkie z niewoli najcięższej — ze strachu śmierci. Tutaj zresztą, jak wogóle, Dionizos jest tylko cieniem Tego, który przyjść ma: „Kto we mnie wierzy, nie zazna śmierci na wieki".

Ludzie są wdzięczni temu, który żyć ich uczy, ale może jeszcze wdzięczniejsi są temu, który uczy ich umierać. Dlatego też żołnierze Napoleona są

mu tak wdzięczni i wołają: „Niech żyje cesarz!“ w chwili, gdy z żył wylewają ostatnią kroplę krwi. Zaprawdę jest on wodzem dusz i wiedzie ku zwycięstwu nad ostatnim wrogiem — śmiercią.

„Trzeba chcieć żyć i umieć umrzeć“ — powiada Napoleon.[60] A dalej: „Żołnierz musi umieć umrzeć“.[61] Każdy człowiek musi być żołnierzem na polu bitwy, aby pokonać ostatniego wroga, czyli śmierć. Czy to niemożliwe? „Niemożliwość jest tylko upiorem chwiejnych i ucieczką tchórzów“ — odpowiada Napoleon. Każdy człowiek, jeśli chce umrzeć i zmartwychwstać, musi być Napoleonem.

My wszyscy, którzy skażeni jesteśmy rzekomem „chrześcijaństwem“, myślimy mniej więcej tak, jak biedny Nietzsche, że być dobrym to znaczy być słabym, a być mocnym to znaczy być złym. Napoleon wie, że jest inaczej: „Cnota jest w sile, w odwadze; człowiek mocny jest dobry, tylko słabi są źli“.[62] Mówi to na początku życia a pod koniec powtarza to samo. „Bądźcie zawsze dobrzy i odważni“ — napomina swoją gwardję, gdy po abdykacji żegna się z nią w Fontainebleau. To samo napomnienie byłby mógł przekazać wszystkim ludziom.[63]

„Pokazałem, co Francja uczynić może; niechże to wszystko wykona“. Pokazał, co ludzkość uczynić może, niechże to wszystko wypełni.

Ekstaza — wino Dionizosa — dzisiaj właśnie wyczerpuje się w sercach naszych, jak woda w studniach wysycha w czasach posuchy. Amerykański „suchy system“ panuje w całym „chrześcijańskim“ świecie. „Jam jest winna macica prawdziwa, a Ojciec mój jest winiarz“. O tem zapomnieliśmy i nie pijamy już soku winnego. Ale suchymi jesteśmy tylko, gdy chodzi o wino, nie zaś, gdy chodzi o krew, bo dopiero co zaleliśmy krwią cały świat i teraz schniemy, by może zalać się krwią znowu.

I Napoleon także przelewał krew, ale nie był on taki suchy, jak my: jest on ostatnim, który zakosztował soku winnej jagody Dionizosa: ostatnim upojonym — upajającym.

Dionizos jest tylko cieniem, ciałem zaś jest Syn Człowieczy. Czyliż ciało nie lepsze jest od cienia.? Zaiste, lepsze jest, ale gdy ciało mija, pozostaje tylko cień. Świat nie może żyć bez Syna, a jeśli nie żyje jego ciałem, to żyje jego cieniem. Cieniem Syna jest Napoleon-Dionizos.

W czasach zamierzchłych pierwszym cieniem tego samego ciała — cieniem Syna — był staro-babiloński bohater Gilgamesz: senarscy koczownicy opiewali go w swych pieśniach może już na tysiąc lat przed Abrahamem. Gilgamesz, bohater słoneczny, wędruje przez cały świat i szuka kwiatu nieśmiertelności; wędruje drogą słońca od wschodu na zachód; jak słońce, i on grąży się w oceanie, zdaje się, że w tym samym, który pochłonął Atlantydę, — i w nim znajduje kwiat życia.[64]

„Kwiat ten do ciernia i róży podobny jest zarazem".[65]

Do ciernia cierpienia i do róży miłości. Taka jest mądrość Dionizosa, wiodącego od dręczącego ciernia śmierci do upajającej róży nieśmiertelności.

Drogą słońca z półkuli dnia ku półkuli nocy wędruje także Napoleon, ostatni bohater słoneczny, ostatni człowiek z Atlantydy. I on, tak samo jak słońce, grąży się w oceanie i znajduje w nim ów kwiat życia — dręczący cierń i upajającą różę Dionizosa.

Pierwszym Dionizosem jest Gilgamesz, ostatnim Napoleon. O ostatnim można powiedzieć to samo, co o pierwszym:

„Wszystko oglądał aż po ostatnie krańce ziemi,
O wszystkiem słyszał i wszystko poznał,
Wzrok jego sięgnął w głąb najgłębszą,
Odsłonił mądrość najtajniejszą...
Wieść o zamierzchłych przyniósł czasach,
Świat przewędrował w trudzie, w znoju,
I na tablicach spisał wszystko,
W dwóch częściach bóg, a w jednej człowiek..."[66]

Commediante.

Chmury wlokły się tak nisko nad podniebnemi skałami Św. Heleny, że obrzeżem zaczepiały się o nie i zawisały na nich, niby łachmany upiorów. „Najmilszem zajęciem Napoleona było śledzenie przelotu tych chmur nad szczytami gigantycznych gór, obserwowanie przemian ich konturów; obłoki zawisały nad wierzchołkami skał, niby rozwiane zasłony, i skłębialy się nad ciemnemi wąwozami, albo też rozścielały się wdali nad oceanem. Zdawało się, że z tych zwiewnych i przemiennych tworów powietrznych chciał Napoleon odczytać przyszłość".[1]

Nie, nie przyszłość, ale przeszłość. Wie on już, że przyszłości dla niego niema: na Św. Helenie jest on pogrzebany za życia. A te przelatujące chmury— te twory, postaci i zjawy — są dla niego tylko wizjami przeszłości, marzeniem całego jego życia.

„Jakimże romansem było moje życie!" — powiada do współwięźniów swoich na Św. Helenie. „Jakimże romansem", marzeniem, zwidzeniem, jest przelatująca chmura!

„Niekiedy wydaje mi się, że już umarłam i że pozostało mi tylko smutne uczucie, iż mnie już niema" — mówiła cesarzowa Józefina kilka razy przed



SZARY PŁASZCZ I KAPELUSZ NAPOLEONA

śmiercią swoją — „Il me semble quelquefois que je suis morte et qu'il ne me reste qu'une sorte de faculté vague de sentir que je ne suis plus".

To samo byłby mógł powiedzieć Napoleon na Św. Helenie.

„Gdybyż to tylko było trwałe! — Pourvou que ca doure!" — szeptała, podobna do mądrej Parki, matka Napoleona, w swej twardej łamanej francuszczyźnie. Co za słowa prostej, cichej, starej kobiety, „matki królów, matki bólu", jak się sama nazywała! „Je suis la mère de toutes les douleurs". Niestety, nie było „to" trwałe, przeleciało, rozwiało się, jak chmura. „Letycja była zawsze przekonana, że cała ta olbrzymia budowla cesarstwa się zawali".[2] „Nikomu się nawet nie zaśni, jak ona żyła — On ne rêve pas comme elle a vecu" — powiedziano o niej. To samo można powiedzieć także o jej synu.

„Po tylu latach zamętu, ofiar i krwi nie otrzymała Francja nic prócz sławy" — rzekł cesarz rosyjski Aleksander I w roku 1814 do marszałków Napoleona po zajęciu Paryża przez wojska sprzymierzonych.[3] „Nic prócz sławy", zwidzenia, przelatującej chmury.

Czy tak jest naprawdę? Czy całe dzieło jego znikło, jak sen? Nie, niejedno pozostało: kościec nowoczesnego prawa, wprowadzony w ciało Europy przez Kodeks Napoleona, jest pierwszem od czasów rzymskich ustawodawstwem światowem, prawnem zabezpieczeniem osobowości. I jeśli dzisiejsza Europa opiera się komunistycznym atakom bezosobowości, to może tylko dlatego, że napoleoński stos pacierzowy jest w niej jeszcze dość mocny.

Wnuk nie zna już dziada, nie pamięta go; lecz podobny jest do niego i przypomina go swem podobieństwem. Tak więc Napoleon jest dzisiejszej Europie już nieznany, ale wciąż jeszcze zachowuje swój profil napoleoński. Czy to wiele, czy mało? Wiele w porównaniu z tem, co uczynili inni, i bardzo niewiele w porównaniu z tem, co uczynić chciał i co byłby mógł uczynić; tak bardzo niewiele, że jemu wydawało się to jako „prawie nic". Sam on przewidział swoje pomniejszenie w dziejach: „Będę prawie niczem — Je ne serai presque rien".

Tak jest, chociaż był on istotą najrealniejszą, „ens realissimum", to jednak zawsze niejasno wyczuwał, że istnienie jest fantasmagorją i że życie swoje kształtował tak, jak je we śnie kształtujeśpiący lub malarz w obrazach, a muzyk w symfonjach.

Na to właśnie potrzebował władzy nad światem, aby z niego uczynić marzenie. „Lubię władzę jako artysta, jak skrzypek lubi skrzypce. Lubię ją, aby z niej wydobywać tony, melodje, harmonje".

„Świat jako wyobrażenie" — byłby może zrozumiał, co to znaczy, gdyby się zasłona z chmur była podniosła nad skałą Św. Heleny. Wyobrażenie albo przedstawienie, tragedja, gra dionizyjska na scenie świata. Sam jest poetą aktorem, bohaterem w jednej osobie: sam tworzy grę, sam gra i ginie w niej,

Jeśli jest „potworem", to innego rodzaju i innych wymiarów, niż Nero, ale i on, podobnie jak tamten, byłby mógł przed śmiercią zawołać: „Qualis artifex pereo! — Co za artysta ginie we mnie!"

On tworzy sen świata, niby bóg Demiurg; sen się rozwiewa, bóg umiera.

„Żegnajcie sny me niedośnione,
Sny, które czynem się nie stały...
O, teraz niby bóg umieram,
Co nie dokończył swego dzieła!"[4]

„Commediante!" — miał zawołać papież Pius VII, jeniec w Fontainebleau, ofiara nowego Nerona-Antychrysta, przy sporze z cesarzem o drugi konkordat z roku 1813. Jest to niezawodnie legenda. Ale chociaż słowo to nie jest autentyczne, to jednak tkwi w nim sens głęboki. Zaprawdę jest on „komedjantem" ludzko-boskiej komedji.

Gdy układał ceremonjał uroczystości koronacyjnej, malarz Isabey i architekt Fontaine przynieśli mu mały teatrzyk, przedstawiający wnętrze katedry Notre-Dame de Paris, w której koronacja odbywać się miała; w teatrzyku tym było mnóstwo ponumerowanych laleczek w kostjumach. Napoleon był tą zabawką zachwycony. Natychmiast polecił wezwać cesarzową Józefinę, ministrów, marszałków i dygnitarzy i zabrał się do odbywania prób świętej koronacji — przedstawienia teatru marjonetek.

Gdy przy odwrocie z Moskwy dowiedział się o zamachu stanu generała Maleta, półgłówka, który zabrał się do obalenia dynastji, zawołał: „Oto, jak trwała jest władza moja! Jeden człowiek, zbiegły aresztant, jest dość mocny, aby ją zachwiać. To znaczy, że korona niebardzo mocno siedzi na mej głowie, skoro zuchwały zamach trzech awanturników w samej stolicy potrząsać nią może!"[5] Tak, korona na jego głowie jest podobna do świecidełek szychowych na głowie króla marjonetek, a potęga jego jest taka trwała jak sen.

A przecież jeszcze przed kilku miesiącami z wierzchołka góry Pokłonnej spoglądał na Moskwę leżącą u jego stóp i po okropnościach minionych cieszył się tym czarującym widokiem — dekoracją teatralną — przed okropnościami przyszłemi. „Zdawało się, iż witają nas oklaski wszystkich narodów".[6] Stare Teby i Moskwa! Takie odległości przestrzeni i czasu obejmuje ten gigantyczny sen. Lecz nagle odpływa wszystko, rozwiewa się niby fata morgana, jak się rozpływa przelatująca chmura, pędzona lekkim podmuchem wiatru, a dolatuje wieść: „Moskwa jest pusta!"[7] Pusta, jak pusty sen. I dekoracja zmienia się: „Moskwa znika, niby zwidzenie w kłębach dymu i płomienia".[8] „Było to najbardziej majestatyczne i najstraszliwsze widowisko, jakie w życiu swojem widziałem" — wspomina na Św. Helenie.[9] Tam, na gruzach spalonej

Moskwy, wydaje rozporządzenie dotyczące reorganizacji „Comédie Française"— widowisko w widowisku, sen we śnie.[10] Oto jest drugi stopień „Świata jako wyobrażenia"; nie jest to liczba, ale logarytm pewnej liczby.

„Generał Bonaparte widział imaginacyjną Hiszpanję, imaginacyjną Polskę (Rosję), a teraz widzi imaginacyjną Św. Helenę" — powiada Hudson Lowe.[11] To znaczy: Jego wola życia od początku do końca była wolą marzenia.

„Snem otoczone całe życie nasze
I każdy z nas nie więcej jest niż sen..."

Słowa te szekspirowskiego Prospera byłby Napoleon zrozumiał: sny swoje buduje z materji świata, a świat z materji snów swoich.

Najrealniejsza istota jest istotą najidealniejszą — oto jego dwa oblicza. Jakże tu więc rozstrzygnąć, które z nich jest prawdziwe?

A tak samo jest tu w sprawach wielkich, jak w sprawach drobnych.

„Lubił wszystko, co pobudzało do marzeń: Osjana, zmierzch, melancholję muzyki. Ze skupioną uwagą wsłuchiwał się w szum wiatru, z zachwytem mówił o łoskocie morskich fal; skłonny był do wiary w upiory i wogóle bardzo był zabobonny. Gdy wieczorem udawał się do salonu pani Bonaparte, to świece kazał otoczyć białym muślinem. Musieliśmy wszyscy milczeć, gdy on opowiadał nam o upiorach... Albo też, słuchając cichej, przeciągłej muzyki, zapadał w zadumę, i nikt z nas nie odważał się zakłócić ją choćby najdrobniejszym ruchem".[12] Świece przesłonięte muślinem wydawały niesamowite, upiorne światło i zdawały się zapowiadać owo światło słoneczne, przesłonięte upiornemi chmurami i z za nich padające na Św. Helenę.

Pewnego razu improwizuje i gra fantastyczną nowelę o dwóch nieszczęśliwych kochankach, Teresie i Giulio, w której między innemi występuje tajemnicza istota, jakaś androgyniczna Sybilla, która podobna jest do samegoż Napoleona, czy też do odmieńca Dionizosa.*

„Opowieść swoją kończył słowami: — Giulio wbił sztylet w serce Teresy.— Rzekłszy to, wstał, podszedł do cesarzowej i zrobił gest, jakgdyby dobywał sztylet z pochwy. Złudzenie było tak mocne, że damy dworu krzyknęły ze zgrozy i rzuciły się między niego i Józefinę. Ale Napoleon, niby świetny aktor, nie dał się wytrącić z równowagi i opowiadał dalej, nie zwracając uwagi

* Giulio, conte improvisé par Napoléon. „On vit paraître à Rome un être mysterieux qui prétendait devoiler les secrets de l'avenir et qui s'enveloppait d'ombres si épaisses que son sexe même était l'objet de doute et de discussion. Les uns... décrivaient les formes et les traits d'une femme, tandis que les autres justifiaient leur éffroi en lui donnant l'aspect d'un monstre hideux". Napoleon sam jest „potworem korsykańskim"; posiada on „magnetyczny" dar wieszczy i cielistość, która nie jest właściwa naszej płci — „un embonpoint qui n'est pas de notre sexe".

na wywołane wrażenie".[13] „Gdy dał się porwać polotowi swej wyobraźni, to zapalał się tak dalece, że całe otoczenie znikało mu z oczu". Opowiadają sobie, że brał lekcje u wielkiego aktora Talmy; ale być może, że „sam byłby go mógł uczyć".[14]

„Gdy dyktuje rozkaz do armji, to przypomina włoskiego improwizatora, albo Pytję siedzącą na trójnogu".[15] Tak samo gra komedję na pobojowiskach, gra, jak w salonie pani Bonaparte, niesamowitą opowieść-historję świata; a dym prochowy wznosi się jak czad, dobywający się ze szczeliny ziemnej pod trójnogiem wieszczki, i tworzy upiorną chmurę Św. Heleny.

Jest on magiem, który wywołuje wielkie zjawiska, albo, wyrażając się językiem naszych czasów, jest operatorem filmowym olbrzymich wymiarów, wielkim mistrzem artystycznych przeciwieństw.

Jako głównodowodzący armji egipskiej, generał Bonaparte wypisuje mnichom klasztoru synajskiego list ochronny „przez cześć dla Mojżesza i ludu izraelskiego, którego kosmogonja przypomina nam czasy zamierzchłe", podpisuje się w honorowej księdze gości i imię swoje stawia tuż koło imienia Abrahama.[16] Czy to jest komedjanctwo, szarlatanerja, reklama świetlna na obłokach, czy też jest to znak apokaliptyczny? Może jest to wszystkiem razem; może czuje on zupełnie szczerze swoje przejście z doczesności w wieczność, z dziejów świata w kosmogonję i w eschatologję.

A oto jeszcze kilka masek z tej samej „komedji". Entuzjazmuje się myślą, że „w starości, niby stateczny gospodarz z żoną, własnemi końmi, bez hałasu i krzyku objeżdżać będzie całe państwo, przyjmować skargi, naprawiać krzywdy i wszędzie rozsiewać pamięć swoich dobrodziejstw".[17] Tu gra on oczywiście rolę lwa w owczej skórze: wie on bardzo dobrze, że tak nigdy nie będzie, ale od świadomości tej odwraca się całkiem szczerze. Być może, iż taka małomieszczańska sielanka przyśniła się mu kiedy. Wogóle drobnomieszczaństwa jest w nim daleko więcej, niżby kto przypuszczał.

Na pobojowsku Eylau wygłasza on głośne słowa: „Co za straszliwy widok! Już to samo winnoby wzbudzać we władcach miłość dla pokoju i obrzydzenie dla wojen!" Dla zilustrowania swych słów zamawia u malarza Grosa wielkie malowidło tego pobojowiska, a śród zabitych i rannych on sam ma być przedstawiony z oczami pełnemi łez, wzniesionemi ku niebu.[18] Lepiej byłby tego obrazu wcale nie zamawiał i przynajmniej pod tym względem nie był grał „komedji". Ale i to nie może być uważane za dowód, że jego wstręt do wojny nie był szczery.

Świtę swoją zatrzymuje przed transportem rannych jeńców austrjackich, ze czcią zdejmuje kapelusz i woła: „Cześć i chwała nieszczęśliwym bohaterom!"[19] Tego teatralnego gestu byłby mógł pozazdrościć mu Talma, ale i to nie znaczy, że gest ten był nieszczery.

Biednego rosyjskiego chłopca, hrabiego Apraksina, który pod Austerlitz dostał się do niewoli i płakał jak dziecko, pocieszał Napoleon pustemi słowami: „Uspokój się, młodzieńcze, i wiedz, że to nie żaden wstyd zostać pokonanym przez Francuzów!“[20] Lepiej byłby zrobił, nie pocieszając go wcale, ale gdy Tołstoj „komedją“ tą oburza się nad miarę, to może tylko dlatego, że sam on był komparsem w jeszcze bardziej wyrafinowanej komedji „Prawdziwości“.

Napoleon wie, że Józefina jest niepłodna, a ponieważ przez współczucie dla niej nie chce się z nią rozwieść, proponuje jej, aby udawała ciążę, iżby syna swego, spłodzonego z inną kobietą, obwołać mógł następcą tronu. Józefina zgadza się na to, ale cały plan rozbija się o opór przybocznego lekarza Corvisarta, który stanowczo odmawia uczestniczenia w takim podstępie. Zdumiewa tu wszystko: szczere współczucie dla starzejącej się kobiety, dziecinna naiwność podstępu, która w takim realiście jest czemś zgoła osobliwem, marzenie o dynastji, ugruntowanej tak fantastycznie na podrzuconym następcy tronu — bo wszystko to jest szczytem szarlatanerji i komedjanctwa, którego ani wytłumaczyć, ani objaśnić niczem nie można, najwyżej chyba takiem wnioskowaniem: Jeśli świat jest snem, wyobrażeniem, a wszystko w świecie jest ułudą i kłamem, to jedno kłamstwo mniej, czy więcej, nic nie znaczy, gdy w dodatku można niem osiągnąć dobry cel.

Józefina skarży się, że Bonaparte „w ciągu długich lat, jakie z nim przeżyła, nie miał ani jednej chwili szczerości“.[21] Czyżby? Może był on szczery na swój sposób, ale szczerość jego była inna, prawda jego różniła się od jej prawdy“. „Jaki śmieszny jest Bonaparte! — Il est drôle, Bonaparte!“ — woła po zapoznaniu się z nim. Trzeba było być takim kanarkiem z Martyniki, jak Józefina, aby nie zauważyć, że był on nie śmieszny, ale straszny. Pani Rémusat odczuła to i płakała ze strachu jak dziecko.[22]

Jest on „komedjantem“, „aktorem“, ale nie jest obłudnikiem; bezustannie gra jakąś rolę, ale nigdy obcą, lecz zawsze własną. Jest on Napoleonem, grającym rolę Napoleona. W tem znaczeniu jest on uosobieniem prawdy, ale prawda ta do niczego nie jest podobna, i dlatego nikt jej nie wierzy. „Moje skłonności wrodzone, które są zresztą naturalne, dają mi nieskończone możliwości łudzenia wszystkich“. Właśnie w tych naturalnych skłonnościach jest on tworem innego stworzenia, człowiekiem z innego cyklu kosmicznego, nie z roku 1800 po Chrystusie, lecz z roku 1800 przed Chrystusem, czy też z równie dalekiej przyszłości; jest on człowiekiem z Atlantydy, albo też z Apokalipsy. Dość, aby był całkowicie prawdziwy, szczery względem samego siebie, a wnetże wszyscy zawodzą się na nim. W gruncie rzeczy nie zwodzi on nikogo, lecz ukrywa się wobec wszystkich, aby nie przerażać ludzi nadmiernie swoją cudownością, czy potwornością. Dlatego nosi maskę, pod którą ukrywa twarz, gdy z obłoku Synaju zstępuje do ludu.

Sam nie zwodzi nikogo, ale przez wszystkich jest zwodzony. Bodaj że żaden z władców nie był tak oszukiwany i zdradzany, jak on, — przez ministrów, marszałków, żony, kochanki, braci, siostry, wrogów, przyjaciół. Chociaż to bardzo dziwne, jest on dobroduszny, niema w nim fałszu; jest nawet zbyt prawdziwy, szczery aż do cynizmu, jak naprzykład w sprawie rozstrzelania księcia d'Enghien, albo w brudnej aferze z królem hiszpańskim. Poczciwie, ufnie, bez fałszu, oddaje się „przebiegłemu bizantyńczykowi", Aleksandrowi, potem swemu teściowi, cesarzowi Franciszkowi, a wkońcu Anglikom. Dopiero na wyspie Św. Heleny zastanawia się: „Swoje romantyczne i rycerskie mniemanie o was (Anglikach) opłaciłem drogo".[23]

„Ludzie ci nie chcą ze mną rozmawiać" — skarży się do Coulaincourta podczas kongresu w Chatillon w roku 1814. „Role nasze zmieniły się... Zapomnieli, jak ja postępowałem z nimi w Tylży. Wielkoduszność moja okazała się poprostu głupotą... Uczniak byłby miał więcej sprytu, niż ja".[24] Może zginął właśnie dlatego, że był zbyt otwarty.

Giętkości stosu pacierzowego, sztuki „zmieniania manewru — changer de manoeuvre,"[25] którą tak doskonale opanowywali Talleyrand i Fouché, te dwa gady bez grzbietu, brakło mu zupełnie. „Męstwa udawać nie można: jest to cnota bez obłudy".[26] Ono jest właśnie jego cnotą — Pietra Santa, Święta Skała, nieugięty kark.

„Możemy się wzajemnie porozumieć" — pisze cesarz Paweł I do Konsula Bonapartego.[27] Mogą się wzajemnie porozumieć, bo obaj są romantykami, rycerzami i — jakkolwiek brzmi to osobliwie — Don Kichotami.

„Napoleon posiadał w najwyższym stopniu poczucie żołnierskiego honoru, żołnierskiego braterstwa... Ten przebiegły polityk był zawsze rycerzem bez przygany" — powiada Vandal, jeden z niewielu sprawiedliwych sędziów Napoleona.[28]

Jakże niepodobny jest on do taine'owskiego kondotjera, do „Principe" Machjawela, do mieszaniny lwa i lisa! Nie, on jest mieszaniną lwa i smoka: ma on siłę lwa na skrzydłach marzenia.

Wszystko jest dla niego ułudą, ale to nie znaczy, aby wszystko było tylko zasłoną Maji, okrywającą absolutną nicość. Napoleon jest obok Goethego największym antypodą mądrości buddyjskiej, czyli woli niebytu i bezosobowości. Obaj oni są wiekuistem „Tak" w przeciwieństwie do wiekuistego „Nie".

"Alles Vergängliche
Ist nur ein Gleichnis —
Wszystko znikome
Jest tylko symbolem".

W słowach tych Goethe wypowiada to, co Napoleon czuje: rzeczy doczesne są symbolem wiecznych. Człowiek śpiący śni o tem, co się z nim działo na jawie, a człowiek żyjący w doczesności widzi jak przez sen, co się w wieczności z nim działo, lub dziać będzie. „Świat jako wyobrażenie“ zniknie, „Świat jako wola“ pozostanie. Woli tej przeczą Schopenhauer i Budda; Napoleon i Goethe przyświadczają jej.

Chmury, marzenia i zwidy, a pod niemi Św. Helena, Św. Skała — Pietra Santa, wiekuisty granit. Jawnem jego imieniem we dnie jest męstwo; tajnem, nocnem — Los.

Przeznaczenie.

„Przez całe życie składałem w ofierze wszystko — spokój, korzyści, szczęście — przeznaczeniu swemu“.[1] Oto jest twarz Napoleona bez maski, bezgraniczna prawda jego, bezgraniczna szczerość. Gdy mówi „przeznaczenie“, to daje nam klucz do tajnych drzwi zamkniętych; ale klucz ten jest dla nas zbyt ciężki! Drzwi są nadal zamknięte, Napoleon pozostaje nieznany.

Cóż to jest przeznaczenie? Przypadek rządzący światem, „le hasard qui gouverne le monde“ — jak się to niekiedy wydaje jemu samemu?[2] Przypadek to ślepy djabeł, a Napoleon władca świata, to tylko niewolnik tego djabła? Czy też jest to coś wyższego, widzącego i zgodnego z wolą bohatera? Być może, iż sam on nigdy o tem nie rozmyślał, ale prawdopodobnie myśli jego krążyły koło tego. Zdaje się, że wszystkie jego myśli grążyły się w głębinie, która chroni tajemnicę ludzkiego przeznaczenia. Bezpośrednio w twarz Sfinksa nie spoglądał nigdy, ale zawsze czuł, że Sfinks patrzy mu prosto w oczy, i wiedział, że jeśli nie rozwiąże jego zagadki, to potwór go pożre. Twarz Edypa stojącego przed Sfinksem jest pełna zadumy i twarz Napoleona tak samo. Zdaje się, że najistotniejsze, co twarz tę odróżnia od wszystkich innych twarzy ludzkich, to bezgraniczna zaduma. Im dłużej wpatrywać się w nią, tem głębsze ma się wrażenie, że zadumał się on nietylko nad sobą, ale nad całą „chrześcijańską“ ludzkością, która w wielkiej swej herezji odrzuciła lekkie brzemię Jezusa i dostała się pod żelazne brzemię Przeznaczenia.

W nocy przed bitwą pod Jeną cesarz wyszedł sam na linję straży przednich, aby obejrzeć drogę, która dla transportu artylerji wyłamana została w skale Landgrafenbergu. Noc była ciemna, na odległość dziesięciu kroków nie było nic widać. Gdy cesarz zbliżył się do linji straży, pewien żołnierz, usłyszawszy jego kroki, zawołał: „Kto idzie?“ — i złożył się do strzału. Napoleon tak był pogrążony w zadumie, że nie dosłyszał żołnierskiego odezwu i szedł dalej. Wartownik strzelił. Kula świsnęła nad uchem cesarza. Rzucił się twarzą na ziemię i dobrze zrobił: nad głową jego przeleciało mnóstwo kul; cały łańcuch straży strzelał do niego. Gdy pierwszy ten ogień szczę-

śliwie przetrzymał, powstał, zbliżył się do pierwszego wartownika i dał się poznać.[3]

Pada twarzą na ziemię, jakgdyby on, władca świata, chciał się ukorzyć przed innym, większym władcą. Ale przed jakim? Przed czarnym djabłem przypadkiem, czy przed swoją promienną „gwiazdą", przed słońcem nocy, swem przeznaczeniem? Być może, iż na minutę przedtem zamyślił się tak głęboko wcale nie o tem, ale myśli jego zbliżały się ku tej sprawie i podchodziły ku niej tak blisko, jak on sam tylko o włosek oddalony był od śmierci.

Na kilka dni przed abdykacją i zamachem samobójczym w Fontainebleau znajdował się on w tak głębokiej zadumie, że nie zauważał wejścia osób, które sam wzywał do siebie; wlepiał w nie oczy i zdawał się nie widzieć ich, a czasem mijało więcej niż pół godziny, zanim odezwał się do przybyłego. Gdy się budził z odrętwienia, to zadawał pytania, ale zdawało się, że odpowiedzi wcale nie słucha. Nic nie mogło przerwać tej „letargicznej zadumy — préoccupation pour ainsi dire létargique".[4]

W roku 1810, niedługo po zaślubinach z Marją-Ludwiką, podczas wielkiego przyjęcia wieczorowego na zamku w Compiègne, gdzie zebrali się najwyżsi dostojnicy państwowi, ministrowie, marszałkowie, zagraniczni posłowie, książęta panujący, królowie i arcyksiążęta, Napoleon z sali gry przeszedł do salonu. Cała jego ogromna świta szła oczywiście za nim krok w krok. „Doszedłszy do środka salonu — opowiada świadek naoczny, generał Thiébault — cesarz zatrzymał się, skrzyżował ręce na piersi, zapatrzył się w punkt podłogi oddalony od niego o jakie sześć kroków i tak zastygł w bezruchu. Wszyscy zatrzymali się razem z nim, otoczyli go szerokiem kołem i zamarli w głębokiem milczeniu, nie odważając się nawet spojrzeć po sobie; lecz potem popatrzyli na siebie ze zdumieniem, wyczekując, czem się to zakończy". Tak minęło pięć minut, sześć, siedem, osiem... Zdumienie wzrastało, nikt nie wiedział, co to ma znaczyć. Wreszcie marszałek Massena, stojący w pierwszym szeregu, podszedł, a raczej podkradł się ku cesarzowi i coś szepnął mu do ucha tak cicho, że nikt tego nie mógł usłyszeć. „Ale ledwie to zrobił, gdy cesarz, wciąż jeszcze nie podnosząc oczu, wyrecytował głosem gromowym: — A panu co do tego? — De quoi vous mêlez-vous? — I zastraszony marszałek, patrjarcha wojennej sławy, zwycięzca Suworowa, ukochany syn Zwycięstwa, wrócił na swoje miejsce, cofając się z szacunkiem. A Napoleon stał dalej w bezruchu". Wreszcie, jakby się budził ze snu, podniósł głowę, opuścił skrzyżowane ramiona, rozejrzał się po wszystkich okiem badawczem, bez słowa zawrócił i poszedł do sali gry. Tutaj, przechodząc obok cesarzowej, rzekł do niej chłodno: „Proszę ze mną!" I udał się do swoich komnat wewnętrznych.

„Wszystko to widzę, jakby dzisiaj, ale dotąd pojąć nie mogę, co to było" —

kończy Thiébault. Scena ta wydaje mu się czemś poprostu nieprzyzwoitem, „błaznowaniem — jonglerie". — „Nigdy nie czułem się tak dotknięty; despota w Napoleonie nigdy nie ukazał się z większym bezwstydem i zuchwałością".[5]

Biedny Thiébault jest tak obrażony, że zapomina o innem wrażeniu, jakie wzbudził w nim Napoleon: „Uczucia, jakiego doznaję w obecności tej olbrzymiej istoty, nie mogę przyrównać do niczego". Gdyby był o tem pamiętał, to może byłby zrozumiał, że i w tej scenie w Compiègne Napoleon nie był ani błaznem, ani despotą. O cóż więc się obrażać? Z wszelką pewnością Napoleon obraził go mimowolnie; nie ma on zamiaru obrażać kogokolwiek, już choćby dlatego, że w takich chwilach nikogo nie dostrzega: ludzie przestają istnieć dla niego i znikają jak cienie. Ale to właśnie zdaje się ich obrażać.

Wątpliwości generała Thiébaulta są także naszemi wątpliwościami: czemże w istocie może być ta „letargiczna zaduma", przypominająca odrętwienie? Widzi, słyszy, czuwa, działa — ale wszystko to jest powierzchowne, wewnętrznie śpi ten wiekuisty marzyciel, somnambul swego nocnego słońca — przeznaczenia. Kroczy nad skrajem przepaści i, jak tylko się zbudzi, to w nią spadnie. Ale do ostatniego kroku, wiodącego w przepaść, zbudzić się nie miał.

On śpi, a serce jego bije ledwo wyczuwalnie, jak we śnie letargicznym. „Zdaje mi się, że moje serce nie bije; nigdy jego bicia nie czułem".[6] „Jest mi tak, jakbym wcale serca nie miał".[7]

Śpi on na jawie i czuwa we śnie. Sen rozwiewa się w rzeczywistości, sen przenika w rzeczywistość, nietylko metafizycznie, lecz i zewnętrznie, fizycznie.

Dnia 24 grudnia 1800 roku udaje się on do Opery; zasypia w powozie i śni, że tonie we włoskiej rzeczułce Tagliamento; budzi go wybuch maszyny piekielnej o włosek od śmierci.

Zasypia on także na polu bitwy, „gdy walka toczy się w najlepsze — zdala od linji ognia".[8] Staje się to nawet jego przyzwyczajeniem: „Przywykłem spać na polu bitwy".[9] Kołysany grzmotem armat, śpi jak dziecko w kołysce. W najfatalniejszych minutach, gdy wszystko się rozstrzyga, zasypia, jakby odchodził dokądś i dla czegoś.

Na chwilę przed rozpoczęciem się bitwy pod Austerlitz zasnął tak głęboko, że „dobudzono się go z trudem". W zgiełku walki pod Wagram, w chwili, gdy wszystko ma się rozstrzygnąć, każe sobie na gołej ziemi rozesłać skórę niedźwiedzią, kładzie się i zasypia głębokim snem. Śpi jakie dwadzieścia minut, a gdy się budzi, wydaje rozkazy w dalszym ciągu, jakgdyby nie spał był wcale.[10] Podczas straszliwej ewakuacji Lipska, gdy cały front się załamuje, śpi on spokojnie w fotelu przez dwie godziny; dopiero wysadzenie mostu na Elsterze, odcinające odwrót i przypieczętowujące losy armji, budzi śpiącego.

Tak jest podczas wojny, tak też w czasie pokoju. Lubi on wstawać z łóżka i pracować, poczem znowuż układa się do snu. Genjuszem Napoleona, jego jasnowidzeniem, zdaje się być właśnie ta wąziutka przełęcz czuwania między dwiema przepaściami snu.

„Co mamy myśleć o śnie Napoleona, który trwa od vendemiare'a aż po Waterloo?" — pyta Leon Bloy. — „Przebudził się dopiero przed obliczem Boga". — „Najstraszliwsze ciosy losu, a nawet upadek, nie zdołały przebudzić go aż do ostatka. Na Świętej Helenie grąży się w swoim śnie dalej".[11] I umiera we śnie, czy też budzi się w śmierci.

„Pytał mnie, jaki rodzaj śmierci uważam za najlżejszy, i dodał, że śmierć przez zamarznięcie wydaje się mu najpiękniejsza, bo przy zamarzaniu umiera się we śnie — si muore dormendo" — opowiada lekarz O'Meara, pisząc o rozmowach swoich z Napoleonem na wyspie Świętej Heleny.[12] Tak też umarł we śnie i on, zamarzając pod lodowatem tchnieniem Przeznaczenia.

„Zataczał się statek na morzu burzliwem...
Na łaskę fal zdany leżałem półsenny:
Dwie fale bezmierne szalały w mej piersi,
Igrały ze sobą, bawiły się ze mną.
A skały nadmorskie huczały wokoło,
Wzdymały się wały i wyła wichura,
A dźwięków zamętem zgłuszony latałem,
Nad dźwięków zamętem się wznosił mój sen".[13]

Sen na morzu, na wodach mnogich. „Wody, które widziałeś, są narodami i zastępami, poganami i językami" — powiada Anioł Apokalipsy. Mnogie wody Zachodu to Atlantyk, w którym zginęła Atlantyda, w którym pogrążyło się słońce pierwszej ludzkości i słońce ostatniego człowieka z Atlantydy, Napoleona.

„Mój sen się unosił nad dźwięków chaosem,
Jaskrawy i chory, czarowny i niemy,
Kołysał się zwiewnie nad grzmiącą otchłanią,
W promieniach błyskawic budował swój świat,
Glob ziemi zieleniał i eter się jarzył..."

Eter się jarzył w świetle jaśniejszem, niż nasze; ziemia zieleniała barwami świeżemi — młodością świata pierwszego, przedpotopowego.

„Ogrody, błędniki, pałace, kolumny..."



MASKA POŚMIERTNA NAPOLEONA
(według stalorytu L. G. Sichlinga.)

Budownictwo starożytnych Atlantów.

„Przysłyszał się szelest bezmiernej gromady,
Widziałem bezliku nieznanych mi twarzy..."

Twarzy innej ludzkości.

„Widziałem cudowne zwierzęta i ptaki..."

Twory innego stworzenia.

„I dumny kroczyłem po szczytach stworzenia,
A świat nieruchomy tęczował barwami...
Przez sny i zwidzenia, jak krzyk czarodzieja,
Docierał zdaleka ryk morskiej otchłani..."

Istotą Atlantydy jest magja, podobnie jak jest ona istotą Napoleona: on sam wyzywa wizje marzeń swoich. Jest to sen całej ludzkości — początek i koniec dziejów świata: Atlantyda-Apokalipsa. I dlatego jak wielki magczarodziej tworzy on swoje marzenie:

„I w cichą krainę marzenia i snów
Z łoskotem waliły się fale burzliwe".

Wojny, zwycięstwa, wielkość, upadek, to strzępy fal, które wdzierają się w sen.

Jego sen jest proroczy. „Miał on rodzaj magnetycznego przewidywania swoich przyszłych losów — une sorte de prévision magnétique de ses futures destinées".[14] „Miałem wewnętrzne przeczucie tego, co mnie oczekiwało".[15] Ludzie są ślepi wobec swej przyszłości, on jest widzący: wie, przypomina ją sobie tak samo, jak przeszłość. „Wzrok jest średnią proporcjonalną między dotykiem a przeczuciem" — określa on swoje niejasne wyczucia z właściwą sobie matematyczną dokładnością. — „Ręka powiada oku: jak możesz widzieć na odległość dwóch mil, jeśli ja nie mogę czuć dalej, niż na odległość dwóch kroków? Oko mówi do przeczucia: jak możesz spoglądać w przyszłość, eśli ja mogę widzieć tylko na odległość dwóch mil?"[16]

W najszczęśliwszej chwili życia w roku 1800, po Marengo, powiada: „Nie spotkało mnie nigdy nic takiego, czego nie byłbym przewidział, i tylko ja jeden nie zdumiewałem się tem, czego dokonałem. Ja wszystko odgaduję i w przyszłości osiągnę swój cel".[17] Jeśli celem jego było panowanie nad świa-

tem, to go nie osiągnął. Droga jest jasna, cel jest ciemny; wie on, co i jak zrobić trzeba, ale nie wie, dlaczego. "Czuję, iż party jestem ku celowi, którego sam nie znam — Je me sens poussé vers un but que je ne connais pas".[18] „Jakże nie wierzyć w pewien rodzaj predestynacji, gdy się widzi, że zdarzenia, które tworzyły dlań zaporę i oddalały go od celu, ostatecznie miały dlań następstwa jak najlepsze? Czyliż nie jest on podobny do człowieka, którego niepokonalna siła prowadzi za rękę niby ślepca?"[19] Ślepy jasnowidz jest „przez los powołany do wykonania niewiadomego rozkazu".

Przed bitwą pod Waterloo Napoleon w towarzystwie tylko dyżurnego adjutanta generalnego szedł wczesnym rankiem brzegiem Sambry i zbliżył się do ognia biwakowego, nad którym wisiał kocieł z gotującemi się kartoflami. „Kazał sobie dać kartofli i jadł w zamyśleniu. Gdy dojadł, rzucił z dostrzegalnym smutkiem kilka słów bez żadnego związku: — To niezłe... tem można się żywić zawsze i wszędzie... Może już niedaleka chwila... Temistokles... — Adjutant generalny, który powtórzył mi te słowa — opowiada Las Cases — dodał, że gdyby cesarz był zwyciężył pod Waterloo, to on byłby o nich na zawsze zapomniał, jak o wielu innych, a w pamięci jego nie byłyby one pozostawiły najmniejszego śladu, ale po katastrofie, osobliwie zaś, gdy w głośnym liście Napoleona do angielskiego księcia-regenta wyczytał słowo Temistokles, przypomniał sobie, głęboko wzruszony, biwak nad Sambrą, a wyraz twarzy, postawa i głos cesarza dręczyły go przez długi czas i nie dawały się wyprzeć z pamięci".[20]

„Wasza Królewska Wysokości, przybywam do niego, aby zasiąść przy ognisku narodu angielskiego, jak Temistokles. Udaję się pod opiekę jego praw i proszę o nią Waszą Królewską Wysokość jako najpotężniejszego, najwytrwalszego i najwielkoduszniejszego z moich wrogów" — pisał Napoleon z Rochefort do angielskiego księcia-regenta.[21]

A więc już w przededniu Waterloo wiedział, co uczyni w Rochefort.

Ale daleko bardziej zdumiewa fakt, że wiedział on o tem już przed dwudziestu ośmiu laty. Mniej więcej w roku 1787 pisze siedemnastoletni Bonaparte w swoim kajecie szkolnym dzieje austrjackiego awanturnika, barona Neuhofa, który w roku 1737 ogłosił się królem Korsyki jako Teodor I, a schwytany przez Anglików i wtrącony do londyńskiego więzienia Tower, dopiero po wielu latach wypuszczony został przez lorda Walpole'a. „O, niesprawiedliwi ludzie! Chciałem lud swój uszczęśliwić i na chwilę mi się to udało, ale los mnie zdradził, jestem w więzieniu, a wy pogardzacie mną" — pisał Teodor do Walpole'a, a ten mu odpowiedział: „Pan cierpi, jest pan nieszczęśliwy: to wystarczy, aby mieć prawo do współczucia Anglików". — „Swoje romantyczne i rycerskie mniemanie o was opłaciłem bardzo drogo, panowie An-

glicy!" — kończy Napoleon na wyspie Św. Heleny swoje niedokończone opowiadanie o korsykańskim uzurpatorze i angielskim więźniu.[22]

W tym samym kajecie robi sobie notatki o posiadłościach angielskich w Afryce według „Géographie Moderne", starego podręcznika abbégo Lacroix, i swoim ówczesnym charakterem, zwięzłym i wytwornym, przypominającym pismo kobiece, wypisuje cztery słowa:

„Ste Hélène petite isle...
Św. Helena, mała wysepka..."

Za tym napisem idzie pusta stronica: zaczął pisać, ale nie dokończył, jakby rękę jego ktoś był zatrzymał.[23]

„Czy pan fatalista?" — „Oczywiście! Taki jak Turcy. Zawsze byłem fatalistą. Gdy los się czego domaga, to trzeba go słuchać". — „Los jest nieustępliwy. Trzeba ulegać swej gwieździe".[24] Nawet jako umierający nie chce przyjmować lekarstw. „Co w gwiazdach napisane, to napisane... Nasze dni są policzone" — rzekł, spoglądając ku niebu.[25]

„Nieba prorocze znaki powtarza ziemia,
Ziemi prorocze znaki powtarza niebo".

Ten staro-babiloński napis klinowy byłby on zrozumiał.

Fatalizm, religję losów gwiezdnych, przejął dzisiejszy Wschód od starożytnego Babilonu, on zaś otrzymał ją od czasów jeszcze starszych, dla nas niedostępnych, być może przedhistorycznych, które u Platona nazywają się Atlantydą, a w Genesis ludzkością przedpotopową. Gwiaździstemi więzami związany jest Napoleon z owemi zamierzchłemi czasami. Możnaby o nim, ostatnim bohaterze ludzkości, powiedzieć to samo, co zostało powiedziane o jej pierwszym bohaterze Gilgameszu:

„Przyniósł nam wieści z prastarych czasów".

Człowiekiem przeznaczenia — „l'homme du destin" — nazwał go austrjacki marszałek polny Melas po bitwie pod Marengo. Jest to jeden z tych głębokich komunałów, które stają się mądrością powszechną.

„Ma na sobie trójgraniasty kapelusz
I prosty mundur żołnierski",

a nadto imię: „Człowiek przeznaczenia".

Przeznaczenie nie jest dla niego pojęciem oderwanem, ale istotą żywą, która oddziaływa na każdą jego myśl, na każde uczucie, słowo, czyn, tętno serca. Żyje on w przeznaczeniu, jak my żyjemy w czasie i przestrzeni.

Bezpośrednio po wybuchu maszyny piekielnej na rue Nicaise ukazuje się Pierwszy Konsul w Operze i na oklaski dwutysięcznego tłumu odpowiada ukłonem i spokojnym uśmiechem; tłum nie wie jeszcze nic o zamachu, a z wyrazu jego twarzy nikt nie byłby się mógł domyślić, że przed kilku minutami znajdował się on o włos od śmierci.[26] Nie jest to nieustraszoność w naszem ludzkiem znaczeniu słowa, nie jest to zwycięstwo nad strachem, ale prosta niezdolność odczuwania strachu. Wie on, że los nosi go na rękach, jak matka nosi dziecko. „Aniołom swoim przykaże nosić cię na rękach, abyś nie uraził nogi swej o kamień". Wie on o tem, lub o czemś do tego podobnem, ale nie wie, że dla szatana może się stać narzędziem do kuszenia go: „Jeśli jesteś Synem Bożym, to rzuć się nadół".

Anioł przeznaczenia albo szatan przypadku noszą go do czasu wyznaczonego, a całe jego życie ówczesne podobne jest do nieprzerwanego lotu cudownego. „Jaki szczęśliwy byłem wtedy!" — woła, wspominając swoją pierwszą wyprawę włoską. — „Zgóry wyczuwałem wtedy, czem jeszcze stać się mogę. Ziemia znikała pod mojemi stopami; zdawało mi się, że się unoszę w powietrzu".[27]

Ten lot cudowny trwał aż do wyprawy na Rosję. „Obawialiście się, że mogę polec na wojnie?" — pyta na krótko przed wybuchem wojny. — „Tak samo straszono mnie w czasach sprzysiężeń Georgem:* ten łotr miał mi podobno deptać po piętach i chciał mnie zastrzelić. Ale zdołał zrobić tylko tyle, że zabił mego adjutanta. Zabić mnie było wtedy niemożliwością. Czyliż bowiem wypełniłem już wolę przeznaczenia? Czuję się party ku celowi, którego sam nie znam. Gdy cel ten osiągnę i stanę się zbędny, dość będzie atomu, aby mnie zniweczyć, ale do tego czasu wszystkie potęgi ludzkie nie zdołają mi nic zrobić, czy to w Paryżu, czy w armji. Lecz gdy nadejdzie moja godzina, to jakaś gorączka, upadek z konia na polowaniu, zabije mnie tak samo, jak żołnierza zabija kula. Dni nasze zapisane są w gwiazdach".[28]

W tym czasie przed wyprawą rosyjską, między nim a wujem jego kardynałem Feschem, doszło do namiętnej dyskusji na temat spraw kościelnych. Gdy kardynał go prosił, aby nie powstawał przeciwko Bogu — ma przecie dość ludzi — Napoleon słuchał go, milcząc, ale nagle ujął go za rękę, pociągnął go ku drzwiom i wyprowadził na balkon. Dzień był zimowy; przez bezlistne drzewa parku w Fontainebleau przebłyskiwało szaro-blade niebo grudniowe. „Popatrz na niebo. Co na niem widzisz?" — pytał Napoleon. —

* George Cadoudal, rojalistyczny spiskowiec (1804).

„Nie widzę nic“ — odpowiedział Fesch. — „Popatrz uważnie. Widzisz?“ — „Nie, nic nie widzę“. — „W takim razie nic nie mów i słuchaj mnie. Ja widzę swoją Gwiazdę. Ona mnie prowadzi!“[29]

Fesch nie zrozumiał, że wielką gwiazdą Napoleona było słońce.

Jeśli w życiu jego była taka chwila, gdy czuł, że noszące go ręce nagle usuwają się z pod niego, to chwili takiej należy szukać wtedy, gdy znajdował się u szczytu potęgi i gdy lot jego sięgał zenitu. W wigilję Austerlitzu, gdy już wiedział, że słońce „wzejdzie promienne“, zaczął mówić o starogreckiej tragedji i rzekł: „W naszych czasach, gdy już niema religji pogańskiej, tragedji potrzebne są nowe bodźce. Polityka, oto jej wielka dźwignia, która winna jej zastąpić starożytne przeznaczenie!“[30] Aby przeznaczenie zastąpić ludzką wolą, człowiek musi zbuntować się przeciwko losowi. Ledwo że myśl ta zrodziła się w Napoleonie, natychmiast zaczęło się jego padanie: los wznosił go, dopóki był on pokorny, — gdy się zbuntował, strącił go.

Bodaj, że po raz pierwszy poczuł wyraźnie, że się już nie wznosi, ale pada, przed samym początkiem wyprawy rosyjskiej. „Całemi godzinami, leżąc na sofie, grążył się w głębokiej zadumie. Nagle zrywał się z krzykiem: Kto mnie woła? — i zaczynał chodzić po pokoju od kąta do kąta, mówiąc półgłosem do siebie: Nie, jeszcze za wcześnie, nie gotowe... Trzeba odłożyć na jakie trzy lata...“[31] Ale wiedział, że nie odłoży, lecz że, porwany losem, wyruszy niebawem.

„W wyprawie rosyjskiej spotkałem się z niepowodzeniem. Co mnie zniweczyło? Ludzie?... Nie, fatalne przypadki... Ja nie chciałem wojny i Aleksander także nie; ale spotkaliśmy się, okoliczności rzuciły nas przeciwko sobie, a los dokonał reszty“. Rzekł to na Św. Helenie, ale „po chwili głębokiego milczenia, mówił, jakby się ze snu budził“ o różnych drobiazgach, o zdradzie Bernadottego, która miała być najważniejszą przyczyną jego upadku. We śnie jest widzący, w czuwaniu jest ślepy.[32]

Od Moskwy ku Lipskowi wyczuwa niewierność losu coraz wyraźniej. „Męka moja polegała na tem, że wiedziałem, czem to się skończy; gwiazda moja bladła, lejce wymykały mi się z rąk i już nic zrobić nie mogłem“.[33] Znajdował się jakby we śnie letargicznym; widział, słyszał, wiedział wszystko— ale zbudzić się nie mógł.

„Był taki wyczerpany (pod Lipskiem), taki zmęczony, że, siedząc w fotelu z nogami wspartemi na stole, częstokroć pogwizdywał tylko, gdy zwracano się do niego po rozkazy“.[34] Może nawet nie był wyczerpany, może zajmowało go co innego; rozmyślał o innych sprawach, przytłaczało go inne brzemię i wsłuchiwał się w inne głosy przeznaczenia. „Kto mnie woła?“ Dopiero teraz, po dwudziestu siedmiu latach zapisał ową pustą stronicę, którą zaczął pisać słowy: „Św. Helena, mała wysepka...“

„Cudowność w mojem przeznaczeniu zaczęła zanikać. To już nie było to dawne, niezmienne szczęście, które obsypywało mnie swemi darami, ale surowe przeznaczenie, któremu wydzierałem je jakby przemocą, a ono natychmiast mściło się za to na mnie. Przeszedłem przez Francję (wracając z Elby); do stolicy zostałem wniesiony na ramionach obywateli śród wybuchów powszechnego entuzjazmu, ale zaledwie w nią wkroczyłem, gdy wnetże, jakby przez działanie czarów, wszystko odwróciło się ode mnie, stało się chłodne dla mnie". Wyczerpała się magja, magnes stracił swą siłę.

„Wreszcie zwyciężam pod Waterloo i w tejże chwili padam w przepaść. I rzec muszę, że wszystkie te ciosy bardziej mnie zabijały, niż zadziwiały. Instynkt podpowiadał mi, że koniec będzie nieszczęsny; nie wpływało to bynajmniej na moje decyzje i czyny, ale miałem wewnętrzne wyczucie tego, co mnie oczekuje".[35] „Nigdy nie spotkało mnie nic takiego, czego nie byłbym przewidział". Przewiduje wszystko, bo sam jest tym czarodziejem, który wywołuje wizje swoich snów.

„Przez sny i zwidzenia, jak krzyk czarodzieja,
Docierał zdaleka ryk morskiej otchłani..."

„Powinienem był umrzeć pod Waterloo" — powiada na Św. Helenie z zupełną pogodą, a nawet wesoło. — „Ale w tem właśnie nieszczęście, że śmierci nie znajduje się wtedy, gdy się jej szuka. Obok mnie, przede mną, za mną, wszędzie padali ludzie, ale dla mnie nie znalazła się ani jedna kula".[36]

„Padnie po boku twym tysiąc, a dziesięć tysięcy po prawicy twojej, ale się do ciebie nie przybliży". (Psalm 91). Ta niezranioność, która niegdyś była jego błogosławieństwem, staje się teraz przekleństwem dla niego.

„Pod groźnym pancerzem nie poznasz ty rany,
W opiekę duchowi czujnemu oddany".

„Sądzę, iż trzeba to przypisać mej gwieździe, że wpadłem w ręce Anglików i Hudsona Lowe'a".[37] Ku temu wiódł go tedy jego niewidzialny duch opiekuńczy.

„Straszliwa maczuga, którą tylko on mógł podźwignąć, spadła na jego własną głowę".[38] I zdaje się, że dzięki swej wiedzy wspominającej zawsze o tem wiedział, iż tak właśnie będzie i — aż dziwno powiedzieć, zdaje się, że on sam zmierzał ku temu. O, naturalnie — nieświadomie, tak, jak człowiek, który, patrząc w przepaść, czuje pragnienie rzucenia się w nią!

„Gdy mój rydwan polityczny pędzi, to musi mieć drogę wolną, i biada temu, kto wpadnie pod jego koła!"[39] On sam wpadł pod nie. Czy też zrozumiał wtedy

„...olbrzymich kół obroty,
Które, gdy gwiazdy są łaskawe, wiodą
Wiernie człowieka ku jego celowi"?[40]

Czy zrozumiał, w jakim rydwanie i ku jakiemu pędził celowi, gdy na niebie widział południową konstelację Krzyża?

Ofiara zostaje uwieńczona i spętana, gdy ją wiodą ku ołtarzowi ofiarnemu. Czy zrozumiał, że przeznaczenie uwieńczyło go i spętało niby ofiarę?

„Nigdy nie byłem panem własnych swoich dążeń; nigdy naprawdę nie byłem samym sobą... Kierowały mną zawsze okoliczności, a mianowicie w mierze tak znacznej, że na początku mego wywyższenia, podczas Konsulatu, gdy przez najbliższych moich przyjaciół, najszczerszych zwolenników, zapytywany byłem, jakie mam zamiary i do czego zmierzam, — pytali w najlepszych intencjach, gdyż pragnęli wiedzieć, co czynić mają, — za każdym razem odpowiedzieć musiałem, że sam nie wiem. Byli zdziwieni, może brali mi to za złe, a tymczasem mówiłem im szczerą prawdę... A później, za Cesarstwa, na wielu twarzach czytałem to samo nieme pytanie i byłbym musiał odpowiedzieć na nie tak samo. A to dlatego, że nie byłem panem swoich czynów; nie byłem taki głupi, abym usiłował podporządkować okoliczności swemu systematowi, przeciwnie, przystosowywałem się do nich. Dawało mi to niekiedy pozory niestałości i niekonsekwencji, które mi też zarzucano. Ale czy słusznie?"[41]

„Czego chcę i dokąd zmierzam, tego sam nie wiem". Dziwne wyznanie w ustach Napoleona, najmądrzejszego człowieka świata. Ma się wrażenie, jakby powtarzał wiekuiste słowa Goethego, powiedziane o nim: „Napoleon żył całkowicie w idei, ale świadomością ująć jej nie potrafił..." — „To przekracza moje rozumienie! — Cela me passe!" — jak się wyraził po zamachu Fryderyka Stapsa. „Czyliż nie przypomina on człowieka, którego nieprzezwyciężona siła prowadzi za rękę, jak ślepca?"

A oto jeszcze dziwniejsze wyznanie: „Nie mam woli. Im większy jest człowiek, tem mniej potrzebuje woli; zależy on zupełnie i wyłącznie od wydarzeń i okoliczności. — Plus on est grand, et moins on doit avoir de volonté".[42] Napoleon, człowiek o bezgranicznej sile woli, nie ma woli! Wielkość bohatera, swoją własną wielkość, mierzy on stopniem wyzbycia się woli. Domniemany władca świata jest w istocie jego niewolnikiem. „Powiadam wam, że niema niewolnika większego ode mnie. Moją nieubłaganą władczynią jest natura rzeczy". Mówi on prosto i kornie: natura rzeczy, okoliczności, aby nie brać nadaremno straszliwego słowa: Przeznaczenie.

Wyrzeczenie, pokora, rezygnacja, ofiarność — wszystko to, co pozornie jest mu tak obce, tworzy jego istotę. „Nie moja, ale Twoja wola niech się

stanie!" — tego nie może powiedzieć Ojcu jako syn, bo ani Ojca, ani Syna nie zna, ale w pokorze jego przed nieznanem bóstwem o osłoniętem obliczu cień Syna zdaje się padać na niego.

„Człowiek pijany Bogiem" — powiedział ktoś o Spinozie; o Napoleonie możnaby powiedzieć: „Człowiek pijany Przeznaczeniem".

„Bóg mi ją dał; biada temu, kto jej dotknie! — Dieu me l'a donnée; gare à qui la touche!" — zawołał, koronując się w Medjolanie żelazną koroną królów lombardzkich. O Bogu wspomniał gwoli innym, sobie byłby mógł powiedzieć: „Los mi ją dał!"

Dlatego na twarzy jego widzimy wyraz smutku, a raczej to, co głębsze jest od ludzkiego smutku — zadumę, jakiej się u ludzi nie spotyka. Przez Przeznaczenie jest on napiętnowany, przez nie poświęcony.

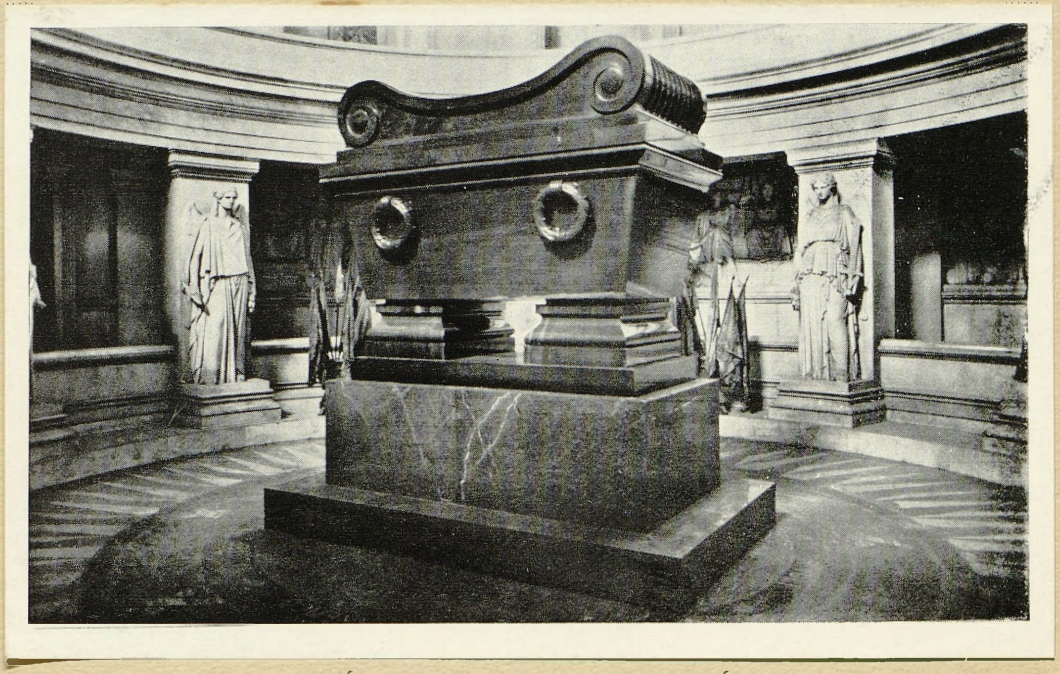
„Gdy po raz pierwszy ujrzałem Napoleona w posępnych komnatach Tuilerjów — opowiada Roederer — rzekłem do niego: — Jak tu smutno, generale! — Tak, smutno, jak dokoła wielkości! — odpowiedział".[43] „Ma on w sobie zawsze coś melancholijnego, nawet na wojnie i w odezwach do wojska".[44] „Przy największych wysiłkach w pracy nie opuszcza go zaduma, która niczem nie daje się zaspokoić, niczem zagłuszyć.

„W chwilach szczerości przyznawał się, że w przeciwieństwie do swoich towarzyszy we wszystkich sytuacjach życiowych zawsze był smutny".[45] „Nie jestem stworzony dla uciech" — mawiał tonem melancholijnym.[46] „Ludzie sprzykrzyli mi się, oznaki czci nudzą mnie, serce moje wyschło, sława wydaje mi się pusta. Mając lat dwadzieścia dziewięć, skosztowałem wszystkiego" — pisze on w najszczęśliwszym okresie życia, podczas wyprawy egipskiej. To już jest „ból świata". Bodaj-że on pierwszy otworzył drzwi, wiodące w tę piekielną noc, i chłód przestworów kosmicznych wtargnął do izby.

„Na świecie brata nie zostawię,
A dusza moja jest zmęczona
Chłodem istnienia i mrokami,
Jak płód przedwczesny, co usycha
W okrutnych wichrach przeznaczenia,
W spiekocie bytu przeraźliwej".[47]

Napoleon uśmiecha się albo chichocze, ale nie śmieje się nigdy.[48] „Kto zajrzał w proroczą bezdeń Trofoniosa, ten nigdy więcej się nie śmieje" — mówili starożytni.

„Zawsze samotny śród ludzi, powracam do domu, aby sam na sam marzyć i oddawać się melancholji. O czem to dzisiaj śnić będę? O śmierci" — pisze siedemnastoletni podporucznik Bonaparte w dzienniku, siedząc w ubo-



GRÓB NAPOLEONA U INWALIDÓW.

giej izdebce koszar w Auxonne. A u szczytu swej potęgi cesarz nosi na piersi flakonik z trucizną. Myśl o samobójstwie towarzyszyła mu przez całe życie, aczkolwiek wiedział, pamiętał, że nie pozbawi się życia. A myśl ta nawiedza go nie w postaci niepowodzeń, ale przychodzi do niego dlatego, że jest on zmęczony letargicznym snem życia i pragnie się wreszcie przebudzić, choćby to przebudzenie było śmiercią.

„Twój niespokojny duch wiecznie szuka burz" — mówi do niego Józefina. — „Potężny wolą, słaby w szczęściu, tylko samego siebie nigdy zwyciężyć nie zdołasz".[49]

„Czemuś potępił Gilgamesza, aby nie zaznał pokoju,
Czemuś mu serce dał niespokojne?"

Tak skarży się matka bohatera przed bogiem. I Napoleon, podobnie jak Gilgamesz, jest „przyjacielem smutku".

„Od ciebie pragnę życie otrzymać;
Dla niego puszcze przewędrowałem,
Głębokie morza i mnogie rzeki,
I te ponure górskie wąwozy.
Już mnie strudziły moje niedole
I rysy twarzy mojej skaziły..."

Tę staro-babilońską modlitwę do bogini Isztar byłby i on mógł powtórzyć. A droga Gilgamesza-Napoleona po dzień dzisiejszy nie jest przebyta: wiecznie się smucąc i wzdychając, wędruje on i wędruje, jakby niezmożoną siłą gnany, a przystanąć nie może, jak Ahaswer i Kain. Droga jego — to droga całej ludzkości.

Wędruje nie z własnej woli: ktoś rzucił go w przestrzeń, jak się kamień rzuca. „Jestem odłamkiem skały rzuconej w przestrzeń — Je suis une parcelle du rocher lancée dans l'espace".[50] Na ziemi kontynuuje on tylko ową nieskończoną przypowieść, zaczętą w nieznanych przestworach, z których został wyrzucony, a naszą ziemską strefę przelatuje jak meteor.

Dnia 8 sierpnia 1769 roku, na siedem dni przed urodzeniem Napoleona, ukazała się kometa, obserwowana przez astronoma Missiera z obserwatorjum paryskiego. Ogon tej komety, promieniujący cudownym blaskiem, osiągnął we wrześniu długość sześćdziesięciu stopni i powoli zbliżał się do słońca, aż wreszcie znikł w jego promieniach, jakgdyby kometa stała się sama słońcem — wielką gwiazdą Napoleona.

A w pierwszych dniach lutego 1821 roku, na trzy miesiące przed jego

śmiercią, nad Św. Heleną ukazała się znowuż kometa. „W Paryżu widziano ją 11 stycznia“ — pisze astronom Faye. W lutym stała się ona widzialna dla gołego oka, a jej ogon osiągnął długość siedmiu stopni. Obserwowano ją w całej Europie, a od 21 kwietnia do 5 maja widziano ją także w Valparaiso. A więc widziano ją na obu półkulach nieba, na całym Atlantyku, czyli na szlaku ostatniej podróży Napoleona.

„Służący jego zapewniają, że widzieli kometę od wschodu — pisze dr. Antommarchi dnia 2 kwietnia 1821 roku w swoim dzienniku. — Wszedłem do jego pokoju w chwili, gdy wiadomością o komecie był bardzo wzburzony.— Kometa! — wołał podniecony. — Kometa zapowiedziała śmierć Cezara. Zapowiada ona także śmierć moją!“[51] „Dnia 5 maja (dzień śmierci Napoleona)— komunikuje astronom Faye — można było z wyspy Św. Heleny przez teleskop obserwować, jak kometa coraz bardziej oddalała się od ziemi i wreszcie znikła w przestworze“.

„Nieszczęsny! Żal mi go!“ — pisał nieznany jeszcze nikomu porucznik artylerji Bonaparte w roku 1791 o człowieku genjalnym — o samym sobie. „Dla równych sobie będzie on przedmiotem zdumienia i zawiści, a będzie najbiedniejszy ze wszystkich — le plus misérable de tous... — Genjusze to meteory; muszą się spalać, aby oświecać swój wiek“.[52]

Spalić się, umrzeć, stać się ofiarą — oto jego przeznaczenie. Wie o tem już w zaraniu życia, a jeszcze lepiej wie o tem pod koniec życia na wyspie Św. Heleny, pod konstelacją Krzyża. „Chrystus nie byłby Bogiem, gdyby nie był umarł na krzyżu“. Ale ta wiedza jest dla niego ciemna, jak dla ślepca słońce: blasku słońca ślepiec nie widzi, czuje tylko jego ciepło. Podobnież Napoleon.

Na wyspie Gorgonie złożył ofiarę słonecznemu bogu Molochowi, zaś na wyspie Św. Heleny ofiarowuje samego siebie. Komu się ofiarowuje, tego nie wie: sądzi, że Przeznaczeniu.

Gwiazda jego zbladła w słońcu. Co to za słońce, tego również nie wie i znowuż myśli, że to Przeznaczenie.

Starożytni przeznaczeniem nazywali to, co my nazywamy prawem natury, koniecznością. Istotą jednego i drugiego jest śmierć, zagłada osobowości, bo prawo natury jest tak samo bezosobowe jak przeznaczenie. Musieliśmy wybierać albo śmierć, albo życie, albo łagodne brzemię Syna, albo żelazne brzemię Losu. Wybraliśmy brzemię Losu i padamy jego ofiarą, jak nasz bohater Napoleon, największy i „najnędzniejszy“ z nas wszystkich.

Jego sen proroczy przypomina sen Jakóba. „A Jakób pozostał sam. A oto biedził się z nim mąż aż do wejścia zorzy; który widząc, że go nie mógł przemoc, rzekł mu: — Puść mnie, bo już wschodzi zorza. — A on mu odpowiedział: — Nie puszczę cię, aż mi pobłogosławisz!“ Jakób walczy z Bogiem,

a Napoleon z Synem Bożym. Napoleon-człowiek walczy z Nim tak, jak z Nim walczy cała ludzkość, która wyrzekła się Chrystusa.

„Czy chrześcijaństwo osiągnęło swój cel?“ Pytanie takie jest bezbożne. Należałoby zapytać: Czy nasza europejska ludzkość jest naprawdę chrześcijańska? Czy w Chrystusie uratuje się ona, czy też bez niego zginie, jako Atlantyda wtóra? Takie to pytanie zadał nam człowiek z Atlantydy — Napoleon.

Jest on ostatnim bohaterem Zachodu.

„Idąc na zachód słońca
I widząc zmierzch wieczorny,
Chwalimy Ojca, Syna i Ducha, Boga!“

Tak śpiewali chrześcijanie wieku pierwszego. My już nikomu nie śpiewamy, patrząc w wieczorny zmierzch zachodu, w którym jarzy się blask chwały naszego ostatniego bohatera. Wieczorne słońce stoi za nim: dlatego twarz jego jest taka ciemna, taka niewidzialna, nam wszystkim taka nieznana, a w miarę jak światło gaśnie, twarz ta staje się coraz ciemniejsza, coraz bardziej obca. Być może wszakże, iż nie nadarmo zwrócona ona jest ku wschodowi: wschodzące słońce Syna oświeci ją pierwszym swoim promieniem, a wtedy ujrzymy go i poznamy.

Zaiste, dopiero wówczas, gdy ludzie zrozumieją, czem jest Syn Człowieczy, poznają także, czem jest Napoleon-Człowiek.

KONIEC

LITERATURA

Abell = Mrs. Abell (Elizabeth Balcombe), Recollections of the Emperor Napoleon. 1844.
Abrantès, Mémoires. 1825.
Antommarchi, Mémoires. 2 tomy. 1825.
Bertaut, J. Napoléon Bonaparte. Virilités.
Bloy, Léon, L'âme de Napoléon. 1920.
Bourrienne, Mémoires. 10 tomów. 1829.
Chuquet, Jeunesse de Napoléon. 3 tomy. 1897—99.
Constant, Louis, Mémoires sur la vie privée de Napoléon. 1894.
Fain, Mémoires. 1908.
Fournier, Napoléon I. 3 tomy. 1886—89.
Gourgaud, St. Hélène. Journal inédit. 1899.
Holland, Lord, Foreign reminiscences. Wydanie francuskie. 1862
Houssaye, 1814. 1883.
„ 1815. 3 tomy. 1892—1905.
Lacour-Gayet, Napoléon. 1921.
Lacroix, Histoire de Napoléon. 1902.
Lévy, Arthur, Napoléon intime. 1893.
Macdonald, Souvenirs. 1892.
Marbot, Mémoires. 1891.
Marmont, Mémoires. 9 tomów. 1856—57.
Masson, Fam. = Napoléon et sa famille. 13 tomów. 1897—1919.
„ Femmes = Napoléon et les femmes. 1894.
„ Fils = Napoléon et son fils. 1904.
„ Jeun. = Napoléon dans sa jeunesse. 1907.
„ Jos. = Joséphine répudiée. 1901.
„ Man. = Napoleon, Manuscrits inédits. 1907.
„ Sacre = Le sacre et le couronnement de Napoléon. 1908.
„ St. H. = Napoléon á St. Hélène. 1912.
Mémor. = Las Cases, Mémorial de Ste. Hélène. 8 tomów. 1823.
Miot de Melito, Comte, Mémoires. 1858.
O'Meara, Napoléon en exile. 2 tomy. 1822.
Pasquier, Histoire de mon temps. 6 tomów. 1893—95.
Pelet de la Lozère, Opinions de Napoléon sur divers sujets. 1833.
Pradt, Abbé de, Histoire de l'ambassade dans le Grand Duché de Varsovie 1812. 1815.
Rapp, Mémoires. 1823.
Rémusat, Madame de, Mémoires. 3 tomy. 1879—80.
Roederer, Notes inédites. 1825.
Ségur, Histoire de Napoléon et de la grande armée. 1824.
Staël, Madame de, Mèm. = Mémoires (Dix annés d'exil). 1821.
„ Cons. = Considérations sur les principaux événements de la Révolution française. 3 tomy. 1818.

Stendhal, Vie = La Vie de Napoléon. 1843.
„ Rouge = Le rouge et le noir.
Taine, Les origines de la France contemporaine IX. Le Régime moderne. 1890—94.
Thibaudeau, Histoire générale de Napoléon Bonaparte. 5 tomów. 1827.
Thiébault, Mémoires. 3 tomy. 1893—95.
Vandal, Av. = Avènement de Bonaparte. 2 tomy. 1902—07.
„ N. et A. = Napoléon et Alexandre I. 3 tomy. 1891—96.

CYTATY

I. ŻYCIE NAPOLEONA

ZARANIE.

I. Dzieciństwo. 1769—1779.

1. Thibaudeau 168
2. Mémor. 83
3. Chuquet I. 40
4. Taine 26
5. Antommarchi I. 120
   Mémor. I. 82
6. Chuquet I. 44
7. Taine 9
8. Lacour-Gayet 283
9. Bertaut 52
10. O'Meara II. 184
11. Lacour-Gayet 286
    Chuquet I. 47
12. Mémor. II. 335
13. Mémor. II. 362
14. Antommarchi I. 269
15. Antommarchi I. 213
16. Chuquet I. 51
17. Mémor. II. 360
18. Maupassant
19. Antommarchi I.273
20. Mémor. I. 94
21. Lacour-Gayet 271
22. Chuquet I. 52
23. Antommarchi I. 273
24. Stendhal, Rouge 16
25. Roederer 165
26. Chuquet I. 77/78
27. Constant IV. 245
28. Bourrienne IV. 389

II. Szkoła. 1779—1785.

1. Chuquet I. 79.
2. Bourrienne II. 21
3. Chuquet I. 117
4. Mémor. III. 246
5. Rémusat I. 267
6. Chuquet I. 118
7. Masson, Man. 552
8. Masson, Man. 381
9. Stendhal, Rouge 72
10. Rémusat I. 267
11. Chuquet I. 129
12. Masson, Man. 5
13. Masson, Man. 569
14. Masson, Jeun. 83/85
15. Bourrienne I. 24
    Masson, Jeun. 88
16. Lacour-Gayet 240
17. Masson, Jeun. 89
18. Lévy, 33
19. Chuquet I. 210
20. Rémusat I. 231
21. Chuquet I. 262
22. Lacour-Gayet 6
23. Miot de Melito II. 274
24. Lévy 34/35
25. Masson, Fam. I. 114
26. Lacour-Gayet 336

III. Porucznik artylerji. 1785—1792.

1. Lacour-Gayet I. 7
2. Lévy 43
3. Lévy 45
4. Abrantès, I. 15
5. Masson, Man. 523/529
6. Mémor. I. 102
7. Masson. Man. 5/6
8. Masson, Man. I
9. Lacroix 75
10. Chuquet II. 22
11. Masson, Man. 394
12. Chuquet II. 94/96
13. Masson, Man. 562
14. Masson, Fam. I. 46
15. Masson, Man. 127
16. Masson, Man. 141
17. Masson, Man. 213
18. Masson, Man. 567
19. Bourrienne IV 389
20. Chuquet II. 293/294
21. Chuquet II. 290/291
22. Chuquet II. 294
23. Chuquet III. 11
24. Chuquet III. 10
25. Lévy 51
26. Masson, Jeun. 313/314
27. Chuquet III. 20
28. Lacour-Gayet 18
29. Masson, Fam. I. 66
30. Chuquet III. 115
31. Chuquet III. 126
32. Chuquet III. 144
33. Chuquet III. 145
34. Lacroix 105
35. Chuquet III. 163
36. Chuquet III. 166
37. Masson, Fam. I. 356
38. Mémor. I. 111

IV. Tulon. 1793—1794.

1. Gourgaud II. 424
2. Mémor. I. 114
3. Chuquet III. 193
4. Mémor. I. 115
5. Mémor. I. 117/118
6. Mémor. I. 118
7. Antommarchi I. 216
8. Chuquet III. 216/218
9. Chuquet III. 221

V. Vendémiaire. 1794—1795.

1. Mémor. I. 120.
2. Chuquet III. 230
3. Lacroix 133

4. Stendhal, Vie 81/83
5. Masson, Fam. I. 114
6. Stendhal, Vie 73/75
7. Lévy 457
8. Mémor. I. 452
9. Thiébault I. 533
10. Mémor. I. 453
11. Thiébault I. 534/537
    Pasquier I. 123
    Stendhal, Vie 96/98
    Marmont I. 84
    Ségur. I. 163/167
12. Masson, Fam. I. 126
13. Lacour-Gayet 340
14. Stendhal. Vie 112
15. O'Meara I. p. 210
16. Constant I. p. 279
17. Mémor. II. 326
18. Lacour-Gayet 340
19. Masson, Mad. 14 (Mme Bonaparte)
20. Lacour-Gayet 344
21. Masson, Mad. 132
22. Gourgaud II. 8
23. Holland 200
24. Lévy 102

WSCHODZĄCE SŁOŃCE

I. Włochy. 1796—1797.

1. Gourgaud II. 54
2. Roederer 278
3. Mémor. I. 129
4. Stendhal, Vie 127
5. Lacourt-Gayet 31
6. Lacroix 165
7. Stendhal, Vie 248
8. Ségur I. 194
9. Stendhal, Vie 195
10. Lacroix 170
11. Ségur I. 232
12. Stendhal 127
13. Tiutczew. Burza wiosenna.
14. Lacroix 170
15. Lacour-Gayet 33
16. Lacour-Gayet 33
17. Antommarchi I. 38
18. Lacour-Gayet 40
19. Metternich I. 147
    Taine 141
20. Bertaut 181
21. Mémor. I. 120
22. Mémor. IV. 144
23. Ségur I. 317
24. Ségur I. 323
25. Lacour-Gayet 33
26. Stendhal, Vie 279
27. Stendhal, Vie 280
28. Lacour-Gayet 146
29. Abrantès I. 15
30. Lacour-Gayet 56
31. Lacour-Gayet 51
32. Bourrienne I. 230

II. Egipt. 1798—1799.

1. Marmont I. 356
2. Vandal, Av. I. 283
3. Marmont I. 367
4. Ségur I. 420
5. Gourgaud II. 51
6. Rémusat I. 274
7. Marmont II. 11
8. Gourgaud II. 435
9. Roederer 10
10. Antommarchi I. 134
11. Lacour-Gayet 65
12. Ségur I. 433
13. Mémor. II. 84/85
    Lacroix 22
    Bourrienne I. 363
14. Marmont II. 48
15. Marmont II. 52

III. 18 Brumaire'a 1799.

1. Vandal, Av. II. 40
2. Mémor. III. 5/6
3. Marmont II. 88
4. Vandal, Av. I. 293
5. Vandal, Av. I. 276
6. Vandal, Av. I. 274
7. Vandal, Av. I. 221
8. Chuquet III. 2
9. Marmont II. 89
10. Marmont II. 51
11. Pasquier I. 141
12. Thiébault III. 60
13. Masson, Mad. 170
14. Thiébault III. 60
15. Vandal, Av. II. 357
16. Marmont II. 91
17. Marmont II. 93
18. Rémusat II. 204
19. Vandal, Av. I. 314
    Lacour-Gayet 87
20. Marmont II. 94
21. Vandal, Av. 315/322
22. Vandal, Av. I. 327
23. Vandal, Av. I. 357
24. Marmont II, 98
25. Vandal, Av. I. 358/402
26. Wergiljusz, Ekl. IV
27. Pasquier I. 145
28. Marmont II. 104
29. Thiébault 7

POŁUDNIE

I. Konsul. 1799—1804.

1. Vandal, Av. II. 372
2. Mémor. III. 357
3. Pasquier I. 160
4. Bertaut 158
5. Pasquier I. 150
6. Thiébault III. 274
7. Lacour-Gayet 114
8. Lacour-Gayet 113
9. Lacour-Gayet 455
10. Lacour-Gayet 120
11. Antommarchi I. 290
12. Lacour-Gayet 119
13. Heraklit. Fragm. 8
14. Vandal, Av. II. 505
15. Vandal, Av. I. 542
16. Pasquier II. 47
17. Mémor. II. 43
18. Vandal, Av. II. 480
19. Holland 119
20. Vandal, Av. II. 486
21. Antommarchi I. 290

22. Antommarchi II. 107
23. Pasquier I. 162
24. Mémor. III. 6
25. Marmont II. 106
26. Pasquier I. 162/163
27. Roederer 93
28. Roederer 22
29. Lévy 406
30. Lacour-Gayet 45
31. Lévy 482
32. Vandal, Av. II. 506
33. Marmont II. 100
34. Pasquier I. 161
35. Vandal, Av. II. 504
36. Wergiljusz, Ekl. 4
37. Bloy 9

II. Cesarz.
1804.

1. Bourrienne III. 30
2. Abrantès III. 8
3. Roederer 88
4. Vandal, Av. II. 11
5. Thibaudeau 22
6. Masson, Fam. I. 379
7. Lacour-Gayet 160
8. Miot de Melito I. 349
9. Constant II. 35
10. Vandal II. 509
11. Lacour-Gayet 153
12. Miot de Melito II. 163
13. Miot de Melito II. 170
14. Ségur II. 274
15. Rémusat I. 337/390
16. Ségur II. 252
17. Mémor. IV. 263. 264
18. Mémor. IV. 641
19. Pasquier I. 96
20. Holland 169
21. Ségur II. 281
22. Lacour-Gayet 167
23. Miot de Melito II. 184/185
24. Masson, Sacre 3
25. Masson, Sacre 88
26. Mémor. III. 253
27. Masson 114
28. Abrantès III. 45/46
29. Lacour-Gayet 168
30. Masson, Sacre 273
31. Richter 14, 5 i nast.

III. Zwycięstwa.
1805—1807.

1. Lacour-Gayet 218
2. Vandal, Av. II. 510
3. Lacour-Gayet 224
4. Bourrienne III. 184
5. Marmont II. 212. 216
6. O'Meara I. 328
7. Mémor. I. 531
8. Pasquier I. 217
   Marmont II. 215
9. Lacour-Gayet 237
10. Tiutczew, Na drodze do Kowna.
11. Tiutczew, Południe.
12. Tiutczew
13. Bourrienne IV. 389
14. Mémor. IV. 160
15. Miot de Melito I. 289
16. Lacour-Gayet 242
17. Marbot II. 20
18. Ségur III. 183
19. Marbot II. 39
20. Vandal II. 67
21. Mémor. I. 29

WIECZÓR

I. Pojedynek z Anglją.
1808.

1. Lacour-Gayet 239
2. Lacour-Gayet 410/411
3. Lacour-Gayet 416. 412
4. Bourrienne IV. 166. 171
5. Marbot III. 223
6. Bourrienne IV. 171
7. Houssaye, 1815, IV.616
8. Vandal, N. et A. I. 250
9. Vandal, N. et A. I. 242/243
10. Vandal, N. et A. 263
11. Marmont III. 337
12. Taine 124
13. Vandal, N. et A. II. 440/441
14. Gourgaud I. 33
15. Rémusat III. 221
16. Dostojewski o Puszkinie
17. Lacour-Gayet 441
18. Vandal, N. et A. I. 272
19. Lacour-Gayet 459

II. Powstanie narodów.
1809.

1. Bourrienne IV. 148
2. Lacour-Gayet 424
3. Marbot II. 79/84
4. Lacour-Gayet 423
5. Thiébault IV. 394
6. Bloy 169
7. Fournier III. 8
8. Lacour-Gayet 297
9. Marbot II. 85
10. Ségur III. 254
11. Ségur III. 309
12. Pasquier I. 353/359
13. Marmont III. 243
14. Rapp 147/153
    Bourrienne IV. 411/417
    Constant III. 115
15. Ségur III. 419
16. Rapp 166/177
17. Lacour-Gayet 464
18. Lacour-Gayet 423
19. Lacour-Gayet 424

III. Dynastja.
1810—1811.

1. Masson, Jos. 46
2. Masson, Femmes 271
3. Roederer 13/14
4. Masson, Fils 309
5. Constant III. 215
6. Abrantès III. 242
7. Constant III. 215
8. Macdonald 284
9. Roederer 323
10. Masson, Femmes 295
11. Masson, Femmes 315
12. Mémor. IV. 640
13. Mémor. II. 168
14. Bloy 151
15. Rémusat III. 50

16. Mémor. III. 248
17. Mémor. III. 254
18. Mémor. III. 257
19. Ségur III. 470
20. Bloy 151
21. Pasquier I. 160
22. Bourrienne IV. 407
23. Bloy 152
24. Lacour-Gayet 383/384
25. Rémusat III. 65
26. Thibaudeau 286
27. Lacour-Gayet 387
28. Bertaut 140
29. Mémor. III. 269
30. Bertaut 95
31. Bourrienne IV. 338
32. Rémusat I. 125
33. Bourrienne III. 394
34. Lacour-Gayet 176
35. L. Constant I. 286
36. Masson, Sacre 5
37. Rémusat I. 383
38. Marmont V. 2
39. L. Constant III. 80
40. Chuquet I. 50
41. Stendhal, Vie 5

IV. Moskwa.
1812.

1. Ségur IV. 87
2. Mémor. IV. 158
3. Ségur IV. 8
4. Vandal, N. et A. II. 492
5. Ségur IV. 131
6. Tiutczew, Południe
7. Ségur 138
8. Ségur IV. 261
9. Ségur IV. 205. 212
10. Ségur IV. 271
11. Ségur IV. 373
12. Ségur IV. 374
13. Antommarchi I. 216
14. Ségur III. 43
15. Ségur IV. 361
16. Ségur IV. 385. 387
17. Ségur IV. 399
18. Ségur IV. 366
19. Mémor. III. 297
20. Mémor. IV. 245
21. Mémor. IV. 153
22. Mémor. V. 32
23. O'Meara I. 181
24. O'Meara V. 51
25. O'Meara V. 75
26. Lacour-Gayet 207
27. Rapp 260/261
28. Constant III. 440
29. Ségur V. 321
30. Ségur V. 324
31. Marbot IV. 91
Constant III. 444
32. Ségur V. 343

ZACHÓD

I. Lipsk.
1813.

1. Lacour-Gayet 478
2. Constant III. 474
3. Mémor. IV. 243
4. Roederer 212
5. Marmont V. 5
6. Lacour-Gayet 484
7. Lacour-Gayet 498
8. Mémor. III. 357
9. Mémor. III. 373
10. Mémor. II. 60
11. Marbot IV. 181
12. Marbot IV. 185
13. Marbot V. 300
14. Fain 290
Ségur VI. 180
15. Macdonald 224
16. Ségur VI. 187
17. Stendhal, Vie 278
18. Lacour-Gayet 496
19. Marbot IV. 191
20. Lacour-Gayet 497

II. Abdykacja.
1814.

1. Lacour-Gayet 498
2. Houssaye. 1814, 4
3. Houssaye, 1814, 7
4. Lacour-Gayet 507
5. Lacour-Gayet 504
6. Lacour-Gayet 504
7. Mémor. II. 356
8. Houssaye, 1814, 399
9. Houssaye, 1814, 399
10. Houssaye, 1814, 252
11. Houssaye, 1814, 443
12. Marmont IV. 8
13. Lacour-Gayet 481
14. Marmont VI. 51
15. Ségur VI. 479
16. Ségur VI. 479
17. Houssaye, 1814, 519
18. Lacour-Gayet 512
19. Houssaye, 1814, 63
20. Lacour-Gayet 513
21. Lacour-Gayet 511
22. Constant IV. 197
23. Houssaye, 1814, 410
24. Fain 203
25. Houssaye, 1814, 413
26. Houssaye, 1814, 541/542
27. Houssaye, 1814, 591/592
28. Houssaye, 1814, 604/607
Macdonald 264
29. Houssaye, 1814, 600/601
30. Houssaye, 1814, 637
31. Houssaye, 1814, 637
32. Houssaye, 1814, 641
33. Houssaye, 1814, 641
34. Ségur III. 196/199
Pasquier II. 326
Constant IV. 256/270
Mémor. IV. 173
35. Gourgaud I. 558
36. Lacour-Gayet 526
37. Mémor. III. 266
38. Lacour-Gayet 501
39. Bourrienne V. 387
40. Macdonald 300/301
41. Ségur VII. 221/222
Bourrienne V. 427/428

III. Elba. Sto dni.
1814—1815.

1. Houssaye, 1815, I. 151
2. Houssaye, 1815, 175
3. Masson, Man. 382
4. Houssaye, 1815, I. 179

5. Houssaye, 1815, 176
6. Lacour-Gayet 531
7. Houssaye, 1815, 172
8. Thibaudeau 417
9. Houssaye, 1815, 174
10. Houssaye, 1815, 175
11. Holland 145
12. Houssaye, 1815, 193
13. O'Meara II. 238
14. Houssaye, 1815, 235
15. Houssaye, 1815, 244/248
16. Mémor. III. 463
17. Houssaye, 1815, 255, 260
18. Houssaye, 1815, 249
19. Houssaye, 1815, 310
20. Houssaye, 1815, 276
21. Houssaye, 1815, 303
22. Mémor. III. 467
23. Houssaye, 1815, 492
24. Houssaye, 1815, 275
25. Houssaye, 1815, 306
26. Houssaye, 1815, 312
27. Houssaye, 1815, 313
28. Houssaye, 1815, 315
29. Thiébault V. 277
30. Thiébault V. 295
31. Houssaye, 1815, 300
32. Houssaye, 1815, 445
33. Houssaye, 1815, 459
34. Mémor. IV. 161
35. Houssaye, 1815, 538/539
36. Houssaye, 1815, 548/549
37. Thibaudeau 459
38. Houssaye, 1815, 616
39. Houssaye, 1815, 82
40. Houssaye, 1815, 84

IV. Waterloo. 1815.

1. Mémor. IV. 161
2. Houssaye, 1815, II. 498
3. Houssaye, 1815, II. 498
4. Mémor. IV. 160/161
5. Houssaye, 1815, II. 123
6. Houssaye, 1815, II. 165
7. Houssaye, 1815, II. 184
8. Houssaye, 1815, II. 260
9. Houssaye, 1815, II. 232
10. Houssaye, 1815, II. 233
11. Houssaye, 1815, II. 269
12. Houssaye, 1815, II. 495
13. Houssaye, 1815, II. 285
14. Houssaye, 1815, II. 318/319
15. Houssaye, 1815, II. 329
16. Mémor. I. 314
17. Houssaye, 1815, II. 344
18. Houssaye, 1815, II. 345
19. Houssaye, 1815, II. 351
20. Houssaye, 1815, II. 364
21. Houssaye, 1815, II. 374
22. Houssaye, 1815, II. 393
23. Houssaye, 1815, II. 393
24. Kennedy, Notes of the Battle of Waterloo 127/230
25. Houssaye, 1815, II. 403
26. Houssaye, 1815, II. 409
27. Houssaye, 1815, II. 410
28. O'Meara II. 242
29. Houssaye, 1815, II. 416
30. Houssaye, 1815, II. 418
31. Staël, Mém. IV. 226
32. Houssaye, 1815, II. 440/441
33. Houssaye, 1815, II. 448
34. Houssaye, 1815, II. 450
35. Hijob I. 21
36. Mémor. III. 267

NOC

I. Druga abdykacja. 1815.

1. Lermontow, Fragment niedokończonej noweli.
2. Roederer 252
3. Fournier III. 233
4. Houssaye, 1815, III. 14
5. Houssaye, 1815, III. 16
6. Houssaye, 1815, III. 16/22
7. Lucien Bonaparte, La vérité sur les Cent Jours 56/61
   Houssaye, 1815, III. 39/40
8. Houssaye, 1815, III. 41
9. Gourgaud I. 499
10. Houssaye, 1815, III. 60/62
11. Houssaye, 1815, III. 78/79 87/99
12. Lacour-Gayet 360
13. Masson, Jos. 388
14. Masson, Jos. 418
15. Houssaye, 1815, III. 199
16. Houssaye, 1815, III. 205
17. Houssaye, 1815, III. 206
18. Houssaye, 1815, III. 209
19. Houssaye, 1815, III, 217
20. Houssaye, 1815, III. 223
21. Houssaye, 1815, III. 225

II. Bellerophon. 1815.

1. Lévy 341
2. Vandal, N. et A. II. 164
3. Masson, Man. 33/34
4. O'Meara I. 363
5. Houssaye, 1815, III. 356
6. Houssaye, 1815, III. 364
7. Houssaye, 1815, III. 367
8. Houssaye, 1815, III. 372/377
9. Houssaye, 1815, III. 378/381
10. Houssaye, 1815, III. 386/387
11. Houssaye, 1815, III. 390
12. Mémor. I. 20
13. Zedlitz, Nächtliche Heerschau
14. Houssaye, 1815, III. 402
15. Gourgaud I. 46
16. Mémor. I. 35, I. 504
17. Gourgaud I. 48
18. Mémor. I. 44/45
19. Mémor. I. 47
20. Rémusat I. 125
21. Lermontow, Statek duchów

III. Św. Helena. 1815—1821.

1. Abell 2
2. Mémor. I. 33
3. O'Meara I. 69

4. Mémor. IV. 317
5. O'Meara I. 150,221
6. Mémor. IV. 317
7. O'Meara I. 228
8. Mémor. IV. 317
9. O'Meara II. 77
10. Gourgaud, List do cesarza Aleksandra I
11. Mémor. II. 140
12. Mémor. I. 504
13. Abell 31, 41
14. Gourgaud I. 231
15. O'Meara I. 74
16. Gourgaud II. 129
17. Gourgaud II. 124
18. Gourgaud II. 259
19. O'Meara I. 117
20. Gourgaud I. 582
21. Gourgaud II. 346
22. Gourgaud II. 430
23. Gourgaud II. 206. 210
24. Gourgaud II. 430.
25. O'Meara 363
26. O'Meara I. 350
27. O'Meara I. 251
28. O'Meara I. 261
29. Gourgaud II. 478
30. Masson, St. H. 484
31. Mémor. I. 256
32. O'Meara I. 240
33. O'Meara I. 43
34. O'Meara II. 350
35. O'Meara I. 117
36. Mémor. III. 266
37. O'Meara I. 131
38. Mémor. IV. 8
39. Mémor. I. 310
40. Mémor. III. 267
41. Mémor. IV. 55
42. Abell 64
O'Meara I. 17
43. Mémor. I. 305
44. Mémor. I. 308/310
45. Mémor. I. 105
46. O'Meara I. 165
47. Gourgaud II. 163
48. Mémor. II. 649
49. Holland 225
50. Gourgaud II. 271
51. Gourgaud I. 441
52. Gourgaud II. 363
53. Gourgaud II. 437, 386, I. 440
54. Gourgaud II. 464. 456
55. Gourgaud II. 26/27
56. Gourgaud I. 453/454
57. Lermontow, Rycerz w niewoli

IV. Śmierć.
1821.

1. Antommarchi I. 269
2. Antommarchi I. 295. 308
3. Antommarchi I. 327
4. Antommarchi I. 325/326
5. Antommarchi I. 328, 333
6. Antommarchi II. 58
7. Antommarchi II. 19
8. Masson, St. H. 471
9. Masson, St. H. 455
10. Antommarchi I. 54
11. Antommarchi II. 61, 83
12. Antommarchi II. 85
13. Masson, St. H. 461
14. Masson, St. H. 462
15. Antommarchi II. 96. 97. 103
16. Masson, St. H. 462
17. Holland 198
18. Masson, St. H. 473
19. Antommarchi II. 105
20. Mémor. IV. 640
21. Antommarchi II, 1000
22. Masson, St. H. 476
23. Mémor. IV. 640
24. O'Meara 434
25. Masson, St. H. 478
Antommarchi II. 87
26. Masson, St. H. 476
27. Holland 234
28. Masson, St. H. O. 479
29. Antommarchi II. 107
30. Antommarchi II. 105
31. Masson, St. H. 487

II. NAPOLEON-CZŁOWIEK.

I. Sędziowie Napoleona.

1. Stendhal, Vie 2
2. Bloy 7
3. Thiébault IV. 259
4. Nietzsche, Zmierzch bogów
5. Goethe — Eckermann, 16 lutego 1826 i 11 marca 1828
6. Staël, Cons. III. 26; IV. 18
7. Masson, Man. 5
8. Rémusat II. 112
9. Rémusat I. 231
10. Lacour-Gayet 576
11. O'Meara II. 6
12. Gourgaud II. 13
13. Gourgaud II. 163
14. Rémusat I. 125
15. Chuquet II. 15
16. Mémor. 308
17. Mowa Napoleona w Izbie Deputowanych w czasie Stu dni
18. Manzoni
19. Taine, Les origines de la France contemp.
20. Taine 5
21. Taine 142. 20. 129. 76
22. Mémor. III. 265
23. Bourrienne V. 435
24. Bertaut 169
25. Lévy 452
26. Tolstoj, Epilog „Wojny i pokoju"

27. Puszkin, List do Wiaziemskiego, wrzesień 1825
28. Bloy L'âme de Napoléon, 1920
29. Bloy 1920, 9/10
30. Zedlitz, Nächtliche Heerschau
31. Bloy 24
32. Jezajasz 63, 3
33. Bloy 141
34. Mémor III. 370
35. Mémor. I. 450
36. Mémor. II. 42
37. Mémor. III. 357
38. O'Meara I. 200
39. Ségur, V. 506
40. Lacour-Gayet 481
41. Lacour-Gayet 503
42. Lacour-Gayet 481
43. Thiébault V. 277
44. Houssaye, 1815, III. 356
45. Houssaye, 1815, VII 165
46. V. Hugo, Châtiments
47. Mémor. I. 177
48. Ségur II. 461
49. Lacour-Gayet 207
50. Oda na cześć króla Echnatona, Tell-el-Amarna, 1350 przed Chrystusem
51. Lacour-Gayet 570
52. Lacour-Gayet 531
53. Thiébault V. 293
54. Bloy 42
55. Lévy 399
56. Mémor. IV. 640
57. Gourgaud II. 270. 272
58. O'Meara II. 246
59. Lermontow, Demon

II. Organizator chaosu.

1. Ségur V. 36
2. Lacour-Gayet 177
3. Lacour-Gayet 393
4. Mémor. I. 148
5. Houssaye, 1815, I. 512
6. Lacour-Gayet 505
7. Houssaye, 1815, I. 605
8. Houssaye, 1815, III. 194
9. Thibaudeau 376
10. Mémor. III. 395
11. Lévy 51
12. Rémusat III. 256
13. Holland 193/194
14. Roederer 20
15. Chuquet II. 14
16. Mémor. III. 395
17. Mémor. II. 245
18. Mémor. IV. 43
19. Mémor. II. 107
20. Goethe, Faust I. 1319
21. Mémor. IV. 243
22. Rémusat III. 224
23. O'Meara II. 282
24. O'Meara II. 6
25. Rémusat III 153
26. Roederer 240
27. Mémor. II. 245
28. Mémor. 308
29. Lacour-Gayet 569
30. Mémor. I. 308
31. O'Meara I. 176
32. O'Meara I. 176
33. Ségur V. 46
    Mémor. III. 295
34. Block, A., Die Skythen
35. Puszkin, Napoleon
36. Mémor. II. 118
37. O'Meara I. 358
38. O'Meara I. 358
39. Mémor. III. 370

III. Władca świata.

1. Lacour-Gayet 440
2. Taine 124
3. Mémor. II. 43
4. Roederer 174
5. Mémor. II. 245
6. Mémor. IV. 152
7. Mémor. IV. 297
8. Mémor. IV. 153
9. Mémor. III. 298
10. Mémor. IV. 211
11. Mémor. I. 530/532
12. Mémor. IV. 157
13. Mémor. IV. 115
14. Gourgaud II. 345
15. Gourgaud II. 170
16. Gourgaud II. 345
17. Rémusat I. 104
18. Rémusat III. 204
19. Roederer 240
20. Houssaye, 1815, I. 605
21. Ségur IV. 70
22. Thiébault III. 394
23. Rémusat III. 200
24. Roederer 240
25. Barbier, La cavale
26. Bourrienne I. 230
27. Bourrienne I. 322
28. Bourrienne I. 363
29. Mémor. II. 85
30. Lacour-Gayet 458
31. Pradt 23
32. Marmont III. 337
33. Mémor IV. 157
34. Rémusat I. 274
35. Rémusat I. 332
36. Gourgaud II. 435
37. Mémor. IV. 50
38. Marmont II. 242
39. Pasquier I. 160
40. Pasquier I. 160
41. Masson, Man. 7/19
42. Mémor. III. 251
43. Rémusat III. 49/50
44. Lacour-Gayet 219
45. Mémor. III. 248
46. Mémor. III. 254
47. Mémor. III. 257
48. Mémor. III. 258
49. Mémor. III. 254
50. Correspondance de Napoleon I, XIX. 15. 384
51. Bloy 151
52. Lacour-Gayet 455
53. Łukasz 4, 5/7

IV. Człowiek z Atlantydy.

1. Mémor. III. 173
2. Bourrienne I. 253
3. Rapp, 147/153
   Bourrienne IV. 411/417
   Constant III. 115

4. Masson, Man. 569
5. Fournier I. 63
6. Masson, Man. 556. 562. 566
7. Mémor. II. 154
8. Gourgaud II. 435
9. Antommarchi I. 134. 145
10. Lacour-Gayet 65
11. Ségur I. 453
12. Fournier I. 262
13. Roederer 19
14. Bertaut 158
15. Antommarchi II. 91
16. Gourgaud I. 408, II. 270
17. Mémor. III. 246
18. Bourrienne II. 148
19. O'Meara I. 182
20. Antommarchi I. 217
21. Gourgaud I. 410
22. Bourrienne I. 148
23. Mémor. II. 76/77
24. Bertaut 35
25. O'Meara II. 39
26. Masson, St. H. 434. 478
27. Masson, Man. 5/6
28. Ségur IV. 386
29. Masson, Man. 382. 389
30. Gourgaud I. 434
31. Rémusat I. 112
32. Lacour-Gayet 209
33. Rémusat I. 101
34. Antommarchi I. 125
35. Lacour-Gayet 368
36. Rémusat I. 278
37. Abrantès I. 15
38. Bertaut 170
39. Gourgaud I. 346
40. Roederer 165
41. Ségur I. 465
42. Platon. Krytjasz
43. Puszkin, Do Morza
44. Pasquier I. 165
45. Mémor. IV. 160
46. Bourrienne IV. 389
47. Mémor. IV. 160
48. Houssaye, 1815, I. 302
49. Mémor. IV. 140
50. Ségur IV. 76
51. Lacroix 250
52. Taine 25
53. Tiutczew, Na drodze do Kowna
54. Taine 101
55. Platon, Krytjasz
56. Dostojewski, Bracia Karamazow
57. Mateusz 24, 37/39

V. Dobry czy zły?

1. Psalm 8, 5
2. Psalm 82, 6
3. Apokalipsa Św. Jana 21, 17
4. Rémusat I. 100/101
5. Houssaye, 1815, II. 322
6. Platon. Uczta
7. Mémor. I. 88
8. Lévy 339
9. Lacour-Gayet 335
10. Rémusat III. 61
11. Antommarchi I. 125
12. Ch. de Clary, Trois mois á Paris, 83
13. Rémusat III. 383; I. 106
14. Fain 291
15. Bourrienne II. 150
16. Vandal, N. et A. I. II. 256
17. Mémor. I. 361
18. Chuquet III. 91
19. Rémusat I. 106
20. Rémusat III. 81
21. Pasquier I. 359
22. Rémusat I. 118
23. Mémor. IV. 82
24. Mémor. IV. 255
25. O'Meara I. 313; II. 6
26. Lacour-Gayet 160
27. Ségur II. 252
28. Mémor. IV. 263. 264
29. Mémor. IV. 265/266
30. Pasquier I. 192
31. Lacour-Gayet 162
32. Lacour-Gacyt 162
33. Pasquier I. 185/187
34. Lacour-Gayet 165
35. Pasquier 194
36. Lacour-Gayet 165
37. Ségur II. 269
38. Ségur II. 274
39. Rémusat I. 337. 389. 390
40. Rémusat I. 388
41. Rémusat III. 273
42. Lacour-Gayet 423. 441
43. Mémor. IV. 260
44. O'Meara I. 213
45. Mémor. IV. 267
46. Mémor. IV. 641
47. Pasquier I. 1916
48. Holland 169
49. O'Meara I. 17
Mémor. I. 305
Abell 62
50. Bourrienne I. 369
51. Houssaye, 1815, III. 356
52. O'Meara II. 363
53. Roederer 246
54. Fournier III. 233
55. Fain 253/257
56. Ségur IV. 403
57. Houssaye, 1815, II. 229
58. Mémor. I. 312
59. Marbot II. 203. 210
Ségur II. 358
Mémor. III. 222
60. Ségur III, 169
61. Houssaye, 1815, II. 41
62. Fain 291
63. Fain 301
64. Bourrienne II. 139
65. Mémor. IV. 243; I. 273/274
66. Holland 198
67. Mémor. IV. 687. 659. 642
68. Fain 95
69. Constant I. 7
70. Constant IV. 201
71. Lévy
72. O'Meara I. 217
73. Bourrienne II. 150
74. Rémusat II.
75. Abell 21. 108
76. Gourgaud II. 40. 456
77. Lacour-Gayet 564
Abrantès III. 304

VI. Robotnik.

1. Mémor. I. 315
2. Vandal, Av. I. 261
3. Gourgaud II. 109
4. Lévy 488
5. Taine 92
6. Abbé de Pradt 94
7. Lacour-Gayet 117
8. Lacour-Gayet 340
9. Roederer 246
10. Chuquet I. 228
11. Holland 200
12. Ségur I. 465
13. Houssaye, 1815, III. 215
14. Antommarchi I. 263
15. Antommarchi I. 301
16. Mémor. IV. 107
17. Baratynskij, Na śmierć Goethego
18. Rémusat I. 268
19. Rémusat I. 103
20. Lévy 447
21. Antommarchi I. 355
22. Ségur V. 198
23. Marmont III. 337
24. Houssaye, 1815, III. 616
25. Bourrienne II. 287
26. Bourrienne II. 287
27. Mémor. III. 523
28. Roederer 250/251
29. Fain 77/78
30. Lacour-Gayet 375
31. Lévy 488
32. Mémor. III. 549
33. Roederer 95/96
34. Pradt, Abbé de préf. X et 5
35. Taine 32, 51
36. Palet 8
37. Gourgaud II. 109
38. O'Meara I. 292
39. Roederer 96
40. Lévy 51
41. Taine 32
42. Mémor. III. 145
43. Vandal, Av. II. 257
44. Rémusat I. 124
45. Antommarchi I. 216
46. Fain 192
47. Fain 115
48. Houssaye, 1815, I. 153
49. Mémor. I. 296
Ségur III. 306
Fain 290
50. Fain 290
51. Bourrienne III. 308
52. Fain 3, 57
53. Mémor. III. 145
54. Lacour-Gayet 367
55. Mémor. IV. 649/650

VII. Wódz.

1. Mémor. I. 203
2. Lacour-Gayet 271
3. Bertaut 182
4. Bertaut 45
5. Gourgaud II. 460
6. Bertaut 166
7. Roederer 4
8. Bertaut 163
9. Gourgaud II. 424
10. Lacour-Gayet 241
11. Gourgaud II. 460
12. Stendhal, Vie 194
13. Mémor. I. 314
14. Gourgaud II. 461
15. Mémor. I. 316
16. Mémor. I. 315/316
17. Mémor. IV. 144
18. Ségur I. 300. 291
19. Stendhal, Vie 219
20. Lacroix 194
21. Ségur I. 300
22. Ségur I. 308
23. Antommarchi II. 110
24. Masson, Mad. 91
25. O'Meara II. 304
26. Puszkin. Pieśń o wieszczym Olegu
27. Constant II. 167
28. Houssaye, 1814, 312
29. O'Meara II. 328
30. Houssaye, 1815, I. 153
31. Houssaye, 1815, II. 271
32. Lévy 279
33. Lévy 171
34. O'Meara I. 311
35. Mémor. III. 222
36. Marbot II, 16
37. Houssaye, 1815, II. 271
38. Ségur III. 285
39. Houssaye, 1815, II. 402
40. Ségur III. 351. 259
Marbot III. 200
41. O'Meara II. 180
42. Lacroix 250
43. Ségur IV. 76
44. Tiutczew, Na drodze do Kowna.
45. Lacour-Gayet 200
46. Lacour-Gayet 201
47. Houssaye, 1815, II. 82
48. Mémor. I. 308
49. Lacour-Gayet 575
50. Mémor. II. 140
51. Gourgaud II. 346
52. Mémor. 296
53. Mémor. III. 267
54. Mémor. IV. 243
55. Mémor. I. 308/309
56. Roederer 122
57. Maurice Barrès, Les déracinés
58. Bertaut 170
59. Puszkin, Uczta podczas dżumy
60. Ségur II. 457
61. Thiébault IV. 250
62. Masson, Man. 54
63. Bourrienne V. 428
64. Porównaj Mereżkowski, Tajemnica Wschodu
65. Gilgamesz IX. 206
66. Gilgamesz I. 1/51.

VIII. Commediante.

1. Abell 112
2. Stendhal, Vie 5
3. Macdonald 280
4. Majkow, Trzy śmierci
5. Lacour-Gayet 477
Masson, Fils 238
Masson, Jos. 296
6. Ségur V. 20

7. Ségur V. 34
8. Ségur V. 47
9. O'Meara I. 181
10. Gourgaud I. 182
11. Ségur V. 71
12. Rémusat I. 102
13. Bourrienne III. 499
14. Mémor. II. 513. 509
15. Mémor. IV. 181
16. Bourrienne I. 326
17. Mémor. III. 298
18. Rémusat III. 115
19. Mémor. IV. 197
20. Ségur II. 471
21. Constant I. 280
22. Rémusat I. 337
23. O'Meara I. 363
24. Thibaudeau 455
25. Lévy 341
26. Bertaut 181
27. Mémor. IV. 149
28. Vandal, N. et A. I. II 164.

IX. Przeznaczenie.

1. Masson, Sacre 5
2. Mémor. IV. 254
3. Constant II. 56
4. Constant IV. 245
5. Thiébault IV. 390/393
6. O'Meara I. 152
7. Gourgaud
8. Mémor. II. 60
9. Ségur II. 390
10. Ségur II. 380
11. Bloy 95. 97. 232
12. O'Meara I. 163
13. Tiutczew, Sen na morzu
14. Bourrienne IV. 389
15. Mémor. IV.
16. Gourgaud II. 362
17. Miot de Melito I. 289
18. Ségur IV. 74
19. Marmont II. 42
20. Mémor. IV. 162
21. Houssaye, 1815, II. 393
22. O'Meara I. 363
23. Masson, Man. 267
24. O'Meara I. 185
25. O'Meara II. 334
26. Abrantès II. 53
27. Gourgaud II. 54
28. Ségur IV. 74
29. Marmont III. 340
Ségur IV. 81
30. Ségur II. 457
31. Ségur IV. 87
32. Mémor. IV. 158/159
33. Mémor. II. 60
34. Stendhal, Vie 287
35. Mémor. IV. 160/161
36. O'Meara II. 191
37. O'Meara I. 350
38. Rémusat I. 383
39. Rémusat III. 390
40. Dante. Czyściec XXX. 109
41. Mémor. IV. 151/152
42. Masson, Sacre 5
43. Roederer 84
44. Roederer 85
45. Rémusat I. 267
46. Rémusat I. 242
47. Lermontow
48. Fain 287
49. Ségur IV. 70
50. Mémor. III. 266
51. Antommarchi II. 54
52. Masson, Man. 567

SPIS ROZDZIAŁÓW

I. ŻYCIE NAPOLEONA

Zaranie

Dzieciństwo 1769—1779 5
Szkoła 1779—1785 11
Porucznik artylerji 1785—1792 19
Tulon 1793—1794 29
Vendémiaire 1794—1795 34

Wschód słońca.

Włochy 1796—1797 42
Egipt 1798—1799 50
18 Brumaire'a 1799 58

Południe.

Konsul 1799—1804 75
Cesarz 1804 83
Zwycięstwa 1805—1807 91

Wieczór.

Pojedynek z Anglją 1808 99
Powstanie narodów 1809 104
Dynastja 1810—1811 109
Moskwa 1812 114

Zachód.

Lipsk 1813 125
Abdykacja 1814 129
Elba. Sto dni 1814—1815 140
Waterloo 1815. 148

Noc.

Druga abdykacja 1815 163
Bellerophon 1815 171
Św. Helena 1815—1821 180
Śmierć 1821. 191

II. NAPOLEON-CZŁOWIEK.

Sędziowie Napoleona 201
Organizator chaosu 214
Władca świata. 220

Człowiek z Atlantydy 231
Dobry czy zły? 246
Robotnik 265
Wódz 275
Commediante 290
Przeznaczenie 297

Dodatek.

Literatura 313
Cytaty 315
Spis rozdziałów 325





BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP
33548